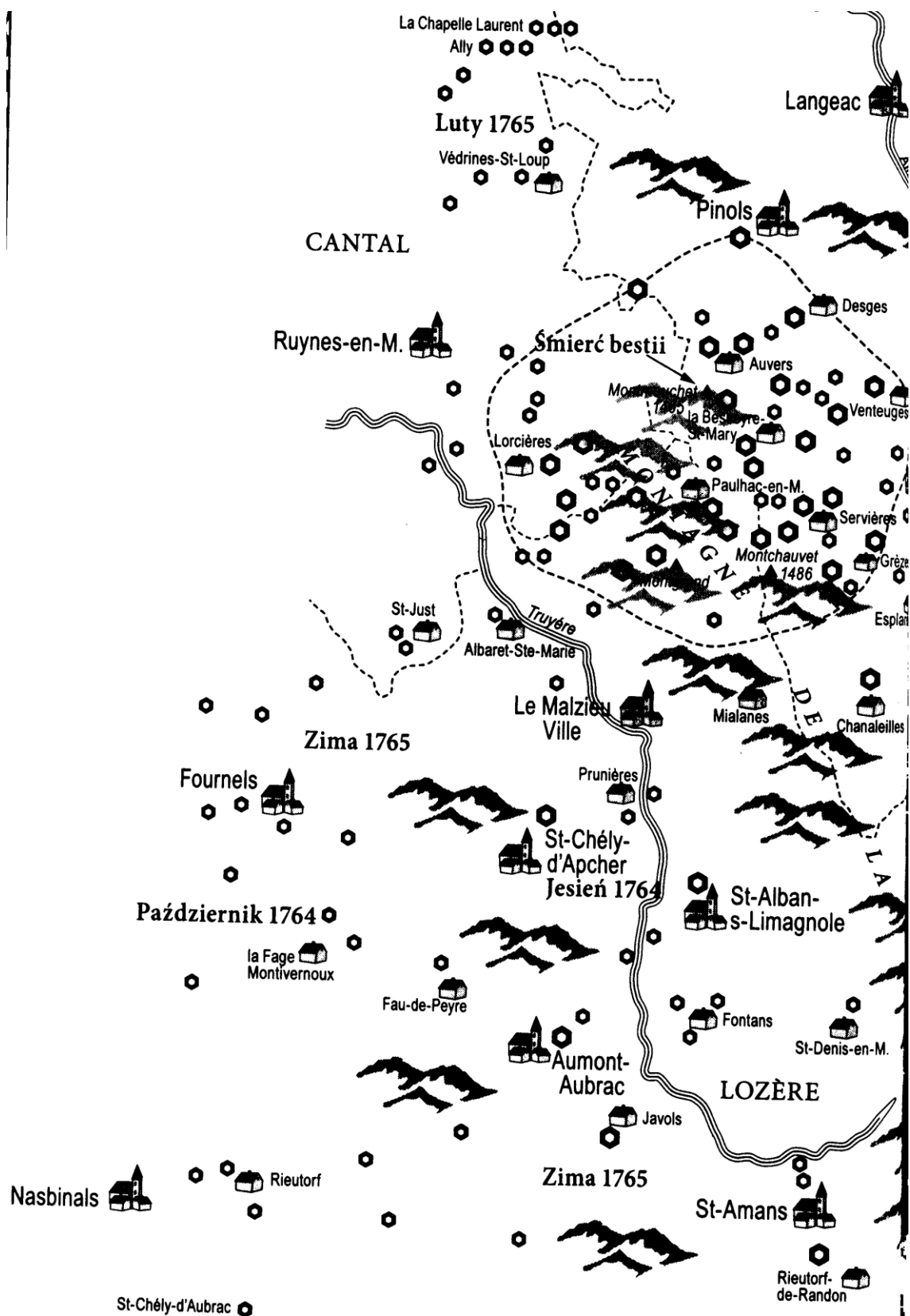


**Markus Heitz**

# Ritus

Tłumaczenie Joanna Filipek





La Chapelle Laurent

Ally

Langeac

Luty 1765

Védrines-St-Loup

Pinols

CANTAL

Ruynes-en-M.

Smierc bestii

Desges

Montchaudet

Auvers

Venteuilles

Lorcières

la Besse

St-Mary

Paulhac-en-M.

Servières

Montchauvet

Grèze

St-Just

Truyère

Albarét-St-Marie

Mialanes

Chanaleilles

Zima 1765

Le Malzieu  
Ville

Fournels

Prunières

St-Chély-  
d'Apcher

Jesień 1764

St-Alban-  
s-Limagnole

Październik 1764

la Fage  
Montivernoux

Fau-de-Peyre

Aumont-  
Aubrac

Fontans

St-Denis-en-M.

LOZÈRE

Nasbinals

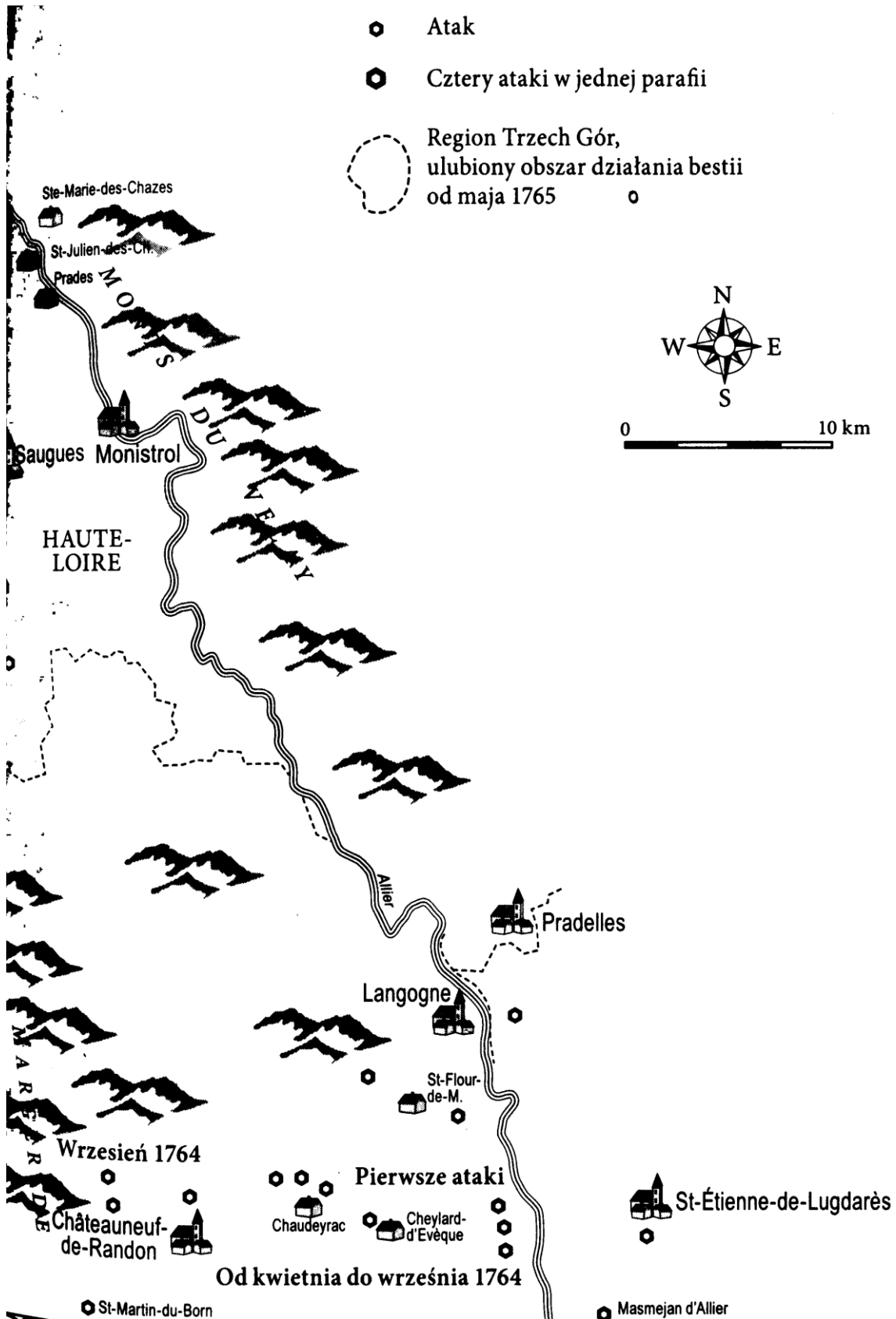
Rieutorf

Zima 1765

St-Amans

Rieutorf-  
de-Randon

St-Chély-d'Aubrac



# Rozdział I

18 kwietnia 1764, na północny wschód od Langogne,  
zachodniego przedgórze masywu Vivarais,  
Południowa Francja

Potok chlupotał po okrągłych kamieniach, szmerząc monotennie. Promienie wieczornego słońca sączyły się przez nieliczne szczeliny w gęstym listowiu drzew, rzucając złocisto-czerwone plamy na cieniste poszycie lasu. Owady, brzęcząc, przemykały w gorącym powietrzu w poszukiwaniu pokarmu. Wabił je kuszący zapach. Pachniało wiosną, nowym życiem i rozkładem.

Podniecone muchy pomknęły ku grubej dolnej gałęzi potężnego buka, na której dwa kroki nad ziemią wisiało na grubym łańcuchu cuchnące truchło owcy. Tuż pod nim kołysało się martwe, niezwykle osobliwe stworzenie.

- Czegoś takiego... nigdy nie widziałem - Jean Chastel, mężczyzna po pięćdziesiątce, urodzony leśniczy, ostrożnie zbliżył się i trącił pysk stwora wylotem podwójnej lufy muszkietu. Na gładko ogolonej, kanciastej twarzy malował się strach, niedowierzenie i ogromne skupienie. Osobliwe zwierzę, wiszące na wilczych wnykach, znał tylko z opowieści i z afiszy wędrownych aktorskich trup. Owe historie i towarzyszące im ryciny trudno byłoby nazwać uspokajającymi.

Podobne do wilka zwierzę nie poruszało się.

Jeanowi wydało się, że widzi na grzbiecie czarną pręgę biegnącą od łba aż po cienki ogon. Futro było ciemne, rudawe. Łapy, dwa razy tak duże jak dłoń kobieca, mogłyby robić największe wrażenie, gdyby nie kły...

Zwierzak chciał brawurowym skokiem dopaść ofiarę. Zgubił go ukryty w rozkładającej się owcy hak rzeźniczy. Ostry metalowy czubek wystawał z pełnego zakrzepłej krwi pyska, wyginając wielki łeb ku górze. Sprawilo to, że potężne, zdolne przegryźć kość udową szczęki otwały się, odsłaniając kły długości środkowego palca.

Jean posłyszał szelest. Nagle znalazł się przy nim jego młodszy syn, Antoine.

- Basior - powiedział, jakby widywał takie stwory codziennie. Mimo że miał już dwadzieścia lat, wyglądał bardzo młodo. Wieku nie przydawała mu nawet krótka, czarna

bródka. W przeciwieństwie do ojca nie wydawał się być poruszony odkryciem. Nie bał się. Kupieckim zmysłem zwiertzył możliwość dobrego interesu. Szczerząc zęby, wyjął nóż myśliwski i wskazał na narządy płciowe kołyszącego się teraz powoli tam i z powrotem stworzenia.

- Za jego jaja dostaniemy od znachora kupę pieniędzy.

Jean, któremu wciąż to wszystko wydawało się nazbyt niesamowite, chwycił syna za ramię i powstrzymał. Na plecach podskoczył mu krótki, biały warkoczek.

- Nie podchodź! - Patrzył, czekając na drgnięcie zwłok, które świadczyłyby, że stwór wciąż żyje. Basior trwał jednak w bezruchu, więc Jean otworzył dłoń, uwalniając Antoine'a. - Zostaw mu je. Nim się go pokroi, powinni go obejrzyć uczeni.

Trzask suchej gałęzi zdradził, że zbliża się następny człowiek. Myśliwi z rodziny Chastel byli w komplecie.

- Na Boga! - wyrwało się starszemu synowi. Pierre bardzo przypominał ojca, i to nie tylko zewnątrz. Wstrząśnięty patrzył na zwierzę. Przeżegnał się. - To bydlę... śmierdzi paskudnie i jest... okropne. - Dokładnie oglądał silne łapy, wielki łeb, potężne szczęki, krzaczastą końcówkę ogona i małe, spiczaste uszy. Jego zwykle tak przyjazna twarz nabrała wyrazu obrzydzenia. - Co to takiego? Wilk z piekła rodem?

Brazowe oczy Jeana przesunęły się po tym, na co od czterech dni na prośbę zaprzyjaźnionego leśnika DeBeauforta polowali w Vivarais. Właściwie on i jego synowie pochodzili z sąsiedniego regionu Gévaudan. Po dwudziestu jeden zabitych owcach, dwóch rozerwanych krowach i jednym martwym pasterzu chłopcy zagrozili strąceniem ich znajomka z urzędu. Chastelowie udali się w podróż na południowy wschód Francji, żeby go wesprzeć.

Jean traktował to również jako zabezpieczenie. Gdyby ów z pewnością wściekły wilk nie znajdował już nic tutaj, przeniósłby się zapewne do Gévaudan. Tylko martwy wilk to dobry wilk. Jeśli to w ogóle jest wilk. Stwór, na którego patrzył, nie miał nic wspólnego z żadnym ze zwierząt o szarej sierści, jakie dotychczas widywał.

- Loup-garou - Antoine zachichotał cicho, odpowiadając na pytanie Pierre'a i z uśmiechem odwrócił się do ojca. - Złapaliśmy prawdziwego wilkołaka!

- Myślałem, że one istnieją tylko w bajkach. - Pierre zdjął z głowy trójgraniasty kapelusz, otarł pot z czoła i nasadził nakrycie z powrotem na krótkie, czarne włosy. Jego spojrzenie padło na grubą gałąź, na którą nawinięto łańcuch. Kora i drewno pod nim były jak oheblowane. - Długo walczył - powiedział, wskazując pozostałym ślady tarcia. - Dziękować Bogu, że nie natknęliśmy się na tę bestię podczas polowania. Jedna kulka na pewno by jej nie pokonała. Zęby... - Wzdrygnął się.

Jean rzeczywiście odkrył na ciele bestii cztery zagojone rany po kulach.

- Masz rację. To tłumaczy, czemu celne strzały DeBeauforta były bezskuteczne. Zwykły wilk padłby martwy już po jednym strzale. - Jean dziwił się, gdy doświadczony w myślistwie przyjaciel prosił go o pomoc. - Myślałem, że mój kumpel przesadza.

Antoine podszedł do pnia buka i wziął się za wyciąganie kołka mocującego łańcuch, chcąc opuścić stwora na ziemię.

- Będą nas wielbić jak bohaterów - ucieszył się. - Możemy zażądać godziwej zapłaty. Kiedy potniemy tę bestię na kawałki i sprzedamy, wpadnie nam niezła sumka.

- Dziewczyny potracą dla ciebie głowy. To przecież chcesz powiedzieć - splunął Pierre. - Widziałem, jak twoje łapy kleiły się do jednej małej. Posadziłeś ją sobie na kolanach.

Młodszy brat znieruchomiał i pośpiesznie zerknął na ojca. Twarz Jeana spochmurniała.

- Nie, nic nie zrobiłem! - bronił się Antoine. - Pierre mnie nienawidzi, przecież wiesz, ojczu. Chce mnie przed tobą...

Jean podszedł do niego.

- Pierre nie kłamie. - Stał przed młodszym synem. - W przeciwieństwie do ciebie. Coś tym razem zrobił? Ile miała lat?

- Szesnaście! - odpowiedział Antoine i chciał zająć się łańcuchem, ale ojciec chwycił go za ramię i odwrócił siłą, by spojrzeć mu prosto w twarz. Zielone oczy niedługo wytrzymały spojrzenie gniewnych brązowych. - Dwanaście - wykrztusił z ociąganiem i opuścił głowę. - Ojczu, nie mogę tego powstrzymać! To jak...

- Świnia! - Jean uderzył go pięścią, trafiając w okolice ust. Antoine zgubił kapelusz i uderzył plecami o zwłoki bestii, które na skutek wstrząsu zaczęły groteskowo przebierać łapami niczym marionetka. Przypominało to taniec. Łańcuch brzęczał, przygrywając melodię. - Tyle razy już ci mówiłem - ostrzegł syna Jean, opanowując się z trudem. - Kupuj sobie tyle kurew, ile tylko zechcesz, ale nie tykaj niewinnych! Jeśli cię złapią, nie będę cię bronił. - Odwrócił się gwałtownie. - A teraz opuść tego bydlaka, nim pożrą go robaki.

Antoine przyłożył do stłuczonych ust klapę kurtki, otarł krew z pękniętej wargi i wbił wzrok w brata. Bezgłośnie wypowiedział słowo *zdrajca*. Chwycił kapelusz, wcisnął go na długie, zmierzwione czarne włosy i poluzował kołek na tyle, żeby móc odwinąć łańcuch.

Cielsko osobliwego zwierzaka uderzyło twardo o ziemię, chmara much wzbiła się w powietrze i odleciała. Już po chwili jednak znów małymi, czarnymi obłoczkami krążyły nad cuchnącym truchłem owcy. Po mięsie pełzały larwy, wwierały się do jego wnętrza i powoli, ale nieustannie pożerały je.

Chastelowie w milczeniu patrzyli na wilkołaka. Do Jeana i Pierre'a powoli dochodziło, że

ta istota naprawdę istnieje. Antoine przyjął istnienie loup-garou do wiadomości już od pierwszego spojrzenia. Teraz uniósł głowę i nasłuchiwał odgłosów lasu.

- Surtout! - zawołał myśliwskiego psa, wielkiego, muskularnego mastifa, który mu wszędzie towarzyszył. - Gdzie ten kundel? - mruknął, wpatrując się w gęste krzaki. - Surtout!

Przerażenie Jeana wreszcie minęło i ustąpiło miejsca ciekawości leśnika, który zobaczył nowy gatunek. Zmarszczył brwi, przyklęknął przy grzbiecie zwierzaka i przesunął palcami po gęstej sierści. Jego biały warkoczek podskoczył do przodu.

- Jest chudy. Musiał od dawna nic nie jeść.

Pierre stał w odległości kroku i lekko dotykał zwierzaka muszkietem.

- Uważaj, ojcze.

- Nie dowierzasz martwocie? - Antoine podszedł do brata. Całą postawą wyrażał pogardę dla Pierre'a. - Tchórz! Wilkołak jest martwy! - Kopnął zwierzaka w bok. - Zdechł z głodu albo od uduszenia.

Nagle w krzewach rozległ się jakiś trzask. Pierre odwrócił się, kierując lufę w gęste poszycie.

Antoine skrzywił się niechętnie.

- Zdrajca się boi? Bez obaw, Surtout nic ci nie zrobi. On zje tylko małe dzieci. - Chwyił swój muszkiet i skoczył w zarośla. - Zobaczmy, co wytropił. Może młodą dziewczkę, która chce się wykapać w strumieniu?

- Wracaj - zawołał Pierre, ale brat po kilku krokach zniknął w mrocznej zieleni. Jedynie coraz cichszy szelest gałęzi wskazywał, gdzie jest.

- Ileż znaczy sześć lat różnicy... - Pokręcił głową Jean, starając się nie martwić młodszym synem, którego wziął na polowanie tylko dlatego, że ten był znakomitym strzelcem. Antoine zwykle pomieszkiwał jak dzikus razem ze swoimi psami w lesie Ténazeyre. Brakujące mu powagę i rozsądek w dwójnasób posiadał Pierre, który cieszył się sławą dobrego gajowego.

Teraz jednak były sprawy ważniejsze niż szaleństwa Antoine'a. Żądza wiedzy Jeana wciąż nie była zaspokojona. Praca leśnika wymagała, by znał się na zwierzętach. Chciał dokładniej obejrzyć owe nieznanne stworzenie i odkryć jego tajemnice, nim zabiorą się za to uczeni. Dotknął łap bestii, rozwarł jedną z nich i zdziwiony przywołał Pierre'a. Wskazał na rozcapierzone pazury.

- Chodź tu i ucz się. Widzisz coś dziwnego?

Pierre zbliżył się z ociąganiem.

- Robaki nie żrą jego przeklętego mięsa?

- Nie o to mi chodzi. Przyjrzyj się dokładniej.

Pierre oparł się na zatkniętej w ziemię kolbie muszkietu i przykucnął obok ojca. Mając go u boku, czuł się pewniej.

- Na Boga, ma pazury jak kot! - wyrwał mu się podniecony okrzyk.

Jean odrzucił warkocz na plecy i podniósł się. Pierre poszedł w jego ślady.

- Musimy powiadomić DeBeauforta. To nie jest sprawa dla urzędników. Trzeba poinformować króla. - Jean nabrał głęboko powietrza. - Antoine, chodź już z tym twoim kundlem! Ruszamy.

Gdy syn nie pokazał się, zawołał go raz jeszcze. I jeszcze.

Nasłuchiwali uważnie. Z gęstwiny nie dochodził jednak żaden dźwięk. Potem coś zaszeleściło; ktoś skradał się w ich kierunku.

- Antoine, dość już tych żartów - odezwał się Pierre. - Ściemnia się, a droga do Langogne nie jest łatwa. Ja... - zamilkł, uciszony uniesioną ręką ojca.

Znów wsłuchali się w milczący las. Za ledwie godzinę słońce prześwitywało przez korony drzew. Cienie stały się bardziej mroczne, groźniejsze. Jedynym dźwiękiem było bzyczenie much.

- Co jest, ojciec? - szepnął Pierre, trzymając muszkiet gotowy do strzału.

Jean powoli odciągnął najpierw prawy, potem lewy kurek swojej dwururki. Rozległ się cichy trzask.

- Cicho jak na cmentarzu - odpowiedział. - Nie słyhać nawet ptaka ani żadnego innego zwierzęcia. Tu krąży drapieżnik.

Pierre przełknął ślinę, ale wzmagający się strach ścisnął mu gardło. Nie ważył się nawet szepnąć; zamiast tego uniósł muszkiet i celował tam, skąd dobiegały trzaski gałęzi.

Gęsty krzew zadrżał, jego listowie zaszeleściło, na moment przerywając ciszę lasu. Pierre omal nie pociągnął za spust, nie zważając na to, że żartowniś Antoine ukrył się gdzieś w gęstwinie. Trwoga przerosła rozum.

- Nie ważcie się do mnie celować - z zarośli dobiegł mocny, damski głos. - Ja na pewno nie jestem drapieżnikiem. - Spomiędzy drzew wyszła kobieta w czarnym habicie; na lewym łokciu zawiesiła kosz z jagodami i ziołami. Ciemny strój ukazywał jedynie jej sympatyczną, około czterdziestoletnią twarz i dłonie. Reszta ciała była starannie zasłonięta. Szarobrazowe oczy skierowała na broń mężczyzn. - Opuśćcie broń, *messieurs!* Nie ma powodu, by mi grozić.

Pierre szybko się uklonił, z przeproszającym wyrazem twarzy opuścił wylot lufy muszkietu i przedstawił się. W odpowiedzi zakonnica podała swoje imię:

- Jestem przeorysza Gregoria z klasztoru świętego Gregoriusa z Tours.



- Nie drapieżnik, ale łowca dusz. - Jean obdarzył szczupłą zakonnice pogardliwym spojrzeniem. - Czy nie oddaliliście się zbyt daleko od waszego klasztoru? Vivarais to w dzisiejszych czasach nie najlepsza okolica dla niezbrojnych.

- Mam pomoc lepszą od wszelkiego muszkietu. Pan jest moim pasterzem, strzeże mnie na moich ścieżkach - odpowiedziała z uśmiechem... i zamarła w przerażeniu, gdy jej spojrzenie, minawszy myśliwego, padło na stworzenie leżące na ziemi. Zbladła jak ściana i przeżegnała się.

- Patrzcie, patrzcie. Diabeł wysyła nowe wilki, by pożerały owce Pana - stwierdził Jean. - Sądźcie, że to Bóg ochronił was przed zębami tego głodnego zwierza?

Pierre odchrząknął.

- Wybaczcie memu ojcu jego słowa i nie obawiajcie się, czcigodna przeoryszo. Ten wilk już nic wam nie robi.

- Bo *my* go złapaliśmy. Nie Bóg - dodał Jean.

- Ale z bożą pomocą, dobry człowieku. - Gregoria ku zdumieniu obu mężczyzn podeszła bliżej zwłok, obejrzała je ze wszystkich stron, ponownie się przeżegnała i ucałowała krzyż srebrnego, niezwykle cennego różańca kołyszącego się na jej szyi i opadającego na habit. - Dziwne zwierzę - stwierdziła cicho. - Dobrze, żeście je schwytali. Słyszałam, że przyniosło wiele cierpienia okolicznym mieszkańcom.

- Jak niektórzy księża. - Jean nie przejmował się więcej zakonnice, która w swojej czarnej szacie wśród pełnej życia zieleni lasu wyglądała jak obcy element. Dziwiło go wprawdzie, że w poszukiwaniu ziół i poziomek oddaliła się tak znacznie od murów swego klasztoru, miał jednak teraz ważniejsze sprawy na głowie.

- Cokolwiek wam uczyniono, nie zrobiłam tego *ja*. Nie ma powodu traktować mnie wrogo.

Jean chciał coś odpowiedzieć, ale Gregoria mówiła dalej.

- Nie będę już naprzykrzać się wam moją obecnością. Jako że najwyraźniej odeszliście od Boga i Jego świętego Kościoła, pomodlę się za uzdrowienie waszych dusz, byście wrócili na ścieżki Pana.

- Dobrze powiedziane! Nie mam nic wspólnego z Kościołem ani Bogiem. A o zdrowie mojej duszy troszczę się sam i w żadnym razie nie pozostawiam go świętoszkowatym księżulkom ani chciwym klechom! - Choć mały klasztor Benedyktynek cieszył się dobrą sławą wśród prostego ludu i, jak powiadano, pomagał biednym i zbłąkanym, nie było powodu, by oceniał przeoryszę inaczej niż wszystkich innych duchownych. Irytował go jej protekcjonalny i pewny siebie sposób bycia.

Uśmiechnęła się przyjaźnie do Pierre'a, który uklonił się uprzejmie.

- Niech Pan wam zawsze błogosławi. Uważajcie na siebie, młody człowieku, żeby wilki wam nic nie zrobiły. Gdybyście chcieli się pomodlić, kaplica w Saint Grégoire jest zawsze otwarta. - Skinęła głową i odeszła. - Miłego dnia, *messieurs*.

- Do diabła z tymi mniskami - zaklął Jean cicho i odwrócił się w stronę zwłok. - Do diabła z tą całą kościelną hałastrą.

- Matka nie chciałaby, żeby... - zaczął ostrożnie Pierre, jednak po odpychającej postawie ojca poznał, że nie powinien mówić dalej. Od śmierci matki ojciec nie miał wysokiego mniemania o bożej łasce, która jego zdaniem sprzyjała tylko tym, co mieli dość pieniędzy, by kupić sobie jej przychylną w kościelnej skarbnicy.

Miał właśnie podejść do ojca, gdy wydało mu się, że kątem oka wśród pni dostrzega jakiś przysadzisty cień.

- Tam coś jest! - Wzniósł do Boga cichą modlitwę, prosząc go, by chronił ich obu, Antoine'a i przeoryszkę przed tym, co czai się wokół wśród buczyny.

- To pewnie Surtout - stwierdził ojciec.

Pierre'a ponownie obleciał strach.

- A jeśli ta bestia, którą złapaliśmy, nie była sama? - szepnął.

- To tę drugą też zabijemy - odparł Jean i odbezpieczył muszkiet. Pierre poszedł za jego przykładem. - Nie zapominaj, że gdzieś tu jest Antoine...

Na lewo od nich z zarośli wyskoczył szeroki cień. Krzycząc głośno, rzucił się na obu mężczyzn, zwałił ich z nóg i popchnął na leśne poszycie. Muszkiet Pierre'a rozładował się z grzotem, wokół rozszedł się zapach palonego prochu. Ponad przestraszone i gniewne krzyki mężczyzn wzbil się... rozbawiony śmiech. Antoine turlał się po bluszczu i trząsał ze śmiechu, aż popłakał się z uciechy i łzy spływały mu po policzkach na krótką bródkę.

- *Bonsoir*, dzielni leśnicy - wrzasnął. - Czyście ze strachu posrali się w gacie?

Jean skoczył na równe nogi i solidnie zdzielił młodszego syna w ucho.

- Antoine, ty idioto! O mały włos zastrzelilibyśmy cię!

- Dziwię się, że tego nie zrobiliście. Wreszcie moglibyście się mnie pozbyć - zachichotał i wstał, otrzepując kapeluszem kurtkę z brunatnych liści. Wargę miał znów pękniętą od uderzenia. - Wy i reszta. Przecież ludzie cieszyliby się, gdyby trafiła mnie kula. Wiem, co gadają. Odkąd wróciłem z... z mojej podróży, boją się mnie. Czasem zdaje mi się, że tak samo czuje moja rodzina.

- Znalazłeś swojego kundla? - Jean nie odpowiedział na słowa Antoine'a.

- Nie. Pobiegł za jakąś zwierzyną.

Pierre trzymał się na uboczu i milczał. Ładował broń i próbował, mimo drżenia rąk, skończyć tę czynność możliwie jak najszybciej. Ojciec wymagał od nich, by potrafili w ciągu jednej minuty trzykrotnie strzelić, co mogło uratować im życie w obliczu szturmującego rannego odyńca albo żadnej krwi bestii.

Ile kul może wytrzymać taki stwór, nim wyzionie ducha? Nasypał z rożka prochu na panewkę i szybko zacisnął wieczko, gdyż zauważył coś dziwnego.

- Ojcze, czy ten bydlak miał oczy zamknięte, czy otwarte, gdy ściągaliśmy go z drzewa? - spytał ochryple, nie odrywając wzroku od wielkiego łba bestii. Czerń pośród krwiście czerwonej tęczówki zdawała się być skierowana wprost w niego. Źrenica była pełna wściekłości, pełna nienawiści - pełna życia!

Wtedy usłyszeli dudniące warczenie.

- Wilkołak jeszcze żyje! - Antoine przeczołgał się zwinnie po ziemi i chwycił swój muszkiet, który zgubił w trakcie skoku z zarośli. - Wypalę mu między oczy!

Swoim szamotaniem się narobił tyle szumu, że niemal zagłuszył szelest liści. Jednak jeden z Chastelów zachował baczność uwagę.

Pierre zauważył, jak ojciec nagle pobladł jak ściana odwraca się w prawo i dociska do ramienia kolbę muszkietu. Lufa pomknęła w górę i celowała w zarośla, jakby na chybił trafił.

- Co jest? - Pierre odwrócił się... i zeszywniał. Cień wśród drzew to nie był Surtout! Zobaczył drugą bestię, która na czworakach bezgłośnie podeszła go od tyłu. Gdyby nie czujność ojca, zaskoczyłaby go.

Broń Jeana z trzaskiem wypluła ołowianą kulę w kierunku budzącego grozę napastnika, który w tym samym momencie zasadził się do długiego skoku i z łatwością pokonał odległość sześciu kroków. Trafił w drzewo, odbił się, dopadł krzyczącego z przerażenia Pierre'a i parskając, powalił go na ziemię. Pazury rozszarpały mu kurtkę na wysokości piersi; z pięciu długich zadrapań trysnęła krew.

- Antoine! - krzyknął Jean, zmuszając się do opanowania, żeby oddać celny drugi strzał. Nie mógł sobie pozwolić na strach. Miał przed sobą bestię. Widział wyraźne podobieństwo do stworzenia, które znaleźli w wilczych wnykach. Jednak ten egzemplarz był mocniej zbudowany i dobrze odżywiony. Pomyślał o czterech otworach od kul i opuściła go odwaga. Palec wskazujący przesunął się do tyłu, by drugi raz pociągnąć za cyngiel.

- *Allez*, loup-garou! - Antoine ściągnął uwagę bestii na siebie. Siedział przy schwytanym wilkołaku, przyciskając mu muszkiet do lewego oka. - Chcesz swojego kompana z powrotem? To zostaw mojego brata albo będziesz zbierał mózg tej bestii po całym lesie!

Przejmujący zgrozą łeb powoli odwrócił się w jego stronę. Bestia zdawała się go

rozumieć! Wbiła czerwone jak ogień oczy w Antoine'a, rozchyliła wargi, ukazując mężczyznom przerażające kły drapieżnika. Jedną łapą objęła gardło Pierre'a, potem ku osłupieniu myśliwych dźwignęła się na długie tylne łapy, stając się tak wysoka jak człowiek! Trzymała ofiarę przed sobą w powietrzu, jakby ta nie ważyła więcej niż worek pierza.

- Puść go! - zażądał Antoine, wyciągnął pistolet i wycelował w łeb swojego zakładnika. Nie przestawał się przy tym uśmiechać. Dla niego zdawała się to być tylko zabawa. - Na pewno potraficie znieść mnóstwo ołowiu w swoich obrzydliwych cielskach, ale bez głowy i wy musicie umrzeć. Mam rację?

Drugi wilkołak z rykiem odrzucił od siebie Pierre'a, który przetoczył się kilkakrotnie i omdlały leżał u stóp ojca. Jego krew sączyła się na leśną ściółkę. Jean nie odważył się schylić i opatrzeć rannego. Zagrożenie wciąż nie minęło.

Za to Antoine, przeciwnie, był bardzo pewny siebie.

- Grzeczny loup-garou - zadrwił. - Wziąłbym cię na domowe zwierzątko. - Obliznął usta, oczy zwęziły mu się w wąskie szparki. - Ale nie spodobałoby się to mojemu ojcu.

- Nie! Nie rób tego - krzyknął Jean, przeczuwając nieszczęście. - Nie drażnij go.

- Przecież uważasz, że dobry wilkołak to martwy wilkołak. - Nie mrugnawszy nawet okiem, Antoine wystrzelił ładunki z obu luf w łeb leżącego stwora. Wielka czaszka rozprysła się w krwistej chmurze. Samo ciśnienie ładunków miotających wystarczyłoby, żeby rozbić łeb bestii w drzazgi, kule dokonały reszty. Wszystko, co pozostało, to resztki dolnej szczęki i tylny fragment czaszki. Mimo to zwłoki zataczały się jak żywe, przewracały, wstawały, tarzały we własnej krwi, pazury drapały ziemię, szukając wroga. Wkoło latały kurz i liście. Antoine ze śmiechem odskoczył od zdychającego stworzenia i uniósł pistolet.

Jean przeklinał nieobliczalność swego młodszego syna. Przeczuwał, jak zachowa się oszukany wilkołak. Pociągnął cyngiel, poczuł odrzut na ramieniu i zobaczył unoszącą się białą chmurę pyłu, która przez niekorzystny wiatr zasłoniła mu widok.

Przeraźliwy krzyk Antoine'a powiedział mu, że bestia już dokonuje zemsty. Nie zwlekając, podniósł naładowany muszkiet Pierre'a i pobiegł tam, gdzie po ziemi tarzali się człowiek i budzący grozę stwór.

Jego syn był bardzo silny, mimo to jednak nie zdołał odepchnąć napastnika; również głębokie ciosy sztyletu, którym bronił się Antoine, nie wywierały na bestii żadnego wrażenia. Jej szpony wbijały się głęboko w skórę przedramienia i przesuwały w stronę gardła młodzieńca.

Jean działał instynktownie. Obawa o syna, nieważne, mniej czy bardziej udanego, pokonała szok i wszelkie paraliżujące uczucia. Z całej siły młócił wilkołaka kolbą po

grzbiecie i zmusił go do odstąpienia od Antoine'a. Czerwone oczy zwróciły się ku niemu, szeroko otwarta paszcza była coraz bliżej jego twarzy.

Jean cofnął się biegiem i strzelił do bestii. Zaskomlała i znów, niczym budzący grozę cień, rzuciła się ku niemu. Kiedy przebiegała przez chmurę prochu, Jean wyraźnie dostrzegł na wysokości serca dwa otwory po kulach. Jednak rany już się zamykały!

- Znikaj! - krzyknął w rozpacz i wbił lufę w uzbrojoną w potężne zęby paszczę. Metal trafił na opór i coś przebił, stwór zagulgotał i rzeczywiście się odsunął.

Niezdecydowany wilkołak stał na tylnych łapach, prezentując się w całej swojej szkaradnej okazałości. Warczał i parskał równocześnie, krótkimi uszami strzygł pionowo ku górze, bił ogonem.

Wtedy w lesie rozległ się huk wystrzału.

Kula przebiła z boku pysk bestii, natychmiast trysnęła z niego czerwona fontanna, obryzgując wilka i Jeana. Wyjąc przeraźliwie, istota odbiła się od ziemi i skoczyła siedem kroków dalej pod osłonę drzew, w zapadającą ciemność.

- Idź do diabła, loup-garou!

Na Antoine ubranie wisiało w krwawych strzępach. Usiadł na pniu buka, opuścił drżące lewe ramię, dymiący pistolet opadł w dół.

- Idź do diabła - powtórzył cicho. Jego powieki zamrugały i zamknęły się. Stracił przytomność.

Niesamowita cisza, jaka panowała przed wtargnięciem bestii, powróciła. Leśne zwierzęta nadal były jak sparaliżowane. Krzyki, parskanie i strzały zdławiły ich głosy.

Jean nie wiedział, czy wilkołak wróci, by dokończyć dzieła. Drżącymi palcami naładował wszystkie muszkiety, poczekał kilka chwil, które wlokły się niczym godziny męki. Kiedy nic się nie poruszało, zatroskany zwrócił się ku ciężko rannemu synowi. Owiązał poszarpane ramiona Antoine'a grubą przędzą i owinał je chustą, naprędce wyciętą z jego kurtki. Potem zatroszczył się o Pierre'a. Obaj synowie nie budzili się z omdlenia. Może ich oczy wzbraniały się przed ponownym ujrzeniem bestii. Jean z czułością głaskał twarze swoich dzieci, nie wiedząc, co mógłby robić prócz czekania.

Wiele czasu spędził przycupnięty między nimi, z położoną obok bronią gotową do strzału. Nasłuchiwał upiornej ciszy.

Nie było słyhać żadnego dźwięku.

Dopiero potem, gdy dobiegł go brzęczy jak wybawienie krzyk sowy, powoli się odprężył. Rozpalił małe ognisko, które odepchnęło noc między drzewa. Potem odwrócił się ku miejscu, gdzie leżały zwłoki pierwszego wilkołaka.

Jean zeszywniał. W kałuży krwi leżał...

...tułów człowieka! Blask ogniska oświetlał ziejące, wilgotne krawędzie ran; Chastel widział, jak bieleją resztki czaszki. Po śmierci bestia opuściła ciało na oko około sześćdziesięcioletniego mężczyzny.

Leśnik wzdrygnął się. Nie potrafił się przemóc, by zbliżyć się do zwłok. Czy jednak mógł odważyć się na pozostawienie ich tutaj? Kto by mu uwierzył, że ten słaby, stary człowiek był za życia straszliwą bestią? Zebrał się na odwagę i zaciągnął zmarłego do strumienia, wrzucił do ciemnej wody i patrzył, jak zabiera go prąd. Wyrzuci go na brzeg gdzieś dalej, daleko od Vivarais, a jeszcze dalej od Gévaudan. Niech tam spocznie w pokoju.

Wrócił do nieprzytomnych synów. W płomieniach ogniska rozgrzał ostrze myśliwskiego noża, rozchylił krawędzie ran i wypalił obrażenia Pierre'a i Antoine'a rozżarzoną żelazem. Niech zarodek wilka, czy co tam ich dopadło, szczególnie od gorąca.

Nikt nie może poznać prawdy o wydarzeniach tej nocy. Rany jego synów pochodziły od wielkiego wilka, tak opowie DeBeaufortowi i wszystkim innym. Zwierzę pasujące do tej historii położy w drodze powrotnej do Gévaudan. Ważne jest tylko jedno. Jak najszybciej opuścić tę przeklętą okolicę, w której grasuje stworzenie przysłane najwyraźniej z piekła. Wulkany Vivarais muszą prowadzić wprost do królestwa diabła.

## Rozdział II

Obserwował nieznajomą, kryjąc się w cieniu monstrualnej, nowoczesnej instalacji. Stare beczki po oleju cuchnęły niemiłosiernie, jak na stare beczki przystało. Sztuka z nieprzyjemnym efektem towarzyszącym.

Stała przed mrocznym malowidłem, miała długie, jasne włosy, głowę trzymała lekko przechyloną. Na ramiona narzuciła ciemnobrązowy płaszcz. Wystawały spod niego rąbek czarnej spódnicy i buty motocyklowe.

Zwrócił na nią uwagę, gdyż w przeciwieństwie do ruchliwych gości galerii nie przemieszczała się. Dała sobie czas na smakowanie obrazu. Samotnie zatopiła się w kontemplacji.

Wokół nich tłum przepychał się w polowaniu na przekąski, trącał kieliszkami, gratulował rozpromienionemu kustoszowi udanego wernisażu i ładował na talerze stopy kanapek. Powszechny trans.

W zwolnionym tempie wyprostowała się, cofnęła o krok i przechyliła głowę w lewo. Zastygła w bezruchu. On także znieruchomiał. Każde z nich na swój sposób patrzyło na obiekt swego zainteresowania.

Wreszcie nie mógł już dłużej znieść oleistego smrodu; poza tym, kusilo go polowanie. Zbliżył się do niej, starając się robić nieco hałasu, nie chcąc spłoszyć jej raptownym zaskoczeniem. Spłoszone dzikie zwierzęta uciekają.

Od razu zauważył, jak dobrze pachnie. Jej szampon miał subtelną woń, nie używała perfum, do jego wrażliwego nosa docierał więc jej własny zapach - czysty i niezafałszowany.

Wreszcie stanął przy niej i udawał, że interesuje się dziełem sztuki, a nie nią.

Kobieta spojrzała na niego, ukazując szczupłą twarz, na której modnie niemodne okulary podkreślały jej chabrowe oczy. Ubrana była w ciemnoczerwoną, cieniutką jedwabną bluzkę. Pod spodem nic nie miała; jej piersi pod tkaniną rysowały się z wszystkimi kuszącymi detalami. Nie miała więcej niż dwadzieścia trzy lata. Dobry wiek.

Kobieta odwróciła się. Widocznie jej krótkie oględziny nie wypadły korzystnie dla niego.

- Dobrze, że nie pakuje pani w siebie żadnych przekąsek - powiedział, patrząc do przodu, jakby rozmawiał z obrazem. - Przynajmniej jedna, która ogląda wystawę.

- Muszę dbać o figurę - odpowiedziała, widocznie zdenerwowana. - Inaczej nie złapię klienta. I proszę mnie nie pytać, czy bywam tu częściej. Ja tylko się ogrzewam. Nie przeszła mi jeszcze całkiem gruźlica, a na zewnątrz jest paskudna pogoda. Trucizna na moje płuca. - Zakaszłała, wyjęła z kieszeni płaszcza chustkę, przycisnęła ją do ust i wyciągnęła w jego stronę. Wielka, czerwona plama.

- Prątkująca gruźlica? - uśmiechnął się. - Wie pani, już po pierwszym zdaniu myślałem, że jest pani prostytutką, ale na to jest pani trochę zbyt ostentacyjna. A plama była już wcześniej. Czerwone wino? Sok wiśniowy?

- Wyrażę się nieco jaśniej: nie jestem zainteresowana rozmową. Niechże pan idzie coś zjeść - poradziła mu chłodno i wetknęła chustkę z powrotem do kieszeni płaszcza.

- Nie ma mowy. Muszę dbać o figurę, inaczej nie poderwę już żadnej babki.

Blondynka roześmiała się. Odwróciła się w jego stronę i dokładniej mu się przyjrzała. Wiedział, co widzi: mężczyzna pod trzydziestkę, wysoki i wysportowany, z czarnymi włosami do ramion. Miał czarne, skórzane spodnie, czarny podkoszulek w drobne prążki i długi płaszcz z białej, lakierowanej skóry; nogi tkwiły w białych, wysokich, sznurowanych butach, których czubki obito metalowymi blaszkami. Mimo że golił się zaledwie cztery godziny wcześniej, na twarzy już znów pojawiły się pierwsze kępki zarostu. Jego broda i bokobrody odwracały jednak od nich uwagę i podkreślały silny, męski wyraz twarzy. Poprawił okulary, uśmiechnął się do niej i spytał:

- Krótko czy dalekowzroczność?

- Ja czy pan?

- Pani.

- Krótko. Jeden przecinek cztery i jeden dziewięć dioptrii, plus zakrzywienie rogówki.

Przebije mnie pan?

- Krótkowzroczność, dwa przecinek jeden i dwa przecinek trzy. Ale nie mam zakrzywienia rogówki - skrzywił się z żalem. - Za to mam lekki daltonizm.

- Biedactwo. Więc nic panu z mojej jaskrawożółtej bluzki, niebieskiego płaszcza i zielonej spódnicy.

- Jestem lekkim daltonistą, ale nie kompletnym idiotą.

Teraz roześmiała się dźwięcznie.

- Naprawdę odegnał pan mój kiepski nastrój. A ten obraz nastroił mnie tak cudownie depresyjnie. - Wyciągnęła wypielęgowaną, białą dłoń. - Mam na imię Seweryna.

- To pseudonim artystyczny? - Chwycił jej dłoń i uściśnął. - Eryk.

- Jestem artystką.



- A ja myślałem, że prostytutką.

Seweryna wesoło puściła do niego oko.

- Wszyscy jesteśmy kurwami, Eryku. Każdy, kto ma jakąś pracę i bierze za nią pieniądze, jest kurwą.

- A jaki pani ma zawód?

- Właściwie żaden. Studiuję sztukę współczesną i dorabiam sobie na uczelni. - Puściła jego dłoń i wskazała obraz zawierający wiele czerni, kilka białych i jedną czerwoną smugę, odcinające się od ciemnego tła chaotycznym wzorem. - Zdziwiająca, jakim głównym współcześni artyści paskudzą płótno.

- Naprawdę? - Eryk skinął głową i podszedł bliżej do obrazu. Przyłożył dłoń do powierzchni. - Dokładniej mówiąc, to nie jest płótno. - Postukał w nie, materiał poddał się i zakolysał. Pierwsi goście patrzyli na nich i szeptali; kustosz wystawy, któremu zwrócono uwagę na zakłócenie spokoju, zbladł. - Wygląda jak plastikowa płyta.

Seweryna patrzyła na niego zaciekawiona.

- Chce się pani sprawdzić w roli obrazoburczyni nowoczesnej sztuki?

Wbił w nią jasnobrunatne, niemal bursztynowe oczy z czarną otoczką. Sewerynie zdawało się, że ciemna krawędź źrenicy z trudem utrzymuje w ryzach dziką żółć. Gdy tylko znajdzie szczelinę, rozplynie się na białko oka.

- Niech mi pani powie, Seweryno, czemu nie podoba się pani ten obraz? Czemu uważa pani, że jest do dupy?

Podeszła bliżej.

- Nie wygląda prawdziwie. Nic w nim nie ma. Szympany lepiej malują.

Eryk zadrapał farbę. Na błyszczącą od czystości podłogę spadło kilka czarnych okruchów.

- A jeśli malarzowi nie chodziło o obraz, ale o akt tworzenia? To po prostu rezultat spotkania malarza i płyty, tak mi się zdaje. Taki już jest ten abstrakcyjny ekspresjonizm. - Poglaskał płytę. - Ale ma pani rację: ten obraz *jest* do dupy. - Niespodziewanie Eryk chwycił ramę i wyrwał ją z mocowania na ścianie, rzucił na podłogę i skoczył stopami na środek dzieła. Wyciągnął rękę. - Chodź, Seweryno. Stworzymy nową sztukę.

Ociągając się, ale z twarzą zarumienioną z podniecenia chwyciła jego dłoń i wraz z nim odbyła dziki taniec, śmiali się, maltretując plastik na oczach zbitych z tropu gości wernisażu. Seweryna ciemnoczerwoną szminką dorysowała kolejne linie, Eryk splunął na obraz. Potem zepchnął ją z płyty i pogruchotane resztki powiesił z powrotem na ścianę.

- Już.

Eryk wziął Sewerynę za rękę i odciągnął kilka kroków w tył, by z odpowiedniej odległości spojrzeć na efekt ich spontanicznej pasji niszczenia i zobaczyć, jakie teraz robi wrażenie.

- Znacznie lepiej - brzmiał jego wyrok. Popatrzył na nią. Seweryna odgarnęła z twarzy jasne włosy; oddychała szybko. Bluzkę znaczyły ślady potu na piersiach i brzuchu. Jej pierwotny, niezafałszowany zapach kobiety podniecił go.

- Znacznie lepiej - wydyszała, uśmiechając się. - Jak to nazwiemy?

- Pani jest specjalistą. Proszę stworzyć nowy styl w sztuce, - Eryk zauważył właściciela galerii, który odłożył na bok swoją przekąskę i zbliżał się do nich z dwoma ochroniarzami. - Proszę się pospieszyć!

Przyklękła przed obrazem, splunęła na szminkę i napisała na sponiewieranej płycie *Abstract expression by S&E*, potem poderwała się i pobiegła ramię w ramię do tylnego wyjścia. Kiedy zbliżyli się do zabezpieczonych drzwi, zawyła syrena. Wypadli na boczną uliczkę i poczuli lodowaty listopadowy deszcz. Nie przejęli się tym, biegli dalej, aż pociągnął ją pod osłonę wielkiego łuku bramy.

- Dobrze, zgubiliśmy ich. *Expression*? - spytał rozbawiony.

- To od *Action* i *Expressionism* - wyjaśniła swój pomysł i zachichotała niczym niesforne dziecko, które coś zbroiło. - Do licha, Eryku! Ile mógł kosztować ten obraz?

- Lepiej niech pani zapyta, ile on *teraz* kosztuje. - Spojrzał w górę i w dół opustoszałej ulicy, potem chwycił jej głowę i wycisnął na ustach dziki, namiętny pocałunek. Z płaszcza dobiegł go ciepły zapach.

Seweryna jęknęła, wsunęła w jego usta język, a potem objęła Eryka i przycisnęła mocno do siebie. Surrealistyczna chwila. Pozwoliła uwieść się całkiem nieznanemu, który teraz uniósł jej spódnicę i dotykał między nogami. Jej ciało ogarnęło podniecenie; chciała poczuć Eryka w sobie i pokazała to, otwierając mu rozporek.

Kochali się w bramie. Eryk uniósł ją, Seweryna kołysała się na jego udach jak na huśtawce, a każde pchnięcie jego miednicy wybuchało w niej fajerwerkiem. Sposób, w jaki się poruszał i jak jej dotykał, pokazywał, że jest doświadczonym kochankiem. Kiedy rozpiął jej bluzkę i lekko ugryzł brodawkę lewej piersi, pierwszy raz doszła i krzyknęła w jego ramię. Jej zmysły szybowały, słyszała nawet melodię.

Ścisłej mówiąc, była to melodia *A-Team*.

Eryk zaklął i wysunął się z niej.

- Hej! - poskarżyła się ochryple i oparła o mur.

Uśmiechał się przepraszająco, grzebiąc w kieszeni i wyjmując komórkę.

- Tak? - słuchając, zdjął prezerwatywę i zasunął zamek rozporoka. Podniecona Seweryna nawet nie zauważyła, kiedy naciągnął gumkę. - Dobrze, ale poczekaj na mnie. Tak, zaraz będę - zamknął klapkę i schował telefon. - Proszę wybaczyć. To ważne. - Eryk uśmiechnął się do niej, odsunął wilgotny kosmyk jasnych włosów, który opadł jej na twarz, potem pocałował i wrócił na ulicę. - Proszę na siebie uważać - krzyknął i zniknął za rogiem. Seweryna roześmiała się, nie dowierzając, gdy zapinała bluzkę. Coś takiego jeszcze nigdy jej się nie przydarzyło!

I obawiała się, że już nigdy więcej się nie przydarzy.

Eryk, przeklinając, biegł przez mokre od deszczu ulice i szukał swojego samochodu. Zatracił się w polowaniu i zapomniał o obowiązkach, zdarzało się to niestety zbyt często. Ale kobiety pociągały go po prostu magicznie; lubił je tropić, kochać i zaraz potem porzucać. Lubił chwile intymności bez czułościowego bla-bla potem, bez tego całego: „Zobaczmy się jeszcze?” albo „Dasz mi swój numer?” Dlatego zwracał się do każdej przez pani, obojętnie, co przedtem razem robili.

- *Shit!* Gdzie jest... - naciskał stale przycisk elektronicznego kluczyka, wreszcie zobaczył dziesięć metrów przed sobą migotanie reflektorów. Porsche cayenne stało brudne jak zwykle, Eryk nigdy nie mył samochodu. To, czego nie spłukał deszcz, zostawało tam, gdzie było; nie przeszkadzały mu też wgniecenia ani rysy na lakierze. Konserwował regularnie tylko turbodoładowany silnik i hamulce.

Wskoczył na siedzenie kierowcy i odpalił. Ostro wjechał na jezdnię i ruszył z piskiem opon. Jeśli ktoś twierdzi, że samochody terenowe nie przydają się w wielkim mieście, nie zna Eryka. Jego zadanie wymagało szybkości, a najkrótsza linia między A i B to - nawet w wielkich miastach - linia prosta. Parki miejskie świetnie nadają się na skróty. Eryk odpowiednio zmodyfikował swój GPS. Monachium, Londyn, Nowy Jork, Moskwa: jego cayenne i on zawsze zdążali do celu najkrótszą drogą. Mordercze jazdy po metropoliach świetnie nadawałyby się do reklam producentów terenówek.

Przez telefon podano mu adres i nazwisko: Upuaut. Opętany manią wielkości przemieniec, który zamierzał stworzyć swoje własne Lykopolis. Kilka tygodni wcześniej Eryk o mało nie dopadł go w egipskim Sohag. Upuaut wymknął mu się, nie ukazując swego ludzkiego oblicza. Teraz tu, w Monachium, nadarzała się druga sposobność.

Turbosprężarka zagwizdała, sto czterdzieści koni zmieniło auto w raketę. Samochód pomknął przez monachijskie śródmieście, poślizgiem skręcił pod kątem prostym na skrzyżowaniu i ze sto sześćdziesiątką na liczniku pomknął ku wejściu do *Englischer Garten*.

Komórka znów zadzwoniła. W tym momencie zdjęcie rąk z kierownicy równało się

śmierci. Eryk zignorował więc *A-Team*. Po dziesięciu sekundach skończył się polifoniczny koncert. Cayenne znajdowało się już przy Chińskiej Wieży i mknęło parkową aleją. Ksenonowe reflektory wydobyły z ciemności przestraszonego spacerowicza, który w ostatniej chwili zdążył pociągnąć za smycz i odciągnąć robiącego akurat kupę psa.

- Uważaj! - krzyknął przez szybę Eryk. - I łaskawie uprzątnij to gówno! - Z wściekłością docisnął pedał gazu do podłogi. Silnik zawył, a profilowane opony wryły się głęboko w trawę.

W końcu dotarł na drugą stronę parku, wystrzelił na asfaltową ulicę, przejechał jeszcze kilka metrów i zatrzymał się w pewnej odległości od domu. Eryk naciągnął rękawiczki z białej lakierowanej skóry, przestawił komórkę na alarm wibracyjny, odchylił do przodu siedzenie pasażera i wyjął małą czarną walizeczkę. Otworzył ją i dobył Sig Sauera P9 z kaburą, sprawdził magazynek z nabojami Glaser i zamocował wszystko do paska spodni. Półautomatyczny Glock w cholewie buta mógłby nie wystarczyć. Lepiej nie zdawać się na łut szczęścia. Eryk postanowił również wziąć ze schowka za obiciem drzwi pistolet Bernardelli B4, kompaktową, półautomatyczną wiatrówkę. Wsunął ją pod płaszcz i przycisnął lewym ramieniem do tułowia, gdy wysiadał i szedł do drzwi. W prawej dłoni trzymał na pół rozłożony plan Monachium.

Dwaj mężczyźni w czarnych garniturach stojący przed domem przyglądali mu się uważnie. Obaj mieli tak zwane „guziki w uchu” i wydawało im się, że są bardzo ważni. Niektórym ochroniarzom naiwność wyczera z gęby.

- Dobry wieczór, panowie. Zabłądziłem - powiedział Eryk. - Ten durny nawigator świruje. Pewnie znów Amerykanie mają jakąś wojnę i zakłócają GPS-a. - Zbliżył się do nich i uśmiechnął. - Znacie panowie Monachium?

Grubszy z dwójki ochroniarzy był spokojny, jego partner jednak zacisnął usta i spojrzał twardo. Tego musi wyłączyć pierwszego.

- Dokąd pan chce dojechać? - Grubas wyciągnął rękę po mapę.

- Lerchenfeldstrasse dwadzieścia jeden, zdaje się. Chwileczkę. Gdzieś tu mam zapisane...

- Pochylił się do przodu, zostawiając mężczyznę samego z mapą i wsunął rękę pod klapę płaszcza, jakby szukał karteczki z adresem. - Nie mogę znaleźć. - Potem wyjął wiatrówkę i podał ją grubemu, któremu z osłupienia oczy zrobiły się wielkie jak spodki. - Mógłby pan potrzymać, proszę? Łatwiej mi będzie szukać.

Nim któryś z nich zdążył zareagować, łokieć Eryka bez zapowiedzi zamachnął się w tył. Trafiał wyższego ochroniarza precyzyjnie w nos. Uderzony upadł na drzwi i nieprzytomny zsunął się na podłogę, podczas gdy prawe ramię Eryka błyskawicznie strzeliło w przód i

trafiło w skronie grubasa. Siła uderzenia przekreśliła mu głowę i mężczyzna upadł.

Eryk z uśmiechem spojrzął na numer domu przy wejściu.

- Ach, nie potraficie mi pomóc? Lepiej zapytam w środku. - Wyszczrzył zęby i przeszukał kieszenie marynarek nieprzytomnych; w jednej znalazł kartę elektroniczną. - Dziękuję.

Szybko wszedł i zakradł się w ciemności schodów na pierwsze piętro. Bernardelli tkwił w jego dłoniach gotowy do strzału.

Gdzieś z jednego z pokoi dobiegało głośnie bębnienie i rytmiczne klaskanie, mieszające się ze śmiechami mężczyzn i cichym brzdąkaniem. Eryk wciągnął powietrze. Pachniało orientalnym jedzeniem i... wilkiem. Będzie musiał natychmiast zakończyć tę imprezę i nawet nie było mu przykro z tego powodu.

Jego dobry słuch poprowadził go przez mroczny korytarz do drzwi, za którymi odgłosy były najcichsze. Przypadkiem spojrzął na własny cień i wzdrygnął się. Widok przywodził na myśl malowidło Roberta Motherwella *Potwór*: rozproszone, budzące trwogę dzieło pełne mrocznej grozy, przed którą pragnie się uciec. Nie można jednak uciec przed własnym cieniem.

Dłoń Eryka dotknęła klamki, ostrożnie nacisnęła ją i otworzyła drzwi. Znalazł się w tylnej, ciemniejszej części pokoju, tuż obok spustoszonego bufetu. Błyskawicznie schylił się i zniknął pod stołem. Poczołgał się pod nim kilka metrów do przodu i ostrożnie odchylił biały obrus, by się rozejrzeć.

Grupa mężczyzn leżała na białych poduszkach wokół niskiego okrągłego stołu, zastawionego małymi, parującymi filiżankami herbaty i licznymi wodnymi fajkami; nad nimi rozpięty był baldachim z ciemnego jedwabiu z kolorowym haftem. Mężczyźni w różnym wieku, ubrani co do jednego w garnitury, wyglądali na ludzi Wschodu, a złote ozdoby i ciężkie zegarki świadczyły o ich zamożności. Przed nimi tańczyła ciemnowłosa, ciemnobrązowa piękność w skąpo skrojonym kostiumie i welonach; brzęczenie pochodziło od paska monet, którym opasała biodra. Pewna była zachwyty w oczach mężczyzn.

Komórka Eryka zadrżała w kieszeni spodni. Opuścił obrus do poprzedniej pozycji i wyjął telefon.

- Tak? - szepnął.

- Nie przychodź tu, Eryku! - Zdyszany głos ojca. - Ty... - Połączenie zerwało się.

Puls Eryka przyspieszył. Znów odsunął obrus i uważnie przyjrzał się mężczyznom. Odór wilka był przytłaczający; mocne aromaty w pokoju nie pozwalały Erykowi przypisać go do konkretnej osoby. Ale musiała być jakaś wskazówka, coś, po czym rozpozna Upuaut. Czy to

ten starszy człowiek z gęstą brodą? A może ten z północnej Afryki z blizną pod okiem? Każdy z tuzina obecnych mógł być Upuaut. Nie wiedział nic o jego ludzkim życiu, poza tym, że jest zamożny i że jest kryminalistą. Podobnie jak około siedemdziesiąt procent likantropów, którzy trafili przed jego lufę. Ich zmieniona przez zwierzę mentalność nie pozwalała im na współczucie, nie znali skrupułów, byli pozbawieni ludzkiego wycucia dobra i zła. O poczuciu wyższości Upuaut świadczyło choćby jego imię: pomysł przybrania imienia staroegipskiego boga umarłych i wojny, a do tego pragnienie ustanowienia własnego królestwa definitywnie dowodziły megalomanii.

Eryk wiedział, że musi zdążyć, nim go zwietrzą. Czas na radykalne kroki. Wyjął z Bernardelli'ego magazynek, wymienił pierwszy pocisk na ładunek srebrnego śrutu i przeładował. Ostrożnie wysunął lufę, starając się w miarę możliwości nie trafić tancerki, i pociągnął za cyngiel.

Posypały się srebrne kuleczki. Ranni podrywali się, krzyczeli jeden przez drugiego, czterech z nich wyjęło pistolety i machało nimi wokół, nie widząc napastnika. U trzech z nich trafienie tą specjalną amunicją wywołało oczekiwany efekt: przemieniali się wśród wściekłości i bólu.

Niemal tak szybko, jak potrzebuje cayenne, by przyspieszyć od zera do setki, w ich ciałach dokonywała się transformacja. Chudły, pokrywały się gęstym, żółtobrazowym futrem, nie tracąc ludzkiej postaci. Wyli i warczeli. Przemiana przydawała im cierpienia, którego i tak już doznali od srebra. Głowy ze spiczastymi pyskami upodobniły ich do lisów, ale Eryk wiedział, że ma przed sobą szakale. Typowe dla starej egipskiej gałęzi rodu likantropów.

W nowej postaci natychmiast wyczuli, gdzie ukrył się strzelec. Rozdzielili się i przygarbieni podbiegli z różnych stron do bufetu, pod którym wciąż tkwił Eryk. Najwyższy czas opuścić kryjówkę, która w walce twarzą w twarz będzie większą przeszkodą niż ochroną.

Eryk wyskoczył i konwencjonalnymi ładunkami zwałił z nóg zbyt wolno reagujących uzbrojonych przeciwników, po czym uniósł Bernardelliego i pierwszemu szakalowi władował między oczy kulkę ze srebra. Czaszka roztrzaskała się, a szlachetny metal na skutek niszczycielskiego impetu amunicji ledwie zdołał wyrzeć swój wpływ. Cicho zasyczał, gdy zetknął się z krwią. Zapachniało spalenizną. Tułów przeleciał nad Erykiem i trzasnął na stół, prześliznął się po nim i spadł po drugiej stronie na ziemię. Z głośnym brzękiem poleciała za nim większość pozostałych tac, naczynia i dekoracja. Eryk tego wszystkiego jednak nie zauważył, gdyż musiał już zająć się drugim szakalem. Ten podbiegał, szczekając ochryple, zasadził się do skoku i lekkomyślnie odsłonił swój wrażliwy na zranienie brzuch.

Bernardelli zaciął się, jakby wzbraniał się przed wykonaniem swojej roboty. Eryk

przytomnie sięgnął obok siebie, padając przy tym na kolana, chwycił uchwyt jednej z tac i cisnął ją poziomo w napastnika. Była w tym jakaś ironia, że przemienicowi sterczała teraz spomiędzy żeber ta sama srebrna taca, na której wcześniej podano mu przekąski.

Szakal przeleciał nad Erykiem z bolesnym ujadaniem. Srebro rozkładało jego ciało, kości, krew i przyprawiało go o niezmierne cierpienie. Z łomotem uderzył o ścianę. Eryk określił się, wydobywając P9 i zastrzelił go, gdy przemieniec jeszcze osuwał się na podłogę po boazerii.

Trzeci przemieniec zmarł. Szakale nie są szczególnie odważnymi zwierzętami; większość obecnych uspokoiła się. Likantrop nie spodziewał się pomocy od mężczyzn za swoimi plecami. Spiczaste uszy przyległy do łba, gdy się cofał.

- Gdzie jest mój ojciec? - Eryk celował pistoletem w pierś stworzenia. - Używam pocisków Glaser. Jeden ładunek składa się z drobnutkich kuleczek, zamkniętych w metalowej kapsule z plastikowym wieczkiem. Wierz mi, nie chcesz zawierać z nimi bliższej znajomości!

- Nie mam pojęcia - wychrypiął szakal piskliwym, matowym głosem, właściwym dla swego gatunku; w przypadku człowieka nigdy nie wiedziało się, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety. - Ja...

- Przy wybuchu wieczko odrywa się, kuleczki wbijają się w ciało i przekazują mu energię swojej prędkości pięciuset metrów na sekundę ośmiokrotnie szybciej niż jednorodny nabój.

- Nie wiem!

- Mówią, że przeżywa osiemdziesiąt siedem procent ludzi trafionych zwykłymi kulami. Ale z tych, którzy oberwali amunicją Glaser, ponad dziewięćdziesiąt procent umiera z szoku. Nieważne, w co oberwali. - Celował teraz w stopę przeciwnika. - Zobaczmy...

Zadudniło. W drogim skórzanym trzewiku powstała dziura, podeszwa wygięła się do góry, na prawo i lewo trysnęły krew i tkanki. Szakal zawył, niezgrabnie cofnął się dwa kroki i upadł na dywan, dysząc, ziejąc i wijąc się. Jego zdolność do regeneracji była może zdolna zagoić każdą ranę, jednak nie pokonała działania Glasera. Przemieniec umarł na oczach piątki pozostałych przerażonych mężczyzn. Po śmierci odzyskał postać ludzką.

- Gdy kuleczki są ze srebra, amunicja działa jeszcze mocniej. Zapomniałem o tym napomknąć. - Eryk wstał. - Który z was, gnojki, to Upuaut? I gdzie mój ojciec? - odciągnął kurek P9. - Mam jeszcze sześć kul i niewiele cierpliwości. Więc?

Zawibrowała komórka. Wolną ręką Eryk wydobył ją z kieszeni i przyłożył do ucha.

- Tak?

- Ostrzegano pana - wyszeptał kobiecy głos. - Dlaczego mimo to przyszedł pan tu, panie von Kastell?

- Gdzie on jest?
- Co pan da za jego życie?
- Twoje życie.

Głos zaśmiał się.

- Zagrajmy. Przybrałam imię boga, bo naprawdę panuję nad życiem i śmiercią. Zadzwoń do pana jeszcze raz, a jeśli pan nie odbierze, pański ojciec umrze. Jeśli pan odbierze, natychmiast go uwolnię. Proszę wyłączyć pocztę głosową. - Rozmowa skończyła się stuknięciem.

- Co to za gówno? - zaklął Eryk, na nowo włączył dzwonienie i wypalił w pierś mężczyźnie, który stał najbliżej niego. Ten stęknął, upadł plecami na poduszki i zmarł z szeroko otwartymi oczami. - Pięć strzałów, żadnej litości. - Lufa przesunęła się na następnego.

Usłyszał ciche brzęknięcie i kątem oka dostrzegł mknący ku niemu cień. Uniknął przewidzianego ataku na swoją głowę, odchylając się całym ciałem w bok. Nie zdołał jednak uniknąć uderzenia w prawe ramię. Dłoń otwarła się, telefon wypadł na podłogę i poleciał w bok.

Przed nim stała tancerka brzucha. Dłonie trzymały przed wytrenowanym ciałem dwie pałki, brązowe oczy patrzyły na niego lekceważąco. Jej postawa wyrażała dumę i lodowatą wyniosłość. Wyglądała jak faraon, co zszedł z tronu, by własnoręcznie zabić zarozumiałego intruza, który wtargnął do pałacu. Na dodatek w swoim skąpym stroju wydała się Erykowi cholernie atrakcyjna.

- Przeszkadza mi pan w tańcu. - śmignęła do przodu jak błyskawica, szybko, elegancko i bezlitośnie; nie miał najmniejszej szansy zareagować w jakikolwiek sposób na ten atak. Wytrąciła mu z palców Sig Sauera, równocześnie kopiąc go w pierś i popychając na stolik. Gruchnął, razem z działającymi i zepsutymi fajkami wodnymi i filizankami, na górę poduszek; mocna tabaka parzyła go w twarz i opaliła mu brodę.

Eryk przetoczył się, na ile to było możliwe, po miękkim podłożu, chwycił mały stolik i trzymając go jak prowizoryczną tarczę, czekał na napastniczkę.

Zaatakowała z gracją tancerki i impetem burzy piaskowej. Twarde ciosy dudniły o blachę, z każdym uderzeniem wyginającą się coraz bardziej. W przeciwniczce Eryka było coś egipskiego, arogancki wyraz twarzy, niespodziewana odwaga, pałki przypominające insygnia staroegipskiego boga. Wszystko to przywiodło go do niesłychanego wniosku. Czyżby to *ona* była Upuaut?

W chwili, gdy tancerka brała zamach do oburęcznego ciosu, Eryk kopnął ją spod swojej



tarczy w przednią stopę i zmiotł z nóg. Uniósł stoliczek i cisnął go w jej stronę. Błyskawicznie przetoczyła się w bok, chciała poderwać i spojrzała wprost w wylot lufy.

- Proszę się nie ruszać, piękna. - Eryk stał nad nią. Skorzystał z chwili nieuwagi, by wyszarpnąć zza cholewy zapasową broń. Tancerka leżała spokojnie, z jedną ręką za plecami, w drugiej trzymała pałkę, śmierć już łąsiła się do niej, mimo to nie okazywała najmniejszych oznak strachu.

Gdzieś z tyłu zawył *A-Team*.

Kobieta skrzywiła się niebezpiecznie i pokazała mu zęby drapieżnika; mocne zęby podobne do ściany ostrych noży.

Obawa o ojca napawała go strachem, który musiał pokonać, by nie stracić kontroli nad sytuacją.

- Hej, wążaczu - Eryk krzyknął na jednego ze zdegradowanych do roli statystów mężczyzn, którzy stali wokół jak sparaliżowani i mogli tylko czekać na wynik walki. - Podejdź.

Człowiek nie odważył się poruszyć.

- Idź do tej przeklętej komórki albo przysięgam...

W tym momencie dwie rzeczy zdarzyły się równocześnie: jeden z mężczyzn schylił się po P9 leżące u stóp Eryka i tancerka wykorzystwała jego nieuwagę. Pałka błyskawicznie strzeliła w przód, nie pozostawiając mu ani chwili czasu. Trzasnęła go w twarz jak bolesny pocałunek. Oszołomiony Eryk zatoczył się i wpadł na podporę baldachimu, zwalając konstrukcję. Świat wokół niego zniknął w morzu czarnego jedwabiu. Widział przed sobą zielone listki haftowanej palmy, czuł tkwiące w tkaninie zapachy jedzenia i kadzidła; obok siebie słyszał dyszenie jednego z mężczyzn. Zatem nie został pogrzebany pod tkaniną sam.

*A-Team* wciąż go wołał, zagłuszony natychmiast dudnieniem jego własnego Sig Sauera, którym strzelił do niego jeden z Egipcjan. Pociski Glaser świstały obok niego, przecinając baldachim, jednak nie dosięgając jego, Eryka. Nie widząc nic pod zwałami tkaniny, Eryk po omacku poczołgał się w kierunku, gdzie spodziewał się znaleźć stos poduszek; miały posłużyć mu za osłonę, nim wydostanie się spod jedwabnej sieci.

Strzelanina ustała, magazynek był pusty.

Upuaut doznawał morderczej przyjemności z dręczenia go, gdyż komórka brzęczała nieustannie, wabiła go, przyzywała do siebie i mimo pogodnej melodyjki groziła mu śmiercią ojca.

Strach Eryka zmienił się w panikę. Szarpiąc się z całych sił, wydostał się spod tkaniny - akurat w porę, by celnym ciosem w pierś powalić na ziemię mężczyznę, wciąż trzymającego

w dłoniach wystrzelanego do pusta P9. Po pozostałych mężczyznach i tancerce nie było ani śladu.

- Cholera, przekłeta! - Eryk przygarbiony pobiegł na drugą stronę stosu poduszek, gdzie spodziewał się znaleźć komórkę, po drodze podniósł P9 i załadował nowy magazynek.

Nagle tancerka zaatakowała, zjawiając się jakby znikąd. Przeistoczyła się, stała się na pół kobietą, na pół zwierzęciem, poruszała się na dwóch nogach, wyglądając jak przerośnięta chimera z błyszczącym futrem. Jej biodra opasywał już tylko pasek z cienkich metalowych płytek, reszta ubrania opadła. Krótkie pałki świsnęły w powietrzu.

Eryk użył do obrony swego białego płaszcza z lakierowanej skóry, zakręcił nim w powietrzu i przechwytyjąc ciosy, odebrał im część morderczego impetu. Równocześnie kopnął ją w podbrzusze. Szczeknęła zaskoczona; okucia z hartowanego srebra sprawiły jej ból i wytrąciły z rytmu ataku. Wykorzystał to, by przeładować broń.

- Leć do piramid, świni! - Eryk przyłożył jej do futra P9 dokładnie na wysokości piersi i szybko raz za razem pociągnął cyngiel. Wynalazca amunicji Glaser ucieszyłby się, widząc, co kuleczki zrobiły z ciałem tancerki. Nie zostało nic, co znajdowało się w bezpośrednim pobliżu wlotu kuli. Żebra i serce zostały rozerwane, szakał wyprostował się z wyciem i za moment padł martwy na parkiet. Po chwili przemienił się już z powrotem. Przed nim leżała znów naga, piękna kobieta, około dwudziestopięcioletnia, z opaską z monet wokół bioder i z ziejącą dziurą w piersi. Nic nie wskazywało na to, że chwilę wcześniej miała kły i szpony. Żaden normalny człowiek nie uwierzyłby, gdyby Eryk opowiedział o walce z przemieńcem.

Komórka wciąż dzwoniła. Eryk rzucił się w jej kierunku.

Pod resztkami baldachimu coś się poruszyło. Spiczasty pysk o jasnym futrze rozerwał tkaninę i powiększając powstałą szczelinę, wydostał się z niej kolejny szakał. Jednym susem minął Eryka, chwycił komórkę i uciekł.

- Skurwysyn! - Eryk przyklęknął, żeby dokładniej wycelować Glockiem. Strzelił trzykrotnie raz za razem. Zwierzę, trafione w tułów i w prawą tylną łapę, zaskomlało piskliwie. Niestety broń nie była załadowana amunicją Glaser. - Oddaj komórkę! - Eryk rzucił się w pogoń za rannym stworzeniem, podczas gdy śmierć jego ojca nabierała coraz wyraźniejszego, złowróbnego kształtu.

Szakał pokuśtykał za drzwiami, jego prześladowca skoczył za nim.

Na korytarzu zobaczył naprzeciw siebie mężczyznę; stał dziesięć metrów od niego w otwartych drzwiach i gestykulował. Nie zwlekając, Eryk strzelił w biegu wystarczająco celnie, by wróg, konając, padł na podłogę. Drzwi gwałtownie zamknięto i rozległ się trzask zamka.

*A-Team* szczebiotał nieustannie i nieustrudzenie.

Eryk zatrzymał się i wystrzelił pozostałe sześć ładunków w ślad za przemieńcem. Nie zważał na komórkę, którą mógłby przy tym uszkodzić.

Szakał upadł, leżał skurczony i walczył ze śmiercią. Srebro, niszczące jego ciało, paliło go od środka.

Eryk zatknął Glocka za pas, wyrwał podrapaną komórkę z pyska i pośpiesznie nacisnął zielony przycisk. Ramię piekielnie bolało go od celnego ciosu pałką.

- Odebrałem, Upuaut - wydyszał, wymieniając jedną ręką magazynek Sig Sauera i ruszył w kierunku drzwi, za którymi jeszcze ktoś był. - Zostaw mojego ojca w spokoju, a pozwolę ci uciec.

- Pan jeszcze żyje? - W głosie słyhać było zdziwienie. - Myślałam, że moja córka pana załatwiła.

- Tancerka?

- Tak - kobieta milczała, jakby bała się odpowiedzi na pytanie, które teraz koniecznie musiała zadać. - Co...?

- A co myślisz?

Erykowi zdawało się, że słyszy, jak ktoś gwałtownie nabiera powietrza; na straszliwie długą chwilę zapanowało przepastne milczenie.

- Upuaut? Oddaj mi mojego ojca...

- Zmieniłam zdanie - szepnęła głos. Eryk usłyszał szereg tępych uderzeń. - Obaj...

Rzucił telefon, odbezpieczył pistolet i z impetem natarł na drzwi. Zamek odskoczył z trzaskiem, Eryk zatoczył się do znajdującego się za drzwiami gabinetu, strzelając do wszystkiego, co żyło i nie miało twarzy jego ojca.

Pod gradem kul padli ostatni goście; ich wnętrzości rozbryzgane na ścianie zapaskudziły orientalne wzory, posągi na komodzie i książki.

Jedyna kobieta w pokoju wypuściła z dłoni komórkę i wykazała dość sprytu, by użyć przywiązanego do krzesła ojca Eryka jako tarczy. Z jego zmaltretowanej głowy tryskał strumień krwi, ściekał pod i na ubranie, kapał ze związanych dłoni na ciemny parkiet.

- Odlóż broń - krzyknęła - albo go zabiję.

Znalazł Upuaut. Wyglądała jak postarzony portret tancerki, która, zastrzelona, leżała w pokoju obok. Ubrana była w ciemnożółte spodnie i bluzę z egipskim ornamentem.

- Odkąd to bóg jest tchórzem? - drażnił ją Eryk i kucnął. Celował pod krzesłem w wyraźnie widoczne kolano, mijając nogi ojca.

- Tylko wtedy, kiedy przeciwnik ma przewagę - odparła. - Zbytuo uwierzył pan w swoje

bezpieczeństwo, panie von Kastell. Ale wojna, którą wypowiedział pan mojemu ludowi, teraz dopadła pana!

Palec wskazujący Eryka przesunął się powoli w tył, szukając spustu P9.

- Twój lud już od dawna prowadzi wojnę. Tylko nie ma nikogo, kto mógłby ją zakończyć.

- I pan czuje się do tego wybrany?

- Możesz to nazwać rodzinną tradycją - odetchnął głęboko i skoncentrował się na ryzykownym strzale.

- Pan i pański jakże sprytny ojciec rzucili mi wyzwanie. Mi, Upuaut, jednej z największych wśród władców! To za wiele nawet dla Kastellów. Uważacie się za niesamowicie mądrych i dobrze poinformowanych - warknęła. - A nawet pan nie wiedział, że jestem kobietą!

- Nie wiedziałem też, że masz córkę. A może powinienem raczej powiedzieć: miałaś? Szkoda. W innych okolicznościach chętnie zaprosiłbym ją na kolację. - Eryk pociągnął za cyngiel. Pocisk Glaser pomknął do celu...

...jednak stało się inaczej, niż się spodziewał. Upuaut wyskoczyła w powietrze, przewracając przy tym krzesło. Kula wbiła się w ramię ojca Eryka i rozpoczęła swe dzieło zniszczenia.

Kobieta skoczyła ku niemu, wyciągając ręce czerwone od krwi jego ojca ku szyi Eryka. Strzelił ku niej, ale chybił, a impet jej ataku pchnął go w tył. Potłukli dwie szklane gabloty, wokół nich spadł deszcz drzazg i staroegipskich ozdób. Upuaut kuciała nad nim, jedną dłonią trzymając go za gardło, drugą pośpiesznie szukała w panującym wokół nieładzie swego ozdobnego sztyletu, aż wbiła go w ramię Eryka.

Z krzykiem wycelował P9 prosto w twarz kobiety. W tym samym momencie zauważył, że zamek pistoletu zatrzymał się nieporuszony w tylnym położeniu i czekał na nową amunicję: magazynek był pusty!

Warcząc, Upuaut dźgnęła po raz drugi i trafiła Eryka w pobliżu serca.

- Zabrałeś mi córkę - krzyknęła, próbując chwycić go za krtań.

Eryk odrzucił bezwartościowe P9. Panicznie macał wokół siebie, chwycił długi kawałek szkła i wbił go Upuaut w otwarte usta. Kobieta zawyła i z rozciętymi policzkami odskoczyła w tył. Ten moment wystarczył Erykowi, by unieść ramię z Glockiem i skierować lufę na jej głowę. Wypalił. Srebrna kula przyniosła śmierć Upuaut. Osobliwie sztywna upadła na lewo i leżała na podłodze. Żadnego podnoszenia się, żadnych drgawek.

Martwa.

Eryk nie dbał o własne rany. Wyprostował się, a okruchy szkła zabrzączały o podłogę. Na

kolanach poszedł do ojca, choć nie miał już nawet cienia nadziei, że ten jeszcze żyje. Pociski Glaser wykonały swoją robotę dokładnie i bez uchybień.

Cuda się nie zdarzają - ani wyjątki. Po pięćdziesięciu dwóch latach Johann von Kastell zmarł bez nagrody ani uznania za swoje czyny i bez słowa pożegnania od syna.

Po szorstkiej od zarostu twarzy Eryka spłynęła łza. Nieśmiało dotknął usmarowanej krwią twarzy zmarłego. Czasem rozmawiali o tym, że pewnego dnia może przyjść kolej na któregoś z nich, ale nie w taki sposób. Nie tak! Ten stwór doprowadził do tego, że Eryk zastrzelił własnego ojca.

- Gówno, tato. Cholerne gówno - wyszeptał zszokowany. Jego ojciec był martwy. Jego mentor, wieloletni nauczyciel sztuk walki padł ofiarą własnego ucznia.

Eryk otarł nos rękawem. Wilgotne, jasnobrązowe oczy powędrowały ku Upuaut. Wyglądała jak normalna zmarła, podobnie jak pozostałe zwłoki. Dla dziewięćdziesięciu dziewięciu procent świata przemienie nie istnieją. Dla policji też nie. I to właśnie z tego powodu wziął się w garść. Musiał teraz wprowadzić w życie plan B. Musiał to zrobić, choć z trudem przychodziło mu zostawić tu ojca. Dokładnie omówili, co trzeba zrobić, gdy jeden z nich zginie na polowaniu. Właśnie tak musi postąpić. Żałobę może odbyć potem, w zaciszu swego domu.

Eryk podniósł się na nogi, jeszcze raz pogłaskał ojca po policzku i odszedł.

W pierwszej toalecie, jaką znalazł, umył rękawiczki. Lakier to znakomity materiał. Potem zszedł po schodach, wciągnął obu strażników do domu i załatwił ich niedbale wycelowanymi strzałami. Jednemu włożył w dłoń swojego Bernardelli, drugiemu Glocka, odpalił dwa razy, żeby policijni specjaliści znaleźli ślady osmaleń, i opuścił dom. Pewnie policja będzie się zastanawiać nad pochodzeniem kul, ale to nie jego problem.

Eryk ruszył, głęboko i równomiernie zrobił wdech i wydech. Potem zadzwonił na policję i bardzo przekonująco, odgrywając zatroskanego syna, zgłosił im, że Johann von Kastell jest w rękach porwaczy i że przekazanie okupu nie powiodło się.

Policjant natychmiast przełączył go dalej. Tak jakby na niego czekano.

- Moje nazwisko Breitwangler, Krajowy Wydział Kryminalny Bawarii. Przykro mi, panie von Kastell... mamy dla pana jeszcze jedną złą wiadomość - powiedział inspektor. Jego głos zdradzał, że nie jest mu łatwo prowadzić tę rozmowę.

- *Jeszcze gorszą?* - spytał gorzko Eryk. Usłyszał szepty w tle.

- Proszę przyjechać. Chcielibyśmy przekazać ją panu osobiście i porozmawiać.

- Niech pan mówi, panie Breitwangler.

Chwila ciszy.

- Panie von Kastell, co pan w tej chwili robi? Siedzi pan za kierownicą pojazdu? Jeśli tak, to...

- Poradzę sobie. Niech pan słucha, mojego ojca uprowadzono i boję się o jego życie. Co może być gorsze? Proszę mówić, o co chodzi!

- Panie von Kastell, mamy tutaj bardzo dobrego psychologa, który...

- Co, do cholery? - krzyknął. Jego palce zacisnęły się na kierownicy cayenne.

- Dom pańskiej rodziny... Sąsiedzi twierdzą, że doszło tam do kilku wybuchów. Nasi eksperci prowadzą śledztwo, ale już teraz wszystko wskazuje na to, że to nie był wypadek.

- Bomby?

- Trudno jeszcze powiedzieć - mężczyzna odchrząknął zmartwiony. - Proszę powiedzieć, czy pański ojciec miał wrogów?

- Nie mam pojęcia. Ja... zadzwonię później - Eryk rozłączył się.

Miał może powiedzieć: *setki*?

# Rozdział III

24 grudnia 1764, wioska Chaulhac,  
Południowa Francja

Szczyty trzech gór, Montmouchet, Montgrand i Montchauvet, zdobyły lodowe korony. Samotne, rozsypane po pagórkach łąki Gévaudan pokrywał śnieg. Również gęste brzeziny i buczyny były oproszone bielą, nieubłaganie sypiącą się z chmur po krótkiej jesieni. Brutalne burze chłostały płatkami z takim impetem, że aż bolało, gdy padały na twarz. Mieszkańcy regionu skryli się w domach. Masywne budowle z szarego granitu dźwigały ciężar i dawały schronienie. Nawet gdyby nie było śniegu, niewielu odważyłoby się oddalić od wioski. W okolicy krążyła śmierć. Skradała się przez Gévaudan na czterech łapach, w bestialski sposób zabierając kobiety i dzieci. Nikt nie zdołał jej do tej pory powstrzymać. Tylko towarzystwo wielu osób albo mocne drzwi zapewniały bezpieczeństwo.

Jean Chastel siedział w małej gospodzie, niedaleko drzwi. Przed nim stała drewniana miska pełna gorącej zupy, tak rzadkiej, że poprzez kawałki żylastej baraniny mógł dostrzec dno naczynia. Popijał gorącym grzany winem, chcąc wygnać z ciała chłód, który wszedł w kości po czterech godzinach marszu. Gruby płaszcz woźnicy, szal i trójgromiasty kapelusz zawiesił w pobliżu paleniska, by wyschły.

Choć izba zapelniona była prawie do ostatniego miejsca, nikt nie przysiadł się do głowy rodziny cieszącej się niegdyś dobrą sławą. To dawne czasy. Teraz uważano go za dziwaka, gdyż mieszkał samotnie w wiosce La Besseyre-Saint-Mary i nie krył tego, że z innymi chce mieć jak najmniej do czynienia.

O Antoine, który zaszył się w swojej chacie głęboko w lesie, krążyły złe plotki. Jean nie mógł zaprzeczyć, że jego młodszy syn po pobycie w Tunezji znacznie się zmienił. Nie opowiadał ani o tym, ani o swoich przeżyciach, a tym bardziej o okolicznościach powrotu. Jean czuł od pierwszej chwili po powitaniu, że w synu zaszła przemiana. Stał się zamkniętym, tajemniczym człowiekiem, o którym mieszkańcy wioski opowiadali, że potrafi rozmawiać ze zwierzętami.

W porównaniu z nim Pierre miał szczęście. Mieszkał w Basset, gdzie dzielił z Antoinem

funkcję leśniczego. Powiadano o nim, że jest dość przystępny. Przynajmniej jeden z rodziny.

Drzwi otwały się. Lodowaty wiatr wepchnął do gospody dwóch dragonów. Pod grubą warstwą śniegu ledwie można było poznać, że to żołnierze. W szynku natychmiast ucichło.

Przeklinając zimę, podeszli wprost do stołu Jeana i rzucili pośpiesznie podbiegającemu karczmarzowi swoje peleryny. Ukazały się niebieskie mundury o wymyślnym kroju z błyszczącymi ozdobami, dystynkcjami i guzikami. Każdy z nich miał szablę, zatknięty za pas pistolet; w dłoniach trzymali nieporęczne muszkiety. Na prostych wieśniakach i niejednej dziewczce robili spore wrażenie.

Usiedli nieproszeni, zdjęli kapelusze, oparli muszkiety o ścianę i głośno zażądali posiłku. Byli z nich rubaszni, krzepcy chłopcy, którym akurat stuknęła dwudziestka; nieogoleni, czuć od nich było gorzałką, choć w gospodzie nie wypili jeszcze ani kropelki.

- Wesołych świąt. Proszę, siadajcie - powiedział leśnik, nie przyglądając im się dokładnie. - Ale kiedy przyjdą moi synowie, proszę, żebyście poszukali innego stołu.

Dragoni wymienili rozbawione spojrzenia.

- Podlegamy kapitanowi Duhamelowi. Jeśli *on* nam rozkaże wstać, zrobimy to - odpowiedział jeden lekceważąco. - W innym wypadku nie ma mowy.

- Czy król nie rozkazał wam zabić wilka? - odpowiedział nieporuszony Jean i dalej zajadał zupę. - Skoro siedzicie tu sobie spokojnie, widocznie go wytropiliście i zabiliście.

Żołnierz po jego prawej stronie pochylił się i rozejrzał konspiracyjnie.

- To nie jest wilk. Nawet kapitan już myśli... - Cios pod żebra, zadany przez kamrata, kazał mu zamilknąć.

- A cóż to takiego? Uwierzyliście w te bajdy o jakiejś bestii? - zapytał Jean. Teraz z trudem zachowywał spokój.

- Ja wierzę, *monsieur* Chastel! - od sąsiedniego stołu wtrącił się mężczyzna; po niezwykle kolorowym ubraniu poznać można było jego przynależność do otoczenia jednego z tutejszych szlachciców. - Od lata rozszarpała jedenastu ludzi i niezliczoną zwierzynę. Nie znam żadnego wilka, który choć w przybliżeniu byłby podobny do tej bestii. Widziałem ją w październiku. Wskoczyła przede mnie i mojego przyjaciela, tylko dziesięć kroków od nas. Wielka jak cielak, rudawe futro, łapy i pazury takie, że niedźwiedź miałby się z pyszna. Mieliśmy ze sobą broń, szliśmy polować dla markiza d'Apcher. Wypaliliśmy do niej, bestia upadła po strzale, ale zaraz wstała! Strzeliliśmy drugi raz, a ta znów wstała i uciekła do lasu.

- Więc nie trafiliście jej porządnie - stwierdził Jean i wziął łyk korzennego wina. Nie podobało mu się, że tak wiele mówi się o bestii.

- Jestem myśliwym i dobrym strzelcem! Dostała wszystkiego sześć kul, *monsieur*



Chastel. Sześć! - Mężczyzna był urażony. - Wyraźnie było widać ślad krwi. Ale kiedy poszliśmy jej tropem, okazało się, że mimo ran jest szybsza od nas. - Wziął głęboki oddech i rozejrzał się po zafascynowanych twarzach sąsiadów. - Ona przeżyła.

- Ranny wilk jest straszny - zabrzmiała odpowiedź Jeana. - Szarpie wszystko...

Mężczyzna trzasnął pięścią w stół, oczy błysnęły mu gniewnie.

- To *nie jest* wilk!

- Słyszeliście o tej małej dziewczynce w Rieutort, *messieurs*? - spytał gospodarz, który akurat przyniósł jedzenie dla dragonów. - Wracala sama z pastwiska i jej matka widziała ją już na skraju wioski. Brakowało ledwie dwustu kroków, kiedy małą dopadła bestia. Rozszarpała ją na oczach matki i dwóch braci. Ledwie można było rozpoznać jej szczątki. - Wskazał na swój brzuch. - Rozerwana od góry do dołu. Skóra zdarta z głowy i naciągnięta na twarz. Straszne, straszne! Nic dziwnego, że wyznaczono trzy tysiące osiemset liwów nagrody.

- Cicho! To właśnie taka paplanina przydaje sił temu stworowi - ostro zbeształ ich Jean. - Ludzie i tak już dość boją się wilka. Lepiej przynieś mi jeszcze jednego grzańca.

Teraz gospodarz spojrzał tryumfująco.

- Wilk? Nie, Chastel. Jesteś leśniczym, to mi powiedz: na brzegu strumienia ludzie znaleźli trop bestii. Ślady *przypominały* wilka, ale były inne. Pięta dziwnie odstawała i była płaska. Widzieli też wyraźne ślady pazurów. Jak to wytłumaczysz?

Jean patrzył w resztki zupy.

- Zapomniałeś przyprawić? Smakuje jak gorąca woda.

- Nie uda ci się mnie zbyć. - Gospodarz stał dalej obok stolika. - Co to za stworzenie, Chastel? - uśmiechnął się wyzywająco. - Nie znasz odpowiedzi? A więc i ty nie wierzysz w wilka! Położyliśmy już siedemdziesiąt cztery basiory, a bestia wciąż zabija. - Ściszył głos. - Powiadają, że jesteś dzieckiem czarownicy. Matka cię nie nauczyła, jakie demony wyglądają jak ta bestia?

- Powiem ci, co myślę: tropiciele się pomylili i jeszcze nie znaleźliście właściwego wilka. To samotnik, stado go unika. Może to dawny wilk przewodnik, który nie chciał podporządkować się nowemu przywódcy. Wilki odrzuciły go, a ten swoją złość wyładowuje na nas - odpowiedział Jean i odwrócił się do dragonów. - Polowaliście wcześniej na wilki? - Pokręcili głowami. - Kapitan Duhamel jest tu z siedemnastoma konnymi i czterdziestu piechurami i chce przeszukać nasze lasy, równiny i góry? To setki mil kwadratowych. Gévaudan go okpi! Będzie go zwodzić mgłami, w lasach zmyli ścieżki, zwabi na grzęzawiska, każe mu błąkać się w kółko wśród ciernistych zarośli i krzewów, ale nigdy nie

uda się wam osaczyć tego wilka. Nie w ten sposób - wzburzony podniósł się, podszedł do kominka i narzucił na siebie swoje okrycie. - Możecie prowadzić wojny, ale to tutaj to nie zadanie dla garstki chlejących gorzałę żołnierzyków. Wy i chłopci z nagonki, których nazbieracie w okolicy, tylko zdepczecie pola i zmarnujecie ludziom ich liche żniwa, nie więcej. - Rzucił na stół kilka monet.

- To ty złap bestię, Chastel - powiedział szyderczo karczmarz. - Albo schwytaj swojego syna. On przecież żyje jak dzikus. On ją na pewno zrozumie. Może powiedziała coś jemu albo jego przeklętym psom?

- Zamknij mordę - odparował Jean, groźnie i równocześnie bezradnie.

Goście skłonili ku sobie głowy i szeptali. Właśnie powstała nowa plotka.

- A może *ty* masz jakieś konszachty z tą bestią? - krzyknął któryś. - Powiadają, że ostatnimi czasy wiele wędrujesz po okolicy.

- Gadajcie sobie, co chcecie. - Jean zarzucił na ramię muszkiet, podszedł do drzwi i otworzył je. - Zobaczmy, kto ją położy. - Owinął się szalem, naciągając go wysoko na twarz, postawił skórzany kołnierz płaszcza i nasadził na białą czuprynę trójgraniasty kapelusz, potem wyszedł. Dyskusja weszła na zbyt niebezpieczne tory.

Burza śnieżna zelżała, ale nocne Chaulhac nadal było jak wymarłe. Jean przeszedł przez drogę i oparł się o szorstki granitowy mur domu, by poczekać na synów. Dręczyły go wątpliwości, a od czerwca sumienie zmieniło jego życie w piekło, bo w czerwcu bestia pojawiła się w ich rodzinnych stronach.

W pobliżu Langogne stwór napadł na młodą pasterkę, ale otoczyły ją byki ze stada; długie rogi obroniły kobietę przed drugim, śmiertelnym atakiem bestii i zdołała uciec. Miała podarte ubranie i wiele zadrapań, ale zachowała życie.

Po jej opisie bestii Jean był prawie przekonany, że to on i jego synowie zwabili stwora do Gévaudan. To samica, to było pewne. Kiedy stanęła przed nim z Pierrem w łapach, nic nie wskazywało na samca. Jean nie miał wątpliwości: mszcząc się za śmierć swego towarzysza, odnalazła region, w którym mieszkali zabójcy. A mściła się okrutnie.

Bał się, że przypadkiem mogłaby wyjść na jaw prawda, że to on i jego synowie są winni śmierci ludzi. Przedsmak poczuł właśnie w gospodzie. By uniknąć gorszego, a przede wszystkim nie ściągać nienawiści na siebie i swoich niepopularnych synów, zostało mu tylko jedno: Jean przed ludźmi zaprzeczał o istnieniu bestii, a równocześnie potajemnie próbował ją upolować. Dlatego wraz z synami wędrował po okolicy, wciąż gorączkowo poszukując stwora. Pewnie, że unikał ludzi, ale, może poza kilkoma wyjątkami, nie życzył im śmierci. Nie takiej makabrycznej śmierci.

Tego dnia sprawdził wilcze wnyki w pobliżu wioski i nie znalazł w nich nic poza szarpiącym się lisem, któremu swoim myśliwskim nożem poderznął gardło i ściągnął z niego futro. Mięso, wnętrzności i krew rozrzucił wokół lisa, by zwabić bestię. Antoine i Pierre sprawdzali pozostałe pułapki i mieli przyłączyć się do niego w Chaulhac.

W świetle księżyca dostrzegł dwie biegnące ku niemu sylwetki. Większa niosła w ramionach pakunek; muszkiety zawiesili na plecach.

- Pierre, Antoine? To wy? - Twarze za postawionymi wysoko kołnierzami poznał dopiero, gdy stali już przy nim. Za to natychmiast dostrzegł krew, jak czarne plamy obklejającą ich odzienie. Węzełek, który niósł próbujący złapać oddech Pierre, sprawił, że Jeanowi zupa podeszła do gardła.

- Bestia zrobiła Chaulhac prezent na Boże Narodzenie - powiedział niezbyt poruszony Antoine i odwrócił szczątki chłopca tak, żeby ojciec lepiej je widział. Skóra na brzuchu była rozerwana, parowało z niej ciepło i wilgotno. Wnętrzności były nadgryzione, brakowało wielkiego kawałka gardła, a twarz chłopca składała się tylko z krwawych strzępów. Za to na rękach i nogach nie było żadnych śladów ugryzień. Najwyraźniej bestia zaskoczyła chłopca i nie zdążył się nawet bronić.

Jean zwymiotował. Posiłek wylał się na ośnieżoną drogę.

- Przyszliśmy za późno - spokojnym głosem powiedział Antoine. - Znalazłem go niecałe pół mili stąd na otwartym polu. Wokół niego leżał chrust, który widocznie zbierał. Zaraz potem przyszedł Pierre i wróciliśmy do wioski, żeby sprowadzić ciebie, a jego zanieść do rodziców.

- Czyście postradali rozum? - Jean pośpiesznie rozejrzał się wokół; aluzje z dopiero co odbytej rozmowy zbyt mocno tkwiły w jego pamięci. Nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na trzech Chastelów. - Jak myślicie, co powiedzą ludzie z Chaulhac, jeśli zobaczą nas tak na ulicy? Z tym martwym chłopcem?

- A co mieliby powiedzieć? Że bestia zaatakowała - Antoine wciąż był spokojny, jego zielone oczy z zafascynowaniem patrzyły na zwłoki.

Jean chwycił Pierre'a za ramię i odciągnął go w ciemność za rogiem.

- Może. Ale może w rozpacz przypiszą winę *mnie*. Tam w środku siedzi kilku głupców i dwóch dragonów Duhamela, którzy aż się palą, żeby przyprowadzić swojemu kapitanowi mordercę. - Myślał intensywnie. - Zaniesiemy chłopca z powrotem tam, gdzie go znaleźliście - zdecydował. Lepiej być daleko od Chaulhac, kiedy go znajdą. - A potem pójdziemy tropem bestii. Nie może być daleko.

Nagle pod Pierrem ugięły się nogi; oparł się o mur i osunął na śnieg. Jakby dopiero teraz

dotarł do niego szok odrażającego widoku. Gapił się na rozszarpane ciało chłopca, na swoje zakrwawione rękawice i skórzany płaszcz, po którym spływała krew kapiąca na czysty śnieg.

Jego brat Antoine nadal nie okazywał najmniejszego wzruszenia.

- Wstawaj, ty babo. - Kiedy Pierre nie zareagował, wyrwał mu zwłoki z rąk. - Do góry. Słyszałeś, co powiedział ojciec?

Jean pomógł Pierre'owi podnieść się i natarł jego bladą twarz lodowatym śniegiem, by rozum otrząsnął się z przerażenia.

- Dasz radę - powiedział przekonująco. - Weź się w garść. - Jego brązowe oczy powędrowały ku młodszemu synowi, którego przyłapał na obwąchiwaniu zmaltretowanych zwłok.

Antoine uśmiechnął się przepaszająco.

- Nigdy nie myślałem, że człowiek pachnie prawie tak samo jak zaszlachtowany wieprz. - Próbował wyjaśnić swoje zachowanie i szybko odwrócił się. - Sprawdźcie, czy nikogo nie ma.

Leśnik poszedł przodem i zaniepokojony zastanawiał się, skąd bierze się to nienormalne zainteresowanie jego syna zwłokami. Prawda, Antoine od pobytu na obczyźnie zachowuje się dziwnie, ale obwąchiwanie zwłok to już coś innego.

Jean wiedział, że Antoine lubi dzieci bardziej niż to dozwolone. Skradał się za dziewczynkami, czasem nawet za chłopcami, i potajemnie je podglądał; również młode kobiety musiały strzec się przed jego natarczywością. Mała Marie Denty, dziewczynka z Septsol, którą Jean polubił za jej serdeczność, bała się Antoine'a. Lubiła przychodzić do Jeana, do jego domu w Besseyre i przyglądała mu się, gdy rzeźbił, albo towarzyszyła w obchodzie lasu. Lubił być z dziewczynką, która traktowała go jak dziadka i cieszył się z zaufania, jakie okazywali mu rodzice Marii. Szczęśliwe chwile. Ale gdy spotykali Antoine'a, dziewczynka zawsze chowała się przed nim i jego psami.

Co uczyniło jego syna takim, jakim był? Na pytanie *dlaczego* wiejski ksiądz odpowiedział Jeanowi, że to próba zesłana przez Boga, z której on i jego rodzina wyjdą umocnieni. Od tamtej pory Jean nie chciał już słyszeć o Bogu, który każe mu cierpieć bez powodu. To odwrócenie się od krzyża nie przysporzyło mu popularności u ludzi, co kolejny raz okazali przed chwilą w gospodzie.

Odegnął od siebie dręczące go, przykre myśli.

- Chodźcie - powiedział cicho i ruszył drogą wychodzącą z Chaulhac. Śnieg znów zaczął sypać.

Biegli jak potrafili najszybciej. Dopiero gdy zostawili za sobą nieliczne światła wioski,

Jean odetchnął. Teraz już nie mogło się wiele zdarzyć. Nikt nie widział ich z martwym chłopcem.

- Musimy iść tędy. - Antoine wyprzedził ojca i poprowadził do miejsca na polu, gdzie on i Pierre dokonali makabrycznego odkrycia. Po drodze ani razu nie spojrzał na ziemię w poszukiwaniu śladów. Najwyraźniej dobrze zapamiętał drogę.

Gdy tam dotarli, położył zwłoki chłopca w bruzdzie i spokojnie patrzył, jak płatki padają na wychłodzone ciało, pozostają na nim i powoli pokrywają jak cienki koc. Nim minie godzina, nie będzie niczym więcej niż małym wzgórkim na polu. Na szczęście wkrótce również ich własne ślady stóp i krew znikną pod śniegiem.

- Chodźcie. Nie mamy czasu do stracenia. - śnieg zmuszał myśliwych do pośpiechu. Jean widział tropy bestii jeszcze na tyle wyraźnie, by pójść jej śladem do pobliskiego lasu. Synowie szli u jego boku z naciągniętymi kurkami muszkietów, gotowi strzelić do stwora. Jednak doświadczony myśliwy szybko zrozumiał, że mogą sobie darować poszukiwania. Płatki padały o wiele za gęsto i zasypywały ślad.

- Wracamy do Chaulhac? - spytał, ziewając, Antoine. - Późno już, zmarzłem okropnie, a bestii i tak nie dogonimy. Nie widać już śladów. Trzeba było zabrać Surtout. On by ją wytropił.

- Pies zostanie w Ténazeyre, z resztą sfory - odpowiedział szorstko Jean. - Ludzie już dość o nas gadają.

Pierre wyglądał na nie mniej zmęczonego, ale jego brązowe oczy patrzyły zdecydowanie znad oszronionego szala.

- Depczemy jej po piętach - zwrócił się do ojca. - Nie pozwól, żebyśmy jutro albo pojutrze usłyszeli o nowych ofiarach. To dzień narodzin Pana. Możemy uczcić go śmiercią diabła!

Jean poklepał go po ramieniu.

- Dość na dzisiaj, Pierre. Twój brat ma rację, to nic nie da. Kto wie, dokąd jutro powiodą nas zbrodnie tego potwora. - Podeszedł na skraj lasu, by rozejrzeć się za światłami migocącymi przez sypiącą biel; wskażą im drogę do zagrody, w której przy tej pogodzie z pewnością pozwolą im przenocować. Nie chciał wracać do małej wioski.

Pierre pośpiesznie poczłapał po śniegu i zagroził mu drogę.

- Ojczy, to nasz obowiązek! - krzyknął, energicznie zdzierając szal. - To *my* jesteśmy winni temu, że napada ludzi. Zbawiciel w dniu Sądu Ostatecznego ukarze nas jeszcze bardziej, jeśli nie zrobimy wszystkiego, żeby odkupić naszą winę.

Jean nic nie odpowiedział. Wskazał tylko na jasne światło migocące wśród prószącego

śniegu i ruszył na czele pochodu. Nie będzie dyskusji. Antoine odetchnął z ulgą, ostrożnie zabezpieczył kurek muszkietu, minął brata i poszedł za ojcem.

Pierre gniewnie kopnął w śnieg.

- Wesołych świąt, bestio - wymamrotał, z głową zwróconą w kierunku gęstych zarośli. - Mój ojciec właśnie darował ci życie. - Powlókł się za dwoma mężczyznami. Zdawało mu się, że czuje rozżarzone czerwone ślepia wroga wbijające się w jego plecy zza osłony krzewów. Pierre wzdrygnął się i ostatni raz obejrzał się, ale nie mógł nic dojrzeć wśród śnieżnej zawieruchy.

# Rozdział IV

Monachium, 11 listopada 2004,  
godzina 10:59

Eryk patrzył na obraz wiszący obok obitych ciężką tkaniną drzwi. Była to reprodukcja *Szulerów* Caravaggia: trzech dandysów gra w karty, dwaj oszukują, by złupić trzeciego. Uznał za osobliwe, że kurator spadku zawiesił w swoim biurze akurat to dzieło najbardziej wpływowego malarza włoskiego baroku. Czyżby miało być przestrożą dla spadkobierców?

Zanurzył się głębiej w fotelu, który ustawił plecami do jednego z wielkich regałów z książkami. W ten sposób mógł mieć na oku oboje drzwi i okno. Ze względu na żalobę wymienił swój biały skórzany płaszcz na czarny surdut. Skórzane spodnie, buty z cholewami i czarny sweter czyniły go niemal niewidzialnym na tle ciemnej tapicerki.

Przed tygodniem w tym samym ubraniu stał nad grobem. Johann von Kastell spoczywał pod ziemią od siedmiu dni. Jego prochy złożono na monachijskim leśnym cmentarzu Waldfriedhof, pogrzeb odbył się w wąskim kręgu. W zasadzie Eryk to za mało, by utworzyć krąg, ale tak mawia się o samotnym życiu i o samotnych pogrzebach.

Pewnie przyszłoby kilka osób. Zrezygnował jednak z publikowania nekrologu i wysyłania zaproszeń. Skutkiem tego nie pojawili się ani dalecy znajomi, których nigdy nie dało się uniknąć, ani krewni ze strony matki, czujący się w obowiązku przy rodzinnej krypcie uronić pro forma łzę nad człowiekiem, którego nigdy naprawdę nie znali. Johann von Kastell raz po raz wspomagał ich pieniędzmi i wysyłał na święta paczki. Nic ponad to. Kochał swoją żonę, ale nie jej rodziców, ciotki, wujków i kuzynów.

Z rodziny von Kastellów nie został już nikt. Od nocy Wszystkich Świętych Eryk był ostatnim spadkobiercą niebezpiecznego interesu, mocno zagrożonego likwidacją. Swojego *dziedzictwa* albo przynajmniej jego istotnej części. Czekał teraz w biurze kuratora spadku, by zostać poinformowanym o reszcie.

Najchętniej wyszedłby stąd, gdyż czekanie nie robiło mu dobrze. Zbyt wiele myśli przenikało przez mur, jaki wznosił wokół siebie. Ból po stracie ojca, niepewność, kto wysadził ich posiadłość, pytanie, co będzie dalej.

Wszystko leżało w gruzach: dom, laboratorium, jego życie. Nie miał wątpliwości. Zwierzyna pierwszy raz odwróciła dzidę i wbiła ją głęboko w trzewia myśliwego. Eryk nadal czuł się jak sparaliżowany, ale wiedział, że niebawem musi na nowo ruszyć na polowanie.

Dręczyło go pytanie, dlaczego ojciec poszedł sam do Upuaut. Dawno już miał za sobą czas wojownika. Był w ich zespole myślicielem i skupiał się na badaniach oraz nauce. Myśl o lekarstwie na zarazę zaczęła coraz bardziej opanowywać jego życie. Za to Eryk przejął interwencje na całym świecie. Nie podzielał fascynacji próbkami i medycyną, mimo to jednak musiał się nimi zajmować. Tego wymagał ojciec. Niestety, nie zajmował się nimi dostatecznie i teraz stał tu bezradny.

Pochylił się do przodu i nacisnął guzik wewnętrznego telefonu stojącego na biurku kuratora spadku.

- Czy byłyby pani tak miła i przyniosła mi kawę, proszę?

- Bardzo chętnie, panie von Kastell - odpowiedział głos asystentki. Przypominała mu Sewerynę, choć z pewnością była o dwadzieścia lat starsza. Jednak to nic nie znaczy u kobiet, jak już dawno stwierdził. Pozostawały kobietami i w miłości zachowywały się tak samo jak osiemnastolatki. Przeważnie w porównaniu z młódkami lepiej wiedziały, czego chcą. Eryk uśmiechnął się. Seweryna na pewno już dowiedziała się, że twórcą owego obrazu, który wspólnie stratowali, nie był nikt inny jak właśnie on. Dlatego właściciel galerii zareagował tak wstrzemięźliwie. W gazetach następnego dnia można było przeczytać, że artysta podczas wernisazu dokonał przeróbki dzieła. Naprawdę propagowano to jako nową formę w sztuce: *Abstrakt expression*. Co za gówno.

Asystentka delikatnie zapukała i weszła. Cicho zaszeleściła tkanina jej szarej sukienki. Kobieta rzuciła Erykowi przyjazne spojrzenie i postawiła parującą filiżankę z kawą.

- Pan Laurentis zaraz przyjdzie. To nie potrwa długo - pocieszyła go rutynowo. - Chciałby pan do kawy ciasteczko albo koniak?

Uznał jej perfumy za zbyt nachalne, by dłużej się nią zajmować i miał nadzieję, że zaraz sobie pójdzie. Nie ma nic gorszego od kwiatowych, słodkich zapachów za wszelką cenę próbujących rozsiewać woń lata, choć w rzeczywistości bardziej przypominają podgrzane żelowe miśki.

- Nie, dziękuję - odmówił z uśmiechem. Starła się i zasłużyła na uprzejmość. Kiedy, szeleszcząc, wychodziła z pokoju, Eryk dostrzegł jej ostatnie, niewątpliwie zbyt długie spojrzenie. *Czyste pożądanie*. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Kawa smakowała wybornie. Dodał do niej odrobinę mleka i pół łyżeczki cukru, by smak rozwinął się w pełni. Kiedy oddawał się rozkoszy picia, pokonując niecierpliwość, otwarły się



drzwi i wszedł Laurentis. Po pięćdziesiątce, szczupły, w dobrze skrojonym garniturze o nierzucającym się w oczy kolorze, zdaniem Eryka włosy ostrzyżone jak u biznesmena i natrętny płyn po goleniu. Dla normalnych nosów był to może drogi markowy zapach - dla Eryka wyłącznie ostry, krzykliwy i natrętny.

- Witam, panie von Kastell. Szczere wyrazy współczucia. - Laurentis wyciągnął do niego rękę.

Eryk spojrział na nią niechętnie. Jeśli ją uściśnie, przejdzie tym zapachem. Tego nie chciał. Przepraszająco uniósł filiżankę.

- Dziękuję, panie Laurentis.

Mężczyzna usiadł za biurkiem, rezygnując z uścisku dłoni.

- Przepraszam za spóźnienie. Poprzednie otwarcie testamentu miało trudny przebieg. - Uśmiechnął się chytrze. - Spotkały się żona i kochanka. Nie muszę chyba wspominać, że zdradzana małżonka nie miała pojęcia o innej kobiecie w życiu mojego klienta? - Poprosił asystentkę o kawę. - Zaczynamy, czy poczekamy jeszcze kilka minut? - Jego dłonie wyciągnęły szufladę stołu i wyjęły oprawiony w ciemny filc segregator.

- Aż dostanie pan kawę?

Laurentis zaśmiał się cicho, nienatrętnie i z pietyzmem. Nadmiar dobrego humoru jest nie na miejscu przy otwieraniu testamentu.

- Nie, panie von Kastell. Aż przybędzie pańska siostra. Lot z Awinionu jest najwyraźniej opóźniony.

Brwi Eryka uniosły się.

- Moja co?

- Pańska *siostra*, panie von Kastell. - Asystentka zaszleściła i podała Laurentisowi kawę.

Eryk kichnął, gdy zapach żelek ponownie wdarł się do jego nosa i zadał torturę jego powonieniu.

- Siostra - powtórzył cicho. - Z Anionu. - Jednak to powtarzanie nie pomogło mu zmniejszyć zaskoczenia.

- *A-wi-nion* - poprawił usłużnie Laurentis. - Czyżby pan nie wiedział... Przykro mi, panie von Kastell. Wygląda na to, że dziś mamy dzień niespodzianek. - Podniósł wzrok. - Jak widzę, jesteśmy w komplecie. - Eryk odwrócił się. Przez otwarte drzwi wchodziła kobieta z długimi do karku jasnymi włosami. Ubrana była w sportowy garnitur, płaskie sportowe buty i miała torebkę, w której bez problemu zmieściłby się Mount Everest, i to w poprzek. Eryk ocenił ją na dwadzieścia cztery lata.

- *Bonjour, messieurs* - przywitała się lekko zdyszana i usiadła na fotelu obok Eryka. -

*Mon dieu, excusez moi, je suis en retard, je sais. Malheureusement... Merde!* - uderzyła się w czoło. - *Alors, je suis en Allemagne, n'est-ce pa?* - odchrząknęła. - Przepraszam za spóźnienie, panowie. Ale miałam awarię samochodu. Przeklęty wrak z wypożyczalni - powiedziała z silnym francuskim akcentem i zapaliła papierosa, którego gryzący dym zdławił w nosie Eryka kwiatuszki. - Oczywiście nie jest francuski. Gdyby to był peugeot dwieście pięć nigdy by się to nie zdarzyło. Sama go naprawiłam. - Dmuchnęła dymem w sufit, skrzyżowała nogi i wyzywająco rozejrzała się obecnych. - *Allors, allez-y, je sous écoute.*

Eryk powoli pochylił się do przodu i otwarcie przyglądał się jej, jakby zostali poddani policyjnej konfrontacji. Przerażony, rzeczywiście odkrył w jej zgrabnej twarzy podobieństwo do ojca. I do siebie, i to nie tylko ze względu na niemal identyczną fryzurę.

- Pani...? - zaczął pytająco.

- Och, proszę wybaczyć. - Pogrzebała w ogromnej torebce, aż znalazła dowód osobisty i podała go wykonawcy testamentu. - Justine Marie Jeanie Chassart, córka *monsieur* von Kastella. Ojciec napisał do matki, że wszystko uregulował. Pan pewnie ma stosowne dokumenty?

- Oczywiście. - Laurentis wziął dowód. Spisał daty i numery.

- Co znaczy *oczywiście*? Dla mnie to trochę za szybko - odezwał się Eryk. Zdziwienie ustąpiło miejsca gniewnej bezsilności. - Jeśli jest pani moją siostrą, czemu ja nic o pani nie wiem? - Oczy zaiskrzyły mu gniewnie. Po prostu nie mógł uwierzyć. Ojciec miałby zdradzić ukochaną matkę z jakąś Francuzką? To zmieniało jego obraz, jaki zachował - podziwianego ideału, niedoścignętego wzoru wierności. Najwyraźniej starszy pan w przeszłości skakał z kwiatka na kwiatek równie chętnie, jak on teraz.

Jej brązowe oczy patrzyły rozbawione.

- *Mon frère*, to dlatego, że to była miłostka - zaciągnęła się papierosem i dmuchnęła ku niemu dymem. - Ojciec nie chciał, by się wydała... z różnych powodów. Więc zrobił z tego tajemnicę. - Papierosem umieszczonym między palcem wskazującym a środkowym wskazała na Laurentisa. - Ale wszystko się zgadza, prawda?

- Tak - powiedział prawnik. - Pani prawo do spadku jest potwierdzone notarialnie. - Zwrócił się do Eryka. - Panie von Kastell, rozumiem, że to dla pana szok, dowiedzieć się w ten sposób o siostrze...

- Przyrodniej siostrze - przerwał gwałtownie.

- *Mon dieu, quelle différence* - mruknęła niechętnie. - *Sale arrogant.*

- ...przyrodniej siostrze. To prawda, że jest córką pańskiego ojca. - Laurentis otworzył segregator i wyjął z niego arkusz papieru, na którym Eryk rozpoznał pismo ojca. - Wspomniał

o niej również w swoim testamencie. - Laurentis wziął łyk kawy, nim odczytał ostatnią wolę ojca Eryka. - Kochany Eryku, kochana Justine. Nigdy nie poznaliście się, lecz mimo to łączycie was wspólny los bycia moimi dziećmi. Jakakolwiek spotka mnie śmierć, niech nie powstrzyma was od kontynuowania tego, co robicie. Mój majątek wam w tym pomoże. - Laurentis skłonił głowę w lewo do Justine. - Mojej ukochanej córce, Justine, zapisuję milion euro, który zostanie przekazany w rocznych ratach w wysokości dwustu tysięcy euro na szwajcarskie konto. Justine, użyj mądrze tych pieniędzy. - Laurentis spojrzał na Eryka. - Drogi Eryku, chciałbym, żebyś wiedział, że zawsze kochałem twoją matkę. Znasz - odchrząknął - znasz żądę, siłę popędu, więc po mojej śmierci proszę cię o wybaczenie. Nie mogłem tego żądać od matki. To by ją zabiło, ale wiem, że ty będziesz potrafił z tym żyć. Zapisuję ci resztę mojego majątku w wysokości pięciu milionów euro, akcje, domy w Irlandii, Południowej Francji, Hiszpanii i Petersburgu, apartamenty w Tokio, Nowym Jorku i Sydney i oczywiście willę w Niemczech.

- Oczywiście. - Eryk skrzywił się, przypominawszy sobie czarne zgliszcza.

Justine patrzyła na niego.

- *Sacre merde!* Jestem córką, *monsieur*. Należy mi się połowa, *pas seulement* ten głupi milion euro w ratach!

- Proszę jej powiedzieć, że gówno dostanie - wycedził przez zęby Eryk, z trudem się opanowując i spojrzał na obraz na ścianie. *Szulerzy* naprawdę są przestroga dla spadkobierców, teraz to zrozumiał.

Laurentis rządził w swoim biurze jak suwerenny król. Dobrze znał klótnie podobne do tej i nienawidził ich. Trzeba jednak było zakończyć ją z godnością.

- Może pani, madame Chassart, zaskarżyć testament.

Poprawiła papierosa w ustach.

- *Mais oui* - zabrzmiało niewyraźnie.

- Ja też - natychmiast powiedział Eryk. - Poza tym wątpię, że ona jest moją siostrą. Żądam analizy DNA, by pozbyć się wszelkich wątpliwości. To oszustka. - *Przynajmniej*, dodał w myśli, *nie używa perfum*.

- Tak myślałem - westchnął Laurentis. - Do ostatecznego wyjaśnienia podziału majątku i wszelkich posiadłości pana Johanna Christiana von Kastella nic nie należy do nikogo z państwa. Do czasu uprawomocnienia wyroku sądu albo do chwili, gdy dojdzie do pozasądowego porozumienia, ja zarządzam spadkiem. - Wstał i pożegnał się, nie podając ręki. - Otrzymają państwo pisma o stanie rzeczy. Naturalnie możecie zadzwonić do mnie w każdej chwili. Życzę miłego dnia. - Zamknął segregator i włożył go do szuflady pod biurkiem,

wyrażając tym gestem nieme, ale stanowcze żądanie, by opuścili jego biuro.

Eryk wyszedł pierwszy, właściwie wypadł, i nie rzuciwszy nawet okiem na jakby przypadkowo pochyloną akurat nad biurkiem asystentkę ani na rąbek jej samonośnych pończoch, wybiegł wprost na chodnik. Najchętniej dałby komuś w mordę.

- Eryk, zaczekaj - usłyszał za sobą głos z charakterystycznym akcentem, który zdążył już znieawidzić. I jeszcze mówiła do niego per *ty!* Poszedł dalej. Rzuciła za nim jedno ze swoich licznych francuskich przekleństw, brzmiących równocześnie oblesnie i elegancko. Raptem znalazła się tuż za nim. *Szybka jest*, przemknęło przez głowę Erykowi.

Justine prawie dorównywała mu wzrostem. Była szczupła i miała twarz tak niezwykłą, że mogłaby zostać modelką.

- Chciałam wyjaśnić, dlaczego...

- Chciwa łajdaczka.

Równie szybko jak wymknęła mu się z ust obelga, otrzymał w odpowiedzi policzek. Jego instynkt wojownika całkowicie go zawiódł. Eryk nie zdążył nawet unieść ręki w obronie. Lewy policzek bolał go tak, jakby Justine nie uderzyła płaską dłonią, ale raketką do tenisa stołowego, zrobioną z żelaza. Głowę odrzuciło mu w bok, aż zatrzeszczały kręgi, a czarne włosy poleciały na oczy. By zrównoważyć impet, musiał cofnąć jedną nogę.

Eryk natychmiast zamachnął się, ale siostra zablokowała jego prawą rękę. Wtedy jednak błyskawicznie sięgnął lewą i wymierzył jej policzek, z siłą porównywalną mniej więcej do siły jej uderzenia. Papieros sypnął iskrami; Justine, żeby nie upaść, musiała chwycić się jego surduta.

- *Touché.* - Oblizwała zęby i dotknęła warg. Nie było krwi. Uśmiechając się krzywo, wyprostowała się, zapaliła następnego papierosa i nieporuszona ćmiła go dalej. - Mogę ci teraz wyjaśnić? Eryku, potrzebuję tych pieniędzy, żeby...

Zostawił ją i poszedł do swojego porsche. Gdy otwierał drzwi, Justine kopnęła go z tyłu tak mocno, że uderzył boleśnie o zamek.

- *Merde, écoute-moi!* Znam twoją tajemnicę, Eryku - powiedziała za jego plecami. - Jestem jego córką, nie ma żadnej wątpliwości. - Coś cicho zabrzęczało.

Nabrał powietrza i odwrócił się powoli. Justine stała przed nim, w dłoni trzymała migocący złoty łańcuch z zawieszonym na nim kłębem, o wiele za dużym na to, by pochodził od zwykłego drapieznika. To sztuka, zdobyć nieprzemienioną część ciała likantropa. To znaczyło, że właściciel jeszcze żyje albo że użyto specjalnego rytuału, by uniknąć po śmierci przemienca powrotu do postaci ludzkiego zęba.

- To od niej - powiedziała cicho.

Wziął od Justine połyskujący, gładki kiel i obejrzał go ze wszystkich stron. Wiatr przywiał mu do nosa jej woń. Odniósł wrażenie, że poznaje zapach swego ojca, co oczywiście było całkowicie niemożliwe.

- Skąd go masz?

- Wybity. - Justine patrzyła na niego, uśmiechając się dziko. - Z jej wstrętnego pyska. - Założyła łańcuch z powrotem na szyję i wpuściła wisior pod bluzkę.

- Ty? - uśmiechnął się z niedowierzaniem. - I jeszcze żyjesz?

- Spotkałam ją dwa lata temu. Doszło do walki, którą zakończyła przed czasem, bo włączyła się trzecia strona. Strona z wielkimi karabinami o sile ognia, jakiej nie powstydzilby się *légion étrangère*.

- Nie wierzę ci.

- Tak było.

- A gdzie?

- W południowej Francji, w pobliżu Auvers. Tam, gdzie wszystko się rozpoczęło. - Pstryknęła, odrzucając niedopałek. - Johann mnie ostrzegł, że będziesz zły, ale...

- Dostaniesz milion euro i nic więcej. Musi ci wystarczyć.

Warknęła.

- *Merde*, Eryk! Jestem splukana! Nasze życie jest drogie - ciągle podróże, amunicja, kupowanie informacji i przekupywanie ludzi.

- To bądź bardziej oszczędna. Lataj tanimi liniami.

Spojrzała na niego błagalnie.

- Moglibyśmy podarować sobie sąd, bracie.

Jego prawa dłoń pomknęła w górę, chwyciła jej szyję i zacisnęła się.

- Ja *nie* jestem twoim bratem, Justine. Jesteś bękartem, niczym więcej - zagrzmiał, a jego oczy zwęziły się i zrobiły bardziej gniewne i żółte.

- Nic na to nie poradzę, że nie ożenił się z moją matką - wydyszała z czerwoną twarzą. - Eryk, kopnę cię w jaja, jeśli natychmiast nie przestaniesz!

Odepchnął ją, uderzyła o śmietnik. Musiała przytrzymać się, żeby uniknąć upadku.

- *Trou du cul!* - Splunęła. - W pojedynkę każdy jest dla niej zbyt łatwym łupem!

- Może ty. - Eryk wsiadł do porsche. Silnik zawył. - Ja nie.

Podeszła do okna.

- Gdzie mogę cię znaleźć, gdybym czegoś się o niej dowiedziała?

- Podaruj sobie. Dowiem się, gdzie znaleziono twoje poszarpane zwłoki i będę wiedział, gdzie mam jechać. - Ruszył. Usłyszał jeszcze, że Justine daje cayenne kopniaka i zobaczył w

lusterku wstecznym, jak robi się coraz mniejsza. Na pożegnanie pokazała mu środkowy palec.

Eryk nie wątpił, że Justine kłamie. Tę odrobinę wiedzy mogła poskładać sobie z opowiadań ojca. W porządku, jest szybka i silna, ale to nic nie znaczy. Los mógł ją oszczędzić, wmawiał sobie.

Eryk wybrał numer śledczego i opowiedział mu o otwarciu testamentu i o nieznannej siostrze. Breitwangler natychmiast dopisał ją do listy podejrzanych o zabicie jego ojca. Justine najwyraźniej od dawna wiedziała o testamencie z zapisem dla niej, a cóż byłoby bardziej oczywiste, niż troszkę pomóc bogactwu.

Eryk mimo woli uśmiechnął się.

- Proszę zrobić wszystko, co w pańskiej mocy - poprosił śledczego. Niech gliny zajmą się Justine. Nie potrzebuje towarzystwa w realizacji tego, co zamierza.

# Rozdział V

2 stycznia 1765, w okolicy Mazel-d-Grèzes,  
Południowa Francja

Szybciej, Camille. Będzie śnieżycą - Jean Chateaufeuł uwijał się wokół pobekującego stada owiec, kierującego się ku osłoniętemu zboczowi góry, i nagał z powrotem krnąbrną owcę Camille. Próbowwała się wyłamać i w pobliskiej buczynie poszukać ochrony przed lodowatym wiatrem.

Lekko popchnął zwierzę końcem kija. Camille spojrziała na niego tępym wzrokiem i jednym skokiem przyłączyła się z powrotem do stada.

- No, dobrze. Nie mamy czasu na uparciuchów - odetchnął z ulgą, bo już w duszy widział, jak musi przez śnieg biec za owcą do lasu. A lasy w tamtych czasach nie były miejscem, w które czternastoletni chłopcy chętnie chodziliby sami.

Nie bał się wilka - miał zaostrzony na końcach kij i umiałby się nim obronić. A jednak skupisko ciemnych drzew nie napawało otuchą. Nawet bez historii o rozszarpującej wszystko bestii i tak wolałby unikać tego miejsca.

Camille jednak najwyraźniej postanowiła inaczej. Wabił ją bezwietrzny las. Zabezczęła i znów się odłączyła. Tym razem poszło za nią jeszcze kilka zwierząt.

Chateaufeuł, przeklinając, rzucił się w pogoń. Daremnie próbował powstrzymać owce od ucieczki do lasu. Był zły, że nie mógł zabrać wiernego Gastona, psa pasterskiego jego rodziny. Stracił życie przed miesiącem, a nowy pies nie był jeszcze dostatecznie ułożony. Nie było rady, musiał pobiec sam.

Owce zwolniły, dopiero gdy dotarły do pierwszych buków.

Jean Chateaufeuł z niesmakiem spojrział na drzewa. Bezlistne gałęzie sterczały ku ciemniejącemu niebu, łyse korony drzew kiwały się w powiewach chłodnego wiatru. W lesie słyhać było przeciągłe gwizdy, którym akompaniował trzask łamanych gałęzi. Akurat teraz przypomniały mu się szczegóły krążących wśród ludzi opowieści o bestii. Takie ponure miejsce jak to, zdawało się być stworzone na jeden z jej ataków.

- Dalej, *mesdames* - powiedział do owiec, najwyraźniej bardzo zadowolonych, gdy je

okrążał, by wygnać z lasu. - Chcę być w chacie przed burzą. Wy też przecież wolicie obórkę niż zadymkę w lesie.

Gdzieś wśród drzew rozległ się głośny trzask - coś ciężkiego nadepnęło na gałąź.

*Jeleń. To mógł być jeleń*, pomyślał Chateauneuf, zachowując się, jakby nic nie usłyszał. Po drugim trzasku poczuł niemły dreszcz.

- Do kroćset, Camille! - krzyknął na owcę i przyłożył jej kijem tak mocno, że przestraszona odskoczyła jeszcze dalej od chłopca i znikła w osypanych śniegiem gęstych zaroślach. To było najgorsze, co mogło przydarzyć się pasterzowi: część stada stała przed lasem, druga część w lesie, a jedna owca się odłączyła. Camille nie przeżyje nocy na dworze. Śnieżycy albo głodne drapieżniki zakończą jej życie. Westchnął. Choć robił to niechętnie, nie miał wyboru. Zwierzę było cenne i ojciec obsypie go wyrzutami, wyzwiskami i obje mu grzbiet, jeśli nie doprowadzi owcy bezpiecznie do obory.

- Zaczekajcie tu - powiedział Chateauneuf do pozostałych zwierząt, jakby mogły go zrozumieć, i poszedł śladem pozostawionym na śniegu przez Camille, torując sobie kijem wąską ścieżkę wśród ośnieżonej gęstwiny. Raz po raz słyszał dzwoneczek i ciche beczenie, lecz choć ją przywoływał, nie chciała wrócić. Owce nie są zbyt inteligentnymi stworzeniami, ale wyglądało na to, że Camille nie może zapomnieć uderzenia.

Zarośla przerzedziły się i wreszcie chłopiec zobaczył przez gałęzie owcę. Odbił się i skoczył ku niej, chcąc złapać zwierzątko za tylne nogi. Jeszcze w locie chwycił ją, dłonie zanurzyły się w zimną wełnę i trzymały Camille, która przestraszona beczała i wymachiwała nogami.

- Mam cię - westchnął z ulgą Chateauneuf, wygramolił się na nogi i z pewnym trudem zarzucił sobie uciekinierkę na ramiona. - Już mi nie uciekniesz.

Znów trzask, tym razem na lewo od nich. I wtedy Jean usłyszał warczenie wilka. Wyrósł przed nim jak spod ziemi. Wielkie, silne zwierzę, bez wątpienia zdolne podjąć walkę z mężczyzną, a co dopiero z chłopcem. Z chrap ściekała mu gęsta, pienista ślina. Wścieklizna.

Wilk i chłopiec patrzyli na siebie, Chateauneuf pośpiesznie rozejrzał się za swoim pasterskim kijem, lecz dostrzegł go leżącego daleko w zaroślach. Skacząc za Camille, porzucił swoją jedyną broń.

Wilk zawarczał głośniej. Szczerzył zęby i składał się do skoku.

Chateauneuf stał jak sparalizowany. Nie miał odwagi się poruszyć, równocześnie jednak nie wiedział, co ma zrobić, by uniknąć ataku. Owca zwietrzyła niebezpieczeństwo, wyprężyła się. Była przestraszona: beczała, a jej dzwoneczek głośno dzwonił. To jeszcze bardziej rozżłościło chorego wilka. Przez moment jakby się przycisnął, potem skoczył, otwartą paszczą



celując w gardło chłopca.

Za plecami pasterza rozległ się ogłuszający huk. Ktoś strzelił z muszkietu! Chateaneuf krzyknął ze strachu i zaskoczenia. Zobaczył, jak szare futro nadlatującego ku niemu wilka drgnęło na wysokości piersi, a potem z grzbietu trysnęła fontanna krwi.

Wilk, wyjąc, wpadł na niego i przewrócił impetem uderzenia, ale strzał uśmiercił go na miejscu i pasterz nie padł ofiarą kłów. Dalej dzielnie trzymał Camille.

- Wszystko w porządku, chłopcze? - Stała przy nim postać w długim płaszczu woźnicy. Chateaneuf nie poznawał twarzy ukrytej za kołnierzem, w cieniu trójgraniastego kapelusza. Może swoje życie zawdzięczał ucieleśnionemu, przyjaznemu duchowi martwego myśliwego.

- Dziękuję, *monsieur* - wyjąkał szybko i z trudem wygramolił się ze śniegu na nogi, nie pozwalając uciec szarpającej się owcy. W uszach dzwonił mu jeszcze grzmot wystrzału, serce biło jak oszalałe.

Mężczyzna skinął głową, minął go i otaksował wzrokiem zabite zwierzę. Rozczarowany wypuścił powietrze.

- To tylko wściekły wilk. - Naładował wystrzeloną lufę muszkietu i znów zwrócił się do chłopca. Pasterz mógł teraz dojrzeć przyjazne brązowe oczy i młodą twarz. - Miałem nadzieję, że to bestia. Jestem Pierre Chastel. Mój brat, ojciec i ja polujemy na nią - wyjaśnił szybko. - Szedłem jej tropem, gdy usłyszałem owcę.

- Niebo mi was zesłało! Jestem Jean, Jean Chateaneuf. - Chłopiec powoli się uspokajał i starał się nie wyjść przed swoim wybawcą na tchórza. - Przyszliście w samą porę, *monsieur*. Pójdziecie ze mną? Zaraz będzie straszna śnieżycza. Lepiej nie być wtedy na dworze. Jeśli naprawdę widzieliście ślad bestii, pocieszcicie się, że i ona teraz poszuka schronienia. Będzie polować po burzy.

Pierre zastanowił się chwilę i zgodził. Wyjął z pasa myśliwski róg i zadał w niego głośno, żeby po strzale dać znać bratu i ojcu, że jest zdrow i cały i że nie zabił bestii. Mimo wyjącego wiatru usłyszeli cichy odzew.

- Chodźmy.

Chateaneuf ruszył przodem. Pierre poszedł za nim. Razem pognali owce na drogę, z powrotem do stada, i ruszyli w dół. Zima jakby starała się im udowodnić, że nie ma z nią żartów.

- Robi się zbyt niebezpiecznie - przekrzykując huk burzy, chłopiec wskazał kijem szopę na zboczu. - To nie jest nasz szałas, ale możemy się w nim schronić, póki pogoda się nie poprawi.

Pierre pomógł mu zagnać zwierzęta do ciemnego pomieszczenia. Czuć tu było starym

krowim łajnem i owcami; zamrożone krowie placki na ziemi były twarde jak kamień, a na zdeptanym klepisku leżało trochę siana. Pasterz zapalił latarnię wiszącą na długim haku na kamiennej ścianie. Od razu wydało się im, że wraz ze światłem w szopie zrobiło się trochę ciepłej.

Budowlę, szeroką na cztery i długą na pięć kroków, wzniesiono z bloków granitu. Za dach służyła prosta konstrukcja z belek i łupkowego gontu. W tyle pomieszczenia wzniesiono pięterko z grubych bali i desek, zmagazynowano tam mały zapas siana i słomy.

Owce zbiły się w ciasną gromadkę, by ogrzewać się wzajemnie, i cicho pobekiwały. One również cieszyły się, że uciekły przed mroźnym wiatrem, gwizdającym przez szczeliny drzwi i śpiewającym swoją pobrzękującą lodem piosenkę.

- Polujecie na bestię, *monsieur*? - spytał Chateauf, a oddech wydobył się z jego ust jak biała chmura. W młodym głosie słycać było uznanie.

Pierre odstawił muszkiet do kąta i uśmiechnął się, rozbawiony podziwem, jaki przypadł mu w udziale.

- Niektórzy nazwaliby to głupotą - przyznał, krzywiąc się. Odgiął kołnierz do dołu i zdjął szal. - Ale my dobrze wiemy, co robimy. Bestia nie może nas zaskoczyć - usiadł na wiązce słomy i wyciągnął nogi.

- A jak ją chcecie zabić? - Chateauf spojrział na broń. - Słyszałem, jak ludzie mówią, że bestii nie można zranić. Trafiono ją już więcej niż tuzin razy, ale zawsze uciekła przed pogonią. Czy wasza broń jest jakaś szczególna, *monsieur*?

- Nie, ale w przeciwieństwie do innych potrafię dobrze strzelać - odpowiedział i zaśmiał się cicho. Wyszukał w worku z prowiantem trochę chleba i szynki, ogrzał na pół zamrożone mięso nad lampą i podał kęs chłopcu.

Chateauf przyjął szynkę z wdzięcznością.

- Nie przyłączyliście się do dragonów, *monsieur*. Dlaczego? - zapytał, przeżuując.

Pierre odsunął kapelusz na kark.

- Nie mają pojęcia o polowaniu. Ich pułapki są niewiele warte. Owszem, dragoni wyglądają sztykownie na swoich koniach, ale w tej okolicy na wiele się nie zdadzą. Piechurzy również są niewiele lepsi.

Chłopiec przytaknął.

- To samo mówi mój ojciec. Przebrali się nawet za kobiety, żeby zwabić bestię do zasadki, ale to nic nie dało.

- Gdybym ja był bestią, też nie miałbym ochoty na pożeranie kobiety, która ma na twarzy pełno pryszcz, cuchnie gorzałą i pierdzi jak borsuk. - Pierre odciął sobie jeszcze kawałek

wędzonego mięsiwa. - Gorzej, że po Gévaudan kręcą się obcy myśliwi, równie nieporadni jak Duhamel i jego ludzie. Bestia ucieka przed nimi i wkrótce uderzy w innej okolicy, Vivarais albo Margeride. Trzeba uspić jej czujność, żeby popełniła jakiś błąd.

Chateauneuf spojrział na myśliwego uważniej niż przedtem.

- Czy już kiedyś spotkaliście bestię, *monsieur*? Mówicie tak... - Przerwał na chwilę, bo usłyszał cichy szelest na stryzku z sianem. Pewnie myszy szukają tam pożywienia.

Pierre oparł się plecami o ścianę, poluzował kołnierz i rozpiął ubranie.

- Tak, raz już ją dopadliśmy, ale uciekła, nim zdołaliśmy strzelić. Jej futro czyni ją niemal niewidoczną w zaroślach. - Jego ciało parowało ciepłem w lodowatej, bezwietrznej szopie.

- *Monsieur*, chcecie przeziębic się na śmierć? - spytał zdumiony Chateauneuf i zapomniał o pytaniach na temat bestii. - Co z wami?

Pierre wyjął z kieszeni chustkę i otarł z czoła krople potu.

- To gorączka - odpowiedział i wyjął spod płaszcza butelkę. Przy tych temperaturach trzeba ją było nosić blisko ciała, żeby woda nie zamarzała. - Dostaję jej regularnie, odkąd... - przerwał. - Odkąd ugryzł mnie wilk - napił się łączywie.

Chateauneuf odsunął się od niego.

- Nie chłopcze, to nie wścieklizna - uspokoił go Pierre. - To brud z jego zębów dostał się do mojej krwi i ją rozpala. Parzy wtedy w żyłach jak ogień i dręczy mnie gorącem, ale potem równie szybko mija. - Zamknął oczy.

Owce wyraźnie się niepokoiły. Tłoczyły się w najdalszym kącie szopy, pobekiwały cicho i raz po raz patrzyły na Pierre'a, który miał skurcze na całym ciele. Podrygiwał, drżał, wbił dłonie w siano.

Chateauneuf opanował strach. Opowiadano, że bestia to loup-garou, wilkołak, który w ludzkiej postaci spokojnie mieszka pośród innych mieszkańców Gévaudan. Czy to... czy to mógłby być ten myśliwy? Czy właśnie się przemieniał, by go zaatakować?

- Święta Matko Boża, chroń mnie! - Chłopiec przymusił się, by przejść obok drżącego mężczyzny i wziąć muszkiet, choć nie miał pojęcia, jak się nim posługiwać. Wystarczy chyba odciągnąć kurki, wycelować i nacisnąć spust Chateauneuf stał oddalony dwa kroki od dyszącego Pierre'a, kierując wylot lufy na jego głowę.

- *Monsieur*, co z wami? - pytał natarczywie. - Boję się was.

Myśliwy oddychał jakby uderzeniami. Stękał i jęczał jak zwierzę. Nie przypominało to już odgłosów wydawanych przez człowieka. Chateauneuf uniósł ciężką broń i był gotów bronić swojego życia i swoich owiec.

Wtedy znów usłyszał szelest. Dochodził znów z piętka szopy, ale tym razem znacznie

głośnej i na pewno nie pochodził od myszy!

- Nie jesteśmy tu sami - powiedział cicho. Młody pasterz gwałtownie uniósł muszkiet w górę...

...i spojrzał wprost w pysk bestii. Stała przyczajona przy prostej drewnianej drabinie i nie kryła się przed chłopcem, wiedząc, że ma nad nim przewagę. Była duża jak ciele, z wielkim i szkaradnym łbem. Krótkie uszy podkreślały jej brzydotę. Straszliwe, obnażone kły w czarnym pysku zapowiadały śmierć.

- Panie na niebiosach! - wyjąkał Chateauf. Muszkiet wystrzelił, trafiając w drewnianą belkę. - *Monsieur* Chastel, wróćcie do siebie, bo... - Ale oto ciężkie, muskularne cielsko było już w powietrzu i leciało na niego. Zderzenie wytrąciło mu z dłoni muszkiet i rzuciło go na podłogę.

Poczuł obrzydliwy smród, próbował stawić opór i chwycił za krótką sierść. Zobaczył przed sobą szeroką pierś z białym paskiem. Następnie ujrzał parę iskrzących się czerwono straszliwych oczu, a zaraz potem zęby wbiły się w jego gardło i je rozszarpały. Szyję przeszył potworny ból. Za moment chłopiec już nic nie czuł. Szok zdławił wszelkie zmysły.

Leżał apatycznie na ziemi, żył jeszcze przez kilka chwil. Słyszał, jak bestia, mlaskając, zlizuje jego krew spływającą z gardła i warcząc z zadowolenia, rozrywa mu pazurami i pyskiem brzuch. Potrząsała chłopcem, grzebiąc pożądliwie w jego ciele. Ostatnie, co zobaczył, to biała jak ściana twarz Pierre'a Chastela, która ukazała się w jego coraz ciemniejszym polu widzenia, i skurczone palce myśliwego, wyciągające się ku niemu.

Jean Chastel wpadł przez drzwi szopy, której zarys z trudem rozpoznał wśród szalejącej śnieżnej burzy. Przerażony zamarł na progu.

Przy zmalretowanych zwłokach czternastoletniego chłopca siedzieli jego synowie - Antoine i Pierre. Obaj byli spryskani od stóp po czubek głowy krwią dziecka, jakby wytarzali się w niej jak świnie. Obaj mieli niedbale narzucone ubrania, buty Antoine'a leżały przy wejściu. Patrzyli nieobecny wzrokiem i na początku właściwie nie zauważyli Jeana. Potem twarz Pierre'a rozjaśniła się.

- Ojciec! - Skoczył na nogi, spojrzał po sobie i zerknął na brata. - Co... co my zrobiliśmy? - krzyknął. - Nic nie pamiętam. Przyszedłem tu z chłopcem i... - Jego oczy powędrowały ku strychowi szopy. - Bestia! Czaiła się tam i... - zamilkł.

Antoine roześmiał się i odgarnął z czoła spryskane krwią długie włosy.

- Ja? Ja miałbym być bestią? Bredzisz, bracie. Ty jesteś bestią i chcesz mnie obwinić przed ojcem.

- Nie pamiętam wszystkiego, ale nie było cię tu, gdy wszedłem do szopy. Teraz bestii nie ma, za to jesteś ty - odpowiedział Pierre. - Powiedz mi, jak to możliwe!

Jean zdjął z ramion muszkiet, naciągnął kurki i patrzył na swoich synów.

- W przedśionku szałasu nie widziałem żadnych śladów bestii. Cokolwiek zamordowało tego chłopca, jest jeszcze w szopie - powiedział zaniepokojony.

Antoine wskazał na pięterko.

- Może kryje się przed nami? - Wspiął się na drabinę, pogrzebał w sianie i słomie, ale niczego nie znalazł. Dokładnie tak, jak w duszy spodziewał się Pierre.

Leśniczy nabrał straszliwego podejrzenia. Bestia zraniła jego synów... Czyżby zbyt późno wypalił ich rany rozżarzoną klingą? Czy byli naznaczeni zarodkiem zła?

Przypomniawszy sobie dziwne zachowanie Antoine'a w Chaulhac. Fascynację, z jaką obwąchiwał ciało chłopca. I szokowanie Pierre'a - czy nie pojawiło się zbyt późno? Zupełnie jakby jego starszy syn ukrywał je, nim będzie mógł zwieść ojca? Podejrzenie uderzyło Jeana z mroźnym impetem: ślady przed szopą były jednoznaczne. Nie było innych winnych, a jego synowie już raz zabili. Przynajmniej raz. Zaczęły mu drżeć dłonie.

- Cokolwiek to zrobiło - powtórzył szorstko - jest jeszcze w środku. - Powędrował spojrzeniem po przerażonych twarzach Antoine'a i Pierre'a. - Co zrobiła z was bestia? - zawołał zrozpaczony. - Jej zemsta jest straszliwsza, niż sądziłem. - Zaciśnął palce na broni. Nie wiedział, co ma robić. Jeszcze więcej bestii to za wiele dla Gévaudan.

Antoine zeskoczył ze stryszka z sianem i stanął przy Ojcu. Przeczynał, co się z nim dzieje.

- Nie możesz dopuścić, by bestia wygrała z nami, ojcze. Nie pozwól jej na zwycięstwo, zabijając nas! Znajdziemy... znajdziemy lekarstwo, które uwolni nas od klątwy. - Założył buty. - Znam jednego kata, który rozumie się na magii. On będzie potrafił powiedzieć, co nam pomoże przeciw loup-garou. - Padł na kolana i błagalnie spojrzał ojcu w oczy. - *Zaklinam cię, ojcze! Jesteśmy twoimi synami, z twego ciała i krwi. Nic nie poradzimy na to, że staliśmy się bestiami. Pomóż nam złamać klątwę, którą na nas rzucono. Nie chcę umierać!*

Jean Chastel popuścił wodze rozpacz, padł w ramiona Antoine'a. Pierre przyłączył się do nich, łkając z żalu. W trójkę klęczeli w marznącej z wolna krwi pasterza i szukali u siebie nawzajem wsparcia oraz pociechy.

W końcu leśniczy wstał, dźwignął również swoich synów i spojrzał na nich twardo.

- Masz rację, Antoinie. Znajdziemy lekarstwo i znów zapolujemy na bestię. - *A ja od tej chwili będę pilnował każdego waszego kroku*, dodał w myślach, *żebyście nie pomnażali cierpienia ludzi. Choćbym miał nawet was z tego powodu uwięzić*. Pełen smutku i gniewu

spojrzał na poszarpane ciało chłopca, obiecując bestii za to straszliwe cierpienia i śmierć w męczarniach. - Odejdźmy stąd, nim burza się skończy i zaczną szukać chłopca i owiec.

Antoine i Pierre poprawili ubranie, uporządkowali swoje rzeczy i wyszli na dwór. Już po kilku krokach ich kontury rozmyły się w świszczącej kotłowaniu wiatru i gniewnych płatków śniegu.

Jean w drzwiach odwrócił się jeszcze raz i spojrzął na to, co było dziełem jego synów. Zdjął z haka lampę, stłukł szkło i rzucił ją w siano. Płomienie natychmiast strzeliły w górę, obejmując suchą trawę. Owce, becząc, wybiegły na zewnątrz, uciekając od ognia.

Kiedy ostatnie zwierzę uciekło z szopy, Jean zamknął wejście. Uznał, że ojcu chłopca łatwiej będzie znieść myśl, iż jego potomek zginął od ognia, niż od szponów i kłów dwóch bestii. Prawda nigdy nie może wyjść na jaw. Nigdy.

# Rozdział VI

Monachium, listopad 2004,  
godzina 13:51

Eryk zatrzymał cayenne na alejce prowadzącej do willi, którą zapisał mu ojciec. Dokładniej mówiąc, zatrzymał się przy zwęglonej ruinie. Dżdżysta, szara jesienna pogoda nie przydawała urody temu miejscu.

Wysiadł, oparł się o otwarte drzwi porsche i spokojnie patrzył na to, co teraz należało do niego. Spędził tu większość dzieciństwa, biegał po długich korytarzach, krył się na ogromnym, tajemniczym strychu i w którymś ze swoich sławnych napadów złości rzucał wokół siebie garnkami. Tu ojciec nauczył go wszystkiego, co potrzebne do polowania: wiedzy o przemienkach, ich języków i zwyczajów. Ćwiczył go w sztuce kłamania, szpiegowania, a przede wszystkim w walce. Od osiemnastych urodzin rozpoczął życie wojownika, w którym początkowo towarzyszył mu ojciec, by po dwóch latach usunąć się w cień i zacząć gorączkowo prowadzić badania. Posiadłość w Monachium była główną siedzibą ich starej i bogatej w tradycję rodziny - dom pełen ukrytych skarbów, zebranych przez dynastię von Kastellów.

To wszystko... było.

Okazała budowla z XVIII stulecia przestała istnieć, spłonęła, zawaliła się aż po fundamenty, przeminęła. Niektóre samotne szyby stawiały opór ogniewi i zapłacały za to Ślepotą, inne pękły albo rozsypały się. Ten widok sprawiał mu ból.

Na policji sprawa wyglądała następująco: inspektorzy kryminalni znaleźli resztki materiału wybuchowego C4 i zapalnik. Eryk nie należał do grona podejrzanych. Przygotował sobie alibi i uniknął śledztwa.

Nogi Eryka niosły go jakby same po skrzypiącym śniegu w górę schodów z piaskowca. Przeszedł pod biało-zieloną policyjną taśmą, dotknął cuchnących sadzą i węglem drzwi, pogłaskał je jak starego przyjaciela i w końcu wszedł do holu. Białe-czarne kafelki znikły pod gruzem, ukochane drewniane schody poddały się płomieniom i sterczały jak niezdefiniowane czarne coś na drugim końcu korytarza.

Jednak Eryk nie wybierał się na pierwsze piętro. Pracownia u góry była zniszczona, ale prawdziwa wiedza była zmagazynowana gdzie indziej. Z trudem utorował sobie drogę do kuchni, która wyglądała, jakby ucierpiała tylko od fali uderzeniowej wybuchów. Tu było wejście do ukrytej piwnicy.

Podszedł do regału z zapasami, na którym wciąż jeszcze leżały te małe, smaczne suche kiełbaski, przesunął go w tył, otwierając w ten sposób dojście do wąskich schodów. Prowadziło do tajnego królestwa jego ojca - podziemnego laboratorium i jedyne w swoim rodzaju arsenału broni.

Zszedł po ciemku; znał każdy stopień, każdą nierówność. Wiedział, gdzie są ukryte włączniki systemu bezpieczeństwa. Gdy dotarł na dół, otworzył potężne, stalowe drzwi i chciał wejść do znajdującego się za nimi pokoju pogrążonego w nieprzeniknionych ciemnościach.

Ostrzegło go ciche szuranie na schodach.

Dobyl Sig Sauera i skierował ku wejściu latarkę.

- To teren prywatny. Jeśli to policja, proszę się natychmiast odezwać.

Szuranie stało się głośniejsze. Ktoś bardzo ostrożnie schodził po schodach i najwyraźniej dokładnie wiedział, na których stopniach nie wolno mu stanąć.

To się na nic nie przyda intruzowi. Eryk rzucił latarkę na ostatni stopień, aktywując w ten sposób system bezpieczeństwa.

Prosta mechanika to coś cudownego, ponieważ nie potrzebuje prądu, by działać. Mocne żelazne sprężyny, trzpień, zastrzony srebrny pręt - zrepetowane pięćdziesiąt razy stworzyło skuteczną broń. Wpuszczone w ścianę srebrne pręty wyskoczyły z zakotwiczenia, nadziewając wszystko, co znajdowało się na schodach.

Eryk usłyszał przerażone, bolesne wycie. Pochylił się po latarkę i zaświecił. Snop światła padł na czerwoną strugę, spływającą po schodach i syczącą, gdy miała styczność ze srebrem.

- Ty bydlaku - krzyknął i posunął się ku ścianie przy wejściu, na której zamocowano dźwignię zwalniającą zasadzkę.

Eryk dezaktywował mechanizm i zaraz potem po schodach stoczyły się zwłoki nagiego, bardzo młodego mężczyzny. Leżały na schodach głową w dół. Pręty przebiły go w siedmiu miejscach równocześnie i „przetopiły” wilkołaka w człowieka.

Z góry dobiegły pośpieszne kroki i chrzęst gruzu. Ktoś uciekał.

Eryk, rzucając się w pogoń, poczuł, jak robi mu się gorąco. Czas rozpocząć polowanie!

Kiedy wybiegł z domu, zobaczył pędzącą przez zaśnieżony ogród kobietę. Obejrzała się na niego i zdarła kurtkę; w biegu rozbierała się dalej, na ile mogła. Była już poza zasięgiem



strzału.

- Chcesz się przemienić, co? - Popędził do cayenne, wsiadł i skręciwszy przy zaśnieżonej rabacie, zjechał po małych schodkach na łąkę. Spod kół trysnął śnieg i przeleciał za bocznymi oknami. Wóz terenowy uwielbiał takie wyzwania i szybko dogonił uciekinierkę. Eryk widział w niej uciekające na dwóch nogach informacje.

Kobieta, która już zupełnie pozbyła się wierzchniej odzieży, rozumiała, że na rozległej łące nie ucieknie przed 450-konnym porsche, więc skręciła i zmierzała w kierunku małego lasku, którego Eryk nienawidził już w dzieciństwie. Był to gęsty zagajnik jodłowy, mroczny jak noc i niesamowity. Podobno w XIX wieku zaginęło w nim siedmiu ludzi, którzy byli w willi z wizytą. On sam kiedyś w nim zabłądził i ze strachu omal nie umarł.

Kobieta o długich, czarnych włosach zatrzymała się na granicy lasu, zdarła buty, spodnie i majtki i naga pobiegła dalej. Erykowi starczyło tylko czasu na dostrzeżenie jej obfitego, kołyszącego się biustu, potem znikła. Nie przychodziło mu do głowy nic lepszego, niż zapolować na nią i zabić. Jednak to nie było zgodne z regułami gry.

Zatrzymał cayenne, wyskoczył i chwycił przepocony podkoszulek kobiety. Głęboko wciągnął jej zapach i pobiegł za nią. Najciszej jak mógł, biegł przez las. Kierował się odgłosami łamanych gałązek i wciągał zimne powietrze nosem, żeby wytropić przemienca.

Nie znalazł jej. Zatrzymał się, sięgnął po srebrny sztylet i zdjął okulary. Świat natychmiast rozmył się jak na rysunku zalanym wodą, ale za to jego nieosłonięte jasnobrażowe oczy reagowały teraz na najmniejszy ruch. I rzeczywiście dostrzegł kobietę: sądząc po sylwetce, znajdowała się w pośrednim stadium, krótko przed całkowitą przemianą w wilka.

Eryk ruszył pędem, zdając się na swój wzrok, wychwytyjący każde, choćby najostrożniejsze wymknięcie się przeciwniczki. Jego oczy można by porównać z celownikiem nowoczesnej broni, a on sam był niezmordowaną rakieta, wciąż na nowo justującą swoją trajektorię, która spocznie dopiero, gdy trafi do celu.

Przemieniec nie spodziewał się jego ataku. Eryk skoczył na wilczycę od tyłu, przetoczył się z nią po śniegu i siadł na niej. Rękawicą chwycił długie, zimowe futro na jej gardle, ręka ze sztyletem uderzyła i wbiła ostrze w ramię, dokładnie w staw. Nie śmiertelnie, ale bardzo, bardzo boleśnie. Wilczyca zawyła przestraszona. Nie ważyła się już poruszyć, tylko skowyczała, pogodzona z losem.

To mu podpowiadało, że nie ma przed sobą wojowniczkę. W każdym razie na nią nie wyglądała.

- Przemień się z powrotem - zażądał i odwrócił ją, odgiął pysk do tyłu, a potem przyłożył

sztylet do obnażonej szyi. Nadal widział ją niewyraźnie. Dopiero gdy usłyszał trzeszczenie i poczuł, że głowa pod jego palcami zmienia się i nabiera ludzkiego kształtu, zdjął dłoń z jej twarzy i nałożył okulary.

Kiedy przemiana była zakończona, Eryk kucnął na brzuchu dziewczyny najwyżej siedemnastoletniej, patrzącej na niego ze strachem i jęczącej, gdyż rana na ramieniu przyprawiała ją o ogromny ból. Srebro spaliło jej ciało i nie pozwoliło się zregenerować. Zakrwawione ostrze na jej skórze syczało, wrzały od niego jej życiowe soki.

- Jak się nazywasz?

- Tina - jęknęła. - Proszę, ja...

- Kim był ten drugi i czego szukaliście w moim domu? - Szybko rozejrzał się, nasłuchiwał, wciągnął wiatr w nozdrza. Dzięki Bogu, byli sami. Teraz wyglądało to na gwałt, nikt, widząc ich, nie wzięby tego za nic innego i nie stałby spokojnie. Przypadkowi wybawcy wpędziliby Eryka w niepotrzebne kłopoty. - Więc, Tina?

Leżała zupełnie spokojnie.

- Mieliliśmy sprawdzić, co zostało i czy ktoś się tam nie pokazał, odkąd odeszła policja - szepnęła i zaczęła drzeć. Jej usta zsiniały. Bez ochrony futra i ubrania marzła jak zwykły człowiek. - On... on był moim przyjacielem. Ktoś do niego zadzwonił i wysłał w to miejsce. Ja tylko z nim poszłam.

- Ktoś?

- Nie wiem kto!

- Kto podłożył bomby? Upuaut?

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Co? Kto? Nie, nie mam pojęcia. Nie wspominał takiego imienia. - Krzyknęła cicho, gdy ostrze zacięło jej szyję o milimetr głębiej. - Francuz! To był ten Francuz! - krzyknęła płacząc.

- Jak on się nazywa? Chassart?

Znów była zaskoczona.

- Nie. Faux... nie, Fauve czy jakoś tak.

- Kim on jest? Wilkiem? Czy czymś innym? Gdzie mogę go znaleźć?

- Na świętego Fenrisa, przysięgam, że nie mam pojęcia! - Ze strachu i z bezradności płakała tak, że zmiękczyłyby kamień. - Przecież nic nie zrobiliśmy, poszliśmy tylko do tej cholernej ruiny i...

Westchnął.

- Urodziłaś się jako likantrop?

- Tak. - Tina dzwoniła zębami. Nie była w stanie już powiedzieć niemal jednego zrozumiałego słowa. - Nic na to nie poradzę...

Odsunął sztylet.

- To podziękuj swoim rodzicom. Ja...

Strach Tiny minął, jak ręką odjął. Zrozumiała, że nie ma sensu liczyć na współczucie Eryka i odgrywać małej, bezbronnej dziewczynki. Zamiast tego zaatakowała. Dźwignęła się, ile mogła, otworzyła usta, długie, ostre zęby kłapnęły w kierunku jego gardła. Równocześnie próbowała chwycić go za ramiona.

Eryk już wcześniej liczył na atak. Jego sztylet przeszedł między zębami i rozciął serce. Tina nie zdążyła krzyknąć, tylko parsknęła. Jej oddech ogarnął go jak biała chmura, jej spojrzenie - dzikie i równocześnie niedowierzające - zmąciło się. Ciało zwiotczało, ręce opadły bezsilnie na śnieg.

Zapach jej ciepłego oddechu został mu w nozdrzach. Niedawno jadła kebab, paliła papierosa i próbowała zabić ich smak gumą do żucia. Cynamonową.

Przez chwilę Erykowi było przykro, że pozbawił ją życia. Tina jednak nie była miłą, zabłąkaną w lesie nastolatką. Należała do *nich*, zagrażała ludziom i powiększała zasięg zarazy.

Jasne słońce przebiło się przez ciemnoszare chmury nad Monachium, stado wron przeleciało nad zielonymi jodłami, głośno skrzecząc, jakby skarżyły się, że zabił młodą kobietę.

Przyjrzał się jej raz jeszcze. Nienawidził chwil takich jak ta. Chwil, w których zmuszony był zabijać. Zabijać stworzenia takie jak Tina.

- Fauve - powiedział cicho, wstał, wyciągnął nóż z jej piersi i wytarł go do czysta o śnieg. Miał punkt wyjścia dla śledztwa.

Eryk zaniósł zwłoki do samochodu, zebrał ubranie dziewczyny i pojechał z powrotem na zgliszcza. Wniósł Tinę po schodach, przez kuchnię, i stanął.

Gryząca chmura uderzyła go z tajnej piwnicy, zakaszłał i zaklął równocześnie: jeszcze ktoś tu był, ktoś, kto wykorzystał Tinę do odwrócenia jego uwagi.

Eryk rzucił zwłoki na płytki i zszedł po schodach, aż stanął przed stalowymi drzwiami. Zrobił błąd, nie zamykając ich.

- Gównu - wymamrotał.

Ostrożnie wszedł do laboratorium i poruszył włącznikiem światła. Lampa na suficie nie zapaliła się - nie będzie prądu, aż nie włączy awaryjnego agregatu. Snop światła z latarki oświetlił chaotyczny nieład topiących się mebli, stołów, bulgoczących i tryskających

pęcherzami urządzeń. Wyglądało to jak obraz Salvadora Dali w 3D. Zniszczono od razu wszystkie zapiski.

Eryk obejrzał dzieło zniszczenia. Wokół rozsypane były okruchy szklanych pojemników; gryzący smród, syczenie, dziury w papierach, płytach CD i dyskietkach świadczyły o rozlanym tu litrami kwasie. Ostrożnie omijał kałuże na podłodze. Kwasowe koktajle są skuteczniejsze od bomb podpalających. Po ogromnej wiedzy i odkryciach jego ojca nie zostało nic, co mógłby spożytkować.

Małe laboratorium chemiczne w tylnej części piwnicy leżało w gruzach. Rozlane agresywne substancje w reakcji z kwasem nie pozostawiły nic prócz staroświeckiej szklanej fiolki, którą Eryk dostrzegł na podłodze. Zamarł. To była najcenniejsza rzecz, jaką posiadała jego rodzina, cenniejsza od wszelkich posiadłości na całym świecie. A jednak wrogowie przeoczyli tę fiolkę, pewnie dlatego, że wydawała się zawierać jedynie jakąś zaschlą substancję. Obok niej leżała notatka, prawie całkiem przeżarta przez kwas. Eryk wziął obie rzeczy. Zdeponuje je w bezpiecznej bankowej skrytce.

Jego płuca nie mogły już znieść gryzącego powietrza. Musiał wyjść. Szybko zaniósł zwłoki Tiny do piwnicy i tam je pozostawił. Kiedy trujące opary przerzedzą się, wróci jeszcze raz przeszukać laboratorium i pozbyć się zwłok.

Zmęczony, aktywował pułapkę, zamknął wejście w kuchni i wsiadł do porsche. Ktokolwiek tu był, chciał tylko zniszczyć zapiski ojca Eryka i jego przodków. Ostatniego myśliwego z rodziny von Kastell nieznajomy zdawał się postrzegać jako mniejsze zagrożenie.

Eryk wrócił do hotelu w centrum Monachium, by pozwolić sobie na prysznic i coś do jedzenia. Potem zadzwoni do kilku starych informatorów ojca albo skontaktuje się z nimi e-mailem, żeby dowiedzieć się czegoś o tym Fauve'ie. Dziś już nie wyruszy na polowanie; dziś przelano już dość krwi.

Zaparkował cayenne w podziemnym garażu. Wsiadł do windy, nie zauważywszy nawet ładnej kobiety, jadącej z nim do góry. To, że potrafi zabijać, nie znaczy, że nic sobie nie robi z zabijania. Wręcz przeciwnie.

W swoim apartamencie zrzucił z siebie ubranie i broń, wziął prysznic i nagi położył się na łóżko. Skrzyżował muskularne ramiona za mokrymi, czarnymi włosami i wbił wzrok w sufit.

Śmierć ojca, krew i strzelaniny, Justine, wnętrzności, Tina, zapach zwłok, Fauve, połyskujące ostrze, Upuaut, przerażony płacz, przestraszone twarze i kłapiące kły. To wszystko mieszało się w coś, co dręczyło jego rozum i z czym nigdy nie zdoła sobie poradzić.

Przetoczył się po łóżku i poszedł do sąsiedniego pokoju, tam, gdzie rozstawił sztalugi.

Rzadko bez nich podróżował.

Wymieszał farby i zaczął gorączkowo malować. Mieszał czerń i czerwień, zamalowywał je żółcią, bielą. Nie przestawał, aż nie wyssał ze swych wnętrzności zatrującej je zgrozy i nie wypluł jej na płótno. Dysząc, cofnął się i patrzył na swoje dzieło. Zobaczył dwoje abstrakcyjnych oczu, oczu Tiny, z których wyzierały niezdefiniowane obawy.

Jego obawy.

Ale potem, powoli, poczuł spokój, którego tak tęsknie wyczekiwał; na wszelki wypadek zażył jeszcze kilka swoich specjalnych kropli, padł zmęczony i wypalony na łóżko i natychmiast zasnął.

Monachium, 12 listopada 2004, godz. 09:01

- ...urzędnicy Petersburga opowiadają o potwornym zdarzeniu, o jakim nie słyszano w dziejach miasta. Jak nas poinformowano, brzuch małej dziewczynki rozpruto tępym narzędziem albo grubą igłą - mówiła do kamery korespondentka, starając się wyglądać na niezwykle zmartwioną.

Eryk zaklął i siadł na łóżku prosty jak świeca. Gość mieszkający przed nim w tym pokoju najwyraźniej włączył w telewizorze funkcję budzika i ten posłusznie dalej wykonywał swój obowiązek, nie zważając na to, że w łóżku śpi kto inny. Eryk chciał chwycić pilota, ale dotarło do niego, o czym opowiada kobieta.

- Morderca, jak się wydaje, zabrał wnętrzności i pocałował twarz ofiary, czyniąc ją zupełnie nierozpoznawalną. Komisarz śledczy wspomina o rozszarpanym gardle.

- Gównu - szepnął zdenerwowany. - Gównu, gównu, gównu! - Eryk chwycił telefon i wybrał numer recepcji. - Proszę zarezerwować mi lot do Petersburga - zażądał. - Jeszcze dziś. Obojętnie, jak pani tego dokona.

Wyświetlane zdjęcia zmasakrowanej dziewczynki były zamazane, żeby oszczędzić widzowi nadmiaru szczegółów. Eryk dostrzegł podwórko, śmietniki, przewrócone wiadro; mała, martwa dziecinna piastka trzymała kurczowo usmarowany krwią uchwyt wiadra.

- Utworzono specjalną komisję. Burmistrz Petersburga w odpowiedzi na nasze pytanie podkreślił, że Wenecja Północy nadal jest bezpiecznym miastem i turyści nie powinni dać się odstraszyć temu bestialskiemu mordowi. W Nowym Jorku, jak mówi burmistrz, codziennie umiera więcej turystów niż tutaj. Silke Mayr dla News International.

Eryk odłożył śledztwo w sprawie Fauve na później. Stary wróg dał o sobie znać i domaga się, by na niego zapolowano.

Zadzwoił do zarządcy domu w Petersburgu i polecił mu dokonać kilku sprawunków.

Wkrótce potem administracja hotelu poinformowała go, że zarezerwowano dla niego lot o szesnastej. Dość czasu, by przedtem zanieść obraz do galerii i przeprosić Dimitriego za awanturę podczas wernisażu.

Powstałego w nocy obrazu nie owinał nawet w plastikową folię, zdjął go po prostu ze sztalugi i niedbale rzucił do bagażnika cayenne. Jeśli się podrapie, porysuje albo pomaże, wiedział, jak to nazwie: *Abstract axpression*.

Dimitri przyjął go z rosyjską gościnnością: szklanką wódki, garścią rodzynek i kręceniem głowy.

- Jak mogłeś mi to zrobić, Eryku? - Wskazał na puste miejsce na ścianie, gdzie poprzednio wisiał przetworzony obraz. - Jak możesz stworzyć nowy styl i potem nic nie przynieść?

Eryk roześmiał się.

- Sprzedałeś go już?

- Ledwie wydrukowano gazetę, a już dzwoniło czterech kolekcjonerów i wzajemnie się przebijali. - Stuknęli się szklankami. - Przykro mi z powodu twojego ojca.

- Ile za niego dostałeś? - Eryk zmienił temat. Nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać o ojcu z właścicielem galerii, z alfonsem artystów, jak go czasem nazywał. Zamiast tego wlał w gardło połowę lodowatej wódki i wsunął do ust kilka rodzynek. Słodycz przyjemnie rozlała się na języku.

- Trzymaj się. - Dimitri zrobił dramatyczną pauzę. - Dwadzieścia pięć tysięcy.

- Dolarów?

Właściciel galerii skrzywił się z obrzydzeniem.

- Euro, mój drogi, euro. Po odjęciu mojej prowizji zostaje ci jeszcze dwadzieścia. - Potem, z udawaną obojętnością, zwrócił uwagę na nowe dzieło. - To nieźle wygląda... ale czegoś brakuje.

Eryk obojętnie chlusnął resztą wódki na płótno, rozmazał ją dłonią, wyjął swój srebrny sztylet i kilkakrotnie dźgnął w oczy. Teraz krytycy sztuki z psychoanalitycznym zacięciem będą mieli materiał do interpretacji.

- Lepiej, znacznie lepiej! - zachwycił się Dimitri i od razu powiesił obraz na pustym miejscu. Jedna z pracownic podeszła i umieściła przed nim stojak z napisem *Abstract axpression*. - Zrobisz z nas bogaczy, Eryku.

- Jasne. - Przeżuł resztę rodzynek i dołał sobie. Ten trunek optymalnie nadawał się na przygotowanie do pobytu w Rosji. Zaburczało mu w brzuchu. - Miałbyś coś do jedzenia?

- Zależy, na co masz akurat apetyt... - Skinął głową w kierunku wejścia.

Eryk nie musiał się odwracać, by ją poczuć i usłyszeć. Przestępca wraca na miejsce zbrodni.

- To przecież ta dziewczyna! Ma odwagę jeszcze tu przychodzić... Szacunek. Chcesz odegrać obrońcę przed złym właścicielem galerii?

Eryk odwrócił się do Seweryny, która próbowała zamaskować się trochę przy pomocy kapelusza, słonecznych okularów i szala. Ubrana w spodnie i sweter z golfem, płaszcz i wysokie buty miała te same. Nerwowo rozglądała się po galerii. Choć jej okulary miały ciemne szkła, Eryk dobrze widział, na co patrzy; Seweryna jeszcze go nie dostrzegła.

- Idę zjeść z nią śniadanie. Cześć. - Wcisnął szklanekę w dłoń Dimitra.

- Życzę wiele inspiracji dla nowych arcydzieł - krzyknął za nim Rosjanin. - Niech żyje *abstract axpression!*

Eryk tylko uniósł dłoń. Z inspiracji, jak Dimitri nazywał jego niewysłowione koszmary, wolałby zrezygnować. Pozwolił sobie na żart i podkraść się do Seweryny pod osłoną cienkiego przepierzenia.

- I co, nic ciekawego się nie dzieje na ulicy? - odezwał się zniecierpliwiony za jej plecami, a ona rzeczywiście drgnęła przestraszona. - Chodźmy, zapraszam panią na śniadanie.

- Żartowniś z pana, Eryku - stwierdziła na poły ucieszona, na poły rozgniewana. - Mógł mi pan spokojnie powiedzieć, że to pan jest tym artystą.

- Po co? - Wzruszył ramionami. - Zrobiłaby pani coś inaczej?

Seweryna zdjęła okulary słoneczne.

- Nie. Powiedziałabym panu, że uważam pański obraz za gówno, ale oszczędzone mi byłoby poczucie, że zostałam oszukana.

- Chodźmy na śniadanie - powtórzył zaproszenie i poszli do małego „Café Gentil” obok galerii. - Powołała pani do życia nowy styl, na którym mój przyjaciel Dimitri zarobi mnóstwo pieniędzy. - Wyjął portfel, a z niego czek i napisał na nim *dwadzieścia tysięcy*. - To należy do pani. Proszę to wziąć. - Eryk podsunął zdumionej Sewerynie kwit i przywołał kelnera, który nie mniej zbaraniały patrzył na sumę.

- Do diabła, Eryku, ale ja naprawdę chciałam czynić panu wyrzuty - poskarżyła się. - Jak mam to teraz zrobić?

- Wie pani co? - Spojrzał w jej błękitne oczy. - Proszę iść do Dimitriego i powiedzieć mu, że pozwoliłem pani potraktować mój ostatni obraz na swój własny sposób. Wtedy będzie pani miała udział w zysku ze sprzedaży. Co pani o tym sądzi?

Przyjął kawę i spojrzał na przyniesione przez kelnera śniadanie; potem jego oczy powędrowały ku Sewerynie, ku jej twarzy, pochwyciły spojrzenie kobiety. Eryk dostrzegł

pożądanie, a i on miał ochotę na odmianę, przede wszystkim na coś, co odwróci bieg jego myśli. Seweryna pachniała cholernie dobrze. Niesamowicie dobrze. Uśmiechnął się do niej wyzywająco. Tym razem jej pozostawił do zrobienia pierwszy krok i odegranie roli uwodzicielki.

- Czy zaskoczyłem panią? - Podsunął jej koszyczek z *croissants* i dostarczył perfekcyjnego pretekstu: - Proszę wykorzystać okazję. Może się już więcej nie nadarzyć.

- Skoro tak... - Seweryna wstała, wyjęła mu z dłoni koszyczek i pociągnęła za sobą do damskiej toalety. Eryk nie zadał sobie trudu odgrywania zaskoczenia ani stawiania oporu.

Wepchnęła go do pierwszej kabiny, weszła za nim, zamknęła drzwi.

- Przysięgam, że nigdy w życiu nie robiłam niczego podobnego. - Potem nagle jej dłoń odpinała pasek jego spodni. - To zależy tylko od ciebie. - Całowała go, dłoń wsunęła pod czarny sweter i pieściła jego wytrenowane ciało. Z przykrością zauważył, że zwraca się do niego przez ty. Pokonała pierwszą barierę, a to mu się ani trochę nie podobało.

- Więc jednak jest pani prostytutką?

- Zrobiłabym to i bez tych dwudziestu tysięcy - uśmiechnęła się. - Komórka tym razem wyłączona? A może znajdziesz inny powód, żeby zniknąć?

- Nie zadzwoni.

Jego dłonie wsunęły się pod jej sweterek, podsunęły do góry biustonosz i pieściły sutki, które stwardniały mu w palcach. Pocałował ją z boku w szyję, dziko i pożądliwie, co sprawiło, że cicho się roześmiała, z pożądaniem i zaskoczeniem w głosie. Przycisnął ją do drzwi, całował namiętnie w usta i pieścił jej ciało. Nie dał ani sekundy spokoju, dopóki po jej przyspieszonym oddechu nie poznał, jak bardzo jej się to podoba. Potem nagle ją odwrócił. Dysząc, oparła się dłońmi o zbiornik z wodą, kiedy on zsuwał jej spodnie i stringi. Zaczął ją pieścić.

Seweryna cicho jęczała. Oddając się całkowicie, rozkoszowała się chwilą. Eryk pieścił ją. Wykorzystał moment jej ekstazy, żeby naciągnąć prezerwatywę. Potem wszedł w nią. Przy pierwszym orgazmie uruchomiła splotkę, by zagłuszyć cichy krzyk, przy drugim zapomniała i w ten sposób całe „Café Gentil” dowiedziało się o jej rozkoszy.

Eryk delikatnie wyszedł z niej i pocałował nagie plecy. Kiedy podciągał spodnie, Seweryna opadła na klapę toalety. Oczy miała jakby zasłonięte cienkim welonem. Odchyliła głowę na kark, zmierzwił jasne włosy opadły z jej spoconej twarzy, westchnęła:

- O, cholera.

- Właśnie chciałem powiedzieć to samo - stwierdził, spojrzawszy na zegarek. - Muszę iść.

- Pocałował ją w dłoń. - To była dla mnie przyjemność. I myślę dokładnie to, co mówię. -



Otwarł drzwi, skinął głową udającym zajęte kobietom, które z torebkami i szminkami stały przed lustrem, i zniknął.

# Rozdział VII

9 stycznia 1765, w pobliżu Auvers,  
klasztor Saint Grégoire, Południowa Francja

Pierre spojrział na zamkniętą bramę kaplicy pielgrzymów przylegającą do zewnętrznego muru klasztoru. Z ociąganiem zdjął muszkiet z ramienia i oparł o szary kamień. Dopiero potem popchnął zwietrzałe drewniane drzwi i bez broni wszedł do środka.

Skromną świątynię, jak wszystkie budowle w okolicy wzniesioną z granitowych kamieni, skąpo oświetlał blask dwu małych świec. Również przyćmione zimowe światło, przenikające przez kolorowe okienne szybki i rozetę nad wejściem, nie wystarczało do oświetlenia wszystkich kątów. Wnęki po obu stronach głównej nawy były pogrążone w półmroku.

Pierre zdjął trójgraniasty kapelusz, przeciągnął dłonią po krótkich, czarnych włosach i wciągnął powietrze. Wyczuł zimne kadzidło i sadzę od świec. Mieszały się z nimi zapachy kamienia i drewna, tworząc atmosferę dostojności, w której wierzący dobrze się czuli i pragnęli zbliżyć do Boga.

Młody człowiek głęboko nabrał powietrza, jego oddech na chłodzie utworzył delikatną mgiełkę. Miał nadzieję, że jest w kościele sam i będzie mógł pomodlić się w odosobnieniu. Z powodu jego ojca i brata nazwisko Chastel niekoniecznie kojarzono z pobożnością. Ludzie z pewnością gapiliby się na niego, szeptali i zaczęli rozpowiadać o nim nieprawdopodobne historie.

Przede wszystkim Pierre nie chciał, żeby o wizycie w klasztorze dowiedział się ojciec. Oficjalnie tropił teraz bestię, ale nogi w osobliwy sposób same poniosły go w okolice Saint Grégoire. Kiedy ujrzał budowlę na wzgórzu, wabiącą go obietnicą bezpieczeństwa i znakiem krzyża, nie mógł się powstrzymać. Przywołała piękne wspomnienia ukochanej matki, która nauczyła go modlitwy.

Pierre poszedł lewą boczną nawą, starając się nie szurać hałaśliwie butami w drodze do obrazu świętego Gregoriusa. Ukłąkł przed malowidłem, opuścił czarną głowę i zamknął oczy. Złożywszy dłonie, wymamrotał najpierw kilka Ojcze nasz. Potem mówił dalej:

- Święty Boże, uwolnij mnie od tej gorączki, którą zadała mi bestia i która odbiera mi

zmysły. Nie wiem, co robię, kiedy mnie opanuje. Czasem mam na dłoniach krew, a naprzeciw mnie siedzi Antoine, patrzy na mnie i mnie nie widzi. Uwolnij nas od tej klątwy! Boję się, że zabiję jeszcze więcej niewinnych.

Rozpacz wycisnęła mu z oczu łzy. Gorące spływały po gładko ogolonej twarzy i kapały na płaszcz. Myślał o miejscach, w których bestia w ostatnich dniach uderzyła. Trzy młode dziewczyny zostały w znany sposób rozszarpane w Saint Juéry, Morsange i Reitutort; w przynajmniej jednym wypadku to nie mogła być bestia. A więc albo on, albo Antoine ponosi winę za śmierć niewinnej. *A może byliśmy tam obaj?* Jego dłonie zacisnęły się kurczowo. Pierre głośno zaszlochał.

- Boże, zabierz mnie do siebie! Nie zniosę już tego!

- *Monsieur*, czy mam zawołać siostry? - spytał młody kobiecy głos.

Pierre uniósł głowę; oślepiiony łzami widział tylko jasną plamę ujętą w ramę materiału. Otarł oczy rękawem i podźwignął się na odrętwiałe i sztywne nogi. Podczas żarliwej modlitwy stracił poczucie czasu.

- Wy...

Przepiękna twarz kobiety, która nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat, odebrała mu mowę. W okolicy żołądka zrobiło mu się ciepło, ale natychmiast sumienie upomniało go, że w Domu Pańskim nie wolno mieć nieprzystojnych myśli.

Uśmiechała się, zmieszana, i opuściła błękitne oczy.

- *Monsieur*, język panu zamarzył? - Spod kaptura wymknął się kosmyk brązowych włosów.

- Wybaczcie - przeprosił. - Byłem jeszcze pogrążony w modlitwie, gdy usłyszałem wasz głos i myślałem, że niebo zsyła mi anioła, by uwolnił mnie od moich myśli. - Gdy te słowa spływały z jego ust, pojął, jak bardzo przypominają one umizgi. - Ale proszę, nie zrozumcie mnie źle. - Próbował ratować sytuację i poczuł, jak rumieniec oblewa mu twarz. - Nie chcę wprawić was w zakłopotanie. Ja lepiej... lepiej będę już cicho - westchnął zrezygnowany. - Wszystko, co wychodzi z moich ust, z pewnością brzmi w waszych uszach jak mowa błazna.

Uśmiechnęła się.

- Nie, *monsieur*. Jesteście tylko zmieszani. - Poprawiła ciemny płaszcz, ukazując przy tym rąbek ciemnoczerwonej sukni i czubate buciki.

- Nie należycie do zakonnic? - wyrwało mu się zdradliwie radośnie.

- Nie, jestem podopieczną wielebnej przeoryszy.

To wyznanie uczyniło go jeszcze szczęśliwszym.

- Czy miałby pan ochotę na zupe, *monsieur*...? - zawiesiła głos, czekając, aż Chastel się

przedstawi.

Pierre zawahał się. *Mam podać jej moje nazwisko?* W Domu Pańskim, przed obrazem świętego i pod krzyżem nie chciał kłamać, więc przyznał się do swojej rodziny.

- Proszę, *monsieur* Chastel - powiedziała, kłaniając się delikatnie i skłaniając głowę. Albo nie słyszała jeszcze o wątpliwej reputacji leśniczych, albo się nią nie przejmowała. - Zaprowadzę was do jadalni, gdzie podadzą wam coś ciepłego. - Podeszła do bocznych drzwi kaplicy, prowadzących do klasztoru.

Pierre zatrzymał się.

- Jesteś bardzo miła, ale niestety muszę iść, *mademoiselle*...?

- Taupin. Nazywam się Florence Taupin. - Jej oczy promieniały. Było jasne, że i ona uważa go za przystojnego, choć oczywiście skromnie spuściła wzrok. - Co wygania pana na dwór bez jedzenia?

- Musi polować na wilka - dobiegła twarda odpowiedź od drzwi wejściowych i młodzi ludzie drgnęli, przestraszeni. - Już dość czasu zmarnował na klęczenie przed wizerunkiem martwego klechy.

Pierre poznał sylwetki brata i ojca, którzy w przeciwieństwie do niego nie odłożyli broni. Nie przejmowali się zasadami obowiązującymi w domu poświęconym Panu.

Jean rzucił ku niemu muszkiet.

- Zostawiłeś go na zewnątrz, Pierre. Był drogi. Chcesz, żeby zabrał go przechodzący wieśniak?

Pierre niechętnie chwycił broń i pośpiesznie ruszył ku wyjściu z kaplicy.

Florence zareagowała na szorstkie wtargnięcie w zupełnie niespodziewany sposób.

- Skoro jesteście jego ojcem, *monsieur*, na pewno i wy macie za sobą równie długą drogę w chłodzie. Zapraszam także was i waszego towarzysza na zupę.

Zachowała przyjazny ton, choć było po niej widać, że musi się przemóc, aby nie wybuchnąć. Miłość bliźniego zdawała się być dla niej czymś więcej niż tylko słowem, nawet jeśli bliźni zachowywał się opryskliwie. To zmieszało leśniczego i jego zamknięte w sobie oblicze przybrało łagodniejszy wyraz.

- Wybaczcie, *mademoiselle*, późno już, a my musimy przed nocą dojść do wioski.

- Mamy domek dla gości... - zaczęła Florence, gdy nagle otworzyły się drzwi w bocznej nawie. Przeorysza Gregoria weszła do kaplicy, uśmiechem i skinieniem głowy pozdrowiła młodą kobietę, potem zauważyła trzech gości i niedostrzegalnie marszcząc czoło, starała się ocenić sytuację.

- Nigdy bym się nie spodziewała zastać w kaplicy oprócz Pierre'a Chastela również jego

ojca i brata - powiedziała zaskoczona i złożyła dłonie. - Zakładam, że tylko jeden z was jest tutaj dla modlitwy, *messieurs*?

- Przyszli po mnie - odpowiedział Pierre. - Właśnie mieliśmy iść.

Florence skłoniła osłoniętą głowę i stanęła obok nich.

- Zaproponowałam im coś do jedzenia i schronienie na noc, czcigodna przeoryszo.

Gregoria spojrzała na Jeana.

- I wystarczy, Florence. Nie skorzystają z naszej gościnności. Najstarszy *monsieur* Chastel nieszczególnie lubi wiarę i nasz Kościół.

- Wiara to może i coś dobrego, kiedy Bóg wysłuchuje modlitw i pomaga. Inaczej równie dobrze można by się modlić do drzewa. Ono przecież daje owoce, cień i drewno na opał. - Jean w żadnym razie nie zamierzał kryć się ze swoim zdaniem przed przeoryszą. - O Kościele niewiele da się powiedzieć dobrego.

Brazowe oczy Gregorii błysnęły, broda wysunęła się do przodu.

- *Monsieur* Chastel, Bóg wysłuchuje modlitw tych, którzy na to zasłużyli.

- Tak? A ja myślałem, że przed Bogiem wszyscy są równi. - Podjęli dalej pojedynek, który zaczęli w lesie Vivarais. - Kiedy tak sobie patrzę na kościoły i klasztory, myślę, że szczególnie dobre zamiary ma wobec tych, którzy głoszą jego wolę. Czy to może zależy od rodzaju modlitwy? Od akcentu? Jak to się stało, że nigdy nie pomógł *mnie*?

Gregoria poznała, że myliła się w pierwszej ocenie Chastela. W tym człowieku tkwił trzeźwy i kpiarski duch, ale również taki, który do głębi musiał zawieść się na Bogu.

- Drzewo, o którym mówiliście, rośnie tylko dzięki łasce Boga. On otoczył je ziemią i światłem i karmi je deszczem.

- To gadka starych klech - przerwał z pogardliwym śmiechem z głębi serca. - Wszystko, co się dzieje, dzieje się za jego wolą. A gdy nieszczęście poczyna sobie zbyt dotkliwie, to znaczy, że diabeł maczał w tym palce. - Brazowe oczy szukały spojrzenia przeoryszy. - Nie, nie oszukacie mnie. Nie dam się zwieść gładkim gadkom ani kazaniom. Już nie!

Pierre tymczasem obserwował Antoine'a, w którego zielonych oczach dostrzegł alarmujący blask, śliczna, niewinna Florence wzbudziła chutliwe pożądanie jego brata, więc szybko wsunął się przed niego, by uchronić młodą kobietę przed lubieżnym spojrzeniem.

- Chcecie wyrzec się Boga, *monsieur* Chastel? - spytała Gregoria. - Zastanówcie się, jak żyjecie i dlaczego łaska Wszechmogącego nie wylewa się na was.

- Żyję jak wszyscy, choć na skraju wioski. Nie robię nic niewłaściwego. Co *on* może mieć mi za złe? Że nie mogę znieść zakłamanych słów jakiegoś zapitego klechy? To, że ludzie obwiniają mnie o bycie synem czarownicy, chyba Bogu nie przeszkadza. On przecież

lepiej wie... - Jeanowi dobrze robiła kłótnia z przeoryszą. Znalazł wreszcie kogoś, przy kim mógł rozładować nagromadzoną w ostatnich latach złość i było mu obojętne, że ma przed sobą wpływową kobietę o z pewnością szlacheckim pochodzeniu. - Nie wyrzekłem się Boga, choć niektórzy mi to zarzucają. Jeśli da mi znak, chętnie zacznę się znów do niego modlić.

- Żądacie, żeby Wszchemogący zesłał wam znak, *monsieur*? - Arogancja leśniczego przewyższała wszystko, co dotychczas spotkała! Nim była w stanie dalej mówić, on wszedł jej w słowo.

- Czemu nie? Stale to robi w Starym Testamencie Pisma Świętego. Chyba nie zapomniał, jak to działa? Zapytajcie go, gdy następnym razem do was przemówi.

Zachowanie Pierre'a na chwilę zaskoczyło Antoine'a. Potem pojął, dlaczego starszy brat odgrywa obrońcę niewinności.

- Czy na koniec straciłeś również i serce? - szepnął i spojrzał Pierre'owi w oczy, skrzywił się odrażająco i obliznął wargi.

- Bądź cicho - warknął starszy.

- Spróbuję jej - szeptał dalej Antoine. - Przed tobą. Nie bój się bracie... powiem ci, jak smakuje.

Tego było za wiele. Pierre odwrócił się, wypchnął go za próg, uniósł pięść i uderzył.

Antoine, zwinniejszy i bardziej doświadczony w walce, uskoczył, śmiejąc się szyderczo i uderzył go lufą muszkietu w twarz. Pierre zatoczył się w tył i upadł na podłogę kaplicy. Z nosa trysnęła mu krew.

- Przestańcie! - nakazał Jean synom, którzy przerwali mu dysputę z przeoryszą. Nie rozumiał, co skłoniło rozsądniejszego z nich do wszczęcia bójki.

Florence na skinienie Gregorii podbiegła, przyklękła na kamiennej podłodze przy przewróconym i pomogła mu zatamować chusteczką krwawienie.

- Dość tego. - Jean chwycił Pierre'a za płaszcz, szorstko wypchnął go na zewnątrz i poszedł za nim, spojrzeniem groźnie przestrzegając Antoine'a przed wszelką prowokacją. - Ruszajcie do wioski, tam pogadamy. Ten mnisi karcer przyprawia was obu o szaleństwo.

Gregoria i Florence stały w drzwiach i przyglądały się, jak trzej mężczyźni oddalają się od budowli, aż zniknęli z ich pola widzenia. Młoda kobieta poruszyła palcami prawej dłoni, na które pociekła krew Pierre'a i teraz kleiła się. Wzięła z ziemi nieco śniegu i zmyła ją. W głębi duszy cieszyła się, że przyjął od niej prezent: niósł w dłoni jej chusteczkę i była pewna, że znów go zobaczy. Już wkrótce.

- Dziwna rodzina - powiedziała zamyślona Gregoria. Po pierwszym spotkaniu w lesie rozpytała się trochę o Chastelów, знаła plotki i czuła, że nie wszystkie są prawdziwe. W co

jednak wierzyć, a w co nie? Przyglądała się, jak słońce opada coraz niżej za drzewa i za Montmouchet, by oddać niebo we władanie gwiazdom.

- Czas na wieczerzę, Florence.

- Tak, wielebna przeoryszo.

Wróciła do małego kościółka, a Gregoria zamknęła drzwi i zaryglowała je od środka. Przeorysza sprawdziła zamek mocnym szarpnięciem, spojrzała na okna, przeżegnała się przed obrazem swego patrona i wyszła za Florence bocznymi drzwiami.

Kiedy przechodziła przez krużganki refektarza, stwierdziła, że jej myśli nadal zaprzęta Jean Chastel. Tłumaczyła to sobie tym, że było dla niej wyzwaniem sprowadzenie z powrotem na drogę wiary owego człowieka, który otwarcie i bez strachu wyraża swoje poglądy.

# Rozdział VIII

Rosja, Petersburg, 12 listopada 2004,  
godzina 19:06

Lot minął szybko i bez komplikacji. Krótka podróż wystarczyła jednak Erykowi na zrobienie w notatniku kilku pozbawionych związku, mrocznych szkiców. To był jego sposób na pokonanie wydarzeń minionych godzin.

Detektory na lotnisku nie wykryły ceramicznego noża w surducie Eryka ani przy starcie, ani przy lądowaniu. Nie mogły. Porcelanę uważa się za bezpieczną, nawet jeśli ma dwadzieścia centymetrów długości, jest płaska i ostra jak brzytwa. Ktokolwiek wpadł pierwszy na pomysł, by z tego materiału wykonać nóż, natychmiast powinien dostać według Eryka medal. Von Kastell dziękował Bogu za to, że technologiczny postęp w dziedzinie przyborów kuchennych uszedł dotąd uwagi porywaczy samolotów.

Anatol Prokoviev, ich petersburska opoka i zarządca posiadłości Kastellów, oczekiwał go w hali przylotów. Nie był typowym Rosjaninem: mały, filigranowy, czarne włosy, rzadki wąsik i zabójczy uśmiech, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden Francuz. Kiedy otworzył usta i odezwał się, zaskakiwał głębokim basem dobiegającym jakby z jądra ziemi.

- Szczerze wyrazy współczucia, panie von Kastell - powiedział na przywitanie i uściśnął mu dłoń. Brązowe oczy świadczyły, że mówi szczerze. - Wielka strata.

Eryk skinął głową.

- Dziękuję. Czy ma pan dla mnie jakieś nowiny? - Krótko skwitował kondolencje, by znów nie wracać myślami do śmierci ojca.

Anatol biegł obok niego. Zapewne jak większość osób znających von Kastellów sądził, że należą do przestępczości zorganizowanej, gdyż inaczej trudno byłoby wyjaśnić bogactwo, liczną broń i częste rany. Eryk nie wyprowadzał go z błędu, to oszczędzało kłopotu. Zła sława i nimb zdolnego do wszystkiego brutala otwierały zamknięte drzwi i sprawiały, że informacje płynęły wartkim strumieniem. Szczególnie w Rosji.

- Nic, o czym nie poinformowałyby już media. Z jednym wyjątkiem, że nie chodziło tu o tępy nóż ani igłę, ale o...



- Zęby.

- Skąd pan wie?

Mężczyźni opuścili halę przylotów i ruszyli na parking, na którym stał porsche cayenne. Nie był to ten sam samochód, co w Niemczech, ale ten sam model, o dokładnie takiej samej charakterystyce. Pomijając fakt, że ten tutaj był zadziwiająco czysty. Eryk zatrzymał się i odstawił torbę. Jasnobrązowe oczy taksowały lakier. A więc tak wygląda cayenne pod warstwą brudu.

- Pan go umył, Anatolu?

- Przez pomyłkę - usprawiedliwił się. - I wypolerowałem.

- I wypolerowałem. Dlaczego?

- Wtedy brud się mniej łapie. - Anatol siadł na miejscu pasażera. - Mamy w mieście za dużo brudu, panie von Kastell. Nawet terenowy wóz by w nim ugrzązł.

Eryk zaśmiał się cicho.

- Jakie to głębokie, drogi Anatolu. - Siadł za kierownicą i zbudził silnik. Zaczęła się jazda.

Ulice Petersburga wymagały większej brawury niż te w Niemczech. Tutaj, kto miał większe, mocniejsze i szybsze auto, ten miał pierwszeństwo. W czasach komunizmu, jak zauważył Anatol, było inaczej. Wtedy nikt by się nie odważył otwarcie pysznić swoim bogactwem w postaci luksusowego wozu, może poza kilkoma partyjnymi bonzami. Otwarte granice, nowa zamożność, nowobogacy. Ostentacyjna bezwzględność. Do wnętrza samochodu z cichym szmerem wniknął odgłos śnieżnej papki, odrzucanej przez koła na blachę podwozia.

- Czego zdołał się pan dowiedzieć o zębach?

- Bardzo, bardzo długie, bardzo ostre. Szczęki, w których tkwią, mają więcej siły niż szczeka buldoga. - Nawet jeśli Anatola dziwiło zainteresowanie dziwaczными szczegółami morderstwa, nie dawał tego po sobie poznać. Oduczył się stawiania pytań. Był na to zbyt dobrze opłacany przez tę rodzinę. - Kryminolog twierdzi, że w ranach oprócz ludzkiej śliny znaleziono również krótkie, rudawe włosy, mogące należeć do psa.

Rudawe. Niejasne przecucie przerodziło się w dziewięćdziesięcioprocentową pewność.

- Czy to pierwsze morderstwo?

- Jak pan kazał, zająłem się niewyjaśnionymi przypadkami z ostatniego kwartału. Nic. - Małej skodzie, która próbowała ich wyprzedzić, pokazał środkowy palec i wściekle zwymyślał kierowcę.

- Anatol?

- Przepraszam. Znam tego gnojka. Jest mi winien pięć tysięcy rubli - wściekł się. -  
Wracając do tematu, nic nie znalazłem wśród niewyjaśnionych zabójstw w mieście. Jednak są doniesienia o atakach wilków i cztery z nich mogłyby pasować. Miały miejsce na prowincji, w niedostępnych rejonach. Za winne uznano wściekle zwierzęta. Ofiarami byli młodzi mężczyźni. Ich zniknięcie odkryto dopiero po jakimś czasie.

Eryk zmienił pas jezdni i niemal zderzył się z powolnym białym mercedesem, który odpowiedział mu ostrzegawczym mruganiem świateł. Myśli miał nadmiernie zajęte odmianą przemienca, który nagle zaczyna mordować w centrum miasta, najwyraźniej po to, by zwrócić na siebie uwagę. Przemienca zwykle mordowały dyskretnie. Tylko w ten sposób mogły bez przeszkód tropić swoje ofiary. Wielu z wilkołaków miało wysoką pozycję w organizacjach przestępczych, inni byli menadżerami koncernów, jeszcze inni z upodobaniem parali się polityką. Niewielu zadowalało się niepozorną, pozbawioną wpływów egzystencją.

Najwyraźniej celem tego osobnika było zwabienie myśliwych w pułapkę. Von Kastell nie był pewien, czy zasadzka przeznaczona była specjalnie dla niego; równie dobrze mogło być tak, że przygotowano ją dla kogoś innego. Eryk nie wiedział przecież, ilu jest jeszcze myśliwych oprócz jego rodziny - oprócz niego.

- Coś o tym Fauve? - spytał Anatola.

- Nie, informatorzy pańskiego ojca nie mieli nic do powiedzenia. W każdym razie wygląda na to, że nie działał w Petersburgu.

Eryk skręcił cayenne do wjazdu na posiadłość. Skrzypiąc i chrzęszcząc, koła potoczyły się po śniegu. Zgasił reflektory, potem wyłączył silnik. Znow przyjechał do willi należącej do jego rodziny, nie mając przy tym poczucia, że jest w domu.

W milczeniu wszedł do secesyjnej budowli pochodzącej z lepszych czasów w historii miasta i poczłapał w górę schodów. Z jakiegoś powodu nie czuł się szczególnie rzeński ani wypoczęty.

- Dziękuję, Anatolu - powiedział, dochodząc do pierwszego piętra. - Może pan iść do domu. Zadzwoń, jeśli będę czegoś potrzebował.

Mężczyzna skinął głową i zniknął za drzwiami.

Pachniało... pachniało dzieciństwem. Eryk zatrzymał się i dziwił, jak bardzo podobne są do siebie zapachy willi w Monachium i okazałej siedziby w Rosji: воск, stare, suche drewno, szczypta kurzu. Woń wspomnień, zdająca się głęboko przenikać ściany.

Zobaczył idącego przy sobie ojca i poczuł silną dłoń z szeroką blizną, głaszczącą jego głowę.

- Tata... ach, tata - szepnął melancholijnie i wszedł do pokoju, który przygotował mu

Anatol. Odstawił torbę na sofę, zrzucił ubranie i nagi pobiegł przez ciepły, ogrzany ogniem na kominku dom.

Nie był tu już czternaście lat. Drżąc z podniecenia, zszedł po schodach do ciemnego piwnicznego korytarza z szeregiem drzwi. Za pierwszymi znajdowało się laboratorium, za drugimi zbrojownia, za trzecimi... Zatrzymał się, palce zamknęły się na klamce, w tym samym momencie usłyszał krzyk matki. Eryk opuścił powieki i otworzył drzwi. Wiedział, co się znajduje za nimi: pokój z kafelkami.

Nie miał specjalnej nazwy, mówili na niego po prostu pokój z kafelkami. Na suficie i ścianach wisiały w nim łańcuchy z nierdzewnej stali. Czuł wyraźnie, jak cicho brzęcząc, kołyszą się poruszone przeciągiem od otwartych drzwi.

Powoli, bardzo powoli otworzył oczy, popatrzył na skąpo oświetlone pomieszczenie i czekał z drżeniem, aż coś się wydarzy. Rzeczywistość wielkodusznie zaoszczędziła mu bolesnych wrażeń, ale nie jego wyobraźnia. Bezlitośnie ukazała mu owo wspomnienie, które było przyczyną jego długiej nieobecności w Petersburgu. Nagle korytarz rozbrzmiał echem krzyków jego matki, śmiertelnych krzyków zagłuszonych warczeniem likantropa, który szedł za nią przez piwnicę i napadł w pokoju z kafelkami. Przemieniec uwolnił się z więzów założonych mu przez ojca i przy pełni księżyca, oszalały z żądz, szukał ofiary, w której mógłby zanurzyć kły.

Matka nie umarła szybko. Bestia przygniotła ją do podłogi i ze smakiem żuła jej ramię, tak jak drapieżniki robią to z obrośniętymi mięsem kośćmi, rozkoszowała się krzykami bezbronnej, nim nasyciła się zabawą. Dopiero wtedy okrutnie rozszarpała krtań matki i z mlaskaniem chleptała krew.

To Eryk jako pierwszy znalazł ledwie rozpoznawalne ciało swojej rodzicielki. Wtedy ślubował, że bezlitośnie będzie polował na każdego likantropa, obojętne, czy z plemienia wilków, czy jakiegokolwiek innego. Oni wszyscy to drapieżcy, wszyscy podobni, nawet jeśli wyglądają tak niewinnie jak nieszczęsna Tina. Nie wolno mu okazać łaski. Mocno trzasnął drzwiami pokoju z kafelkami i pobiegł z powrotem na piętro, jakby mógł uciec od obrazów pojawiających się w jego głowie. Wiedział, że nie zdoła odgrodzić się od nich, ale miał nadzieję, że może przynajmniej uda mu się odjąć im wyrazistości.

Eryk pobiegł do pracowni i otworzył bar, by nalać sobie wódki. I jeszcze jedną, i jeszcze.

Alkohol uwolnił żalobę po ojcu, przywołał wspomnienia z historii rodziny. Myśliwi nie umierali spokojnie w łóżku, ale na polowaniu. Obojętnie: mężczyźni czy kobiety.

Eryk pił szybciej. Wreszcie, po ponad trzech czwartych butelki, obraz rozszarpanej matki rozpląnął się w bezosobową, pulsującą czerwień i młody von Kastell zdołał zasnąć.

# Rozdział IX

12 stycznia 1765, w pobliżu wioski Villaret,  
Południowa Francja

Jean Chastel patrzył z oddali na prostą chatę, z której komina unosił się gęsty dym. Najwyraźniej komuś nie udało się rozpaścić porządnie ognia.

- I ten człowiek miałby być w stanie nam pomóc?

Antoine stanął u jego boku.

- Był doktorem w Paryżu, póki nie stracił reputacji przez swego najlepszego pacjenta, markiza D'Ariac, i nie wytoczono mu procesu o zaniedbanie w leczeniu.

- Zaniedbanie? - Twarz Jeana spochmurniała. - Lepiej stąd chodźmy.

- Nie, ojcze! - Młodszy syn spojrzał na niego błagalnie. - Ludzie go poważają. Zna się na wszystkich możliwych chorobach. Proszę, spróbujmy.

Pierre minął ich, zatrzymał się i również obrzucił domostwo nieufnym spojrzeniem.

- To nasza jedyna nadzieja - odezwał się wreszcie do ojca.

Pełen złych przeczuć, Jean ruszył.

- Poczekajcie na mnie na zewnątrz - przykazał im, gdy stanęli przed drzwiami. Zapukał i wszedł.

W prostej izbie przy grubo ciosanym stole siedziało niezwykle jak na Gévaudan zjawisko. Z surowym otoczeniem kłócił się wykwintny strój mocno zbudowanego mężczyzny, który miał nawet białą perukę na głowie. Zdecydowanie sprawiał wrażenie, że jest tu nie na miejscu. Sprawdzał ostrość chirurgicznych instrumentów, służących mu bądź to do ochrony życia delikwentów, by doczekali przepisanej im przez prawo kary, bądź to do zmieniania ich życia w piekło. Gdy Jean wszedł, mężczyzna uniósł głowę.

- *Monsieur?*

- Jesteście Claude Penchenat, tak, panie? - Mężczyzna, któremu Jean nie dawał więcej niż czterdzieści lat, uśmiechnął się i skierował ku niemu błękitne oczy.

- Tak, *monsieur*. - Jedna dłoń trzymała cienki nóż, druga wąską oselkę; metal i kamień ocierały o siebie i skrobały. - Czym mogę wam służyć? - Powędrował wzrokiem do

muszkietu.

- Słyszeliście o bestii, *monsieur* Penchenat?

- Trudno byłoby o niej nie usłyszeć. Ani o nagrodzie. - Wskazał na wolne krzesło przy stole. - Siadajcie.

Jean przyjął zaproszenie i rozejrzał się. Chata była czysta i uprzątnięta, żadnych pajęczyn, żadnego brudu.

- Są ludzie, którzy powiadają, że to loup-garou. Jeśli to prawda, potrzebujemy jakiegoś środka, by się przed nim chronić.

- Nie zdziwicie się, jeśli powiem, że przed wami odwiedziło mnie wielu ludzi proszących o ochronę przed bestią, *monsieur*. Cóż, w niektórych księgach piszą, że wystarczy zakopać pod progiem srebrny nóż, żeby nie zostać rozszarpanym we własnym domu.

- Źle mnie zrozumieliście. Nie chcemy go trzymać daleko od siebie - poprawił Jean. Był dumny z siebie, że zachowuje się tak swobodnie i obojętnie. - Ale pozwólcie mi najpierw coś sobie poradzić: wasz szyber jest na pół zamknięty. W ten sposób ogień się nie rozpali.

- Czyżbym znów zapomniał go otworzyć? Moje życie było o tyle prostsze, gdy mieszkałem jeszcze w mieście i mogłem sobie pozwolić na służącego do takich zadań. Wielkie dzięki za waszą pomoc. - Penchenat odłożył oselkę i nóż na bok. - Przejdźmy teraz do waszego... problemu. Po waszym wyglądzie łatwo poznać, jaką uprawiacie profesję, *monsieur*. Tropicie bestię i obawiacie się, że mogłaby was też ukąsić. Ile bylibyście gotowi zapłacić, żeby nie zostać loup-garou? - Wstał, pomajstrował chwilę przy uchwycie uruchamiającym mechanizm szybra i zniknął w pokoju obok.

Jean z niepokojem zerknął przez okno. Zobaczył Pierre'a i Antoine'a, jak czekają przed domem i kłóć się, wymachując rękami.

- Zatem istnieje jakieś lekarstwo? - Nasłuchując cichego pobrzękiwania butelek i innych naczyń z pokoju obok, myślał o minionych dniach, kiedy niczym wagabundy włóczyli się po okolicy. Choć każdego wieczora zakładał synom łańcuchy, niejednokrotnie zdarzyło się, że zbudziwszy się ze snu, widział ich bez pęt. Przemiana w wilkołaka najwyraźniej umożliwiała pozbycie się oków. Następnego ranka ani Pierre, ani Antoine nie pamiętali, co robili, i razem niespokojnie wyczekiwali wieści o nowych okrucieństwach bestii.

Przynajmniej wiedział, że nie wszystkie ofiary musi przypisać Pierre'owi i Antoine'owi. Bestia atakowała w okolicy, do której jego synowie nie byliby w stanie dotrzeć w ciągu nocy i jeszcze z niej wrócić. Penchenat wrócił, trzymając w prawej ręce malutki flakonik, wyglądający na bardzo kruchy w jego silnych palcach.

- Esencja - wyjaśnił. Ciemna, gęsta ciecz chlupnęła na przezroczyste szkło i spłynęła,

klejąc się do ścianek. - Warzona z wilczego ziela i innych sekretnych ingrediencji. Pomaga na flegmę, czarną żółć i zgęstniałe płyny ustrojowe, a także na wściekliznę i artretyzm. - Delikatnie postawił flakonik na stole. - Polecana jest też przeciw trądowi i gorączce.

- A na ugryzienie loup-garou?

- Oczywiście.

- Zostaliście wygnani z Paryża za zaniedbanie w leczeniu, *monsieur* Penchenat, a ja mam wam uwierzyć, że to pomoże? - Jean specjalnie drażnił doktora, żeby zobaczyć, jak ten się będzie bronił. - Może pan to sprzedać wiejskiemu głupkowi, *monsieur*, ale nie mnie.

- Aconitum w mojej esencji zniszczy wszelkiego wilka, a jeśli zostaniecie ugryzieni, wygna garou z waszych żył, nim zdąży się w was zagnieździć. - Penchenat usiadł i złożył ręce na stole. - Wygnano mnie z Paryża, gdyż markiz oskarżył mnie o zaniedbanie z powodów osobistych, nie z przyczyny rzemiosła. Ku mej wielkiej satysfakcji, zmarł pół roku po moim wyjeździe. Możecie mi zaufać, *monsieur*. Uratowałem już od śmierci więcej ludzi niż niejeden znachor, każący się wołać apothecarius. - Podsunął gościowi kubek i nalał mu trochę wina. - Paulos z Eginny pisał już w sześćset czterdziestym roku po Chrystusie, że aconitum zabija wilki. - Wzniósł toast butelką. - Widzicie, jestem uczonym człowiekiem, *monsieur*, a nie tylko pogardzanym przez wielu katem. Niektórzy wciąż zważają mnie *medicus*.

- Ile to kosztuje?

- Siedemdziesiąt liwrow. Albo dwa złote luidory. Co tam przy sobie macie.

- Tak dużo? To roczny zarobek!

- Cóż, jeśli zabijecie bestię, dostaniecie prawie cztery tysiące liwrow. Jeśli ona was dopadnie, czeka was straszliwy los. Zatem moje siedemdziesiąt liwrow to dobra inwestycja, nie uważacie, *monsieur*?

Jean zastanowił się i doszedł do wniosku, że musi dobić targu, choć nie jest ani trochę korzystny. Sceptycznie patrzył na niewielką ilość w zakorkowanej i uszczelnionej woskiem buteleczce.

- Czy starczy tego dla trzech mężczyzn? Poluję z synami.

- Na pewno nie. Ale mogę wam sprowadzić więcej.

- Nie przyrzadzacie tego sami?

- Nie - Penchenat uśmiechnął się. - Potrzebne są składniki, które niełatwo zdobyć i o których przysiągłem milczeć. Dostarcza mi tego pewna moja przyjaciółka, ale nie sprzedawałbym niczego, czego skuteczności nie byłbym całkowicie pewien.

Jean sięgnął po flakonik, ale kat błyskawicznie powstrzymał jego ramię. Uchwyt był mocny, choć z twarzy nie zniknął uśmiech.

- Ach, ach, ach! Najpierw musicie zapłacić, potem możecie tego dotknąć, *monsieur*.

Rzucił na stół żądanego luidora.

- Jak szybko po ugryzieniu trzeba to wypić?

- Natychmiast - brzmiała odpowiedź. Penchenat z wyraźnym zadowoleniem wziął łyka wina. - Inaczej nie zadziała albo, wyrażając się dokładniej, zabilibyście tym człowieka. Garou siedzi wtedy w ciele tak mocno, że pociągnie nieszczęśnika za sobą w śmierć.

Jean zaklął w duchu. A więc może użyć esencji tylko dla własnego ratunku, gdyby w szale napadł go jeden z synów lub sama bestia. Czemu wcześniej o to nie zapytał? Wstał, wypróżnił jednym haustem wino i odstawił kubek na stół.

- Zapomnijcie o tamtych dwóch porcjach. Wystarczy nam ta jedna. Więcej niż jednego bestia nie napadnie. Dwaj myśliwi dadzą radę ją zastrzelić. - Odwrócił się.

- Święte słowa. Z pewnością wiecie, że do zabicia garou potrzebne są srebrne kule? - zapytał Penchenat. - I zapamiętajcie: gdyby mimo wszystko jeden z waszych synów stał się garou, nie będzie dla niego ratunku. Chyba że - dodał jakby mimochodem, sięgając znów po nóż i osełkę - zabijecie bestię winną jego przemiany. Wtedy możecie użyć jej krwi do wytworzenia uzdrawiającego napoju. Chcecie może kupić recepturę? Tak na wszelki wypadek?

Jean odwrócił się i rzucił na stół swoje ostatnie oszczędności.

- Dajcie mi ją.

- Proszę bardzo, *monsieur*. - Penchenat odłożył znów nóż i osełkę na chustę i ponownie poszedł do przyległego pokoju.

Jean stał się nagle niemal biedakiem. Wojowanie z loup-garou było bardzo drogie. A teraz jeszcze srebrne kule! Jak może sobie pozwolić na taką amunicję? Jego zwykłe dochody ze sprzedaży skór nie wystarczą.

Patrzył na książki, starannie ustawione na regałach pod ścianą. Zajmowały się problemami medycznymi, były jednak wśród nich również liczne dzieła filozoficzne. Nic dziwnego, że Penchenat wyjechał z Paryża - z taką biblioteką z pewnością musiał ściągnąć na siebie podejrzenie, że jest wolnomyślicielem. Poza tym często opowiadał o środkach, które sprzedaje. Mógł mówić o szczęściu, że prości ludzie uważali jego czary za na tyle przydatne, iż nikt na niego nie doniósł.

Penchenata tym razem nie było jeszcze dłużej niż poprzednio. Kiedy wrócił, trzymał płasko w dłoniach poplamiony arkusik i dmuchał na niego.

- Sporządziłem dla pana odpis, *monsieur* - wyjaśnił, rzucił ostatnie spojrzenie na pismo, zrolował je i włożył do skórzanego futerału. - Teraz jesteście bezpieczni od klątwy bestii.

Życzę wam i sobie, byście ją wkrótce zabili. - Położył rulon na otwartej dłoni leśniczego. -  
*Adieu.*

Jean wyszedł na zewnątrz i zdziwił się, zobaczywszy tylko Pierre'a. Obawiając się złego, zapytał:

- Gdzie jest twój brat?

Pierre wskazał na zbocze pobliskiej góry.

- Powiedział, że krew zaczyna w nim wrzeć i że musi odejść, by nie ściągnąć na nas niebezpieczeństwa. Wróci do nas, kiedy bestia w nim się uciszy - powiedział cicho, żeby nie mógł go usłyszeć Penchenat, którego zaciekawiona, obramowana peruką twarz ukazała się w oknie.

Jean nie mógł powstrzymać przekleństwa. Mając wyśmienity wzrok, dostrzegał w oddali kilka czarnych punktów na białym śniegu, poruszających się między drzewami i zaroślami. Wyglądało to jak owce i pilnująca ich gromadka dzieci. Antoine znów uległ swemu upodobaniu do słabych.

- A jak ty się czujesz?

- Dobrze. Tym razem gorączka chyba mnie oszczędziła - odpowiedział Pierre. - Udało ci się, ojciec?

- Pomówimy o tym później. Teraz musimy zapobiec nowemu nieszczęściu. - Ruszył szybkim truchtem, trzymając się śladu Antoine'a. Pierre poszedł za nim.

Nagle usłyszeli, jak otwarły się drzwi chaty.

- *Messieurs*, czy to bestia? - krzyknął za nimi podniecony Penchenat. - Czy przyszła do nas? Czy mam pobiec do wioski i sprowadzić pomoc?

Ojciec i syn oszczędzali oddech, musieli się spieszyć.

- A jak przyjdzie bestia?

- To ją zakłujemy na śmierć! - odpowiedział zuchwale Jacques-André Portefaix na pytanie przyjaciela i zamachnął się dzidą, którą zrobił mu ojciec, by mógł się bronić przed żarłocznym wilkiem. Był największy z siedmiorga dzieci w wieku od ośmiu do trzynastu lat, pilnujących owiec w górach nieopodal wsi Villaret, i bezsprzecznie uznawano go za przywódcę grupy. - Zgadzacie się chyba ze mną?

Chłopcy z zapalem kiwali głowami, jednak dwie dziewczynki wcale nie wyglądały na zachwycone bohaterstwem Jacquesa-André. Widział, że byłyby szczęśliwe, gdyby mogły znaleźć się już w domu, bezpieczne za granitowymi ścianami i chronione silnymi ramionami rodziców.



Owce nagle zabeczały i uniosły łby; zwietrzyły coś w lesie i ruszyły biegiem, uciekając pasterzom.

Jacques-André przeczuwał, co znaczy to zachowanie. Odwrócił się, rozglądając we wszystkie strony, podczas gdy kilkoro dzieci próbowało zatrzymać przestraszone zwierzęta. Jacques mocniej ścisnął swoją dzidę, potoczył wokół wzrokiem, dźgnął najbliższy krzak janowca i pogrzebał w ściółce. Nagle coś zaszeleściło z boku drogi.

- Bestia! - krzyknął podniecony, uniósł broń i uderzył w zaśnieżony kopiec liści, aż biały śnieg wzbił się w powietrze. Nic.

Zaalarmował go głośny krzyk dziewczynki. Odwrócił się i ku swemu przerażeniu rzeczywiście zobaczył przypominające wilka zwierzę, które nagle jakby znikąd pojawiło się niespełna pięć kroków od nich.

- Szybko, chodźcie tu wszyscy! - krzyknął. - Stańcie plecami do siebie i wystawcie dzidy.

Choć strach był wielki, chłopcy i dziewczynki posłuchali go. Ćwiczyli ten manewr niezliczoną ilość razy, ale nigdy nie myśleli, że naprawdę spotkają drapieżnika.

Bestia zbliżała się powoli, szorując brzuchem po ziemi, zachowywała się bardziej jak kot, a nie wilk. Krążyła wokół nich z ogonem wyprostowanym do góry prosto jak świeca, czerwone oczy wbiła w dzieci. Wybierała sobie łatwą ofiarę.

Jacques-André bał się przeraźliwie, ale nie chciał, aby bestia to wyczuła. Potajemnie marzył o tym, że to on będzie tym, którego dzida pokona stwora - ową dziwną mieszankę psa, wilka i jeszcze czegoś innego. Nawet najbardziej odrażający psi kundel nie wyglądał tak obrzydliwie, jak to zwierzę i z pewnością nie był tak wielki ani niebezpieczny!

Bestia dokonała wyboru. Skoczyła błyskawicznie, mijając dzidy, stanęła nagle pośrodku piszczących dzieci i zaatakowała Josepha, najmniejszego i prawie najmłodszego chłopca. Krzycząc, zniknął pod ogromnymi, uzbrojonymi w straszliwe pazury łapami. Bestia nie przejmowała się pozostałymi chłopcami. Najwyraźniej nie stanowili dla niej zagrożenia. Śliniąc się, patrzyła na wijącą się ofiarę. Otworzyła pysk i ugryzła chłopca w sam środek twarzy. Krzyki dziecka zostały stłumione w makabryczny sposób.

- Zakłujcie ją! - warknął Jacques-André, pokonawszy pierwszy strach, gdy zobaczył, że inne dzieci zaczynają trwożnie odsuwać się od wroga. Zamachnął się i z całej siły wbił czubek dzidy w bok zwierzęcia. Choć wszyscy bali się jak jeszcze nigdy w życiu, dwóch chłopców skoczyło na pomoc swemu przywódcy.

Dzidy, choć nie zraniły bestii śmiertelnie, jednak zadały jej ból. Warcząc i szczerząc zęby, puściła kwilącego Josepha, jednym susem wyskoczyła spośród dzieci i przycupnęła kilka kroków dalej. Tam jednak zatrzymała się, jakby nic się nie stało - żuła coś ze smakiem,

by za chwilę to połknąć.

Mała grupka rozproszyła się; dziewczynki chciały uciekać. Nie przestawały piszczeć i płakać.

- Uspokójcie się! - wrzasnął Jacques-André. - Chodźcie, już! Znów wszyscy razem, dzidy do góry! I lepiej uważajcie! - polecił ponownie. Potem zobaczył krew bestii na swojej broni. - Patrzcie, można ją zranić! - Dzieci utworzyły krąg wokół rannego, któremu ból litościwie odebrał zmysły; krew ciekła po pogryzionej twarzy i przesiąkała przez śnieg na zamarznietą ziemię.

- Znów idzie! - zapłakała z trwogą jedna z dziewczynek, ale nie opuściła dzidy. Zamiast tego odrzuciła ją i rzuciła się na ziemię, składając ręce nad głową w obronnym geście. - Święta Matko Boża...

Zwierzę udało skok, potem jednak skuliło się pod oszczepami i chwyciło za nogę następnego chłopca. Powlokło go za sobą, kierując się biegiem prosto na krzak janowca.

- Uciekajmy - krzyknął drżącym głosem Jacques Coustou. Rzucił swoją broń na ziemię, odwrócił się i ruszył pędem. Dziewczynki, nie przestając płakać, pobiegły za nim.

- Wracajcie! - krzyknął Jacques-André.

- Pożre nas jednego po drugim, jeśli zostaniemy!

- Wolę umrzeć z naszym przyjacielem, niż go zostawić! - Jacques-André był zdecydowany biec za bestią, by odebrać jej łup.

Po kilku krokach poczuł, że ziemia pod jego stopami robi się miękka. Bestia wybrała drogę ucieczki przez jedno z niezamarzniętych bagien.

Jej łapy zanurzały się coraz głębiej w porośłym trawą błocie, ciężar ofiary ciągnął ją na dno. Ścigający ją chłopiec jednak był dostatecznie lekki, by nie utonąć.

Mimo to bestia wcale nie zamierzała puścić Jeana. Przycisnęła małego chłopca lewą przednią łapą do miękkiej ziemi i raz po raz zębami wrywała krwiste kawałki mięsa. Jean krzyczał i płakał.

- Puść go! - wrzasnął Jacques-André i wycelował dzidą w wielki łeb i oczy. Trafił w końcu w czarny, cuchnący pysk. Bestia wściekle parsknęła.

Nagle znów pojawiły się inne dzieci. Zarażone odwagą swego przywódcy chłopcy i dziewczynki z krzykiem i hałasem biegali wokół i kłuli bestię dzidami. Lecz choć Jacques-André i jego dzielni przyjaciele bardzo się starali, ani razu nie trafili niesamowitych czerwonych oczu. Jednak nieustanne ataki dzieci nie pozwalały bestii zabić Jeana.

- Uciekaj! - Jacques-André wałnął bestię dzidą w nos. Skamląc żałośnie, odskoczyła w tył, porzucając ich przyjaciela i lizała wrażliwy pysk. Po krótkim odpoczynku opuściła łeb,

składając się do skoku. Warczenie zapowiadało kolejny atak. Tym razem szykowała się, by dopaść przywódcę dzieci i w ten sposób złamać opór. Położyła uszy po sobie.

- Odciągnijcie go - zarządził Jacques-André i odważnie zagroził drogę bestii, by przyjaciele mogli zaopiekować się rannym Jeanem.

Futro zafalowało, mięśnie potężnego zwierzęcia napięły się; szczęki kłapnęły łapczywie i czekały, aby zacisnąć się na czyimś gardle.

W tym momencie nadbiegł starszy mężczyzna. W porę dostrzegł zdradliwe bagno, przykłęknął na skraju i przygotował muszkiet do strzału. Za nim pojawił się drugi, młodszy myśliwy. On również uniósł broń. Strzały zagrzmiały szybko; jeden po drugim.

Po prawej i lewej stronie bestii w górę wzbila się wilgotna ziemia. Jacques-André z ulgą poznał po głosach rozlegających się za jego plecami, że przybiegło więcej ludzi; dowodził nimi Penchenat, poganiając głośnymi krzykami.

Z taką przewagą bestia nie chciała się mierzyć. Uciekła, przeskoczyła przez pobliski strumień, przetoczyła się po oszronionej trawie, jakby chciała zetrzeć z siebie kłękę, aż wreszcie znikła w krzakach janowca i przylegającym do nich piniowym lesie.

Teraz Jacques-André poczuł, jak ogarnia go gwałtownie rosnące wycieńczenie. Ostrożnie wyszedł z błota i padł przy przyjaciółach na śnieg u stóp wieśniaków, bładny jak prześcieradło. Nie był w stanie nic powiedzieć.

Jean Chastel z uznaniem poklepał chłopca po ramieniu.

- Dzielny chłopak. Tobie pierwszemu udało się zdziłą zmusić bestię do ucieczki.

- To wasze muszkiety, *messieurs*.

Kobiety zajęły się dwoma rannymi. Byli zmaltretowani, ale powinni przeżyć.

Jean Chastel widział, jak kat podaje jednej z kobiet buteleczkę za kilka monet. Był w niej ten sam płyn co w naczyniu, za które zapłacił temu człowiekowi mnóstwo pieniędzy. Penchenat okłamał go, żeby podnieść cenę.

Właza synowi do gardła napój i trzymała mu zamknięte usta, bo chciał go wypluć. Zaklinała go cicho, aż wreszcie przełknął, krzywiąc twarz z obrzydzenia. Drugą ofiarę pewnie czekała ta sama procedura, by udało się uniknąć klątwy wilkołaka.

- Mamy bohaterów! - krzyknął jeden z mężczyzn, poderwał pastuszkę na nogi i uniósł do góry. - A Jacques-André Portefaix jest ich dowódcą. Zaprowadźcie go do niedojdy Duhamela, żeby pokazał kapitanowi, jak to się robi! O całym zajściu powinien się dowiedzieć król! - Dorośli wzięli dzieci na ręce i ponieśli z powrotem do Villaret. Był to pochód triumfalny, świętujący zwycięstwo nad bestią.

Chastelowie i Penchenat zostali.

- Do tego już doszło - mruknął kat i szybko włożył do kieszeni monety, które otrzymał od kobiet. - Cieszymy się, jeśli uda nam się ująć z życiem podczas spotkania z bestią. - Spojrzał na Jeana i Pierre'a. - Na pewno znajdziecie jej ślad, *messieurs*. Życzę wam wiele szczęścia i Bożego błogosławieństwa - uśmiechnął się. - Gdyby miało wam zabraknąć jednego i drugiego, wiecie, gdzie mnie znaleźć. Moje napoje dają ochronę, o ile was na nie stać. - Gwizdząc wesołą melodię, odszedł wąską, ośnieżoną dróżką i zniknął za granitowymi skałami.

- To niegodne, nabijać sobie kabzę na ludzkiej trwodze - zauważył Pierre, ładując muszkiet. On również, podobnie jak ojciec, chybił celu, nie chcąc zagrozić życiu Antoine'a. - Dobrze, że ci chłopcy przeżyli - dodał cicho. - Napoje powinny ustrzec ich przed moim losem.

- Mam nadzieję. A jednak ty i twój brat jesteście najbardziej godnymi współzucia ofiarami potwora - powiedział twardo Jean. - Antoine nie jest winny złu, jakie wyrządza. - Narzucił na ramię ciężką broń. - Jest tylko jeden winny wszystkim mordom i masakrom. I odpowie za to. - Pomyślał o papierze z recepturą, mającą uwolnić jego synów od likantropii. Bez krwi bestii nie ma dla nich ratunku.

W milczeniu okrążyli bagnisko i ruszyli po śladach krwi, zostawionych przez Antoine'a na białej ziemi i w zaroślach. Pewnie znajdą go w krzakach przy ubraniu, z ustami umazanymi krwią dzieci, szeroko wytrzeszczonymi oczami i rozumem zmaconym jeszcze ostatnią, ustępującą resztką osobowości bestii.

*Jak długo jeszcze?* - pomyślał Jean, smutno i gniewnie zarazem.

11 lutego 1765, w pobliżu Malzieu,  
Południowa Francja

- Mój Boże. Iluż ich jest.

Cichy, zdumiony okrzyk Pierre'a, stojącego przy ojcu, nie dotarł do uszu otaczających ich ludzi. Robili zbyt wiele hałasu, by móc go usłyszeć. Buty tupwały po kamieniach, śniegu, trawie i kałużach, różki na proch klekotały o paski, w butelkach bulgotało, z plecaków z prowiantem dobiegały nieustanne chrzęsty i szelesty. Chastelowie patrzyli na przemarsz osobliwej armii.

Dwaj leśnicy biegli w kolumnie z górą dwustu myśliwych, przybyłych z wszystkich zakątków królestwa do Gévaudan z zamiarem zdobycia nagrody, wyznaczonej przez króla Ludwika XV za głowę bestii. Za dziesięć tysięcy liwrowo warto było na kilka miesięcy opuścić

dom i obejście. Zresztą nie tylko Francuzi potrzebowali pieniędzy. Chastelowie słyszeli wokół siebie mieszaninę różnych języków, spośród których oni sami rozpoznawali tylko niemiecki, włoski i angielski. Bestia z Gévaudan stała się sławna. Pojawia się w gazetach i dziennikach Europy. Zwabiła tu zagranicznych myśliwych i awanturników.

Obcy dźwigali rozmaite, czasem robiące nader ryzykowne wrażenie flinty z zamontowanymi na lufach celownikami albo nawet lunetami, mające perfekcyjnym strzałem uśmiercić bestię. Pewien Włoch dyszał pod ciężarem swego obłężniczego muszkietu, ważącego co najmniej dwadzieścia funtów i plującego kulami o wielkości mirabelek. Jego dwaj kompani bliscy byli nabawienia się bólu pleców od dźwigania ciężkich drewnianych uchwytów.

Jean martwił się bardzo o zdrowie Antoine'a. Wkrótce po wydarzeniach w Villaret jego syna ponownie opętała klątwa bestii i już więcej nie pojawił się w domu. Ilość ofiar rosła. Leśniczy obawiał się, że prawdziwa bestia odnalazła Antoine'a i popychała go do kolejnych zbrodni. Uczyla jeszcze precyzyjniej zabijać.

Kapitan Duhamel i miejscowa szlachta odtrąbili zbiórkę na wielkie łowy. Duhamel poprzez rząd prowincji powołał z wszystkich okolicznych parafii czterdzieści tysięcy wieśniaków, by dzisiejszego dnia rozesłać ich po równinach i lasach jako przynętę, zaś setki myśliwych zajęły pozycje na wzgórzach. W ten sposób, wkładając w to wiele wysiłku, objęto polowaniem obszar dwóch tysięcy mil kwadratowych.

Jean i Pierre przyłączyli się do myśliwych, chcąc chronić przemienionego w wilkołaka Antoine'a przed śmiertelnością kulą. Nie mieli jednak jeszcze pojęcia, jak mają tego dokonać. *Jednego* strzelca można by potrafić i zepsuć mu strzał, ale skoro były ich *setki*, wydawało się to niemożliwe.

Szli w kierunku wzniesienia, z którego widać było skraj lasu. Ich oddział stanowił drugą linię, na wypadek, gdyby bestia uszła kulom czterystu myśliwych na szczycie pierwszego wzgórza. Znajdowali się tam również młody markiz d'Apcher i młody comte de Morangiés z pułkiem własnych strzelców. Tego ostatniego, bardziej niż wyznaczona nagroda, motywowało coś innego. Arogancki, wpływowy comte wielokrotnie już skarżył się na nieudolność Duhamela i z pewnością chętnie położyłby bestię, by zadać kapitanowi kolejne upokorzenie. Jean głośno zagwizdał i dragon z oddziału Duhamela, jadący na czele pochodu, niechętnie odwrócił głowę.

- Daleko jeszcze?

- Aż dojedziemy tam. - Dragon wskazał na pagórek pięćset kroków przed nimi. Chciał jeszcze coś dodać, ale zadęto w róg. W odpowiedzi wiatr przywiał z lasu bębnienie i wołania.

Naganiacze zbliżyli się do krawędzi. Dragon zaklął: - Za bardzo się pośpieszyli. Chodźcie, szybciej! - rozkazał myśliwym, którzy szybkim truchtem ruszyli w górę wzniesienia. Z daleka dobiegły strzały muszkietów.

- Boże, chroń Antoine'a - szepnął przygnębiony Pierre i pobiegł za ojcem, torującym sobie drogę wśród innych myśliwych, by stanąć na wzgórzu jako pierwszy.

- Nie liczyłem na Boga - powiedział, krzywiąc się Jean. Wyprzedzając Włocha, specjalnie go potrafił. Ten przewrócił się razem ze swoim muszkietem. Wpadło na niego czterech kolejnych myśliwych, powstało kłębowisko łuf, rąk i nóg, skwitowane śmiechami i przekleństwami.

Chastelowie stanęli na wzniesieniu. Przed nimi rozciągała się rozległa, zaśnieżona łąka, na której wiatr usypał pomniejszych zasy, dające schronienie co najwyżej przed spojrzeniem, ale nie przed kulami. Były tam tylko dwie małe granitowe skały, choć zwykle wszechobecne w tym regionie.

Duhamel tak ustawił naganiaczy, że dla wszelkiego zwierzęcia przebywającego w lesie istniała tylko jedna droga ucieczki: przez równinę między wzgórzami.

Kilku nadgorliwych myśliwych przez pomyłkę otworzyło ogień do sarny. Ledwie ukazała się między drzewami i umykając przed nieznanym hałasem, postawiła przednią nogę na śniegu, śmignęło w jej kierunku co najmniej piętnaście kul i dosłownie ją zmasakrowało. Nie zostało nic poza krwawym strzępkim sierści, drgającym jeszcze na skraju lasu.

- Nie chciałem być dziś w nagonce - roześmiał się jeden z dragonów i poprawił się w siodle. - Ci idioci strzelają do wszystkiego, co wybiegnie z lasu.

Zrozpaczony Jean starał się wymyślić podstęp, podczas gdy dwustu myśliwych jeden po drugim zajmowało pozycje. Również Włoch dotarł do wierzchołka, zmierzył leśniczego złym spojrzeniem i chlusnął potokiem niezwykle nieprzyjaźnie brzmiących włoskich słów.

- Musimy odwrócić ich uwagę - powiedział Jean do Pierre'a. - Udamy, że jesteśmy przekonani, iż bestia przemyka się po drugiej stronie, za naszymi plecami. Oślepiło ich to pożądanie dziesięciu tysięcy liwrów i łatwo nam uwierzą. Jeśli choć jeden zacznie strzelać, reszta się przyłączy.

- A jak mamy to zrobić? - syn nie był przekonany.

Jean odciągnął kurek muszkietu.

- Po prostu we wszystkim mnie naśladowaj - zabrzmiała prosta wskazówka.

Dragon nadszedł za myśliwymi i ocenił przygotowania mężczyzn.

- Nie strzelać mi tu tak bezsensownie jak ci z pierwszego wzgórza - ostrzegł głośno. - Naciskajcie spust dopiero, jak zobaczycie wilka czy coś podobnego do bestii. Widzieliście

rysunek. Kto postrzeli naganiacza, płaci mu odszkodowanie albo zadośćuczynienie jego rodzinie.

Mężczyzna stojący tuż obok Chastelów roześmiał się, wyjął z woreczka kulę i załadował. Pierre widział wyraźnie, że była oznakowana.

- To, młody przyjacielu, dla pewności - wyjaśnił z mocnym akcentem, dostrzegłszy spojrzenie mężczyzny. - Kiedy położę bestię, chcę, żeby każdy widział, że zrobiłem to ja. Z nikim nie podzielę się nagrodą. - Jego niegdyś kosztowny strój wyglądał na tak zniszczony, jakby nosił go od wielu lat. Ciemnobrązowa, wyszywana kurtka ziała tu i ówdzie dziurami, a wysokie buty musiały przejść już setki mil.

- Do kroćset, o tym nie pomyślałem - krzyknął jego sąsiad. Pośpiesznie wyciął nożem w kuli swoje inicjały. Wkrótce większość strzelców stała na wzgórzu, drapiąc metal, nie myśląc zupełnie o tym, że ołów, wnikając w ciało, i tak się zdeformuje. Jeśli pocisk trafi w kość, pęknie.

- Nazywam się Pierre Chastel, a to mój ojciec, Jean. Skąd przybywacie, *monsieur*? - Pierre zaciekawiony zapytał mężczyznę w zbliżonym wieku do jego ojca. - Wasza mowa zdradza, że odbyliście długą podróż.

- Z Bukowiny. - Myśliwy lekko uniósł trójgraniasty kapelusz, ukazując krótkie, siwe włosy i uklonił się z dworskim wdziękiem. - Pozwolicie, Virgilijus Malesky, niegdyś dumny ziemianin. Musiałem salwować się ucieczką przed gospodarzem Mołdawii. - Mężczyzna założył znów kapelusz. - Gdybyście kiedyś tam zawędrowali, *monsieur* Chastel, pozwólcie sobie powiedzieć, że z Atamanami i ich fanariotami nie ma żartów.

- Fanarioci?

- Namiestnicy, mój chłopcze.

Dla Pierre'a ten potok słów, których nie rozumiał, to było za wiele. Ani nie słyszał o kraju zwanym Bukowina, ani nie wiedział, co to jest gospodar albo Mołdawia. Jedyne pojęcie Ataman coś mu mówiło.

- Zatem to więcej niż tydzień podróży? - zapytał ostrożnie. Jego pytanie rozśmieszyło Maleskiego, który wyjął z etui binokle z niebieskimi szklami i osadził je na szczupłym nosie.

- Uwaga! - krzyknął nagle dragon. - Wilki!

I rzeczywiście, z lasu wypadło siedem zwierzaków pokrytych szarym futrem. Dawno zwietrzyły tłum ludzi przed sobą i nie miały odwagi biec przez równinę, ale napierający naganiacze nie pozostawili im wyboru. W krótkich odstępach mknęły jeden za drugim, mijając pierwsze wzgórze.

Rozległ się przeciągły terkot i dudnienie, wyloty luf trysnęły iskrami oraz dymem. Nad

pagórkiem uniosły się małe chmurki prochu, łącząc się w większe kłęby. Na równinie śnieg strzebił w górę, cztery zwierzęta ze skowytami upadły, przetoczyły się kilkakrotnie i skonały. Trzy uszły pierwszej salwie, choć i wśród nich znalazły się ranne osobniki.

Jean i Pierre unieśli muszkiety, ale nie wypalili. Nie było powodu zabijać wilków. Jednak inni myśliwi przygotowali broń, złożyli się do strzału i wymierzili. Zwierzęta pędziły w ich kierunku. Ledwie rozległ się pierwszy strzał, pozostałe muszkiety włączyły się do bezwzględnego chóru śmierci.

Żaden z wilków nie uszedł ołowianej nawałnicy. Najbardziej bezsporny był celny strzał oddany przez Włocha. Huk obłężniczego działa zagłuszył wszystko. Potężna kula wbiła się w głowę jednego z wilków, przebiła jego ciało wzdłuż i oderwała zadek.

Jean poczuł złość. To bezsensowny mord. Jednak, co łatwo zrozumieć, w oczach dowództwa wilki były głównymi winowajcami. W żadnym razie nie wolno było oficjalnie przyznać, że poluje się na loup-garou.

Rozpoczęło się wielkie ładowanie. Powietrze było pełne szurania nabijaków, uderzania różków z prochem, głuchego pobrzękiwania ołowianych kul wyjmowanych z kieszeni. Tu i ówdzie myśliwi głośno cieszyli się z oddanych strzałów, przede wszystkim ledwie można było pohamować Włocha. Skakał w górę i w dół, stale wskazując na zmasakrowane nie do poznania zwłoki i rzucał się w ramiona swoim kamratom. Zyskał dowody na celność i niezawodność swojej wcześniej tak wyśmiewanej przez wszystkich broni.

- Trochę szybciej - wojskowym tonem pogonił ich dragon. - Na polu bitwy już by was zastrzelono.

- To myśliwi. Nie muszą być tak szybcy jak wy - odpowiedział zuchwale Malesky. - Rzadko spotyka się niedźwiedzie i wilki pętające się po lesie z muszkietami.

- Żartowniś! - Dragon skrzywił wodze i natarł na niego. - Zamknij dziób...

Malesky bez lęku chwycił uzdę i przytrzymał ją żelazną ręką.

- Nie wysilajcie się. Nie zrobicie na mnie wrażenia. Poszukajcie sobie kilku swoich żalonych piechurów i ich pomusztrujcie. Ja jestem wolnym człowiekiem i nie muszę słuchać waszych rozkazów.

Dragon uciskiem ud polecił koniowi cofnąć się. Malesky puścił skórzane rzemienie.

- Porozmawiamy po polowaniu, niebieski okularku. Zatkam ci twój dowcipny dziób. - Pojechał w lewo, aby rzucić okiem na pozostałych myśliwych.

Uwadze Jeana nie uszedł fakt, że Mołdawianin nie strzelał.

- Oszczędzacie kule na bestię? - zapytał.

Błękitne oczy skierowały się na twarz leśniczego, zacisk binokli błysnął w słońcu.



- Podobnie jak wy, jak mi się zdaje. - Uniósł lewą dłoń i zatoczył krąg. - Jedyne my trzej nie strzelaliśmy do tych biednych wilków. - Spojrzał badawczo na Jeana. - Jesteście Francuzem? Z okolicy? - zniżył głos i mówił dalej: - Moglibyśmy połączyć siły i razem zapolować na stwory, które *naprawdę* stoją za tymi morderstwami. Jestem przekonany, że są dwie bestie.

Chastelowie starali się ukryć zaskoczenie, lecz obu się to nie udało. Malesky mógł na ich twarzach wyraźnie wyczytać, że swoją uwagę trafił w sedno. Z kolei nieskrywana satysfakcja obcego była dla Jeana przestrogą, by z czymkolwiek się zgodzić. Nawet aluzyjnie.

- Nie wiem, co macie na myśli - skłamał, mając nadzieję, że Pierre nie zniszczy jego wymówki jakąś nieprzemyślaną uwagą. - Naszym zdaniem po prostu nie warto strzelać do zwierząt, które ani trochę nie wyglądają tak, jak opisali je świadkowie.

Ale Malesky przejrzał starego myśliwego. Podszedł bliżej, lekko przechylając głowę w bok.

- Widzieliście bestię, prawda? - Jego źrenice rozszerzyły się, gdy zrozumiał. - Nie... wy nawet staliście naprzeciw niej! Doskonale wiecie, jak wygląda i dlatego nie strzelaliście do niegroźnych wilków. - W jego szepcie była jakaś groźba. Pierre mimo woli cofnął się pół kroku. - I polujecie na nią już dłużej.

- Nonsens - ochryple wycedził Jean. - Znamy ją z obrazków, które Duhamel kazał wszędzie porozwieszać - twierdził z uporem, próbując odwrócić ostrze oszczepu. - Uważacie to bydlę może za coś innego niż wilk? Za niedźwiedzia albo jakiegoś drapieżnika zbiegłego z menażerii? A może nawet wierzycie w bajki o wilkołaku, które matki opowiadają dzieciom, żeby je zagonić wcześniej do łóżek?

Mołdawianin nie spieszył się z odpowiedzią.

- Pomyliłem się. Wybaczone mi natrętne zachowanie - przeprosił miękko jak aksamit głosem. - Ale rzeczywiście uważam te bestie za stworzenia, pochodzące częściowo z... z całkiem innej części świata. W grę wchodzi tylko dwie istoty: wytresowany pies, z nieznannej hodowli, który albo uciekł swemu panu, albo z diabelskich powodów jest przez niego szczuty na ludzi, bądź też...

Przerwały mu głośnie krzyki. Z lasu wybiegły kolejne wilki. One również zostały zastrzelone. Tym razem żadnemu nie udało się dotrzeć do drugiego wzgórza.

- Pies? - wyrwało się z niedowierzaniem Pierre'owi, przyglądającemu się rzezi wilków. - Psy na pewno wyglądają inaczej... - Ugryzł się w język, gdyż powiedział już za dużo.

- Inaczej niż na obrazku, to jasne - dokończył Malesky, który nie zauważył, że syn leśniczego zdradził się. - Stwór, który rozszarpuje ludzi, może być skrzyżowaniem samsona i

hieny. Z opisu pasowałby taki mieszaniec. Zachowanie bestii pozwala wnioskować, że zna się na ludziach. Na ofiary wybiera dzieci i kobiety. Łatwy łup.

- A co to takiego *samson*? - spytał Pierre. - Macie na myśli lwa?

- To pies z Osmańskiego Imperium, nazwany tak przez pewnego otomańskiego uczonego  
- Malesky zastanowił się chwilę. - Nie pamiętam, co dokładnie znaczy to słowo, ale takiego samsona trzeba prowadzić w podwójnych łańcuchach. Podobno są wielkie jak osły i dzikie jak lwy.

- Czyście studiowali, *monsieur*? - zdziwił się Jean, któremu zaimponowała wiedza obcego. Gdyby nie wiedział, że to jego własny syn jako wilkołak jest sprawcą nieszczęść w regionie, bez wahania zgodziłby się z mężczyzną, tak przekonująco brzmiały jego słowa.

Malesky uśmiechnął się.

- Podczas wędrówek dużo czytałem. Księgi zgadzają się co do tego, że żaden wilk nie masakrowałby swoich ofiar w taki sposób i nie żarłby samych wnętrzności.

- Może to zwierzę jest chore - wtrącił Jean.

- Sami w to nie wierzcie. Gdyby wilk chorował na wściekliznę, popychając go do takich czynów, dawno już by zdechł. - Mężczyzna mlasnął językiem z dezaprobatą na widok, jak ostatnie zwierzę pada od kuli.

- W tym się z wami zgodzę. A jaka jest inna możliwość, o której wspomnieliście? Wiemy już, co to samson, ale czym jest hiena?

- To podobny do psa drapieznik. Mieszka w Afryce. Ma trzy stopy wysokości w kłębie i ciało długie na prawie dwa kroki. Jest wystarczająco szkaradny i dziwny, żeby naiwny wieśniak wziął go za stworzenie z piekła rodem. - Malesky spojrzał w kierunku lasu, z którego dobiegało głośnie walenie w bębny. Niedługo wyjdą, a bestii nie widać. - Taka hiena mogłaby uciec z objazdowej menażerii.

- Ale król... czy jego uczeni nie doszliby do takich samych wniosków jak wy? - Pierre chuchał w zimne dłonie, chcąc je ogrzać. - Czemu każe tropić wilki, skoro wszystko zaprzecza ich udziałowi w tej zbrodni?

- To proste, łatwo na nie polować - odpowiedział Malesky. - Widok martwego wilka uspokaja ludzi. Przy polowaniach z nagonką, takich jak dzisiejsze, jest spora szansa na odnalezienie naszych dwóch bestii. To jak łowienie ryb wielką siecią: w tym wypadku większość złapie się przy okazji, podczas gdy rybak właściwie upatrzył sobie dwa szczególne egzemplarze - wskazał na krawędź lasu. - Naganiacze wychodzą. Niech Bóg ich zachowa od przedczesnych strzałów i trafienia przez śmiercionośne narzędzie naszego włoskiego przyjaciela.

Między dwustu ludzi na wzgórzu wdarło się poruszenie. Oni również dostrzegli ruch wśród drzew i unieśli muszkiety. Włoch mówił coś do siebie, zagrzewał się do walki, odciągnął kurek broni i mocno oparł kolbę o ramię. Główny ciężar spoczywał wprawdzie na drewnianej podstawie i łagodził zabójczy odrzut, jednak strzelec przy każdym strzale dostawał porządny policzek.

Z lasu wyszedł jeden z naganiaczy, wymachując czerwonym proporcem, by zasygnalizować czyhającym na zwierzynę myśliwym, że wyjdzie za nim zaraz wiele setek ludzi i że nie powinni strzelać.

Na jego znaki odpowiedziano wprawdzie ze wzgórz kiwaniem, ale nie opuszczono luf muszkietów. Zbyt wielka była obawa, że bestia pojawi się niespodziewanie i dziesięć tysięcy liwów dostanie się któremuś z konkurentów.

Stopniowo na łąkę wylaniała się pierwsza fala nagonki; na twarzach ludzi znać było ulgę, że nie spotkali straszliwego stworzenia. Dzidy, widły i zwykłe pałki, jakie nieśli dla swojej ochrony, nie dawały im wystarczającego poczucia bezpieczeństwa. Wąski pas przed lasem wypełnił się ludźmi. Jeana i jego syna dobiegały strzepy rozmów. Śmiano się.

- Wygląda na to, że Duhamel poniósł kolejną klęskę - zauważył Pierre, starając się, aby w jego głosie nie było słyhać radości. - Założę się, że niedługo zostanie stąd odwołany razem ze swoimi dragonami. Wśród ludzi rośnie niechęć. Dzisiejszy dzień tego nie poprawi.

Jean patrzył na drugie wzgórze, gdzie po wspianym stroju poznał comte. Siedział na koniu z ręką wspartą na biodrze i uważnie obserwował równinę. Pewnie cieszył się, że kapitan swoim polowaniem nic nie osiągnął, poza kilkoma martwymi wilkami.

Malesky uniósł głowę.

- To jeszcze nie koniec.

Nie wybrzmiało ostatnie słowo, gdy rozległy się głośnie krzyki naganiaczy na północnym skraju lasu. Rozpierzchli się na wszystkie strony i próbowali jak najszybciej oddalić się od zarośli. Cofali się biegiem, trzymając przed sobą prymitywną broń. Tumult został oczywiście dostrzeżony przez myśliwych. Muszkiety obróciły się i skierowały w tamtą stronę. Strzelcy nie zważali na wymachiwanie czerwonego proporczyka, mające powstrzymać ich od ognia. Nagle szaro-brunatny cień przebiegł między naganiaczami, sprytnie wykorzystując ich jako osłonę.

Jeanowi zdawało się, że rozpoznaje w bestii swego syna.

- To on - szepnął do Pierre'a i w napięciu patrzył na Włocha, który, cicho mamrocząc, stał w gotowości do wypalenia z działa. Nim stworzenie dotarło do strefy rażenia, przyszła kolej na myśliwych z pierwszego wzgórza. Mimo wywrzaskiwanego przez przemykających za nimi

na koniach dragonów ostrzeżenia, stało się: jeden z mężczyzn strzelił, nie zważając na naganiaczy i natychmiast znów rozległa się znajoma kanonada. Chłopi na zaśnieżonej łące rzucili się na biel i szukali ochrony przed śmiercionośnym gradem. Niektórym udało się przemknąć za jeden z granitowych bloków, jednak większość powaliły i zraniły kule. Nad równiną głośne krzyki mieszały się z nieprzerwanym łoskotem muszkietów.

- Dźwięki jak z pola bitwy - powiedział współczującym głosem Malesky, nawet nie próbując podnieść muszkietu. - Biedacy.

Mając przed oczyma nagrodę króla, strzelcy z pierwszego wzgórza nie zamierzali przestać. Wciąż na nowo ładowali broń. Oddawano salwę za salwą, a krew naganiaczy zabarwiała śnieg. Gorączka łowów przeniosła się na drugie wzgórze. Również Włoch dał się skusić do oddania niepewnego strzału. Zasięg działa oblężniczego był ogromny. Pocisk błyskawicznie dosięgnął jednego z chłopów. Impet po prostu wyrwał nieszczęsnemu ramię i mężczyzna upadł, sztywny jak deska. Włoch, przeklinając, ponownie naładował działą. Nie wyglądało na to, by martwił się tym, co się przed chwilą stało.

Bestię również opuściło szczęście.

Prawie minęła już pierwsze wzgórze, gdy nagle zawyła, skoczyła groteskowo i pobiegła jeszcze kilka niepewnych kroków, nim trafiły ją druga i trzecia kula. Była dostatecznie blisko drugiego wzniesienia, by Jean i Pierre mogli wyraźnie zobaczyć otwory w ciele i czerwieniejący śnieg.

- Nie - szepnął przejęty leśnik, chwytając za ramię Pierre'a, który chciał rzucić się do przodu w obronie brata. - Nie. On żyje. - U wilkołaka, którego zabili, po śmierci rozpoczęła się przemiana w człowieka. Teraz nic takiego się nie działo.

Tymczasem myśliwi nie wiedzieli o szczególnym charakterze loup-garou. Tuzin z nich zbiegł z pierwszego wzgórza, każdy krzycząc, że to jego kula zabiła bestię. Wszyscy domagali się nagrody, rzucali pogrózkami i wielu waliło kolbami muszkietów tych, którzy chcieli ich wyprzedzić.

Comte również ruszył w tym kierunku. Pędem zjechał z pagórka, wyprzedził myśliwych i zatrzymał się przed domniemanymi zwłokami.

- Rób to, co ja - Jean poinstruował Pierre'a, potem uniósł broń, obrócił się w prawo i wycelował w małą kępę krzaków. Szybko, raz za razem oddał kilka strzałów w tył, celując obok przestraszonych myśliwych, prosto w zarośla. Zaraz przyłączyły się strzały Pierre'a. Nie tracąc czasu na słowa, przeładowali broń i ruszyli biegiem.

- Matko Święta! Naprawdę są dwie bestie! - krzyknął zachwycony Malesky. Wywołał tym histerię wśród myśliwych, którzy również pragnęli posmakować dziesięciu tysięcy

liwrów. Ruszyli biegiem, strzelając po krzakach i kierując uwagę czterystu pozostałych konkurentów ku nieoczekiwanej drugiej ofierze. Kanonada rozpoczęła się na nowo.

Jean został w tyle. Podstęp się udał, skierował sforę na fałszywy trop.

Gdy odwrócił się i spojrzął w miejsce, gdzie leżał wilkołak, zobaczył tylko czterech mężczyzn kłócących się i przepychających, potrzęsających pięściami i groźnie wymachujących muszkietami. Comte przeciskał się wraz z koniem i rozdawał kopniaki. Najwyraźniej był zdania, że to on zabił bestię. Dragoni nadjeżdżali galopem, by obejrzeć szczątki stworzenia i poprzeć comte wobec obcych, którzy nie przejmowali się wcale jego tytułem.

Niespodziewanie bestia skoczyła na nogi i przemknęła tuż obok kłócących się, mijając zaskoczonych myśliwych.

- Trzymajcie ją!

Jean dla pozorów strzelił za nią, oczywiście chybiając celu. Bestia w biegu obejrzała się, spojrzała na niego czerwonymi oczami i wydało mu się, że dostrzega w nich jakby rozpoznanie i wdzięczność.

- Nic z tego, potworze. - Malesky pojawił się obok Jeana i przyklęknął, by zająć lepszą pozycję strzelecką. Miał właśnie wypalić, gdy comte wjechał mu dokładnie przed lufę. Gonił bestię i próbował z grzbietu konia zakłuć ją szpadą. Nikt nie ważył się oddać strzału; śmierć szlachcica miałyby dla strzelca gorsze następstwa niż śmierć naganiacza.

- Z drogi, ty zarozumiały idioto - mamrotał Malesky, nie opuszczając lufy. Kiedy udało mu się znaleźć wytęsknioną lukę na oddanie strzału, Pierre rzucił się na niego i razem upadli na śnieg.

Bestia uciekała skokami długości co najmniej dziewięciu kroków, zostawiając w tyle nawet comte i dragonów na koniach. Po chwili zniknęła za skupiskiem granitowych skał.

Pierre pomógł Mołdawianinowi podnieść się na nogi i otrzepał śnieg z jego kurtki.

- Wybaczcie, *monsieur* - przeprosił z udawanym poczuciem winy. - Potknąłem się. Czy mogę przynajmniej zaprosić was na gorące korzenne wino, skoro przeze mnie straciliście nagrodę?

Jean widział po Maleskim, że ani przez chwilę nie wierzył Pierre'owi. Obcy zdawał się wiedzieć, że strzały w zarośla były tylko odwracającym uwagę manewrem. Mimo to uściśnął podaną dłoń.

- Ostrzegam, zamówię najdroższe wino, jakie będzie w gospodzie - poprawił binokle.

Podjechał do nich przydzielony do grupy dragon.

- Co to miało być, Chastel?! - krzyknął oburzony. - Za tymi cholernymi krzakami, do

których strzelałeś, nie ma żadnych śladów.

Jean tylko wzruszył ramionami.

- Zapal myśliwski musiał mi zmać wzrok. - Wskazał na równinę, gdzie w śniegu wili się jeszcze ranni naganiacze. Przytoczono drabiniasty wóz, na który wrzucano postrzelonych.

- Ja przynajmniej nikogo nie zraniłem.

- Wiedzieli, że będzie niebezpiecznie. - Dragon brutalnie zawrócił konia i wrócił do pierwszego pagórka, by zdać sprawę kapitanowi Duhamelowi.

- Wszyscy żołnierze mają jedną wspólną cechę: nie grzeszą przesadną bystrością. - Malesky spojrział na ojca i syna. - *Messieurs*, opuścimy to lodowe piekło? Moje wino czeka.

Poszli w kierunku wioski. Comte minął ich i wjechał na szczyt wzniesienia, podniósł w górę broń, otrzymując oklaski swej świty. Fetowano go jako dzielnego bohatera, gdyż krew na jego szpadzie dowodziła, że był bliżej bestii niż ktokolwiek inny.

Podczas gdy Pierre i Mołdawianin rozmawiali o życiu w Gévaudan, Jean myślał o ranach Antoine'a. Żadne normalne stworzenie by ich nie przeżyło. Wyglądało na to, że kat miał rację: wilkołaka można zabić tylko przy pomocy srebra.

# Rozdział X

Rosja, Petersburg, 13 listopada 2004,  
godzina 07:43

Eryk von Kastell obudził się z ogromnym kacem.

Spał tak głęboko, jak nie zdarzyło mu się już od dawna. Alkohol zmaćił jego umysł i nawet koszmary rozmył tak, że Eryk nie obudził się z krzykiem. A przynajmniej nie przypominał sobie nic takiego.

Siadł do komputera. Internet był kopalnią zarówno wartościowych informacji, jak i tak zwanego informacyjnego śmiecia. Eryk potrafił zręcznie oddzielić owe śmieci, podzielić je na prawdy, półprawdy oraz fikcję mającą odwrócić uwagę od prawdy. Żując kawałek surowej szynki i rozkoszując się słonym smakiem, stukał w klawiaturę, wydobywając z nieznanej dali wskazówki na temat swego osobliwego łupu. Trik polegał na tym, by czytać między wierszami i rozpoznawać tropy zostawione na miejscu zbrodni przez bestię. Nauczył go tego ojciec. Podobnie jak innych cennych w walce z wilkołakami rzeczy.

Wyjątkowo tym razem sprawa okazała się prosta. Przemieniec zdawał się nie śpieszyć z opuszczeniem miasta. Odkryto następną ofiarę: małego chłopca, jeżdżącego na łyżwach po zamrożonym kanale. Dziecko zostało znalezione, a na jego ciele widniały znane obrażenia.

Eryk ogolił się, założył jasne, ciepłe ubranie i biały płaszcz z lakierowanej skóry, by być jak najtrudniej dostrzegalnym na zaśnieżonych ulicach. Wziął ze zbrojowni srebrny sztylet, pistolety Makarov i Bernardelli i kolejny raz wcisnął się za kierownicę porsche cayenne. Wyskoczył na ulicę w kierunku zamrożonego kanału, by tam rozpocząć poszukiwania.

Na miejscu zbrodni była jeszcze policja. Obszerny fragment kanału oddzielała taśma, ale na licznych mostkach nie brakowało punktów widokowych dla gapiów. I dla niego. Eryk naciągnął na głowę jasną, wełnianą czapkę, wziął lornetkę i ruszył ku jednej z nieco odleglejszych kładek, by nie wpaść w oko żadnemu z naburmuszonych stróżów prawa.

Przecisnął się do przodu przez grupę gapiów i przebił ich wszystkich - choć ze szlachetnych pobudek - wyjmując swoją lornetkę. Soczewki zapewniły mu kłująco ostre obrazy miejsca zbrodni; naciśnięciem guzika zapisał na karcie pamięci wszystko, co uznał za

istotne: ślady kota na śniegu, ułożenie ciała martwego chłopca.

Wtem dobry, wyćwiczony nos Eryka wyczuł wśród mieszanki wyziewów Petersburga zapach niepasujący zupełnie do cywilizowanego miasta: woń wilka. I to dość intensywną. Tak intensywną, jakby ów okaz biegł tuż za nim i chciał mu powiedzieć: *I co, złapiesz mnie?*

Szybko opuścił lornetkę i rozejrzał się. Zapach dobiegał od postaci ubranej w kurtkę w maskujący śnieżny wzór, buty z cholewami, beżowe spodnie termiczne i jedną z tych okropnych czapek z podniesionymi klapkami na uszy. W widzianej od tyłu postaci jedynie chód zdradzał kobietę. Eryk jeszcze raz głęboko wciągnął nosem powietrze. Nie pachniała wilkiem, o nie, ona nim śmierdziała.

Kobieta rzuciła okiem na zabarwiony od krwi śnieg, zanotowała coś i pospiesznie ruszyła w drogę. Eryk poszedł za nią. Biegła, skręcając kilkakrotnie ulicą, by w końcu zanurkować w płataninę zaułków, po których poruszali się jedynie miejscowi albo zbłąkani turyści.

W tę dzielnicę nie zainwestowano złamanego rubla z okazji obchodów urodzin miasta; na jej obraz składały się odpadające płatami tynki, sypiące się fasady i kruszące cegły. Cienie były tu jakby ciemniejsze; słońce przegrało walkę o tę część Petersburga i ustąpiło pola ciemności.

Kobiecie zdawało się to nie przeszkadzać. Nie zauważyła też, że ktoś idzie jej śladem - coraz bardziej dziwiąc się jej zapachowi. Na woń wilka składało się kilka walczących o prymat nut, tworząc ekstrakt dzikości, jaki z reguły rozchodził się jedynie w norze.

Czyżby wytropił stado?

Von Kastell nagle poczuł, że jest niedostatecznie uzbrojony. Półautomatyczna broń strzelająca śrutem leżała na tylnym siedzeniu cayenne. Teraz miał ze sobą tylko pistolet i sztylet; dysponował zaledwie czterdziestoma strzałami.

Kobieta zatrzymała się przed wielkimi drewnianymi drzwiami i bez namysłu nacisnęła górny przycisk dzwonka. Eryk przeszedł obok, mijając ją bardzo blisko, i udawał, że szuka numeru domu. Zobaczył jej powabne rysy, wydatne czarne brwi. Ciemnobrązowe włosy wymykały się spod kaptura i Eryk poczuł, jak budzi się w nim pożądanie. Posiadała ów osobliwy rosyjski seksapil, nawet w tym katastrofalnym dla figury ubraniu. Przez chwilę walczyły ze sobą pożądanie i rozsądek, przy czym tym razem górę wziął rozum. Myśliwy ponownie wciągnął powietrze. Bardzo wyraźna woń wilka. Ale czy ona pachnie również wilkołakiem?

Kobieta poruszyła się niespokojnie i cofnęła dwa kroki, by spojrzeć na najwyższe piętro.

- Panie Nadolny, proszę zejść! - zawołała po niemiecku, niskim, głębokim głosem.

Odpowiedź wprawiła w osłupienie zarówno ją, jak i Eryka.



Posypało się rozbite szkło, a za nim z mieszkania szerokim łukiem wypadło ciało mężczyzny. Leciało z takim impetem, że uderzyło o ścianę domu naprzeciwko, gdzie głowa zostawiła szkaradną czerwoną plamę, po czym upadło plecami na bruk. Trzask łamanego karku albo innej kości dobiegł Eryka tak wyraźnie, jakby stał tuż obok.

Kobieta drgnęła. Przez chwilę była zupełnie wytrącona z równowagi. Zastłaniała dłonią usta. Potrzebowała pięciu, sześciu sekund, by pozbierać myśli; potem wyjęła komórkę i wezwała lekarza. Słyszał słowa *ambulans* i *wypadek*.

Zachwiało to teorią Eryka o przemieńcach. Zwykle unikali szpitali i wszystkiego, co miało związek z medycyną, obawiając się, że badania ujawnią ich naturę. Polegali na niesamowitej zdolności do regeneracji. Coś się tu nie zgadzało.

Z rękami w kieszeniach płaszcza spojrzął w górę i zobaczył tułów zamaskowanego mężczyzny, jak pochyla się w dół i celuje w kobietę z pistoletu z tłumikiem. Była tak zdenerwowana, że nie zauważyła niebezpieczeństwa.

Eryk miał sekundę na podjęcie decyzji. Nie wiedział, jaką rolę odgrywa kobieta, lecz postanowił ją wesprzeć. Ruchem szybszym niż sus wilka wyciągnął Makarova i wpakował mężczyźnie kulę w ramię. Zamaskowany krzyknął i cofnął się w głąb mieszkania, upuszczając jednak broń. Upadła obok kobiety i roztrzaskała się na kawałki. Posypały się części z metalu i plastiku, a magazynek ześliznął się do rynsztoka.

Szatynka opuściła komórkę i najpierw przestraszona spojrzała na Eryka, potem w górę na okno, po czym odwróciła się i ruszyła biegiem.

- Stop, proszę zaczekać! - Eryk trzymał pistolet tak, by nie zobaczyli go przechodnie i pomknął za kobietą.

Gdy pędem mijał drzwi domu, przed którym stała, te otworzyły się niespodziewanie. Na progu stanęły dwie zamaskowane postaci - z pistoletami maszynowymi w dłoni.

Eryk zdał się całkowicie na instynkt. Ten, jak już wiele razy, nie zawiódł go: jeden z jego butów strzelił w górę i podbił lufę broni napastnika, a grad kul zaświstał nad jego czapką i podziurawił ścianę domu naprzeciwko. Równocześnie strzelił do drugiego mężczyzny, specjalnie jednak chybił o kilka centymetrów, zmuszając go do cofnięcia się.

Von Kastell zaczął walkę wręcz. Większość ludzi nie docenia lufy pistoletu użytej do wymierzenia ciosu, a przecież jest zrobiona z metalu i waży kilkaset gram. Wsparta stosowną siłą mięśni wysłała trafionego na wycieczkę do krainy snów.

Eryk mierzył celnie. Makarov, uderzywszy napastnika w kość jarzmową, położył go na miejscu. Przeskoczył upadającego, chwycił drugiego za kołnierz i dwukrotnie uderzył go łokciem w twarz. Na koniec docisnął czaszkę do drewnianych drzwi. Również ten napastnik

padł nieprzytomny na podłogę.

Głosy zbliżały się, buty dudniły po schodach, a źle wycelowana seria z automatycznego karabinu wyrąbała w drzwiach wielkie na pięść dziury. Strzelec naładował broń pociskami z litego metalu, o niesamowitej sile rażenia. Na szczęście mężczyźni nie używali śrutu, w przeciwnym razie Eryk, mimo kiepskiej celności strzelca, zostałby trafiony kilkoma zbłąkanymi kuleczkami. Postanowił biec za kobietą, która powie mu więcej niż rozwścieczona brygada zamaskowanych mężczyzn, wylewająca się z najwyższego piętra budynku niekończącym się potokiem Agencji rządowi? Nieważne! Eryk wybiegł z powrotem na ulicę. Kule świstały obok niego, wgryzały się w ścianę, resztki drzwi i fasadę sąsiedniego domu, wznecając chmury kurzu.

Daleko, daleko przed nim kobieta biegła ku wylotowi uliczki, obejrzała się przez ramię i znikła za lewym rogiem.

Gonił ją. Stopniowo zmniejszał się dystans między nimi. Po kolejnym zakręcie niespodziewanie stanęła przed nim z puszką sprayu pieprzowego w dłoni.

- Kim pan jest? - spytała po rosyjsku, z trudem starając się złapać oddech. Na oko ocenił ją na dwudziestkę. - Co się stało z Nadolnym? Czemu chcieli mnie zastrzelić?

- Powoli. - Ostrożnie uniósł ręce, by pokazać jej, że nie ma złych zamiarów. - Może pani mówić ze mną po niemiecku - wyjaśnił uspokajającym, jak miał nadzieję, tonem. - Nie mam pojęcia, co się dzieje. Znalazłem się tam przypadkowo i chciałem pani pomóc. Nic więcej.

- Jasne. Każdy Niemiec w Petersburgu nosi przy sobie broń. - Nasłuchiwała zbliżających się kroków.

- To ludzie, którzy wyrzucili pani przyjaciela przez okno - wyjaśnił Eryk. - Uciekajmy stąd. Potem wyjaśni mi pani, czemu chciano zabić jego i panią.

- Ja... ja nie wiem! - w jej głosie była rozpacz.

- Czy to ma coś wspólnego ze zbrodniami wilka? - Dał jej do zrozumienia, że wie więcej, niż początkowo udawał. Zaskoczył ją na tyle, że opuściła rękę ze sprayem.

- Wilk? W wiadomościach nic nie mówili o wilku.

W tym momencie pojawił się pierwszy uczestnik pogoni, z niedbale opuszczonym karabinem. Zobaczył Eryka za późno, podbiegł za blisko i zapłacił za swoją nadgorliwość tym, że padł nieprzytomny od szybkiego ciosu dłonią w szyję. Eryk starał się unikać pozostawiania za sobą martwych ciał.

Kobieta znów uciekała.

- Do cholery, proszę już przestać! Potrzebuje mnie pani, jeśli chce pani wyjechać z Petersburga żywa. - Pozwolił sobie na luksus przeszukania ogłuszonego przeciwnika i znalazł

mały medalion, który przywłaszczył sobie wraz z portmonetką i dokumentami mężczyzny. Potem ponownie rzucił się w pościg za nieznajomą.

Eryk miał po dziurki w nosie pościgu i to w dosłownym sensie tego słowa: trop wilka wydawał się prawdziwy, ale jednocześnie zbyt rozmyty. Tymczasem uciekiniarka nie próbowała nawet osłabić zapachu, jak robi to większość przemieńców.

Dogonił ją, chwycił za ramię i odepchnął w bok dłoń ze sprayem. Bez wielkiego wysiłku przycisnął kobietę do ściany, wy dobył srebrny sztylet i przyłożył go do jej lewego policzka.

Nic.

Likantrop broniłby się i próbował uniknąć metalu, a nie jak ona wpatrywał się przerażony w białą, skórzaną rękawiczkę. Fakt, że nie zaszkodziło jej srebro, nie dawał wprawdzie absolutnej pewności, jak już się kiedyś przekonał się, jednak przyniósł mu ulgę. Nie było powodu, by ją natychmiast zabijać.

- Przepraszam. - Zabrał sztylet. - Jak się pani nazywa i co robi pani w Petersburgu? Skąd to zainteresowanie morderstwami?

Wbiła w niego jasnobrzęde oczy.

- To nie przypadek, że stał pan przed domem, prawda? Osłaniał pan mnie i Nadolnego.

Eryk postanowił wyjawic jej część prawdy.

- Czy mi pani uwierzy, czy nie, pani kurtka wydziela niesamowicie mocną woń psa albo wilka. Dlatego obróciłem się za panią, gdy stała pani na moście. - Teraz przyszła kolej na kłamstwo. - Widziałem, że coś pani notuje i uznałem, że jest pani reporterką. Chciałem spytać, czy wie pani coś więcej o tych morderstwach.

- Wyczuwa pan, że mam do czynienia z wilkami? I ja mam w to uwierzyć?

- Zrobi pani, co zechce.

Kroki zbliżały się, rozległ się również trzask krótkofalówki. Ścigający ich nie zamierzali porzucić tropu i teraz rozdzielili się.

- Znikajmy stąd. - Eryk chwycił dłoń kobiety. Pobiegli wzdłuż ulicy, aż wreszcie stanęli przy cayenne. Von Kastell niezbyt łagodnie wepchnął ją do wozu, po czym ponownie się odwrócił. Ani śladu pościgu. Dobrze.

Eryk usiadł po stronie kierowcy.

- Zatem jest pani reporterką? - zapytał.

- Badaczką wilków - poprawiła i pierwszy raz się uśmiechnęła, choć z niejakim trudem. - Nadolny i ja jesteśmy badaczami wilków. W okolicy Sankt Petersburga studiowaliśmy rozmaite tropy i obserwowaliśmy wpływ miasta na zwierzęta. Można to trochę porównać z fenomenem niedźwiedzi polarnych, które niespodziewanie wchodzą do osad, choć z natury...

- Przerwała i wyciągnęła do niego dłoń. - Magdalena Heruka. Dziękuję, że przed chwilą uratował mi pan życie, panie...?

- Eryk. Proszę mówić do mnie Eryk.

- Jeśli pan będzie do mnie mówił Lena. - Obejrzała się i domyśliła się, że rozgląda się za depczącymi im po piętach mężczyznami. - Co to miało być z tym sztyletem?

- Test - odpowiedział zwięźle.

Lena roześmiała się.

- Sprawdzał pan, czy reaguję na metal albo srebro? Wierzy pan w wilkołaki? - Jej wesołość znikła na widok zaskoczenia na jego twarzy. - Chciałam zażartować.

- Skąd przychodzą pani do głowy wilkołaki? - zapytał i zerknął kątem oka na tylne siedzenie, gdzie pod kocem ukryta była broń. Niekoniecznie powinna ją zobaczyć.

- Zajmuję się wilkami, a z tym wiąże się też poznanie legend. Wszystkich możliwych legend. - Lena spojrzała na oblodzony kanał, gdzie dwóch policjantów pilnowało, aby gapie ani zboczeńcy nie zabierali zakrwawionych kawałków lodu. - Niech pan tylko nie mówi, że taki z pana świr, że pan w to wierzy? - Skierowała brunatne oczy na jego wyrazistą twarz i zrozumiała przynajmniej część prawdy. - Ależ to prawda, pan *wierzył*. - Roześmiała się i klasnęła dłonią o drzwiczki schowka. - Nie do wiary!

- Leno, proszę mi powiedzieć, czym pani i pani kolega się zajmowaliście, że chciał was usunąć sam rząd? - przerwał szorstko.

- Jak to rząd?

- Kto inny mógłby zamaskowany i uzbrojony biegać po Petersburgu?

Zastanowiła się chwilę.

- Może ma pan rację. My... trafiliśmy w poblize obszaru zamkniętego. Nadolny robił dużo zdjęć i filmował. - Pobladała. - Musimy wejść do jego mieszkania! Te dokumenty to pół roku pracy.

Podał jej lornetkę, otworzył zamontowany w samochodzie monitor LCD i przywołał na ekran zdjęcia miejsca zbrodni.

- Może mi pani coś powiedzieć o tych śladach? - Kiedy Eryk zapalał silnik i ruszał, Lena z zaciekawieniem patrzyła na zdjęcia.

- To z pewnością ślady pazurów, pazurów jak u wielkiego kota. Na pewno nie psa ani wilka.

- A niedźwiedź?

- Hm... nie, też nie. - Lena wyłączyła monitor i odłożyła lornetkę na tylne siedzenie. Zauważyła przy tym kolbę Bernardelli'ego. - Eryku, pan naprawdę bardzo, ale to bardzo

wierzy w wilkołaki, prawda?

- Lepiej, żeby *pani* nie musiała w nie uwierzyć - powiedział i zatrzymał samochód trzydzieści metrów przed wejściem do mieszkania Nadolnego. - Przyjechaliśmy za późno.

W poprzek jezdni stało auto policyjne i blokowało część ulicy. Wszędzie było pełno policjantów w mundurach i w cywilu, którzy raz po raz coś podnosili i robili zdjęcia, inni rozmawiali z sąsiadami.

- Może nie. - Lena wypuściła powietrze. - Na razie. - Wskoczyła z cayenne, przeszła na drugą stronę ulicy i nie zwalniając, skierowała się prosto ku funkcjonariuszom. Tuż przed nimi skręciła i weszła do sąsiedniego domu.

Eryk obserwował zachowanie policji. Jeszcze nikt nie zwrócił uwagi na wypolerowane jak lustro porsche, ale to nie potrwa już długo. Była duża szansa, że go skontrolują, jeśli zaraz stąd nie zniknie.

Po dziesięciu minutach Lena pojawiła się znowu. Robiła dokładnie to, czego w takiej sytuacji absolutnie i w żadnym wypadku robić nie wolno: *biegła*.

Dwaj policjanci unieśli głowy i zdziwieni spojrzeli w jej kierunku. Eryk opanował się i nie zapalał przedwcześnie silnika cayenne, by wszystko razem jeszcze bardziej nie wyglądało na ucieczkę. Ale gdy jeden z nich uniósł krótkofalówkę, nie było już na co czekać.

Lena wskoczyła do porsche, przyciskając grubą aktówkę.

- Dalej, znikajmy stąd!

- Proszę zapiąć pasy.

- Co? - Obejrzała się ku mundurowym, biegnącym w ich kierunku.

- Nie ruszę. Proszę zapiąć pasy.

Przeklinając, wykonała polecenie. Cayenne z warkotem obudził się do życia i ruszył, ostentacyjnie wolno i zgodnie z przepisami ruchu. Dopiero gdy rozbłysły niebieskie światła wozu policyjnego i zawyła syrena, Eryk przycisnął mocniej pedał gazu. Do systemu nawigacji wprowadził jako cel dację, w której jego rodzina czasem spędzała weekendy. Musiał tam jechać. Nie tylko dlatego, że będą tam bezpieczni.

*Dwieście metrów prosto, na skrzyżowaniu skręcić w lewo.*

- Jak zdobyła pani dokumenty?

- Jest tam przejście z korytarza sąsiedniego domu. Było zaklejone tapetą, ale Nadolny kiedyś mi o nim powiedział. Taki dziwaczny kaprys poprzedniego najemcy. Lekki rozbieg i tapeta się rozerwała. Tak dostałam się do mieszkania - opowiadała podniecona.

- Niezauważona?

- Oczywiście, że nie. Niech pan sam spróbuje wpaść gdzieś znieca przez ścianę. Ale

udało mi się wiarygodnie ich przekonać, że biorę udział w śledztwie. - Lena wyjęła z płaszcza plastikowy arkusik. - Moja legitymacja biblioteczna z Moskwy. Pokazałam ją z daleka tym typom od zabezpieczania śladów i podałam się za specjalną inspektorę. Najwyraźniej nadruk *Moskwa* zrobił na nich wrażenie.

- A potem powiedziała im pani po prostu, że coś zabiera?

- Właśnie tak - uśmiechnęła się. - Ale kiedy przyszli prawdziwi gliniarze, wołałam szybko zniknąć.

*Teraz skręć w lewo. Potem czterysta metrów prosto.*

Eryk skręcił z takim impetem, że poślizgiem pokonał skrzyżowanie i ku przerażeniu Leny skierował się na promenadę wzdłuż zamrożonego kanału. Mieli teraz już towarzystwo dwóch volvo w nierzucającym się w oczy ciemnoszarym kolorze i o sile wielu koni mechanicznych.

- Eryku, co pan robi?

*Trzysta metrów prosto.*

Wskazał na GPS-a.

- Nie słyszy pani? - Ominął dwóch przechodniów i przejechał wozem terenowym tak blisko latarni ulicznej, że między lusterko boczne i słup nie zmieściłaby się nawet kartka papieru.

- To jest zepsute!

*Jeszcze dwieście metrów, potem skręć w lewo.*

- Nie jest zepsuty. Wytycza optymalną trasę.

Lena rozglądała się za mostem przy promenadzie, ale żadnego nie widziała.

- Gdzie, przepraszam bardzo, chce pan skręcić w lewo?

Ludzie, zaparkowane samochody, lampy przemykające za boczną szybą. Cayenne pędził już setką, silnik dudnił uszczęśliwiony i tylko dmuchał paliwem przez pompy wtryskowe. Lena chwyciła się bocznych drzwi.

- Eryku, tam nic nie ma!

- Założymy się?

- Eryk!

*Teraz skręć w lewo.*

Pędząc na złamanie karku, wpadł na jezdnię, przemknął w poprzek przez ruch uliczny i minąwszy promenadę, ruszył schodami w dół ku przystani nad kanałem.

- I już jesteśmy na wyjeździe.

- Pan nie mówi poważnie - wyszeptwała.

*Za pięćdziesiąt metrów skręć w prawo.*

Koła potoczyły się po stopniach w dół. Eryk i Lena zatrzęśli się, wreszcie porsche wjechał na drewniane belki pomostu i nie zwalniając, pomknął na jego koniec.

Cayenne wyskoczył za krawędź pomostu.

Lena krzyknęła.

Wóz terenowy po krótkim, dwumetrowym skoku wylądował na lodzie, podskoczył kilka razy i zakołysał się.

*Uwaga, teraz skręć w prawo.*

Milimetr przed przeciwną ścianą kanału Eryk zdołał opanować wirujący pojazd, zatrzymał go na moment, po czym znów dodał gazu. We wstecznym lusterku widział rosyjskich policjantów, którzy zaniechali powtarzania jego kaskaderskich wyczynów i zatrzymawszy się u szczytu schodów, patrzyli na promenadę.

- Pan jest kompletnie szalony - wydyszała Lena i otarła sobie krew z dolnej wargi. Musiała się w nią ugryźć, gdy pasy zacisnęły się, przytrzymując jej lecący do przodu tułów.

- Tylko dlatego, że słucham kobiety? - Wyszczrzył zęby, jadąc dalej według wskazówek kobiecego głosu z GPS, który wkrótce wyprowadził ich z płataniny zamrzniętych kanałów tam, gdzie nikt się ich nie spodziewał. Zgubili policyjny pościg.

Po opuszczeniu Petersburga Eryk zadzwonił do Anatola i wyjaśnił, co się stało. Potem skontaktował się z policją i zgłosił kradzież porsche.

Początkowo Lena obserwowała jego działania w milczeniu.

- Jest pan zbyt dobrze zorganizowany, by pasować na szaleńca, Eryku - powiedziała zamyślona, gdy porsche toczyło się leśną drogą w kierunku daczy, nurzając się w śniegu. - Znalazłam się na linii ognia między tajnymi służbami, czy coś w tym rodzaju?

- Można by tak sądzić. - Eryk dostrzegł dach drewnianej chatki i przyspieszył. Chciał nareszcie przejrzeć dokumenty, by dowiedzieć się czegoś o śmierci Nadolnego.

Zaparkował samochód tak, by mogli nim natychmiast uciec. Potem poczłapali po śniegu do wejścia.

W domku było lodowato; temperatura niewiele wyższa niż na dworze, ale tu na szczęście nie było wiatru. Eryk rozpałił w kominku wielki ogień. Ciepło rozchodziło się szybko, odganiało chłód i roztopiało mroźne kwiaty na szybach.

- Chciałaby pani herbatę? - Eryk poszedł z kociołkiem ku drzwiom, by przynieść śnieg. Przy tej temperaturze staroświecka pompa nie działała.

Lena zdjęła czapkę i jej długie do ramion włosy swobodnie opadły. Przytaknęła i zaczęła rozpalać ogień w kuchennym piecu.

Eryk przyglądał się jej. Uznał, że radzi sobie nadzwyczaj sprawnie.

- Widać, że często przebywa pani wśród natury.

Zerknęła przez ramię.

- Bo wiem, jak rozpalić ogień? - Lena z uśmiechem odgarnęła za ucho kosmyk włosów. Eryk z miejsca znalazł się pod jej urokiem. Nie miało to nic wspólnego z pożądaniem, które dopadało go regularnie i sprawiało, że tropił piękne kobiety, by osiąść je na jedną noc i potem o nich zapomnieć. To było... inne. Ciepłe łaskotanie w żołądku, wznoszące się do głowy, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał. I które z całą pewnością na nic mu się nie przyda, bo doskonale wiedział, że sprowadziłoby tylko kłopoty na niego i na nią, gdyby uległ chwili... To wcale mu się nie podobało. Uczucia były dla niego jak okowy. A on nienawidził pęt.

Wziął z regału małą buteleczkę, która stała tu przygotowana podobnie jak we wszystkich domach jego rodziny i szybko wyszedł z chaty. Pośpiesznie odkręcił zamknięcie, wypuścił na dłoń trzy krople i zlizął je. Na języku rozszedł się znany smak, a zaraz potem ciało ogarnęło związane z nim uczucie.

Potem nagarnął do garnka śniegu i kilka razy pod rząd nabrał głęboko powietrza. Chłód szybko napelnił jego nos i płuca, wywołując kaszel. Nieco uspokojony wrócił do domku.

Lena siedziała przy stole, który przysunęła bliżej kominka i głowiła się już nad wydrukami, zdjęciami, ręcznymi notatkami i szkicami. Obok niej stał otwarty laptop, nie był jednak włączony.

- Musi się najpierw nagrzać do temperatury pokojowej - wyjaśniła, nie podnosząc oczu. - Inaczej mogłoby dojść do zwarcia z powodu kondensatu wody na drobnych elementach.

Eryk zajął się przygotowaniem herbaty.

- Coś już pani odkryła? - krzyknął głośno, przygotowując dzbanek i filiżanki. Odłożył płaszcz. W kuchni, podobnie jak w salonie, rozchodziło się przyjemne ciepło. Z zalem pomyślał, że tym razem nie może chodzić nago. W porządku, mógłby, ale ze względu na swojego gościa zachowa powszechnie przyjęte obyczaje.

- Nie wiem, czego mam szukać - odpowiedziała głośno. - Czegoś w tle, jakiegoś budynku, struktury, która nie pasuje do krajobrazu? Co takiego mogliśmy sfotografować, co rosyjski rząd chce ukryć przed opinią publiczną? Jakiś dom? Szyld? Przelatujący samolot w tle?

- Proszę szukać dalej.

Eryk zadzwonił do Anatola i wyjął z kieszeni spodni medalion zabrany napastnikowi.

- Anatolu, opiszę panu coś, a pan jak najszybciej się dowie, o co w tym chodzi. - Przesunął ozdobę przed oczy. - Złoty, masywny, jak się wydaje. Tłoczony, na jednej stronie



widzę rzekę tryskającą z góry, a w niej... - skupiony zmrużył oczy - ...flet? Tak, pływa w niej flet. Fletnia Pana. Taka, na jakich peruwiańscy Indianie grają na deptakach. - Odwrócił amulet. - Po drugiej stronie jest król na tronie, litery wyglądają na starogreckie, ale trudno je odczytać. Za tronem stoi gigantyczny wilk. - Odwrócił komórkę, sfotografował obie strony i wysłał zdjęcia Anatolowi. - Proszę to sprawdzić.

Potem zaparzył herbatę i balansując małą tacą, zaniósł filiżanki i dzbanek do pokoju.

Lena tymczasem odważyła się włączyć laptopa i oglądała jedno zdjęcie wilka po drugim. Sprawdzała tło, powiększała i pomniejszała. Z wdzięcznością przyjęła filiżankę i ogrzewała sobie palce.

- Musiałam... oszaleć. Mój kolega umiera, nie mam pojęcia dlaczego, a ja zamiast iść na policję, utrudniam śledztwo. Co więcej, z całkowicie obcym człowiekiem, który wprowadził uratował mi życie, ale najwyraźniej wierzy, w wilkołaki, jadę do odludnej chaty. - Ostrożnie wzięła łyka herbaty. - To bardzo, bardzo dziwny dzień, Eryku. Ale tak czy siak - dokończyła, uśmiechając się krzywo - herbata jest pyszna. - Zamrugła od gorącej pary.

Von Kastell usiadł naprzeciw niej.

- Proszę mi wierzyć, dla mnie to co najmniej tak samo niezwykle jak dla pani.

- Jakoś trudno w to uwierzyć... - Lena rozejrzała się demonstracyjnie. - Jeździ pan drogim samochodem, wozi broń na tylnym siedzeniu, zna cholernie dobrze Petersburg i nie obawia się zadrzeć z policją. Jest pan czymś w rodzaju superbohatera? - Jej ciemnozielone oczy napotkały jego spojrzenie. - Ujmując to inaczej: jest pan Dobry czy Zły?

- Jestem Eryk. - Gdyby patrzył na jej twarz dwie sekundy dłużej, musiałby ją pocałować. - Proszę mi pokazać zapiski. Może coś znajdę.

To był jego sposób na ucieczkę przed kielkującym uczuciem sympatii, stojącym wyżej od instynktownej ochoty na seks. Wziął teczkę ze zdjęciami i w milczeniu studiował odbitki. Zauważył jednak, że Lena go obserwuje.

- Jak to się stało, że pan wierzy w wilkołaki? - spytała nieoczekiwanie. - Oglądał pan za dużo horrorów?

- W każdej legendzie czai się cząstka prawdy.

- Zatem uważa pan również, że istnieją wampiry?

- Jeszcze żadnego nie spotkałem.

- A wilkołaka pan spotkał?

- Niejednego. - Pił herbatę i w myślach dokończył: *całe tuziny*. - Co fascynuje panią w wilkach, Leno? - Sięgnął dłonią po następny segregator, ale napis *Plitvice* sprawił, że stracił zainteresowanie zawartością. Chorwacja jest prawie dwa tysiące kilometrów stąd. Eryk rzucił

go z powrotem na stół. Tak czy siak miał pretekst, by odwrócić jej uwagę od niewygodnego tematu.

- Wilki towarzyszą mi, odkąd potrafię chodzić. Badał je mój ojciec i podróżował ze mną wiele po Ameryce. Podzielał jego pasję, ale mnie ciągnie bardziej do Rosji. Tu mniej się robi dla ich ochrony, a ja próbuję to zmienić. Wie pan, wilki... - Szukała słów. - To trudno opisać. Cały ten gatunek, społeczna struktura sfory, spryt tych płochliwych zwierząt - rozmarzyła się. - I nadal uważa się je za krwiożerczych pożeraczy owiec.

Eryk chciał skwitować to, co właśnie usłyszał, gdy zauważył krawędź zdjęcia wystającego z segregatora *Plitvice*. Po jego zamasytym rzucie jedna odbitka wysliznęła się i ukazało się brunatno-rude futro i małe, spiczaste uszy.

- Cholera - wyszeptał, pochylił się do przodu i otworzył okładkę segregatora.

Patrzyła na niego bestia.

Przykucnęła w zaroślach nad rozszarpanym dzikiem i właśnie uniosła podłużny, zakrwawiony pysk znad ziejącego otwartą raną brzucha zdobyczy. Błyszczące czerwienią oczy patrzyły wprost w soczewkę aparatu. Nie ma wątpliwości, że Nadolny znalazł stworzenie, którego Eryk i jego ojciec szukali wśród wszystkich przemieńców.

Lena zauważyła jego zeszywnienie, spojrzała na zdjęcie i wciągnęła powietrze.

- A co *to* takiego? - Wyjęła mu z dłoni fotografię. - Czegoś takiego jeszcze nie widziałam - powiedziała po chwili zaniepokojona i odwróciła odbitkę. - 10 czerwca 2004, zachodni brzeg jeziora Kozlak - przeczytała notatkę. - To w Chorwackim Parku Narodowym. Przepiękna okolica.

To zdjęcie rzuciło nowe światło na wydarzenia.

- Jak dobrze znała pani Nadolnego?

- Był znajomym mojego ojca, często bywał u nas z wizytą i...

- Czy w Petersburgu zachowywał się dziwnie?

- Dziwnie? - Lena zmarszczyła czoło. - Co znaczą te pytania? Został zabity, a to...

- Właśnie, Leno - przerwał jej. - Został zabity - Eryk wskazał na zdjęcie. - Dlatego.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Nie widzę związku.

Wziął oddech i powiedział jej to, czego nie mówił wcześniej nigdy żadnemu człowiekowi. To przez jej zielone oczy, jej twarz, jej zapach powiedział więcej, niż powinien.

- Na to, co pani znajomy sfotografował, moja rodzina poluje od wieków.

Lena uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

- Znow zaczyna pan o swoim wilkołaku?

- Tak, Leno. Nie jestem szalony. Niech mi pani wierzy, te stworzenia naprawdę istnieją. Nazywam je przemieńcami, ponieważ się...

Kobieta roześmiała się dźwięcznie.

- Eryku, proszę mi wybaczyć, ale to śmieszne.

- Więc proszę mi powiedzieć, jaki *to* wilk? - zażądał gniewnie i kiwnął w kierunku zdjęcia. - Proszę wymienić gatunek.

- To... - przesunęła wzrokiem po zdjęciu.

Nim zdołała odpowiedzieć, mówił dalej.

- A te rozżarzone oczy? Niech pani nie mówi, że to diody.

- Lampa błyskowa...

- Fotograf przyrody używający lampy błyskowej? I pewnie aparat robi przy każdym zdjęciu *pif-paf*, żeby zwierzęta myślały, że nie żyją i stały spokojnie. - Przynal się do niej, wciągnął powietrze: pot, zanikający zapach dezodorantu i resztki woni wilka. - To, co pani widzi, Leno, to przemieniec - powiedział ponuro głuchym głosem. - Hybryda, łącząca w sobie rozmaite cechy przemieńców i zabijająca okrutniej niż wszystko, cokolwiek znam.

Lena przełknęła ślinę. Nagle zapachniała strachem.

- Myślę, że zauważyła i śledziła Nadolnego. Widzi pani, że bestia patrzy dokładnie w soczewkę? Wiedziała, gdzie on jest. Proszę mi wierzyć, nic i nikt przed nią nie ucieknie. Chyba, że ona tego chce.

Kobieta nieco wciągnęła głowę w ramiona, jakby szukała ochrony. Jedną z dłoni włożyła powoli do kieszeni, jakby chciała ją tam ogrzać.

- Napędził mi pan stracha.

- Nadolny był bestią z Petersburga, dla której tu przyjechałem. To *on* zabił i rozszarpał dwoje niewinnych dzieci. Został ugryziony i zarażony przez bestię z Chorwacji. - Eryk uderzył pięścią w stół. Lena drgnęła przestraszona. - Och, teraz wiem, co zamierzała! Wiem to! Pozwoliła mu uciec, żeby odwrócić uwagę od siebie. Wiedziała, że nie będzie potrafił obchodzić się ze swoją nową mocą i z żądzą krwi, więc przyciągnie uwagę. - Chwyił Lenę za ramię, z podniecenia mocno zacisnął dłoń. Za mocno. - Rozumie pani? To bydlę siedzi w Chorwacji i z jakiejś przyczyny zachowuje się nadzwyczaj spokojnie. Do czegoś się przygotowuje. Rozumie pani?

- To znaczy, że ludzie w jego mieszkaniu wiedzieli, że jest wilkołakiem i chcieli go zabić? Podobnie jak pan?

Zachwycony, Eryk skinął głową.

- Tak! Tak! Prawdopodobnie. Nadolny nie został wyrzucony z okna, on wyskoczył.

Chciał uciec myśliwym! - Puścił ją, skierował wzrok na zdjęcie bestii. - Niech pani słucha, Leno, świat jest pełen...

Nie dokończył. Lena wyrwała z kieszeni spray pieprzowy i strzeliła mu prosto w twarz.

- Przykro mi, Eryku, ale pan zwariował! - Potem z całej siły kopnęła go między nogi, pośpiesznie zgarnęła dokumenty i pobiegła do drzwi. Kluczyki porsche tkwiły w kurtce wiszącej przy wyjściu, starczyło sięgnąć. Wybiegła.

Silnik cayenne zaskoczył od razu. Lena docisnęła pedał gazu i pojechała śladem zostawionym przez wóz podczas jazdy w tę stronę. Lepiej niech policja zaaresztuje ją pod zarzutem kradzieży samochodu, niż miałyby zostać u tego przystojnego, lecz niestety niespełna rozumu typa, który uratował jej życie.

Czemu nie może kiedyś spotkać mężczyzny tak naturalnego i normalnego jak wilki, z którymi spędza większość czasu?

# Rozdział XI

24 maja 1765, Malzieu,  
Południowa Francja

Minęły cztery miesiące. Zbrodniom nie było końca.

Bestia zabrała ponad trzydzieści ofiar. Żadnemu myśliwemu ani żołnierzowi nie udało się jej zabić, pomimo że raz po raz ukazywała się ludziom. Zdawała się kpić z myśliwych.

Jean Chastel i jego synowie od czasu wspólnego polowania coraz częściej spotykali Vergilijusa Maleskiego. Z czasem leśniczy nabrał podejrzeń, że Mołdawianin śledzi ich wędrówkę przez kwitnące łąki Gévaudan, gaje i lasy. Gdy myśleli, że go zgubili, w cudowny sposób czekał na nich w następnej wiosce. Ale Malesky za każdym razem tak szczerze cieszył się ze spotkania, że ich nieufność wobec niego nie znikła wprawdzie zupełnie, jednak w miarę możliwości starali się ją tłumić. Malesky tak jak oni polował na bestię. W przeciwieństwie do bezradnego Duhamela i jego następcy Dennevala on rozumiał jednak, że bestii nie można schwytać bez udziału miejscowych i bez ich znajomości regionu. Dlatego w deptaniu po piętach trójce mężczyzn upatrywał największą szansę na sukces.

Żadnego z trójki Chastelów nie zdziwiło zatem, że w Malzieu znów zobaczyli Mołdawianina. Przywitał się z nimi, gdy spotkali go na zatłoczonych świętującymi ludźmi ulicach miasteczka.

- *Bonjour*, przyjaciele - pozdrowił ich wylewnie i zamówił na straganie, przy którym stał, trzy dodatkowe kubki wina. - Przybyliśmy akurat w porę. Ci dobrzy ludzie świętują początek wiosny. - Podał im naczynia i zapłacił gospodarzowi. Stuknęli się kubkami. - Tak między nami: jakie miejsce lepiej pasowałoby bestii? Takiego wyboru dziewcząt i dzieci nie znajdzie nigdzie więcej. - Zamrugnął nad krawędzią binokli. - Los nas tu zesłał, żeby zawczasu wystawić jej rachunek i wreszcie ją zabić.

Pierre westchnął i łyknął wina. Jean wziął wprawdzie dużego łyka, potem jednak odstawił kubek. Tylko Antoine duszkiem wychylił wszystko, roześmiał się i zamówił jeszcze jeden.

- Słyszeliście historię nieszczęsnej Gabrielle Pélissier? Bestia najpierw odgryzła jej głowę, a potem zasadziła ją z powrotem na kark. - Malesky spojrział znów nad krawędzią

niebieskich szkieł. - Oczywiście dopiero wtedy, gdy wypła krew.

- Jak długo już tu jesteście, *monsieur* Malesky? - zapytał Jean. - Czy może nazbieraliście tych bajek po drodze?

- Moim zdaniem to prawda. Podobno widziano bestię w towarzystwie drugiego stworzenia. - Mołdawianin uśmiechnął się zagadkowo. - Wiem, mój drogi Chastel, że myślicie, iż was śledzę. W rzeczywistości jednak tropię bestię i próbuję przewidzieć jej kroki. Ponieważ polujemy na tę samą zwierzynę, spotkanie jest nieuniknione. - Wskazał na szyld kołyszący się na wietrze nad głowami ludzi i ogłaszający nazwę gospody: *Le Calice*. - Tym razem jednak mamy znakomite towarzystwo. Ludzie Dennevala tam się zatrzymali.

Antoine wzruszył ramionami.

- Nie boję się Normanów. Są tak samo nieskuteczni, jak głupi Duhamel. Jak dla mnie, mogą się sobie przechwalać, że w Normandii położyli dwanaście setek wilków. Gévaudan jest inne niż ich płaska ojczyzna. - Znow wypił wino bez odstawiania kubka od ust. Było już widać działanie alkoholu; Antoine rozglądał się nerwowo, gapił na dziewczyny i szczyrzył zęby w sprośnym uśmiechu, gdy któraś się rumieniła. - Jedna piękniejsza od drugiej. - Podano mu trzeci kubek. Kiedy podnosił go do ust, ojciec położył mu dłoń na ramieniu i przytrzymał. - Pij wolniej - mruknął. - Potrzebny ci jasny rozum. Po winie tracisz panowanie nad sobą.

Pierre wiedział, co Jean ma na myśli. Przyczajony cień loup-garou czyhał na okazję, by stłumić w braciach ludzkiego ducha, wyzwolić się i dać pierwszeństwo bestii. Jemu, łagodniejszemu z braci, w ostatnich miesiącach prawie udało się nie włóczyć po okolicy i nie mordować ludzi. W każdym razie tak mu się wydawało. Zawsze, gdy łapała go ta fatalna gorączka, tracił pamięć. Jednak dawno już nie zbudził się z krwią na dłoniach i ubraniu.

Dziwne, że nigdy nie było przy nich ojca, gdy się przemieniali. Twierdził, że na początku każdego ataku pędem od niego uciekali i znikali; potem zawsze znajdował ich w ludzkiej postaci.

Pierre często prosił ojca, by zostawił jego i Antoine'a w domu i zamknął w piwnicy, póki nie zabije bestii, ale Jean dotychczas odrzucał tę możliwość. Nie miał odwagi sam wdawać się w walkę z niebezpiecznym stworem, zbyt szybkim, silnym i sprytnym na jednego myśliwego. W trakcie polowania na loup-garou potrzebował synów - nawet jeśli wiedział, że ich przemiana może rozpocząć się w każdej chwili. W ten sposób polowanie stawało się obosiecznym mieczem, mogącym przynieść więcej szkody niż pożytku. Jednak zdaniem Jeana nie można było inaczej.

Antoine odczekał, aż uwaga ojca przeniesie się na zatłoczony rynek, po czym jednym haustem wychylił wino i wystawił w stronę Pierre'a zabarwiony język.

- Normanom też się nie uda. Comte również tak twierdzi - oznajmił głośno, czerwony na twarzy. - Bestia jest sprytniejsza, niż sądzicie. - Przesunął wyzywająco spojrzeniem po twarzach obecnych. Muszkiet na plecach i dłoń na kolbie pistoletu powstrzymywały niektórych chłopów przed okazaniem niechęci.

- Bądź cicho, Antoine - rozkazał mu rozszłoszczony ojciec. - Poszukamy kwatery, żebyś mógł odespać swoje pijaństwo. - Chwycił go pod pachę i pociągnął do gospody, Pierre i Malesky poszli za nimi.

- Całkiem bez racji twój brat też nie jest! - ocenił Mołdawianin, przyglądając się w przejściu towarom wystawionym przed budami. - Jasne, Dennevalowie znają zwyczaje wilków, ale jak powiedział Antoine: nie orientują się w tej okolicy. A comte de Morangiés narzeka na nich tak samo, jak na Duhamela. W ten sposób Dennevalowie mają dwunożnych i czworonożnych przeciwników.

- A wy się może orientujecie? - spytał sceptycznie Pierre. - Nie zrozumcie mnie źle, *monsieur* Malesky, ale macie te same niedostatki co Normanowie.

- Niezupełnie. Nie znacie mojej ojczyzny, *monsieur* Chastel, inaczej byście tak nie mówili. - Twarz mężczyzny nabrała rozmarzonego wyrazu. - W tej części Bukowiny, z której pochodzę, są lasy gęściejsze niż w Gévaudan. Czasem tęsknię za dębami, bukami i świerkami. Upolowałem tam niezliczone niedźwiedzie, wilki i rysie, *monsieur*, więc znam sztuczki zwierząt - roześmiał się. - No i nie zapominajmy, że w was i waszym ojcu mam lokalne wsparcie.

Antoine i Jean zbliżyli się do wejścia *Calice*, przed którym siedziało dwóch mężczyzn, zajmujących się sześcioma dorodnymi posokowcami. Bez wątpienia należeli do orszaku dwóch myśliwych z Normandii. Psy spokojnie leżały w cieniu budynku i zrelaksowane czekały na początek nagonki.

- To najlepsze zwierzaki we Francji, jak powiadają - z podziwem wyjaśnił Malesky. - Nic dziwnego, że król Ludwik wezwał je tu wraz z Normanami. Powiadają, że są niezmordowane podczas tropienia i potrafią odnaleźć ślad nawet na suchej ziemi, gdy nie widać już żadnych znaków.

Pierre zwolnił. Głęboko osadzone oczy psów, zmarszczki i luźna skóra nadawały zwierzętom smutny i zupełnie nieszkodliwy wygląd, ale ich nosy sprawiały, że były dla niego niebezpieczne. *Zaatakują, gdy mnie zwietrzą? Rzucają się na mnie?* Zatrzymał się i udawał, że odkrył coś na jednym ze stoisk.

Malesky dalej zachwycał się zaletami psów.

- Nawet po przejściu przez rzekę łapią trop na drugim brzegu. Znane są przypadki, że szły

za śladem ponad sześćdziesiąt mil i to mimo że miał już kilka dni. - Dopiero teraz zauważył, że Pierre zatrzymał się przy straganie z grzebieniami. - A cóż to, *monsieur* Chastel? Zdumiewa mnie wasze zainteresowanie.

Ojciec i Antoine mijali psy.

Dwa zwierzaki leżące w pobliżu drzwi uniosły niespodziewanie łby i zaczęły węszyć w kierunku mężczyzn, ziać i skamleć nerwowo, aż poderwała się cała sfera i przewodnicy z wysiłkiem odciągnęli zwierzęta.

Ojcu i bratu udało się schronić bezpiecznie w gospodzie. Na niego czekała ta sama droga do pokonania i nie miało być łatwo. Posokowców, spłoszonych zapachem Antoine'a, nie można było uspokoić; węszyły niezmordowanie, uniosły głowy, a suche nosy wciśnięte w pył ulicy badawczo wciągały różne podejrzane wonie.

Gdy Pierre zastanawiał się, jak mógłby je minąć, nie budząc jeszcze większej uwagi, dostrzegł w tłumie twarz - jedyną znajomą wśród tak wielu obcych. Zobaczył długie brązowe włosy zebrane pod czarną siateczką i rąbek ciemnoczerwonej sukni, znikające za jednym z namiotów.

- Florence! - wykrzyknął radośnie. Wziął pierwszy lepszy grzebień, rzucił handlarzowi kilka monet i ruszył biegiem za dziewczyną. - Powiedzcie memu ojcu, że niedługo przyjdę - poprosił Maleskiego, przepychając się pomiędzy gośćmi jarmarku.

- Młodość - powiedział Mołdawianin, uśmiechając się pobłażliwie. Poprawił binokle i spojrzał na młodą wieśniaczkę, której luźno zasznurowana bluzka pozwalała oku wnikać głęboko w dekolt. Gdy, najwyraźniej specjalnie dla niego, pochyliła się do przodu, zobaczył ciemne otoczki i sutki. - Ach tak, i wiosna - mruknął i, pogwizdując, poszedł ku wejściu do *Calice*.

Posokowce nie zainteresowały się nim dłużej niż na dwa mocne i krótkie oddechy, szarpały i ciągnęły we wszystkie strony, a psiarczykowie musieli do ujarznienia ich używać całej swojej siły. Nie były posłuszne. Nie pomagały pogrożki ani proponowana nagroda w postaci kuszących kości ze szpikiem.

Maleski zatrzymał się, odwrócił i przyglądał niczego niepodejrzewającemu tłumowi na uliczkach Malzieu. Czy bestia już tu jest? Postanowił być jeszcze bardziej czujny niż zwykle. Wszedł do budynku.

Zobaczył Jeana i Antoine'a Chastelów stojących na schodach i układających się z gospodarzem. Założył, że ojciec chce umieścić podpitego syna w pokoju, a potem znów zejdzie na dół. Dlatego zaczął szukać w przepelnionym szynku miejsc siedzących.

Nie było nic wolnego, poza miejscami przy stole siedzącej w bezruchu około



dwudziestoletniej kobiety, która patrzyła nieobecny wzrokiem znad pełnego talerza. Malesky podszedł do niej, zdjął wyświechtany trójgraniasty kapelusz, zamachnął się nim i uklonił.

- *Bonjour, mademoiselle*. Czy pozwoli pani się przysiąść?

Kobieta, ubrana w prostą suknię wieśniaczki, nie zwróciła na niego uwagi.

- *Mademoiselle?* - Malesky uklonił się powtórnie. Zauważył przy tym głęboką, zupełnie świeżą bliznę za prawym uchem kobiety, i drugą, nie mniej nieprzyjemną do oglądania, u nasady obojczyka, ciągnącą się dalej w kierunku ramienia. Mołdawianin natychmiast rozpoznał ślady pogryzienia.

Zbliżył się do nich około szesnastoletni chłopiec z jasną czupryną, w prostym ubraniu i z o wiele za poważnym wyrazem twarzy.

- Wybaczcie, *monsieur*. Moja siostra Jeanie nie chciała być nieuprzejma. Usiądźcie, jeśli macie ochotę i jeśli nie przeszkadza wam jej zachowanie. Jest pierwszy raz znów wśród ludzi.

- Usiadł obok niej i zaczął ją karmić.

Jeanie mechanicznie przyjmowała pożywienie. Na jej pozbawionej wyrazu twarzy nie było widać niechęci ani zadowolenia.

Malesky usiadł.

- Przyjmijcie moje szczere współczucie - powiedział Mołdawianin i zamówił chleb, kiełbasę i wino dla dwóch osób, gdyż spodziewał się Chastela. W razie czego resztę zapakuje jako prowiant do plecaka. Zauważył pistolet za pasem chłopca.

- Jesteście jednym z tych, którzy szukają szczęścia w Gévaudan i chcą upolować bestię? - odezwał się raptem chłopiec. - Wasz akcent zdradza obcego. - Spojrzał na niego. - Niebawem odejdziecie stąd bez nagrody. *Monsieur Denneval* i jego syn zabiją stwora.

- Tacyście pewni, *petit monsieur?* - uprzejmie zapytał Malesky. - To samo powiadano o Duhamelu i jego niezdarnych dragonach, aż król ich odgwizdał i przysłał myśliwych z Normandii. - Spróbował wina i ze wstrętem postanowił nie zamawiać go więcej; miało stęchły, zepsuty smak. - Założę się, że najpóźniej za cztery miesiące zastąpi go kolejny pechowiec, przysłany do tej granitowej krainy przez Ludwika XV.

Choć nie było to jego zamiarem, poruszył w chłopcu jakiś nerw, może zranił jego dumę. Chłopak wyprostował się.

- Mylicie się, *monsieur*. Towarzyszę Dennevalom i mogę was zapewnić, że biorą się do rzeczy lepiej niż żołnierze.

- Wy, *petit monsieur?* - Malesky wskazał na pistolet. - Jak widzę, jesteście uzbrojeni, ale pewnie zorientowaliście się już, że bestia jest w stanie znieść więcej niż tę odrobinę ołowiu,

którą pluje wasza broń?

Chłopiec zdjął łyżką przeżute resztki, które przyczepiły się do warg kobiety i otarł jej usta.

- Pistolet to tylko jedna z wielu broni. Na polowaniu zawsze mam przy sobie worek nafty, by rzucić nim w bestię i ją podpalić. Boi się ognia.

- Nie chciałbym być niedyskretny, *petit monsieur*, ale czy mieliście już przyjemność w waszych młodych latach spotkać się z bestią osobiście?

- To *nie była* przyjemność. - Młody człowiek pogłaskał policzek siostry. - Nazywam się Jacques Denis. Na początku marca razem z Jeanie paśliśmy kozy i owce na łące nieopodal Malzieu. Weszliśmy do wiaty, właśnie rozpałiłem ognisko, gdy nagle pojawił się ten potwór. Napadł na Jeanie i ugryzł ją w głowę. Ja upadłem w trakcie ataku i pragnąłem tylko jednego, pomóc siostrze. Gołymi pięściami waliłem bestię, a kiedy to nie pomogło, kopnąłem ją. Puściła Jeanie i wpadła w płomienie. Przysięgam, *monsieur*, wrzask, jaki wydał ten potwór, nie był z tego świata, ale mimo to futro nie zajęło się ogniem. Strząsnął zar i uciekł - westchnął i potarł palce siostry. - Przynieśliśmy Jeanie do domu. Jej dusza doznała szkody, jak powiedział nam ksiądz. Potrzebuje wielu miesięcy, by całkowicie wyzdrowieć... a może na zawsze pozostanie w takim półśnie... - Jacques ze zdecydowanym wyrazem twarzy poklepał kolbę pistoletu. - Podarował mi go *monsieur* Denneval, kiedy zgłosiłem się do niego na przewodnika. Bestia zginie, a ja przy tym będę. To pewne.

Niepostrzeżenie podszedł do nich Antoine Chastel i przysłuchiwał się. Nagle w izbie zagrzmiął jego głośny, dziki śmiech, a on wskazywał wyciągniętym palcem na Jacquesa i nie mógł się uspokoić.

- Posłuchajcie tego młodzieniaszka, czego to nie wygaduje, czego to nie potrafi - szydził.  
- Bestia nie chciała cię pożreć, to wszystko. Za bardzo cuchniesz kozami i owcami.

Jean podbiegł do nich pośpiesznie i kilka razy mocno uderzył syna w ucho, sprawiając, że Antoine już tylko cicho chichotał i w obronnym geście zasłonił rękoma twarz. Pozostali goście patrzyli zdziwieni, ale nie wtrącali się. Prześmiewca zasłużył na burę za swe pozbawione taktu komentarze. Antoine cofnął się, zerknął przez palce ku wejściu i zaśmiał się lubieżnie.

Malesky wyczuł delikatny zapach mydła, zaraz potem kątem oka dostrzegł obok siebie kobietą suknię. Jacques uniósł głowę.

- Marguerite! Wspaniale, że jesteś. Jeanie i ja chcieliśmy właśnie iść na targ. Tutejsze towarzystwo - spojrzał na Antoine'a - nie jest w moim guście. Idziesz z nami?

Mołdawianin obejrzał się, wstał i ukłonił młodej kobiecie. w podobnym wieku jak

nieszczęsna ofiara ataku bestii. Marguerite bez wątpienia zasługiwała na to, by nazwać ją elegancką: prosta suknia podkreślała wrażenie, że oto wśród monotonnych łanów zboża wyrósł kwiat rzadkiej piękności. Skinęła głową.

Młody wieśniak założył czapkę.

- Życzę wam wielu sukcesów, *monsieur* - powiedział do Maleskiego. - Niech Bóg was prowadzi.

Cała trójka wyszła z *Le Calice*. Marguerite prowadziła obojętną na wszystko Jeanie. Chastelowie również zniknęli. Leśniczemu udało się wepchnąć podpitego syna po schodach na górę, gdzie wynajęli pokój.

Po jakimś czasie, gdy Mołdawianin powstrzymywał się, by nie wypić również porcji Jeana, ten wrócił i usiadł przy nim. Wyglądał na wyczerpanego.

- Mój syn to trudny człowiek - powiedział, tłumacząc się. - Jakże chętnie powiedziałbym, że ma za to dobre serce. - Pociął swoją kielbasę na plastry. - Mam nadzieję, że odeśni wypitek i na powrót stanie się panem swego języka. Panem swego rozumu nie będzie pewnie już nigdy. - Ledwie nadgryzł pierwszy kawałek kielbasy, zauważył nieobecność drugiego syna. - Gdzie jest Pierre?

- Miałem wam powiedzieć, że przyjdzie potem. Kupił grzebień i rzucił się w tłum. - Maleski nadal słyszał za oknem wycie i szczekanie posokowców. - Zdaje mi się, że wymienił imię... Florence?

Jean wstał bez wyjaśnienia, wziął muszkiet i ruszył ku wyjściu.

- Co? Co się stało? - Mołdawianin podniósł się zaskoczony i pobiegł za nim, by powstrzymać albo przynajmniej złagodzić nieszczęście dwojga młodych ludzi, do którego przyczynił się jednym niepotrzebnie wypowiedzianym słowem. - Czekajcie, *monsieur!*

Pierre biegł za brązową czupryną w drobnej siateczce, migając raz po raz między kapeluszami, czepcami, kapturkami i włosami gości jarmarku. Florence szła naprzód pewnym krokiem, kilkakrotnie skręciła, nie okazując niepewności, co utwierdziło go w przeczuciu, że chce dojść do określonego miejsca, a nie tylko pospacerować. Nie zwracała uwagi na mijane kramy.

Dogonił ją, zebrał się na odwagę, by ją wyprzedzić, i stanął przed nią.

- *Bonjour, mademoiselle* Florence. - Na widok uroczej twarzyczki od razu się spocił i zwilgotniały mu dłonie. Zatkalo go. Wszystkie piękne słowa, jakie ułożył sobie podczas krótkiej gonitwy, znikły z jego pamięci, jakby wywiał je przeciąg. Winny temu był jej czarujący uśmiech, przypominający wschód słońca nad Montmouchet, oszalamiający niczym

woń wrzosowiska i tak czysty jak woda ze źródeł Gévaudan.

- *Bonjour, monsieur* Chastel - odpowiedziała przyjaźnie, choć trochę nieśmiało. - Co u pana słyhać? Często myślałam o tym popołudniu, kiedy się spotkaliśmy. Modliłam się za pana, żeby Bóg uwolnił pana od jego brzemienia. - Jej brunatne oczy błyszczały z radości, choć Pierre'owi zdawało się, że maluje się w nich cień przygnębienia.

- Teraz, gdy was widzę, nie czuję żadnego ciężaru - wyrwało mu się. Jego umysł napawał się pięknnością Florence, podziwiał szlachetnie blade oblicze, prostą postawę, rozkwitające ciało, szczupłe palce, gdy zmieszana bawiła się guzikami sukni. Ona również była podenerwowana.

- Ach, *monsieur!* - uśmiechnęła się jeszcze promiennie, dając tym Pierre'owi ostateczną pewność, że zakochał się w niej bezgranicznie. - Wy i wasze komplementy.

- Ach, nonsens. Jestem niewiele starszy od was, a już na pewno żaden ze mnie *monsieur*. Jestem Pierre. - Podał jej dłoń, którą z ociąganiem przyjęła. Poczul jej miękką skórę.

- W takim razie... w takim razie musicie nazywać mnie Florence. - Dopiero teraz przypomniała sobie, co gnało ją tak pośpiesznie po ulicach i rozejrzała się, wyraźnie kogoś szukając. - Widzisz tu może czcigodną przeoryszę? Miałyśmy spotkać się przy straganie klasztoru, ale albo nie znalazłam jej ani pozostałych sióstr, albo jeszcze nie postawiono stoiska. - Ponownie na niego spojrzała. - Możesz puścić moją dłoń, Pierre. Nie ucieknę ci.

Jego wyobraźnia rozgrzała się do czerwoności.

- Wybacz, nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie. - Pośpiesznie cofnął palce i podał jej grzebień. - Czy mogę sprawić ci podarek?

Uniosła brwi, a gracia tego gestu była godna królowej.

- Skąd wiedziałeś, że jestem w Malzieu? Śledzisz mnie?

- Nie! - krzyknął. - Nie, zobaczyłem cię przedtem i... - przerwał pośrodku rozpoczętego zdania, gdyż przyjęła grzebień i z podziwem oglądała go ze wszystkich stron.

- Dziękuję. Bardzo mi się podoba. Będę o niego dbać. - Pochyliła się i całkowicie niespodziewanie złożyła na policzku młodego człowieka lekki jak piórko pocałunek. - Zrobiłeś mi właśnie o wiele większy podarunek.

W brzuchu Pierre'a tańczyły motyle. Zdawało mu się, że nogi ma miękkie jak z wosku.

- Zobaczymy się jeszcze? - spytał jak pijany i najchętniej na oczach wszystkich wzięby ją w ramiona, przycisnął do siebie i poczul ją całym ciałem. Jednak nie wypadało tak skompromitować podopiecznej czcigodnej przeoryszy. - Chciałbym z tobą porozmawiać, ale bez ciekawskich oczu i uszu, dowiedzieć się o tobie wszystkiego... - Słowa buchały z niego jak para z wrzącej wody. - Spotkamy się w kaplicy pielgrzymiej w Saint Grégoire?

Przytaknęła, nie zwlekając.

- Nie potrafię ci tylko powiedzieć, kiedy znów zawitamy w tę okolicę. To zależy od tego, gdzie pójdzie bestia i gdzie będzie mordować. - Zerknął w bok. Zdawało mu się, że widzi trójgraniasty kapelusz swego brata Antoine'a, zmierzający w ich kierunku. Tego tylko brakowało.

Florence ukryła grzebień w fałdzie sukni.

- Nie przeszkadza mi, że będę czekać, Pierre. Jak tylko przyjdiesz do kaplicy, zapal świecę i postaw ją na oknie na lewo od obrazu świętego Gregoriusa. Widać je z mojego pokoju. Będę wiedziała, że jesteś.

Za plecami Pierre'a rozległy się przestraszone głosy; było słyhać tubalne ujadanie psów, mieszające się z przekleństwami i gniewnymi krzykami człowieka, który próbował schwytać zwierzęta.

Goście święta wiosny skoczyli na boki, tworząc ścieżkę. Dzięki temu młody leśniczy, odwróciwszy się, zobaczył, że sfera posokowców biegnie wprost na niego. Ich wrażliwe nosy nie dały się oszukać. Odwrócił się do Florence, trwożnie wpatrującej się w zbliżające się złoto-brunatne psy, i szybko pożegnał się z dziewczyną.

- Ja... ja się boję... psów - wyjąkała, drżąca, i nim Pierre zdołał ją uspokoić, pobiegła w prawo, uciekając przed sforą. Zesztywniał ze strachu. Na grzebieniu pozostał jego zapach, więc teraz psy będą gonić również Florence! Nie było szans, by uciekła zwierzętom, biegnącym znacznie szybciej niż kobieta w sukni. Gwałtowne ruchy Florence tylko zachęcały tresowane do polowania psy do wgrzyzienia się jej w pięty.

Pierre pobiegł za dziewczyną, chcąc ochronić ją przed ujadającymi wściekle posokowcami. To wszystko jego wina. Loup-garou nie powinien rozdawać prezentów, gdy w pobliżu są psy myśliwskie. Lepiej niech ich zęby wgrzyzą się w jego ciało niż w jej.

Ruszył pędem, chcąc dogonić Florence, ale zdziwiony stwierdził, że jest prawie tak szybka jak on. Za to ona zręcznie mijała ludzi stojących na jej drodze, podczas gdy on musiał odpychać przeszkody na boki.

Sfera, śliniąc się, gnała za nimi.

Florence i Pierre biegli teraz ramię w ramię. Chwycił jej dłoń i ciągnął do przodu. Zbyt późno uświadomił sobie, że w ten sposób jeszcze bardziej przenosi na nią zapach bestii i tym bardziej naraża ją na atak psów.

Pomógł im przypadek, prowadząc ich kroki obok straganu z przyprawami. W biegu młody człowiek chwycił z lady torebkę kosztownego pieprzu. Drobnym mielonym proszkiem podrażnił nosy i oczy czworonożnych prześladowców, czyniąc je niezdarnymi do pogoni.

Tymczasem jednak nie nadarzała się jeszcze okazja do użycia czarnego ziarna.

Wypadli z rynku. Florence zdyszana łapała oddech. Czuła, że zbyt długo już nie utrzyma tej prędkości. Posokowce prawie ich dogoniły, gdyż nie było już nic, co musiałyby omijać.

- W lewo - krzyknął Pierre, popchnął dziewczynę w wąską uliczkę i rozsypał na drodze pieprz. - Nie zatrzymuj się!

Wybiegli z Malzieu i przez łąkę dotarli do owocowego sadu.

- Tam, w górę - polecił Pierre, wskazując sękaty pień wiekowej jabłoni. Gdy Florence nie była w stanie znaleźć oparcia na korze, chwycił ją w talii i zamachnąwszy się, podrzucił w górę; chwyciła gałąź i stękając z wysiłku, podciągnęła się na nią.

Wściekłe szczekanie posokowca ostrzegło Pierre'a. Jeden ze sfory okazał się na tyle wytrwały, by mimo pieprzu w nosie nie zaniechać pogoni.

- Pierre, wejź na górę! - krzyknęła Florence, odchodząc ze strachu od zmysłów. - On ci skoczy do gardła!

Chastel w ostatniej chwili zdołał wspiąć się na drzewo i wskoczyć okrakiem na gałąź, na której siedziała dziewczyna.

- Weź rożek z prochem, otwórz zamknięcie i bardzo powoli prósz nim w dół, gdy pies będzie dokładnie pod nami - poinstruował ją, biorąc ze skórzanego woreczka zapasowy krzemień do muszkietu i przykładając go do klingi noża.

Kilka sekund później posokowiec, ujadając, skakał na pień drzewa, opierał się o niego przednimi łapami i patrzył w górę, ku nieosiągalnym dla niego ludziom.

Florence zwinnymi palcami zrobiła to, co polecił Pierre. Na psa posypał się czarny pył. Szybko zamknęła pokrywę. Pojedyncza iskra, wykrzesana przez młodego człowieka we właściwym momencie, wystarczyła, aby niespodziewanie przemienić proch w trzaskający deszcz ognia, opadający na zwierzę. Ilość prochu była zbyt mała, by pies stanął w płomieniach, starczyła jednak, aby porządnie osmalić mu sierść i zmusić go do ucieczki. Odbiegł ze skowytym.

Florence z ulgą objęła Pierre'a, przytuliła się do niego, na ile to było możliwe, i ukryła twarz w zagłębieniu jego ramienia. Po chwili ociągania młody myśliwy objął ją i zaczął uspokajająco głaskać po włosach. Wypłakiwała strach i ulgę.

Pociągając nosem, puściła go, a on osuszył jej łzy chusteczką, którą od ich pierwszego spotkania nosił przy sobie jak talizman. Florence natychmiast ją poznała i uśmiechnęła się. Jego delikatne dotknięcia wokół jej oczu stały się wolniejsze. Pochylił głowę, nerwowo przełknął ślinę. Jej usta skłoniły się do jego ust.

Gdy się spotkały, przeniknęło go uczucie radosnego podniecenia i ciepło, jakiego jeszcze

nigdy nie doznał. Przytulił ją mocniej. Przez tkaninę sukni poczuł piersi. Przestraszył się swego cichego jęczenia i rozpalającego się w nim ognia pożądania.

Dłonie Florence przesunęły się pieszczotliwie po jego piersiach, wsunęły badawczo pod koszulę i znieruchomiły.

Odkryła blizny powstałe po walce z loup-garou. Słodka powódź namiętych pocałunków ustała. Dziewczyna odsunęła głowę i pytająco spojrzała na twarz Pierre'a, lewą dłonią dotknęła jego czoła.

- Ty płoniesz. Co się dzieje? - spytała zatroskana.

*Nie teraz! Panie, bądź przy mnie i nie pozwól mi się przemienić!* Przypisywał żar podnieceniu, teraz jednak poczuł, że bierze go we władanie dobrze znajoma gorączka, której tak bardzo nienawidził.

- Florence, wracaj do miasta - powiedział z trudem i zsunął się z drzewa. Zrobiło mu się niedobrze i nagle łąka wokół niego zaczęła wirować jak bączek. Upadł skulony. Pierre słyszał, że Florence coś do niego mówi, skacze za nim z gałęzi. Dostrzegał ją jak przez mgłę. Pochylała się nad nim. - Proszę, idź! Ratuj się - wychrypiał, nim jego rozum osunął się w ciemność, a on nieprzytomny padł w cieniu jabłoni.

24 maja 1765,

Malzieu, Południowa Francja

- *Monsieur Chastel*, ostrożnie!

Bez ostrzegawczego wołania Maleskiego Jean też uskoczyłby przed atakującymi psami. Z daleka słyszał podniecone ujadanie, więc odsunął się na krawędź uliczki prowadzącej do placu targowego.

Zwierzęta gnały przez tłum, skakały między nogami ludzi, znajdując wszędzie luki, by móc biec do przodu. Nic nie mogło ich powstrzymać, gdy złapały trop. W sporym oddaleniu za nimi gonił je szalejący z wściekłości, krzyczący głośno psiarczyk. Biegł za nimi z zakrwawionymi dłońmi, próbując wyłapać zbiegłe zwierzęta. Psy wyrwały mu się, szarpiąc gwałtownie, więc sznury musiały dość głęboko poranić jego dłonie.

Mołdawianin i leśniczy wymienili szybko spojrzenia: obu przyszło do głowy to samo.

- Myślicie, że psy poczuły trop bestii? - Maleski głośno sformułował tę myśl. - Może bestia ukryta jest w jednym z tych domów, a my za chwilę zdemaskujemy jej właściciela? - Wyjął z etui binokle, otarł je szybko o kurtkę i zasadził na grzbiet nosa. Błękit szkieł nadał jego twarzy wyraz zdecydowania i bezwzględności. - Albo, zakładając, że prawdą jest to, co mówią ludzie, jeśli bestią jest loup-garou, chodzący tu w swej ludzkiej postaci... czy możliwe,

by psy go zwietrzyły?

Jean opanował się i nie pokazał, jak przestraszyły go te słowa.

- Nie, na pewno nie. Psy są źle karmione i zwęszyły jakieś zwierzę. Na jarmarku aż się od nich roi. - Potem udał, że poznał w tłumie starego znajomego. - Zaczekajcie tu, *monsieur* Malesky. Zaraz do was wrócę. Idę komuś powiedzieć *bonjour* - zawołał i przecisnął się w sam środek świętującej cizby. Po dwóch krokach przygarbił się, stając się zupełnie niewidocznym dla Mołdawianina. Nie trzeba mu towarzystwa, gdy będzie szukał Pierre'a, by obronić go przed posokowcami Dennevala.

Malesky uśmiechnął się krzywo.

- Aha, *monsieur* Chastel chce sam iść na polowanie? - Wszedł na pustą skrzynię stojącą przy jednej z bud i rozglądał się za Jeanem albo psami; gdzie znajdzie się pogoń, tam z pewnością będzie i bestia. Tak łatwo nie można go zgubić.

Jean błakał się w gąszczu ścian namiotów, nie mając pojęcia, jak szybko uda mu się znaleźć Pierre'a. Sytuacja nie była dobra.

*Do kroćset, czemu ci Normanowie musieli zjawić się akurat teraz?* Irytował się. W ten sposób malały jego szanse, by samemu dopaść winnej całemu nieszczęściu bestii i ukarać ją. Jeśli Dennevalowie zastrzelą loup-garou przed nim, pewnie nie pozwolą mu wziąć jego krwi w dostatecznej ilości, by uwarzyć z niej antidotum na dolegliwość synów. Recepturę otrzymaną od medyka starannie schował. Gdyby ją znaleziono, na pewno oskarżono by go o czary. W ten sposób plotki o jego pochodzeniu przerodziłyby się w pewność, która niewątpliwie wystarczyłaby sądowi do wydania skazującego wyroku.

Choć Jean starał się, by ta wieść nie wydostała się na zewnątrz, tajemnica jego synów bardzo mu ciążyła. Żył w ciągłym strachu, że zostaną ujęci i zginą pod gradem kul. Sprawy wisiały na włosku już kilkakrotnie. Poza tym doskwierały mu uporczywe wyrzuty sumienia, że kryjąc ich i w miarę możliwości tuszując ich zbrodnie, ponosi winę w równym stopniu co oni. Jednak nikt, nikt nie może poznać prawdy. Z miejsca wytoczono by Antoine'owi i Pierre'owi proces i spalono by ich na stosie, a on sam zostałby stracony pod zarzutem współdziałania. Nie mogło być mowy o wybaczeniu. Najgorzej będzie, jeśli po śmierci swych trzech najbardziej zawziętych prześladowców prawdziwa bestia nie przestanie krążyć, zabijać i zbierać żniwa.

- *Monsieur* Chastel, wy w Malzieu?

Drgnął. Zaszczuty i dręczony makabrycznymi obrazami nie zauważył kobiety, która niespodziewanie stanęła przed nim i na której spotkanie wcale nie miał ochoty.

- Nieodgadnione są ścieżki Pana - pozdrowiła go przeorysza. Ubrana była w czarną,



zebraną w pasie sznurem tunikę i czarny szkaplerz, a na jasny czepiec okrywający włosy narzuciła czarny welon. Choć ciepło wczesnego lata zupełnie wystarczało, aby zrezygnować z kaftana, szczupła kobieta na habit założyła komżę. - Nadal tropicie bestię? Otrzymaliście wsparcie z Normandii, jak powiadają.

- Nie martwcie się o moje sprawy. Lepiej zawołajcie tu swoją podopieczną i uwięźcie ją na łańcuchu, nim wbije pazury w mojego syna - odpalił, nie siląc się nawet na uprzejmość.

- Florence? Jej jeszcze tu nie ma. Wysłałam ją, by poszukała nadzorca jarmarku. - Gregoria spojrzała na niego poważnie i wskazała na namiot, wzniesiony właśnie przez zakonnice. - Jedno słówko, *monsieur* Chastel. Muszę pomówić z wami w cztery oczy.

Zdziwiony poszedł za nią w mrok straganu, w którym pachniało świeżymi ziołami i kozim serem, towarami sprzedawanymi przez siostry dla zasilenia kasy klasztoru. Gregoria w swoim czarnym stroju prawie zupełnie znikła na tle ściany namiotu, twarz i dłonie zdawały się być pozbawione tułowia.

- Cóż, *monsieur*... wasz syn nastaje na moją podopieczną - zaczęła cicho.

- Dziwi was to? - powiedział głośno. - Już wtedy w kaplicy robiła do niego piękne oczy. On jest tylko młodym mężczyzną, pełnym gorącej krwi, niezdolnym do odrzucenia powabu dziewczyny takiej jak Florence. - Wskazał na wyjście. - To *ona* zawróciła mu w głowie. I dokładnie to samo robi teraz, jak powiedział mi *monsieur* Malesky. Tego uczucie w waszym cnotliwym klasztorze?

Prawa dłoń Gregorii powędrowała do srebrnego różańca przy pasie, palce zaczęły przesuwać paciorki.

- Jesteście w błędzie, *monsieur*. Nie miałam na myśli Pierre'a - poprawiła łagodnie i spojrzała mu prosto w oczy. - To Antoine jest tym, którego wielekroć widziałam pod murami. Widziałam go tak wyraźnie, jak teraz widzę was, *monsieur* Chastel. Antoine z największym ze swoich psów.

Choć jeszcze przed chwilą Jean był poirytowany niespodziewanymi nowinami o wycieczkach Pierre'a, teraz jego uczucia zmieniły się. Ogarnęło go zmartwienie. Znał fatalne upodobania Antoine'a i od razu zrozumiał, co to oznaczałoby dla Florence, gdyby udało mu się niezauważenie przedostać w jej pobliże. Jego młodszy syn zwykł krótko zabiegać u kwiatów, by rozwarły przed nim swe pąki, gdy mu się to nie udawało, zdarzało się, że otwierał je przemocą.

Gregoria dostrzegła jego zatroskanie.

- Nie zwykłam oceniać ludzi po tym, co mi o nich opowiedziano, ale o waszym synu Antoine krążą historie, które sprawiają, że obawiam się o czystość mojej podopiecznej. Do

tego zepsucia doprowadził go może pobyt u barbarzyńców w Algierii i Maroku. - Dotknęła jego ramienia. - Proszę was, *monsieur* Chastel, zabrońcie mu w przyszłości się do niej zbliżać.

Nie było czasu, by zwlekać.

- To wam obiecuję - zgodził się. - Za to wy będziecie uważać na to, żeby ona zostawiła w spokoju Pierre'a. Musi być rozsądny, aby pomagać mi w polowaniu. Jeśli będzie myśłami przy niej i przy schadzках, to może mieć dla niego śmiertelne następstwa.

Gregoria skinęła głową.

- Póki Florence będzie za murami Saint Grégoire, między tymi dwojgiem do niczego nie dojdzie. Przysięgam na Boga, Pana naszego.

Jean zaśmiał się gorzko.

- Przysięgajcie na coś rzeczywistego, żebym mógł wam uwierzyć. - Próbował strącić jej dłoń.

- Jesteście jak zwykle bezwstydni i pozbawieni szacunku, *monsieur*! - Odsunęła dłoń, za to podeszła bliżej, by spojrzeć twardo w jego oblicze. - Ale wasze zachowanie nie jest skierowane przeciw mnie, mam rację? Co skaziło waszą wiarę, *monsieur* Chastel? Co wam uczyniono, że nie chcecie wierzyć ani w Boga, ani w Kościół Święty?

Szczere zainteresowanie Gregorii, jakiego nie zaznał jeszcze od żadnego duchownego, zmieszało go i pogardliwy komentarz nie chciał mu już przejść przez gardło. Mówiła inaczej niż świętoszkowaci księża rozprawiający w kazaniach o wodzie, choć sami całymi wiadrami pili wino, żyli jak panowie i troszczyli się głównie o pieniądze we własnej kiesie. Miał dziwne uczucie, że naprawdę interesuje ją, co się z nim dzieje, jakie zmartwienie go trapi. Dlatego, milcząc, skierował się ku wyjściu i zniknął bez pożegnania.

Gregoria odprowadziła leśniczego wzrokiem, tym razem świadomie sięgając dłonią do pierwszego, małego paciorka różańca i zabierając się do Zdrowaś Mario. Poznała, że Bóg zesłał jej Jeana Chastela jako sprawdzian, aby sprowadziła go na powrót do wspólnoty wierzących. Tylko to mogło oznaczać jej coraz mocniejsze zainteresowanie tym mężczyzną. Wszystko inne było zabronione.

Nagle Gregorii przypomniała się Florence. Wyszła z namiotu i przywołała do siebie dwie nowicjuszki, aby pomogły jej poszukać podopiecznej, która na pewno zabłądziła w płataninie bud, straganów i namiotów. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła Jeana Chastela, jak niezdecydowany stoi przy wyjściu.

Nim zdołała go zapytać o powód zwłoki, nadjechał galopem jeździec. Bezwzględnie przeciskał się koniem przez ciżbę. Ludzie odskakiwali z drogi, wymachiwali pięściami w jego

kierunku i grozili mu.

- Przepuście mnie! - krzyczał z całej siły. - Muszę sprowadzić pomoc! Bestia porwała Marguerite Martin. Tam, na polu, w kierunku Saint-Privat-du-Fau!

Jean zerwał z ramienia muszkiet i ruszył pędem. Zaraz za nim w kierunku wioski pobiegł tuzin podnieconych mężczyzn z widłami, dzidami i cepami.

Od razu znaleźli to miejsce.

Przy wejściu do wioski, gdzie droga wychodzi na pola, leżała plecami we własnej krwi piękna Marguerite. Na jej twarzy rysowały się niewypowiedziane przerażenie i ból. Tuż pod brodą, tam gdzie wcześniej znajdowało się gardło młodej kobiety, otwierała się wielka dziura. Podarta suknia świadczyła o gwałtowności, z jaką pazury bestii musiały rzucić ją na ziemię.

Potężny, gniewny krzyk sprawił, że wszyscy zadrżeli. Młody Jacques Denis przybiegł szybko, padł na kolana obok martwej przyjaciółki i wybuchnął łzami. Wstrząsały nim skurcze, szlochał i przeklinał bez chwili przerwy.

- Coś jej przeszkodziło. - Nagle do Jeana dotarło stwierdzenie Maleskiego. On również przyklęknął przy zwłokach. - Rozerwała temu biednemu dziecku szyję i musiała uciekać, nim je pożarła - spojrzał na Chastela. - Możemy pójść jej śladem.

Jacques zakaszłał i pociągnął nosem. Pełnym nienawiści wzrokiem spoglądał na ranę.

- Bestia zrobiła to rozmyślnie - wrzasnął w gniewie. - Chce mnie dręczyć! - Poderwał się i otarł z policzków łzy. - Dziś jest ostatni dzień tego potwora! - krzyknął ochryple, a ludzie wokół zgodzili się z nim głośno.

Psiarczykowie Dennevala pojawili się z tuzinem psów, aby zagrzeć je do mającego nastąpić polowania.

- Dennevalowie zaraz tu będą. Muszą jeszcze osiodłać konie - wyjaśnił jeden z nich.

- To dla mnie zbyt długo. - Jacques nie chciał czekać na przybycie myśliwych. - *Teraz* ruszamy na polowanie! - Wytrącił jednemu z mężczyzn z ręki liny. Trzy psy węszyły wokół ciała Marguerite, po czym natychmiast ruszyły śladem zbiegłej bestii. Jacques popędził za nimi, ludzie z Malzieu oraz Jean i Malesky przyłączyli się do niego, podczas gdy psiarczykowie stali niezdecydowani.

Biegli w kierunku Amourettes.

- Mamy duże szanse na nagrodę - powiedział po drodze Mołdawianin. - Poza *petit monsieur* nikt nie ma broni ani nawet pistoletu.

W głowie leśniczego kłębiły się myśli. Jako sprawcy zbrodni w grę wchodził jedynie Pierre i prawdziwa bestia, Antoine leżał w pościeli odurzony winem i nie był w stanie dokonać mordu. *To nie mógł być Pierre*, pomyślał z błagalną nadzieją.

- Tak, możemy wreszcie mieć szczęście - odparł sztywno.

- Nie udało się wam znaleźć Pierre'a?

- Nie.

- Czy za to on odnalazł swoją miłość?

Ton znajomego był przyjaźnie żartobliwy. Pytanie z pewnością nie było zadane złośliwie, ale dla Jeana było niczym sypanie soli na otwartą ranę.

- Przestańcie! - krzyknął na Maleskiego. - Mój syn ma trzymać się z dala od tej klasztornej wychowawicy. To nie partia dla niego. Jest rozpieszczona i nie wie nic o życiu w Gévaudan. Załamałaby się pod wiązką siana.

Malesky nie dawał za wygraną.

- Kto by się tym przejmował? Może wniosłaby pieniądze do chaty waszego syna, *monsieur* Chastel? Jak trafiła do klasztoru? Miała z sobą posag?

- Nigdy się nie spotkają i już ani słowa o tym - burknął szorstko leśniczy.

W milczeniu dalej przemierzali pola w pogoni za tropem. Biegli pospiesznie, by wreszcie opuścić granice Malzieu i dotrzeć w pobliże wioski Amourettes.

Gdy usłyszeli przed sobą przerażone krzyki, wiedzieli, że tego dnia rozegrała się jeszcze jedna tragedia. Zbliżywszy się, myśliwi zobaczyli dwie płaczące matki; krzyczały nieustannie i zupełnie niezrozumiale. Jedna trzymała w dłoni zakrwawioną, podartą koszulę i przytulała ją do siebie, jakby to było jej dziecko.

- Dalej! - Jacques Denis popędził towarzystwo, gdyż niektórzy zdawali się mieć ochotę przystanąć, by zadbać o zrozpaczone kobiety. Minął je pędem.

- Jeśli nie zostaniemy na jej tropie, to te matki nie będą ostatnimi oplakującymi swoje dzieci.

Malesky ze współczuciem spojrział na kobiety, które osunęły się na ziemię na skraju łąny zboża i szlochały, żaląc się coraz boleśniej.

- Mój Boże - szepnął przejęty i zmusił się do skierowania wzroku na nierówną drogę, by nie potknąć się i nie przewrócić. - Czemu na to pozwalasz?

Kilku mężczyzn z Amourettes przyłączyło się do grupy i zastąpiło tych z Malzieu, którym zabrakło sił. Polowanie na bestię zmieniło się w sztafetę. Po kwadransie tropiący dotarli w okolice Mazet.

Bestia zostawiła tu następny trop. Pośrodku rozjeżdżonej drogi znaleźli makabrycznie okaleczone zwłoki około trzynastoletniej dziewczynki; wokół niej leżały rozrzucone wiklinowy kosz, chleb, pogięty blaszany dzbanek i puste kubki. Pewnie dziecko chciało zanieść do domu resztki posiłku robotników rolnych, gdy wilkołak napadł je i zabił

ugryzieniami w szyję i twarz. Potwór rozerwał brzuch ofiary i wyrwał wnętrzności. Z powodu prześladowców tym razem również musiał zaniechać wielkiego obżarstwa.

Widok, trudny do zniesienia nawet dla żołnierza, doprowadził czterech mężczyzn do gwałtownych wymiotów.

- Wabi nas prosto w zasadzkę - przepowiedział niepewnie chłop z Amourettes. - Mamy iść za nią i gdzieś w lesie porwie nas jednego po drugim. - Cofnął się. - Nikt mnie nie zmusi do pójścia za tym demonem, jeśli nie będę miał przy sobie księdza, który ochroniłby nas przed złymi czarami.

- Weźcie się w garść, *monsieur* - powiedział Malesky, który sam bardzo pobladł. - *Monsieur* Chastel i ja mamy muszkiety. Jesteśmy dość doświadczeni, by podjąć walkę z bestią. A *monsieur* Denis jest w służbie doświadczonego myśliwego Dennevala. - Badawczo rozejrzał się za szesnastolatkiem, ale nigdzie go nie dostrzegł. - *Monsieur* Denis?

Jeden z chłopów wskazał na prawo.

- Tam biegnie! Za psami! Ta droga prowadzi do Marcillac!

- Przeklęta niecierpliwość! - Jean, mokry od potu i spragniony, zebrał ostatnie siły, by pognać za młodzieńcem, który w swojej żądzy zemsty nie rzucił nawet okiem na towarzyszy polowania. W pojedynkę stanie się kolejną ofiarą loup-garou szybciej, niż źdźbło trawy złamie się pod podeszwą jego buta.

Żaden z mężczyzn z Amourettes i Malzieu nie odważył się jeszcze pójść w ślady tych dwojga. Nierozważne słowa o nadprzyrodzonej sile kierującej bestią sprawiły, że stali zamyśleni i przestraszeni; gniew za perfidne zbrodnie przestał być dominującą siłą w ich umysłach.

Malesky otarł słony pot z błękitnych oczu; ciemne plamy na plecach, torsie i pod pachami kaftana zdradzały, że Mołdawianin jest niemal zupełnie wyczerpany z sił. On jednak nie myślał o zaprzestaniu polowania i patrzył śladem Jeana i Jacquesa.

- W dwójkę nie pokonają bestii! - zaapelował do tłumu, pobiegł kilka kroków, po czym jeszcze raz się odwrócił. - Na co czekacie? Jeśli jej dziś nie złapiemy, jutro będzie znów mordować, a wtedy może przyjdzie kolej na waszą rodzinę! - Podsycił w nich najgorsze obawy i rzeczywiście pierwsi ponownie ruszyli truchtem. Długo jednak trwało, nim poderwała się cała gromada. Malesky z wysiłkiem wpatrywał się przed siebie. Leśniczy i chłopiec znikli już w brzezynie.

Jean dyszał, płuca paliły go, a klucie w boku dawało mu nieomylnie do zrozumienia, że jego ciało niedługo już będzie w stanie dotrzymać kroku siłom Jacquesa Denisa. Młodzieniec wyprzedzał leśniczego o pięćdziesiąt kroków; po prostu frunął przez mały las i nic nie mogło

go zatrzymać.

- Czekaj - krzyknął Jean. - Robisz z siebie łatwą ofiarę! - Jacques go nie słuchał.

*Przeciw komu staniemy?* To pytanie nieustannie pulsowało w głowie Jeana. *To będzie Pierre czy prawdziwa bestia?* Ratunek jego synów był może tak bliski, jak jeszcze nigdy w ostatnich miesiącach.

Wtedy przypomniały mu się słowa kata. Srebrne kule! Nie załadował broni srebrnymi kulami. Gorący dreszcz wstrząsnął całym ciałem leśniczego. Jednak Chastel prędko się opanował. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie w Vivarais, gdy Antoine położył loup-garou amunicją z muszkietu. Nie, nie potrzebuje srebra, jeśli tylko uda mu się całkowicie odstrzelić kulami łeb bestii.

Las przerzedził się. Przez brzozy w pewnym oddaleniu zamigotały proste chłopskie domy, do których bestia z pewnością zmierzała, aby porwać następne dziecko.

Jean wypadł z lasu i oddychając głośno, zatrzymał się na łące porośniętej wysoką trawą, kołyszącą się na boki w ciepłym, majowym wietrze. Leśniczy był już w połowie drogi do wioski, psy biegały wokół niego. Z dała dało się słyszeć krzyki kobiet.

- Jacques! - krzyknął, z trudem łapiąc powietrze. - Poczekaj...

W tym momencie z trawy tuż obok chłopca wypadła bestia i skoczyła wprost na niego.

Reakcją Jacquesa kierowała nienawiść. Zamiast rzucić się do ucieczki, zrobił unik przed bestią i dźgnął ją bagnetem.

Wbite w ramię ostrze niezbyt przeszkodziło stworowi. Warcząc i parszcząc, rzucił się na wroga i go przygniótł. Posokowce z jazgotem skakały wokół pola walki, nie atakując - najwyraźniej zostały wytresowane przez Dennevalów tak, że tropią zwierzynę, ale jej nie atakują, co groziło teraz zgubnymi skutkami dla młodego Denisa.

Jean uniósł muszkiet gotowy do strzału i podbiegł bliżej z nadzieją, że będzie mógł oddać strzał, ale nie pozwalała mu na to nieustanna kotłowanina człowieka i bestii. Nieco na uboczu leżała ciężko ranna młoda kobieta w stratowanej, wilgotnej, czerwonej trawie. Miała szeroko otwarte oczy i bez przerwy krzyczała. Bestia znów zaatakowała.

- Wytrzymaj! - Jean nałożył na lufę bagnet i dźgnął loup-garou, na co ten, skamłając, odskoczył i spojrzał leśniczemu prosto w oczy rozżarzonymi oczyma. Jean nie miał już wątpliwości: ma przed sobą sprawcę całego nieszczęścia, a nie swego syna, Pierre'a.

- No co, poznajesz mnie? - powiedział cicho do bestii i stanął przed Jacquesem, któremu udało się uniknąć zranienia zębami potwora. - Skocz na mnie, piekielny stworze, żebym mógł ci odrąbać łeb z karku.

W Marcillac tymczasem zauważono, co dzieje się na łące. Każdy w okolicy znał opis

bestii, więc chwycili swoją prymitywną broń i nadbiegli pomóc myśliwym.

Jean kątem oka zobaczył zbliżającą się gromadę i zaklął. Jeśli chce zyskać cenną krew wilkołaka, musi się pospieszyć. Naciągnął kurek muszkietu i wycelował z biodra, nie chcąc ostrzegać stwora o mającym nastąpić strzale.

Obrzydliwy łeb stworzenia odwrócił się ku ludziom z Marcillac, potem bestia spojrzała ku krawędzi lasu, z którego nadchodził Malesky i pozostali mężczyźni. Na oczach leśniczego wilkołak wykonał potężny skok, który przeniósł go od razu pięć metrów dalej ponad szalejącymi psami. Wiedział, że nie podoła przeważającym siłom obławy i wybrał ucieczkę. Umknął na czworakach.

- Nie! - krzyknął zrozpaczony Jean, szybko wycelował i strzelił z obu luf.

Kule wbiły się w łopatkę i w kark, impet uderzenia przewrócił stwora na trawę. Czołgał się na brzuchu jak ranny człowiek, podczas gdy rany już się zablizniały.

- Nie uciekniesz mi! - Jean popędził ku niemu wielkimi susami, trzymając muszkiet z bagnetem niczym dzidę.

Bestia odzyskała dawne siły, poderwała się na łapy i zaczęła biec, kiedy Chastel był już prawie przy niej. Normalnie dopędziłby ją, ale jego nogi po męczącej pogoni były jak z ołowiu, więc dystans między bestią a nim powiększał się z każdym krokiem.

Z wściekłością rzucił muszkietem. Bagnet wbił się aż po nasadę w grzbiet loup-garou... i wysunął się, zostawiając głęboką ranę, która jednak w mgnieniu oka przestała krwawić i równie szybko zagoiła się, podobnie jak te po postrzale.

- Nie! Tym razem musi mi się udać! Ty... - Jean potknął się o kopiec kreta, zatoczył i upadł całym ciężarem na trawę. Już chciał się poderwać, gdy zauważył, że jego ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Z jękiem przycisnął rozpaloną twarz do wilgotnych źdźbeł, śmiertelnie zmęczony i zrozpaczony. Posokowce Dennevalów, ujadając, przemknęły obok, mijając go po prawej i lewej i podążyły tropem bestii.

Jean, stękając, przetoczył się na plecy. Patrzył w niebo i czuł zapach krwi bestii. Tak blisko - a mimo to znów uciekła! Niewielka ilość krwi na bagnecie na pewno nie wystarczy, by uwarzyć antidotum.

- *Monsieur* Chastel, dobrze się czujecie? - Purpurowa twarz Maleskiego pojawiła się na tle nieba. Binokle kołysały się na mokrym od potu nosie. - Uratowaliście życie temu młodzieńcowi i dziewczynie, gratulacje! - Wyciągnął dłoń, by pomóc leśniczemu wstać. Uwadze Jeana nie uszedł fakt, że Malesky wyglądał na bardzo uradowanego.

- Nie mogę podzielać waszej radości - powiedział markotnie i przyjął pomoc. Stał przy Mołdawianinie. - Będzie znowu zabijać, ale wy patrzycie tak, jakbyśmy ją zabili raz na

zawsze.

- Nie, źle mnie zrozumieliście - łagodził Malesky. - Ja tylko... cieszę się, że wam się nie stało, *monsieur*. - Szybko zerknął w bok. Dało się słyszeć tętent kopyt.

Z brzeziny wypadli Dennevalowie, zatrzymali się przy Jacquesu i krótko się z nim rozmówili. Starszy z Normanów z uznaniem skinął głową leśniczemu i w pozdrowieniu dotknął róna kapelusza. Młodszy wciągnął Jacquesa na swego konia, po czym ruszyli dalej za psami.

- On też jej nie złapie. Dostaniemy ją my albo nikt inny - prorokował Malesky i podniósłszy muszkiet Jeana, podał mu go i spojrział na krew, klejącą się do palców. Powąchał ją. - Zadziwiające - zdumiał się. - Nie czuć ani siarki, ani odoru czy czegoś, czego można by spodziewać się po piekielnym stworze.

Odwrócił się i schylił, aby obetrzeć dłonie. Leśniczy wyraźnie zauważył, że Malesky wcześniej szybko przyłożył palce do ust. Jean uznał to zachowanie za więcej niż osobliwe, nie uczynił jednak żadnego komentarza i postanowił odtąd mieć go baczniej na oku.

- Wracajmy do Malzieu - powiedział zmęczony i naładował broń. Musi dowiedzieć się, gdzie podziewa się Pierre.

W milczeniu ruszyli tą samą drogą z powrotem do wioski, w której rozpoczął się najstraszliwszy dzień od przybycia bestii do Gévaudan.

Jean czynił sobie ciężkie wyrzuty. Cztery ofiary w tak krótkim czasie, mniej lub bardziej na oczach pogoni. Bestia szydziła z nich, wodziła za nosy i wyzywała do walki. To była nowa demonstracja jej siły, przewagi nad ludźmi. A przede wszystkim nad nim. Z każdą ofiarą rosła jego wina, w każdym razie on tak uważał. Nic go już nigdy z tego nie oczyści. W chwilach takich jak ta pragnął, by wspierał go Bóg.

Z zapadnięciem nocy dotarli do Malzieu, które tymczasem szczelnie się zabarykadowało. Wszystkie drzwi i okna były zamknięte, budy i stragany stały opuszczone na placu targowym, a miejsce, gdzie ludzie mieli się zebrać na tańce, ziało pustką.

- Życzę wam, byście znaleźli sen, *monsieur* Chastel. - Malesky pożegnał się z nim w gospodzie. - Wy będziecie tym, który ją zabije. Jestem pewien. - Poszedł do swojego pokoju.

Jean wszedł do własnej sypialni. Antoine leżał i chrapał na jednym z łózek, trzymając w prawej ręce pustą butelkę po winie wypitym najwidoczniej pod nieobecność ojca. Pierre, nagi, kuczał na swoim materacu, z podciągniętymi nogami, skrzyżowanymi ramionami i twarzą przyciśniętą do kolan.

Na podłodze leżało jego ubranie.

Uwalane krwią.



# Rozdział XII

Rosja, Sankt Petersburg,

13 listopada 2004, godzina 23:51

Lena wrzucała ubrania do walizy tak, jak udało się jej je chwycić. Jej statek do Tallina odpływał za pół godziny, a stamtąd odlatywał samolot do Londynu. Dopiero w Anglii, u znajomej, poczuje się bezpieczna.

Cayenne porzuciła na skraju miasta i resztę drogi przejechała taksówką. W hotelu *Aleksander* szukała jej policja, tak jej powiedziano na recepcji, ale nie zamierzała się zgłaszać. Z pewnością któryś z funkcjonariuszy rozpoznałby w niej kobietę, która w kradzionym samochodzie nowobogackich uciekła z miejsca zbrodni.

Rzuciła pośpiesznie okiem na zewnątrz. Gęsta śnieżna zadymka. Dobrze, że zdecydowała się wyjechać statkiem. Przy tej zawierusze lotnisko na pewno jest zamknięte.

Lena obejrzała się ostatni raz, czy na pewno niczego nie zapomniała, i narzuciła zieloną kurtkę, ponieważ drugą zostawiła w chacie tego szaleńca. Zadrzała. Najwyraźniej w Petersburgu zebrał się cały tłum wariatów. Jedną ręką dźwignęła walizę, w drugiej trzymała puszkę pieprzowego sprayu, by w razie potrzeby natychmiast jej użyć. Ktokolwiek zbliży się do niej szybciej niż normalnie, oberwie pełen ładunek. Tak uzbrojona, czuła się nieco pewniej - tym bardziej zlekła się, otworzywszy drzwi.

- Pan Nadolny?

Lena wpatrywała się w mężczyznę stojącego przed nią w obcym czarnym płaszczu; spod płaszcza wyglądał rąbek białego fartucha, nagie stopy tkwiły w jasnoniebieskich, plastikowych sandałach. Musiał uciec ze szpitala.

- Ale jak...

Błyskawicznie podniósł prawą rękę i chwycił ją za gardło. Brutalnie wepchnął z powrotem do pokoju. Lena podniosła puszkę sprayu, wyciągnęła ją w kierunku napastnika i nacisnęła. Wtedy...

...nic się nie zdarzyło! Ładunek musiał być zużyty. Widocznie Lena trochę zbyt szczerze obdarowała Eryka.

- Złodziejka! - Nadolny, ten raczej łagodny człowiek około czterdziestki, wymierzył jej lewą dłońią trzy mocne policzki, które aż wstrząsnęły unieruchomioną w jego uchwycie kobietą. - Oddaj mi moje zdjęcia - warknął. Naprawdę warczał. Lena za długo pracowała z wilkami, by tego nie zauważyć.

Popchnął ją na kanapę. Upadła na nią, przekoziółkowała i wylądowała na szklanym stoliku. Z trzaskiem popękał na drobne kawałki i tylko gruba kurtka uchroniła Lenę przed zranieniem.

Nadolny tymczasem rzucił się na jej walizę. Nie powstrzymało go zamknięcie. Paznokcie jego osobiście przypominających szpony palców rozerwały nylon, potem gwałtownie grzebał w ubraniach, aż znalazł torbę z dokumentami.

Pokój zdawał się krążyć wokół Leny. Z jękiem dźwignęła się na kolana. Dopiero gdy ujrzała zbliżającego się do niej wściekłego mężczyznę, zrozumiała, że może lepszym pomysłem byłoby udawać nieprzytomną i poczekać, aż zniknie.

Chwyił ją za ramiona i rzucił mocno na podłogę.

- Z kim rozmawiałeś? - zagrmiał. - Kim byli ci ludzie w moim mieszkaniu?

- Proszę, panie Nadolny... - Choć jego twarz wisiała dokładnie nad nią, nie dostrzegła żadnych opatrunków na głowie ani na czole. A przecież dokładnie widziała pęknięcie, powstałe po zderzeniu ze ścianą. Trzask jego kręgosłupa albo innej kości rozległ się cichym echem w jej pamięci. Nadolny jednak nie miał żadnego gorsetu ani temblaka; nic w tym rodzaju. Poruszał się płynnie, jakby właśnie wypoczęty wrócił z urlopu na farmie piękności. A jego oczy... żarzyły się jak u tego dziwnego wilka, którego sfotografował! Wyglądały jak lampki LED, w których zamiast zimnego światła płonie wściekłość.

Pochylił się nad nią groźnie.

- Zdrajczyńi - zagrmiał i kłapnął zębami.

On... *kłapnął!* Lena odruchowo szarpnęła głowę w tył i uderzyła o oparcie kanapy; przed oczami zatańczyły jej gwiazdy. Słyszała stękanie napastnika, trzeszczenie i trzaski.

Gdy odzyskała zdolność widzenia, krzyknęła z przerażenia.

Twarc Nadolnego zmieniła się we wstrętny pysk. Ludzkie rysy mieszały się z czymś innym, czymś złowieszcym. Skórę porosła rudawa sierść, z kształtującego się pyska sterczały ostre kły, ślina kapiała ze zgrzytających, drżących szczęk, a podniebienie zabarwiała się na czarno. Mężczyzna wydawał gulgocące, dyszące dźwięki. Lenie zdawało się, że słyszy początki wycia. Wtedy zaatakował obiema rękami.

Trafił ją w pierś i twarz. Impet rzucił ją dwa metry przez dywan. Mężczyzna, wcześniej niezdolny nawet odkręcić zakrętki słoika, dysponował nagle niezwykle siłą.

*Musisz stąd uciec!* Tylko ta jedna myśl dudniła w głowie Leny. Twarz paliła ją w miejscach, gdzie szurała po szorstkiej wykładzinie. *Uciekać! Szybko!* Jęcząc, kobieta poczołgała się w stronę drzwi.

Nadolny, parskając, skoczył przed nią i odgrodził od obiecującego ratunek wyjścia. Kucnął, chwycił za długie ciemnobraunatne włosy i odciągnął jej głowę w tył. Druga łapa przebiła pazurami kurtkę, sweter i koszulę aż po skórę pleców. Lena krzyknęła - mniej z bólu, a bardziej z przerażenia. Nie mogła dłużej znieść jego potwornych, czerwonych oczu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Lena zdążyła zobaczyć parę białych, wysokich butów z metalowymi czubkami. Potem opuściły ją zmysły.

Eryk wyczuł go już na schodach. Łomot i inne dobiegające z pokoju dźwięki pozwoliły mu domyślić się, co się tam właśnie dzieje.

Nim dotarł do drzwi, wyciągnął P9 i przygotował się. Nadolnemu daleko jeszcze do prawdziwej bestii. A to oznacza, że zachowuje się całkowicie dziko i nie ma nad sobą żadnej kontroli. Na początku wszyscy są tacy.

Eryk wpadł do pokoju i omiótłszy go szybkim spojrzeniem, zrozumiał, że nie przychodzi ani o sekundę za wcześnie. Przemieniający się Nadolny stał nad Leną, pochylony w przód i głodny mięsa, pijany zapachem kobiety i pragnieniem ciepłej krwi. Dlatego potrzebował zbyt dużo czasu, aby zareagować na nowe zagrożenie.

Gdy chciał rzucić się na Eryka, było już za późno. Sig Sauer wypuścił ku niemu dwa pociski Glaser, które jedynie minimalnie oddalone od siebie wdarły się w jego pierś. Impet uderzenia zatrzymał go w miejscu. Nadolny zawył głośno i padł martwy na Lenę.

Strzały, tryskająca krew i drżenie przemieniającego się z powrotem ciała obudziły kobietę z omdlenia. Łkając, wyczołgała się spod zwłok i przypadła plecami do ściany. Miała szkliste oczy.

- Lena? Słyszysz mnie pani? - Eryk wyciągnął dłoń i dotknął jej ramienia. - Musimy iść! Prawdopodobnie policja jest już w drodze i, niech mi pani wierzy, będą stawiać za dużo pytań, na które żadne z nas nie potrafi odpowiedzieć.

Strąciła jego dłoń, usmarowane krwią włosy opadły jej na twarz, rysując na skórze cienkie czerwone linie. Była w szoku. Nie zdawała sobie sprawy z obecności Eryka.

Nie było teraz czasu na psychologię stosowaną.

- Przykro mi - Eryk przykucnął przed nią i uderzył. Oszołomiona, Lena osunęła się na podłogę.

Przerzucił ją sobie przez ramię, wziął rozciętą walizę i zbiegł schodami do tylnego wyjścia, gdzie zaparkował cayenne. Odjechali w tym samym momencie, gdy w ulicę skręciła

policja, nie zauważając ich jednak. Czasem i Erykowi zdarzało się dopisywać szczęście.

Lena obudziła się, stękając. Na ile pozwalały na to pasy i kurtka, dotknęła swoich pleców. Gdy wyjęła drżącą dłoń, ta kleiła się od krwi.

- Będzie blizna, ale nie zaraził pani - uspokoił ją Eryk, nie odwracając głowy. - Likantropia przenosi się tylko przez pogryzienie.

Lena ukryła twarz w dłoniach i cicho płakała.

Eryk podał jej gąbkę, którą zwykle wycierał zaparowaną szybę.

- Proszę. Nic innego niestety nie mogę zaproponować.

Pociągnęła nosem, wzięła gąbkę i otarła nią policzek i oczy.

- Cholera - powiedziała drżącym głosem. - Cholera, cholera. - Oparłszy czoło o boczną szybę, patrzyła w bok na przemykające światła Petersburga.

Eryk dał jej czas na pozbieranie się i przemyślenie tego, co ją właśnie spotkało. Był zadowolony, że najwyraźniej nie postradała zmysłów, jak w przeszłości często obserwował u ludzi, którzy przeżyli spotkanie z przemieńcem. Wbrew wszelkim oczekiwaniom ludzka psychika jest o wiele bardziej krucha niż ciało.

- Przez przemieńców straciłem ojca i matkę - przerwał milczenie. - Ojciec uczył mnie o nich, pokazał mi ich słabe i silne strony. Zabierał mnie na polowania.

Lena jęknęła.

- Właściwie wołałabym, żeby był pan szaleńcem. - Opuściła głowę i patrzyła na dłonie, do których kleiła się jej własna krew i krew Nadolnego. - Ale nie jest pan. - Odchyliła osłonę przeciwsłoneczną i oglądała w lusterku swoją twarz. Wyraźnie widać było na niej odciski rąk Nadolnego, miejsca pod oczami już puchły. - Jak długo już się pan tym zajmuje?

- Od dwunastu lat. Jest ich sporo - odpowiedział, skrzywił i pokierował cayenne z powrotem do posiadłości Kastellów. - Nie potraktuje mnie pani znów pieprzowym gazem?

Uśmiechnęła się zmęczona.

- Bez obaw. Jest pusty - spojrzała na niego z boku. - Co pan myśli o tych...

- Przemieńcach albo wilkołakach. Likantropia to tylko zbiorcze pojęcie, oznaczające zdolność do przybierania na zmianę ludzkiej i zwierzęcej postaci. Nie mam przy tym na myśli tych biednych świrusów, którzy uważają się za wilki i tak się zachowują. To coś siedzi w psychice. Widziała pani, o co chodzi. - Eryk wiedział, że teraz mu wierzy. Cóż innego jej pozostało?

- Chce pan przez to powiedzieć, że istnieją nie tylko wilkołaki, ale również...

- Wszystkie możliwe rodzaje likantropów. To zależy od ich pochodzenia, kultury. Jak już powiedziałem, w każdej legendzie tkwi źdźbło prawdy. Obojętne, czy opowiada się o

ludziach-jaguarach w Argentynie, ludziach-szakalach w Egipcie czy ludziach-tygrysach w Indiach. - Spojrzał na nią poważnym wzrokiem. - Trzeba wierzyć w legendy.

- Spodziewam się, że sporo przemieńców chodzi po świecie - powiedziała z nutą powracającego humoru. - Skąd pan wie, gdzie jest jakiś likantrop? - Ten temat zdawał się ją coraz bardziej interesować.

- Popołniają błędy. Wcześniej czy później popełniają błędy... Oprócz...

- Co ma pan na myśli?

- To zwykle ich własna głupota. Niektóre zostają dostrzeżone podczas wędrówki w zwierzęcej postaci i rodzą się potem takie historie, jak ta, która kilka miesięcy temu obieżyła Anglię: *Kobieta zobaczyła czarną panterę w londyńskim metrze*. Pamięta pani? Zwierzę pojawiające się w niezwykłym dla niego otoczeniu to zawsze dobry znak obecności likantropa. Jest jeszcze łaknienie ludzkiego mięsa, któremu muszą ulec. Bestialskie mordy są wskazówką, mimo że niektóre z tych stworów posiadają dość rozumu, by maskować swoje czyny.

- Nadolny... - Lena ściągnęła brwi. - To, co zostało z Nadolnego, nie przejawiało nawet śladu rozumu.

- On był jednym z nich od niedawna. Z biegiem czasu uczył się kontrolować zwierzęcą dzikość, chyba że je rozdrażnić. - Eryk wjechał na podjazd posiadłości, wysiadł i pomógł jej wydostać się z cayenne. - Obejrzy pani zadrapanie na plecach, potem weźmie pani prysznic i się prześpi. Jutro dowie się pani więcej. - Nagle uświadomił sobie, że mówi w taki sam autorytatywny sposób, jak robił to jego ojciec.

Lena czuła się zbyt słaba, by protestować. Poza tym było dla niej jasne, że w ubraniu, które ma na sobie, nie może nigdzie iść, nawet do publicznej toalety, chyba że chce odpowiadać policji na tysiące pytań. Bez oporu pozwoliła mężczyźnie, aby ją podtrzymał. Dom, do którego ją wprowadził, wzbudził w niej poczucie bezpieczeństwa.

- Czy coś zmienia się w przyjazne, miłe zwierzątko? - spytała z cieniem uśmiechu. - Czy są też ludzie-morskie świnki?

Eryk roześmiał się.

- Nie potrafię powiedzieć. Jeśli istnieją ludzie-morskie świnki, dotychczas nie wzbudziło to negatywnych podejrzeń - cieszył się jej uśmiechem. Tym, że uśmiecha się *do niego*. - Mam nadzieję, że nie opuści pani dobry humor, gdy będę dezynfekował ranę.

Zaprowadził Lenę do jednego z pokoi gościnnych. Zrzuciła wierzchnie okrycie i odwróciła się, nim rozpięła stanik.

- Proszę przyjąć to za oznakę zaufania, że odwracam się do pana plecami - powiedziała i

przytrzymała włosy. - Zazaczył pan wcześniej, że *jedna* z tych istot nie popełnia błędów...

- Teraz z tym koniec. Tamto zdjęcie naprowadziło mnie na jej ślad. - Przyciągnął do siebie nocną lampkę, oświetlając ranę. Nie była głęboka, ale na pewno wda się stan zapalny, jeśli nie poleje jej jodyną. Nie zdołał przemóc się i powiedzieć jej, że rany zadane przez wilkołaka pozostawiają brzydkie blizny. To hańba, przy jej cudownym ciele i miękkiej skórze. - Teraz będę mógł ją wreszcie dopaść.

- To brzmi jak zakończenie długiej historii.

- Ma dwieście czterdzieści lat. - Eryk szybko opatrzył ranę i przykleił wodoodporny plaster. - Opowiem ją pani przy okazji.

Zostawił Lenę samą, żeby mogła wziąć prysznic. Gdy von Kastell przyniósł jej coś do jedzenia, spała już. Cicho wyszedł.

Tej nocy opanował swoje pragnienie i nie sięgnął po krople. Za to powstało malowidło w osobliwie radosnych kolorach, odmienne od wszystkiego, co stworzył przez ostatnie lata. Dimitri nie zdołałby go sprzedać.

# Rozdział XIII

5 czerwca 1765, okolice Saugues,

Południowa Francja

Jean szedł drogą prowadzącą w kierunku dużej wsi. Dźwigał plecak. Znajdowały się w nim futra i skóry, które zamierzał sprzedać na targu, by zarobić parę liwrów. Ustawiczne wędrowni tropem bestii wyczerpały jego zasoby. Razem z synami musieli przecież z czegoś żyć.

Wokół niego, wśród granitowych skał o barwie ołowiu, zieleniło się Gévaudan, budząc w naiwnym człowieku wrażenie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Jean jednak wiedział o ostatnich atakach z początku miesiąca, które kosztowały życie chłopca i dziewczynkę. Nic nie było w porządku.

Dennevalowie organizowali jedno polowanie po drugim w rejonie trzech gór: Montchauvet, Montmouchet i Montgrand. Dokładnie tam, skąd pochodzili Antoine, Pierre i on. Normanowie coś podejrzewali.

To był kolejny powód, dla którego wolałby unikać Saugues: plotki. Nie tylko ludzka cizba budziła w nim niepokój, również spojrzenia i szepty za plecami. Będą na niego patrzeć i mówić między sobą, że syn czarownicy znów jest w wiosce. Mimo to chętnie kupowali od niego futra i skóry. Za każdym razem musiał przełamywać się, żeby iść na targ, lecz starał się nie pokazywać tego ludziom. Im wydawał się nieprzystępny i odpychający jak zawsze.

Minął pierwsze domy i poszedł drogą ku targowisku. Gdy przechodził obok domu starej Yvette Chabrol, zdziwił się, że drzwi są szeroko otwarte. Yvette cieszyła się podobnie wątpliwą sławą jak on, gdyż stała się nieco dziwna. Nikt nie znał jej prawdziwego wieku, ale od kiedy Jean sięgał pamięcią, Yvette była. Miała osiemdziesiąt lat? Dziewięćdziesiąt?

Chastel zatrzymał się i nasłuchiwał, czy z domu dobiegają jakiegokolwiek odgłosy i wtedy właśnie usłyszał ciche stękanie.

- Madame? - zawołał pytająco, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Szybko wszedł do środka, by zobaczyć, co dzieje się ze staruszką.

Ku swemu zdziwieniu w małej izbie przy łóżku Yvette zobaczył przeoryszkę Gregorię. Siedziała zwrócona ku niemu plecami i nie zauważyła jego obecności. Wyjęła szmatkę nad

miską z wodą, otarła nią zroszone potem czoło staruszki i pomogła jej się unieść. Gregoria troskliwie poiła Yvette herbatą, Jean poczuł unoszący się aż do drzwi zapach kwiatów rumianku.

- Widzicie, jakoś to jest, madame Chabrol - mówiła cicho, ale pocieszająco. - Zioła pomagają na kaszel i dobrze wam robią. Pan pobłogosławił was długim życiem i przeżyjecie jeszcze wielu w Saugues, jeśli Bóg pozwoli. Jednak musicie bardziej na siebie uważać. Przykrywajcie się w nocy. - Położyła Yvette z powrotem na poduszki. - W przyszłym tygodniu znów do was zajrzę. Jutro przyjdzie siostra Magdalena.

Staruszka chwyciła jej dłoń.

- Dziękuję, czcigodna przeoryszo. Niech Pan wynagrodzi wam wasz trud - wydyszała.

- Nie musicie mi dziękować. - Gregoria potrząsnęła zawoalowaną głową. - Robię to chętnie, madame Chabrol.

- Ale na pewno macie lepsze zajęcia niż zajmowanie się umierającą - obruszyła się pacjentka o świszczącym oddechu. Płuca miała pełne wody. Jean znał ten dźwięk. Oceniał, że został jej jeszcze jeden albo dwa dni życia i nie ważył się zwrócić na siebie uwagi. Gdyby Yvette przestraszyła się, mogłoby to sprowadzić na nią śmierć wcześniej, a na niego jeszcze gorszą sławę.

- A któż by w taki piękny dzień mówił o umieraniu, madame Chabrol? - uśmiechnęła się przeorysza i delikatnie osuszyła czoło kobiety. - Pozwólmmy zadziałać ziołom. Modłę się za was i zobaczycie, że wkrótce będziecie rześka i zdrowa.

- Czy ja pójdę do raju, czcigodna przeoryszo? - głos Yvette coraz bardziej się załamywał.  
- Trzeba wam wiedzieć, że w moich młodych latach nie zawsze byłam cnotliwa.

- Modłę się za was. Wyznaliście swoje grzechy, zatem na pewno pójdziecie do raju, madame Chabrol. Ale przedtem lepiej pożyjcie jeszcze troszkę.

Jean zauważył wyraźnie, jak Gregoria szybkim ruchem ociera łzę z kącika lewego oka. Dobrze wiedziała, że to już ostatnie chwile Yvette.

Kościste palce chwyciły mocno i zgmiotły białą dłoń przeoryszy.

- Ale prêtre Frick przy spowiedzi powiedział, że Bóg przyjmie tylko dusze najbardziej pobożnych, czcigodna przeoryszo. - Najwyraźniej staruszka panicznie bała się tego, co czeka ją po drugiej stronie.

- Porzućcie niepokój, madame Chabrol. - Gregoria pogłaskała ją uspokajająco po siwych włosach. - Bóg kocha ludzi. A teraz odpocznijcie - wstała.

Jean odwrócił się i wysliznął na zewnątrz. Nie chciał, by go zauważono.

Jego obraz przeoryszy zachwiał się gwałtownie. Nigdy nie spodziewałby się jej tutaj, a



już na pewno nie tego, że sama będzie opiekowała się Yvette. A już na pewno, że zaboli ją zbliżająca się śmierć staruszki. Do tej pory traktował Gregorię jak oziebłą zakonnice szlachetnego rodu, zachowującą się jak reszta klechów. To, co zobaczył i usłyszał, zadziwiło go. Wygląda na to, że potrafi być nie tylko arogancka i zaślepiona wiarą. Niesamowite.

Zatopiony w myślach doszedł uliczkami do targowiska i rozłożył towary obok studni, nie zwracając uwagi na otoczenie. Nie trwało długo, a już pierwsi ludzie zainteresowali się jego skórkami wiewiórek. Targował się z nimi, nie spuszczał jednak ceny ani o jedno sou.

Niebo zaciągnęło się, powietrze czuć było wilgocią. Odświeżający wiatr przyniósł z sobą ciemne chmury i w oddali Jean dostrzegł szary welon, wiszący od nieba do ziemi. To deszcz wylewał się na góry i łąki.

- *Bonjour, monsieur* Chastel. - Niespodziewanie usłyszał głos dziewczynki. Odwrócił się.

- Ach, *bonjour*, Marie Denty. - Przykucnął i podał jej dłoń. Uśmiechnęła się. Jej wielkie, brązowe oczy promieniały. Ubrana była w zgrzebną lnianą sukienkę i biały czepek nasunięty na ciemnoblonde włosy. Koszyk, który niosła, był niemal tak duży jak ona sama. - Och, urosłaś i robisz się coraz ładniejsza - powiedział, przekomarzając się, a ona się roześmiała. - Masz już dużo kandydatów do ręki?

- Przecież mam dopiero dziesięć lat. - Broniła się zmieszana.

- Dopiero dziesięć lat? - Jean z udawanym zaskoczeniem klasnął dłońmi nad głową. - *Incroyable*, ale wyglądasz jak mała madame. - Połaskotał ją w brzuch, a ona zaśmiała się w bez troski sposób. Ten śmiech cieszył jego serce. - Wysłała cię twoja maman?

- Tak, *monsieur* Chastel. - Wskazała na otaczające ich stragany. - Mam kupić warzywa i wędzone mięso.

- Ach, będzie zupa - wywnioskował ze zlecenia i sięgnął do kieszeni. - Mam coś dla ciebie. - Puścił do niej oko.

- Och, znów jakieś zwierzątko? - Postawiła pleciony kosz na ziemi i poszukała w kieszeni sukienki. - Patrzcie, mam je tu wszystkie. - Marie pokazała mu pół tuzina rzeźbionych figurek, które jej podarował, dwie większe i cztery małe. - Inni mi ich zazdroszczą - przyznała z dumą. - A ja wtedy zawsze mówię, że wyście mi je dali, *monsieur* Chastel.

Pogłaskał ją po głowie i wyjął swoje najnowsze dzieło. Był to na pół gotowy ptaszek z bukowego drewna, prawie tak duży jak dłoń Marie.

- Wystrugam go dla ciebie do końca - obiecał i wyjął nóż. Pod wyczekującym i baczny spojrzeniem dziewczynki nadał zwierzęciu ostatni szlif. Padały cienkie wióry, a drewno coraz wierniej oddawało szczegóły. Tymczasem spadły na nich pierwsze krople deszczu. Było to na razie ostrzeżenie przed zbliżającą się niepogodą.

- Jaskółka! - ucieszyła się dziewczynka, rozpoznawszy ptaka.

- Jaskółka - przyznał, wywiercił czubkiem noża małą dziurkę, przeciągnął przez nią cienki skórzany rzemyk i podał prezent dziewczynce. - Podoba ci się?

- Bardzo. - Marie promieniała i z szacunkiem wzięła wisiołek. Zawiesiła go sobie na szyi i objęła leśniczego ramionami. - Dziękuję, *monsieur* Chastel.

- Dobrze, dobrze - mruknął zmieszany i odsunął ją. - Szybko, biegnij po zakupy. Inaczej nie będziecie mieli co jeść, a ty przemokniesz, nim dojdiesz do domu.

Podniosła kosz.

- Nie obchodzi mnie, co opowiadają o was ludzie, *monsieur* Chastel. Jesteście dla mnie zawsze mili. Lubię was najbardziej po mamam i tatusiu. - Odbiegła, pomachała do niego od straganu rzeźnika i podała mężczyźnie kosz.

Jean śledził małą dobrotliwym wzrokiem, jak żwawo biega po targowisku. Nagle zauważył przeoryszkę. Zatrzymała się przy ladzie handlarza warzywami i, złożony białe dłonie przed sobą, najwyraźniej obserwowała jego rozmowę z Marie. Jej twarz wyrażała zaskoczenie. Przynajmniej takie samo zaskoczenie, jakiego doznał on, ujrawszy ją u Yvette Chabrol. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej przywodziła mu na myśl figurę świętej.

Potem chmury otworzyły swoje śluzy i wylały się na Saugues. Jean, przeklinając, zgarnął futra i skóry i pobiegł pod daszek. Przeorysza również poszukała schronienia pod wiatą, on jednak udawał, że jej nie widzi. Zamiast tego przykleknął i upychał swoje towary do plecaka. I tak już nic nie sprzeda.

- *Bonjour, monsieur* Chastel - powiedziała Gregoria za jego plecami. Nie mógł jej dłużej ignorować. - Nie byliście przypadkiem przedtem w domu madame Chabrol?

- Nie. - Wstał i spojrzał na nią. - Nie przypadkiem.

Jej czarny habit był mokry od deszczu i połyskiwał lekko, kleił się do szczupłego ciała, zdradzając jej kształty bardziej, niż to przyjęte u przeoryszy.

- Usłyszałem, jak woła i chciałem zobaczyć, co się dzieje. Byliście szybsi niż ja.

- A czemu nic nie powiedzieliście?

- Żeby wystraszyć madame na śmierć? Nie, to zadanie pozostawię *prêtre* Frickowi.

Jej ciemne brwi uniosły się, spojrzała z wyrzutem.

- To, że postaraliście się być cicho, dobrze o was świadczy. To, żeście podsłuchiwali, mniej.

Uśmiechnął się mimo woli.

- Może się obawiacie, że zapamiętam wasze słowa? Stara madame przecież wcześniej tak wspaniale się bała, ten tłusty klecha tyle jej nagadał o piekle, czekającym ją, grzesznicę.

Gregoria odchrząknęła.

- Zaskoczyło was, że nie przybrałam tego samego tonu?

- Tak.

- *Monsieur* Chastel, Bóg jest miłosierny. Dlaczego miałbyście chcieć, by staruszka stojąca u progu śmierci przeżyła swoje ostatnie dni w trwodze?

- Nie mówiłem o Bogu. Mówiłem o *prêtre* Fricku - poprawił. - Pamiętacie moje słowa w lesie przy Vivarais? Frick to jeden z wielu powodów, przez który czuję wstręt do Kościoła. Teraz już i wy wiecie, dlaczego.

Uniosła głowę.

- Rozumiem was, *monsieur* Chastel. Tak nie powinno się robić. Choć nie uchodzi mi napominać *prêtre* ani go krytykować, mimo to z nim o tym porozmawiam.

Jean nastawił się na kolejny słowny pojedynek, jednak zaskoczyła go jej ustępliwość. Nie był w stanie powiedzieć nic poza:

- Wy... jesteście sama w Saugues?

- Nie. Inne siostry rozeszły się po domach chorych. W naszym ziołowym ogródku można znaleźć ulgę na wiele dolegliwości. - Gregoria wyciągnęła dłoń i przytrzymała ją na deszczu.

- Potraficie znakomicie zajmować się dziećmi, *monsieur* Chastel.

- Obserwowaliście mnie?

- Tak jak wy obserwowaliście mnie. - Wiatr smagał deszczem uliczki. Przeorysza patrzyła na frontony domów, po których spływała woda. - Dobrze znacie tę małą? - Podciągnęła rękaw i strąciła z dłoni wodę.

- Nazywa się Marie Denty. Jej ojciec i ja często razem polowaliśmy. To się zmieniło, gdy musiałem zająć się chorą żoną. - Spojrzał w bok, gdzie woda zabrała wióry drewna i powoli niosła je po rozmiękającej ziemi. - Jest dla mnie jak córka. To zaszczyt, że jej rodzice obdarzyli mnie zaufaniem.

- Znam plotki o was, *monsieur* Chastel. Muszę przyznać, że miałam pokusę dać im wiarę po naszym pierwszym spotkaniu. - Skinęła głową. - Dziś zrozumiałam, że nie może być w nich prawdy. Bóg wybaczy mi mój błąd, a wam podziękuje za troskliwość, jaką okazaliście *madame* Chabrol. - Milczała chwilę. - Wiecie, że *Dennevalowie* rozpytują się o was i waszą rodzinę? Interesuje ich głównie wasz syn Antoine i jego psy.

- Nie wiem, co macie na myśli.

- Przyszli do mnie do klasztoru i pytali, bo inni ludzie nie chcieli z nimi rozmawiać, gdy słyszeli imię Antoine Chastel. *Dennevalowie* uznali to za... osobliwe - kontynuowała Gregoria. - Czy wiecie, że o waszym synu ludzie mówią tylko *ten człowiek*, bo boją się

wymieniać jego imię?

- Wiem - wydusił z trudem Jean. - Zawsze był dziwny. - Ja... ja sam czasem go ledwie poznaję. Obczyzna go zmieniła.

- Uważajcie na niego, *monsieur* Chastel - doradziła mu zmartwiona. - I mówię to nie tylko z powodu jego sfory. Słyszysz się, że król jest zmęczony i po sześćdziesięciu zabitych i czterdziestu rannych chce zobaczyć sukces. Normanowie upatrzili sobie Antoine'a i jego psy. Łatwo byłoby podać je za bestię.

Jean sięgnął po plecak, skinął jej głową i uciekł na deszcz. Nie był przyzwyczajony, by rozmawiano z nim tak przyjaźnie, a już na pewno nie spodziewał się ostrzeżenia ze strony przeorowskiego. Zbiła go z tropu i trudno mu było nienawidzić ją jak innych duchownych.

Gregoria patrzyła za leśniczym, gdy pośpiesznie szedł po błocie i opuścił Saugues z zaledwie kilkoma monetami w kieszeni. Widziała małe drewniane figurki stojące na stole starej Yvette. Nie miała wątpliwości, kto je zrobił.

Nagle jak błysk przeniknęło ją uczucie, którego zabraniały jej stan i złożone śluby. Natychmiast zdławiła je modlitwą; jej mokre palce pomknęły po paciorkach różańca. W jej życiu już nigdy nie miało zaistnieć nic ponad miłość bliźniego.

Nigdy więcej.

# Rozdział XIV

Rosja, Sankt Petersburg,

14 listopada 2004, godz. 10:33

Przy śniadaniu Anatol podsunął Erykowi wydruk. Von Kastell kazał powiększyć zdjęcia medalionu.

- Czego się pan o tym dowiedział, Anatolu? Ach, proszę pozwolić mi samemu zobaczyć - stwierdził Eryk, odłożył croissanta i sięgnął po papier. Przez chwilę oglądał powiększenie i przetłumaczył: *Boski Lycáon, król Arkadii, władca wszystkich wilków*, Anatol włączył się i wskazał na sygnatury.

- Prawdopodobnie te rysunki to symbole Arkadii: flet to fletnia boga Pana, rzeką musi być Styks, który podobno płynął przez Arkadię, a góry oznaczają dominujący tam krajobraz.

Eryk otarł serwetką okulary, przyjrzał się z bliska wizerunkowi medalionu i dopisał na zdjęciu tłumaczenie.

- Lycáon i Arkadia, no, no. - Potem odwrócił się ku otwartym drzwiom, nim Lena zdołała zapukać. Poznał już jej woń. Żadnych perfum, jej własny, podniecający, cudowny zapach. - Proszę, niech pani wejdzie.

- Śniadanie już czeka - dodał uprzejmie Anatol. Mężczyźni wstali, gdy podeszła do stołu i usiadła.

W za dużym szlafroku wyglądała jak mała dziewczynka. Mokre włosy związała po prostu gumką w koński ogon, widać było, że pod szlafrokiem jest naga. Pachniała świeżym praniem, a mimo to sobą samą.

- Dzień dobry - podziękowała Anatolowi skinieniem głowy. - Marzyłam, że obudzę się dziś i stwierdzę, że to był sen - powiedziała, zwracając się do Eryka. - Ale ból w plecach niezwłocznie przywrócił mnie do rzeczywistości. - Wzięła łyka kawy, jej wzrok padł przy tym na blat stołu. - Lycáon?

Eryk sięgnął do kieszeni spodni i położył amulet na talerzu.

- Znalazłem to u jednego z zamaskowanych. Anatol był tak uprzejmy i zbadał sprawę. - Nabrał trochę tataru. - Zna pani tę legendę?

- Król został zmieniony w wilka przez Zeusa - w zamyśleniu powiedziała Lena.

- Chce pani na śniadanie trochę mitów? - Eryk doprawił tatarą odrobiną soli, niemal nie dodając pieprzu. - Lycáon był tyranem opętany manią wielkości, pozbawionym wszelkiego respektu dla bogów i sam nazywał się wilkiem. Zeus wezwał go do siebie, ale Lycáon wyśmiewał się z niego i żądał dowodu, że ma przed sobą boga: chciał zabić Zeusa i gdyby ten przeżył, król miałby pewność, że rozmawia z ojcem bogów. Na ostatni posiłek Lycáon podał mu swego własnoręcznie zabitego syna. Zeus rozpoznał ludzkie mięso i skazał króla na to, by od tej chwili został wilkiem wśród wilków. Jako opętany złem wilk musiał stale wędrować, nie mogąc ugasić pragnienia krwi.

Lena nasypała sobie do kawy cukru i wzdygnęła się na widok, jak Eryk, jakby komentując opowieść, zajada tatarą.

- Nie znałam tej całej historii.

- Wiara w wilkołaki ma związek zapewne również z ofiarami z ludzi. Podobno do czwartego wieku przed Chrystusem składano je ku czci króla wilków na szczycie góry o nazwie Lycáion. Stara legenda powiada, że kto spróbował ofiarnego mięsa, ten stawał się wilkiem i dopiero po dziesięciu latach odzyskiwał ludzką postać. - Eryk podsunął jej dżem. - Lubi pani słodkie śniadanie, prawda? - Skinieniem głowy podziękował Anatolowi i mężczyzna wyszedł z pokoju.

- Ser i dżem. Razem - oznajmiła. - Nie ma nic lepszego. - Obłożyła bułkę oryginalną kompozycją. - Teraz, kiedy pan i wczorajszy dzień sprawiliście, że wierzę w wilkołaki... proszę opowiedzieć mi o nich więcej.

- Jest pani pewna, że chce się pani tego dowiedzieć, Leno?

- Całkowicie pewna.

Eryk otarł kąciki ust. Rzadko miał okazję dzielić się swoją wiedzą.

- Jak już powiedziałem, początki wiary w wilkołaki datują się tysiące lat wstecz. W niemal wszystkich kulturach w dziejach świata znajdzie pani opowieści o przemianach ludzi w zwierzęta albo rysunki istot będących mieszanką ludzi i zwierząt. Zaczyna się to w epoce kamiennej, gdy szamani w stosownym przebraniu wzywali ducha łownej zwierzyny. Do dziś robią to Inuici i plemiona indiańskie. - Opadł na oparcie krzesła, sięgnął po filiżankę i wyjrzał z okna na dachy Petersburga. - Historyk Herodot opisuje ludy, które zmieniały się w wilki. Odyn według mitologii nordyckiej ma przy sobie swoje wilki Geri i Freki. Również dawni Germanowie znali wilkołaki. Podczas wykopalisk z epoki kamiennej w Szwabskiej Jurze znaleziono statuetkę zwierzo-człowieka sprzed trzydziestu do czterdziestu tysięcy lat.

- Jaki z tego wniosek?

- Że wilkołaki są co najmniej tak samo stare jak ludzkość?

- Ale skąd pochodzą?

- Na to nie umiem odpowiedzieć. Faktem jest, że istnieją i że po prześladowaniach w średniowieczu żyją głównie w ukryciu. W Szwajcarii, Południowej Francji, Alpach Francuskich, Dauphine, w Savoyen, w Burgundii i w Lotaryngii w piętnastym i szesnastym wieku tępiono je przy okazji procesów czarownic. Jeśli wierzyć starym zapiskom, w szesnastym wieku w Prusach, Liwonii i na Litwie wilkołaki wyrządziły więcej szkód niż zwykłe wilki. Przez to umieszczono je na liście do odstrzału, aż w dziewiętnastym wieku zainteresowanie nimi zmalało, a w dwudziestym już niemal nikt w nie nie wierzy. Piękny, nowoczesny, racjonalny świat. To im ułatwia życie.

- Były procesy? - Lena ledwie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Jasne. Na przykład sprawa Steffena Klöne, straconego w 1590 w Dorset. Wskazał sądowi jeszcze dwóch innych mężczyzn, którzy przemieniali się razem z nim. Do przemiany używali oprócz zwierzęcej skóry również liny, wielokrotnie opasanej wokół ciała. - Eryk zastanowił się. - Zapomniałem kilku niezbyt pięknych szczegółów. Dawniej znałem się na tym lepiej, a mój ojciec potrafiłby powtórzyć pani z pamięci wszystkie akta procesów. Dobrze, większość zeznań uzyskano przez tortury, dlatego dziś zakłada się, że wówczas musieli umierać niewinni. Wielokroć zresztą tak się zdarzało. Ale jeśli potrafi się prawidłowo odczytać zachowane protokoły, wówczas widać, że schwytano również setki przemieńców. - Odstawił filiżankę. - Chciałbym pani coś pokazać. - Zniknął i po chwili wrócił z segregatorem, otworzył go i położył przed nią. - To miła kolekcja. Proszę poczytać, jeśli oczywiście ma pani ochotę.

Eryk usiadł z powrotem na miejsce. Gdy Lena zaczęła kartkować, sięgnął po kartkę i ołówek. Przyjrzał jej się dokładnie, później rysik śmignął po papierze.

Lena zatrzymała się na sprawie dotyczącej wydarzeń w 1598 w pobliżu Paderborn. Staroświecka niemczyzna sprawiała jej przy czytaniu problemy, ale mimo to zrozumiała zawartość sprawy. Mężczyzna, któremu udowodniono, że używając paska, przemienia się w wilkołaka, został okrutnie stracony: za życia rozcięto mu brzuch, wyjęto serce i wetknięto je do ust. Ciało podzielono na cztery części i spalono na popiół. Z głową mieszkańcy Paderborn zrobili coś „specjalnego”. Upekli ją na ruszcie, na żelaznym pręcie z napisem „Przykład obrzydlistwa” umieścili ją na kole, a pod spodem zamocowali drewnianego wilka.

Lena żuła wolniej, odwracała stronę po stronie i nie mogła uwierzyć w to, co dawniej działo się w Europie. Często zapadały wyroki na pasterzy, chorych umysłowo albo żebraków, rzadko na szanowanych członków społeczeństwa. Nasuwało to podejrzenie, że procesy były

jedynie sposobem na usunięcie niewygodnych, pozbawionych praw ludzi. Jeszcze bardziej przerażające jednak od zapisków na temat procesów i egzekucji były opisy makabrycznych czynów, które zarzucano bestiom.

- Czemu zabijają ludzi? - spytała po przeczytaniu opisu regularnej masakry. - Tak, wiem, na Lycáonie ciążyła klątwa Zeusa... ale mówimy o stworzeniach takich jak Nadolny, o prawdziwych przemieńcach. Czemu nienawidzą ludzi?

Eryk rysował dalej i zastanawiał się długo, nim odpowiedział:

- To niekoniecznie jest nienawiść. W rzeczywistości motywem jest głód. Mówiąc szczerze, większości z nich nie uważam za z gruntu złe, podobnie jak nie można czynić zarzutów drapieżnikowi, że ulega instynktowi i zabija. Ale to są drapieżniki zagrażające głównie ludziom. Do tego mogą zarażać niewinnych, więc zasługują na śmierć.

- Prosty rachunek - powiedziała, a w jej głosie pobrzmiewał sarkazm. Jako badaczka wilków bardzo dobrze знаła tę radykalną argumentację. Niejeden raz dyskutowała z pasterzami, którzy na własną rękę wyruszali z bronią na wilki, choć było to zabronione. Parząc trzeźwo, większość z nich traciła więcej zwierząt przez wypadki niż przez ataki wilków. Lena przyłapała się na tym, że odczuwa dla przemieńców niemal sympatię... ale właśnie tylko niemal.

- Nie lubię ich zabijać - wybuchnął Eryk. - Ale co mam robić? Rozmawiać z nimi i grzecznie prosić, żeby przestały pożerać ludzi i rozprzestrzeniać klątwę? - Jego reakcja wypadła gwałtowniej, niż zamierzał. - Chciałbym zobaczyć taką klinikę odwykową, w której bestie uczą się, jak przestawić się na warzywa!

- Ale sam pan mówi, że nie wszystkie są złe...

- Nie zawsze - Eryk westchnął i zmusił się do spokoju. Nagle zatęsknił za swoimi kroplami. - Jeśli zajęłaby się pani bliżej mitologią różnych krajów, zobaczyłaby pani, że w niektórych kręgach kulturowych przemienie są nawet czczone jako święte i na wskroś dobre istoty.

Lena dołała sobie kawy.

- Spotkał pan kiedyś takiego miłego przemieńca?

- Nic mi o tym nie wiadomo - zwlekał. - Ja... ja się nie zastanawiam, gdy zaatakuję mnie któraś z tych bestii. Nie ma pluszowych wilkołaczków. - Na chwilę zapadło między nimi kłopotliwe milczenie. W końcu Eryk przerwał ciszę. - Ale wracając do pani pytania o ludzi-morskie świnki: podobno istnieją nieszkodliwe likantropy, przemieniające się w sarny albo słonie morskie...

Lena parsknęła, wypluwając z ust kawę.



- Słonie morskie?

- Słonie morskie - potwierdził z udawaną powagą. Jak urzeczony śledził wzrokiem drogę czarnej kropli, gdy spływała wzdłuż szyi kobiety, pod płaszcz kąpielowy. Zazdrościł jej. - Zmieniają się w morskie słonie. Ale takich jeszcze nie spotkałem. Zawsze spotykam tylko najgorsze z nich.

- Zabiłby pan człowieka-słonia morskiego?

Nie zawahał się, gdy odpowiadał:

- Tak.

- Dlaczego?

- Mógłby zaatakować łódź wycieczkową.

Lena z niedowierzaniem wbiła w niego wzrok i dopiero po pięciu sekundach zauważyła, że ją nabiera. Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, a Eryk uśmiechnął się zadowolony.

- Z nieszkodliwymi wilkołakami, o ile istnieją, zapewne nie miałbym problemu. Ale ja zawsze spotykam zepsute na wskroś, spragnione tylko coraz większego okrucieństwa. Kochają rozszarpać ludzi, nawet wtedy, gdy nie włada nimi głód. Można powiedzieć, prawdziwi psychopaci wśród przemieńców. Nie mam dla nich współczucia. - Odłożył kartkę i ołówek.

- To właśnie miał pan na myśli, gdy mówił, że jedno z tych stworzeń nie popełnia błędów. - Domyśliła się, rozkoszując się słodko-pikantnym smakiem goudy i konfitur truskawkowych na języku.

Eryk z milczącym szacunkiem docenił jej spostrzegawczość.

- Tak, ma pani rację. Ten przemieniec to hybryda, bękart, skrzyżowanie różnych odmian. Panuje nad popędem i potrafi go wykorzystać. Może być pani pewna, że również człowiek, w którym tkwi, jest prawdziwą bestią: bezwzględny, okrutny, gotowy na wszystko. Polowanie na to stworzenie ma najwyższy priorytet ze wszystkich.

- I tym pańska rodzina zajmuje się od dwustu lat?

- Tak.

Milczała przez chwilę.

- Czy oprócz was są jeszcze inni myśliwi?

Eryk nieco przekrzywił głowę.

- Moja rodzina od lat była raczej sama, pomijając kilku wtajemniczonych wiernych pomocników. Możliwe jednak, że istnieje więcej ludzi takich jak ja. Nie spotkałem jeszcze żadnego.

Lena z trudem przełknęła. Dostrzegła w oczach Eryka wielką melancholię, samotność,

jakiej nie widziała jeszcze u żadnego człowieka.

- Wasza praca... wasze zadanie izoluje pana dosyć.

Oblizął zęby i odgarnął z czoła czarny kosmyk, kołyszący się za lewym szkłem okularów i przeszkadzający mu patrzeć.

- Pani jest pierwszą kobietą, która widzi, jak jem śniadanie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Trudno jest znaleźć kogoś, kto miałby zrozumienie dla tego, że jest się stale w podróży i strzela do pozornie nieszkodliwych ludzi.

- Nieszkodliwych...?

- Proszę sobie przypomnieć, Leno. Widziała pani na podłodze zastrzelonego Nadolnego, a nie wilkołaka. Bestia znika, gdy ludzka dusza... odchodzi do nieba.

- Wierzy pan, że dusza mordercy może iść do nieba? - spytała sceptycznie Lena.

- Tak to sobie wyjaśniam - głos Eryka brzmiał tak, jakby się tłumaczył - by znaleźć w tym przynajmniej coś pocieszającego. - Oparł się. - Za życia mogą się przemieniać, kiedy zechcą. Tylko pełnia księżycy zmusza ich, by podczas trzech kolejnych nocy przyjmowali postać wilka. To godziny prawdy, których się boją i które kochają. Generalnie wolą włóczyć się w postaci zwierzęcej, ale gdy dojdzie do walki, wielu z nich zmienia się w stadium pośrednie. W ten sposób mają więcej możliwości ataku i obrony. I łatwo przestraszyć niedoświadczonego przeciwnika samym widokiem.

Lena przytaknęła.

- Och, *to* mogę zrozumieć! Myślałam, że serce mi stanie, gdy zobaczyłam przed sobą potwora.

Eryk uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Widziałem postawnych mężczyzn, jak mdleli, inni posrali się w gacie, jeszcze inni znów od razu wpadali w obłąd. - Podniósł się. - A teraz proszę mi wybaczyć, Leno. Wyjeżdżam. Anatolowi poleciłem zawieźć panią w każde miejsce, które pani wskaże.

- A pan? - wyrwało jej się szybko.

- Muszę wyjechać.

- Leci pan do Plitvic, mam rację?

- Nie - skłamał bez skrępowań.

- To niech się pan pospieszy i szybko tam dotrze. - Lena przełknęła ostatni kęs i popiła go kawą. Było w tym jakieś zdecydowanie. Wzięła łyk kawy, jak inni piją wódkę: głowa na kark i do gardła. To był symboliczny wykrzyknik po jej słowach. - Ja też jadę do parku narodowego. Ciekawa jestem, co tam znajdę.

- Nie zrobi pani tego - powiedział z groźbą w głosie. - Dokładnie pani wie, co żyje w tych lasach.

Wstała i ciasniej otuliła się kołnierzem szlafroka, nie chcąc pokazywać mu za dużo ciała.

- Polecił pan Anatolowi zawieźć mnie w każde miejsce, jakie wskażę - przypomniała mu i uśmiechnęła się wojowniczo. Dawid pokazał zęby Goliatowi, pomimo że nie miał przy sobie żadnego kamienia. - Po pierwsze, jestem badaczką wilków i socjobiologiem, Eryku. Zatem takie istoty są dla mnie niezwykle interesujące z naukowego punktu widzenia. Po drugie, z powodu tych stworzeń zostałam niemal zastrzelona przez grupę tropiącą wilkołaki. To bardzo dobre powody, by bliżej zająć się tym tematem. To tak, jakbym odkryła potwora z Loch Ness. *Naprawdę odkryła!* - Rzuciła okiem na rysunek. Była to płatanina krótkich linii, nakreślonych czasem bliżej, a czasem dalej jedna od drugiej. Jak na najeżonym, awangardowym obrazie z gwoździ układały się we wzór: jej twarz!

Eryk zastanawiał się już, czy dobrym pomysłem było obdarzanie Leny takim zaufaniem. Nienawidził działania uczuć, do których nie nawykł. Sprawiały, że stawał się ufny i ślepy; a przecież w ogóle jej nie znał.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani pisać o tym dysertacji? - spytał pół żartem, pół serio.

Minęła go, idąc do drzwi.

- A cóż byłoby w tym złego?

- Nikt by pani nie uwierzył. Straciłaby pani reputację.

- Mam bardzo dobre zdjęcie. A kiedy wrócę z Plitvic, będę z pewnością miała jeszcze więcej dowodów.

Palce Eryka błyskawicznie zacisnęły się na jej ramieniu. Szarpnął Lenę.

- Proszę tego nie robić. - Twarz mu spochmurniała. Całą uwagę przyciągały teraz jego oczy, zdające się świecić od wewnątrz. - To spowodowałoby katastrofę - powiedział. - Niektóre przemienie ujawniłyby się, stowarzyszyły i były uwielbiane przez jakichś świrów; inne ukryłyby się jeszcze lepiej i wysyłały swoich sługusów, wykorzystując swoją moc. Przestraszona większość ludzi próbowałaby zabić wszystkie wilkołaki. To nic innego jak wypowiedzenie wojny. I proszę mi wierzyć, ludzie-zwierzęta podjęliby wyzwanie i pokonaliby ludzi.

Lena patrzyła na jego palce, boleśnie wbijające się jej w ramię. Żelazna klamra nie trzymałaby lepiej.

- Postrzega pan wszystko w zbyt czarnych barwach, Eryku.

- Nie. To byłby koniec ludzkości.

- Zapewne nie ma aż tak wielu przemieńców. Poza tym w średniowieczu już raz je przetrzebiono. Sam pan to powiedział. - Odwróciła się. - Proszę mnie puścić. Sprawia mi pan ból.

Nie przeszło mu nawet przez myśl, by zluzować uchwyt.

- Nie dadzą sobie zrobić tego jeszcze raz. Nie mamy już do czynienia z dzikimi pasterzami ani ogarniętymi żądzą władzy mieszczanami. Zdziwiłaby się pani, gdyby wiedziała, jak wielu groźnych przestępców i menadżerów pokazuje swoje prawdziwe oblicze tylko przy pełni księżyca. Jak wielu polityków może być wśród nich. Wilkołaki nigdy nie były potężniejsze niż dzisiaj. Kiedy poczują się zagrożone, kontrolę nad nimi przejmuje tkwiące w nich zwierzę. Zaczną gryźć i rozsiewać wirusa. Wkrótce będzie się od nich aż roiło. A dlaczego? - Ucisk jego palców wzmógł się. - Bo badaczka wilków i socjobiolożka Magdalena Heruka zapragnęła zdobyć nagrodę.

Lenie odjęło mowę. Dzikość w oczach Eryka i jego siła zmusiły ją do milczenia. Powoli zaczęły kiełkować w niej zarodki trwogi, a zarazem fascynacji.

Eryk uświadomił sobie, że napędził jej stracha i wreszcie ją puścił.

- Proszę mi wierzyć, lepiej, gdy nienawiść przemieńców skupia się na mnie niż na pozostałych sześciu miliardach ludzi. - Szybko przeszedł obok niej. - Wezmę panią z sobą do Plitvic. Wtedy przynajmniej będę mógł na panią uważać - powiedział od progu. - Proszę podać Anatolowi swój rozmiar. Załatwi dla pani jakieś odpowiednie ubrania.

Lena zobaczyła, jak Eryk bezgłośnie znika za drzwiami, kiedy lewą dłonią rozcierała pulsujące ramię. Spojrzenie w osobliwe oczy mężczyzny poruszyło jej duszę, zmaćliło uczucia i wpędziło w zamyślenie. Czowała się... niepewna.

Nie było lepiej, gdy trzy godziny później siedzieli w samolocie do Zagrzebia.

# Rozdział XV

11 lipca 1765, okolice Auvers,  
klasztor Saint Grégoire, Południowa Francja

Jean Chastel nie mógł uwierzyć, że naprawdę to zrobił: dobrowolnie przyszedł w to miejsce, które nie tak dawno nazwał karcerem dla mniszek.

Oczywiście miał powód do wizyty w Saint Grégoire - musiał dowiedzieć się, czy Antoine nadal potajemnie czyha pod klasztorem. To ważne. Ale przecież Jean przeczuwał, że istnieje jeszcze inna przyczyna, dla której nie odczuwa już takiej niechęci na myśl o spotkaniu z przeoryszą - coś, czego nie chciał przyznać nawet sam przed sobą.

Czekał we wnętrzu klasztornych zabudowań, przy przysadzistym kamiennym domku dla pielgrzymów i gości. Do niego przylegała mała serowarnia, jak poznał to po unoszącym się z wąskich okienek zapachu. Na pierwszym piętrze znajdował się skromny warsztat siostr, gdzie na własny użytek tkwały i szyły. Słyszał brzęk nożyc, terkot kołowrotek i widział, jak kilka zakonnice wynosi wielkie szpule przędzy.

Mimo ożywionej krzątania panującej za murami, Jean czuł tu jakiś spokój, który ogarnął również i jego. Przesunął wzrokiem po imponującym klasztornej kościele z drogą krzyżową. Pozostałe budynki wzniesiono wokół niego.

- *Monsieur?* - Nie zauważył, gdy podeszła do niego zakonnica. - Mam zaprowadzić was do wielebnej przeoryszy.

Poszedł za nią wzdłuż dużego ziołowego ogrodu do stojącego osobno, nieco oddalonego od dormitorium domu. Siostra wprowadziła go do pracowni i poprosiła, aby zaczekał.

Na regałach z jasnego brzozonego drewna stało mnóstwo książek. Wnioskując z umieszczonych na grzbietach skrótów, były to gospodarcze księgi klasztoru. Liczby na grzbietach sięgały ponad czterysta lat wstecz. Zakonnice najwyraźniej zadały sobie trud odpisania starych zapisków, by zbiór dokumentów był kompletny.

Jean, chodząc po izbie, zauważył, że na nagich, szarych ścianach nie ma żadnej świeckiej ozdoby. Jednobarwną monotonię granitów łamały jedynie wielki krucyfiks, obraz świętego Gregoriusa i figurka Marii.

Na stole przeoryszy leżały przybory do pisania oraz z wielką pedanterią poczynione notatki. Widział liczby wskazujące na ilość zużycia przedzdy, sprzedaży sera i otwarty kalendarz, w którym zaznaczono dzień 24 maja.

To wzbudziło jego ciekawość.

Wizyta na jarmarku... czy atak?

Jean nasłuchiwał kroków. Zastanawiał się, czy może zaryzykować bliższe przyjrzenie się notatkom. Okrążył stół i kartkował stronicę.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczył starannie zaznaczone wszystkie dni, kiedy miały miejsce ataki bestii. Naniesiono nawet nazwy miejscowości, w których doszło do tragedii. Również ostatnie ataki z 1 czerwca.

Czemu ona tak się tym interesuje?

Jean przypomniał sobie nagle, jak spotkali się po raz pierwszy. W lesie pod Viviers, tuż przed śmiercią loup-garou i pojawieniem się drugiego stwora. A potem była też w Malzieu...

Czyżby wiedziała coś o wilkołaku, na którego polują?

Jeana ogarnęło straszne podejrzenie. Podeszedł do okna, z którego widać było ziołowy ogródek. Jako leśniczy znał rośliny rosnące w lesie. Próbował przypomnieć sobie, jakie zioła przeorysza miała wtedy w koszyku... i zaskoczony rozpoznał je na starannie pielęgnowanych grządkach. Ale skoro było ich dość w Saint Grégoire, dlaczego Gregoria wybrała się na uciążliwą wędrowkę po leśnej głuszy? Do tego sama?

Przerwano mu rozważania. Drzwi za jego plecami otwały się. Jean odwrócił się. Zobaczył wchodzącą Gregorię. Jej twarz błyszczała od potu, a na ciemnym habicie widać było czarne plamy.

- Bądźcie pozdrowieni, *monsieur* Chastel. - Umyła dłonie w stojącej z boku glinianej misie. - Byłam w polu, chwastom trzeba pokazać, gdzie ich miejsce. Tylko Pan wie, czemu pozwala im bujnie rosnąć tam, gdzie uprawiamy nasze owoce. - Osuszyła dłonie. - Odnoszę wrażenie, że jesteście nieco zdziwieni, *monsieur*. W naszym zakonie obowiązuje *Ora et labora*: Módl się i pracuj. Próżnowanie i zbijanie bąków jest mi obce.

Usiadła przy stole, zmarszczyła czoło, widząc, że jej kalendarz leży otwarty na 1 czerwca, i szybko schowała go do szuflady. Nie zauważyła, że wypadła z niego brudna karteczka i wylądowała na podłodze pod krzesłem.

- W czym mogę wam pomóc, *monsieur*? Jeśli szukacie swojej bestii, tu jej nie ma.

- Jesteście pewni? - odpowiedź wymknęła mu się, nim zdołał ugryźć się w język; Jean pośpiesznie zdjął z głowy trójgraniasty kapelusz, by odwrócić uwagę od swych słów. Mimo to zauważył, że Gregoria niedostrzegalnie zadrzała; jedną dłoń położyła na różańcu

zawieszonym na szyi. - Nie, nie jestem na polowaniu. To z powodu Antoine'a. Chciałem dowiedzieć się, czy od czasu naszej rozmowy w Malzieu znów się tu kręcił?

Przyjaźnie skinęła głową.

- Dziękuję za troskę. Nie, nie widziałam już ani jego samego, ani jego psa. To dla mnie wielka ulga, a Florence na szczęście nie zauważyła jego potajemnych podchodów. To... to by ją bardzo przestraszyło.

Jeanowi zdawało się, że częściowo wyzbyła się swej dawnej arogancji. Teraz jego kolej na zrobienie kroku w jej stronę.

- Chciałem jeszcze raz podziękować za wskazówkę co do Dennevalów.

- Moim zdaniem dobrze się stało, żeście się o tym dowiedzieli. Jeśli Normanowie żywią jakieś podejrzenia, powinni wam o nich głośno powiedzieć, a nie postępować jak szpicle i łajdaki.

Przypomniały mu się słowa Mołdawianina o Florence.

- Skoro już mówimy o pytaniach i otwartości: skąd właściwie pochodzi wasza wychowanica?

- Skąd ta ciekawość, *monsieur*?

- Moi synowie ulegli jej wdziękowi, jak się wydaje. Czy nie mam prawa dowiedzieć się o niej więcej? A może to tajemnica?

Gregoria złożyła dłonie.

- Nie wiemy. Pewnej nocy przed naszą furką ktoś zostawił ją w koszyku - powiedziała po chwili. - Nie znalazłyśmy niczego, co wskazywałoby na jej pochodzenie, ale sakiewka złotych monet i regularne coroczne wpłaty, które klasztor otrzymuje przez posłańca, wykluczają możliwość, że chodzi tu o córkę jakiegoś wieśniaka. - Szaro-brązowe oczy wymogły na nim milczącą obietnicę, że nie opowie nikomu tej historii.

Jej zaufanie ucieszyło go.

- Rozumiem.

Florence zapewne była nieślubnym dzieckiem jakiegoś szlachcica, który nie chcąc zabijać noworodka, wołał go oddać.

- *Monsieur* Chastel, czy zechcielibyście na chwilę usiąść? - zaproponowała przeorysza. Skinął głową i usiadł naprzeciw niej, nie odstawiając jednak muszkietu. Trzymał go pionowo, obejmując dłonią lufę, jak król trzyma berło.

- Przed kaplicą nie widziałam niestety również Pierre'a - powiedziała Gregoria i zaproponowała leśniczemu trochę wody, którą przyjął z wdzięcznością. - Miałam wrażenie, że on w przeciwieństwie do was nie odrzuca Boga i Kościoła. Czyście zbałamucili chłopcu

sumienie i jemu też zabronili przychodzić do Saint Grégoire? Uważam, że byłoby to wielką szkodą. Bóg chętnie daje posłuch modlitwom wznoszonym w jego domach.

- Bóg? - parsknął Jean, dla którego ta rozmowa groziła zwrotem na zbyt chrześcijańskie tematy. - Ja już załatwiłem swoje sprawy z Bogiem.

Spojrzała mu w oczy. Przyjaźnie, a zarazem badawczo, jakby potrafiła w nich czytać.

- Dlaczego, *monsieur* Chastel? - Pochyliła się ku niemu. - Pomińmy na razie *prêtre* Fricka. Zadałam wam to pytanie już w Malzieu, nim nam przerwano. Bóg nikomu nic nie robi.

Zagryzł zęby.

- Właśnie - powiedział wzgardliwie. - Bóg nikomu nic nie robi, również nic dobrego. Inaczej jak mógłby dopuścić... - przerwał.

- Jak mógł dopuścić do czego, *monsieur* Chastel?

- Nie. Zostawcie to. - Jean pokręcił głową, broniąc się wewnętrznym przed obnażeniem przed nią swoich wątpliwości. Coś jednak sprawiło, że mówił dalej. Od czasu ich rozmowy w Saugues nie stawiał przeoryszy na równym stopniu z innymi przedstawicielami Kościoła. - Naprawdę chcecie to wiedzieć? Cóż, trudno jest wierzyć w Boga Miłości, gdy dzień w dzień widzi się niesprawiedliwość, przeciw której on nic nie robi. Gdzie podziewa się Bóg Sprawiedliwości, gdy się go potrzebuje? Kiedy karze chciwych i fałszywych? Jaki świat ma z niego pożytek, jeśli on sądzi w zaświatach, a nie na ziemi? - Choć w rzeczywistości tego nie chciał, jego ton zabrzmiał dość wrogo. - Głosicie jego słowo, przeoryszo. Jak udaje się wam wierzyć w to, co opowiadacie ludziom? - Wskazał za okno. - Znaście Fricka. Widzieliście, jak dostatnio mieszka on i klechy? Jakie bogactwa nagromadzili i jak domagają się od wieśniaków darów dla Kościoła, zbierają dziesięcinę, żeby samym sobie napełniać stodoły i strychy? - Teraz on pochylił się w przód, a jego mocna dłoń uderzyła w strony księgi. - A jak jest w waszym klasztorze? Co się dzieje z pieniędzmi, które zbieracie? Gromadzicie luidory w klasztornej kościele, czy nosicie bieliznę tkaną ze złota?

Gregoria zachowała spokój. Osiągnęła już prawie to, co zamierzała, a głośny wybuch świadczył o tym, że ugodziła go głębiej niż jakikolwiek duchowny wcześniej. Słyszała w jego głosie smutek i zgorzknienie. Gniew na zachowanie i sposób życia niektórych duchownych to tylko pretekst. Było jeszcze coś. Jakieś szczególne wydarzenie w jego życiu, które sprawiło, że odwrócił się od krzyża.

- Mówiliście, że pielęnowaliście waszą małżonkę. Potem ona umarła, choć wyście błagali Boga, by ją uzdrowił i wspierał w chorobie - powiedziała cicho i ze współczuciem, kładąc przy tym lewą dłoń na jego dłoni, wciąż spoczywającej na księdze.



Jean milczał. Zagryzł zęby, ale nie mógł zapobiec temu, że gniew i wzburzenie minęły mu, jak ręką odjął.

- Ona... ona przez cały rok leżała w gorączce - wyszeptał wreszcie. Był bardzo poruszony tym, że wstrząsające wspomnienie, które głęboko zagrzebał w pamięci, wypłynęło na powierzchnię i ożyło. - Z dumnej, podziwianej kobiety, która urodziła mi dzieci i żyła w niczym niezmaconej wierze w Boga, pozostał jedynie cień. W tym czasie roilo się u nas od klechów wznoszących modły i wstawiennictwa, póki dawałem im dość liwrow. - Miał wilgotne oczy.

Gregoria patrzyła wzruszona, jak po zwykle skrzywionej twarzy mężczyzny powoli spływają łzy. Widząc jego nieukojone cierpienie, poczuła prawdziwe współczucie.

Jean z trudem próbował opanować płacz.

- Gdy pieniądze się skończyły, nikt z wielebnego duchowieństwa już się nie pokazał. Również Bóg, do którego modliła się codziennie, milczał. Anne... ona zmarła o wiele za młodo, a moi synowie i ja zostaliśmy sami. - To było ostatnie zdanie, jakie zdołał wypowiedzieć łamiącym się głosem. Potem zapłakał jak małe dziecko.

Gregoria w pierwszej chwili nie wiedziała, co zrobić. Ten szorstki, odpychający Jean Chastel, zawsze mający w sobie coś majestatycznego i silnego, teraz łkał! Jego obraz, jaki sobie wykształciła, znów uległ zmianie.

Ociągając się, wstała, podeszła do niego, pocieszająco przytuliła jego głowę do brzucha i delikatnie głaskała po włosach. Przeczynała, że od lat nikomu tak się nie zwierzał. Może zrobił to pierwszy raz od śmierci żony.

Jean upuścił muszkiet, objął silnymi ramionami jej ciało, szukając w nim ukojenia i ciepła.

Gregoria przestraszyła się. Od dawna nie dotykał jej tak żaden mężczyzna. Bliskość Chastela obudziła w niej wspomnienia dawnego życia. Wspomnienia, których nie przywoływała już od wielu lat.

- *Monsieur Chastel...* - Próbowała oswobodzić się z jego objęć.

- Gdy Antoine wrócił z obczyzny i jego... jego skłonności przybrały na sile, klechy powiedziały, że Pan wystawia mnie na próbę - szlochał w jej łono. - *Próbe!* Czy naprawdę moi synowie i ja potrzebujemy więcej prób? - Patrzył ku niej w górę nieobecny wzrokiem. Oczy miał wilgotne i czerwone od płaczu. - Rozumiecie, że nie potrzebuję takiego Boga? - wyszeptał.

Nagle uświadomił sobie, kogo obejmuje. Przestraszony, cofnął się.

- Wybaczcie. Nie byłem... - Opadł na oparcie krzesła, nadal drżąc pod naporem tego, co

po wieloletnim tłumieniu wyrwało się z jego wnętrza. - Nie byłem sobą.

Gregoria musiała głęboko odetchnąć. Kiedy Jean trzymał ją w objęciach, nie mogła nabrać powietrza. A może powodem była bliskość mężczyzny? Oparła się o biurko.

- Nie, *monsieur* Chastel - odezwała się, jękając się. Miała nadzieję, że walące dziko serce uspokoi się wreszcie. - Byliście po prostu sobą i nareszcie powiedzieliście wszystko, co ciążyło waszej duszy. Ja...

Nastąpiło dziwne milczenie.

Gdy dźwięcznie i głośno zabiły dzwony klasztornej kościoła, oboje wzdrygnęli się, niczym przyłapani na gorącym uczynku grzesznicy.

- Muszę iść na południową modlitwę - przeprosiła Gregoria, umknęła przed spojrzeniem Jeana i pośpiesznie poszła do drzwi. - Gdybyście chcieli porozmawiać o waszych troskach... Wiecie, gdzie mnie znaleźć. Niech Pan was prowadzi i pozwoli wam odkryć prawdę - dodała, po czym zniknęła za drzwiami.

Uczucie oszołomienia opuściło Jeana, obrazy przeszłości pobladły znacznie i utraciły na sile. Odetchnął głęboko. Poczł ogromną ulgę. Dobrze mu zrobiła rozmowa z przeoryszą. Podniósł muszkiet i trójganiasty kapelusz, jego spojrzenie padło na plac. Dostrzegł przez okno, jak Gregoria biegnie długimi krokami. Przypomniał sobie, jak przed chwilą ją obejmował.

*Co się ze mną dzieje? Co ten klasztor robi z moim rozumem?*

Gdy Jean ruszył do wyjścia, przypomniała mu się karteczka, która wypadła z kalendarza Gregorii. Pochylił się, by ją podnieść i położyć na stół. Kartka samoczynnie się otwarła.

Jean dobrze znał odręczne pismo i skreślone na papierze słowa.

Było to odpis tej samej receptury, za którą zapłacił mnóstwo pieniędzy.

# Rozdział XVI

Węgry, Budapeszt,

15 listopada 2004, godz. 18:43

Eryk i Lena utknęli w Budapeszcie. Przyczyny po temu były rozmaite, poczynając od złej pogody, poprzez strajk nawigatorów lotniczych, a skończywszy na solidnym przeziębieniu, jakie złapała badaczka wilków, a które wymagało leczenia.

Eryk wynajął dla nich podwójny pokój w przyjemnym hotelu w węgierskiej stolicy po stronie Pesztu i wyruszył do miasta, żeby kupić dla Leny lekarstwa. Poza tym potrzebował świeżego powietrza, by przemyśleć całą sytuację.

Spacer przez ośnieżone, gęsto obsadzone drzewami bulwary i rozległe place Pesztu zrobił na Eryku wrażenie, a to nie było łatwe. Zbyt często bywał w różnych obcych miastach.

To płaskie wschodnie wybrzeże Dunaju urzekło mnogością wspaniałych kawiarni, *Kávéház*. Niektóre cieszyły się ogromną sławą; wśród nich *Gerbeaud*, w której nadal panowała atmosfera XIX stulecia. Eryk patrzył przez witrynę na eleganckie wnętrza. Podobały się one już cesarzowej Sissi, choć Eryk wątpił, czy przy swojej szczupłej figurze naprawdę próbowała któregoś z pysznych ciast.

Przechodząc, podziwiał *Erzsebet hid*, Most Elżbiety, jeden z sześciu mostów łączących Budę z Pesztem. W świetle reflektorów wyglądał imponująco, a zarazem majestatycznie; rzeczywistość bladła, budząc do życia przeszłość monarchii austro-węgierskiej. Przy odrobinie wyobraźni można było uznać za prawdziwe nawet sobowtóry Sissi, hostessy turystyki miejskiej, rozdające ulotki nielicznym znudzonym turystom, podobnie jak Eryk spacerującym na przekór sypiącemu śniegowi. Twarz jednego z takich sobowtórów przybrała w wewnętrznym oku Eryka rysy Leny. To go zirytowało. Kolejny dowód na to, że o wiele za często myśli o badaczce wilków, choć wciąż zbyt mało o niej wie.

Rozmyślania przerwało mu dzwonienie komórki, zgłaszającej się teraz melodią *Pszczółki Mai*. Eryk, jak zawsze na dźwięk tej melodii, mimowolnie się uśmiechnął. Coś, co ostatnio robił o wiele za rzadko.

Odebrał.

- Tak? - Jedna z jego pracowitych pszczołek przekazała mu dawno oczekiwane informacje.

- Halo, szefie. Tak na szybko niewiele się do tej pory zdołałam dowiedzieć, ale jej wersja dotychczasowego życia jak dotąd się zgadza. - Głos należał do hakerki komputerowej, której nigdy nie poznał osobiście i nie zamierzał poznawać. Wystarczyło, że za jego pieniądze robiła wszystko, o co poprosił. Legalnie i nielegalnie. Podała mu adres Leny. - Nie istnieją akta policyjne Magdaleny Heruki. Nie ma nawet wpisu w kartotece drogówki. Jej nazwisko pojawia się przy różnych publikacjach o zachowaniu wilków. Spotkałam też kilkakrotnie to nazwisko połączone z męskim imieniem. Ze zdjęcia wnioskuje, że chodzi o jej ojca, ale jeszcze to sprawdzę. Jeśli to on, stracił życie w pożarze drewnianej chaty w Destruction Bay, w Kanadzie. Matka mieszka w Berlinie.

- Jeszcze coś?

Hakerka przekazała mu wszystkie informacje, jakie miała, a Eryk ze szczególnym zadowoleniem usłyszał, że w życiu Leny nie ma żadnych śladów obecności mężczyzny.

- Skrzynka odbiorcza konta mailowego, które mi pan podał, była pusta. Ostatnia wiadomość pochodzi z pierwszego listopada. Potwierdzenie zlecenia z pewnego czasopisma o zwierzętach.

- Dobrze. Proszę informować mnie na bieżąco.

Eryk rozłączył się. Jego wzrok powędrował w stronę nieba. Odszukał księżyc, z każdym wieczorem coraz tłściejszy. Nadejdą ukochane i zatrważające noce prawdy, gdy tylko srebrna tarcza w pełni wytoczy się na firmament. Lodowate promienie strzelą ku ziemi i obedną bestie z ludzkiej skóry, w której nazbyt chętnie się ukrywają. Wilki w owczej skórze. To czas zawrotu głowy i polowania. Czas śmierci. Myśliwy wyczekiwał tych trzech nocy pełni uzbrojony po zęby, wyposażony w srebrne pociski, wykonane w oparciu o nowoczesne technologie, albo w zwykły srebrny nóż, zależnie od czasu i miejsca. I w gwizdki na psy. Gdyż, to Eryk wiedział z doświadczenia, znakomicie nadają się do drażnienia wilkołaków.

Rzecz musi być skończona przed 25 listopada. Nie miał ochoty przy pełni księżyca tkwić w jakimś wyludnionym parku narodowym, gdzie roi się od brunatnych niedźwiedzi, wilków i rysiów. Kto może wiedzieć, ilu jest wśród nich przemieńców, oprócz tego, którego szukali.

Eryk otrząsnął się z ponurych myśli i wszedł do apteki, w której grubawy, około sześćdziesięcioletni mężczyzna w białym fartuchu zabierał się właśnie do rozliczenia kasy.

- Rozumie mnie pan, proszę pana? - spytał po angielsku Eryk i w odpowiedzi zobaczył przyjazne kiwanie głową. - Dobrze. Potrzebuję środka na silną gripę. Dama ma dwadzieścia pięć lat, waży nieco poniżej siedemdziesięciu kilogramów i chciałaby jutro znów chodzić po

Budapeszcie i oglądać zabytki.

- Nie ma sprawy! - roześmiał się aptekarz. - Pan jest z Oksfordu. Poznają po akcencie.

Eryk nie wyprowadził go z błędu. Oddychał płytko, starając się inhalować jak najmniej powietrza. Jego żołądek drażnił ostry zapach - kompozycja wszystkich możliwych preparatów nowoczesnej chemicznej farmaceutyki, tradycyjnych składników maści i pudełek herbaty.

Mężczyzna wzniosł przed Erykiem górę opakowań.

- To powinno wystarczyć. - Niemal nieczytelnym pismem nagryzmolił wskazówki dotyczące dawkowania. - Do jutra będzie znów zdrowa, obiecuję. - Położył dłoń na leżącym na samej górze pudełku jak na Biblii. - Nie mogę przecież pozwolić, by pańskiej żonie miało umknąć piękno naszego miasta. - Wstukał ceny do kasy, która pokazała 53,98 euro. Wygląda na to, że dobrze się tu przygotowano na turystów z pobliskiej Austrii. - Czy woli pan, żebym przeliczył na funty brytyjskie? - zaproponował.

Eryk dał mu trzydzieści osiem funtów i w podziękowaniu dostał kostkę mydła oraz paczuszkę chusteczek higienicznych.

Zauważył ich, wychodząc na ulicę. Trzech mężczyzn stało w pobliżu apteki, pośród śnieżnej zamieci. Zachowywali się tak, jakby oglądali niepozorną wystawę ciemnej cukierni. Nikt przy mniej więcej zdrowych zmysłach nie stoi podczas takiej pogody, o tej porze, przed zamkniętym sklepem, na którym wisi kartka z wypisanym cyrylicą *Do wynajęcia*. Znajomość wielu języków bywa przydatna.

Eryk skręcił za najbliższy róg, ruszył biegiem i wcisnął się w pierwszą bramę, którą napotkał. Potem, ostrożnie zerkając za narożnik, czekał, czy pojawią się cienie.

Trio nieprofesjonalnie nadbiegło ulicą, rozglądając się pośpiesznie i pobiegło dalej, mijając jego kryjówkę i nie zauważywszy go.

Eryk zastanowił się trochę dłużej niż zwykle. Uzbrojony tylko w srebrny sztylet i ceramiczny nóż, zdecydowanie nie miał przewagi nad trzema przeciwnikami; z drugiej strony, pogoda zapewniała dostateczny kamuflaż. Torbę z lekarstwami zawiesił na zardzewiałym gwoździu sterczącym z framugi drzwi, zdjął okulary i włożył je do kieszeni. Świat wokół niego stracił na wyrazistości, za to jego oczy reagowały szybciej na wszelki ruch.

Bezgłośnie zbliżył się do ostatniego z mężczyzn i wbił mu w plecy ostrze srebrnego sztyletu. Mężczyzna zwiotczał i upadł w błotnisty śnieg. Odgłos upadku zaalarmował pozostałych, którzy najpierw, co Eryk poznał po ich zaskoczonych twarzach, sądzili, że było to przypadkowe poślizgnięcie.

Mężczyzna po jego lewej stronie sięgnął do kieszeni płaszcza, ale od razu w środek nosa

trafiła go pięść. Jeszcze nim otrząsnął się z bólu, grad szybkich ciosów posypał się na jego głowę i tułów. Pod ich naporem uderzył w ścianę domu. Eryk podczas potyczki używał tylko lewej ręki, a prawa trzymała srebrny sztylet i swobodnie wisiała.

Mężczyzna odbił się od muru i upadł, uderzając się dokładnie w splot słoneczny. Nieprzytomny osunął się na ziemię.

Eryk odwrócił się w stronę ostatniego przeciwnika i spojrzał na czerwone ślady krwi na swoich białych, skórzanych rękawiczkach.

- Porozmawiamy od razu, czy muszę najpierw pana pobić i napakować śniegu w spodnie, żeby się pan obudził, a potem potraktować pańskie palce obcasem, aby się dowiedzieć, do jakiego stowarzyszenia należycie pan i pańska trzódka? - spytał po angielsku.

Mężczyzna wyjął karabin maszynowy i wymierzył w Eryka.

- Pan i pańska badaczka nie będziecie dłużej mieszały się w nasze sprawy - powiedział.

- Zatem jest pan przyjacielem bestii. Czego chcieliście od Nadolnego?

- Boska istota potrzebowała ochrony. Przed sobą samą i ludźmi pańskiego pokroju.

- Dlatego skoczył z okna? - Na Eryku broń nie zrobiła wrażenia.

- Jemu jeszcze daleko było do boskich. Był zbyt skołowany i nadto podniecony. Źle zrozumiał nasze dobre zamiary. - Mężczyzna oblizał ogromne wargi.

- Boscy? Nazywacie bestie *boskimi*?

- Nikczemnicy, jak pan...

Eryk wolał nie czekać na ostatnie słowa, gdyż po nich niewątpliwie nastąpiłby strzał. Skoczył bez uprzedzenia w przód, ostrze noża przecięło wierzch dłoni mężczyzny, rozerwało ścięgna, a pistolet maszynowy upadł w śnieg. Mężczyzna krzyknął stłumionym głosem. Próbował kopnąć Kastella. Eryk uskoczył przed butem, błyskawicznie padł na kolana i wbił mężczyźnie pięść w genitalia. Przeciwnik, stękając głośno, wciągnął powietrze i upadł plecami na ulicę. Walka była skończona. Nie stanowiła dla Eryka żadnego wyzwania.

Dla pewności sprawdził, jak trzej mężczyźni reagują na kontakt ze srebrem. Gdy nie wydarzyło się nic szczególnego, poprzestał na tym, że zabrał im ich broń i magazynki, naciął na szyjach cienkie kreski i zostawił leżących na śniegu. Nie zdziwił go fakt, że u wszystkich znalazł amulety. Amulety tożsame z tym z Petersburga. Do diabła z granicami państw! Prześladowcy należą do zupełnie innej formacji.

Lena czekała na niego w hotelu. Wygląda na to, że muszą się przeprowadzić, by pozbyć się uciążliwych typów szukających odwetu za śmierć Nadolnego. Eryk nie chciał dawać im drugiej szansy. Miał nadzieję, że poznają po ostrzegawczych znakach na swoich gardłach, iż okazał im łaskę. Tym razem.

Wziął lekarstwa i poszedł.

W hotelu napotkał następną niespodziankę. Miała grube, zimowe ubranie, siedziała w małym hotelowym *Kávéház* tak, że nie dało się jej przeoczyć. Czytała francuską gazetę i siorbała kawę. Ona *chciała* być przez niego zauważona. Gdy wszedł, uniosła głowę i zlustrowała go brązowymi oczami.

- *Bonsoir, mon frère* - Justine z szelestem starannie złożyła gazetę. - Dostałeś wszystko, czego chciałeś? - Włożyła do ust papierosa, gdy do niej podchodził. - Nie musisz się spieszyć. Mała śpi, nie ma już gorączki. Poza tym... *merci*, że wsadziłeś mi na kark niemieckie gliny.

Eryk wybrał fotel przed nią, by zasłonić widok recepcjoniście.

- Wygląda na to, że śledzenie mnie to jakiś nowy sport.

- Chciałam tylko sprawdzić, czemu tak spieszyło ci się do Petersburga. Bałam się o moją część spadku. - Puściła do niego oko i wypuściła dymek, a potem cicho się roześmiała. - I co widzisz? *Mon dieu*, solidnie namieszaleś zakonowi. Nic dziwnego, że chcą cię zabić.

*Zakon?* Odstawił torebkę z lekarstwami.

- Znasz tych ludzi?

- Czego właściwie nauczył cię nasz ojciec? Gdybyś bardziej przykładał się do badań, zamiast wciąż tylko włóczyć się po okolicy, też byś ich znał. Nastąpiłeś na odcisk zakonowi Lycáon. - Skinęła na kelnera. - Na co masz ochotę? Ja stawiam.

Eryk zamówił niegazowaną wodę i herbatę.

- Co to za stowarzyszenie? - zapytał, gdy znów zostali sami.

Jego siostra uśmiechnęła się w wilczy sposób, a to przypomniało mu zarówno ojca, jak i jego własny uśmiech.

- Są twoim przeciwieństwem, Eryku. Znasz podanie o Lycáonie?

Skinął głową.

- *Bon*. Według nich Zeus nie ukarał Lycáona, ale przemienił go w istotę wyższą. Dzięki temu wszyscy jego potomkowie są bogami. - Kelner zbliżył się z napojami, zamilkli więc i poczekali, aż odejdzie. - Miałam z nimi do czynienia już wiele razy. Bronili loup-garou, chronili ich przed myśliwymi i dążyli do tego, by pewnego dnia sami mogli zmienić się w boską istotę. Odprawiają jakiś absurdalny rytuał, podczas którego albo umierają, albo zmieniają się w wilkołaki. Rodzaj pojedynku albo *quelque chose comme ça*.

- Dobrowolnie? - Eryk nabrał powietrza. - Cholera, tego mi jeszcze brakowało - mruknął i postanowił, że na razie zaufa słowom przyrodniej siostry, a później, gdy nadarzy się ku temu sposobność, zweryfikuje je. Pytanie, kto ją wykształcił i dostarczał informacji, przesunął w tej

chwili na dalszy plan. - Co o nich wiesz?

Justine wyjęła z etui kolejnego papierosa, zapaliła go zapalką i głęboko się zaciągnęła.

- *Bien sûre*, wiem, że to niezdrowo; mogę dostać chociażby raka płuc - stwierdziła od niechcienia, zobaczywszy obrzydzenie na twarzy brata. - Nie, nie mogę. My nie dostajemy raka. Przynajmniej dzięki mnie państwo ma dochód z podatków, nie obciążając służby zdrowia.

Eryk zobaczył, że na paczce brakuje banderoli. Towar z czarnego rynku. To do niej pasowało.

- Gdzie ten zakon ma siedzibę?

- A jak myślisz, *mon frère*?

- To może być wszędzie.

- *Très bien*. - Balansowała niedopałkiem w kąciu ust. - Niewiele o nich wiem, albo inaczej mówiąc - wsparła ramiona o blat stołu i pochyliła się do przodu - nie powiem ci. Nie chcesz grać w drużynie, *bien*, nie będę cię zmuszać. Sam szukaj sobie informacji. Jednak wiem, jak moglibyśmy dobić wspólnego interesu. - Rozpromieniona spojrzała mu prosto w oczy. Jej postawa była jedną wielką prowokacją.

- Już raz ci powiedziałem, chytra na pieniądze gadzino. - Zachował spokój, choć wiele go kosztowało, by się opanować.

- *Bon*, to ci niewiele da. - Nieporuszona Justine dopiła kawę. - Udzielę ci rady. Nie idź dalej śladem tego bydlaka, *mon frère*. Ci trzej to byli *seulement* amatorzy, ale w drodze są już eksperci zakonu. To pewne. Polujecie na ten sam łup, choć z różnych powodów. - Wstała. - Życzę ci i małej *loupette bonne chance*. Będziesz tego potrzebował. Przeciw bestii i zakonowi. - Założyła czapkę i wyszła, nie płacąc. Eryka zdziwiłoby, gdyby zrobiła inaczej. Następnym razem będzie dla niej twardszy. Jak dotąd pozostawała zagadką mającą rysy twarzy jego ojca. Naśle na nią Anatola.

Eryk rzucił na stół kilka banknotów i wrócił do pokoju, gdzie sprawdził, co z Leną. Na drzwiach ich wspólnego lokum nie było żadnych zadrapań ani innych uszkodzeń; czyli Justine wcześniej blefowała albo była cholernie dobrą włamywaczką.

Lena leżała pod podwójną warstwą kołder, przepocone brązowe włosy kleiły się do jej czoła, ale gorączka spadła.

Kastell siadł na krawędzi łóżka i cicho wypakował lekarstwa, ułożył je w kolejności. Potem postawił na nocnym stolyczku karafkę z wodą i szklanę.

Myślał o zakonie Lycáon, o którym nigdy nie wspomniał jego ojciec. Powstał niedawno? Czy po prostu dobrze się kryli? A może stoi za tym ten zagadkowy Fauve? Przy następnym



spotkaniu przesłucha któregoś z napastników, postanowił nie zmieniać hotelu. Jeśli ci amatorzy są wystarczająco głupi, to jeszcze raz spróbują go zabić.

Lena westchnęła, odwróciła się i wyciągnęła rękę. Jej palce odnalazły jego palce i zacisnęły się na nich.

Siedział dalej, patrzył na jej odprężoną twarz, nagie ramiona i piersi, uwodzicielsko wyłaniające się spod kołdry. Pot i ciepło w pokoju wzmogły zapach kobiety. Ledwie mógł się oprzeć tej oszalamiającej woni.

Eryk powoli pochylił się i delikatnie pocałował Lenę w czoło. Poczował sól. Zlizał ją z warg i znów się wyprostował. Heruka nie puściła jego dłoni, więc siedział dalej na łóżku, trzymając straż.

# Rozdział XVII

16 sierpnia 1765, Saugues,  
Południowa Francja

- Bestia to stwór z piekła rodem! - nieprzyjemnie wysoki głos kaznodziei wzbil się nad gwar gospody, aby wszyscy go usłyszeli. - Pan wesprze nas przeciw niej, gdy wspomnimy naszą bezbożność i odpokutujemy grzechy.

- No, znów będzie wesoło. - Malesky założył binokle, by dokładniej przyjrzeć się mężczyźnie ubranemu w habit wędrownego kaznodziei. Jean jadł dalej, Antoine i Pierre odwrócili się do mówcy. Młodszy z braci skrzywił twarz w beczelnym uśmiechu.

- Odprawiajcie pokutę, siostry i bracia. Módlcie się, abyście zostali wysłuchani, a Bóg, nasz Pan, wam wybaczy. Dopiero gdy się nawrócicie, bestię będzie można poskromić. - Ksiądz podniósł do góry Biblię i przeszedł między stołami. - Zaprawdę powiadam wam, porzućcie grzech i nieczystość, a bestia będzie od was zabrana. - Zatrzymał się przy kilku karciarzach i zmiotł ze stołu karty. - Gra hazardowa to grzech! A grzech to przynęta dla bestii! - krzyczał jazgotliwie.

Mężczyźni, którzy poprzedniego roku, gdy zrobił to samo co teraz, pobili go i wyrzucili na ulicę, teraz siedzieli jak pokorne uczniaki. Pozwolili mu mówić.

- Przecież biskup zarządził publiczne modły tylko w kościołach. Czyżby teraz rozesłał swoich zauszników również po knajpach? - Jean spłukał chleb z ust łykiem wina. - Co powiada Bóg o tych, którzy chcą gadaniną zyskać posłuszeństwo ludzi i wykorzystują ich strach? - odezwał się głośno i otarł dłonią wargi.

Kaznodzieja odwrócił się; oczy zabłyśły mu gniewnie.

- Bracie Chastel, ty, który mieszkasz na skraju wsi z dzikimi zwierzętami i nigdy nie pokazujesz się w domach Pana, właśnie ty - swój obrzmiaty palec wskazujący wycelował oskarżycielsko prosto w Jeana - i twoi zepsuci synowie powinniście się modlić! Wróćcie na łono Matki-Kościoła i wyznajcie wasze grzechy przed Panem, aby nawet najmroczniejsze sumienia w Gévaudan rozświetliły się jasno i czysto. Tylko światło odeгна bestię! Na nic nie zdadzą się kule ani nóż. - Potoczył się chwiejnym krokiem ku wyjściu i otworzył drzwi. -

Pokutujcie, a Pan zdejmie z nas tę plagę - prychnął na pożegnanie i odszedł.

Malesky pokręcił siwą głową i zdjął z nosa binokle.

- Nie, to nie było śmieszne, tylko bardzo teatralne. Widywaliśmy tu już lepszych aktorów.  
- Spróbował miejscowego wina, które podał im gospodarz. - Kiedy pomyśleć, że bestia już od ponad roku okrutnie się zabawia, nie można się dziwić, że ludzie zaczynają myśleć o pozaziemskich stworach jak duchy czy demony - rozbawiony obserwował, jak jeden z graczy sięgnął po rozsypane na podłodze karty, jednak przyjaciel powstrzymał go gestem dłoni. Nikt nie chciał brać odpowiedzialności za powrót bestii do Saugues.

Przy sąsiednim stole słowa Maleskiego przyjęto z wdzięcznością.

- Jeśli mnie spytacie, powiem wam, że to żaden loup-garou ani wilk. To druidzi. To oni to robią! Składają ofiary staremu bogu, a potem zrzucają winę na wilki - z przekonaniem przemówił mężczyzna w prostym ubraniu. - Przedwczoraj w nocy sam widziałem, jak przy starych menhirach kręciło się kilku zamaskowanych. Niech Bóg ich pokarze!

- Druidzi? Naprawdę, takiej wersji jeszcze nie znam. Wiedziałem tylko o czarownicach, które spotykają się na szczytach Trzech Gór. Parafia La Besseyre słynie przecież ze swoich wiedźm i magów.

Jean skrzywił się. Choć Mołdawianin nie zrobił tego specjalnie, podświadomie przywołał w rozmowie nazwisko Chastel. On, syn czarownicy.

Malesky wyjął z plecaka rulon gazet, częściowo starych i podartych, inne wyglądały na całkiem nowe.

- Majątek kosztowało mnie opłacenie posłańca, który przyniósł mi tu z Bordeaux te ciekawe gazety. Zobaczcie, sławna ta nasza bestia.

Natychmiast zażądan od niego, by przeczytał coś na głos.

Malesky odchrząknął.

- „La Gazette de France” pisze o pewnej kobiecie z Rouget, Jeanne Jovet, która została zaatakowana wraz z trojgiem dzieci we własnym ogrodzie. Opisano, jak wyrwa dzieci z pyska i szponów zwierzęcia, głównie najmłodsze bestia porywała wciąż na nowo. Gdy groziło już, że matka zostanie pokonana, nadbiegł pasterz, który zobaczył zwierzę z dzieckiem w pysku i swoją dzidą ugodził bestię. - Ludzie słuchali z zapartym tchem. Było cicho jak makiem zasiał. - Przeskoczyła przez niski żywopłot, wciąż trzymając w zębach swą ofiarę, ale pogonił za nią pies pasterski. Bestia upuściła dziecko, odwróciła się i zadała mu taki cios, że poleciał na odległość kilku kroków. Potem rzuciła się do ucieczki. - Przekartkował. - Pasterz za odwagę dostał od króla w nagrodę trzysta liwrów.

- Brawo! - krzyknął gospodarz. - Dzielny człowiek. - Spojrzał na gościa, który twierdził,

że za tymi morderstwami stoją ludzie. - Co na to powiesz?

- *To* był wilk - powiedział urażony mężczyzna. - Ale te *inne* morderstwa są dziełem ludzi.

- A do czego strzelali bracia Chaumettes między Rimeize a Saint-Chély, kiedy uchronili jednego pasterza od rozszarpania? Do człowieka w skórze wilka - drażył temat inny. - Dwa strzały, po których bestia wstała, a dzień później zabiła młodą dziewczynę przy Venteuges - wypuścił powietrze. - Mówię wam, to jest loup-garou.

- Kto wie? „English Saint James Chronicle” podejrzewa, że mamy do czynienia z nowym gatunkiem, pochodzącym z górskich jaskiń. - Malesky wskazał na inny artykuł. - Jak by nie było, powtarzające się morderstwa są przyczyną tego, że zamiast Dennevalów, którym nie dopisało szczęście, mamy teraz w Gévaudan lejtnanta królewskiego oddziału myśliwych, *monsieur* François Antoine'a de Beauterne'a. - Spojrzał na Jeana. - Podobno to najlepszy strzelec w królestwie.

- Jednak mimo to nic się nie zmieniło. Pięknie wystrojony jeździ ze świtą po okolicy i szkicuje pejzaże, zamiast polować na bestię - uniosła się za ladą żona gospodarza.

Jean nadal milczał. Gdy Dennevalowie, którzy niebezpiecznie zbliżyli się do jego rodziny i zadawali niewygodne pytania, zostali zastąpieni przez de Beauterne'a, poczuł ulgę. Było tajemnicą poliszynela, że młody comte woli sam prowadzić polowania, niż pozwalać kierować sobą ludziom króla i kłaniać się im. Opowiadano, że wysłał już do Paryża listy ze skargami na „nowych”, którzy nie odnieśli żadnych sukcesów. Jeanowi ta niezgoda wśród myśliwych była na rękę.

Malesky rozłożył przed sobą gazety.

- Tu, patrzcie, jest wszystko o naszej bestii! Mówi się o niej nawet w Anglii i w Niemczech. - Uśmiechnął się szyderczo i uniósł karykaturę, na której widoczny był Ludwik XV biegnący za roześmianym, podobnym do psa zwierzęciem, z którego gardła sterczały tuziny rąk i nóg. - Anglia kocha naśmiewać się z króla. Nieporadność to w tym przypadku najłagodniejsze słowo.

- W tym kraju nie ma nikogo, kto by zdołał zaprowadzić bestię na stryczek. - Antoine roześmiał się głośno i chrapliwie. - Nikt jej nie złapie. Comte też tak mówi. Może to zrobić tylko ktoś z naszej okolicy.

- Dokona tego lejtnant de Beauterne - w pomieszczeniu zabrzmiał donośny głos. Z ławy podniósł się słusznego wzrostu mężczyzna w niebieskim mundurze gwardii królewskiej z dystynkcjami kapitana.

Ciało Antoine'a naprężyło się; był gotów kontynuować pięściami dotychczasową, werbalną wymianę ciosów. Jean zachował spokój.

- Może i zna się co nieco na polowaniu, jak *monsieur* Denneval, ale nie ma pojęcia o Gévaudan. Dlatego wykazałby się sprytem, gdyby zarządził rozpoznanie okolicy, nim rozpocznie bezsensowne gonitwy. - Podniósł do ust kawałek chleba. - Zobaczymy, co zdziała.

- A wy to kto, *monsieur*, że dajecie poparcie temu wrzaskliwemu krzykaczowi siedzącemu u waszego boku?

- Wyście się nie przedstawili, dlaczego ja miałbym to zrobić? - odrzekł Jean i wskazał na drzwi, by dać do zrozumienia synom, że wychodzą. Nie chciał wdawać się w bezsensowne dysputy. Wstał. Pierre i Antoine poszli za nim, podczas gdy Malesky czekał na rozwój wypadków.

- To wy jesteście ten sławetny Chastel - rozległo się za plecami leśniczego. - Człowiek z lasu, który rozmawia ze zwierzętami. Kto wie, może dlatego nie złapano bestii, bo daliście jej schronienie? - To, co powiedział, było nieprzyjemnie bliskie prawdy i Pierre w poczuciu winy spuścił głowę.

Jean usłyszał szuranie nóg krzesła o podłogę. Wstał jeszcze ktoś. Chastel poczuł, jak narasta w nim strach.

- Doniesiono nam, że wy i wasi synowie często pojawiaacie się tam, gdzie atakuje bestia. Macie z nią coś wspólnego, Chastel? - przyłączył się brzmiały agresywnie drugi głos. - Czyżbyśmy w izbie byli bliżej rozwiązania zagadki niż w lasach Gévaudan?

- Moi synowie i ja jesteśmy myśliwymi i chcemy zarobić dziesięć tysięcy liwrów - opanowanie odpowiedział Jean, przywołując do porządku drżące nogi, po czym poszedł do wyjścia. Po drodze chwycił za ramię syna, który zachowywał się tak, jakby miał zamiar ruszyć na mężczyzn, i pociągnął go za sobą. - Spytajcie *monsieur* Maleskiego, czy mamy coś wspólnego z morderstwami.

- Pytam was, Chastel - napierał pierwszy z mężczyzn. - Wasz syn, Antoine, nastaje na małe dziewczynki i młode kobiety. Nie dziwi was, że bestia ma upodobanie do tej samej „zwierzyny”?

Teraz miarka się przebrała. Takiego strasznego oskarżenia rzuconego na oczach i uszach wszystkich Jean nie mógł pozostawić bez stosownej reakcji, zatem odwrócił się i spojrzął w oczy obu mówcom. Drugi, mniejszy, nosił barwy Duc'a d'Orleans, krewnego króla. Sytuacja była podwójnie niebezpieczna, gdyż wszelki atak mógł zostać uznany za zniewagę majestatu.

- *Messieurs*, zaniechajcie swojej gadaniny - ostrzegł ich. - Nie pozwolę, byście obrażali moją rodzinę.

Antoine uniósł pięści.

- Chodźcie tu, pyskacze! Wbiję wam do głowy odrobinę rozumu.

Niższy z mężczyzn przyjrzał mu się.

- Patrzenie, trafiony pies szczeka. A może powinienem powiedzieć, trafiona bestia. - Wskazał na wyjście. - Wynoście się i idźcie do diabła, do Montchauvet, jak w imieniu króla de Beauterne rozkazał wszystkim mężczyznom w parafii. Dziś jest polowanie.

Jean chwycił synów i wypchnął ich na zewnątrz, nim zdążyli przystąpić do ataku. Najszybciej jak mogli, poszli do Montchauvet, aby przyłączyć się do polowania z nagonką i nie ściągać na siebie jeszcze więcej podejrzeń.

Chastelowie przysiedli na wielkiej granitowej skale, by mieć lepszy widok na okolicę u stóp imponującej góry i kołnierz gęstego lasu, ciągnącego się w górę Montchauvet. Ponad granicą drzew widać było usiane kamieniami, jałowe polany pełne krzaków janowca. W pewnej odległości wznosiły się szorstkie szczyty Montmouchet i Montgrand. Trwało polowanie. Od czasu do czasu słyszeli trzask muszkietów, echo dudniło z wąwozów i wracało odbite od górskich zboczy.

- Zdziwiający, że w ogóle zostały tu jeszcze wilki - zauważył Pierre, nadstawiając ucha.  
- De Beauterne w imieniu króla wypowiedział im wszystkim wojnę.

- To źle, że również Beauterne postrzega ten teren jako siedlisko bestii - odpowiedział Jean i odwrócił głowę do Antoine'a, który ułożył się na chwilę drzemki, zakrywając twarz trójgraniastym kapeluszem. - Twoje wybryki go tu zwabiły.

- *Moje* wybryki? Pierre jest tak samo winny jak ja - odpowiedział przytłumionym głosem. Po jego tonie dało się poznać, że się uśmiecha. Coraz mniej przejmował się tym, że okrutnie zabija i kaleczy ludzi.

Rozgniewany Jean stracił mu kapelusz.

- Poświęćmy Surtout.

Antoine błyskawicznie się wyprostował, oczy mu zaiskrzyły.

- Co?

- To najlepsze wyjaśnienie i zadowolimy de Beauterne. Damy mu bestię, którą i tak wszyscy podejrzewają o okrutne mordy. - Jean od dawna przemyślał to taktyczne posunięcie. - Potem wywiozę cię stąd do czasu, aż nie zabiję prawdziwej bestii.

- Żaden z was nie tknie Surtout - zagrzmiał Antoine. - Nie pozwolę na to. Nie będzie waszym kozłem ofiarnym.

Szybki stukot kopyt sprawił, że trzej mężczyźni podnieśli wzrok. Zobaczyli jeźdźca zbliżającego się od zachodu do ich punktu obserwacyjnego. Pierwszy raz zdarzyło się, że Jean widział go z bliska: Jean-François-Charles comte de Morangiés. Trzydzieści sześć lat,

przystojny i wykwiłtnie ubrany. Był synem starego comte, który w przeciwieństwie do swego potomka cieszył się wielkim poważaniem.

Jean wiedział, że młody hrabia był oficerem i dyscyplinarnie został zwolniony z armii. Od tego czasu robił wszystko, by okryć niesławą dobre imię swojej rodziny. Kobiety, hazard wszelkiego rodzaju, czasem nawet pojedynki, gdy był w nastroju. To w Gévaudan, to w Paryżu.

Stary Chastel zdjął kapelusz przed znacznie młodszym mężczyzną.

- *Bonjour, seigneur.*

De Morangiés, z modnym trójgraniastym kapeluszem nasadzonym na białą peruczkę, niedbale zarzucił muszkiet na ramię i lekko skłonił głowę.

- Pozdrawiam was, *messieurs*. Udało się wam?

Antoine uśmiechnął się do niego poufale, jakby szlachcic był jego kompanem do kielicha.

- Nie, *seigneur*. - Głośno gwizdnął i z krzaków tuż obok comte wyskoczył Surtout.

Jean wstrzymał powietrze. Mastif zwykle traktował wszystko, oprócz swego pana, jako zagrożenie. Chętnie rzucał się na wszystko, na co się dało. Jednak ku zaskoczeniu leśnika Surtout nawet nie spojrzął w górę. Usiadł na kamieniu i ział.

- Szkoda, szkoda - powiedział de Morangiés z udawanym żalem. - Wspaniali myśliwi króla znów zawiedli. To na pewno zainteresuje dwór. Wciąż umierają ludzie, zmasakrowani przez bestię, która teraz już nawet ściąga swoim ofiarom ubrania i rozrzuca je na poboczu. Gdybyście mnie spytali, na kogo polujemy, bez wahania stwierdziłbym, że na demona, nie na wilka. - Uniósł głowę i skierował spojrzenie na zbocza Montchauvet. - Zdaje się, że to na dziś już wszystko, *messieurs*.

Jean poszedł za wzrokiem comte i zobaczył, że nagonka schodzi po kamienistych polanach. Dźwigali dwa chude wilki. Więcej łupów nie było. Za mało, by uspokoić ludzi.

- *Monsieur* Chastel - Morangiés przyjaźnie zwrócił się do Antoine'a - bądźcie tak mili i przynieście mi w najbliższych dniach kilka waszych szczeniąt do zamku w Villefort. Znów szukam psów, które coś potrafią.

- Z ochotą, *seigneur*. - Antoine wciąż się uśmiechał.

- Doskonale. - De Morangiés zawrócił konia. - Przekażcie ode mnie panu de Beauterne piękne pozdrowienia. Nie będę dłużej czekał. Mam ciekawsze rzeczy do roboty, niż pędzić mojego cennego ogiera przez kolczaste, parchate, pełne kleszczy krzaki janowca, niszczyć sobie surdut i strzelać do chudych wilków. - Uniósł dłoń. - *Au revoir, messieurs*.

Odpowiedzieli na pozdrowienie. Gdy znalazł się poza zasięgiem głosu, Pierre spojrzął na brata.

- Co ty masz za konszachty z comte?

- Dostarczam mu psów - stwierdził beztrąsko, położył się na skale i zamknął oczy. - Potrafi docenić jakość.

Jean podejrzewał, co comte robi ze zwierzętami.

- Psy do walk i zakładów, tak?

- A co można temu zarzucić? Ja hoduję najlepsze - Antoine poruszył stopą i nie patrząc, wskazał obcasem na Surtout. - Wszystkie szczeniaki po nim wygrywają. Comte chce zabrać mnie do Paryża. Tam będę mógł na moich psach zarobić naprawdę mnóstwo pieniędzy, zamiast dostawać od markiza głodową pensję za pilnowanie lasu.

Znów zbliżały się konie, tym razem od drugiej strony. Dwóch mężczyzn należących do oddziału de Beauterne kilka kroków od Chastelów skierowało swoje wierzchowce z lasu na wąską drogę. Jean od razu ich rozpoznał: byli to ci dwaj, z którymi o mały włos nie pobili się w Saugues. Wiedział już, jak się nazywają. Mniejszy nosił imię Lachenay i był myśliwym księcia, drugi to Pélissier z gwardii królewskiej.

Surtout zawarczał wściekle. Konie zatrzymały się.

Antoine otworzył oczy i uniósł głowę.

- O, patrzcie, patrzcie - wymamrotał, a potem rozejrzał się. Nikogo nie było widać. - Przyjeżdżają, jakby się prosili, żeby im przetrzepać skórę - spojrzał na Surtout. - Waruj! - powiedział syczącym głosem, a psisko obnażyło długie zęby, z pewnością godne samej bestii.

- Czyś ty oszalał? - Pierre zeskoczył ze skały i chwycił mastifa za obrozę. - Trzymam go, *messieurs* - krzyknął do nich. - Możecie przejechać.

- Jesteście pewni? - upewnił się Lachenay.

- Tak - odrzyknął Pierre. - Nic się wam nie stanie.

Pélissier ruszył pierwszy, jednak po dziesięciu krokach podkowy jego konia nagle zapadły się. Zwierzę oszalało ze zdenerwowania. Próbowало wydostać się z pułapki. Wykonało potężny skok i zrzuciło Pélissiera, który przebił miękką powierzchnię i zapadł się po pas w błocie.

- Bagienne oczko - roześmiał się głośno Antoine i zachwycony klasnął w dłonie. - To było wyśmienite, Pierre! Wyśmienite!

- Nie wiedziałem, że tu jest bagno - odpowiedział zmieszany i spojrzał na ojca. Ten siedział na skale i patrzył, jak gwardzista coraz bardziej się zapada. Błoto sięgało mu już po piersi. Lachenay nie odważył się podejść bliżej. Nie wiedział, jak ratować przyjaciela.

Jeanowi podobało się to. Oczywiście zaraz pomoże tym dwóm, ale niech jeszcze trochę odpokutują swoje słowa w gospodzie.



- Trzeba było lepiej uważać na drogę - zawołał.

- Wasz syn powiedział, że tu jest bezpiecznie! - wrzasnął Pélissier, odchodząc od zmysłów.

Lachenay odciął długi kij i wyciągnął go w stronę gwardzisty.

- Chodziło mi o psa - bronił się Pierre i zdziwiony odwrócił się do ojca, który najwyraźniej nie zamierzał się ruszyć. - Co jest? Chcesz patrzeć, jak utonie?

- Oczywiście, z przyjemnością! - Antoine zanosił się od śmiechu. - Niech ta świnia utonie w bagnie! To dlatego, że nie znacie tej krainy, zarozumialcy! - Ześlizgnął się ze skały. - *Alors*, malutki! Nie ruszaj się za bardzo, bo bagno ściągnie ci portki szybciej niż dziwka!

Lachenay'owi tymczasem udało się zabezpieczyć Pélissiera i powoli wyciągnąć go z błota. Gwardzista złożył bagnu w ofierze oba swoje buty i szpadę.

Jean uśmiechnął się. Zaoszczędził wysiłku, ale dla królewskiego gwardzisty sprawa nie była jeszcze skończona.

Odszukał drogę wokół bagiennego oka, podszedł brudny i cuchnący do Antoine'a i chwycił go za kołnierz.

- Drań! Kanalia! Każę cię wtrącić do więzienia. Będziesz tam siedział, aż twoje ciało zgnije i odpadnie od kości!

Jean ześliznął się na ziemię, by przerwać utarczkę, nim dojdzie do nieszczęścia. Surtout wściekał się w uchwycie Pierre'a i próbował dopaść Pélissiera, którego momentalnie rozszarpałby na strzępy.

Antoine oswobodził się z uścisku gwardzisty i natychmiast go uderzył. Tuż przy nim pojawił się Lachenay i zadał mu cios w twarz. Antoine zatoczył się na skałę.

- Oho! Będzie wesoło - krzyknął Antoine. - Surtout, waruj! - Po tych słowach rzucił się na dwójkę mężczyzn.

Rozpętała się dzika bijatyka, w którą z konieczności wdali się również Jean i Pierre. Antoine rozdawał ciosy z taką siłą, że nosy obcych szybko połamały się, oczy spuchły, a usta i skóra popękały. Mastif siedział posłuszenie, warczał i szczekał, ale nie atakował.

Pélissier pchnął Pierre'a na ziemię i chciał zaatakować Jeana, gdy z boku skoczył na niego Antoine, popchnął na skałę, a potem rzucił nim o ziemię. Wznosząc agresywne okrzyki, podniósł but, celując obcasem w głowę pokonanego.

- Stój! - Rannemu Lachenay'owi udało się wycelować z muszkietu do Antoine'a.

Jean bez namysłu chwycił broń i wymierzył w myśliwego księcia.

- Zabieraj to! - Pierre przetoczył się i również sięgnął po muszkiet, kierując jego lufę na Lachenaya.

Antoine znieruchomiał, widząc, co zależy od jego następnego ruchu. Powoli opuścił but. Splunął na leżącego. Jego zielone oczy iskrzyły się dziko.

- Tyle z tego macie. - Długie włosy otaczały twarz najmłodszego z Chastelów niczym ciemna chmura i zasłaniały bladą twarz.

- Idziemy - rozkazał szorstko Jean i opuścił muszkiet. Serce biło mu jak oszalałe, gdyż uświadamiał sobie, w jakie tarapaty wpakowali się właśnie on i jego synowie.

- Chcę jeszcze...

- JUŻ!

Następnego dnia, gdy Chastelowie znów wyruszali na polowanie, zostali ujęci przez oddział żołnierzy i uwięzieni.

# Rozdział XVIII

Węgry, Budapeszt,

16 listopada 2004, godz. 07:43

Eryka obudził ból w karku. Otworzył oczy i zobaczył Lenę w szlafroku. Stała pochylona nad jego walizką. Oglądała przezrzysty płyn, kapiąc nim z małej buteleczki na otwartą dłoń.

Von Kastell założył okulary, by lepiej widzieć. Buteleczka nie pochodziła z przyniesionej góry lekarstw, ale z jego kosmetyczki! Lena liczyła krople i, jeśli on temu nie zapobiegnie, zliże krople jak napisano na instrukcji. Skąd miała wiedzieć, że to nie jest opisana na etykiecie substancja? Zbliżyła swoją dłoń do ust.

- Stop! - Eryk wyskoczył z łóżka i rzucił się na Lenę. Upadli na dywan, a jemu udało się podczas upadku odwrócić kobietę tak, by wylądowała na nim i nie poturbowała się, lądując na podłodze.

Lena leżała na nim. Szlafrok rozchylił się, odsłaniając jej biust, kołyszący się uwodzicielsko przy twarzy Eryka. Widział każdy drobnutki szczegół, na przykład malutki pieprzyk nad lewym sutkiem, gładkie, różowawe brodawki i ślad po bliźnie przy prawej piersi. Uwielbiał wtórne cechy płciowe.

Lena błyskawicznie ściągnęła połę szlafroka. Jej zielone oczy patrzyły gniewnie i z zaskoczeniem, gdy próbowała odgarnąć włosy z twarzy.

- Jestem bardzo ciekawa wyjaśnień. - Nie schodziła z niego.

- Kto pani powiedział, że może grzebać w moich przyborach kosmetycznych?

- Bolało mnie gardło, a w pańskiej torebce pełnej cudownych środków nic na to nie mogłam znaleźć. - Powąchała swoją dłoń, która nadal połyskiwała wilgocią. - Jest już po terminie ważności?

- Osobiste lekarstwo - odpowiedział wymijająco i rozkoszował się otulającym go apetycznie jej zapachem. Ciepło jej ciała przenikało przez szlafrok i jego ubranie. Niezmiernie go to podniecało. - Przełałem lek do tej buteleczki, bo nie miałem nic innego pod ręką.

- A więc to nie na ból gardła?

- Nie. - Demonstracyjnie wskazał na swoje ciało. - Jestem wygodny? Chce pani sobie na mnie poleżeć?

- Co to za środek?

- Nic pani do tego.

- A jednak, gdyby ktoś stwierdził, że ten lek jest nielegalny i mielibyśmy iść za to do więzienia.

Eryk nie mógł tego dłużej znieść. Albo ją natychmiast pocałuje i uwiedzie, albo ona musi z niego zejść, nim poczuje jego podniecenie... Czuł się trochę niezręcznie. To też była nowość. Nigdy dotąd nie wstydził się okazywać kobiecie pożądania.

Zdecydował odłożyć uwiedzenie na później.

- Co miałyby pani ochotę zjeść na śniadanie?

Lena uznała, że ten uparty mężczyzna nic jej nie powie. Teraz, gdy minął pierwszy szok po jego ataku, zorientowała się, że leży z lekko rozchylonymi nogami na jego tułowiu. Podłużny wzgórek wybrzuszał skórę jego spodni, uciskając ją w pachwinę. Lena poszukała wzroku Eryka, mając nadzieję na niemą zgodę i równocześnie pytała sama siebie, co też ona, na Boga, właśnie ma zamiar zrobić.

Jej dłonie jakby usamodzielnily się. Prawa głaskała jego twarz, przesunęła się po czarnych bokobrodach i bródce. Czuła, jak wzgórek pod jej pachwiną rośnie i twardnieje.

- Czy już panu podziękowałam, że uratował mi pan życie? - spytała ochryple; namiętność zmieniła jej głos.

Przełknął.

- Nie lubię bzykania z obowiązku.

Uśmiechnęła się.

- Niech pan to powie wężowi w swoich spodniach. - Lena pochyliła głowę w przód. - To będzie dla mnie przyjemność, a nie obowiązek. - Brązowe włosy laskotały jego twarz, a usta poruszyły się.

To był wyrok śmierci dla zimnej krwi Eryka. Rozchylił szlafrok, prostując się przy tym, i zrzucił go z jej ramion. Przycisnął twarz do szyi Leny i pocałował. Pieścił dłońmi jej piersi.

Lena ściągnęła mu koszulę. Jej palce zaborczo przesuwaly się po jego plecach; oddychała szybciej. Czuł zapach jej podniecenia. Domagała się zaspokojenia.

- Widzę, że przy twojej pracy człowiek robi się masykularny - powiedziała, przekomarzając się. Usiadła na jego udach i rozpięła mu pasek, potem guzik od spodni... Jej dłoń wśliznęła się pod rozporek. To, co chwyciła i wydobyła na zewnątrz, jeszcze wzmogło jej pożądanie. Szybko zerwała z Eryka resztę ubrania, pomogła mu wstać i skierowała na

łóżko.

Von Kastell uśmiechnął się szeroko i opuścił głowę. Jego jasnobrazowe oczy i długie czarne włosy, opadające na twarz i pograżające ją w cieniu, wyglądały niebezpiecznie. Sugerowały atak. Lena przełknęła ślinę. Eryk wyglądał w tym momencie zwierzęco, pierwotnie i niezwykle męsko.

Zbliżył twarz do jej szyi. Wąchał Lenę, nie dotykając nosem jej skóry. Pochłaniał jej zapach, zwracając uwagę na każdy niuans. Badał ciało: zsuwał się w dół, między piersiami, po płaskim brzuchu do krocza, a kosmyki jego włosów łaskotały skórę Leny. Rozkoszował się chwilą. Nie spieszył się i coraz bardziej zanurzał się w pożądanie.

Dopiero teraz włączył do gry dłonie. Przesunął je po jej talii, brzuchu i zatrzymał na wewnętrznej stronie ud. Język prześliznął się łagodnie po najintymniejszym miejscu, zanurkował i znalazł punkt, w którym można było doprowadzić kobietę do szaleństwa. Lena ostro wciągnęła powietrze, jej podbrzusze przeniknęło gorące łaskotanie, umiejętnie i bezlitośnie wzmagane przez Eryka.

Niezauważenie dla niej założył kondom. Drgnęła, gdy chwycił ją za biodra i pociągnął na swoje łono. Mięśnie na jego nagim tułowiu i ramionach drżały. Siła, z jaką ją unióś i opuścił na penisa, była precyzyjnie dawkowana. Eryk był dominujący, ale nie władczy.

Lena chciała go. Pozwoliła, aby powoli w nią wszedł, centymetr po centymetrze. Czysta rozkosz, a zarazem tortura. Przycisnęła tułów Eryka w dół i przejęła inicjatywę. Jechała na nim jak na koniu. Poruszała się, jęcząc, a jej twarde piersi kołysały się lekko w rytm każdego drgnienia ich rozgrzanych ciał.

Pozwolił jej na to. Dotykał jej pachwin, pieścił miękki brzuch, póki nie zobaczył, jak bliska jest ekstazy. Wtedy przyszła kolej, by to on poprowadził ją w nieodkryte dotychczas obszary namiętności.

Eryk poderwał się. Bez uprzedzenia popchnął Lenę do tyłu i chwycił tuż przed upadkiem na dywan. Jego biodra poszły za tym ruchem i nie pozwoliły, by zjednoczenie zostało przerwane. Lena krzyknęła cicho ze strachu i nowej fali podniecenia.

Eryk szybko zorientował się, jakie ruchy lubi. Odczytywał swój sukces z nieprzytomnej twarzy Leny. Jej jęki stawały się coraz głośniejsze, aż w końcu straciła kontrolę nad sobą. Torturował ją dalej. Jego palce bawiły się jej najwrażliwszymi miejscami, wzmógł szybkość pchnięć.

Skórę Leny zrosiły krople potu. Eryk unióś swoją partnerkę i przycisnął jej tułów do swojego, by przeniknąć jej zapachem. Polizał jej skórę, piersi. Smakował sól. To było dla niego jak narkotyk.

Osiągnęła szczyt, tłumiąc krzyk. Jej paznokcie wbiły się w jego plecy i narysowały krwawe, czerwone linie.

Eryk ułożył Lenę na pościeli tak, by mogła leżeć brzuchem do dołu. Powoli rozsunał jej nogi, najszerzej jak się dało. Wciąż chciał więcej. Nie mógł przestać. Pragnął całkowitego otwarcia. Poglaskał jej pośladki. Jego palce zaledwie przemknęły po jej kobiecości i wzmogły tęsknotę za ponownym zjednoczeniem. Wszedł w nią. Lena natychmiast była na szczycie. Nie krzyczała, ale poczuł to po drzeniu jej ciała, po dłoniach, które chwyciły kurczowo koldrę i głębokim, niskim stęknieniu.

Dopiero wtedy zaczął.

Po czwartym orgazmie oswobodził ją ze słodkiej pułapki i odsunął się. Objął ją i całował wilgotny kark. Smakowała wspaniale. Nigdy już tego nie zapomni.

Serce Leny biło jak oszalałe, jakby nigdy nie miało się uspokoić.

- Nigdy więcej tego nie rób - westchnęła, łapiąc oddech, gdy znów mogła mówić. Myślała dokładnie odwrotnie.

Przesunął palcami po jej łopatce, leciutko ugryzł ją w bok szyi i wstał. Tym razem coś było inaczej niż zwykle, to znacznie więcej niż sam akt. Poczul emocjonalną bliskość, wibrację, która przejmowała go zgrozą i do której nigdy dotąd nie dopuścił. To było... niedobre.

Zadzwoił telefon. Eryk podszedł do aparatu i odebrał. Rozmowa była krótka.

- Recepcja - powiedział i założył spodenki. - Niech się pani ubierze. Lotnisko wznowiło loty. Śniadanie zjemy później.

Lena przekręciła się na plecy, jej zielone oczy wyrażały rozczarowanie i zdziwienie oficjalnym zwrotem. Jednak nic nie powiedziała. Ten mężczyzna był dla niej zagadką.

# Rozdział XIX

19 sierpnia 1765, Saugues,  
Południowa Francja

W lochach śmierdziało straszliwie, podłoga była zimna i wilgotna. Chastelowie siedzieli w dużej, prostokątnej celi, której ściana po jednej stronie składała się tylko z prętów kraty, umożliwiając dozorcóm stały nadzór nad więźniami.

Jean i Pierre spali zwinęci w kłębek, na wyłożonej zbutwiałą słomą posadzce pod ścianą po prawej stronie. Antoine kucał poniżej wąskiego świetlika, na prawie całkiem przegniłej pryczy, przez który do ich karceru wpadał pojedynczy promień słońca. Nie wiedział, jak zdoła przetrwać nadchodzące dni. Jak ma powstrzymać przemianę. Całe ciało swędziało go, a skóra paliła nieustannie. Rozum bronił się przed myślą, że będzie musiał na dłużej zostać w tym lochu. Uwiedziona w nim bestia błagała o wolność, smagała od środka jego skórę i ślina się, chcąc się wyrwać z ludzkiego ciała i samodzielnie poszukać wyjścia z tego więzienia.

Dobiegł go dźwięk cichych kroków. Po schodach zeszła postać w czarnej pelerynie i zbliżyła się do kraty. Kapelusz obrzucał twarz cieniem i czynił ją nierozpoznawalną. Czarna rękawiczka wskazała na Antoine'a.

- Chodź tu - szepnął znajomy głos. - Bądź cicho, żeby inni się nie obudzili.

- *Seigneur le comte!* - Antoine wstał niedosłyszalnie i pośpieszył do hrabiego de Morangiésa.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie przyprowadziłeś mi obiecanych psów. Kazałem sprawdzić, gdzie się podziewasz i usłyszałem, coście narobili ty i twoja rodzina.

Antoine spuścił głowę.

- Te świnię zasłużyły sobie na to.

Dłoń comte wystrzeliła w przód, chwyciła kurtkę i pociągnęła Antoine'a do krat.

- Ty idioto! - syknął gniewnie. - Opanuj się wreszcie! Jak mogliście być tak głupi, żeby zaatakować ludzi księcia i króla? Normalnie za coś takiego wysłano by was na galery albo na inne, równie ciężkie roboty. - Odepchnął go. - Masz pojęcie, jak trudno będzie wyciągnąć was

z więzienia?

- Wy... wy możecie nas uratować? - Antoine zrobił wielkie oczy i padł przed nim na kolana. - Moja wdzięczność na wieki, *seigneur!*

- Nikt nie dowie się o tym, że wam pomogłem, zrozumiano? - powiedział ostrym jak brzytwa tonem. - De Beauterne jest wysłannikiem dworu i nie wolno nie doceniać jego wpływów. Ale uda mi się. A jeśli nie mnie, to memu ojcu. - De Morangiés uśmiechnął się chłodno i twardo pogłaskał zarośnięty policzek Antoine'a. - Inaczej kto dostarczałby mi takich dobrych psów? Bez nich po prostu nie wygram.

- Nikt, *seigneur*. Tego dowiodłem wam już na Minorce, prawda?

- Dowiodłeś, Antoine. - De Morangiés spojrzął na Pierre'a, który stęknął i przekreślił się na drugi bok. - Jeszcze trochę cierpliwości i pojedziemy do Paryża. Chcę zobaczyć, co tam działają twoje psy.

- *Seigneur*, ten Beauterne... - ociągając się, powiedział Antoine - on zacieśnia krąg wokół nas. To prawie niemożliwe, niepostrzeżenie... - Jego twarz przybrała zatrwożony wyraz. - *Seigneur*, boję się, że on wystrzela moje psy. Moich ukochanych przyjaciół. Wtedy moja hodowla byłaby...

- De Beauterne wkrótce nie będzie już przeszkodą. Mam plan, jak się go ostatecznie pozbyć. Właśnie czynię przygotowania - przerwał mu comte. - A ty, Antoine, bądź ostrożniejszy! - Poklepał go po ramieniu. - Niedługo będziecie wolni. Obiecuję ci to. - Sprężył się i odwrócił się i wszedł schodami do góry.

- Moja wdzięczność na wieki, *seigneur!* - krzyknął za nim półgłosem Antoine i podniósł dłoń w pozdrowieniu. Szybko wrócił na prycze, podciągnął nogi i patrzył na plamę światła na podłodze celi. Był całkowicie spokojny. Napięcie i kłujący jak igły strach zniknęły, niczym ręką odjął. Bestia stała się łagodna jak baranek. Na comte można liczyć. To jego dobry przyjaciel. Mentor.

21 września 1765, w pobliżu Saint-Marie-des-Chazes,  
Południowa Francja

Jakkolwiek by nie wyśmiewano lejtnanta Antoine'a de Beauterne, gdy krążył po Gévaudan, szkicując nieustannie wrzosowiska, łąki, zagajniki, góry i wzgórza, teraz okazało się, że wysłannik króla Ludwika XV z wprawą bierze się za swoje rzemiosło. Bestia zdawała się rozumieć, że de Beauterne ją okrążył i zupełnie niespodziewanie uciekła. Pojawiły się doniesienia, że zdarzyły się ataki w okolicy Langeac, daleko od terenu Trzech Gór, gdzie



Beauterne spodziewał się znaleźć jej norę. Następne polowanie z psami przeniesiono właśnie tam.

Tego mglistego, wrześnieowego dnia de Beauterne zwołał wielkie polowanie wokół lasu w Pompier. Mógł w nim znów uczestniczyć Jean Chastel. Sądził już, że resztę życia przyjdzie mu spędzić w kamieniołomie, gdy z niewyjaśnionych dla niego, choć przez to nie mniej mile widzianych przyczyn, sędzia w Saugues uwolnił go wraz z synami i upomniął, że następnym razem nie mogą liczyć na żadną wyrozumiałość. Zostawił synów w jednej z chat Antoine'a i spiął ich w piwnicy łańcuchami. Jean zamocował nowe zamknięcie, mające uniemożliwić im wydobycie się z pęt po przemianie. Tylko w ten sposób mógł być pewien, że podczas polowania żaden z nich nie wbiegnie mu przed lufę w postaci loup-garou.

Ten stwór musi wreszcie zginąć; zbyt często już uciekał jemu i innym myśliwym. Dlatego tym razem załadował do luf srebrne kule.

Ledwie dotarł do punktu zbiórki, spotkał Mołdawianina i Jacquesa Denisa. W sumie Jean naliczył czterdziestu myśliwych, co najmniej setkę naganiaczy i dwanaście psów, ciągnących za liny i szarpiących się.

- *Bonjour, monsieur* Chastel - krzyknął radośnie Malesky i podbiegł do niego, jak zwykle z niebieskimi binoklami nasadzonymi na nos. - Jak przetrzymaliście nocę w lochach Saugues? Nie będziecie mieli mi za złe, że nie wtrąciłem się do waszej bijatyki?

- Obserwowaliście nas?

- Wyszedłem z lasu i wszystko widziałem. Jednak wołałem zostać na wolności, by schwytać bestię, więc się nie mieszałem. - Spojrzał badawczo na Chastela. - Dziwnym trafem wygląda na to, że postanowiła odpocząć, odkąd wy wypadliście z walki. Czyżby na was czekała?

- Nie mam wam za złe, *monsieur* Malesky, że pozostaliście beczny, ale to, co dajecie do zrozumienia, przypomina cczą gadaninę, której musiałem wysłuchać kilka tygodni temu w gospodzie, a wiecie, jak to się skończyło dla tych, którzy nie umieli zamknąć gęby. - Jean mrugnął i udawał, że nie mówi tego poważnie, ale Mołdawianin zrozumiał ukrytą groźbę. - Co do lochów, to przeżycie, którego w żadnym razie wam nie polecam - powiedział, uśmiechając się lekko i przypomniał sobie, jak trzy razy musieli zabić Antoine'a do nieprzytomności, by zapobiec jego przemianie w bestię i w ten sposób uchronić własne życie. Pierre'owi uwięzienie sprawiło mniej trudności. Nie miał ani jednego ataku. Zawdzięczał to zapewne swojemu mocnemu charakterowi.

- *Monsieur* Chastel, cieszę się, że was widzę. - Jasnowłosy Jacques Denis podszedł do nich z muszkietem w lewej ręce i podał mu dłoń. - Czy po Malzieu podziękowałem wam już,

żeście uratowali mi życie?

- Uczyniliście to, *monsieur* Denis. Może dziś nadarzy się sposobność, że wy uratujecie moje. - Jean postanowił traktować młodzieńca jak dorosłego. Przeżył już zbyt wiele, aby uważać go za dziecko. Jean wskazał na jego broń: - Piękna sztuka.

- Dał mi go w pożegnalnym podarunku *monsieur* Denneval. - Jacques musiał cieszyć się swoim muszkietem, ale w jego głosie słyhać było rozgoryczenie. Miał za złe normandzkim myśliwym, że zostawili go bez pomocy i odeszli z Gévaudan, nie załatwiwszy sprawy, nie licząc setek martwych wilków i ich futer. Bestia, która zmieniła jego siostrę w debilkę i zabiła jego przyjaciółkę Marguerite, wciąż była na wolności. - Od czasu ich odejścia poluję na własną rękę.

Malesky przyglądał się pozostałym myśliwym.

- Patrząc na nich, nie boję się, że któryś z nich pozbawi mnie dziesięciu tysięcy liwów. Moim konkurentem może być jedynie pewne oko samego lejtnanta de Beauterne.

Osobisty królewski arkebuzer, jak brzmiał jego oficjalny tytuł, stanął właśnie na przewróconym pniu, by wszyscy mogli go widzieć. Był wystrojony jak księżę, nie jak myśliwy, a przy tym wydawał się bardzo niepozorny. Kosztowny strój, peruka i kapelusze nadmiernie odwracały uwagę od odzianego w nie mężczyzny. Za nim stał Pélissier, nadal paskudnie naznaczony śladami bijatyki.

- *Bonjour, messieurs*. Dziś dopisze nam na polowaniu szczęście, a wy zobaczycie, dlaczego poświęciłem tyle tygodni na wyrobienie sobie opinii o tej okolicy. Z pomocą przyszła nam boża łaska. Bestia uciekła nam dokładnie tutaj. Trop, na który trafiłem, prowadzi do wąwozu Béal. Zabijemy w nim naszego wilka, którego niektórzy przesądni nazywają bestią. - Wskazał przez pola na las i ukryty w nim jar. - Tam ma swoją norę i zobaczycie, że można go zastrzelić jak każdego innego wilka. Utworzymy łańcuch i wejdziemy do lasu, a potem zamkniemy pętlę wokół wąwozu, aż nie będzie w niej żadnej luki. - Zeskoczył ze swego prymitywnego podestu, a potem podzielił myśliwych i naganiaczy na grupy. Polowanie rozpoczęło się.

Szeroką tyralierą pomaszrowali w kierunku lasu, który poprzez przerzedzające się smugi mgieł wyglądał jak wycięty nożyczkami z horyzontu. Chmary wron poderwały się z pustych pól i krążyły w górze, gdzie ich sylwetki nikły pośród oparów. Mężczyźni słyszeli jedynie ich skrzekliwe krakanie.

- Przekłeta pogoda - poskarżył się Malesky i chusteczką wytarł wilgoć osiadłą na szklach binokli. - Mam nadzieję, że proch na panewce nie okaże się bezużyteczny. Te mgły są gorsze niż deszcz.

Wreszcie dotarli do lasu. Szybko go otoczyli i po sygnale rogu, oznaczającym, że nagonka i myśliwi zamknęli pierścień po drugiej stronie, weszli w zarośla.

Nikt nie ważył się wydać choćby jednego dźwięku.

Naganiacze szli obok myśliwych, kierując ostrza dzid i oszczepów ku dołowi. Nie chodziło o to, by wypłoszyć stwora, lecz by nie dać mu uciec. Jesienny las wypełnił się trzaskami i chrzęstem, szelestem i cichym tupotem; raz po raz po drzewach przemykały spłoszone wiewiórki, pośpiesznie kicając, umykały zajęce, czasem przed ludźmi uskokczyła sarna. Nic więcej się nie poruszało.

Na razie.

Jean, Malesky i Jacques byli wśród tych, którzy jako pierwsi dotarli do ujścia wąwozu - ponurego, szorstkiego parowu pełnego mroku i niesamowitych odgłosów.

Jeden z naganiaczy pobiegł, by powiadomić de Beauterne, pozostali czekali z mieszaniną niecierpliwości, strachu i nadziei w sercach, że nareszcie położą kres okropnym mordom. Raz na zawsze.

- Tu bestia na pewno czuje się dobrze - szepnął Jacques, który nie opuścił lufy swego muszkietu, odkąd weszli do lasu. Obserwował nieufnie, czy w mroku coś się nie dzieje.

Jean przykłęknął przy śladach. Badał znalezione odciski. Po ich długości szacował wielkość zwierzęcia. Nagle wyprostował się i spojrzał na Mołdawianina, który skierował wzrok w inne miejsce ściółki.

- Duży wilk, prawda, *monsieur* Chastel? W moim długim życiu widywałem już bardziej imponujące tropy... - powiedział Malesky, a przecież w jego głosie słyhać było rozczarowanie, bo liczył na inny łup.

- Tak, wilk - stwierdził Jean i szybko rozdeptał świeży ślad bestii, który skrywał pod stopą przed oczami innych. Stwór dopiero niedawno wbiegł do wąwozu; musiał zostać przypadkiem wpędzony do wąskiego jaru. Jeanowi z podniecenia serce waliło jak młotem. Uznał, że bestia jest wystarczająco sprytna, by puścić wilka przodem i uciec z wąwozu dopiero wtedy, gdy strzelcy będą doładowywać broń.

De Beauterne zbliżył się z lekko uniesionym muszkietem, a z nim dyszące, szarpiące się psy. I comte de Morangiés.

- *Messieurs*, trzymajcie muszkiety w pogotowiu. Wierne zwierzęta wypłoszą nam wilka - pociągnął kurki w dół, a wokół niego rozległy się liczne trzaski, gdy czterdziestu myśliwych zrobiło to samo. Potem uniósł broń i skierował ją ku wylotowi wąwozu. - Spuśćcie je - rozkazał i psiarczykowie puścili liny, na których trzymali sforę.

Psy, szczekając głośno, pognały do skalnej szczeliny. Natychmiast połknęła je ciemność.

Ich coraz cichsze ujadanie dobiegało echem do czekających myśliwych, aż zupełnie ucichło w dali wąwozu.

Nic się nie działo.

Pierwszy myśliwy opuścił muszkiet. Broń wraz z przymocowanym bagnetem była za ciężka, by długo trzymać ją w pozycji poziomej, więc pozwolił swoim zmęczonym ramionom na odpoczynek i po chwili uniósł ją szybko ponownie, nie chcąc stracić szansy na sławę bohatera całego regionu.

Również Jacques poczuł zmęczenie; w końcu usiadł na ziemi, podciągnął kolana i położył na nich broń. Był to niebezpieczny manewr. Gdyby strzał chybił i bestia szukałaby odwetu, jego krtań znalazłaby się na odpowiedniej wysokości dla bezlitosnych kłów.

Potem wróciło podniecone szczekanie. Sfora wracała. Kto dokładnie się przysłuchiwał, rozpoznawał wśród coraz głośniejszego ujadania gniewne, niskie warczenie, a raz po raz wycie i skamlenie. Teraz uniosły się wszystkie lufy. Nawet najslabsze ramiona wykorzystywały ostatnie rezerwy siły. Mężczyźni jeszcze nie dostrzegali nic prócz ciemności. Nieustanne wpatrywanie się wysuszało oczy i kusiło, by zamrunąć, a mruganie mogło oznaczać chybiony strzał.

Jean skoncentrował się. Ramiona paliły go, ale jeszcze nie drżały. *Wytrzymaj*, upominał sam siebie.

Z wąwozu wypadło cielsko potężnego wilka. Na pysku miał krew, z pewnością pochodzącą z któregoś z psów. Zobaczył otaczających go ludzi i chciał sforsować krąg.

Pierwszy strzał oddał lejtant Antoine de Beauterne. De Morangiés i pozostali myśliwi zareagowali natychmiast po trzasku jego muszkietu. Kula de Beauternea trafiła wilka w prawą łopatkę, pozostałe pociski chybiły, tylko jeden trafił w łeb. Zakrwawione kawałki futra i ucho poleciały w bok. Zwierzę upadło.

Gdy dym prochu przerzedził się, Jean i Malesky nadal trwali z wylotami luf skierowanymi w stronę ciemnego jaru. Jeden po drugim wybiegały z nich psy i gromadziły się wokół zastrzelonego wilka. W psi jazgot wmieszały się dźwięki rogów, w które tryumfalnie zadęli niektórzy myśliwi, obwieszczając wszem i wobec, że potwór z Gévaudan został zabity.

- Wyrazy szacunku - powiedział comte, kłaniając się przed de Beauterne. - Zabiliście bestię! - Biorąc pod uwagę fakt, że jego rywalowi właśnie udało się to, o co sam usilnie zabiegał, jego ton wydawał się dość niefrasobliwy.

- Dziękuję. *Messieurs?* - De Beauterne zdziwiony obrócił głowę w stronę Jeana i Maleskiego, którzy nie przestali obserwować wylotu wąwozu. - Sądzicie, że jest drugi...

Raptem zastrzelony wilk poderwał się i zaatakował wysłannika króla, który w ostatnim momencie zdołał podnieść w obronie muszkiet. Zobaczył, że kula ledwie nadłupała czaszkę, nie przebijając jej. Zęby rannego wilka wbiły się w drewno i metal broni i złamały się, co wywołało jeszcze większą wściekłość zwierzęcia.

Myśliwi strzelili. Zwierzę znów trafiła jedna z kul. Wilk jednak szybko odskoczył, rozejrzał się i zygzakiem pobiegł ku miejscu, gdzie odstęp między mężczyznami był większy, biegł powoli, jakby chciał zademonstrować swą przewagę.

- Ja czy wy, *monsieur* Chastel? Inaczej ucieknie - spytał cicho Malesky znad kurka swego muszkietu.

- Zastrzelcie wilka, jeśli chcecie, *monsieur* Malesky.

- A na co wy czekacie?

- Mógłbym was zapytać o to samo.

- Ja spytałem, drogi *monsieur* Chastel.

- Nie jesteście sędzią, któremu musiałbym odpowiadać.

W końcu to Malesky, rzucając przekleństwo w niezrozumiałym języku, odsunął muszkiet od wejścia do wąwozu, wycelował muszkę i szczerbinę w grzbiet wilka i dwukrotnie nacisnął, gdy zwierzę przebiegało między dwójką naganiaczy.

Tym razem ołów przyniósł zwierzęciu śmierć. Muskularne cielsko zwiotczało, przednie i tylne łapy, a nawet ogon, utraciły poprzednie napięcie i wilk padł, osunął się na liście i znieruchomiał.

Mołdawianin z rutyną przeładował broń, robiąc to zręczniejsz od Jeana, co ten ostatni zarejestrował kącikiem oka. Minęło mniej niż dwadzieścia sekund, a Malesky ponownie poderwał muszkiet do strzału.

- *Messieurs!* Polowanie skończone - stwierdził de Beauterne i podszedł do nich, pochylił ku dołowi najpierw broń Maleskiego, a potem Jeana. - Zabezpieczcie wasze muszkiety i chodźcie ze mną do wioski, gdzie wszyscy będziemy świętować zabicie bestii! Niech dzwony Gévaudan obwieszczą jej śmierć, a już nigdy nie dzwonią na śmierć żadnej z ofiar. - Stracił panowanie nad sobą, gdy leśniczy chciał znów unieść muszkiet. - *Monsieur!* Dość - syknął. - Bestia tam leży...

- Nie, to nie ona, *seigneur* de Beauterne - sprzeciwił się cicho Jean. - Policzcie wasze psy, a stwierdzicie, że czterech brakuje. Żaden wilk, nawet taki imponujący egzemplarz jak ten, nie zdołałby w krótkim czasie zabić czterech psów. I popatrzcie, jeden z nich ma ślady podrapania, jakby walczył z kotem, *mon seigneur*.

Comte de Morangiés podszedł do nich.

- A ja twierdę, że to *jest* bestia! Żaden normalny wilk nie przeżyłby strzału w łeb. Czy trzeba lepszego dowodu?

Jean przestraszył się. Wyras oczu mężczyzny wskazywał na to, że dobrze wie, iż ma przed sobą jedynie wilka! *O co mu chodzi?* - pytał się w duchu leśniczy.

Comte odwrócił się tymczasem do równie sceptycznego Maleskiego.

- Natychmiast poświadczycie, *messieurs*, że zabiliśmy poszukiwanego stwora albo postaram się, byście obaj doświadczyli największych przykrości w życiu.

Mołdawianin splunął; potem krzyknął, choć bez radości w głosie:

- Hura! Niech żyje król Ludwik XV, który przysłał nam szacownego lejtnanta de Beauterne'a i uwolnił nas od bestii! - spojrzał na de Beauterne'a. - Kiedy dostanę moje dziesięć tysięcy liwrów, *mon seigneur*?

- Dlaczego miałyby się wam należeć?

- Zastrzeliłem to zwierzę, pamiętacie, *mon seigneur*? Staliście niecałe cztery kroki dalej i doładowywaliście broń po chybionym strzale.

- Mylicie się - odpowiedział mu szorstko de Beauterne. - Należycie do mojego oddziału i przez to podlegaliście królowi, zatem nie macie prawa do nagrody.

Malesky uklonił się.

- *Merci beaucoup, mon seigneur* - głos ociekał ironią. Groźną ironią.

Jean postąpił krok w przód, w kierunku wąwozu Béal, ale de Morangiés powstrzymał go, chwytając za ramię.

- Wy też tam nie pójdziecie, Chastel, chyba że chcecie na nieokreślony czas zagościć w lochu. Wiecie, jak tam jest. A sędzia na pewno wam powiedział, że drugi raz nie macie co liczyć na wyrozumiałość. - Uchwyt był bolesny i niezwykle silny. - To, co tam leży, to *bestia*, zrozumiano, *monsieur*? - Puścił Jeana i poszedł do naganiaczy.

Pélissier przyniósł lejtnantowi torbę, z której ten wyjmował monety i wspaniałomyślnie nagradzał każdego z mężczyzn. Wszyscy musieli przysiąc, że będą wszędzie rozpowiadać o końcu bestii.

W końcu wyruszyli. Truchło wilka wyciągnięto z lasu na noszach zrobionych z gałęzi i konarów.

- Zawiozę go wypchanego na dwór królewski, do Wersalu. Koniec z napadami na kobiety i dzieci - oznajmił głośno de Beauterne, a myśliwi nagrodzili go owacjami. - Król jest z was dumny, ludu Gévaudan!

Jean śledził comte de Morangiésa złym spojrzeniem.

- Wszystko to jeden wielki teatr - powiedział przybity, rzucając ostatnie tęskne spojrzenie

na wylot wąwozu. Bestia patrzyła na niego i Maleskiego. Czuł jej spojrzenie. Wiedziała, że nie byłoby dla niej ucieczki. Napawała się teraz bezradną złością swoich najzgorzalszych przeciwników.

Pokusa, by ruszyć na nią wbrew zakazowi comte była silna, ale rozsądek zabraniał mu popełnienia tego błędu, który prosto jak po sznurku zaprowadziłby go z powrotem do celi w Saugues, którą poznał aż nadto dobrze. Wtedy jego zakuci w łańcuchy synowie padliby ofiarą śmierci głodowej albo uwolniliby się jakoś i zmienili w niekontrolowane bestie, szalejące po okolicy. Jean zwolnił kurek muszkietu, zarzucił broń na ramię i na końcu orszaku ruszył przez las.

- Założę się, że to całe polowanie było zainscenizowane.

- Myślicie, że ktoś zapędził wilka do wąwozu, żebyśmy go tam znaleźli i zabili? - Maleski skrzywił się. - To odważne przypuszczenie, *monsieur*. To by znaczyło...

- ...że ludzie karmią się wygodnym kłamstwem, a mimo to zagrożenie jest takie samo jak przedtem - dokończył mrukliwie. - Przedstawienie, żeby de Beauterne, a wraz z nim król, mogli tryumfować. - Obserwował de Morangiésa, który jechał obok lejtnanta i z nim rozmawiał. Ogarnęło go przecucie, że stoi za tym comte. Czyżby od samego początku planował ukazać de Beauterne'a jako nieudacznika takiego jak Duhamel i Dennevalowie, aby na koniec samemu stanąć na czele myśliwych?

- Dajmy pokój tym gierkom, *monsieur* Chastel - zaproponował Mołdawianin, obserwując zamieszanie. - Wy tak samo jak ja nie polujecie na normalnego wilka.

Nim Jean zdążył mu odpowiedzieć, podszedł do nich Jacques. Promienny wyraz jego młodzieńczej twarzy zdradzał, że dał wiarę kłamstwom wysłannika króla i uznał śmierć bestii za pewną.

- Wspaniały dzień! - cieszył się wylewnie. - Zabiliśmy.

- Tak, zabiliśmy - powiedział Maleski, zdjął z nosa binokle i wytarł je o klapę kurtki. - Co byśmy poczęli bez tego chwata de Beauterne'a, który swoim zwycięstwem pokazał Duhamelowi i Dennevalom, gdzie ich miejsce. Wyszli przy nim na żółtodziobów - dodał z kłującą ironią. - Naprawdę, ten *seigneur* zasłużył sobie na fetowanie go jako bohatera. - Kiwnął do nich głową. - *Messieurs*, zobaczymy się w Langeac podczas świętowania zwycięstwa, jak mniemam?

- Ja muszę iść do domu - odpowiedział wymijająco Jean i gdy opuścili las, ruszył inną drogą niż orszak myśliwych.

- A co z naszą rozmową, *monsieur*? - krzyknął za nim Maleski. - Odwiedzę was, jeśli wam to pasuje. - Nie dostał odpowiedzi. Leśniczy udawał, że go nie słyszy, a Maleski

uśmiechnął się domyślnie. Choćby nawet jego odwiedziny miały nie podobać się temu mężczyźnie, niebawem zapuka do jego drzwi. Idąc za orszakiem, on i Jacques ruszyli drogą do Besseyre.

Po drodze przyłączyli się do nich chłopci i inni prości ludzie, pragnący uczyć się świętowaniem śmierci bestii. W końcu myśliwi musieli otoczyć zwłoki wilka ochronnym pierścieniem, gdyż próbowano wycinać kawałki jego futra na pamiątkę.

Lejtnant Antoine de Beauterne posłał przodem posłańca i kiedy przybyli na rynek miasta, wszystko już było gotowe do uczty. Gdy lud cieszył się jadłem i napitkiem na koszt króla, wznosił okrzyki ku czci władcy, a także tańczył przy dźwiękach skrzypiec i bębnów, myśliwi obmierzali wilka.

- Słuchajcie ludzie i dziwcie się - de Beauterne przekrzykiwał hałas. - Bestia jest długa na trochę więcej niż sześć stóp i waży sto czterdzieści trzy funty! - Przez tłum przebiegł pełen podziwu szmer, który przeszedł w głośne *achy* i *ochy*, gdy na czterech linach podciągnięto wilka do góry i zawieszono na szczytowej ścianie ratusza. Kły miał prawie tak długie jak palce mężczyzny. - Odetchnijcie, jest martwy! Niech żyje król Ludwik XV!

Tłum odpowiedział pełnymi ulgi wiwatami.

Późnym popołudniem Jacques i Malesky zbierali się do opuszczenia miasta. Szli jakiś czas tą samą drogą, gdy zobaczyli biegnącą naprzeciw młodą kobietę.

- To Julienne, moja druga siostra! - powiedział młodzieniec. - Na pewno idzie na ucztę.

Julienne zbliżyła się, objęła brata i dygnęła przed Mołdawianinem.

- Słyszałam, że zastrzelono bestię - powiedziała zdyszana i wskazała na las, widoczny z drogi w sporym oddaleniu. - Tam się to stało?

Brat przytulił ją jeszcze raz.

- Tak, siostrze. My... - wskazał na Maleskiego. - On ją zastrzelił, dwoma strzałami od tyłu w kark, gdy...

Ale Julienne kręciła głową.

- Sądzicie, że to bestia? Ja nie! Spotkałam po drodze *monsieur* Chastela i starczyło mi jedno spojrzenie, by poznać, że polowanie jeszcze nie jest skończone. - Z drżeniem zerknęła na mały lasek. - Ja to czuję. Ona nadal tam jest. Leży w zaroślach i nas obserwuje - wyszeptała dobitnie i trwożnie. - *Monsieur* Chastel wie, że bestia żyje, poznałam to po jego oczach. - Pocałowała brata w czoło. - Muszę iść do Besseyre! Trzeba ostrzec ludzi, kiedy będą szli do domu. - Pobiegła jak szalona, kierując się wprost na las.

- Zaczekaj!



Nie reagowała na krzyki brata. Jacques szybko podał rękę Maleskiemu.

- Nasze drogi rozdzielają się na razie, *monsieur* Malesky. Muszę iść za siostrą, wygląda na podnieconą i zagubioną. Nie pojęła jeszcze wieści o śmierci bestii. Widocznie szczęście jest zbyt wielkie. - Pobiegnął za nią.

Malesky wytarł binokle i popatrzył za młodzieńcem.

- Biedna *mademoiselle*. Ma rację, lecz niestety nikt jej nie uwierzy. - Przy tych słowach okular wysliznął mu się z palców i spadł w trawę. - *Do diabła!* - zaklął, pochylił się, pomacał i znalazł szkło. Leżało tuż obok świeżego odcisku łapy podobnej do wilka. Prowadzący od lasu trop był tym samym, za którym w minionych miesiącach niejednokrotnie podążał.

# Rozdział XX

Chorwacja, Plitvice,

16 listopada 2004, godz. 14:33

Z Zagrzebia polecieeli do Plitvic małym czarterowym Propellerem. Pilot najwyraźniej czerpał przyjemność z prezentowania dwojgu pasażerom uroków Parku Narodowego. Eryk i Lena patrzyli przez oblodzone okienka i podziwiali.

Mroźna zima zmieniła krasowy krajobraz z szesnastoma jeziorami w zimową idyllę. Centrum parku tworzą Jeziora Plitwickie, łańcuch zbiorników wodnych ułożonych tarasowo jeden poniżej drugiego. Łączą je spadające po skalnych stopniach wodospady, niezliczone małe baseny i strumienie. Wysoka zawartość wapnia w czystej jak łza wodzie nie pozwoliła, aby to przedstawienie całkowicie znieruchomiło. Grzmiące kaskady okolone były jednak zamarznąłą pianą niczym połyskującą, lodową skorupą.

Jeziora odwracały uwagę od otaczających je pozostałych stu dziewięćdziesięciu dwóch kilometrów kwadratowych krajobrazu. Z wysokości niecałego tysiąca metrów gęsty, częściowo pierwotny las łąsych buków i ciemnozielonych sosen robił odstręczające wrażenie. Przypominał rozłożony biały koc, odizolowany i nieprzenikniony. Sto dziewięćdziesiąt dwa kilometry kwadratowe terenu, na którym grasuje bestia.

- Nie będzie łatwo. - Lena, podobnie jak Eryk, nałożyła bardzo grubo podbite zimowe ubranie maskujące, wysokie buty, rękawice i pasującą do nich czapkę. W samolocie, jakim lecieli, nie ma z reguły ogrzewania, a jeśli już się trafi, to zepsute.

Eryk milczał i tylko skinął głową. Niezbyt mu odpowiadało włączenie się po bezludnych bezdrożach parku narodowego. W tej gęstwinie bestia ma nad nimi przewagę.

Wylądowali, jak uzgodnili z pilotem, na małym lotnisku, na którym nie było celników ani żadnych urzędników państwowych. Kosztowało to wprawdzie dużo, a nawet bardzo dużo, ale dzięki temu Eryk mógł bez uciążliwych pytań przywieźć z Budapesztu kupioną tam broń.

Pilot polecił im pensjonat swego szwagra i dał karteczkę uprawniającą do dziesięcioprocentowego rabatu. Von Kastell podziękował i poprosił wiozącego ich nieco później taksówkarza, żeby wysadził ich przy zupełnie innej noclegowni. Celowo nie

skorzystał z pensjonatu; w ten sposób zbyt łatwo można byłoby ich znaleźć.

Hotel, w którym się zatrzymali, nazywał się „Wypoczynek”. Park narodowy otoczony był pierścieniem hoteli, pensjonatów i innych pokoi do wynajęcia. Złupieni przez krwawą wojnę domową Chorwaci szybko nauczyli się zarabiać pieniądze na nieskażonej przyrodzie swej ojczyzny. Tutejsza natura była czymś jak promień światła.

Lena pierwsza weszła do podwójnego pokoju.

- Miło tu. - Rzuciła się na łóżko. - Niewyleżane. Bardzo dobrze.

Eryk uśmiechnął się przelotnie i popatrzył na zegarek.

- Zaraz wyruszamy na pierwszą wyprawę zwiadowczą. Na wiele więcej nie starczy dziś czasu. - Chwycił plecak i prócz lornetki włożył do niego trochę prowiantu.

Obserwowała, jak usilnie stara się nie patrzeć w jej stronę. Dystans, jaki zachowywał wobec niej od owego ranka w Budapeszcie, wzrósł jeszcze bardziej.

- Czy byłoby lepiej, gdybyśmy ze sobą nie spali? - spytała go wprost i bez rozczarowania w głosie.

- Nie o to chodzi. - Ruszył w kierunku drzwi. - Idzie pani?

Lena bez słowa wzięła plecak z wyposażeniem weterynaryjnym i poszła za nim. Nie może jej zabronić pobrać od stworzenia, na które poluje, próbek krwi. Zaprzyjaźniony naukowiec zrobi dla niej potajemnie analizę. Mimo całej niesamowitości sytuacji Lena pozostawała badaczem. Nie przepuści takiej okazji. Poza tym, nie dawało jej spokoju jedno pytanie.

- Czy można te... stwory przemieniać z powrotem? - spytała zaraz na korytarzu.

Eryk odryglował drzwi.

- Czemu to panią interesuje?

- Mówił pan o jakimś antidotum, prawda? Likwidacja bestii to jeden sposób. Jednak czy nie byłoby lepiej, gdyby można oszczędzić ukrytego w niej człowieka i móc przemienić go z powrotem?

Zeszli po schodach, wyszli na ulicę i ruszyli według drogowskazów do Parku Narodowego.

- Srebro je zabija. Jest może jakiś metal, który wygania z nich bestię? Albo... czy ja wiem... jakiś sposób na użycie srebra bez uśmiercania tych stworzeń?

Eryk założył okulary do wysokogórskiej wspinaczki. Otaczająca ich biel połyskiwała w blasku słońca i nieprzyjemnie oślepiała.

- Mój ojciec robił różne eksperymenty. Z nas dwóch to on był naukowcem. - Jego dłonie zacisnęły się w pięści, co nie uszło uwadze Leny. - Nic z tego, co warzył albo mieszał, nie

pomogło. Stare receptury, własne przepisy... Zawsze byłem sceptyczny, czy to w ogóle na cokolwiek się zda. Poza tym... - przerwał w pół zdania i odwrócił twarz w jej kierunku. Kryształki lodu zawisły na jego brodzie, wieńcząc czubki czarnych włosów. W lustrzanych szklach okularów Lena widziała własne odbicie, podczas gdy oblicze Eryka zdawało się być zimne jak twarz zawodowego zabójcy. - Poza tym, został zabity przez jedną z istot, które chciał uleczyć. Jego zapiski zniszczono - westchnął. - Wyśledzimy bestię razem, ale potem nasze drogi się rozdziela, Leno. I nigdy nie opowie pani żadnemu człowiekowi ani słowa o tym, co pani przeżyła i jeszcze przeżyje.

- Normalnie powinien pan po takim stwierdzeniu powiedzieć jeszcze coś rozpoczynającego się od *bo inaczej* - stwierdziła lekkim tonem. - Wiem, że potrafi pan być niebezpieczny, Eryku, ale nie skrzywdzi pan niewinnego człowieka, jakim jestem. Proszę więc oszczędzić sobie prób zastraszenia. I tak na mnie nie działają. - Łatwo przyszło jej sprzeciwić się, gdyż nie widziała oczu von Kastella, które wywierały na niej nieopisane wrażenie. Odwróciła się od Eryka i wyprzedziła go, nim przyszło mu do głowy zdjąć okulary.

- Bez obaw, Eryku. Nikomu nie zdradzę pańskich tajemnic, ale mimo to *będę* prowadzić badania. Zaniechanie ich byłoby nie na miejscu. Będzie pan musiał mnie zabić, abym ich zaprzestała. - W tym samym momencie przyszło jej do głowy, że nie było najlepszą myślą podsuwanie mu tego pomysłu. - A o co chodzi z tym antidotum? - Zmieniła temat.

- Trudno powiedzieć. Obawiam się, że to nic innego jak przesąd.

- Czy mówimy o *przesądach*, które swe początki zawsze brały z legend o wilkołakach? O przesądach z dawnych czasów, wyśmiewanych w naszym racjonalnym świecie? - odpowiedziała ostro. Szybko odegnała myśl o wampirach i innych mitycznych potworach. Co stałoby się, gdyby również pozostałe wykpiwane i wyśmiewane stwory skoczyły na ludzi z zębami i pazurami? Nie wolno jej o tym myśleć. Wilkołaki wystarczą w zupełności.

Eryk wzruszył ramionami.

- Nawet gdybym chciał, nie potrafiłbym pani więcej powiedzieć. Kartka z jakimś dziwnym wzorem, którą miał mój ojciec i z którą wiązał swoje największe nadzieje... - Eryk przerwał. Jeśli przyzna się, że posiada część receptury, wywoła w niej tym większą ochotę do prowadzenia dalszych badań. Tym samym zmarnuje swój i jej czas i zwróci na siebie uwagę - ...spaliła się w ruinach naszego domu.

- Domu w Petersburgu?

- W Monachium - odpowiedział. - To była receptura z osiemnastego wieku. Zwykły kawałek papieru, niemal całkiem zmurszały. Nieczytelny.

Zbliżyli się do głównego wejścia parku, które niechybnie przypominało Erykowi jedną z

owych fabryk przyjemności o renomowanych nazwach, gdzie człowiekowi działają na nerwy pluszowe maskotki wielkości człowieka i zawyżone ceny. Jak zareagowaliby zwiedzający, gdyby do publicznej wiadomości doszło, jaka istota znalazła schronienie w tutejszych lasach? Wyobraził sobie, jak cwani biznesmeni robią z makabrycznej historii przemieńców komercyjną atrakcję turystyczną. Jak każą chodzić po parku kukłom wilkołaków i sprzedawać farbowany na czerwono popcorn.

Zapłacił za wejście i wziął od kasjerki wielojęzyczną ulotkę. Zabronione było mniej więcej wszystko - od schodzenia z oznaczonych szlaków aż po rozrzucanie śmieci, rozpalanie ognia i karmienie zwierząt. Bardzo dbano o przyrodę, która, w przeciwieństwie do szerokich rzesz ludności, przetrwała wojnę domową w dobrym stanie. Na samym dole ulotki jeszcze raz podkreślano, by w żadnym wypadku nie schodzić ze ścieżek, gdyż podczas wojny części parku zostały zaminowane. Niestety nie wszystkie pola minowe zostały oznaczone i potem rozbrojone.

Lena i Eryk wyruszyli. Ślady na śniegu zdradzały, że w zimie przychodziło tu niewielu zwiedzających, choć widowisko oferowane w tym czasie przez naturę było szczególnie frapujące. Otaczały ich wielkie połacie dziewiczej, nietkniętej ludzką stopą śnieżnej pokrywy.

- A może tak naprawdę pan wcale nie jest zainteresowany uzdrawianiem przemieńców? - spytała Lena. Jako badaczka wilków, starająca się dopasować do przesądów naukowe fakty, była rozczarowana bezkompromisowością Eryka. Jakże często widywała już taką postawę u chłopów, pasterzy i myśliwych: niezłomną wolę wytrzebiecia bestii raz na zawsze.

- Nie. Już nie. Tak naprawdę nigdy nie podzielałem nadziei mojego ojca - przyznał bez ogródek. - Istnieje teoria, według której po pół roku wilkołak przejmuje całkowitą kontrolę i zmienia człowieka. Nie mam tu na myśli przemian. Nocne włóczęgi w postaci wilka męczą i wyczerpują. Powstaje straszne, nieustanne pragnienie, niezaspokojona żądza krwi. Od tej chwili nie może już być powrotu do normalnego życia. - Wskazał do przodu. Powietrze było pełne szumu i dudnienia. - Proszę na to spojrzeć!

Stali na skraju przepaści, mając przed sobą stromy wąwóz. Pędziła w nim woda zasilająca Jeziora Plitvickie; po drugiej stronie Plitvicki Wodospad spadał siedemdziesiąt trzy metry w dół. Panorama była piękna, aż zapierało dech.

Eryk miał nadzieję, że ten widok odwróci uwagę Leny, spotkało go jednak rozczarowanie.

- I dlatego trzeba je zastrzelić, tak? - krzyknęła mu do ucha.

- Wilkołaki również jako ludzie są niestrudzeni, nie potrzebują odpoczynku, mają skłonność do regularnych wybuchów wściekłości i wykazują wysoki stopień agresji. Ich

agresja stale narasta. - Eryk przekrzykiwał huk wody. - Niektórzy z nich przenoszą swoją złość i nienawiść na karierę, pożądając bogactwa i władzy. Wielu alienuje się i zostaje samotnikami. Kiedy to się już zdarzy, jest za późno na jakiegokolwiek uleczenie. Nic już nie dzieli bestii i człowieka. - Skinął jej głową. - Odpowiadając na pytanie: tak, muszę do nich strzelać. Uzdrawienie *nie istnieje*. Mordując mojego ojca, przemienicy zostawili sobie otwartą furtkę do śmierci.

- Może dotychczas trafiał pan tylko na beznadziejne przypadki. - Lena nie podzielała jego pesymistycznego punktu widzenia. - Mamy pół roku na uratowanie ofiary. Eryku, możemy współpracować, by przemienicy...

Eryk pokręcił głową.

- Pani jest badaczką *wilków*, nie *wilkołaków*.

- Jak się wydaje, oba gatunki są bardzo blisko spokrewnione.

Tym stwierdzeniem rozwścieczyła go. Postąpił krok ku niej i docisnął ją do barierki.

- Do diabła, niechże pani będzie rozsądna! Trzy dni temu usłyszała pani pierwszy raz o tych istotach i chce *mnie* pouczać, jak mam wykonywać swoją pracę? Moja rodzina zajmuje się tematem wilkołactwa od stuleci...

- Dawniej smarowano też rany uryną, by się goiły - przygadała mu. Złościła ją jego ignorancja. - Wie pan co? Pański ojciec miał rację, szukając uzdrowienia. *Ja* spróbuję stworzyć antidotum. Gdzieś na pewno muszą jeszcze istnieć odpisy tych starych receptur.

Wypuścił powietrze i dał za wygraną. Czuł, że nie zdoła zmienić jej zamiarów. Po cichu poprzysiągł sobie nie ratować jej, gdy znajdzie się w niebezpieczeństwie. Albo przynajmniej pomóc jej bardzo późno.

- Niech pani robi, co chce, ale samotnie. Tylko ta podróż, potem każdy idzie swoją drogą - przypomniał jej jeszcze raz i ruszył w dół ścieżką, ku kładkom biegnącym wzdłuż brzegów jeziora i nad nim. Lena, kręcąc głową, poczłapała za nim.

Podczas wędrowki po zaśnieżonych i niebezpiecznie gładkich drewnianych mostkach odkryli wiele grot i jaskiń. Częściowo znajdowały się one pod powierzchnią wody, tworząc jakby bramy wejściowe do podwodnego królestwa. Piana małych wodospadów zarzuciła brzeg szronem i lodem; na źdźbłach trzciny i gałęziach leżała gruba na palec warstwa śniegu.

Eryk byłby w stanie niemal rozkoszować się tą zimową idyllą, gdyby nie myśli o bestii. Mieli tę przewagę, że ich przeciwnik nie spodziewał się wizyty.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Na brzegu jeziora Kozlak spotkali idącą naprzeciw grupę Azjatów, którzy nieustannie fotografowali, rozmawiali cicho w swym ojczystym języku, bogato gestykulując, i

wychwalając czarującą naturę. Jeden z nich próbował okiełznać małego pieska. Eryk pogardliwie nazywał takie psy kieszonkowymi szczurami. Wyhodowano je do nowoczesnego życia, tak, by zwierzę zmieściło się w szufladzie między skarpetkami. Nie lubił psów. Ani kotów.

Oczywiście Azjaci, wśród głębokich ukłonów, poprosili Lenę, by zrobiła ich grupie wspólne zdjęcie. Eryk skorzystał z okazji, wyjął elektroniczną lornetkę i patrzył na wodę, na której cztery łodzie motorowe zataczały równe kręgi. Wystarczyło jedno naciśnięcie i szkło przestawiło się na podczerwień; przeszukiwał krawędź lasu.

Coś zaniepokoiło psa. Ujadał i nie dawał się uspokoić właścicielowi, lekceważył ciasteczka i pogróżki. Niczym krótki, włochaty węgorz wił się w ramionach swego pana. Azjata miał wreszcie dość tej krnąbrności i ukarał brutalnie psiego karzelka: wyjął cienki gwizdek, przyłożył go do ust i dmuchnął, nadymając policzki.

Lena nie usłyszała żadnego dźwięku. Za to piesek natychmiast przestał się miotać, odchylił malutki łepok na kark i zawył jak wielkie psisko. Równocześnie z lasu odpowiedział dziki skowyt.

Oczy Leny powiększyły się, włoski na karku nastroszyły. Dostała gęziej skórki. Dźwięk był straszny. Budził trwogę. Zdawało się od niego mrocznieć światło. Głośniejszy od wodospadów, sprawiał, że ludzie kurczyli się, a dusza trwożyła aż po najgłębsze zakamarki. Wskazujący palec Leny drgnął przypadkowo i automatycznie utrwalił w pamięci aparatu przerażone miny Azjatów.

Eryk jakby znikąd wyrósł obok mężczyzny z gwizdkiem. Jego twarz też pobladła. Wyrwał mu gniewnie przedmiot i krzyknął coś w języku, którego Lena nie zrozumiała. Sądząc po dźwięku, mógł to być japoński. Obsztorcowany ukłonił się szybko kilka razy pod rząd i grupa pośpiesznie odeszła, nie zapomniawszy przedtem odebrać aparatu.

- Co mu pan powiedział? - Lena dopytywała się Eryka.

- Że miałem wielką ochotę donieść na niego policji, z powodu męczenia zwierząt. Zapytałem też, jak śmiało użyć w parku narodowym gwizdka. - Von Kastell zrobił bardzo niezadowoloną minę. - Głupi zgrywus. Ja przecież nie przykładam mu do ucha fanfary na sprężone powietrze i nie trąbię - rozzłoszczony odrzucił gwizdek w śnieg i przyłożył do oka lornetkę.

Lena pochyliła się i niezauważenie dla niego podniosła mały srebrny przedmiot ze śniegu.

- To wycie... to bestia?

- Można przypuszczać - przytaknął zdenerwowany. Tam!

Nagle opcja podczerwieni ukazała mu kontury wielkości wilka, odcinające się lekką

czerwienią od błękitnego tła. Eryk czekał. To mógł być zwiadowca wilczego stada. Normalny wilk.

Czerwony kontur stał zupełnie nieporuszony. Eryk przełączył lornetkę na normalny widok i sprawdzał podejrzany obszar, nie dostrzegając w zaroślach znaków obecności innych wilków. Nic.

Przełączył znów na podczerwień i stwierdził, że niewyraźny czerwony kontur zniknął. Jakby go tam nigdy nie było. Wróg obserwował ich z bezpiecznej odległości, zaciekawiony obejrzał ich sobie dokładnie, po czym znów ukrył się w krzakach. Bestia tu była.

Teraz już wie o ich obecności.

- Chodźmy. - Dał znak, by ruszyli. Nie poinformował Leny o swoim odkryciu. - Jutro będziemy tu wcześniej i zaczniemy polowanie. - Ruszył naprzód.

Kobieta zatrzymała się i rozejrzała po malowniczym krajobrazie, w którym skrywało się zło. To, co spotkało ją do tej pory, wciąż wydawało się nierealne, mimo to nie można było temu zaprzeczyć. Przypominała jej o tym nieustannie rana na plecach. Odkąd znajdowali się w Chorwacji, cięcie paliło szczególnie nieprzyjemnie. Zbawienny byłby środek przeciw likantropii.



# Rozdział XXI

31 grudnia 1765, okolice Auvers,  
klasztor Saint Grégoire

W chłodne zimowe popołudnie samotna wędrówka po klasztorze była niebezpieczna. Poza tym Pierre obiecał ojcu, że zostanie w piwnicy chaty Antoine'a. Jednak tęsknota za Florence, jej słodkimi ustami i delikatnym ciałem była silniejsza od rozsądku i wszelkiej obietnicy. Od łańcucha, którego zamek tego dnia szczęśliwym trafem nie zaskoczył. Zrządzenie losu.

Pierre zamocował do podeszew rakiety, by nie zapadać się w śniegu. Zrobione z giętych drewnianych ram i napiętej skóry, zapewniały dużą powierzchnię nacisku i pozwalały iść ze znacznie mniejszym wysiłkiem niż podczas marszu w zwykłych butach. Przy pewnej zręczności udawało się nawet ześlizgiwać z górki i w ten sposób oszczędzać siły; sterować można było długim kijem i przez balans ciałem.

Muskiet na plecach ograniczał ruchy młodego Chastela, ale bez niego nie ruszał się za drzwi: dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Lejtnant de Beauterne oficjalnie zastrzelił bestię i teraz, z rozkazu króla, nie wolno było rozmawiać o niej publicznie.

Mordy wciąż się zdarzały. Świadkowie widzieli bestię, nikt jednak nie troszczył się o jej schwywanie, pomijając jedynie młodego markiza d'Apcher. Według króla bestia nie żyła.

*Będzie znowu zabijać.* Martwił się przede wszystkim o Julienne Denis, siostrę dzielnego młodego Jacquesa. Zniknęła w Wigilię, a wczoraj znaleziono ludzkie szczątki nad rzeką Planchette. Nie zostało nic ponad zamrożone strzępy mięsa, pogryzione kości i resztki wnętrzności. Po zwłokach nie dało się rozpoznać, czy to Julienne. Jacques i Jean Chastel nie przerwali poszukiwań; mimo to każdy zakładał, że młoda kobieta mogła posłużyć bestii za posiłek.

Ponure myśli odpływały. *Zaraz będę przy klasztorze.* Spotykali się z Florence tak często, jak to możliwe, choć i tak o wiele za rzadko, w szwalni, gdzie uwili sobie gniazdko miłości wśród wełny i bel materiału. Tam mogli całować się namiętnie, dotykać delikatnie i poznawać ciało ukochanej osoby; pieścili się wzajemnie w cichej ekstazie, przy czym coraz trudniej przychodziło im nie wydawać dźwięków głośniejszych niż namiętne stękanie.

Puls Pierre'a przyspieszył. Dziś, po tych wszystkich tygodniach, posuną się dalej. Nie chcieli czekać do nocy poślubnej. Co tam przyzwoitość, oboje tego pragną. Widział przed sobą jej białe ciało. Wyobrażał sobie, jak pieści jej miękkie piersi i drażni palcami i językiem wilgotne, ciepłe łono, a ona obejmuje jego kutasa ustami. Te myśli wystarczyły, by mimo mrozu zbudzić jego męskość.

Miał nadzieję, że Florence pojawi się dzisiaj na spotkaniu! Już kilka razy zdarzyło się, że gdy jemu udało się wymknąć z chaty, ona mimo umówionego sygnału nie zjawiała się w kaplicy, z której razem przez klasztorny kościół i podwórze szli do szwalni. Zawsze wtedy podczas następnej schadzki mówiła mu, że przeorysza nocą krąży wokół klasztoru. Jakby wiedziała, co wyprawiają młodzi ludzie. Jakby wietrzyła niebezpieczeństwo wiszące nad jej podopieczną, która zadaje się z mężczyzną skrywającym mroczną tajemnicę.

Pierre widział już, jak ośnieżone dachy klasztoru połyskują w świetle rosnącego księżyca; oparł się o kij i odetchnął powietrzem tak lodowatym, że poczuł klucie w płucach. Żaden wysiłek nie był dla niego przeszkodą. Nawet burza śnieżna nie powstrzymałaby go przed spotkaniem z ukochaną.

*Dziś w nocy to się stanie. Nareszcie się zjednoczymy! A potem przyznam się do wszystkiego ojcu i czcigodnej przeoryszy i poproszę o rękę Florence. Nie mogę bez niej żyć.*

Już dawno powiedzieli sobie o swoich zamiarach. Ślubowali sobie wieczną wierność, obojętne, co powiedzą na to Jean Chastel i przeorysza. Jego szczęście mąciła jedynie bestia. Dopiero jej śmierć i krew uwolnią go od ciężkiej klątwy. Ponieważ już dawno się nie przemieniał, miał nadzieję, że, przynajmniej częściowo, siłą własnej woli udało mu się unikać transformacji. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby skrzywdził Florence.

Pierre chciał się mocno odbić, kiedy po swojej lewej stronie usłyszał głośne, niezwykle wycie. Samotny wilk przemawiał do księżyca i dostał odpowiedź dobiegającą od strony klasztoru.

*W tej okolicy prawie nie ma już wilków,* pomyślał Pierre i skamieniał. *Bestia?* Natychmiast ukrył się za drzewem, aby nie być dostrzeżonym na jasnej powierzchni śniegu. Wiatr był dla niego korzystny. Nie zanieśie jego woni do nozdrzy zwierzęcia.

Zobaczył cień biegnący po łące przed klasztorem. To biegł na czworakach, to znów prostował się i poruszał jak człowiek. Nie miał wątpliwości, co widzi!

Dobry Boże w niebie, czy ma być mi dane, bym sam zdjął z siebie klątwę?

Pierre zdjął z pleców muszkiet i kilkoma ruchami dłoni przygotował go do strzału. Zdjął z butów niewygodne rakiety i cicho skradał się po chrzęszczącej bieli w kierunku, gdzie spodziewał się spotkać bestię. Nim dotarł w to miejsce, usłyszał podniecone warczenie i

szczekanie, a potem radosny skowyt, na który odpowiedzią było przeciągłe wycie.

Pierre ostrożnie posuwał się do przodu, czując, jak ogarnia go trwoga, gdy nagle uświadomił sobie, że będzie miał do czynienia z dwoma bestiami.

To nie może być Antoine... a może? A jeśli to naprawdę on, jak go rozpoznam?

Jego muszkiet, podobnie jak ojca, miał dwie lufy, wystarczające dla jednej bestii, ale nie dla dwóch przeciwników. Nie pozostało mu nic innego, jak wydłubać naboje z luf, dosypać więcej prochu i załadować do każdej cztery pociski. Potem przeżegnał się i posłał w niebo szybką modlitwę. *Wszechmocny i dobry Boże, proszę, pozwól, by muszkiet wytrzymał siłę tego wystrzału.* Upadł na śnieg i czołgał się przez zarośla, których gałęzie dawały mu osłonę. Widział przez nie, co dzieje się na polanie.

Bestie rzuciły się ku sobie, radośnie warcząc i parskając, przetoczyły się między drzewa, dopadały do siebie, odskakiwały, aż jedna z nich, najwyraźniej samiec, zyskał przewagę i przycisnął przegraną do ziemi. Chwytał jej miednicę i pociągnął do góry. Mruczała radośnie i uniosła zadek, by mógł w nią wejść. Szczeknęła ochryple, gdy to zrobił i zaczął rytmicznie uderzać.

Pierre z obrzydzeniem patrzył na parzące się bestie. Powoli wysunął z ukrycia muszkiet i skierował go na łeb samicy, spokojnie oddającej się porywom kopulacji. Obrzydliwy akt. Jednak Pierre miał przynajmniej pewność, którą z dwóch bestii jest jego brat.

Pograżone w instynktownej chuci, w której Pierre nie widział nic wspólnego ze szlachetnymi uczuciami łączącymi go z Florence, stwory nie spostrzegły obserwatora. Jednak gdy naciągnął kurki muszkietu, a te zaskoczyły z trzaskiem, Chastel został dostrzeżony. Dźwięk ostrzegł samca i straszliwy łeb z przenikliwymi czerwonymi oczami skierował się dokładnie na kryjówkę Pierre'a. Wilkołak natychmiast odbił się i odskoczył do tyłu.

Bóg ze mną!

Pierre strzelił do samicy, która jeszcze nie pojęła, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła i jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za krótką chwilę namiętności.

Odrzut poczwórnego ładunku pozbawił Pierre'a oddechu, kolba odbiła w tył z taką siłą, że usłyszał ciche chrupnięcie i poczuł w łopatce palący ból. Równocześnie usłyszał pisk samicy. Oznaczało to, że trafiła ją przynajmniej jedna z kul.

*Potrzebuję osłony.* Pierre wyczołgał się tyłem z krzaków, wstał i pobiegł do najbliższego drzewa, by na jego gałęziach znaleźć schronienie przed zemstą drugiego loup-garou.

Nim dotarł do buku, stanęła przed nim bestia.

Zagroziła mu drogę i dźwignęła się na tylne nogi, przewyższając go. Pysk miała otwarty, szczyrzyła zęby i ukazywała czarne gardło. Rozżarzone czerwone oczy iskrzyły się

jak piekielne rubiny, uszy położyła płasko po sobie. Pierre wyraźnie widział rudawe futro i charakterystyczne paski. Uniósł muszkiet.

- Antoine! - krzyknął, starając się nie okazywać ogromnego strachu przed stworzeniem. - Antoine, słyszysz mnie? - Wiedział teraz, jak czuły się jego własne ofiary na chwilę przedtem, nim je zaatakował, wbijał zęby i bezwzględnie rozszarpywał. - Poznajesz mnie? To ja! Pierre, twój brat.

Mięśnie bestii naprężyły się. Szykowała się do ataku, gdy usłyszała żalosne wycie drugiego stwora wzywającego ją i błagającego o pomoc.

To mogło oznaczać tylko jedno. Pierre nie wykonał jeszcze swego zadania. Dopiero gdy pierwotny sprawca klątwy będzie leżał martwy na śniegu, a oni nawarzą z jego krwi antidotum, wówczas skończy się ten cały koszmar.

Bestia zawarczała, przygarbiła się i odskoczyła w bok. Wołanie rannej towarzyszki było mocniejsze niż pragnienie zniszczenia wroga.

Pierre pomknął do buku i wskoczył na niego. Wszedł wyżej i wyżej, dopóki nie znalazł gałęzi, z której widział plac i leżące na nim postrzelone stworzenie. Jego salwa nie trafiła w głowę, ale podziurawiła klatkę piersiową. Krew, w świetle księżyca czarnej barwy, wyciekała na śnieg strumieniami, ale rany zaczęły się już zamykać. Pierre nie użył srebra, zatem celne strzały nie zdołały zniszczyć bestii. Starczyły jednak, by ją osłabić i przytrzymać na ziemi, póki nie uzdrowi jej zła moc. To była jego ostatnia szansa!

Naładował wystrzeloną lufę i ponownie wymierzył w łeb samicy. *Tak długo będę strzelał do tej szkaradnej czaszki, aż jej łeb całkowicie odpadnie od karku.* Młody człowiek wycelował dokładnie, wypalił i trafił bestię za uchem! Po drugiej stronie łba zadymiło, poleciały strzępy i śmignęły na śnieg; samica padła rzucona o ziemię, z głową gwałtownie przygniecioną impetem pocisku.

*Trafiona!* Pierre śpieszył się z doładowaniem broni. Oszczędzał lufę z czterema kulami. Nie wykorzystywał jej tylko dlatego, że z tej odległości niemożliwe było trafienie do celu. *Boże, bądź nadal przy mnie! Jeszcze dwa strzały i po wszystkim.*

Wiedział o tym jednak również samiec loup-garou. Wrócił. Warcząc, skakał na drzewo, na którym siedział strzelec. W biegu dźwignął się na tylne łapy i wykorzystał impet rozbiegu, by móc wyskoczyć na trzy metry w górę. Pazury wbiły się w drewno. Wilkołak wspinał się na drzewo jak kot, odzierając przy tym pień z kory, warcząc i parszcząc wściekle.

- Antoine, wracaj! - rozkazał Pierre i skierował muszkiet ku zbliżającej się bestii. - Będę strzelał!

Garou spojrział w wylot lufy, przesunął się w bok i zniknął z pola widzenia myśliwego.

Kawałeczki kory poleciały na stratowany śnieg. Pierre słyszał, jak Antoine wbija w pień buku ostre szpony i nieprzerwanie się zbliża.

Młody Chastel przewiesił muszkiet na plecy i również zaczął wspinać się wyżej. Zerkając w dół, widział przesuwane się w górę łapy. Jeszcze chwila i wilkołak go dogoni!

*Boże, wybacz mi to, co muszę uczynić.* Prześliznął się wokół pnia, aż ujrzał swego przemienionego brata. Wziął broń, wycelował pionowo w dół w głowę i nacisnął spust.

W tym samym momencie Antoine podniósł ku niemu wzrok, jego oczy zabłysły groźnie i znów zniknął za pniem. Pociski przeleciały, mijając ofiarę.

Nim Pierre zdołał coś zrobić, jego prawą nogę chwyciła mocna łapa, a zaraz potem warczący loup-garou zawiesił się na niej całym ciężarem i gwałtownie ściągnął go z gałęzi.

Razem polecili na ziemię. Głowa Pierre'a uderzyła o twardy przedmiot. Stracił przytomność, zanim spadł na śnieg.

Florence ocknęła się mokra od potu w środku straszego sennego koszmaru. Serce wciąż waliło jej jak oszalałe, całe ciało sprawiało ból. Wyjrzała przez okno: na zewnątrz panowała ciemność. Pokój oświetlała srebrna księżycowa poświata.

Zasnęła! Książka, którą czytała, by czuwać, leżała przy łóżku. Szybko wyskoczyła naga z łóżka i spojrzała na małe okienko kaplicy. Odetchnęła z ulgą, ujrzawszy słabe światełko za barwnym szkłem. Wiedziała, że Pierre wciąż na nią czeka.

Szybko narzuciła gruby zimowy płaszcz, wzięła buty i przekradła się przez dom przeoryszy, schodami w dół, do wyjścia. Drżąc z zimna, pobiegła przez podwórze, czując, jak dostaje gęsiej skórki i twardnieją jej brodawki piersi. Wykradła klucz od klasztornej kościoła, otworzyła nim boczne drzwi, przesunęła się przez nie i przemknęła przez nawę ku przejściu do kaplicy.

Radość oczekiwania na miłosną noc, mającą przypieczętować to, że należą do siebie na wieki, rosła z każdym krokiem. Gdy weszła do przybudówki, ledwie mogła się już doczekać, kiedy będzie leżała w ramionach Pierre'a i w końcu poczuje go w sobie; mieszały się w niej ciekawość i strach.

- Pierre? - powiedziała i rozejrzała się, szukając go wzrokiem.

- Tu, u góry - dobiegła wyszeptana odpowiedź z chóru.

Florence niemal pofrunęła w górę drewnianymi schodami, rozchylając przy tym płaszcz, by uwieść go widokiem swego nieosłoniętego ciała...

...i przerażona zamarła na ostatnim stopniu.

- *Antoine?* - szybko otuliła się ubraniem.

Brat jej ukochanego stał przed nią w szerokim rozkroku, obejmując dłonią łufę

muszkietu, którego kolba opierała się o podłogę. W drugiej ręce trzymał bukiet janowca. Wyglądał jak najeźdźca stwarzający pozory, że przybywa w pokoju, choć równocześnie grozi przemocą. Nietrudno było domyślić się, czego od niej chce. I co weźmie siłą, jeśli ona mu tego nie da.

- Dobry wieczór, Florence. Chciałem przynieść ci kwiaty, ale niełatwo o nie w zimie. -  
Uniósł ciernisty janowiec. - Mam nadzieję, że docenisz moje dobre chęci.

Wcale się do niego nie odezwała, tylko odwróciła się i pobiegła schodami w dół, chcąc uciec przez bramę i dotrzeć do bezpiecznego klasztorного kościoła. On śmiał się za jej plecami, rozbawiony próbą ucieczki.

Florence wybiegła spod chóru, gdy nad jej głową przeleciał cień i wylądował przed nią. Antoine zamortyzował kolanami skok i wyprostował się, jakby przesadził właśnie wąski strumyczek, a nie zeskoczył z wysokości trzech kroków. Szczerył zęby w diabolicznym uśmiechu, długie czarne włosy strąkami zwisały wokół jego twarzy, zielone oczy żarzyły się niedobrym blaskiem, a zęby wydały się jej nienaturalnie mocne i ostre. Ciemna broda zgęstniała.

- Florence, czemu przede mną uciekasz? Czyż nie jestem przystojniejszy od mego brata?  
- Zrobił ku niej szybki krok i chwycił za prawe ramię. Pociągnął dziewczynę ku sobie, rozchylił jej płaszcz i gapił się na nią. - Jesteś bardziej warta pożądania niż każda z kurew, jakie dotąd miałem - szepnął i przesunął janowcem po jej lewej piersi. - To będzie coś zupełnie...

Florence pomacała za sobą, chwyciła świecznik i uderzyła Antoine'a w twarz. Metal rozciął skórę, zostawiając zięjące rozcięcia na policzku; natrętny mężczyzna zatoczył się i upadł na posadzkę kaplicy.

Florence minęła go. Małe drzwi były w zasięgu ręki, gdy Antoine znów pojawił się jakby znikąd. Krzyknęła przerażona. Rana... zmieniła się w cienką białą linię na brodzie, a połyskująca czerwienią wilgoć na włosach przypominała jedynie o ciosie, który mu zadała!

- Na Boga Wszechmogącego! Kim... kim ty jesteś?

Antoine chwycił ją za włosy i wymusił pocałunek; lizał językiem jej wargi i chciał wniknąć w usta. Odsunęła się z odrazą. Wytrzeszczyła oczy ze strachu: widziała zęby drapieżnika i słyszała, że mężczyzna warczy jak wilk.

Nagle przez kaplicę powiał zimny wiatr. Świeca przy barwnym witrażu zamigotała i zgasła, a potem rozległ się ogłuszający huk.

Florence poczuła powiew podrywający jej włosy i dostrzegła, że głowa Antoine'a poleciała w tył. Z rany pod lewym okiem poleciała krew, spryskując nagą pierś Florence.

Chastel zajęczał boleśnie i upadł między kościelne ławki.

Florence zobaczyła przy wejściu postać z wycelowanym muszkietem, z którego lufy leciał dym. Światło księżyca sprawiało, że twarz mężczyzny połyskiwała metalicznie.

- Szybko, *mademoiselle* Florence, uciekajcie! Ale nie mówcie nikomu ani słowa - usłyszała mężczyznę mówiącego z cudzoziemskim akcentem. - Ja zajmę się bestią.

# Rozdział XXII

Chorwacja, Plitvice,

17 listopada 2004, godz. 22:33

- Nie, nie ma zakażenia, Leno. - Eryk nakleił na ranę plaster i ściągnął w dół podkoszulek i sweter pacjentki. - Kiedy rana swędzi, to znaczy, że się goi.

- Ona nie *swędzi*, a *pali!* - poprawiła oburzona Heruka. - Co, jeśli pańskie mądre książki się myślą i aby zostać bestią wystarczy być podrapanym przez wilkołaka?

Eryk nie odpowiedział, tylko sięgnął po pilota do telewizora. Siedzieli na łóżku w pokoju hotelowym, skakali po kanałach w poszukiwaniu stacji, która proponowałaby jakiś ciekawy program. Większości nie rozumieli, a grad przerw na reklamy irytował. Eryk ubrany był już tylko w czarne slipki, podczas gdy ona miała na sobie niemal kompletny zimowy strój maskujący, choć w pokoju było bardzo gorąco.

Leny nie zadowolili diagnoza von Kastella.

- A co, jeśli Nadolny wcześniej oblizwał palce?

Eryk zaniemówił, a potem roześmiał się.

- Rzeczywiście, to mogłoby zadziałać.

- Super - mruknęła. - Ja wilkołakiem. W takim razie na pewno będę musiała jeszcze częściej golić nogi. - Upięła wysoko brązowe włosy, ukazując Erykowi nagi kark.

Żałował już, że wkrótce nie będzie jej przy nim i nie miał przy tym na myśli wyłącznie seksu. Eryk, choć wściekły, musiał przyznać sam przed sobą, że się w niej zakochał. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Zawsze obawiał się takiego obrotu rzeczy. Jeszcze jeden powód, by wywieźć Lenę ze strefy zagrożenia.

- Proszę się położyć - doradził jej. - Jutro będzie męczący dzień.

- Maszerować po śniegu, nie stracić orientacji w puszczy, uciec przed strażnikami parku i dopaść wilkołaka - wyliczyła. - Myślę, że ma pan rację. - Lena przesunęła się na swoją stronę łóżka. Nagle wychyliła się do przodu i pocałowała go w usta. - Dobranoc, Eryku. - Jeszcze jedno uwodzicielskie spojrzenie ciemnozielonych oczu, potem odwróciła się. Rozbierała się powoli. Części ubrania spadały na wykładzinę.



To była złośliwa zemsta za to, że on nie chce już mieć jej przy sobie: rozpałił i dał kosza. Eryk patrzył na Lenę od tyłu: na linię jej piersi i jasną skórę, kontrastującą z brązowymi włosami. Poruszone jej ruchami powietrze przyniosło jej zapach i jego penis się poruszył. To było ze strony Leny w najwyższym stopniu nie w porządku! Eryk szybko zdjął okulary, żeby Lena stała się nieostra i mniej pociągająca w jego oczach.

Gdyby miał okulary, na pewno nie zauważyłby szybkiego ruchu za oknem. Jednak dostrzegł go w porę i zareagował. Prawa dłoń Eryka wsunęła się pod poduszkę i wyjęła pistolet, druga sięgnęła po srebrny sztylet leżący na nocnym stoliku.

W tym samym momencie okno eksplodowało.

Po chrzęszczących okrucach szkła przemknęła postać z rozżarzonymi czerwonymi oczami i natychmiast rzuciła się na von Kastella. Na Lenę w ogóle nie zwracała uwagi; chciała pozbyć się większego zagrożenia.

Palce Eryka zamykały się właśnie na rękojeści sztyletu, gdy napastnik zmiotł go z łóżka. Otaczał go obrzydliwy smród. Tak cuchnęły klatki zwierząt w zoo; skoncentrowany zapach drapieżnika i czystej agresji.

Upadli na podłogę, ściągając za sobą pościel. Ręka ze sztyletem wplątała się w prześcieradło i von Kastell nie mógł jej użyć do obrony. Podłużny pysk bestii wydał się w oczach Eryka ogromny. Łowca wilkołaków instynktownie upuścił pistolet i chwycił kurczowo gęste futro na gardle wilkołaka, wyhamowując w ten sposób jego ruch naprzód. Paszcza kłapnęła kilka centymetrów przed twarzą Eryka, który usłyszał głośny zgrzyt zębów i dojrzał dziąsła pod rozdziawionymi wargami. Odór z pyska nie ustępował smrodowi wydzielanemu przez futro. Siła rozwścieczonej bestii nie dała się porównać z siłą żadnego z dotychczasowych przeciwników Eryka. Wilkołak cisnął jego ramię w dół, zęby zbliżyły się do krtani, z pyska kapała gorąca ślina i ściekała po twarzy von Kastella.

Trzasnęło raz, drugi, trzeci tuż przy uchu Eryka. Z wylotu lufy wystrzeliły jaskrawe kwiaty ognia, oświetlając okropny łeb bestii. Pierwsza kula przeszła jej szyję i krew trysnęła po drugiej stronie jak woda mineralna ze wstrząśniętej butelki. Pozostałe ugodziły ją w ramię.

Z wściekłym, brzmącym bardzo po ludzku krzykiem bestia zsunęła się z Eryka i doskoczyła do Leny, która odważyła się podnieść Tokarewa i włączyć do walki.

- Nie! - krzyknął przerażony Eryk, chwytając bestię mocno za kolano, które jednak wysliznęło mu się z palców. Pistolet strzelił jeszcze dwa razy, a potem rozległ się krzyk śmiertelnie przerażonej Leny, który został zagłuszony tryumfalnym rykiem wilkołaka.

Eryk poderwał się i rzucił na bestię. Ta opuściła łeb i kiwała się w przód i w tył, stojąc na czterech łapach nad Heruką. Nogi kobiety wystające spod cielska wilkołaka drgały. Lena

krzyczała, charczała, a z jej krtani wydobywało się gulgotanie.

Nagle ustało.

- Nie!

Eryk zamachnął się z całej siły i dźgnął bestię.

Zawarczała i odskoczyła. Ostrze chybiło serca, rozcinając jedynie ramię potwora. Stwór zawył, okręcił się i kłapnął zębami w kierunku Eryka.

Von Kastell dostrzegł mnóstwo krwi na pysku i szerokim łbie wilkołaka; oczy iskrzyły się gniewnie, jakby chciały powiedzieć: *Popatrz, zabiłem ją, a ty nie mogłeś nic na to poradzić.*

Bestia skoczyła.

Eryk liczył się z atakiem i niczym torreador uchylił się, dokładnie wyliczając obrót ciała i równocześnie opuszczając sztylet. Trafił bestię w bark. Ta zawyla przeraźliwie, gruchnęła na ramę łóżka i z ogromnym wysiłkiem, zataczając się, stanęła na nogi.

Serce Eryka waliło niczym młot.

Rudawy kolor futra, czarne pręgi, czerwone oczy - jakże dobrze znał tę szkaradę.

To *ta* bestia!

Całe jego życie i wszelkie działania zmierzały do tego spotkania. Wszystkie ofiary poniesione przez niego i jego rodzinę nabiorą wreszcie sensu.

- Idź do diabła - szepnął i natarł z zapalem na przeciwnika.

Bestia uskoczyła i uciekła przez rozbite okno. Z jej punktu widzenia nadeszła pora, by opuścić pole bitwy i poczekać na lepszy moment. Rany zadane srebrnym sztyletem z pewnością ją bolały; ostatni cios omal jej nie zabił.

Eryk widział, jak jego odwieczny wróg znika. Na ramie okna pozostał wyraźny ślad krwi. Wtedy spojrzał na Lenę.

Nie była martwa.

Jeszcze nie.

Przekręciła się z pleców na brzuch. Kwiliła cicho, dociskając palce do rany na szyi. Przeciekał przez nie czerwony strumień. Pokój wypełniła metaliczna woń. Z ciemnozielonych, szeroko otwartych oczu wyzierały szok i szaleństwo. Lena wyciągnęła lewą rękę w kierunku Eryka, szukając pomocy.

- Wybacz mi - wyszeptał.

I wyskoczył przez okno.

Nikt nie uwierzyłby komuś opowiadającemu, że widział osobliwego, szkaradnego wilka,

jak wyprostowany, to znów na czterech łapach uciekał przez noc, goniony przez faceta ubranego w czarne slipki. Mężczyzna wykonał nieludzko wysoki skok przez płot Parku Narodowego, a w jego dłoni błyszczał srebrny, usmarowany krwią sztylet.

Jednak tak właśnie było.

Eryk nie czuł chłodu. Gorączka polowania pulsowała w jego żyłach i rozgrzewała ciało. Widział przed sobą bestię w jej czystej postaci, gnał za nią po ścieżkach parku, niestrudzenie utrzymując mordercze tempo pogoni. Wilkołak rzucił się w zarośla poniżej jeziora Kozlak, jednak i to mu nie pomogło. Jego śladem podążał wyjątkowo zawzięty myśliwy. Im szybciej biegli, tym więcej krwi pompowało serce rannego stwora, wyraźnie go osłabiając.

Eryk nie przejmował się zadrapaniami od smagających go gałęzi i kolców; oddałby nawet całe ramię, byle dopaść bestii.

Nagle stracił ją z oczu.

Zatrzymał się. Oddychał płytko, nasłuchując odgłosów lasu. Rosnący księżyc świecił poprzez drzewa, biel śniegu odbijała światło, spychając całkowitą ciemność między pnie. Eryk nie słyszał... nic. Całkowita cisza. Stwór musiał zaciąć się za którymś z drzew albo krzaków w nadziei, że myśliwy go nie zauważy. Eryk wziął głęboki wdech, szukając w czystym powietrzu odoru bestii i zapachu jej krwi. Chciałby teraz mieć przy sobie swoją lornetkę; dzięki wrażliwości podczerwieni na temperaturę ciała, natychmiast odnalazłby wroga.

Von Kastell stał na chłodzie i nasłuchiwał.

Czas włókł się niemiłosiernie.

Nikt się nie poruszał.

Teraz lodowaty chłód dotarł do Eryka. Jego ręce i nogi zaczęły drżeć. Nie wytrzyma długo. Strategia bestii była skuteczna.

Nie!

- Pokaż się! - wykrzyczał swoją złość. - Czy *to* ma być koniec? Ja zamarznię, a ty się wykrwawisz?

Coś zaszeleściło na lewo od niego i z gałązek posypał się śnieg.

Eryk trzymał w zaciśniętej pięści sztylet ze skierowanym w dół ostrzem i zerknął jedynie na chwilę w tamtą stronę, przekonany, że atak nastąpi z innego miejsca. Ułamaną ciernistą gałęzią podrapał się po ręce, piersiach, ramionach; z ran pociekły życiowe soki.

- Chodź i napij się mojej krwi, jeśli się nie boisz! - krzyknął wyzywająco. Słodki aromat rozszedł się po ciemnym, cichym lesie. Dla głodnego i rannego drapieżnika była to przynęta nie do odrzucenia. - Zasmakuję ci i da siłę. - Ciało Eryka wyglądało, jakby wysmagano je

cienkimi nylonowymi nićmi. - Czujesz moją...

Po jego prawej stronie od zarośli oderwał się cień wielkości wilka i pognał po śniegu wprost ku niemu, wzbijając w powietrze białe płatki. Erykowi przypomniał rekina, mknącego z zawrotną szybkością w stronę łupu. Von Kastell przygarbił się w oczekiwaniu na uderzenie.

Bestia z całą pozostałą jej jeszcze siłą odbiła się od ziemi i wyskoczyła z wściekłością wygnanego z raju anioła w kierunku człowieka. Szeroko otwarty pysk celował w krtań.

Eryk zrobił coś nieoczekiwanego: uniósł lewe ramię, pozwalając ostrym kłom wbić się w ciało aż po kości przedramienia. Ból był nie do opisania. Myśliwego przeniknęły równocześnie ogień i lód. Sądząc po przytłumionym trzasku, kość pękła pod siłą nacisku szczęk, jakby nie była grubsza od gałązki. Eryk upadł na plecy, a bestia wylądowała na nim.

Cena, jaką wilkołak zapłacił za swój zwieńczony powodzeniem atak, była wysoka. Srebrne ostrze sztyletu wbiło się w miękkie podbrzusze. Eryk pociągnął nóż ku górze, chcąc rozciąć ciało wzdłuż, aż po żebra.

Czerwone oczy bestii zamrugwały, ale nie zgasły. Szeroki pysk szarpał ramię Eryka, próbując wyrwać je ze stawu łokciowego i oderwać, gdy ostrze wbiło się od dołu w gardło wilkołaka.

- Zgiń nareszcie!

Na Eryka trysnęło jeszcze więcej krwi; pociekła z sykiem, uciekając od srebra, na jego zadrapania i splukała strupy.

Siła przemienca słabła, jednak nie znikła całkowicie. Wiedział, że jeśli tu zostanie, oznacza to dla niego śmierć. Puścił Eryka i pobiegł do lasu tak szybko, na ile pozwalały mu ciężkie rany.

- NIE!

Eryk przekręcił się na brzuch i rzucił sztyletem w ciemną sylwetkę.

- Wracaj!

Nagle ziemia zachwiała się, świat wokół niego zatańczył. Von Kastell opadł z sił. Osłabiły go wysiłek, rany oraz chłód.

Przez chwilę Eryk leżał wycieńczony na śniegu, wpatrując się z rozpaczą w rozgwieżdżone niebo. Nie był w stanie biec za bestią.

Zdawało się, że minęła wieczność, nim zdołał wyprostować się, pojękując. Nie miał na sobie nic nadającego się do zrobienia opatrunku, jedynie slipki. Owinął więc nimi ugryzienia na przedramieniu w nadziei, że rany wkrótce zagoją się i kość wyzdrowieje. Klęczał nagi na śniegu, podparł ranne ramię zdrowym, podniósł głowę i głośno wykrzyczał swój palący ból. Jego głos zabrzmiał bardziej zwierzęco niż ludzko, wybudzając ze snu każde stworzenie w

parku, które zdołało go usłyszeć.

Drżąc, podniósł się. Zatoczył się, by wreszcie z trudem odzyskać równowagę, by pójść do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć sztylet. Po chwili poszukiwań natrafił na niego w śniegu. Na rękojeści widniał odcisk zębów bestii. Brakowało z górą jednej trzeciej ostrza. Było odłamane. Czyżby nadal tkwiło we wrogu? Eryk podniósł broń. Zatem bestia jest przynajmniej ranna na tyle poważnie, że nie zdoła daleko uciec. Jeśli von Kastell będzie miał szczęście, srebro ją zatruje.

Wiatr przyniósł mu nagle alarmującą woń. Myśliwy głęboko wciągnął nosem zimne powietrze. To był zapach...

...kobiety! Zmieszany z dezodorantem i dziwnymi perfumami... nie, nie perfumami. Kadzidłem.

Eryk wśliznął się w zarośla i w pewnej odległości znalazł w śniegu odciski butów. Potem dostrzegł migotanie. Pochylił się i podniósł szczątki srebrnego łańcuszka z zamocowanymi do niego różnej wielkości kuleczkami. Oderwał kawałeczek materiału slipek i troskliwie owinał nim swoje znalezisko.

Nagle ciszę przerwały strzały.

Eryk rzucił się na ziemię i przetoczył za najbliższe drzewo. Kule śmigły obok niego. Ostrzał nie chciał się skończyć. Sądząc po staccacie strzałów, napastników było co najmniej dwóch i mieli automatyczną broń. Najwyższa pora na odwrót.

Przygarbiony Eryk ruszył biegiem, kryjąc się cały czas za drzewami. Ku jego zaskoczeniu nieznajomi wstrzymali ogień i pozwolili mu uciec. Najwyraźniej chcieli go tylko zastraszyć, a nie zabić. Ale dlaczego?

Po strzelaninie i hałasach w hotelu na pewno zjawiała się policja, dlatego Eryk zdecydował się ukryć w kwaterze zapasowej. Bez wiedzy Leny zarezerwował telefonicznie pokoje w dwóch dodatkowych hotelach. Tak było po prostu bezpieczniej. Nigdy nie wiadomo, jak skończy się polowanie. Tym razem znów przydała się jego przezorność.

Gdy biegł w kierunku jeziora Kozlak, by oczyścić się z krwi, jego myśli nie zajmowali niespodziani wrogowie, lecz Lena.

Nigdy nie był szczególnie wierzącym człowiekiem, ale teraz z całego serca prosił Boga, żeby umarła.

W przeciwnym razie będzie musiał ją zabić.

# Rozdział XXIII

31 grudnia 1765, okolice Auvers,  
klasztor Saint Grégoire

- Pierre?

Sprawiające mu ból głaskanie wyrwało go z omdlenia, a gdy wtarto mu w kark lodowaty śnieg, znikły resztki oszołomienia.

- Co...? - jęknął, podniósł się i zobaczył przed sobą zatroskane oblicze ojca. Poruszył rękami i nogami: pomijając tępy ból w biodrze, wyglądało na to, że nic sobie nie zrobił podczas upadku. Nogawka spodni była rozcięta, a pazury bestii przebiły nawet grubą skórę buta. - To był Antoine - oznajmił i wstał. Jean musiał go podeprzeć. - Ja... ja widziałem go, jak wymyka się z chaty i poszedłem za nim - skłamał, aby nie przyznawać się, dlaczego naprawdę kręcił się w okolicy klasztoru. - Chciałem go powstrzymać.

Leśniczy wymierzył mu policzek.

- To za to, że poszedłeś sam - wyjaśnił, ale mimo to widać było, że odczuwa bardziej ulgę niżli złość. - Co się stało?

Pierre pośpiesznie opowiedział mu o wydarzeniach. Twarz Jeana zachmurzyła się.

- Parzyli się? Zatem musimy w najbliższych miesiącach zabić tego stwora, inaczej bestie i ich żarłoczność wytrzebią całe Gévaudan.

Pierre zauważył, że pada gęsty śnieg. Płatki dawno już zakryły ślady, nie pozwalając odgadnąć, gdzie poszli Antoine i jego zwierzęca nałożnica.

Nagle usłyszeli przytłumiony strzał, a zaraz po nim drugi.

- To z Saint Grégoire! - Pierre ruszył biegiem; strach o Florence dodał mu sił. Jean pędził za nim po głębokim śniegu, wśród białej zamieci.

Nagle jego syn zatrzymał się. Przed nimi, spośród gęsto padających płatków, wynurzył się cień: ktoś niósł na rękach mężczyznę.

- Malesky? - zdziwił się Jean, rozpoznając przybysza.

- Dobrze, że was spotykam - wydyszał tamten pod ciężarem. - Proszę, to wasz syn... wy go nieście! - Rzucił postrzelonego Antoine'a na śnieg. Twarz rannego przypominała krwawą

miazgę. Również z lewego ramienia ciekła krew i z jakiegoś powodu tym razem rany same się nie zamykały.

- Srebro - oznajmił zwięźle Mołdawianin. - Najlepiej na nie działa. - Wskazał za siebie. - Powinniśmy iść, *messieurs*. Mniszki nie są głuche i na pewno słyszały moje strzały. Florence nic nie zdradzi, przysięgła mi.

- Czy z nią dobrze? - zapytał Pierre, pomagając ojcu zarzucić na ramiona rannego brata.

Malesky skinął głową i poklepał go po ramieniu.

- Przybyłem w porę, aby zapobiec bliższej znajomości między nią a waszym bratem.

- Dziękuję!

- Nie dziękujcie mi - powiedzcie mi lepiej, dokąd mamy teraz iść. Przy tej burzy nie dotrzemy do waszego domu.

- Tu niedaleko jest kryjówka. - Jean wskazał na północ. - Ale najpierw powiedzcie mi...

- W drogę - przerwał mu Malesky i ruszył przodem. - Porozmawiamy później, w ciepłej chacie.

Ruszyli wszyscy trzej, przedzierając się przez gęsty las i wzmagając się zamieć, aż wreszcie dotarli do jednej z tajnych kryjówek Antoine'a. Jean nie znał ich wszystkich, wiedział tylko, że istnieją i że syn trzyma w nich swoje psy.

Weszli wreszcie do małego domku, w którym już tyle razy się spotykali, zanieśli Antoine'a do murowanej piwnicy pod szopą, spętali łańcuchami, krepując go tym razem podwójnie mocno. Dopiero wtedy Jean zajął się ranami.

Strzał w twarz Malesky oddał pod takim kątem, że nie mógł być śmiertelny; kości policzkowe zrastały się już, cicho trzeszcząc. Porastała je nowa skóra. To była zwykła ołowiana kula. Również strzał w ramię nie zabił Antoine'a. Ta rana jednak zadana była srebrną kulą. Osłabiła go i przyprawiła o ból, do którego nie nawykł; jego twarz krzywiła się, mimo że był nieprzytomny.

- Dziękuję, *monsieur* Malesky - cicho powiedział Jean.

- Za co?

- Że nie zabiliście mojego syna. Jesteście doskonałym strzelcem, jak dowiedliście tego w wąwozie Béal. To nie przypadek, że Antoine jeszcze żyje. - Otarł krew koszulą leżącego i zwrócił się do znajomego. - Dlaczego go nie zastrzeliliście?

Malesky był zajęty binoklami, czyścił je w niemającym końca rytuale wodą stopioną ze śniegu. Nareszcie zacisnął je sobie na nos. Uśmiechał się.

- Lepiej nie uważajcie mnie za dobrego człowieka, *monsieur* Chastel. On żyje, bo nie jest tym stworzeniem, na które poluję. Szukam samicy. Jest bardziej niebezpieczna. Lepszej

przynęty niż wasz syn nigdzie nie znajdziemy. - Wskazał na ranę na ramieniu. - Srebro tkwi jeszcze w kości. Musicie je wyciągnąć, bo inaczej może go z czasem zatruć i sprawić, że umrze. Nie dziękujcie mi za wcześniej. - Malesky wspiał się po drabinie do szopy. - Porozmawiamy, jak tylko tu skończycie, *monsieur* Chastel.

- Uważajcie, kiedy będziecie wychodzić. Może tu gdzieś być Surtout i inne psy.

Jean rozebrał Antoine'a, odsłaniając miejsce, w którym tkwiła kula. Pierre asystował mu, rozchylając brzegi rany, co nie było łatwe, gdyż zdolność do regeneracji właściwa wilkołakom sprawiała, że ciało chciało się zrastać i goić. Tylko tam, gdzie tkwiło srebro, nic się nie działo. Włókna syczały i obumierały natychmiast, gdy tylko dotknęły metalu.

Dla Jeana opatrywanie ran z polowania nie było nowiną. Nierzadko przytrafiały się naganiaczom na służbie u szlachty, gdy napędzali jelenie albo inną dziczyznę. Dla starego Chastela nie było więc wielkim wyzwaniem wyłuskanie kuli tkwiącej głęboko w kości, tym bardziej, że wiedział, iż rana zagoi się i nie trzeba się nią przejmować.

Wydłubał srebro z białego stawu, odłożył na bok i obserwował z fascynacją równą odczuwanemu obrzydzeniu, jak rozpoczyna się proces gojenia. Po kilku minutach on ani Pierre nie widzieli na skórze nic poza bladą różową kreską.

- Zostań z nim i uspokój go, gdy się obudzi - powiedział Jean do starszego syna. - Wyjaśnij mu, co się stało i wytłumacz, że zawdzięcza życie Maleskiemu.

Pierre nie zgadzał się.

- Muszę dowiedzieć się, co zaszło w kaplicy! - obruszył się.

- Florence czuje się dobrze, słyszałeś przecież. - Jean wspiał się po drabinie. - Zostań z nim - przykazał surowo, opuścił klapę i po chwili ociągania zasunął rygiel. *Obaj muszą być zamknięci. Nie mogę im już pozwolić chodzić wolno. Będą siedzieli w tej szopie, aż bestia nie zginie*, postanowił pełen współczucia dla swych synów. Jednak zagrożenie dla całego regionu było zbyt wielkie.

Malesky rozgościł się w prostej chacie, odłożył płaszcz i przygotował kawę. Po pomieszczeniu rozszedł się uwodzicielski zapach drogiego, egzotycznego napoju.

- Skąd macie...

- Nigdy nie ruszam w podróż bez małej porcji - odpowiedział, uśmiechając się. - Jeśli dorasta się w kraju opanowanym przez Osmanów, wcześniej czy później człowiek rozsmakowuje się w tym trunku i uzależnia od niego. - Malesky nalał leśniczemu czarnego wywaru. - Uważajcie na osad na dnie. Jest niesmaczny.

Jean usiadł.

- Od kiedy wiecie, że Antoine to loup-garou?



- Nabrałem pewności, dopiero gdy zobaczyłem go w kaplicy Saint Grégoire. Przedtem... tylko podejrzewałem.

- A skąd wiedzieliście od razu, co dzieje się w Gévaudan? - Leśniczy spróbował gorzkiego napoju. Rozejrzał się za miodem, by go posłodzić. - Co miała znaczyć ta wcześniejsza gadanina o hienie?

- Najwyraźniej nareszcie my dwaj rozmawiamy ze sobą szczerze - powiedział Malesky, uśmiechając się krzywo. - Trzeba wam wiedzieć, *monsieur* Chastel, że nie pierwszy raz spotykam takie stworzenie. Zabiłem w życiu już dwadzieścia dwa *vukodlaki*, jak je u nas nazywają. Dziesięć z nich w mojej ojczyźnie, resztę w całej Europie. Ale ten szczególnie gatunek przemienca, który grasuje w Gévaudan, jest jedyny w swoim rodzaju. - Wziął łyka kawy, westchnął zadowolony i rozkoszował się zapachem gorącej pary. - Właściwie tropię samca. Miałem go na celu już co najmniej cztery razy, ale zawsze uciekł w ostatniej chwili. Nie wygląda jak zwykły wilkołak. Łączy w sobie wygląd różnych zwierząt: hieny, wilka i wielkiego kota. Sam diabeł wie, skąd się wziął. - Spojrzał nad krawędzią zaparowanych binokli. - Gdy usłyszałem pierwsze wieści z południa Francji, od razu wiedziałem, z czym walczą tutejsi ludzie.

- To my zwabiliśmy bestię do Gévaudan. - Jean przypomniał sobie o zwłokach *loup-garou* w Vivarais. - Zabiłem waszego samca... nie, to Antoine to zrobił. Strzaskał mu kulami łeb. Samica zaatakowała nas, zaraziła moich synów nasieniem zła i poszła za nami, by ukarać naszą ojczyznę za śmierć swego towarzysza.

- Przynajmniej zniszczyliście jedną z bestii. - Po Maleskim znać było ulgę. - Została nam druga, bo waszych synów nie liczę. - Milczał przez chwilę. - *Monsieur* Chastel... poszedłem dziś w nocy tropem Antoine'a i widziałem, jak on i samica parzyli się w swojej zwierzęcej postaci. Może się zdarzyć, że nasienie zakiełkuje i rozmnożą się. To byłaby groza, przy której tutejsze prześladowania Hugenotów wydadzą się niewinną igraszką - oparł stopy o drewnianą ławę. - Nie mam zielonego pojęcia, kto jest tą samicą. Wy wiecie?

- Nie. Ale chciałbym wam coś pokazać. - Jean poczuł, że kawa dodaje mu energii. Był znów żwawy i czujny. Pomacał pod stołem, gdzie w szczelinie ukrył złożoną w małą kosteczkę kartkę z przepisem na napój mający uwolnić jego synów od klątwy. Podał ją Maleskiemu. - Co powiecie na to?

Mołdawianin spojrzął przez swoje szkła na odpis, bardzo uważnie przeczytał wiersz po wierszu, po czym oddał kartkę leśniczemu.

- To dla mnie nowość, *monsieur* Chastel. Dotychczas zawsze zabijałem te stworzenia. Trzeba wam wiedzieć, że podczas moich podróży nie spotkałem jeszcze nikogo takiego jak

wy i wasi nieszczęśni synowie. Pewne jest jednak, że mamy teraz przynajmniej dwa powody, żeby zlikwidować samicę. - Opróżnił swój kubek. - Co jednak zrobicie, jeśli napój zawiedzie?

Jean zacisnął pięści.

- Nie może zawieść, *monsieur* Malesky.

- Ale gdyby... - upierał się tamten.

- Wtedy... będę musiał coś wymyślić. - Wywinął się Jean. - Moi synowie bez swojej winy zostali piekielnymi istotami i nie zaniecham niczego, co mogłoby uwolnić ich od straszego losu, wyłączając oczywiście pozbawienie życia.

Malesky uśmiechnął się, dodając mu otuchy.

- Nie jestem zwolennikiem czarów ani czarnej magii, ale w tym przypadku pragnę, żeby napój miał obiecane działanie. - Wstał i jeszcze raz zaparzył fusy. - Co wiecie o polowaniu na wilkołaki, *monsieur* Chastel?

- Żeby zabić, trzeba mieć srebro.

- I co?

- Nie mam pojęcia.

- *Mon dieu!* Pomimo że nie wierzycie w Boga, On się wami dość dobrze opiekuje! Znałem doświadczonych myśliwych, którzy mimo przygotowań zostali rozszarpani przez przemieńców. - Uniósł kubek jak w toaście. - Uważajcie na to, co wam powiem: srebro rani je i zabija jak zwykle zwierzęta, bo to jest metal księżycy. Księżyc ma nad nimi władzę. W noce pełni zmusza je do przemiany i nie mogą nic na to poradzić. Tajemnica zła wychodzi na jaw. Dla myśliwych to najlepszy czas na polowanie. Poza tym, wilkołaki mogą przemieniać się według upodobania, kiedy zechcą. - Postukał palcem w swój pas, za którym nosił zatknięty długi nóż. - Każcie sobie jak najszybciej zrobić sztylet ze srebra, *monsieur*. Do walki wręcz. Inaczej niedługo będzie po was. Na pewno zauważyliście na waszym synu, jak goją się wilkołacze rany. Dla pewności możecie zatruć ostrze i kule. Destylat z tojadu sprawia, że krew tężeje w żyłach loup-garou.

Jean słuchał oszołomiony.

- Skąd posiadliście takie tajemnice, *monsieur* Malesky? Ile jest tych stworów?

- Dużo czytam, wspominałem już wam o tym. - Krzywiąc się, odpowiedział siwowłosy mężczyzna. - Wiele z tych wiadomości wypróbowałem podczas swoich polowań. Pozwólcie sobie powiedzieć, że nie każdy zalecany środek pomaga przeciw każdemu przemieńcowi. Ich liczba... hm... - wzruszył ramionami - tego nie wiem, ale licząc z waszym odstrzałem, jest ich teraz o dwadzieścia trzy mniej - roześmiał się. - Co musicie jeszcze wiedzieć, gdy będziemy polować na bestię? - zastanowił się głośno. - Problemem jest mnogość legend, jakie krążą o

wilkołakach.

Przerwał nagle, spojrzął za okno i uśmiechnął się szeroko.

- Znam setki wilkołaczycy właściwości - mówił dalej rozbawiony. - Na przykład, na pewno nie wyglądają jak przeorysze obsypane długim welonem śniegu, którym zęby klekocą tak głośno, że zdradzają ich obecność. - Wskazał palcem na ościeżnicę. - Wprowadźcie ją do środka, nim zeszywnieje niczym deska.

Jak echo jego słów, rozległo się niepewne stukanie do drzwi. Jean poderwał się przestraszony, otworzył. Do pomieszczenia weszła Gregoria, której czarny płaszcz od stóp do głów pokryty był śniegiem. Drżała na całym ciele.

- *Bonsoir, messieurs* - wykrztusiła z trudem.

Leśniczy zdjął z niej płaszcz i podsunął krzesło przed kominek. Z wdzięcznością usiadła przy płomieniach, by po chwili Malesky mógł podać jej kubek wrzącej kawy. Prawie go wylała, tak sztywne były jej palce.

- Raczej *bonne nuit!* Co sprawia, że przychodzicie tutaj nocą, podczas okrutnej zameci, przeoryszo? - spytał Mołdawianin, udając wielkie zatroskanie. - Czy coś się stało? Bestia się pokazała?

Jean patrzył na nią nieufnie. Jej niespodziewane przybycie wydało mu się podejrzane, tym bardziej, że trafiła do tego domku na odludziu, znanego tylko nielicznym. Obawa, że przeorysza wie coś o bestii, jeszcze go nie opuściła.

- Zdarzyło się coś w kaplicy... były strzały. Znalazłyśmy na podłodze krew i pomyślałyśmy, że... że jeden z *messieurs* Chastel wytropił i schwytał bestię. - Wzięła łyka kawy. - Nadeszła pora, abym powiedziała wam prawdę, *monsieur* Chastel - oznajmiła i popatrzyła na niego długą chwilę. - Nie... nie połujecie na wilka. To loup-garou.

Jeanowi wydało się, że dostrzega w jej szarobrazowych oczach źle skrywany strach i troskę. Troskę o niego? W mgnieniu oka opuściła go wszelka podejrzliwość wobec mniszki.

Malesky udawał niedowiarka.

- Wielebna przeoryszo, czyście nie za wiele nasłuchali się gadaniny waszej trzódki? Naprawdę mielibyśmy uganiać się za stworem z bajki?

- To z pewnością nie bajka, *monsieur* Malesky - odpowiedziała twardo. - Nie jesteście stąd. Nie wiecie pewnie, że Francja już dawniej była głównym miejscem polowań na loup-garou.

- Macie na myśli te średniowieczne łowy, mające zniszczyć loup-garou, podczas których życie straciły tysiące nieszkodliwych wilków? A może chodzi wam o liczne procesy waszego Kościoła, wytaczane zwykłym ludziom z powodu opętania przez wilki albo przemienianie się

w nie, wielebna przeoryszo? Za pozwoleniem, to nie ma nic wspólnego z polowaniem na przemienców. To było czyste szaleństwo.

- Jesteście bardziej odcytani, niż mogłam się spodziewać - stwierdziła Gregoria. - Zapewniam was, że wilkołacza klątwa spotykała nie tylko prostych ludzi. Według dokumentów z Saint Grégoire inkwizytorzy urządzali polowania na loup-garou również w Owernii, Vivarais i Gévaudan. Najwyraźniej udane łowy, jak czytałam w protokołach. - Spojrzała na Jeana. Poznawał po niej, że naprawdę mówi szczerze, choć nie przychodzi jej to łatwo. - Niech Pan uchroni nas, aby bestie nie wróciły i nie zapragnęły znów wziąć sobie tej ziemi we władanie - szepnęła.

- Czy nie bardziej boicie się tego, że do drzwi waszego klasztoru zapuka nowy inkwizytor i sprawdzi was wraz z waszymi zakonnicami, jak zrobił to niegdyś w Bordeaux dobry sędzia Pierre de Lancre? - skomentował złośliwie Malesky.

- Lancre? - spytał Jean. Nie nawykł do tego, by inni spierali się z przeoryszą. - Co ma Bordeaux...

- Lancre zwracał szczególnie uwagę na *duchowe* opętanie przez diabła i w ciągu jednego roku znalazł nie mniej niż sześciuset winnych... - Malesky uważnie obserwował Gregorię. - *Monsieur* de Lancre obszernie opisuje wizytę u czternastoletniego pastuszka, którego z powodu jego oczywistego debilizmu skazano na pobyt w klasztorze. Mimo pobożnego miejsca wygnania nie opuszczała go ochota na słodkie ciało młodych dziewcząt. Był, jak twierdził de Lancre, loup-garou. Poprawcie mnie, jeśli mówię coś niewłaściwego, wielebna przeoryszo.

Gregoria poderwała się zdenerwowana.

- Świetnie rozumiem wasze insynuacje, *monsieur* Malesky, i nie życzę sobie takich zarzutów. Mamy w naszych murach dwie biedne istoty ludzkie z pomieszaniem rozumu i obie są tak łagodne, że boją się nawet muchy. Na pewno nie byłyby w stanie biegać i napadać na ludzi. - Ponownie zwróciła się do Jeana. - *Messieurs*, to *prawdziwy* loup-garou! - Wzięła płaszcz, chwilę szukała po kieszeniach, aż znalazła w nich kilka kartek papieru i podała je leśniczemu. - Zapisałam wam, co wiadomo o tych istotach i co możecie przeciw nim użyć, aby je zniszczyć. Nie jestem zresztą pewna, czy potrzebujecie mojej pomocy... *Monsieur* Malesky wydaje się wiedzieć wiele w tej materii.

- Ja? Cóż, odwiedziłem sporo bibliotek. Po drodze często padało i szukałem w nich schronienia.

Gregoria nie podjęła zaczepki mężczyzny. Jean sięgnął już po pierwszą kartkę. Dotknął przy tym przypadkowo ciepłych palców przeoryszy i najchętniej chwyciłby je, ale

powstrzymał to pragnienie, poprzestając na spojrzeniu jej w twarz. Ich oczy przez moment spotkały się, potem Gregoria spuściła głowę.

- Będzie wesoło! Chętnie się czegoś nauczę - mówił dalej Malesky i rozsiadł się wygodnie na narożnej ławie. - *Monsieur* Chastel, bylibyście tak mili i czytali głośno? Omińcie kawałki o srebrze. - Już przy pierwszym zdaniu Jean nabrał wątpliwości co do przydatności tego, co Gregoria wypisała z ksiąg w Saint Grégoire. - Garou potrafi czynić nie tylko zło, ale również dobro - powtórzył sceptycznie. - Poznaje się go po włosach na wnętrzu dłoni, zrosniętych brwiach, mocnym zapachu i nienasyconym pragnieniu kobiet oraz surowego mięsa.

- To ostatnie na pewno się zgadza - zauważył Malesky, którego twarz wykrzywiła się już w szerokim grymasie.

- Garou starzeje się wolniej i łatwo osiąga wiek ponad stu lat, choć zewnętrznie wygląda wciąż jak trzydziestolatek. Zęby nigdy mu nie wypadają i są białe jak śnieg. Nigdy też nie wchodzi na poświęconą ziemię...

- Jak więc wszedł do kaplicy? - natychmiast wtrącił się Malesky. - Wygląda na to, że nie wszystko tutaj jest prawdą.

- Loup-garou nienawidzi wiedźm i czarownic. Zwalcza je, gdyż boi się ich czarów, choć sam pochodzi ze świata magii. - Jean czytał, a jego niedowierzanie rosło z każdym wierszem. - Jego oczy potrafią opętać nawet najpobożniejszego, głos nakłania najzyczliwszych do złych czynów i zwabia do łoża dziewice przed weselem, by kraść im cnotę. Na dźwięk jego wycia każdy rzuca się do ucieczki, rany od jego ugryzień nigdy się nie goją, a pazury ma twarde jak kute żelazo i tnie nimi marmur i kamienie jakby były z wosku. - Opuścił kartkę. - Przeoryszo, chcecie napędzić nam strachu? Gdyby ten, co spisał te wątpliwe prawdy, miał rację, potrzebowalibyśmy u naszego boku niebieskich zastępów, aby stawić opór jednemu wilkołakowi.

- Jest tam coś jeszcze? - spytał Malesky, nabijając fajkę. - Lubię słuchać bajek.

- Spodoba się wam. - Przygotował go Jean. Prześliznął się już wzrokiem po kolejnych akapitach. - Ofiara loup-garou musi pozostać przy nim jako duch i tak długo mu służyć, aż garou umrze. O mój Boże... - nabrał powietrza. - Pełnia jakoby chroni wilkołaki, gdyż pławią się w świetle księżycy: każde ostrze z brzękiem złamie się na ich futrze.

Przerwał czytanie, gdyż Malesky wybuchnął śmiechem. Z uciechy zwiijał się na ławie, wymachując rękami. Ostrożnie odłożył fajkę na stół, żeby jej nie upuścić.

- Dość, *monsieur* Chastel, przestańcie - prosił, zanosząc się chichotem i mierzwiąc dłonią siwe włosy. - Pęknę ze śmiechu!

Gregoria patrzyła na niego gniewnie.

- *Monsieur* Malesky, nie okazujecie zbyt dużego szacunku moim staraniom, by uratować życie wam i *monsieur* Chastelowi.

- Szanuję wasze starania, wielbna przeoryszo. - Mołdavianin otarł z policzków łzy. - Mielicie rację, twierdząc, że posiadam wiedzę. To czy owo z tego, co przeczytał *monsieur* Chastel, może i się zgadza, ja jednak nic o tym nie wiem. Może są inne rzeczy zdolne powstrzymać wilkołaka, ale ja do niszczenia tych stworów preferuję srebro, obojętne, nóż czy kulę. - Malesky podszedł do kominka, chwycił rozżarzone polano i zapalił nim fajkę. - Działa jedno i drugie.

- Więc wy wiecie? - Gregoria wbiła w niego wzrok. - Zatem jesteście w Gévaudan na zlecenie Ojca Świętego?

- Nie, wielbna przeoryszo. Podróżuję na swoje własne zlecenie - odpowiedział, pykając fajkę. - Mam osobiste powody, które sprawiły, że rozpocząłem moją wyprawę krzyżową, by użyć waszego słownictwa. Z Watykanem z całą pewnością nie mam nic wspólnego. W Mołdawii Allah był mi bliższy niż Bóg chrześcijan.

Z hukiem otwarła się okiennica; wiatr obluzował zawias i miotał skrzydłem tam i z powrotem.

- Zamieć się wzmogła - powiedział Jean i podszedł do drzwi.

- Gdzie są wasi synowie, *monsieur* Chastel? - spytała Gregoria. - Nie chodzą chyba przy tej pogodzie po lesie i nie szukają bestii? Czy to oni schwytali stwora w kaplicy?

- Antoine i Pierre są... w małej chacie niedaleko stąd. Nie martwcie się - przyjaźnie uspokoił ją i wyszedł na zewnątrz. Przeorysza i Malesky zobaczyli, jak pojawia się za oknem, a lodowate podmuchy szarpiają jego ubranie i białe włosy, gdy próbuje zamocować oporną okiennicę.

- Dziś w nocy nie pójdziecie już do Saint Grégoire. - Malesky patrzył na płatki, przelatujące za szybą niemal poziomo, aż leśniczy nie pozamykał od zewnątrz jednego okna po drugim. - Przygotujcie się na to, że zostanieie tutaj. - Postukał ustnikiem fajki o pierś. - A przy okazji: to *ja* byłem w kaplicy, wielbna przeoryszo. Bestia zaskoczyła mnie podczas modlitwy. Musiałem się bronić i dziękuję sile wyższej, że kazała mi wziąć ze sobą mój muskiet do Domu Bożego, zamiast oprzeć go przy portalu o ścianę.

Jean wrócił, potwierdził zdanie Maleskiego o sile śnieżnej burzy i wskazał na izbę swoich synów.

- Wy, przeoryszo, będziecie spali tu, przy kominku, a ja dotrzymam towarzystwa *monsieur* Maleskiemu. Nie będziemy wam zatem przeszkadzać.

Mołdawianin skinął głową i wystukał fajkę.

- Noc była dość męcząca, zegniam się. Spoczywajcie w pokoju, choć jeszcze nie umarliście. - Puścił do nich oko i zniknął za drzwiami małego pokoiku Pierre'a i Antoine'a.

Jean miał nadzieję, że znajomy opuści izbę jako pierwszy. Dołożył do ognia polano i patrzył zamyślony, jak płomień tańczy po korze. Po chwili drewno zajęło się ogniem i zaczęło przyjaźnie trzaskać.

- Wiecie coś o antidotum? - Nie zwlekając, poddał Gregorię próbie. - Czy można uwolnić kogokolwiek od życia w postaci loup-garou, nie zabijając go przy tym? Zakładając, że udałoby się nam złapać go żywcem... Czy waszym zdaniem nie byłby to wspaniały tryumf nad złem, gdybyśmy uratowali jego duszę?

Gregoria długo milczała.

- W dokumentach klasztornych znalazłam kartkę, na której jest mowa o napoju, dzięki któremu można sprawić przemianę na powrót w człowieka. Podobno. - Spojrzała na niego. - Ale to... niechrześcijańskie. Nie wolno używać czarnej magii. To szlachetne, że chcecie ratować nieszczęśnika opętanego złem, ale... ale on jest nieodwracalnie stracony. Chciałabym być przy tym, kiedy go znajdziecie, modlić się przy jego boku o ratunek dla jego duszy i nie zostawić jej złu. - Przeorysza przenikliwie patrzyła na myśliwego. - Obiecacie mi, że każecie mnie natychmiast wezwać, nim ktokolwiek inny dowie się o waszych udanych łowach?

Jean odprężył się. Powiedziała prawdę! Ujął jej dłoń i uścisnął uroczyście.

- To obietnica, którą chętnie złożę.

Przez moment siedzieli tak naprzeciw siebie. Poświata ognia nadawała twarzy Gregorii urzekający wyraz. Jean czuł, jak jego ciało zaczyna brać we władanie inna moc, silniejsza od rozumu, każe mu pochylić się w przód i pocałować ją w usta.

Gregoria cofnęła głowę, ale myśliwy nie pozwolił jej uciec, natrafiając na jej wargi. Spróbował ją objąć, jednak przeorysza odsunęła się.

- *Monsieur* Chastel! Nie! - powiedziała, siląc się na stanowczość. - Oddałam się Bogu.

- Wybaczcie - wyjąkał strapiony i odsunął się od niej, nie puszczając jej dłoni. - Nie wiem, co mnie naszło.

- Ale ja wiem - powiedziała Gregoria i uśmiechnęła się do niego smutno. Była zmieszana. Jego usta wbrew temu, czego się spodziewała, były miękkie i ciepłe. Rozpalily w niej iskry, której nie wolno było pozwolić zaproszyć ognia. O mały włos zapomniałaby się. - To nie może się powtórzyć i proszę was, byście uszanowali moje życzenie. - Na chwilę położyła dłoń na jego policzku, jakby chciała go pogłaskać. Potem złożyła na jego czole krótki, matczyzny pocałunek. - Pozostańcie moim dobrym przyjacielem i idźcie do swego łóżka,

*monsieur* Chastel. - Zdjęła z szyi różaniec i przygotowała się do modlitwy.

Podniósł się.

- Będę... będę dla *ciebie* więcej niż przyjacielem - obiecał szorstko. Uśmiechnął się i poszedł do izby synów, by położyć się na łóżku Pierre'a. Malesky wybrał legowisko Antoine'a. Chrapał cicho; spał głęboko i mocno, nie przejmując się wyciem zamieci i gwałtownymi wstrząsami w narożnikach domu.

Jean przypisywał ożywiającemu działaniu kawy winę za to, że nie może zasnąć i widzi przed sobą Gregorię; obojętne, czy miał zamknięte, czy otwarte powieki. Podejrzewał, że przeoryszę trafi podobny problem.



# Rozdział XXIV

Chorwacja, Plitvice,

18 listopada 2004, godz. 08:01

W szpitalu nie było trudno dostać się do pokoju Leny. Wyposażony w lekarski fartuch, kartę pacjenta i stetoskop, Eryk przemaszerował obok policjanta, nacisnął klamkę i z absolutną pewnością siebie wszedł do pomieszczenia. Nie musiał nawet pokazywać legitymacji.

Lena spała. Leżała w jednym pokoju z czterema innymi kobietami. W jej ciele tkwiły liczne rurki, doprowadzające czerwone i bezbarwne płyny.

Z uchwytu w nogach łóżka von Kastell wyjął kartę choroby i zerknął na wartości. Jej ciało znakomicie goiło się po ciężkich ranach od pogryzień, węzły chłonne zabrały się do pracy. Tkanka regenerowała się szybciej niż u jakiegokolwiek innej pacjentki.

Z pewnością nie była martwa. Bóg albo ktoś inny nie wysłuchał jego modlitwy. Teraz miał przed sobą najstraszliwsze z wszystkich zadań, jakie kiedykolwiek postawiło przed nim jego powołanie.

Eryk zaciągnął wokół łóżka plastikowy parawan, aby nie mogły go zobaczyć pozostałe kobiety. Potem wyjął przyniesiony pod papierami srebrny sztylet.

Uniósł koldrę. Starannie przyłożył odłupany przy upadku czubek sztyletu do lewej piersi i leciutko naciał na kilka milimetrów miękkie ciało.

Cicho zasyczało.

Eryk przygnębiony zamknął oczy. Srebro dało mu ostateczną pewność: bestia posiała w Lenie nasienie zła i uczyniła z niej likantropkę. Heruka stała się jego wrogiem i musiał ją zniszczyć.

- Proszę to zrobić szybko - powiedziała niespodziewanie Lena i otworzyła oczy. - Nie chcę cierpieć.

Eryk patrzył na nią zrozpaczony. Wydało mu się, że dostrzega już w jej źrenicach dzikie iskry, świadczące, że zwierzę w Lenie wzmocniło się. Jak rak atakowało każdą komórkę, opanowywało ją i zmieniało. Zielen kobiecych oczu zamigotała jaśniej.

- Ja wiem, Eryku - powiedziała opanowana. - Ja... ja to w sobie czuję. To już mnie

zmienia - przełknęła. - Udało się panu?

Nie robiła mu nawet wyrzutów, że zostawił ją samą w hotelowym pokoju. Nie był w stanie odpowiedzieć. Patrzył tylko na jej śliczną, bladą twarz z uniesionymi brwiami.

W tym momencie zrozumiał, że nigdy nie będzie w stanie jej zabić.

Po prostu nie może.

- Już! - Położyła prawą dłoń na jego dłoni uzbrojonej w sztylet. - Proszę zadać cios. Nie chcę żyć jak inni przemienicy. Nie chcę, żeby ktoś przeze mnie umarł. - Spojrzała na niego błagalnie. - Proszę!

Eryk pochylił się i pocałował ją w czoło.

Spojrzała na niego ostrożnie.

- Pożegnalny pocałunek?

- Nie. To było... wyznanie, jakiego nigdy jeszcze nie zrobiłem żadnej kobiecie. - Ukrył sztylet w kieszeni fartucha. Z sekundy na sekundę życie von Kastella skomplikowało się. Przedtem składało się tylko z niebezpieczeństw, które mógł ocenić, nie troszcząc się o innych. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Przez Lenę.

Wziął jej dłoń.

- Chciałabyś żyć?

Jej oczy napełniły się łzami.

- Jako człowiek. Nie jako bestia - powiedziała. - Przecież nie mam już czasu na długie badania, żeby odkryć przepis i go wypróbować. Sam zauważyłeś, jak bezsensowne...

- Może jest lekarstwo - przerwał jej. - W każdym razie podejrzewam, że istnieje.

Lena uniosła się na łóżku.

- Eryku, co ty mówisz? - Pełne szczęścia niedowierzanie malowało się na jej twarzy.

- Mój ojciec posiadał próbkę z wysuszonym środkiem, który podobno pomaga na ugryzienie wilkołaka - wyznał. - Pochodzi z osiemnastego wieku. Ta substancja nie nadaje się już do użytku, ale mogę oddać ją do analizy.

- Myślałam, że wszystko spłonęło.

- Nie. Nie wszystko.

Lena zakryła twarz dłońmi. Jeszcze nigdy nie cieszyła się tak, gdy ktoś ją okłamał.

- Jest ratunek. - Dobiegło niewyraźnie spod jej palców. - Mam pół roku, nim będę zgubiona, prawda?

Powoli skinął głową i uśmiechnął się gorzko.

Lena wyjęła po kolei wszystkie igły ze swego ciała i otarła z policzków łzy.

- Więc w drogę. Analizę zostawisz mnie. Znam jednego zaufanego lekarza. Jeśli teraz...

Eryk chwycił ją i pocałował w usta.

Tym razem odpowiedziała na jego pieszczotę z całą żarliwością; świadomość, że uniknęła jego srebrnego sztyletu i będzie uzdrowiona, nappełniła ją euforią. Nagle uchwyciła smak i zapach namiętności. Eryk również czuł pożądanie, jednak mu nie uległ. Nie w szpitalu z policjantem przed drzwiami i czterema parami uszu wokół nich.

- Nie, poczekasz, aż przyjdę cię odebrać. Gdyby wypuścili cię wcześniej, czekaj na mnie w hotelu *Lobodan* - polecił. - Co powiedziałaś policji?

- Że do mojego pokoju wdarł się szaleniec z pistoletem i psem, a ty za nim pobiegłeś. - Lena podarowała mu piękny uśmiech. Jednak ową czystość, jaką zawsze w nim widział, mąciło już coś mrocznego. Zauważył przerażony, że również z wilkołaczą tajemnicą jest jej bardzo, bardzo do twarzy. - Mają cię odszukać.

Eryk odetchnął.

- Dobrze. Pójdę na posterunek i podam im opis postaci, żeby mogli zacząć poszukiwania.

- Eryk szybko opowiedział w skrócie, co wydarzyło się w nocy po napadzie. Pomiął przy tym swoją ranę. Pochylił się ku Lenie, znów ją pocałował i dotknął jej nagiego ramienia. - Wkrótce się zobaczymy.

- Zadzwoń do znajomego. - Lena uśmiechnęła się. - Dziękuję.

Odwzajemnił jej uśmiech, a potem wysunął się za parawan i opuścił pokój. W toalecie zrzucił fartuch, przeszedł korytarzem i prosto ze szpitala udał się w kierunku lokalnego posterunku policji, by opowiedzieć funkcjonariuszowi zawiłą historię o zbrodźcu, uciekającym w samochodzie bez rejestracji.

Po czterech godzinach przesłuchania pozwolono Erykowi odejść. Jego rzeczy, jak się dowiedział, czekały na niego w hotelu.

Za pięć godzin wchodził do szpitala z plecakiem, ubrany w zimowy strój maskujący.

Po pięciu godzinach i jedenastu minutach opuszczał szpital razem z Leną, by odlecieć do Niemiec.

# Rozdział XXV

4 marca 1766, przedgórze Montchauvet,  
Południowa Francja

Florence głęboko odetchnęła świeżym powietrzem. Smakowało wolnością, końcem zimy i nadchodzącą wiosną. Przyroda szykowała się, by w całej barwnej krasie zmartwychwstać po czasie białej śmierci. Zieleniły się już wrzosi i pierwsze pączki kwiatów przebijały nad resztki topniejącego śniegu.

Wędrowała u stóp Montchauvet sama. Szła przez bezludne równiny ku łagodnie wznoszącym się dolnym zboczom góry i rozkoszowała pewnością, że nie spoczywa na niej baczne, surowe spojrzenie przeoryszy.

Pod koniec ubiegłego roku nie odważyłaby się na taką potajemną wycieczkę, ale od kilku tygodni w Gévaudan panował spokój. Jakby zima zagnała bestię do jaskini i nie pozwalała jej polować na ludzi ani zwierzęta, jak to było w poprzednich miesiącach. *Albo może ludzie wcale nie zgłaszają do urzędów, kiedy zdarzy się mord lub gdy zginie im zwierzę*, głosiło bardziej niepokojące wytłumaczenie niepewnego spokoju w regionie.

Florence usiadła pod brzozą, gdzie znalazła skrawek suchej trawy, oparła się o pień i patrzyła na szorstką piękność zdominowanej przez granit natury. *Tak bym chciała, żeby był przy mnie Pierre.*

Martwiła się o ukochanego. Słyszała od pewnego pielgrzyma w Saint Grégoire, że Jean Chastel chodzi na polowanie tylko z tym dziwnym obcym z Mołdawii. Jego synów prawie nie widywano już w Saugues ani w innych miejscowościach, a gdy ktoś o nich pytał, leśniczy odpowiadał, że podzielili się, by schwytać bestię. Żebraczka, z którą rozmawiała przy wydawaniu zupy ubogim, opowiedziała ku jej przerażeniu, że Chastel stracił Pierre'a i Antoine'a w walce ze stworem. Ale przeorysza uspokoila ją.

- Bóg strzeże ich na polowaniu.

Florence zamknęła oczy i rozkoszowała się promieniami słońca na twarzy. Zobaczyła przed sobą twarz Pierre'a i wyobraziła sobie, że czuje na ciele jego delikatny dotyk. Równocześnie przeklinała zaloty jego brata. Pierwszy raz w życiu życzyła komuś śmierci.

Fatalna noc pozostała jej tajemnicą. Nie powie nawet Pierre'owi, co zamierzał zrobić Antoine.

Że też ludzie potrafią być tak różni, dziwiła się nie pierwszy raz. Obaj pochodzą z lędźwi Jeana Chastela, a są jak niebo i ziemia. Na myśl o leśniczym nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdyż świetnie przejrzała przeoryszę. *Zalóżę się, że zakochała się w Jeanie Chastelu.*

Pierwszy raz Florence zauważyła te zabronione uczucia, gdy przeorysza opowiadała o jakoby przypadkowym spotkaniu z leśniczym. Jej postawa, oczy, wszystko w Gregorii zdradzało prawdę, w każdym razie zdaniem Florence. Młoda kobieta wiele wyczuwała w otaczających ją ludziach. To była jej szczególna zdolność. Nie było zresztą tak, że Gregoria nie wiedziała nic o sile przyciągania między kobietą a mężczyzną; była zamożną contessą i wstąpiła do zakonu dopiero w wieku dwudziestu lat, gdy zmarł jej mąż. Tak przynajmniej dawno temu opowiedziała swej wychowawicy, podczas jednej z rzadkich chwil słabości. Inne mniszki na pewno nic o tym nie wiedziały. Dlatego zachowanie przeoryszy niewiele im mówiło. Tylko Florence, szczęśliwa ofiara głębokiej miłości, potrafiła zrozumieć jego wymowę.

*Jaka szkoda, że ta miłość musi być zakazana. Doskonale do siebie pasują.* Młoda kobieta wstała. Już czas, by ruszyła przez obsypane skałami łąki w powrotną drogę, jeśli chce znaleźć się w klasztorze w porze wieczery.

Czuła wdzięczność do mniszek, że ją wychowały. Nigdy nie myślała o swoich nieznanych, niewątpliwie bogatych rodzicach. Gregorię traktowała bardziej jak matkę niż jak opiekunkę. A przecież, przy całym bezpieczeństwie, jakiego zaznawała w klasztorze, cieszyła się na dzień, w którym na zawsze zostawi za sobą Saint Grégoire.

*Już długo tam nie będę. Odejdę z Pierrem w inne miejsce we Francji. Tam, gdzie nie ma żadnej bestii. On zostanie najlepszym leśniczym królestwa, a ja poszukam posady jako nauczycielka.*

Otrzeпаła liście z płaszcza, ruszyła wśród wysokich wrzosów, odchyliła gałęzie wysokiego krzewu janowca i weszła w zarośla. Lewą stopą plasnęła w kałużę. Woda prysnęła wysoko i przemoczyła jej płaszcz, buty i nawet halkę.

- Och, jak... - Zatrzymała się, chcąc spojrzeć na plamy i zasłoniła dłonią usta, by powstrzymać krzyk, przemocą próbujący wyrwać jej się z gardła. To, w co weszła, nie było kałużą.

To płytka plama świeżej, parującej krwi, w której leżały zwłoki chłopca.

Florence natychmiast rozpoznała ślad i zgadła, kto jest mordercą. Kto zmiażdżył nieszczęsnemu wyrostkowi kości twarzy i obdarł go ze skóry. Zamiast brzucha widziała

wielką, moką dziurę, migocącą czerwono i zielono. Brakowało wnętrzości.

Bestia obgryzła też mięso z przedramion. Chłopiec musiał rozpaczliwie próbować się bronić, ale wobec takiego przeciwnika zawiedliby nawet wypróbowani w boju żołnierze.

- Dobry Boże, chroń mnie przed... - Florence zdążyła jeszcze się przeżegnać, a potem wymiotowała na zwłoki. Dyszała, chwiała się, prawie przewróciła się w janowiec, kiedy nagle poczuła, że chwyta ją para mocnych ramion.

Dziewczyna krzyknęła. W tym momencie jakby inna siła opanowała jej ciało. Widziała samą siebie, jak wyjmuje sztylet ze srebrną klingą, podarowany jej przed półtora rokiem przez przeoryszkę, i ślepo dźga za siebie. Ostrze napotkało opór. Mężczyzna głośno zaklął, ale jej nie puścił.

- Odejdź, loup-garou! - krzyknęła jak w furii. - Srebro przyniesie ci śmierć! - Znow trafiła swego niewidzianego przeciwnika, który uwolnił ją nareszcie z uścisku. Młoda kobieta wylądowała w kałuży krwi. Przerazona rzuciła się w bok. Próbując stanąć na nogi, wzburzyła przy tym kałużę; krew i błoto poleciały jej na twarz i zalały oczy.

Na pół ślepa wyciągnęła sztylet przed siebie i trzymała rękojeść obiema rękami. Z wysiłkiem dźwignęła się z ziemi, odwróciła i ruszyła biegiem. Przez jej ciało przewaliła się gorąca fala, dodała jej skrzydeł i nadała niespodziewaną prędkość. Strach i wysiłek prawie pozbawiły ją oddechu, mimo to Florence biegła coraz dalej, próbując przy tym niezgrabnie ramieniem obetrzeć piekące oczy.

Niespodziewanie wyrósł przed nią męski cień.

- Florence, to ja! Pierre. - Usłyszała znajomy głos. W końcu udało jej się otrzeć oczy.

To była prawda. Jej ukochany trzymał się za kłutą ranę w boku, na drugą w udzie nie zważał, była mniej groźna.

- Pierre? - krzyknęła z ulgą i zasmucona opuściła sztylet. - Pierre! Mój Boże, zraniłam cię! Skąd się tu wziąłeś? - Zobaczyła, że jego usmarowana krwią koszula jest rozpięta, a zakrwawione spodnie i surdut ma założone dość niedbale. Nie mogły być jego własne. Sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu.

To krew chłopca!

Florence cofnęła się przed nim.

- Stój! Zostań, gdzie jesteś! - zażądała, a głos jej się załamał. - Skąd masz krew na ubraniu?

- Proszę, Florence! - Pokręcił głową. - Nie mogę nic na to poradzić.

- Nie możesz nic na to poradzić? - Zbladła. - Na Boga i wszystkich świętych, Pierre! Czy ty... czy ty jesteś bestią? - Zachwiała się. Cofnęła się dalej od mężczyzny, którego kochała, a

którego teraz się bała. Czowała w sobie coraz większy żar.

- To kłątwa! - Pierre nieporadnie zrobił krok w przód, wyciągnął ku niej błagalnie rękę. Florence zrozumiała jego ruch. Ostrze uderzyło i głęboko rozcięło rękę mężczyzny. Cofnął ją z krzykiem.

- Pierre! To... - Dziewczyna nie wiedziała, co ma robić. Przede wszystkim nie chciała kłuć tak mocno.

Janowiec za kobietą zaszeleścił. Potykając się, wyszedł z niego Antoine. Jego czarne włosy, mokre od potu, opadały na twarz. Młody Chastel ciągnął muszkiet za lufę, a przy tym cuchnął wódką. Ubranie wisiało na nim nieporządnie i było nie mniej przesiąknięte krwią niż ubranie jego starszego brata.

Roześmiał się, widząc ich razem.

- Och, mała mniszka i mój braciszek - wybełkotał. Zielone oczy skierował na Florence. Nie widział jej jednak wyraźnie, nie pozwalało na to działanie alkoholu. Potem uniósł stopę, po kostki oblepioną krwią chłopca. - Patrzcie, w co wdepnąłem. Co za świństwo! Całkiem pozarłeś biedaka! - ryknął i zaśmiał się odrażająco.

- Jesteście bestiami, obaj! - Florence krzyczała i płakała jednocześnie, kierując sztylet to na Pierre'a, który próbował szalem owinąć sobie ranę dłoni, to na Antoine'a. Bała się, że straci przytomność i z całej siły starała się na to nie pozwolić.

- Ja? - Antoine z oburzeniem usiłował stanąć prosto i położyć sobie dłoń na piersi. - Ja wracałem z pijatyki i wpadłem do tego bajora, a gdy poszedłem sprowadzić pomoc, usłyszałem twoje wrzaski. - Zrobił krok w jej kierunku. Florence dźgnęła i trafiła go w ramię. Natychmiast zasyczało, a wokół rozszedł się smród spalenizny. Antoine krzyknął. - Ty wariatko! - Z trudem podniósł muszkiet i próbował złożyć się do strzału, ale oblepione krwią palce ześlizgiwały się z cyngla. - Zabiję cię, świętoszkowata cipo, a potem zrobię z tobą to, co zrobiłbym w kaplicy, gdyby nie ten..

Pierre rzucił się na brata i pchnął go w Janowiec. Zniknęli między grubymi gałęziami. Śmiech Antoine'a zmienił się w makabryczne warczenie, krzew zachwiał się gwałtownie.

*Boże, bądź przy mnie!* Strach i przerażenie wzięły władzę nad dziewczyną, kontrolę przejęły wyłącznie instynkty. Florence odwróciła się i pobiegła tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Frunęła nad nierówną łąką, potykała się wielokrotnie i na nowo podrywała na nogi. Podarła suknię. Za plecami wciąż słyszała wściekłe wycie bestii.

Wychowanka przeoryszy biegła strwożona. Wkrótce nie widziała już otoczenia, które rozplynęło się w plamistą zieleń pod stopami i ciemny błękit nad głową. Nogi mechanicznie podnosiły się i opadały. Dziewczyna nie słyszała już nic poza własnym oddechem i

otaczającym ją zewsząd straszliwym wyciem bestii.

- Nie chcemy już tych rzeczy. Dajcie je potrzebującym - powiedziała karczmarka, odziana w lepsze ubranie niż cztery wieśniaczki, również przybyłe do szwalni. Podała Gregorii węzełek i czekała, aż otrzyma pochwałę i błogosławieństwo za swój dobry uczynek.

Przeorysza chętnie spełniła to pragnienie. Uczyniła znak krzyża.

- Panu podobają się wasze czyny. Przypomni sobie o was, gdy staniecie przed jego sądem. - Kobieta uklękła, a Gregoria położyła dłoń na jej pochylonej głowie. - Odejdźcie w pokój. Niech błogosławieństwo Pana będzie zawsze z wami, niech prowadzi was i ochrania.

- Również przed bestią? - spytała niepewnie kobieta. - Proszę, pobłogosławcie mnie też przed bestią.

Wieśniaczki, niecierpliwie czekające na swoją kolej, wymieniły znaczące spojrzenia, zbliżyły do siebie głowy i szeptały. Żadna z nich już dawno nie odważyła się mówić głośno o stworze, który choć przez króla uznany za martwego, nie przejmował się obwieszczeniem Jego Wysokości.

- Jest zastrzelona. Możesz...

- Proszę, wielbna przeoryszo - upierała się kobieta i błagalnie chwyciła za rąbek habitu. - Oddajcie mnie w opiekę Wszechmocnego, aby strzegł mnie przed wysłannikiem piekieł. - Zrezygnowana Gregoria pobłogosławiła ją na ochronę od bestii, dopiero wtedy zadowolona kobieta wstała z ulgą. - Dziękuję, o wielbna. - Na pożegnanie przesunęła dłonią po stosie ubrań, które przyniosła do Saint Grégoire. - Niech nowemu właścicielowi przyniosą więcej szczęścia.

- Co macie na myśli? - spytała Gregoria.

- Że ten biedny człowiek został... został pożarty przez nią. Przez bestię - powiedziała karczmarka i zerknęła ku wieśniaczkom. - Przyszedł do nas dokładnie w czasie, gdy bestia pojawiła się po raz pierwszy. Pewnego dnia nie wrócił do swego pokoju, zostawił wszystko jak stało i leżało. Niech jego ubrania służą innej biednej duszy.

Gregoria zmarszczyła czoło.

- Nikt o niego nie pytał?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie. Wyglądał jak wędrowny pisarz albo jeden z nauczycieli, oferujących swoje usługi możliwym panom. - Karczmarka ukloniła się w stronę drewnianego krzyża na bocznej ścianie i wyszła. Niespokojne wieśniaczki pośpiesznie pozostawiły swoje dary dla klasztoru i poszły za nią, gdyż dobrze było towarzyszyć komuś, kto wyposażony jest w błogosławieństwo



chroniące przed bestią.

- Idźcie w pokoju! - Gregoria złożyła dłonie na swym łonie. Była zadowolona, że nie musi udzielać już dziś błogosławieństw. Wieśniaczki zrezygnowały z tego przywileju. To był ciężki dzień w polu, siostry karczowały przerośnięte pędy, więc kosztowało je to wiele sił. Teraz przeorysza tęskniła jedynie za odrobiną odpoczynku.

Jednak mimo całego zmęczenia tkwiącego w ramionach i nogach, stroje nieznanego zaginionego budziły jej ciekawość. Rozłożyła proste spodnie, sprawdziła palcami jakość tkaniny i szwów. Potem sięgnęła po gruby surdut, koszule i pończochy. Wszystkie pochodziły z warsztatu mistrza. Potwierdzało to tylko podejrzenie szynkarki, że człowiek, który zniknął w lasach Gévaudan, nie mógł być pozbawiony środków do życia. Ale dlaczego ktoś taki miałby zadowolić się ubraniem o wyraźnie prostym kroju i zatrzymywać w zwykłej gospodzie, zamiast stanąć na nocleg w miejscu stosownym dla jego stanu?

Zapukano. Gregoria drgnęła.

- Wybaczcie, wielbna przeoryszo - powiedziała kobieta w ciemnoczerwonej sukni, pasującej bardziej do dużego miasta niż ubogich okolic Gévaudan. Wychyliwszy się na poły przez ramę drzwi, zaglądała do szwalni. Włosy ukryła pod czepcem. Sądząc po ich nasadzie nad czołem, była brunetką. - Powiedziano mi, że znajdę was tutaj. Wybaczcie moje wtargnięcie.

Gregoria nie знаła jej, ale ta twarz... frapująco podobna była do kogoś, kogo widziała rozkwitającego z dziecka w młodą kobietę. Tak wyglądałaby Florence, gdyby była nieco po trzydziestce! Zmieszana przeorysza odłożyła ubrania na stół.

- Jak mogę wam pomóc?

- Nazywam się Louise Dumont - powiedziała kobieta, weszła i ukloniła się. Wyjęła z torby sakiewkę i położyła ją na stole. Zabrzęczało. - Jestem tutaj, by pokryć wydatki na dziewczynę nazywaną przez was Florence. - Nerwowo przełknęła ślinę.

Gregoria przeczuwała, co sprowadza kobietę do klasztoru. Dała jej jednak czas i nie ponaglała. Wzięła sakiewkę z monetami i otworzyła ją. Zabłyśło złoto.

- To za wiele - powiedziała, unosząc wzrok.

- To na następne lata. Nie wiem, czy będę miała jeszcze możliwość przysyłać pieniądze do Saint Grégoire - powiedziała niepewnie. - Wielbna przeoryszo, chciałabym ją zobaczyć nim... Czy ona tu jest? Moja... córka?

Gregoria próbowała wyczytać cokolwiek z twarzy kobiety. Louise Dumont bała się, przeraźliwie się bała. Ale czego? Musi najpierw dowiedzieć się więcej, nim pozwoli swojej wychowanicy na to spotkanie. Bóg jeden wie, jak zareaguje dziewczyna!

- Florence odpoczywa po pracy - skłamała. - Jeśli chcecie poczekać, madame Dumont, zaprowadzę was do kap...

- Nie, nie. To niekonieczne. Nie mogę zostać długo. - Zaciśnęła usta, sięgnęła do torby trzymanej pod pachą i wyjęła z niej list. - To dla mojej córki. Niech przeczyta, gdy się obudzi. Chodzi tu o jej przyszłość, która będzie lepsza, niż mogłaby sobie wymarzyć. - Posunęła kopertę w stronę Gregorii. - Jeśli zechce odważyć się na ten krok...

- Nie chcecie powiedzieć jej tego sami?

- Nie! - odmówiła przerażona madame Dumont.

- Na pewno mnie zapyta, co ma zrobić. - Gregoria sięgnęła po list.

Kobieta położyła dłoń na prawicy przeoryszy.

- Przeczytajcie go dopiero, gdy moja córka o to poprosi. *W żadnym wypadku* przedtem. Skoro posiadziecie tę wiedzę, będziecie... w nie mniejszym niebezpieczeństwie niż ja. - Wstała pośpiesznie, przełknęła i spróbowała się opanować. - Wiercie, chodzi mi o dobro dziecka. Jeśli zdecyduje się poważnie na wspomniany w liście krok, pošlijcie mi odpowiedź do Saint-Alban, na zamek starego comte de Morangiésa. - Przeżegnała się i ruszyła do wyjścia, stukając głośno obcasami o podłogę.

Gregoria nie lubiła tego rodzaju tajemnic. Podniosła się.

- Madame Dumont, zaczekajcie! Wyjaśnijcie mi, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego nie możecie zostać.

- Spróbuję wkrótce wrócić. Wtedy porozmawiamy. - Kobieta znikła za drzwiami.

Gregoria podeszła do drzwi i zobaczyła damę biegnącą w pośpiechu ku furcie. Za bramą dostrzegła czekającą na nią ciemną karocę. Gdy madame Dumont wsiadła, pojazd natychmiast odjechał.

Przeorysza bardzo się zdziwiła. Pogrążona w rozmyślaniach wróciła do stołu, odsunęła list i monety na bok, nie wając się przełamać pieczęci na kopercie. Niech Florence przeczyta to pierwsza. Prosiła Boga, by niebezpieczeństwo, o którym mówiła jej matka, nie było tak dramatyczne, jak to zabrzmiało.

Okoliczności, w jakich madame Dumont pierwszy raz od tak wielu lat przybyła zapytać o swą porzuconą córkę, były dość osobliwe. Dlaczego wyrzuty sumienia ogarnęły ją dopiero teraz?

Gregorii cisnęło się na usta wiele pytań. Każdy w klasztorze podejrzewał, że Florence musi być nieślubną córką jakiegoś szlachcica. Świadczyły o tym aż nadto wyraźnie regularne opłaty. Jednak Gregoria zawsze sądziła, że jej wychowanka jest owocem romansu z prostą dziewczką. Jeśli również jej matka może pozwolić sobie na karocę i tak znaczną sumę w

złotych monetach, zapewne za tą sprawą musi skrywać się coś jeszcze.

Wątpiła, by nazwisko damy naprawdę brzmiało Dumont. Wzmianka o jasnie wielmożnym comte de Morangiés nasuwała podejrzenie, że w przypadku matki Florence chodzi o szlachciankę, która przynajmniej raz zanadto zbliżyła się do starego generał-lejtnanta. Jednak w chwili narodzin Florence, comte był już od wielu lat małżonkiem markizy de Châteaunauf-Randon. Bardzo delikatna sprawa.

Gregoria zmusiła się, by nie spekulować więcej i nie przypisywać comte uczynków łamiących święte prawa. Jako że bez znajomości zawartości treści listu nie miała już co z nim począć, postanowiła kontynuować przeszukiwanie ubrań.

Na podstawie ich rozmiaru próbowała oszacować posturę zaginionego właściciela. Na pewno nie był olbrzymem ani też osobą obdarzoną barczystymi ramionami. To zresztą ułatwiało znalezienie kandydata na darowanie tych pięknych rzeczy. Gregoria złożyła ubrania. Podczas składania surduta zauważyła, że pod podszewką coś szeleści. Ukryta sakiewka, która może przydać jeszcze kilka liwrów do jałmużny?

Przeorysza poszukała ukrytego szwu, znalazła go na obszywce i ostrożnie rozpruła. Po krótkim szukaniu wydobyła kopertę z woskowanego papieru, w której umieszczony był arkusik papieru.

Natychmiast rozpoznała znak pod spisany po łacinie wierszami. *Pieczęć Ojca Świętego!* Usiadła zaskoczona i przeczytała, co napisano na kartce.

*Do katolickich biskupów Francji.*

*Posiadacz tego listu działa dla dobra świętego Kościoła Katolickiego ze szczególną łaską Boską. Na jego życzenie należy mu niezwłocznie i bez dalszego wypytywania udzielić na czas nieograniczony noclegu, jak również odzieży, obuwia i gotówki w wysokości 100 liwrów.*

*Nikt nie może dowiedzieć się o posiadaczu tego listu. Wszelkiej pomocy należy udzielić w tajemnicy i bez rozgłosu. Nie wolno mówić o nim ani słowa publicznie ni wobec innych przedstawicieli świętego Kościoła Katolickiego.*

*Naruszenie tej instrukcji nie będzie akceptowane i przyniesie ciężkie następstwa dla tego, kto by się na nie poważał.*

*Klemens XIII*

*Biskup Rzymu, Namiestnik Jezusa Chrystusa,  
Servus Servorum Dei et Pontifex Maximus*

Gregoria upuściła kartkę. *Co to może znaczyć?* Nie miała pojęcia, z jaką misją przybył ten człowiek i choć powtórnie przeszukała jego ubrania, tym razem jeszcze dokładniej, nie znalazła już nic, co mogłoby dać wskazówkę co do jego osoby.

*Może jezuita?* To miałyby sens. Ojciec Święty uważany był za przyjaciela Towarzystwa Jezusowego. Dopiero w styczniu zeszłego roku uroczyście zatwierdził zakon jezuitów swoim *Apostolicum pascendi munus*. Gregoria przypomniała sobie, że z tego powodu były protesty we Francji i Hiszpanii. Oddani papieżowi jezuita byli podejrzewani o rozmaite spiski, więc wielu europejskich władców, w tym również król francuski, domagało się rozwiązania zakonu.

W tych burzliwych czasach członek Towarzystwa przybywa w tajnej misji do Francji? W okolicę, w której co krok spotyka się kamizardów i hugenotów?

Gregoria próbowała uporządkować myśli. Powodów obecności mężczyzny mogło być wiele: od śledztwa przeciw kamizardom albo przeciw duchownym z powodu ich rozpustnego trybu życia bądź odejścia od chrześcijańskiego nauczania, po umyślne sianie niepokoju przeciw francuskiemu królowi, który swoim absolutystycznym i nade wszystko despotyczno-rozpustnym reżimem nieuchronnie ściągał na siebie niechęć prawdziwych chrześcijan.

A może Ojciec Święty wysłał tego mężczyznę do Gévaudan z powodu bestii?

*Za dużo zagadek na jeden dzień!* Gregoria poddała się i przestała nad tym rozmyślać. Postanowiła za to, że Rzym musi dowiedzieć się o nieznanym losie domniemanego agenta. Ruszyła do swojego pokoju.

Najpierw chciała napisać do biskupa, potem postanowiła inaczej. Skoro chodzi tu o papieskiego wysłannika, list powinien dostać bezpośrednio Ojciec Święty. W piśmie zaznaczono wyraźnie, że istnienie człowieka Watykanu należy utrzymać w tajemnicy. Nie chciano, by dowiedziało się o nim zbyt wielu ludzi.

Nadarzała się przy tym dobra sposobność, by zwrócić uwagę Stolicy Apostolskiej na niemające końca wydarzenia w regionie i prosić, by albo wysłano tu nowego obserwatora, albo podjęto inne środki zaradcze. *Opiszę, jakie cierpienie zadaje ludziom ten stwór.*

To był śmiały plan. Ona, zwykła przeorysza, skreśli list do Namiestnika Boga na ziemi. Coś takiego w normalnych okolicznościach było nie do pomyślenia! Ale kiedy w Gévaudan było ostatnio normalnie? zastanowiła się Gregoria. Do wieczora siedziała nad piśmem i formułowała je wciąż na nowo, aż spisane zdania zadowolili ją. Pisała, że wprawdzie niektórzy ze strachu nawracają się, ale trwoga nie powinna być jedyną pobudką modlitwy kierowanej do Pana. *U innych, pisała, występuje zagrożenie, że odwrócą się od wiary, widząc w bestii wysłannika piekiel, obdarzonego większą władzą niż Bóg. Nie można też zapominać,*

*że stanowi on stałe zagrożenie dla pielgrzymów wędrujących Drogą Świętego Jakuba do Santiago de Compostela. Gdyby mimo wszystkich doniesień nie dotarło to jeszcze do Waszych uszu, Ojciec Święty, i nie dlatego wysłaliście tego człowieka do Gévaudan, proszę Was usilnie, byście w tych mrocznych czasach posłali ludziom znak światła dany przez Wasze słowo.*

Gregoria podpisała list, włożyła go do koperty, opatrzyła adresem i pieczęcią, a potem położyła przed sobą na biurku.

Patrzyła na niego i myślała. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym gorszy wydawał jej się pomysł, który w swoim religijnym zapale niemal obróciła w czyn. Należało wyjaśnić jeszcze jedną sprawę. Nawet jeśli wplątała w to wszystko Jeana Chastela, choć on nie miał o tym pojęcia.

*Nie, nie wyślę go.* Odsunęła kopertę na najdalszą krawędź blatu obok listu należącego do Florence, który czekał, by pewnego dnia go przeczytano. *Jeszcze nie.*

Gregoria usłyszała, jak do jej gabinetu zbliżają się szybkie kroki. Bez uprzedniego pukania otwarto drzwi i do pokoju wpadła odchodząca od zmysłów zakonnica, chaotycznie gestykulując.

- Chodźcie szybko, wielbna przeoryszo! Florence!

Poderwała się.

- Florence? Co z nią?

- Poszła na spacer i spotkała bestię! - krzyknęła blada kobieta i odwróciła się do wyjścia.

*Jak udało się jej wyjść z zamkniętego pokoju?* zastanowiła się Gregoria i ruszyła za siostrą ku klasztornej furcie, gdzie na ławce ułożono jej wychowanicę. Ubranie Florence było całe w strzępach, a jej nagość osłonięto prześcieradłem.

- Święta Matko Boża! - Gregoria usiadła przy niej i w napięciu studiowała nieobecna twarz. Oczy Florence wpatrywały się w nieskończoność; drżała na całym ciele, jakby od mrozu, a nędzne resztki jej sukni były przesiąknięte brudem i krwią.

Przeorysza po krótkim badaniu stwierdziła z ulgą, że jej wychowanica nie nosi widocznych obrażeń. Pomijając kilka zadrapań pochodzących od kolców, ciało było nienaruszone. Ucierpiała jednak duchowo.

- To biedne dziecko musiało patrzeć, jak bestia rozszarpuje swoją nową ofiarę - szeptem powiedziała jedna z mniszek. - Ludzie zobaczyli ją i od razu poszli szukać bestii. Pod Montchauvet znaleźli małego chłopca. Nazywał się Jean Bergougroux i miał dziewięć lat. Rozpoznano go jedynie po ubraniu. Jego twarz i...

- Bądź cicho! Pleciesz jak praczka. - Gregoria nie chciała już słuchać o mordach dokonywanych przez wilkołaka. - Przyniescie gorącej wody - rozkazała jednej z nowicjuszek.

- Zaniesiemy ją do pokoju.

Sześć sióstr poniosło Florence razem z ławką do domu przełożonej klasztoru i w górę do pokoju dziewczyny.

Gregoria zdjęła z pasa pęk kluczy, włożyła jeden z nich w zamek masywnych drzwi i stwierdziła, że nie były zamknięte. To się nie miało prawa zdarzyć. To z jej strony niewybaczalne niedbalstwo!

- Szybko, połóżcie ją na łóżku - poleciała i zaraz posłała mniszki do kościoła, by modliły się o wyzdrowienie młodej kobiety.

Rozebrała Florence, a potem starannie obmyła ją, bacząc nieustannie, czy jej wychowanka nie daje znaku choćby najmniejszym ruchem, że jej dusza otrząsnęła się z przerażenia po spotkaniu z budzącym trwogę stworem i po widoku martwego dziecka. Mamrotała przy tym bez przerwy modlitwy, nie będąc pewna, czy robi to dla ochrony dziewczyny, czy dla samej siebie.

Gdy wreszcie okryła Florence kołdrą i chciała wyszczotkować jej brązowe włosy, młoda kobieta wzdygnęła się, spojrzała na nią ze zgrozą w oczach i gwałtownie się jej uczepiła.

- Bogu dzięki! To był tylko sen! - Florence płakała niepohamowanie, w równej mierze z rozpaczą co z ulgi. - Sen, koszmarne sen.

- Tak, tylko sen. - Gregoria przytuliła ją, głaskała uspokajająco po głowie i zaczęła śpiewać cichą kołysankę. Na straszną prawdę i tajemniczy list matki przyjdzie czas jutro.

Jean otworzył przed nimi bramę szopy i oparł się o nią plecami. Jego pierś unosiła się i opadała, gdyż zmęczył go długi bieg z ciężarem. U jego stóp kuczał Antoine, przy nim leżał muszkiet.

- *Monsieur* Chastel, niewiele brakowało, jeśli mogę pozwolić sobie na taki komentarz - wydyszał Malesky, opadłszy na słomę. Za nim na pół ukryty pod źdźbłami spoczywał Pierre, którego Mołdawianin po prostu rzucił na miękkie legowisko, zamiast ostrożnie spuścić go z ramion na podłogę szopy. - Solidnie zarobiłem sobie na wieczorne wino.

- Zarobiliście aż nadto, *monsieur* - odpowiedział Jean, uśmiechając się słabo, odetchnął głęboko i zaciągnął Pierre'a do wjazdu prowadzącego w dół piwnicy, z której wymknął się razem z bratem. Ciężkie bale, służące za pokrywę, leżały pogruchotane wokół; Pierre i Antoine, dysponując w postaci bestii potężną siłą, utorowali sobie drogę na zewnątrz. Robili się coraz bardziej potężni.

- Musimy wymyślić coś lepszego - stwierdził Malesky, patrząc na poniszczone deski. - Może żelazną kratę. I lepsze kajdany.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Jean. Z pomocą Mołdawianina spuścił Pierre'a w dół i przykuł go łańcuchem do ściany. Potem zrobili to samo z Antoinem.

Dotychczas łańcuchy potrzebne były tylko w noc pełni księżyca, gdy jego moc nieodparcie zmuszała Chastelów do przybierania postaci bestii, pomnażając ich furję i siły. Wtedy nie można się było do nich zbliżyć. Jean i Malesky słyszeli dobiegające z piwnicy wściekłe rzucanie się i ochryple ujadanie, brzęczenie żelaza. Raz leśniczy z troski o synów odważył się w taką noc zejść po stopniach do lochu i znalazł się naprzeciw przemieniającego się właśnie Antoine'a. To było straszne. Pobieżne spojrzenie na stojącą na dwóch łapach bestię o straszliwych czerwonych oczach, pozbawioną wszelkiego człowieczeństwa; widok spienionego pyska z czarnym podniebieniem, obnażonych kłów i wałących wokół długich pazurów, które nie rozszarpały go tylko dzięki łańcuchom, wystarczyły, aby uciekł w panice.

Malesky potwierdził, że ten strach niełatwo pokonać również wówczas, gdy stało się naprzeciw takiej bestii już wielokrotnie. W przypadku Jeana dochodziła jeszcze rozpacz zrodzona z wiedzy, że te wyjące bestie to jego synowie.

Jean obejrzał Antoine'a, którego obrażenia na twarzy już się goiły. Zadrapania i krwiaki znikwały. Na pewno nie był to cud działy przez chrześcijańskiego Boga. Gdy Jean odkrył ranę na ramieniu, przyjrzał się jej uważniej. Krawędzie cięcia zabarwiły się czarno, jakby były nadpalone. Ciało przypominało obumarłe.

- *Monsieur* Malesky? - przywołał Mołdawianina, który założył binokle i zbadał ranę z naukowym zainteresowaniem.

- Zadano ją srebrem - zabrzmiał jego wyrok. - Bardzo wąska. To mógł być zwykły nóż albo sztylet.

- To Florence - jęknął Pierre, który uniósł głowę. Wracała mu przytomność. Z powodu utraty krwi był jeszcze zbyt słaby, żeby móc wstać. - Spotkaliśmy ją przy zwłokach chłopca. Miała przy sobie sztylet, którym się przed nami broniła.

Malesky uniósł brwi.

- Trafiła was, *monsieur*? - spytał zdziwiony. Pierre skinął głową. - To niemożliwe, mylicie się. Cięcia wyglądają jak... - przerwał w połowie zdania, poderwał się, klęknął przy nim i obejrzał oczyszczone przez siebie rany jeszcze raz, tym razem dokładniej. - Nie - powiedział. - Albo miała dwa noże, albo...

- *Monsieur* Malesky, mój rozum był jeszcze zmałowany, ale dokładnie widziałem ją przed sobą. - Pierre trwał uparcie przy swoim. Jego upór sprawił, że Mołdawianin wydobył szeroki srebrny sztylet.

- Może zabołec bardziej niż zwykle, *monsieur* - ostrzegł go - ale wierzcie mi, to

konieczne! - Przyłożył czubek do przedramienia mężczyzny i naciął skórę.

Pierre tylko skrzywił się mocno.

- Czyżbyśmy byli tak przekonani, że jesteście loup-garou, że nie widzieliśmy znaków przemawiających za waszą niewinnością? - Malesky osłupiał i jeszcze raz opuścił sztylet na ramię Pierre'a. - Wybaczcie mi, że was dręcę, ale wygląda na to, że nie musicie dłużej tkwić w tym lochu. - Z tymi słowami wbił srebrny sztylet na głębokość paznokcia w ramię. Pierre jęknął i zagryzł zęby. Malesky wyjął zakrwawione ostrze i obserwował krew, połyskującą czerwono w blasku lampy. Poza tym, nie działo się... nic.

- Święta Matko Boża!

Wstał pospiesznie i powtórzył eksperyment na Antoine. Wynik był inny.

Wciąż nieprzytomny, drugi syn Jeana Chastela otworzył oczy. Zieleń źrenic rozpalila się i zmieniła w ciemną czerwień. Krzyknął przeraźliwie, odsunął nacięte ramię i drugim uderzył napastnika. Głośny krzyk przeszedł we wściekłe warczenie; opuścił głowę i patrzył z nienawiścią na Maleskiego, który odsunął się od niego i stał obok leśniczego.

- Uwolnijcie Pierre'a z łańcuchów i poszukajcie zaraz jutro zachora, który uleczy go z tej zagadkowej gorączki - polecił. - On z pewnością nie jest przemieńcem.

Jean roześmiał się, oszołomiony. Nie mógł pojąć tego, co usłyszał.

- Mówicie mi to po dwóch latach?

- Nigdy nie daliście mi nawet odrobiny wątpliwości, że nie uważacie Pierre'a za garou - bronił się Malesky i uniósł sztylet, do którego przykleiła się krew Antoine'a i z sykiem zmieniała w brązową skorupę. - Antoine jest jednym z nich, Pierre nie.

Oczy Jeana napelniły się łzami. Podeszedł do Pierre'a i z łkaniem rzucił mu się w ramiona, przytulił go do serca i poczuł, jak ulga syna również wylewa się strumieniem łez. Za to Antoine nie mógł się uspokoić, szarpał łańcuchy i gdyby tylko mógł, rzuciłby się na trójkę mężczyzn, choć był w ludzkiej postaci.

Weszli do góry, nasunęli na otwór nowe deski i ustawili na nich mały wóz leśniczego, żeby obciążenie stanowiło przeszkodę dla Antoine'a.

Gdy weszli do chaty, opatrzyli klute rany Pierre'a.

- Jeszcze nie mogę tego pojąć - powiedział młody leśniczy, gdy Malesky igłą i nicią zszywał jego ciało. Rutyna, z jaką to robił, kazała obu Chastelom podejrzewać, że już nieraz w życiu używał igły do tego celu. - Nie jestem loup-garou, choć bestia tamtego dnia zraniła mnie tak samo jak brata? Dlaczego w takim razie - zagryzł zęby, gdy Mołdawianin trafił w bardziej wrażliwe miejsce na skórze - tak często byłem spryskany krwią, gdy wracała mi przytomność, i nie wyglądałem inaczej niż Antoine?



- *Monsieur* Chastel, opowiedzcie mi bardzo dokładnie, co się wtedy wydarzyło - poprosił Malesky. Wysłuchał historii walki z wszystkimi szczegółami. Raz po raz kiwał głową. - Gdybym od początku to wiedział, szybciej bym się zorientował. Tylko *ugryzienie* przemieńca czyni cię jednym z nich. Rany od ich pazurów są straszne i śmiertelne, jeśli ci się porządnie dostanie, goją się powoli i boleśnie, czasem nawet wcale, ale człowiek nie staje się sługą piekła. - Ostatni raz przekłuł igłą skórę, odgryzł nić i wylał na rany spory łyk koniaku, co sprawiło, że zaskoczony Pierre znów jęknął. - Tak, teraz niech się goi. - Malesky przyłożył butelkę do ust i wypił resztę trunku. - To jednak nas uczy, *monsieur* Chastel, że wasz syn Antoine w swojej zwierzęcej postaci jest w stanie panować nad myślami. Z czystej złośliwości kazał godnemu współczucia Pierre'owi myśleć, że i on jest garou, smarując mu usta i ubranie krwią, gry Pierre był nawiedzany atakami swej choroby. - Spojrzał na Jeana z powagą. - Garou opanowuje waszego syna Antoine'a coraz bardziej, aż w końcu człowiek, któregoście wcześniej znali, zmieni się całkiem w wilka i będzie na wskroś zepsuty. Nieodwracalnie, obawiam się.

- Cokolwiek powiecie, *monsieur* Malesky, muszę wam wierzyć - stwierdził przybity Jean. - Jesteście znawcą wilkołaków, jednak wiem też, że Antoine nigdy nie był skorym do pomocy, miłym człowiekiem. Odkąd pamiętam, zawsze miał niedobre skłonności.

- To sprawia, że staje się jednym z najgorszych garou, gdyż zło łatwo czyni z niego swoje narzędzie. - Malesky zdjął z nosa binokle i klepnął Pierre'a w ramię. - *Monsieur*, jak się czujecie?

- Dziwnie - przyznał. - Nie jestem zatem garou, ale jednak cierpię na chorobę, która pozbawia mnie zmysłów i przyprawia o gorączkę? To dla mnie mało pocieszające. - Uśmiechnął się słabo. - Jednak macie rację. Zdjęliście mi z duszy ciężar, który ciążył mi tak bardzo, że czasem myślałem, iż przyciska mnie do ziemi i dalej w jej głąb aż do piekła. Teraz, wybaczcie mi... - Pierre uniósł się i niepewnym krokiem poszedł do drzwi izby. - Nareszcie koniec z kłówną - powiedział jakby do siebie - zatem mogę Florence... - zamilkł nagle i chciał skryć się w łóżku, ale Jean zdążył go usłyszeć.

- *Florence*? Dalej spotykasz się z tą dziewczyną? - wybuchnął. - Zostaw ją w spokoju. Ona nie jest dla ciebie.

- Dlaczego, ojczu? - Pierre oparł się o kominek i odwrócił się do niego. - Dlaczego nie dla mnie? Bo dorastała w klasztorze?

- Ona jest... wychowana przez mniszki. - Obiekcja Jeana wydała się raczej nieprzekonująca. - Nie nawykła do życia w Gévaudan. Nie ma siły i nie potrafi tego, co nasze kobiety.

- Mam dla ciebie nowinę, ojciec. - Pewność, że nie jest loup-garou, działała na Pierre'a odprężająco. Czuł się dostatecznie odważny i silny, by opowiedzieć o swoich planach. - Jak tylko zabijemy bestię, Florence i ja odejdziemy stąd. Nienawidzimy tego miejsca. Nic tu dla nas nie ma. Chcemy iść na północ...

- A więc już zbałamuciła cię swoimi głupstwami? - wybuchnął Jean, tracąc nad sobą panowanie. Uderzył pięścią w stół. - Czego chcecie szukać na północy?

- Ja znajdę posadę jako leśniczy, a Florence będzie nauczycielką. W jakiejś wiosce albo przy jakimś szlachcicu, albo może przy rodzinie bogatych mieszczan - odpowiedział przekornie Pierre. - Nie chcę się o to kłócić, ojciec. Florence i ja daliśmy sobie słowo. *Nic* nas nie rozdzieli.

Jean zmusił się do zachowania spokoju.

- Zobaczmy. Idź teraz do łóżka. Potrzebujesz odpoczynku, by zagoiły się twoje rany. - Stary Chastel podniósł dłoń, dając znak, że skończył rozmowę z Pierrem i zwrócił się do Maleskiego: - Dziękuję wam za wasze zaangażowanie, *monsieur*. Na zawsze pozostanę waszym dłużnikiem. Gdybyście potrzebowali pomocy dzisiaj, za rok albo dziesięć lat, przyslijcie mi wiadomość, a przyjadę do was i wam pomogę. - Wyciągnął dłoń do Mołdawianina.

- Dziękuję wam, *monsieur* Chastel, i równocześnie zapewniam, że postaram się nigdy nie zapraszać was w miejsca, w których zwykle przebywam, o ile nie będę akurat w Gévaudan. - Drzwi do sypialni synów zatrzęsły się za Pierrem. - Jeśli mogę coś powiedzieć, *monsieur*, pozwólcie swojemu synowi postąpić tak, jak pragnie.

- Dlaczego miałbym?

- Bo inaczej urządzi sobie samowolkę i obu wam będzie z tym ciężko - powiedział i stłumił ziewnięcie. - Proponuję, byśmy jutro odwiedzili Saint Grégoire i poprosili wielbłądą przeoryszkę, by zajęła się gorączką Pierre'a. - Maleski spodziewał się odmowy, dlatego szybko dodał jeszcze wyjaśnienie, uniemożliwiające Jeanowi odrzucenie krótkiej wizyty. - Jeśli ktokolwiek zna się na leczeniu zagadkowych chorób, to na pewno są to mniszki. Poza tym, moglibyście znów spotkać wielbłądą Gregorię i...

- Wcale nie chcę jej zobaczyć - Jean powiedział to za szybko. Poczul, że się rumieni. - Skąd przychodzi wam do głowy, by insynuować, że ja...

Maleski spojrzał na niego zaskoczony.

- *Ja* niczego wam nie insynuuję, *monsieur*. Chodziło mi tylko o to, że powinniście porozmawiać z przeoryszą o romansie waszego syna z jej wychowanicą. Wygląda jednak na to, że są jeszcze inne sprawy wymagające wyjaśnienia. - Spojrzał mu wymownie w oczy, po

czym zniknął w izbie, by położyć się na spoczynek w pustym łóżku Antoine'a.

*Zdradziło mnie moje nieczyste sumienie.* Jean siedział samotnie. Rozpuścił długie białe włosy i przysunął do siebie butelkę czerwonego wina. Nalał sobie szklanke, uniósł ją ku sufitowi i wziął łyka. *Za to, że na jednym z moich synów nie ciąży klątwa bestii i by wkrótce uwolnił się od klątwy wychowanki mniszek. By się opamiętał.* Pomyślał o twarzy Gregorii. *I żebym ja także się opamiętał.*

# Rozdział XXVI

Niemcy. Monachium,

21 listopada 2004, godz. 15:48

- I co teraz? - Lena siedziała naprzeciw niego w małym hotelowym pokoju. Wyjazd z Chorwacji odbył się bez problemów. Propellerem polecili do Budapesztu, a stamtąd Boeingiem w business class przez Wiedeń do Monachium.

Eryk trzymał w dłoni stary flakonik, wydobyty godzinę temu z bankowej skrytki. Razem z kartką, francuską notatką z osiemnastego stulecia, były to dwie cząsteczki nadziei. Na wypadek, gdyby pojawili się uzbrojeni przeciwnicy, von Kastell szybko zaopatrzył się w broń. Posiadanie wielu skrytek z zapasowym sprzętem to żelazna zasada myśliwego.

- Pojedziemy do twojego znajomego w Homburg. Zbada twoją krew i tę substancję. - Postawił buteleczkę na stole i zajrzał do walizki. Coś zabłysło. - Znalazłem to w lesie, gdy goniłem bestię. - Zamyślony, wyłowił długopisem łańcuch i rzucił go w jej kierunku. Za późno przyszło mu do głowy, że to nie był dobry pomysł. - Lena, nie!

Ale ona złapała już łańcuch.

Zasyczało.

Krzycząc i warcząc, upuściła ozdobę.

- Cholera... to srebro! - wycedziła przez zęby. Była jednak zdecydowana nie dać poznać po sobie przerażenia i bólu. - Część różańca, jeśli dobrze widziałam.

Eryk zmarszczył czoło.

- Tak. Rozerwany różaniec i zapach kadzidła. To się coraz bardziej gmatwa.

- Wygląda na to, że bestię tropi więcej grup - powiedziała Lena, rozcierając oparzone miejsce. Ślady paciorków odznaczały się na jej skórze wyraźnymi czerwonymi kropkami i strasznie piekły. Straszniej niż jakiegokolwiek wcześniejsze rozcięcie.

- Co to może znaczyć, Eryku?

- Gdybym wiedział, byłbym o cały krok do przodu - odpowiedział z mimowolnym sarkazmem. Pochylił się i podniósł łańcuch. Położył go na stole, a potem zdjął rękawiczki i zniknął w łazience. Chciał wziąć prysznic. Splukać wspomnienie klęski.

Eryk obejrzał swoje ramię. Nic nie wskazywało na ciężkie obrażenia, kość pod gładką skórą była mocna jak zawsze.

Pociekła gorąca woda, a on stał w ciepłym strumieniu, gdy zasłona prysznicza odsunęła się i zobaczył Lenę. Od razu pocałowała go natarczywie i namiętnie. Przycisnęła do ściany i ocierała się o niego.

Uczucie klęski, zamyślenie i zmartwienie natychmiast znikły, jakby splukane wodą. Eryk nie był w stanie walczyć z pożądaniem. Zresztą, wcale tego nie chciał. Jego penis podniósł się już i wciskał między jej uda; żeby kochanek mógł w nią wejść, Lena postawiła jedną nogę na krawędzi brodzika.

Przyczajony w niej wilkołak, cieszący się na pierwszą pełnię, zmienił już jej zachowanie. Uczynił Lenę nieokiełznaną, pozbawił hamulców. Prowokowała Eryka drażniącym, brudnym śmiechem, równocześnie zręcznymi ruchami wysuwając raz po raz z siebie jego penis.

W końcu osiągnęła to, co chciała: von Kastell chwycił ją mocno w ramiona, odwrócił i przycisnął piersiami do zimnych kafelków. Lena jęknęła i zaśmiała się chutliwie. Potem chwycił ją za biodra i wbił się w nią z całej siły. Udzieliła mu się jej dzikość. Od tej chwili panował nad sobą równie mało co ona. W ekstazie zerwali zasłonę prysznicza, a gdy Lena obiema dłońmi chwyciła się chromowanego uchwyty, gdy Eryk brał ją od tyłu, poluzowały się śruby.

Doszli równocześnie. Nie z mdłym stłumionym stękanem, ale z pierwotnym krzykiem, w którym nie było ani krzty cywilizacji. Na moment przyszła mu do głowy myśl, że zapomniał o kondomie, ale pierwszy raz w życiu było mu to całkiem obojętne.

Wyczerpani osunęli się na dno prysznicza, rozkoszując się uczuciem szczęścia i ciepłym pluskaniem wody o skórę. Pieścili się i czule całowali. Lena była świadoma swego niepohamowania i naprawdę się zarumieniła.

- To było piękne, ale... nieprawdziwe. Jakby ktoś inny miał nade mną kontrolę - powiedziała cicho.

Eryk skinął głową. Zebrał myśli, skupiając się na niepatrzeniu na jej kuszące piersi. Popęd jest zaraźliwy.

Po głowie chodził mu pewien pomysł. Wstał, wziął ręcznik i wytarł się, idąc nago do pokoju. Zadzwonił na lotnisko w Plitvicach i poprosił o numer do odprawy podróżnych.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział kiepskim angielskim z udawanym hiszpańskim akcentem. - Znalazłem tu kawałek różańca, piękna rzecz. Czy nie zauważył pan może kogoś, do kogo by to mogło należeć, kto nosiłby to jako ozdobę na szyi? A może właściciel zgłosił się do pana? - Podał mężczyźnie numer swojej komórki. - Proszę do mnie

zadzwoić, jeśli będzie pan mógł mi pomóc. Dziękuję. - Podobne telefony wykonał do informacji turystycznej i administracji parku. Potem zamówił do pokoju obfity posiłek. Mógł sobie wyobrazić, jak głodna musi być już Lena. Jedli w milczeniu i czekali.

Sięgnął po serwetę, wziął fragment różańca i go wypolerował. Ukazały się drobno grawerowane napisy.

- Wygląda na łacinę, ale to tylko fragmenty i poza tym za małe, żeby odczytać. Nie ma sensu... - stwierdził sfrustrowany Eryk.

- To pewnie nic szczególnego. Jakieś Ave Maria - oceniła Lena, która już się ubrała. Teraz wołała na kanapkach szynkę i mięso. Dżem i konfitury najwyraźniej były *passé*. Eryk zauważył to, ale nic nie powiedział.

Rozległ się dzwonek jego komórki.

- Witam, panie Loyola. To pan znalazł kawałek różańca? - usłyszał uprzejmy kobiecy głos. - Tu mówi Misczic z informacji turystycznej w Plitvicach. Opowiedziała mi o panu koleżanka. Zauważyłam... - czytała coś i jej głos brzmiał nieobecnie - ...że kilka dni temu przy okienku była zakonnica. Pytała o noclegi. Nie wiem oczywiście, czy różaniec, który pan znalazł, należy do niej, ale to byłby jakiś początek, prawda? - wymieniła polecony przez siebie hotel.

- Dziękuję, bardzo mi pani pomogła - podziękował Eryk i odłożył słuchawkę. - Być może mamy ślad - powiedział do Leny, która zrezygnowała z wiązania włosów. Nie miała też biustonosza. Najwyraźniej rosła w niej niechęć do wszystkiego, co kępuje ciało. Widać było, że świetnie czuje się w rozpiętej koszuli. Wyglądało to cholernie atrakcyjnie. Emanowała energią, jaką Eryk rzadko widywał u kobiet. Większość z nich zabił. Taki los bestii. Ale tym razem było inaczej. Wystarczyło spojrzenie w jej zielone oczy i już czuł namiętność, pożądanie... i miłość.

- Najpierw pojedziemy do Homburga i damy twojemu znajomemu próbki do analizy, potem trzeba wrócić do Chorwacji. - Naciągnął skórzane spodnie, wsunął na siebie czarny sweter i narzucił płaszcz z lakierowanej skóry. Eryk uwielbiał swój roboczy strój. Białe wysokie buty i białe skórzane rękawiczki stanowiły uzupełnienie „rynsztunku”. Von Kastell umieścił w kaburze przy pasie P9, a nowy srebrny sztylet schował do pochwy pod pachą. - Znajdę bestię i ją zabiję. Odwiedzę też kilka zakonnicek.

- Zakonnicek?

- Tak. Dowiem się, czego szukały w pobliżu bestii. - Eryk owinał buteleczkę folią bąbelkową, obłożył styropianem i włożył do kartonika. Równie starannie spakował starą notatkę. Nic się nie może stać temu unikalnemu ładunkowi.

- *My się dowiemy* - poprawiła Lena.

Pokręcił głową.

- To nie jest dobry pomysł.

- *Możliwe* - uśmiechnęła się wilczo. - *Ale pojedę z tobą do Chorwacji, by kopnąć w dupę tego bydlaka, któremu to wszystko zawdzięczam.*

Eryk pozwolił jej na razie w to wierzyć. Załatwi wszystko po zarezerwowaniu lotu. Odwrócił się do niej.

- *Możemy jechać?*

Lena skinęła głową i dopiła kawę.

- *Jak długo będziemy w podróży?*

- *Do Homburga? Cztery godziny. Jak dobrze pójdzie, trzy i pół.*

- *Pada śnieg, Eryku.*

- *Mój cayenne już się cieszy na omijanie korków prawą stroną* - odpowiedział, szczerząc zęby. - *Znasz mojego GPS-a?*

- *Przypominam sobie* - roześmiała się.

Wziął paczuszkę.

- *Zawiadomiłaś swojego znajomego z kliniki uniwersyteckiej?*

Lena przytaknęła i narzuciła na ramiona beżowy wełniany płaszcz, założyła czapkę i pozbierała swoje rzeczy.

- *Mühlstein prowadzi teraz projekt badawczy i ma na wyłączność laboratorium ze świetną aparaturą.*

Eryk wziął od niej walizę i otworzył drzwi. Korytarz był pusty.

- *Jak myślisz, ile czasu będzie potrzebował na analizę?* - Wyszedł. Razem zeszli do podziemnego garażu, gdzie brudny porsche tylko czekał, by znów pomknąć po ulicach, drogach i przez miejskie parki.

- *Jest szybki* - uspokoiła go, wsiadając do samochodu. Walizkę rzuciła na tylne siedzenie.

Eryk wolałby dokładniejszą odpowiedź, gdyż nieubłagane zbliżał się czas pełni. Liczył, że zdoła zapobiec pierwszej przemianie Leny, ale ta nadzieja powoli umierała. W niewielkim saarlandzkim miasteczku rozejrzy się za odpowiednią kryjówką dla niej, gdzie w oddali od ludzkich domostw będzie mogła ryczeć, wyć i krzyczeć. Albo założy jej dożycie infuzyjne i wpompuje trzy gramy kwasu gamma-hydroksymasłowego. Powtarzana co kilka godzin dawka tego nielegalnego leku usypiającego wilkołaki pozwoli Lenie spokojnie przetrwać trzy dni i trzy noce. Wiedział z własnego doświadczenia, że to działa. To ewentualnie byłby też sposób, by powstrzymać ją przed towarzyszeniem mu w podróży do Chorwacji. Podczas

walki będzie mu zawadą.

Terenowy sportowy wóz zamruczał uszczęśliwiony, gdy Eryk zapuścił silnik. Pojechali ulicami w stronę autostrady i dalej w kierunku Saarland.

Milczenie Leny utrzymało się do drugiego wyjazdu z autostrady.

- Czy to boli?

- Co dokładnie?

- Przemiana w wilka. Znam coś takiego tylko z horrorów. - Wzdrygnęła się. - Trzeszczy i trzaska zawsze tak obrzydliwie, ludzie wiją się i krzyczą. - Zwróciła ku niemu zielone oczy. - Czy to tak wygląda?

- Przemiany, przy których byłem, zawsze następowały bardzo szybko. - Spróbował zmniejszyć jej strach. Niedługo pozna prawdę na własnym ciele.

- A potem? - Patrzyła w przód na jezdnię. - Co człowiek myśli, będąc wilkiem? Co słyszy się i czuje?

Erykowi nie podobało się, że wyczuł w jej głosie nutę zaciekawienia.

- A jak myślisz? Ja sędzę że: *głód, zabijanie*. Potem *żarcie*, a kiedy w pobliżu znajdzie się inny wilkołak, wtedy jeszcze *pieprzenie*. - Specjalnie powiedział to dosadnie i wzgardliwie, żeby nie pozwolić urosnąć jej skrytej fascynacji. - Nie będziesz miała nad sobą żadnej kontroli. Ja... rozmawiałem z kilkoma przemieńcami. Większość wcale nie pamięta pierwszych przemian. Następnego ranka jakoś się przebudzili, nadzy, myśleli, że oszaleli. - Widział, jak Lena zapada się głębiej w siedzenie. - Wiesz, jest mi naprawdę przykro, ale musisz zrozumieć, że w tej formie istnienia nie ma nic dobrego. Stajesz się narzędziem mroku, nic ponadto. Pozorne korzyści przesłaniają prawdziwą naturę. A ta jest bestialska.

Nie milczała długo.

- Zdziwiająca, jak wielu rzeczy nie dostrzegamy my, ludzie - powiedziała zamyślona. - Odkąd ten stwór mnie ugryzł, świat stał się dla mnie... bardziej intensywny. Odczuwam *więcej*. Czuję zapachy, rzeczy i osoby, nim cokolwiek zobaczę. Mogę niemal dotknąć woni, rozróżniam je o wiele wyraźniej. Dźwięki brzmią inaczej i myślę, że pogorszył mi się wzrok. Za to szybciej reaguję na ruch i biegnących ludzi. Mam ochotę ich gonić, ścigać się z nimi. Jestem bardziej impulsywna niż wcześniej i... - szukała właściwych słów, by wyrazić swoje uczucia. - Dlaczego przemienicy są samotnikami? - Niespodziewanie poruszyła nowy aspekt.

- Czemu *mnie* o to pytasz? - zmieszał się Eryk. - To ty jesteś socjobiologiem.

- No tak. Ale nie mam doświadczenia z tym gatunkiem - roześmiała się Lena. - Właśnie uświadomiłam sobie, że trzeba mu jeszcze nadać naukową nazwę. Może *lupus hominem anthropagus*.



- Nie wszyscy są samotnikami - powiedział Eryk. - Ta bestia, na którą polujemy, w przeszłości wielokrotnie próbowała założyć coś w rodzaju rodziny, ale dotychczas udawało się w porę temu zapobiec.

Lena rozsiadła się wygodnie, podciągnęła nogi i podziwiała zaśnieżony krajobraz.

- Rozumiem. Zachowują się bardziej jak wygnane ze stada samce alfa - westchnęła. - To przez poczucie wyższości, jak mi się zdaje. Czują się lepsi od pozostałych albo przynajmniej silniejsi, dlatego trudno im znieść kogokolwiek u swego boku. - Lena wyjęła z torby blok papieru i długopis. Długo kartkowała, aż znalazła wolne miejsce. Najwyraźniej zanotowała mnóstwo informacji o przemieńcach. - Walczą między sobą?

Eryk wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Może gdy wzajemnie naruszą swój teren. - Zastanawiała się głośno. - Skoro istnieje tyle gatunków, wcale nie jest takie nieprawdopodobne, że dochodzi do konfrontacji.

Milczał. Im więcej odpowiedzi udzielał, tym więcej chciała wiedzieć. Zbudziła się w niej fascynacja, która z gruntu nie mogła być dobra. W milczeniu pokonywali kilometry w kierunku Homburga. Lena pisała, Eryk prowadził, a porsche frunął po autostradzie z szybkością ponad dwustu kilometrów na godzinę.

Późnym wieczorem wjechali na campus kliniki uniwersyteckiej i odszukali budynek, w którym pracował znajomy Leny.

Po drodze tłok na autostradzie spowodował, że Eryk nie zauważył śledzącego ich samochodu. Jednak na terenie kliniki o tej porze panował niewielki ruch i dosłownie wszystko rzucało się w oczy. Również antracytowy BMW kombi, który starał się nie podjeżdżać zbyt blisko, jednak nie mógł pozostawać zbyt w tyle, żeby nie zgubili go w plątaniu ulic.

- Trzymaj się mocno - powiedział Eryk i spojrzął we wsteczne lusterko. W samochodzie za nimi dostrzegł trzy postacie. Zdawało się, że to sami mężczyźni. - Zgubię ich na chwilę, wyskoczysz i pobiegiesz do swojego znajomego, a ja pojedę dalej i pozbędę się pogoni. Potem przyjdę do laboratorium.

Lena oblizła zęby.

- Nie mam ci pomóc? - spytała, rwąc się do walki. - Mogłabym...

Po prostu dodał gazu. Cayenne zawył, skoczył w przód, zarzucił gwałtownie na następnym zakręcie i pomknął wąską, spadzistą uliczką.

BMW podjęło wyzwanie. Rozpoczęło się *Rallye Universitaire*.

Campus kliniki uniwersyteckiej okazał się obfitować w zakręty. Uliczki na zapleczu

głównych tras łączących kliniki były szerokości jednego pojazdu, a otaczający je gęsty las pozwolił Erykowi przetrzucić się z asfaltu na jazdę terenową.

Von Kastella nie interesowało, że drogi są tu jednokierunkowe. Jego ostry, a przecież wprawny styl jazdy szybko pozwolił mu odsadzić BMW wystarczająco daleko, by Lena mogła niepostrzeżenie wyskoczyć. Wzięła paczuszkę, obdarowała Eryka namiętym pocałunkiem i skryła się za drogowskazem, zaś porsche pomknął dalej.

Eryk tymczasem kazał swojemu GPS-owi wczytać plan kliniki i szybkimi zerknięciami wyszukał miejsce odpowiednie na zasadzkę. Zagroda dzikich zwierząt w pobliżu lądowiska helikopterów wydawała się idealna do tego celu.

Eryk pognął cayenne w górę wzniesienia, skręcił na szutrowej drodze i pomknął prosto do lasu. Reflektory BMW zrobiły się wprawdzie mniejsze, ale napastnicy wciąż jeszcze deptali mu po piętach. Wtedy von Kastell wyłączył lampy i w świetle niemal pełnego księżyca pojechał wzdłuż drogi, aż dostrzegł mały parking przed wejściem do zagrody. Mocno zarzucił porsche i sunąc bokiem, zatrzymał wóz.

Potem wyjął karabin na śrut zza tapicerki, otworzył drzwi kierowcy i pasażera. Skoczył na tył, do bagażnika. Przyczał się...

# Rozdział XXVII

1 października 1766, okolice Auvers,  
klasztor Saint Grégoire

- Mieszanka ziół przyniosła w minionych miesiącach dobre skutki, jakieście mi powiedzieli. - Przeorysza przez chwilę patrzyła zamyślona na małe lniane woreczki, które chciała podsunąć Jeanowi Chastelowi. Potem odłożyła je na bok. - Waleriana uwolniła go od niepokoju. Pokrzywy czyszczą krew od trucizny, która wywołuje gorączkę. Jednak nie jest jeszcze całkiem zdrow. Będziemy zatem musieli zastosować mocniejszy środek. Produkcja jest trudna i kosztowna, ale jego działania nie sposób przecenić. - Gregoria wyjęła szklaną butelkę z szafki za plecami. - To esencja z kwiatów pierwiosnka, waleriany i czermieni błotnej, zmieszana z rozmarynem.

- Ile mnie to będzie kosztować?

- Nic, *monsieur* Chastel. Mamy za zadanie pomagać cierpiącym, a Pierre bardzo się męczy podczas ataków, tak mi powiedział.

- Kiedy? Zabroniłem mu przychodzić do Saint Grégoire i spotykać się z Florence. - Jean czuł, jak rośnie w nim gniew. Jednak nie był to gniew skierowany przeciw Gregorii, dla której nadal, podobnie jak przedtem, żywił silne uczucie. Ani Bóg, ani diabeł nie uczynili mu tej łaski i nie uwolnili go od pożądania. Pewnie jeden i drugi mają niezłą uciechę.

Nie udało mu się ukierunkować tego szczególnego gniewu. Nie ułatwiało mu również tego ciągle niezadowolenie z faktu, że nie mogą znaleźć i schwytać bestii. Bez jej krwi nie było ratunku dla jego obarczonego klątwą syna.

Antoine od owego wiosennego dnia stale przebywał w piwnicy szopy, spętany pięcioma łańcuchami; raz bardziej, raz mniej godził się ze swym losem. Czasem w wilczej postaci szalał straszliwie i trzeba go było usypiać silnymi środkami uspokajającymi, to znów siedział i płakał rozpaczliwie na szczątkach rozbitej przez siebie pryczy i prosił, aby go zastrzelić albo natychmiast wypuścić.

Malesky, Pierre i Jean nie robili ni jednego, ni drugiego. Wędrowali przez zielone Gévaudan, po łąkach i wrzosowiskach, przez jary masywu Trzech Gór, po zielono-żółtych

polach janowca, cienistych laskach liściastych i zagajnikach, nigdzie jednak nie znajdowali tropu stwora. Jego brak oznaczał w równej mierze wolność, co śmierć.

Spotykali przy tym raz po raz grupy myśliwych młodego markiza d'Apcher, który postawił sobie za cel uwolnienie ludzi od bestii. Ludzie kochali za to młodego szlachezca. Dla Chastelów i Maleskiego był on niemiłe widzianym konkurentem.

Bestia zaatakowała jedynie pięć razy. Nawet jeśli liczba niezgłoszonych śmierci wiosną, latem i w pierwszych tygodniach jesieni z pewnością była wyższa, jednak w Gévaudan, w Vivarais, w górach Cevenne i Owernii ludzie odetchnęli niemal z ulgą. Bestia nie była tak żarłoczna jak wcześniej.

Maleski podejrzewał, że znalazła sobie jaskinię, by w niej bezpiecznie wydać na świat potomstwo, wykarmić je i ochronić. To zapewniło im złudny spokój. Odroczenie wyroku, póki młode się nie wylęgną. Głodne, chciwe krwi, bardziej zabójcze niż kiedykolwiek.

- Ale ona tu jeszcze jest? - Jean usłyszał pytanie Gregorii. Sądząc po tonie jej głosu, nie była to pierwsza próba uzyskania odpowiedzi.

- Tak, z pewnością jeszcze jest tutaj. Wasze modlitwy i pobożne życzenia nie odeгнаły jej - odpowiedział krótko i spakował butelkę. - Odgadliście moje myśli?

- To było łatwe. Obserwowałam waszą twarz. Ale powiedzcie mi, czy widziano samą bestię, czy tylko znajdowano ciała nieszczęsnych ofiar? - Czarny welon zniekształcił jej uśmiech. - Może złapano ją, a zamiast niej grasuje wilk?

- Nie. Nie ulegajcie fałszywym nadziejom. Ona wciąż jest w lasach. Przyczaiła się i mami ludzi bezpieczeństwem, by zaniechali ostrożności, żeby mogła znów ich pożerać. - Przemilczał, że Maleski podejrzewa, iż bestia doczekała się potomstwa i skryła w bezpiecznej jaskini, by stamtąd znów siać grozę, gdy młode nie będą już ślepe i bezbronne. Gdy w tych półbestiach obudzi się ochota na mięso, ziemia całego regionu zaczerwieni się od krwi bydła i ludzi. - Kiedy on był u niej ostatni raz? - Jean zmienił temat rozmowy.

Gregoria od razu zrozumiała, co ma na myśli.

- Nie wiem dokładnie. Będzie gdzieś miesiąc. Rozmawiają czasem, a ja pilnuję, by nie doszło do niczego więcej, *monsieur* Chastel. Możecie być pewni. W murach Saint Grégoire nie ma miejsca dla grzechu.

- A wy nadal nie macie nic przeciw temu, że wasza wychowanica i mój syn przyrzekli sobie małżeństwo?

Gregoria pochyliła się. Trzymała dłoń na krzyżu widniejącym na jej piersi.

- *Monsieur* Chastel, Pierre jest bardzo miłym młodym człowiekiem, a takich niewielu spotyka się na tym złym, bezbożnym świecie. Nie jest bogaty, ale to nie ma znaczenia. Fakt,

że Florence i wasz syn mimo wszelkich przeciwności nadal się kochają, choć nie widzą się częściej niż kilka razy w roku, udowadnia, że nie ma wątpliwości co do szczerości ich uczucia. Przetrwaliło nawet straszne zdarzenia tej wiosny - wzięła dłoń Jeana i ścisnęła ją. - Moją zgodę mają oboje, *monsieur*. Proszę, dajcie im waszą, gdy tylko bestia padnie trupem.

Jean spojrział na swoją dłoń, potem na jej mocne, choć szczupłe palce obejmujące jego prawicę, i przeniknął go miły dreszcz wywołany dotykiem kobiety, dla której mocniej biło jego serce. Nie mógł powstrzymać się przed spleceniem jej palców ze swoimi.

Gregoria pozwoliła mu na to. Dawno już musiała przyznać, że jej dusza pragnie nie tylko łaski bożej, ale również bliskości tego skrytego, prawego mężczyzny, który swój prostolinijny charakter przekazał synowi Pierre'owi. W narodziny Antoine'a musiał wmieszać się diabeł.

Jednak przecież to, co właśnie robią, nie przystoi zakonnicy!

- *Monsieur* - powiedziała poważnie. - Proszę was kolejny raz. Bądźcie mi przyjacielem, niczym więcej. - Poszukała spojrzenia jego brązowych oczu. - Wierzcie mi, gdybym była... - Jej druga dłoń zacisnęła się tak mocno na krzyżu, że aż zabolęło i poczuła, jak metal rozcina jej skórę. Krew spłynęła po dłoni.

Właśnie wtedy, gdy sądziła, że pokonała demona namiętności, Jean pochylił się i skradł jej długi pocałunek.

Zamknęła oczy, rozkoszowała się cudownym działaniem dotyku, jakiego nie czuła od wielu lat. Wtedy usłyszała swoje sumienie, nazywające ją głośno *grzesznicą*. Natychmiast odsunęła się od Chastela.

- Jean - powiedziała drżącym głosem, z wciąż przymkniętymi powiekami - *nie!* To, co robimy, zaprowadzi mnie na samo dno piekła.

- Dlaczego? - spytał szorstko. Jego głos zabarwiony był podnieceniem. - Dlatego że ulegamy naszym uczuciom? Czy nie powiada się, że Bóg zbliża ludzi? Wierzący mógłby powiedzieć, że wołą Boga jest, byśmy się odnaleźli. Gregorio, może on chciałby, żebyś opuściła Saint Grégoire...

- Nie! - powiedziała cicho i otworzyła szarobrązowe oczy. - Poświęciłam siebie i moje ciało Bogu.

Jean wstał. Patrzył na nią długo. W jego spojrzenie wkradła się surowość.

- Ja... rozumiem teraz, czemu mam się zgodzić na małżeństwo Pierre'a i Florence - powiedział. - Ich romans ma w twoich oczach zastąpić nasze niespełnione pragnienia, nieprawdaz?

- To nie tak - pośpiesznie sprzeciwiła się Gregoria. - Oni się kochają, co do tego nie ma wątpliwości.

- A jak jest z nami? - ponuro domagał się odpowiedzi. - Wiesz o uczuciach, które do ciebie żywią. Myślałem, że nigdy już nie będę potrafił tak odczuć. Teraz jednak znów kocham kobietę i nic mnie nie obchodzi, że należy do Kościoła! Sprawiałaś, że zapomniałem o wszystkich zastrzeżeniach. Ten pocałunek pokazał mi, jak bardzo za sobą tęsknimy. Gregorio, może to dar od Boga! Naprawdę chcesz, byśmy go odrzucili?

- To pragnienie ciała - sprzeciwiła się, podniosła i odwróciła plecami, by wyjrzeć z okna.  
- Idź już i zanieś synowi lekarstwo. On go potrzebuje.

Gregoria słyszała, jak Jean idzie do wyjścia. Drzwi otworzyły się i znów zamknęły. Zatrzeszczały stopnie schodów, kolejne drzwi zatrzasnęły się, a potem zobaczyła go na podwórzu, jak mijając domek gościnny i warsztat, idzie ku bramie. Nie odwrócił się ani jeden raz.

Patrzyła za nim, aż wyszedł za furkę. Spojrzała na rany na swojej dłoni, pochodzące od ostrej krawędzi krzyża: jej krew usmarowała srebrnego Zbawiciela na czerwono.

*Co się ze mną dzieje? Jak mam postąpić?*

Gregoria znów chwyciła krzyż i jeszcze mocniej zacisnęła palce, aż krew ściekła jej po przedramieniu.

Zapukano do drzwi.

- Chwileczkę. - Zacisnęła w dłoni chustkę, by zatrzymać krwawienie. - Wejść.

W pokoju pojawiła się mniszka ze stosem książek w ręku. Zobaczyła krew i zbladła.

- To nic, siostró Magdaleno. Rozcięłam dłoń - skłamała Gregoria. - Co mi przynosisz?

Położyła tomy na stole.

- Liczby ze szwalni, wielebna przeoryszo. Dobrze pracowałyśmy w pierwszym półroczu.

Gregoria zdrową dłonią przekartkowała pierwszy zeszyt i przebiegła wzrokiem rzędy cyfr, zupełnie ich nie dostrzegając. Była na to zbyt wzburzona. Bardzo ludzkie odruchy i uczucia wstrząsnęły fundamentem jej wiary i ślubowaniem złożonym Bogu. A przecież zawsze uważała się za niezwykle silną.

- Otrzymałście już z Rzymu odpowiedź na wasze pismo? - spytała nagle cicho mniszka.

- Z Rzymu?

- Tak, wasz list, nie pamiętacie? Ten na waszym biurku. - Siostra Magdalena zmieszała się. - Wybaczcie, że wysłałam go tak późno, ale znalazłam go dopiero przypadkiem pod książkami gospodarczymi, wielebna przeoryszo. Wybaczcie zaniedbanie, iż nie szukałam dokładniej. Czy moim niedbalstwem wyrządziłam naszej wspólnotie szkodę?

Ciało Gregorii przeniknął lodowaty dreszcz. Zupełnie zapomniała o liście napisanym pół roku temu. Właściwie nie chciała go wysłać przed śmiercią bestii, by przed przybyciem

papieskiego wysłannika zostało jej dość czasu na uregulowanie własnych spraw.

- To nic złego - zmusiła się do odpowiedzi. - Nie było w nim nic ważnego, tylko sprawozdanie. Kiedyś go wysłała?

- Miesiąc temu, wielebna przeoryszo.

Miesiąc! Gregorię ogarnął strach. A więc list już dawno doszedł do Ojca Świętego. Dlaczego jej nie odpisano?

Znajdowała tylko jedną, niepokojącą odpowiedź: z pewnością papież przysłał do regionu innego tajnego wysłannika. Zamyślona wyjrzała z okna, jakby mogła rozpoznać tego człowieka wśród gromady pielgrzymów podążających szlakiem św. Jakuba, akurat przybyłych na podwórze, i z jego twarzy odczytać misję, z którą tu przybył.

Jej własnemu celowi groziło wielkie niebezpieczeństwo.

Florence cieszyła się, że towarzyszy mniszkom do Auvers. Przeorysza niemal nigdy nie spuszczała jej z oka i prawie całkowicie ograniczyła jej wolność. Wizyta w wiosce mająca na celu sprzedaż klasztornych wyrobów była wyjątkiem. Odstępstwem obarczonym ciężkimi obowiązkami.

- Florence, postawisz to, proszę? - poprosiła siostra Marta i wskazała na grubą szpulę wełny, która przewróciła się, grożąc stoczeniem z grubo ciosanego blatu stołu.

- Już. - Florence podbiegła i uchroniła wełnę przed upadkiem w pył drogi. Uniosła głowę i spojrzała wzdłuż ulicy. Nadchodzili ludzie, by oglądać towary, handlować i rozmawiać.

Miała nadzieję, że go dziś zobaczy. Pierre. Rozmówiła się z nim po tym, jak wyzdrowiała po straszliwych przeżyciach pod Montchauvet. Było jej ogromnie przykro, że skaleczyła go sztyletem. Mogła to usprawiedliwić jedynie swoim ogromnym strachem. Teraz, gdy wiedziała o gorączce ukochanego, potrafiła wyjaśnić sobie nieobecny wyraz twarzy Pierre'a. Wybaczył jej rany i tysiącrotnie przeproszał ją za napędzenie strachu. Antoine'a od tamtego czasu nie spotkała. Była to dla niej niezmierna ulga.

- Przyniosę nam trochę wody. - Florence wzięła kociołek i poszła do studni, niezbyt oddalonej od straganu.

Zrobiło się zimno. Na szczytach gór widniał pierwszy śnieg, a wiatr napędzał chłód do lasów. W Gévaudan zima zawsze zaczyna się wcześniej. To jeszcze jeden powód, by opuścić ten przeklęty kawałek królestwa.

Poruszyła piszczącą pompą. Sapała z wysiłku. Czysta, lodowata woda poleciała, gulgocząc, do kociołka. Dziewczyna przyglądała się jej, rozmyślając, jak też żyje się na północy albo nad uroczą Loarą, gdzie zameczki stoją jeden przy drugim. Tam chciałaby żyć,

dawać lekcje i cieszyć się wspólnym domem z Pierrem.

Jednak myśl o wspólnej przyszłości mącił cień. Florence na razie skrywała przed ukochanym jedną tajemnicę, choć dobrze wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała ją wyznać. Odkąd stała się kobietą, cierpiała na silne krwawienia i bóle podbrzusza, wzmagające się czasem aż do strasznych ataków szaleństwa. Przychodziły i mijały. Gregoria robiła wszystko, by uchronić ją przed zrobieniem sobie krzywdy podczas ataku szaleństwa. Jej środki łagodziły ból i wypełniały dnie, kiedy Florence czuła się szczególnie udęczonej aurą przyjemnego oszołomienia. Mimo to dziewczyna nadal była przerażona za każdym razem, gdy budziła się i znajdowała na sobie tak wiele krwi. Jej własnej krwi.

Wróciła z napełnionym do połowy garnkiem. Przy straganie stali już pierwsi kupujący. Rozpaliła obok ognisko i zamocowała nad nim kociołek, by zagotować wodę i zaparzyć ziołową herbatę. Napój pomoże im przeciw wszechobecnemu chładowi.

Florence wyprostowała się, a w jej sukni przy prawej piersi coś kusząco zaszeleściło. Był to list, który dała jej przeorysza i który zawsze nosiła przy sobie.

- Znak życia od twojej matki - powiedziała Gregoria, nie zdradzając wyrazem twarzy, czy się z tego cieszy, czy też nie.

Florence nie odważyła się otworzyć koperty i odczytać zapisanych w liście wierszy, gdyż już dawno zerwała ze swym pochodzeniem. Jej rodziną było Saint Grégoire. Jednak ciekawość tętniła w niej i kusila, aby rzucić okiem na zawartość. Tylko jedno spojrzenie... wsunęła lewą dłoń pod płaszcz, wyczuła papier.

Niczym oddział husarii do wioski wpadła gromada jeźdźców i ich żywiolowe przybycie przeszkodziło otwarciu koperty. Na czele nowo przybyłych stała postać dobrze znana wszystkim w okolicy: młody markiz Jean-Joseph d'Apcher.

Grupa skierowała się w stronę straganu mniszek. Przywódca ściągnął wodze swego kasztanowatego ogiera i zdjął kapelusz.

- *Bonjour.*

Ubrany był w strój w odcieniach brązu i zieleni o kroju, który u markiza można by nazwać niemal prostym. Długie jasnobrażowe włosy opadły na ramiona, nadając sylwetce rys arogancji. Na ramię zarzucił muszkiet. Boki konia błyszczały od potu.

Markiz zeskoczył z siodła. Jego towarzysze zrobili to samo.

- Mielibyście dla mnie łyk gorącej herbaty? - uśmiechnął się do Florence.

Nie mogła nie podziwiać tego niewiele starszego od siebie mężczyzny za niestrudzone zaangażowanie w walkę z bestią. Odwzajemniła uśmiech.

- Ależ oczywiście, *monsieur le marquis.* - Jak spod ziemi wyrosła obok nich siostra



Rogacja i podała glinianą czarękę, do której Florence nalała gorącego płynu. Rogacja była przedłużeniem ramienia przeoryszy, strażniczką na każdej wycieczce. Florence potajemnie nadała jej imię *Komenda*.

Gdy podając markizowi herbatę, spojrzała mu prosto w twarz, zauważyła, że przygląda jej się wnikliwie. Znała ten typ męskiego spojrzenia.

- Odnieśliście sukces, *monsieur le marquis*? - Odwróciła jego uwagę. - Wy i wasza świta wyglądacie, jakbyście już długo siedzieli w siodle.

Przyjął czarękę i wziął kilka łyków. Westchnął zadowolony.

- To dobrze robi, *mademoiselle*. W powietrzu czuje się już zimę i wiatr mocno szczypie skórę. - Pozwolił, by para ogrzała mu twarz. - Już długo jesteśmy w drodze - odpowiedział. - Ani śladu tej przeklętej bestii. Za wiele wąwozów i gęstych lasów wokół Montmouchet. Najchętniej wypaliłbym je wszystkie, by pozbawić bestię jej kryjówki - zaśmiał się gorzko. - Mój ojciec nie byłby jednak szczególnie zadowolony, gdybym zniszczył mu jego cenne drewno.

- Uważacie zatem, że bestia tam się ukrywa? - dopytywała się Florence.

Skinął głową i otworzył usta, gdy podeszła starsza kobieta i padła przed nim na kolana.

- Niech Bóg was błogosławi, *mon seigneur*! - krzyknęła bliska łez. - Wy jeden bronicie nas przed demonem - pocałowała jego brudne buty. - Niech Bóg was błogosławi.

Markiz chwycił ją za ramiona i kazał wstać.

- Dziękuję wam, ale nie trzeba, byście padali przede mną w ten brud. Moja rodzina i ja jesteśmy świadomi odpowiedzialności, jaką ponosimy za ludzi mieszkających na naszych ziemiach i w Gévaudan. Wykonuję tylko mój obowiązek.

- Obowiązek zaniedbany przez większych w tym królestwie - powiedziała kobieta, ponownie się kłaniając. Tą uwagą, mimo braku dosłowności, wyraźnie skierowaną przeciw królowi, była o włos od popełnienia czynu karalnego. Jednak zbyt wielu ludzi niemo podzielało jej zdanie, by ktokolwiek miał ochotę na nią donieść.

- Przysięgam, że nie spocznę, póki bestia nie będzie leżała martwa u moich stóp - oznajmił uroczyście markiz. Wszyscy uwierzyli jego słowom.

Florence dokładniej przyjrzała się młodemu mężczyźnie. Odczuwała dla niego głębokie uznanie i gdyby nie to, że istniał Pierre, jej serce na pewno zapłonęłoby dla Jeana-Josepha.

Najwyraźniej potrafił czytać w jej myślach, gdyż odwrócił się do niej.

- *Mademoiselle*, czy wolno mi zrewanżować się za waszą uprzejmość zaproszeniem na mój zamek w Besques? - powiedział, kłaniając się leciutko. - To byłoby dla mnie zaszczyt.

Siostra Rogacja wysunęła się do przodu i wyraźnie dała do zrozumienia, że nie wyraża

zgody na tę propozycję.

Do Auvers dotarł drugi oddział jazdy. Końskie kopyta zadudniły po ulicy. Jezdni zatrzymali się przy pierwszym domu posiadającym dużą stodołę i podnieceni zażądali lin, wołów i pomocników.

Markiz odwrócił się.

- Ludzie comte de Morangiésa - powiedział półgłosem. - Czego oni tu szukają? - Wcisnął Florence czarkę w dłoń i pospiesznie podszedł do oddziału.

Dziewczyna chciała iść za nim, ale siostra Rogacja chwyciła ją za ramię.

- Nie. My poczekamy tutaj, Florence - powiedziała cicho.

Młoda kobieta pochyliła się, by podłożyć pod kocioł nowego drewna i zagrzać herbatę, równocześnie spod stelaża obserwując rozmawiającego z mężczyznami Jeana-Josepha; nie trwało to długo, nim wrócił do nich biegiem.

- Znaleźli powóz niemal całkiem zatopiony w trzęsawisku - wyjaśnił pospiesznie i wskoczył na siodło. - Chcemy spróbować go wyciągnąć. - Jego towarzysze też dosiedli koni i odjechali z Auvers razem z ludźmi de Morangiésa.

Rogacja skinęła głową, zadowolona, że zaproszenie najwyraźniej zostało zapomniane, i zajęła się mocowaniem kotła. Florence żałowała nagłego odjazdu młodego markiza. Wizyta na zamku i zerknięcie na świat szlachty bardzo by jej się podobały. Tak bardzo chciałaby zobaczyć, jak się żyje w przepychu i luksusie...

Tymczasem mieszała herbatę, nalewając jej mieszkańcom wioski zatrzymującym się przy straganie klasztoru, dopóki Rogacja nie wysłała jej ponownie po wodę. Florence wzięła wiadro i poszła do pompy, ale zupełnie nie mogła jej poruszyć. Mechanika odmówiła posłuszeństwa na chłodzie.

W pewnym oddaleniu od placu targowego dziewczyna dostrzegła ocembrowane źródło, obficie tryskające wodą. Bez namysłu ruszyła w tym kierunku.

Czerpała lodowatą wodę ze zbiornika gołymi rękami, aż jej zdętwiały dłonie. Nagle padł na nią cień.

- Następnym razem powinnam wziąć chochlę, siostró Rogacjo - powiedziała, nie podnosząc wzroku i dalej wykonywała swoją pracę.

Czyjaś dłoń chwyciła ją za kark i gwałtownie popchnęła do przodu, równocześnie odciągając jej nogi w tył. Ktoś usiadł jej na plecach, uniemożliwiając wyjęcie głowy z wody. Jej krzyki przeszły w bulgot, próbowała odkaszlnąć i zachłysnęła się jeszcze bardziej.

Bijąc wokół rękami, chwyciła jakąś tkaninę i podciągnęła się na niej z całych sił. Nacisk

na jej krzyż zelżał. Krztusząc się i chwytając powietrze, wynurzyła głowę. Ledwie wzięła głęboki wdech, napastnik znów się na nią rzucił. W jego pięści błysnęło ostrze.

Florence niewyraźnie dostrzegła go przez wodę zalewającą jej oczy: mężczyzna około czterdziestoletni, silny, ale niewysokiej postury. Miał na twarzy szal, by pozostać nierozpoznanym. Instynktownie i szybciej niż sądziła, że potrafi, usunęła się przed ciosem.

Napastnik skoczył za nią, a ona znów uszła przed atakiem i z całej siły kopnęła go w krocze. Zwinął się z jękiem, ale nie zaniechał swoich działań. Florence poderwała się i próbowała uciec, lecz potknęła się o wiadro i upadła w błoto. W następnej chwili poczuła uderzenie i gorący ból przenikający jej plecy na lewo od kręgosłupa. Trafił ją. Z krzykiem poczołgała się do przodu, przetoczyła i dostała cios nożem w brzuch poniżej piersi! Ból był tak nieopisany, że Florence leżała w błocie jak sparaliżowana, niezdolna krzyczeć, niezdolna się bronić.

Mężczyzna kopnął ją brutalnie w twarz, aż jej głowa poleciała w tył, jednak dziewczyna ledwie to poczuła. Pochylił się nad nią i rozerwał jej suknię. Jego palce przesunęły się po niej, chwyciły jej piersi, jakby czegoś szukały. Nagle spojrział w prawo, skąd dobiegały głośne krzyki. Przy tym ruchu zsunął mu się szal.

Florence poznała go.

Należał do ludzi comte de Morangiésa!

Pośpiesznie poderwał się i uciekł.

Dziewczyna wciąż patrzyła jak sparaliżowana w szare jesienne niebo. Czowała, jak spływa po niej ciepła krew. Wreszcie pojawiła się nad nią twarz siostry Rogacji. Wtedy Florence zemdląła.

# Rozdział XXVIII

1 października 1766, w lesie Ténazeyre,  
Południowa Francja

Łańcuchy naprężyły się od gwałtownego szarpnięcia i zabręczały głośno. Malesky jednym skokiem uchronił się przed zbliżającymi się pięściami. Mocowanie w kamieniu zatrzeszczało, na podłogę piwnicy posypał się granitowy pył.

- Pozwólcie mi wyjść! - Antoine bardziej wył, niż mówił. - Nie zniosę dłużej tego uwięzienia! Chcę do niej! Ona mnie wzywa. - Rzucił się całym ciężarem ciała do przodu i zawarczał jak drapieźnik. Z ust pociekła mu ślina. - Przysięgam, że ucieknę i będę zabijał jeszcze częściej niż przedtem, jeśli mnie nie wypuścicie - wściekał się. - Jestem dla was za mocny. Razem z nią zapanuję nad Gévaudan. Ludzie sami będą nam przynosić ofiary.

Malesky patrzył przez cieniowane szkła okularów na młodego człowieka, w którego rysach ledwie można było jeszcze poznać ludzkie cechy, i notował swoje spostrzeżenia. Pierwszy raz miał sposobność obserwować i wypytywać uwięzionego loup-garou. *Garou przeniknął go prawie całkowicie. Wkrótce Antoine będzie dla nas stracony na zawsze*, zapisał.

Jazgot przeszedł w niezrozumiałe wycie, warczenie i głębokie szczekanie.

- *Monsieur* Chastel, rozumie mnie pan jeszcze? - Malesky zobaczył, jak Antoine pada na kolana, kurczy się i zmienia w postać zwierzęcia, w nadziei, że w ten sposób łatwiej będzie mu wyrwać się z więzów.

Kości przesuwwały się i wyciągały, mięśnie pęczniały, zaś pozbawioną jeszcze przed chwilą włosów skórę porastało futro. Głowa robiła się szersza, z trzaskiem wyrastał z niej długi pysk. Antoine tarzał się po podłodze, szarpał się i krzyczał albo lepiej powiedziawszy, próbował krzyżeć. Z jego krtani wydobywały się straszliwe dźwięki, od których człowiekowi niemal tężała krew.

Mołdavianin z fascynacją połączoną ze wstrętem obserwował, jak zęby ustawiają się w nowym porządku. Łapy, tak mu się przynajmniej zdawało, były dłuższe niż jeszcze trzy miesiące temu. Antoine coraz bardziej upodabniał się do bestii. Jego zwierzęca postać zdawała się za każdym razem być coraz większa i silniejsza.

Jak mu się to udaje?

- *Monsieur* Chastel? - Mołdawianin szybko ocenił mocowanie nowych oków na dłonie i stopy, z których jak dotąd Antoine'owi nie udało się jeszcze wydostać. Również tym razem robiły stabilne wrażenie. Ponieważ młody Chastel w przeszłości dowiedział, że nie wolno nie doceniać jego siły, Malesky odsunął się za kratę założoną jako drugie zabezpieczenie w piwnicy u wylotu schodów i zamknął wyjście.

Stworzenie leżało przyczajone. Antoine zniknął. W jego miejscu przykucnął straszliwy loup-garou ze znajomym, rudawym futrem w czarne pręgi ciągnące się od głowy aż po cienki ogon. Bestia poderwała się na tylne łapy, przewyższając Maleskiego o dwie dłonie. Czerwone oczy patrzyły na niego z nienawiścią, wielkie pazury otwierały się i zamykały z ogromną szybkością. Stwór zamierzał rzucić się na obserwatora i zgotować mu podobny koniec jak swoim wcześniejszym, licznym ofiarom.

- *Monsieur* Chastel? - znów spróbował Malesky. Jego naukowe zainteresowanie w znacznym stopniu tłumilo strach. - Jeśli mnie rozumiecie, skinięcie głową.

Antoine jedynie zaryczał.

Zionął w twarz Mołdawianina obrzydliwie cuchnącym oddechem, skłaniając go do cofnięcia się o krok.

- *Monsieur*, wasz zapach budzi wstręt. Siedzące w was zło nie pachnie zbyt dobrze.

- Otwórz - ryknął niskim głosem loup-garou. Oczy promieniały mu czerwono i przykuwały spojrzenie Maleskiego, który ku swemu przerażeniu nie był w stanie odwrócić wzroku. Ręce zrobiły się ciężkie, jakby były sparaliżowane, z ciała uszła wszelka energia i zdawała się przepływać do garou. - Otwórz - stwór powtórzył hipnotyzujący rozkaz.

Dłonie Mołdawianina poruszyły się bezwolnie, manipulowały przy zasuwie drzwi i usunęły pierwszą przeszkodę. Malesky patrzył jak urzeczony w obrzydliwą mordę stwora, tylko jego podświadomość próbowała burzyć się przeciw temu, co czyniło ciało i ratować go z niesamowitego transu. Krzyczała i ryczała prawie tak samo jak uwięziony wilkołak. Jednak bezskutecznie.

Antoine podniósł kajdany, łańcuchy głośno zabrzęczały.

- Otwórz.

- Ja... nie mam... klucza - wyszeptał Malesky w transie. Nie dziwił się nawet, że Antoine w tej postaci potrafi mówić.

- Więc chodź - zażądał w zamian stwór. - Chodź do mnie.

Malesky nie czuł już niebezpieczeństwa, w jakie się pakował. Zrobił krok do przodu i stał w odległości mniejszej niż łokieć od rozdziawionego wyczekująco pyska wilkołaka. Z chrap

kapą biała piana.

Malesky nie słyszał, jak nad ich głowami rozlegają się krzyki. Otwarto obitą żelazem klapę. Pierre i Jean wpadli do lochu. Przerażeni patrzyli na to, co ukazało się ich oczom. Wołali Maleskiego. Dla niego istniały już tylko promieniejące rubiny o magnetycznej sile przyciągania.

Antoine kłapał zębami. W tym momencie Jean zdołał chwycić surdut Mołdawianina i szarpnął go w tył. Zęby o włos chybiły twarzy mężczyzny. Garou zawył rozczarowany, rzucił się na ziemię i wbił pazury w prawą nogę Maleskiego. Nagły ból wyrwał mężczyznę z transu.

Raptem zrozumiał, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie. Jego rozum zbudził się, ratująca życie trwoga dodała mu sił i pomogła odsunąć od wilkołaka. Następny cios, który z pewnością wyrwałby mu łydkę, odparował kopniakiem. Chastelowie odciągnęli go za poły surduta z zasięgu Antoine'a.

Z okropnym brzękiem ze ściany wyrwały się w krótkich odstępach czasu jedno po drugim mocowania łańcucha. Pierre w ostatniej chwili zatrzasnął kratę.

Antoine, warcząc, skoczył na pręty, które zdrząły od impetu. Potrząsał nimi i krzychał. Tynk kruszył się, a żelazo poruszało się coraz mocniej.

- Cofnij się, Antoine! - Jean uderzył go po szponiastych palcach blaszaną miską, jednak na niewiele się to zdało. Leśniczy chwycił ze ściany pręt ze srebrnym ostrzem i wbił czubek głęboko w ramię swego przemienionego syna. Ten straszliwie zaskomlał i natychmiast odskoczył od kraty.

Antoine opadł na cztery łapy i biegał tam i z powrotem niczym czatujący kot; ryczał przy tym nieustannie. Rana na ramieniu cicho syczała, unosił się z niej czarny dym i cuchnęło obrzydliwie starym, spalonym mięsem.

- Na Boga Wszzechmogącego! - Malesky rozciął nogawkę i przeklinając, badał dotykiem ranę. - Rozdarta aż po kość - stwierdził, zgrzytając zębami. - Nieostrożność boli, *messieurs*.

- Na pewno zechcecie mi opowiedzieć, co zaszło - powiedział Jean. Pierre pomógł Mołdawianinowi podnieść się na nogi i wspiać po drabinie.

Silna, koścista dłoń położyła się od tyłu na ramieniu Jeana i zacisnęła.

- Ojczy, wypuść mnie - zażądał ochryple Antoine. - Puść mnie wolno, bym mógł ją widzieć i z nią polować albo przysięgam, że po mojej następnej ucieczce nie wrócę do ciebie.

Jean opanował się i powstrzymał, by nie krzyknąć. Udawał, że nie czuje strachu przed synem. Zdołał nawet odwrócić się powoli i nie uciec; gdy jednak zobaczył, kto albo co stoi przed nim, stopy wbrew silnemu postanowieniu same ruszyły w tył. Dłoń ześliznęła się z tkaniny jego surduta.

Nie zauważył, kiedy Antoine przemienił się z powrotem w półczłowieka. Twarz składała się częściowo ze straszliwych rysów bestii, częściowo przypominała oblicze człowieka, którego wychował i widział, jak dorasta. Z warg sterczały kły, a głowa wydawała się dziwnie zdeformowana i podłużna. Ciało przedstawiało żalosną karykaturę, chimere, jakie widuje się w kościołach jako fryzy albo mityczne płaskorzeźby, mieszanki człowieka i zwierzęcia. Genitalia kołysały się groteskowo wśród gęstego owłosienia.

- Słyszysz, co mówię, ojcze? Inaczej nigdy nie wrócę! - zagroził ponownie.

- Nie mogę pozwolić ci biegać i mordować, Antoine - powiedział wstrząśnięty Jean.

- Musisz! - krzyknął jego syn i znów jak opętany zatrząsł prętami. - Albo wyżrę całe Gévaudan! - przestał szaleć i przycisnął odrażającą mordę do krat. Oczy iskrzyły mu od gniewu. - Ucieknę, ojcze. Wtedy rozszarpie wszystko. Każdy zmarły będzie sygnowany twoim imieniem.

Jean nie mógł uwierzyć w to, co widział i słyszał.

- Antoine, pokonaj garou w sobie - zaklinał. - To on do mnie mówi, nie ty. Jeśli pozwolisz mu nad sobą zapanować, nie zdołamy już uwolnić cię od załączka zła.

Straszliwe pazurzaste łapy zacisnęły się mocno na prętach krat.

- A kto mówi, że tego chcę, ojcze? Mam więcej mocy, niż kiedykolwiek śmiałym marzyć. Ludzie się mnie boją, mogę sobie brać, cokolwiek zechcę i nikt mi się nie przeciwstawi. Bestia uczyniła mnie bogiem - spojrzał Jeanowi w oczy. - Trafiały mnie kule i nie umarłem, żarłem krew, ciała dzieci i kobiet. Smakowały wysmienicie. To mi jeszcze dodało sił. Uszy ostrzegają mnie o dźwiękach, których jako człowiek nigdy bym nie usłyszał, czuję węchem każdy szczegół otoczenia, a moje mięśnie są mocne jak stalowe liny. - Wyprostował się. - Miałbym stracić tę moc?

- Zdejmujemy z ciebie klątwę, Antoine.

- To ciało jest *błogosławione*, a nie przeklęte. Wypuść mnie.

- Nie.

- WYPUŚĆ MNIE! - Ten krzyk przeniknął wszystko, zagrzmiał w piwnicy jak strzał armatni. Jean poczuł, że niemal pękają mu bębenki. Przycisnął uszy dłońmi, zaś Antoine znów zatrząsł prętami. Odpadły duże kawałki tynku. - ZABIJĘ CIĘ! - ryczał. - NIKT MNIE NIE POWSTRZYMA! - Antoine wyrwał jeden z prętów. Jeszcze mocniej szarpał pozostałe i śmiał się tryumfująco.

Jean wziął się w garść. Ponownie podniósł srebrną klingę i wbił ją Antoine'owi w ramię, ten jednak nie chciał puścić. Myśliwy dźgał go więc tak długo, aż garou, parskając, dał za wygraną. Błady jak trup Pierre szybko zszedł po drabinie z gotowym do strzału muszkietem

naładowanym srebrnymi kulami.

- Zabiję wszystko, co napotkam na swojej drodze. To będzie wasza wina - obiecał im grzmiało Antoine i przycupnął w najodleglejszym kącie celi. Gdy znów przemieniał się całkowicie w człowieka, dało się słyszeć ciche trzaskanie i trzeszczenie. Antoine jęczał, stękał i dyszał obrzydliwie. Wreszcie opadł na bok, a jego ciało podrygiwało i otrząsało się z ostatnich wilczych kłaków. Potem leżał nieruchomo. Nie trwało długo, nim zasnął z wyczerpania.

Pierre i Jean wśliznęli się do celi i pałąk podzielili go w głowę, by za szybko nie oprzytomniał. Potem spętali go łańcuchami i naprawili szkody w lochu. Tym razem zakotwili mocowania łańcuchów głębiej w kamieniu i trzykrotnie je zabezpieczyli.

Nim odeszli, Jean zaprawił wodę pitną Antoine'a silnym środkiem uspokajającym, przyrządzonym z wilczej jagody. Przy okazji wlał mu też trochę do ust owej zbawiennej mikstury: w ten sposób mógł być pewien, że Antoine nie przyjdzie do siebie co najmniej przez dwa dni. Do tego czasu zaprawa murarska wyschnie i stwardnieje.

- Czy możemy go jeszcze w ogóle uratować? - spytał Pierre cicho i smutno, gdy o szarym świcie wychodzili zobaczyć, co dzieje się z Maleskim.

- Z pewnością. - Mołdawianinowi udało się samodzielnie oczyścić i zaszyć ranę na nodze. Zrobił to z taką samą precyzją jak wtedy, gdy opatrywał Pierre'a; teraz siedział na krześle przy kominku i serwował sobie koniak, by mniej odczuwać pulsujący ból. - Ale nie powinno to trwać dłużej niż sześć miesięcy, bo na zawsze stracimy go na rzecz zła. - Opowiedział Chastelom, co wydarzyło się w piwnicy, nim przyszli i go uratowali. - Antoine przemienił się w garou takiego gatunku, który jest wyjątkowy niebezpieczny, bardziej niż jakikolwiek inny - wzdrygnął się. - Wydaje się być wybrany przez piekło na władcę wśród bestii. To było okropne, po prostu okropne! Jego oczy wypaliły sobie niczym rozżarzone węgle drogę wprost do mojego umysłu i kontrolowały moje ciało niczym marionetkę. Zwykle oczy przemienca podobne są do oczu drapieznika, którego postać przybiera. Ta umiejętność, którą wasz syn w tak piękny sposób zademonstrował, nie była mi znana. Jak również zdolność mówienia w zrozumiały sposób.

- Zatem wielbna przeorysza nie myliła się w swoich słowach - zauważył Pierre, który zaparzył sobie ziołowej herbaty i zamyślony wyglądał przez okno w kierunku klasztoru. - Wypisała na swojej kartce, co potrafi garou.

- Ta bestia jest sprytniejsza, niż zakładałem. Muszę was za to przeprosić, *messieurs*. Ona się uczy. - Malesky, nie podnosząc się, przeniósł ciężar ciała na drugą stronę i skrzywił się: rana przypominała o sobie bolesnym ukłuciem. - Przeczuwa, że czas działa na jej korzyść.



Czeka, ze spokojem rozszarpuje ofiary, aby nabrać sił i, jak można się obawiać, wychowuje swój miot, co do którego nie wiemy, jak jest liczny.

Jean zastanowił się.

- Może powinniśmy inaczej podejść do sprawy - zaproponował. - Rozpytamy się, z której wioski nagle zniknęła ciężarna kobieta, a jej szczątków nigdzie nie znaleziono. To mogłaby być bestia.

Pierre skinął głową.

- To uwolni nas od długich i nieskutecznych wędrówek po gęstych zaroślach w zimne noce.

Malesky również nie był przeciwny. Wskazał na szopę.

- Antoine'owi pewnie jeszcze przybędzie sił. Musimy na stałe zmać jego zmysły, żeby nie był świadom własnej mocy. - Z trudem podniósł się z prostego krzesła i rozsiadł na narożnej ławie. Oparł nogę na siedzisku. - *Messieurs*, to daleko trudniejsze i dłuższe polowanie na przemienca niż jakiegokolwiek, jakie do tej pory prowadziłem - westchnął, pociągając łyk koniaku. - I najbardziej bolesne. - Jednym łykiem opróżnił kubek i oparł się o ścianę.

- Wspominaliście, że powody, dla których polujecie na wilkołaki, są osobistej natury, ale nigdy o nich nie opowiadaliście - przypomniał sobie Pierre. - Zechcecie nam opowiedzieć, jak zaczęło się to wasze polowanie?

Malesky wypuścił powietrze.

- To nie jest szczególnie spektakularne, *monsieur* Chastel. W mojej ojczyźnie byłem kiedyś tym, kogo zwie się żoldakiem. Potem przyłączyłem się do pewnej bandy walczącej przeciw Osmanom i ich namiestnikom. Miałem organizować prowiant i tropiłem dzika, gdy spotkałem mojego pierwszego vukodlaka. Patrzył na mnie, ja na niego, a potem zaraz zniknął. Zauważyłem jednak złoty, błyszczący kolczyk. Przy następnej pełni zakradł się do naszego obozu i w strumieniach krwi wytrzebił wszystkich mężczyzn prócz mnie. Nawet nie trudził się, by pożerać ludzi. Rozszarpywał ich za życia i porzucał. Od tamtej nocy poluję na przemienców.

- A czemu zostawił was przy życiu? - ostrożnie spytał Pierre.

- Wieczorami często ze śmiechem opowiadaliśmy sobie, jak banda przetrzepała skórę jednemu z namiestników sułtana, więc był ciężko poturbowany i ranny, nim uszedł przed kopniakami i uderzeniami. Nie brałem w tym udziału. Jednak przypomniałem sobie później, że miał kolczyk. Złoty, jak ten vukodlak. Takie ozdoby nieczęsto widywało się u Osmanów. - Malesky dolał sobie trunku. - Dwóch zabitych było moimi dobrymi przyjaciółmi. Nie

chciałem zostawić tego bez kary i odszukałem namiestnika, by pociągnąć go do odpowiedzialności. Doszło do kłótni. Wtedy przemienił się na moich oczach i zaatakował mnie. - Malesky potarł prawe ramię. - Niewiele brakowało. Gdybym wcześniej nie dowiedział się, co stosuje się przeciw tym bestiom, przyłączyłbym się do moich przyjaciół w zaświatach. Jednak wbilem mu w serce srebrny sztylet i od tego czasu jestem poszukiwany. Każdy wiedział, że dokonałem morderstwa, ale nikt nie miał pojęcia, co zabiłem.

Ojciec i syn uważnie słuchali.

- Czemu polujecie dalej, *monsieur* Malesky? - dopytywał się Pierre. - Przecież zniszczyliście mordercę swych przyjaciół?

Mołdawianin milczał.

- One są wszędzie. Trzeba mieć szeroko otwarte oczy i umieć odczytać ich ślady. Ta wiedza nie pozwala mi zasnąć - szepnął, nieobecny myślami. - Są zagrożeniem dla ludzi, a rodzaj bestii, która pojawiła się tutaj, jest najgorszy ze wszystkich. Jest sprytna, potrafi robić rzeczy, jakich nie umie żaden inny przemieniec. Pierwszy raz spotkałem ją w pobliżu Carpineni, gdzie zaatakowała majątek dworski; uciekła mi i od tego czasu bawi się pozostawianiem mi śladów, których tropem mogę iść. To były pułapki. Spotykałem jedynie innych przemieńców, których na mnie szczuła. Jednak nie poddają się. Będę prześladował bestię do mojego ostatniego tchnienia.

- Gdybyście opowiedzieli mi to przed dwoma laty, wyśmiałybym was. - Jean dorzucił polano do ognia na kominku, by wygnąć z izby październikowy chłód. - Teraz macie we mnie sprzymierzeńca.

Pierre był przygnębiony ponurym światem stworów.

- Powiadacie, że są wszędzie, *monsieur* Malesky, ale skąd się wzięły? Zesłał je Bóg czy diabeł? Czego szukają? - Jego brązowe oczy błyszczały z przejęcia. - Czy w papierach wielebnej przeoryszy nie było napisane, że są również takie, które pomagają ludziom? Pamiętajcie, że namiestnik początkowo chciał was oszczędzić.

Malesky zaśmiał się cicho.

- Nie spotkałem jeszcze żadnego, który by mnie zaprosił na wino albo pomógł staruszce wsiąść do powozu. - Spojrzał na Pierre'a. - Młody *monsieur* Chastel, to są bestie. Jest mi obojętne, skąd się wzięły. Nie obchodzi mnie, kto je do nas przysłał. A czego szukają, czego chcą? - Wlał w gardło koniak. - Śmierci. Chcą zabijać, *monsieur*. Mordować i rozsiewać nasienie, aby pewnego dnia wypełznąć z kryjówek i otwarcie nad nami zapanować. - Wstał i chwiejnie pokuśtykał do izby, udając się do łóżka. - Dla mnie drugi co do piękności dzień w życiu będzie wtedy, gdy uwolnimy waszego brata od kłątwy garou, nie musząc go przy tym

zabijać. - Malesky zniknął w ciemności pokoju.

- A jaki będzie najpiękniejszy? - zawołał za nim młody człowiek. Nie dostał żadnej odpowiedzi.

Ledwie zmęczony Mołdawianin zniknął za progiem, ktoś szybko i głośno zapukał do drzwi. Jean zmarszczył czoło i wyjrzał przez małe okienko.

- Przeorysza Gregoria? - otworzył drzwi i wpuścił ją.

- *Bon nuit, messieurs.* - Wyglądała na podnieconą. Rąbek jej habitu był cały w błocie i czuć było od niej potem. Minęła go szybko i podeszła do Pierre'a, aby ująć go za prawą dłoń.

- Chciałam powiedzieć ci to sama, nim dowiesz się tego z innych ust. Florence została dziś rano dźgnięta nożem, ale teraz czuje się już dość dobrze, zważając na okoliczności. Rany nie są tak groźne, jak się na początku wydawało.

- Co? - Przerażony Pierre spojrział na Jeana zamykającego drzwi. - Mój Boże! - szepnął i ruszył w stronę wyjścia. - Muszę iść do niej. Ona...

- Potrzebuje spokoju - powiedziała uspokajająco Gregoria. - Jeśli o mnie chodzi, możesz ją wkrótce zobaczyć, ale dopiero wtedy, gdy będzie się wystarczająco dobrze czuła. - Zmusiła go, by siadł na krześle i przyciągnęła ku sobie jego spojrzenie. - Wszystko będzie dobrze. Bóg był przy niej.

Jean zbliżył się do nich, ustawił sobie krzesło i oparł się o stół.

- Jak to się stało?

- W Auvers. Próbowano ją zgwałcić - powiedziała Gregoria. - Gdy się broniła, napastnik usiłował ją zabić.

Pierre pobladł.

- Co za świnią! Ja go za...

- Nic nie zrobisz. Zostaw to sędziemu. - Jean położył dłoń na ramieniu syna. - Wiadomo, kto to zrobił?

Gregoria pokręciła głową.

- Nie. Florence mówi, że nic nie pamięta. Szok mocno naruszył jej ducha i wstrząsnął nią. Nie było żadnych śladów, które pozwoliłyby domyślić się sprawcy. Markiz d'Apcher zarządził śledztwo, również comte obiecał pomoc.

- Stary comte de Morangiés? - zdziwił się Jean. - A co on ma z tym wspólnego?

- Jego ludzie byli tego dnia w Auvers. Należeli do myśliwskiej drużyny jego syna, który niedaleko stamtąd wyciągał z trzęsawiska powóz. - Gregoria usiadła na krześle. - Podejrzewam, że chce zapobiec pogłoskom, że to jeden z jego poddanych próbował zadać gwałt Florence.

Błysk w jej oku zdradził, że jest jeszcze coś, czego jednak nie chce mówić w obecności Pierre'a.

- Idź do łóżka - przykazał synowi Jean. - Przeorysza i ja musimy jeszcze porozmawiać. O tobie i Florence.

Pierre podniósł się niechętnie.

- Przekażcie Florence moje najszczerze życzenia powrotu do zdrowia - poprosił Gregorię. - Dajcie mi znać, kiedy będę mógł ją odwiedzić - skinął głową obojgu i zniknął w pokoju, w którym leżał już Malesky.

- Co jeszcze, Gregorio? - spytał przytłumionym głosem Jean, gdy tylko zamknęły się drzwi.

- Tak łatwo mnie przejrzeć?

- Ja potrafię - odpowiedział, uśmiechając się. Cieszył się, że widzi jej twarz, choć skrytą głęboko w cieniu czepeca. Rozpoznałby ją nawet w całkowitej ciemności. - To ma coś wspólnego z powozem w bagnie, jak mi się zdaje.

Gregoria naląła sobie nieco wody.

- Powóz należał do madame Dumont, o której nie wiem ani skąd pochodzi, ani czy w ogóle tak się nazywa. Odwiedziła mnie jakiś czas temu - wyznała cicho. - Twierdziła, że jest matką Florence. Mówiła o niebezpieczeństwie, w jakim się znajduje i poza sporą sumą pieniędzy dała mi list dla Florence. Miała go przeczytać i iść z tym do starego comte.

- Czytałaś to, co napisała owa madame?

- Nie. Dałam list Florence. - Gregoria cicho odetchnęła. - Skradziono go jej, Jean. To nie była próba gwałtu. To był celowy zamach na życie mojej wychowawicy! Jej śmierć usunęłaby wszelkie ślady.

Jean milczał przez chwilę.

- Powóz należał do tej madame Dumont?

- Tak. Znalaziono w nim jej zwłoki. Została zakłuta nożem, a jej osobiste rzeczy znikły wraz z kuframi. Poza mną nikt nie wie, kim była. Dla żandarmerii jest nieznaną podróżną, napadniętą przez rabusiów. - Nagle przeorysza zaczęła drżeć, napięcie się rozładowało.

Jean usiadł przy niej i ociągając się, wziął ją za rękę. Chętnie zamiast tego wziąłby ją w ramiona, ale się nie odważył.

Uczepiła się jego dłoni i ścisnęła ją.

- Boję się o Florence. To strach, od którego nawet Pan nie może mnie uwolnić.

- Rozumiem. Myślisz, że stary comte jest ojcem i że chce zmusić do milczenia wszystkich świadków.

- Nie można wykluczyć, że ma z tym coś wspólnego - powiedziała.

- Że ma z tym coś wspólnego *rodzina* de Morangiés - poprawił. - O takie bezwzględne postępowanie posądzałbym bardziej syna niż ojca. Młody comte cieszy się daleko gorszą sławą.

Gregoria zrobiła wielkie oczy.

- *Młody* comte? Ale on miałby - szybko policzyła - około szesnastu lat w momencie poczęcia Florence.

- Wiek, w którym młody mężczyzna lubi się wyszaleć i podobają mu się różne kobiety. To, że jest szlachcicem, pewnie jeszcze mu ułatwiło drogę do łóżka madame Dumont.

- Ale jakie zagrożenie stanowi dla niego Florence, że posunął się aż do próby mordu? - Gregoria ścisnęła dłoń Jeana, jakby nie miała jej już nigdy puścić. W tej samej chwili, gdy zadała to pytanie, w jej głowie automatycznie pojawiła się odpowiedź. - Nie chodziło o Florence, ale o list!

- Jej matka wiedziała coś o de Morangiésie. Obojętne o którym, ojcu czy synu - zapytał Jean. - Tę wiedzę należało usunąć, jak mi się zdaje.

Gregoria skinęła głową.

- W takim razie dobrze, że skradziono list. O ile wiem, Florence go jeszcze nie przeczytała. Ktokolwiek go teraz posiada, pozna to po pieczęci i zostawi dziewczynę w spokoju.

- To znaczy, że jest bezpieczna. - Jean spojrzął na drzwi, za którymi zniknął Pierre. Nie zatrzasnęły się. Czyżby jego syn podsłuchiwał? - Uważaj na nią, szczególnie w najbliższych tygodniach. Niech zawsze będzie przy niej jedna z sióstr. I daj mi znać, jeśli zauważysz coś niezwykłego. Pierre i ja natychmiast przybędziemy.

Gregoria uśmiechnęła się i musnęła lewą dłonią jego policzek.

- Dziękuję ci z całego serca, Jean.

- Odwiedzisz comte i porozmawiasz z nim?

Przeorysza zwlekała z odpowiedzią.

- W pierwszym odruchu chciałam to uczynić, ale to działanie przyniosłoby pewnie więcej szkody niż pożytku. Jeśli nastanie spokój, nie będę grzebać w przeszłości. Dla dobra Florence. Jej życie wiele dla mnie znaczy. - Podniosła się. - Muszę wracać. - Przytrzymała na krześle Jeana, gdy ten chciał się podnieść. - Nie, nie idź ze mną. Sama trafię do klasztoru. Nic mi nie będzie. - Pochyliła się i pocałowała go w czoło, a potem wyszła z chaty.

Jean nasłuchiwał jej kroków, aż zagłuszył je szum drzew. Wygląda na to, że Gévaudan prócz istnienia bestii kryje w sobie wiele więcej tajemnic.

# Rozdział XXIX

29 marca 1767, klasztor Saint Grégoire,  
okolice Auvers

Florence stała w oknie swego pokoju i patrzyła na zabudowania klasztorne, do których wkrótce miał wrócić spokój. Ostatni pielgrzymi odpoczywający w Saint Grégoire zebrali się na podwórzu i wyruszyli w kolejny etap swej drogi do Santiago de Compostela. Zbliżał się czas refleksji, popołudniowej modlitwy i lektury Pisma Świętego.

Spojrzenie dziewczyny zatrzymało się na krzyżu na dachu kościoła. Złożyła dłonie. *Święty Gregoriusie i święta Matko Boża, chrońcie mojego Pierre'a przed łapami bestii i przyprowadźcie go zdrowego z powrotem w moje ramiona, żebyśmy mogli razem odejść z Gévaudan.*

Opuściła głowę i cicho odmawiała jedno Ojcze nasz po drugim, chcąc przypodobać się Bogu Wszechmogącemu. Sprawił, aby jej klute rany zagoiły się bez komplikacji.

Pozwoliła przekonać się o tym Pierre'owi, potajemnie i tylko pośpiesznymi zerknięciami. Na więcej niż to i delikatny dotyk jako obietnicę nadchodzących nocy nie starczyło czasu. Wyglądało na to, że odwiedził ją za zgodą swego ojca. Florence uznała to za dobry znak. Po tym strasznym ataku nie miała już wątpliwości, że musi opuścić Gévaudan. Mimo tajemnicy otaczającej osobę jej domniemanej matki.

Modlitwa urwała się, myśli rozproszyły. Dobrze wiedziała, że ten mężczyzna próbował ją zabić z powodu listu. Gregoria myślała, że depesza zaginęła. Jednak Florence nadal ją miała w swym posiadaniu. Przynajmniej mały fragment.

Dziewczyna poruszyła parapet i odrobinę uniosła ciężki piaskowiec. Szczelina była wystarczająco szeroka, by wsunąć w nią igłę spinki do włosów i wyjąć skrawek papieru.

Przebiegła wzrokiem początki zdań, które nic jej jednak nie mówiły. List był skierowany do niejakiego Charlesa. Mowa była o nocy miłosnej. Autorka (odręczne pismo jednoznacznie wskazywało na kobietę) prosiła o zapewnienie środków do życia dziecku. Wspominała też coś o gorączce i mężczyźnie pochodzącym z Włoch. Chyba zadawał pytania.

Więcej Florence nie była w stanie zrozumieć. List brzmiał niewinnie, a jednak dla kogoś

wart był jej śmierci. Oczywiście mnóstwo jest mężczyzn o imieniu Charles. Dwaj ważni w regionie noszą nazwisko de Morangiés. Przypadek?

Turkot powozu zbliżającego się do klasztoru sprawił, że podniosła głowę i wyjrzała na zewnątrz. Był to opancerzony pojazd, jakie tu, na wsi, widywało się bardzo rzadko; przewożono nimi pieniądze z podatków, szlachtę albo przestępców. Powóz otaczało około trzydziestu jeźdźców. Połowa z nich była uzbrojona w muszkiety.

*Czy to jakiś biskup albo wielmoża ze świtą? Florence próbowała znaleźć godło na powozie albo na ubraniu mężczyzn. Dziwne, jadą bez godła? Żołnierze? Przestraszyła się. Rabusie! Przyjechali napaść na Saint Grégoire.*

Nie była jedyną uważną obserwatorką tej sceny. Mniszka sprawująca służbę na furcie pobiegła w rozwianym habicie do domu przeoryszy.

Florence pośpiesznie poszukała swojego sztyletu, a potem wróciła do okna, by zobaczyć, co się dzieje. Po chwili Gregoria wraz z mniszką pobiegły do wejścia.

- Wielebna przeoryszo - krzyknęła za nimi Florence. - Co...

Gregoria spojrzała ku niej w górę.

- Zostań, gdzie jesteś! - poleciła. - Cofnij się od okna i nie martw się. - Poszła dalej.

Florence zauważyła, że ci z mężczyzn, którzy nie trzymają muszkietów, mają zatknięte za pas pistolety. Każdy z nich posiadał szpadę lub przynajmniej długi sztylet, tu i ówdzie pod pelerynami połyskiwały zbroje.

Młodą kobietę trochę uspokoił fakt, że nie zaczęli od razu strzelać. Bacznie obserwowała, jak Gregoria odważnie wychodzi przed bramę i rozmawia z dowódcą oddziału. *Więc to nie rabusie. Zaciśnęła dłonie jedną na drugiej i z przejęcia sama zadawała sobie ból.*

Przeorysza wróciła do klasztoru, przywołała cztery mniszki i otworzyła bramę, wpuszczając orszak do Saint Grégoire. Mężczyźni zatrzymali się na wewnętrznym dziedzińcu. Część z nich zajęła się końmi, siedmiu weszło za przeoryszą do domu. Powóz pozostał zamknięty.

*Co też może być w środku? Florence sięgnęła po poduszkę leżącą na łóżku, położyła ją na parapecie i przyglądała się, co robią niespodziewani goście.*

Jasnowłosa mężczyzna, który przedstawił się jako legat papieski, Giacomo Francesco, rozejrzawszy się po gabinecie przeoryszy, usiadł na krześle. Jego sześciu towarzyszy rozproszyło się w małym pokoju. Bezlitosne jasnozielone oczy, które przyniosłyby zaszczyt inkwizytorowi, skierowały się na twarz Gregorii.

- Rozumiecie, że nie chciałem przedstawiać mojej sprawy na oczach i uszach waszych zakonnic ani pielgrzymów, wielebna przeoryszo?

- Całkowicie, ekscelencjo. - Zakonnica zajęła miejsce za swoim stołem. Mając coś oddzielającego ją od Włocha, poczuła ulgę.

- Mam przekazać wam pozdrowienie Jego Świątobliwości i podziękować za roztropność, jaką wykazaliście. To wy przecież wysłaliście ten list, wielbna przeoryszo.

- Jak mogę zaprzeczyć, skoro trzymacie go w dłoni, a widnieje na nim mój podpis, ekscelencjo?

- A jak to się stało, że wysłaliście ten list do Ojca Świętego tak późno? - Podchwycił natychmiast Giacomo. - Gospodyni, o której wspominać w liście, powiedziała nam, że oddała te rzeczy do klasztoru już kilka miesięcy temu.

Gregoria siedziała prosto jak świeca. Złożyła ręce i uśmiechnęła się do mężczyzny.

- Znalazłam tę kartkę przypadkowo, gdy chciałyśmy wyprać ubrania, ekscelencjo. - Popatrzyła najpierw na niego, potem na pozostałych, nie ukrywając, że potępia broń. - Nie wiedziałam, że naruszam prawa świętego Katolickiego Kościoła, donosząc Ojcu Świętemu o nieprawidłowościach.

- Nie. Niczego nie naruszyliście, wielbna przeoryszo. Jednak pontifex przy całej swojej wdzięczności jest zdziwiony. I zagniewany. - Legat spojrział na krzyż. - Jesteśmy tu po to, żeby zbadać okoliczności zniknięcia naszego brata.

- Po trzech latach trudno będzie odnaleźć jakikolwiek ślad. Jeśli jednak sprzyja wam łaska boska, ekscelencjo, powinno pójść łatwo. - Gregoria spojrzała na pistolet za jego pasem.

- Zdradźcie mi, proszę, dlaczego wędrujecie po okolicy tak, jakbyście wyprawiali się na bitwę.

- Wieść o bestii z Gévaudan dotarła aż do Rzymu i to wcześniej nawet niż wasz list. Pomyślałem więc, że najlepiej będzie uzbroić się przeciw stworowi grasującemu po lasach i rozszarpującemu ludzi. Czasem sama wiara nie wystarcza. - Francesco przechylił głowę nieco w bok. - Na czas prowadzenia śledztwa zatrzymamy się w waszym klasztorze, wielbna przeoryszo. Każcie wszystko przygotować. Byliśmy długo w drodze. - Wstał i skłonił się przed krzyżem. - Gdyby ktoś pytał was o nas, powiecie, że jesteśmy tu dla ochrony pielgrzymów. Rozpowiadajcie, że Ojciec Święty troszczy się o dobro swoich owieczek i przysłał zbrojnych pasterzy. Zdołamy wskórać więcej niż królewscy śledczy. - Wyszedł z gabinetu, a jego ludzie poszli za nim.

- Święta Matko Boża - jęknęła. Teraz znalazła się w naprawdę dużych tarapatach.

- Wielbna przeoryszo, czy nie macie w waszym klasztorze wychowanicy?

Widać było, że zadrżała: wysłannik wrócił niepostrzeżenie.

- O, macie z jakiegoś powodu nieczyste sumienie? - spytał Francesco, uśmiechając się



chyttrze.

- Nie, oczywiście, że nie. Moje sumienie jest równie czyste jak wasze, ekscelencjo - skłamała zdziwiona, że się nie rumieni. - Tak, mam wychowankę. Nazywa się Florence. Florence Taupin.

- Aha. - Więcej nie powiedział i tym razem naprawdę zniknął.

Gregoria patrzyła na niego z okna. Szedł przez dziedziniec, przywoływał skinieniem dłoni dwóch swoich ludzi, a potem z nimi rozmawiał. Wkrótce mężczyźni osiodłali konie i wyjechali z klasztoru. Podejrzewała, jakie zadanie otrzymali. Rozpoczęli śledztwo. Legat nie polegał na jej słowach. Przeorysza znów podniosła oczy w stronę krzyża. Musi coś wymyślić.

Gdy chciała wyjść za drzwi, wpadła na jednego ze zbrojnych ludzi legata, trzymającego straż przed wejściem do jej pokoju.

- Wybaczcie, wielbna przeoryszo - ukłonił się. - Legat Francesco zarządził, żebyśmy was chronili.

- Chronić? Przed kim?

- Przed bestią - zabrzmiała odpowiedź. - Powiada, że w ten sposób wyraża wdzięczność za waszą gościnność, zapewniając wam i wszystkim mniszkom w Saint Grégoire specjalną opiekę.

- W takim razie idźcie i powiedzcie mu, że nie potrzebuję ochrony. To miejsce boże.

Mężczyzna pokręcił głową.

- To musicie zrobić sami, wielbna przeoryszo. Ja jedynie wypełniam rozkaz.

Chciała dać złośliwą odpowiedź. Szybko jednak się uspokoiła, gdyż w ten sposób tylko próbowałaby usprawiedliwić nieufność względem swojej osoby.

- Dziękuję wam. A teraz wybaczcie. Czas już, bym odeszła na popołudniową modlitwę.

*Ad majorem Dei gloriam*, jak to się pięknie nazywa w waszym zakonie, prawda?

Mężczyzna uśmiechnął się i uczynił znak krzyża.

- Na większą chwałę bożą.

16 maja 1767,

klasztor Saint Grégoire, okolice Auvers

Gregoria o nim śniła.

O nim i o sobie. Odwiedził ją w nocy, w jej izbie i robił z nią rzeczy, jakie robią mężczyzna i kobieta, kiedy żyją w małżeństwie. Rzeczy, które robiła wcześniej i dawały jej rozkosz.

Cudowne doznania przyniesione przez sen były tak rzeczywiste, że Gregoria obudziła się od uczucia gorąca w podbrzuszu. Uczucia, którego nie wolno jej było doznawać. Namiętność nie mogła odgrywać jakiegokolwiek roli w życiu przeoryszy. Zdawała sobie z tego sprawę. Od tego momentu jej ciało pożałowało go jeszcze bardziej. Za swoje odczucia ukarała się podwójnie ciężką pracą i jeszcze większą ilością modlitw pokutnych.

*Panie, odsuń ode mnie te myśli, proszę cię. Albo daj mi zrozumieć, dlaczego się pojawiają i co znaczą.*

Gregoria opuściła jeszcze niżej odzianą w czepiec i welon głowę. W dłoniach trzymała różaniec. Klęczała w pierwszej ławce klasztornej kościoła, pod krzyżem.

Był to wieczór wielkiej pielgrzymki do Notre Dame de Beaulieu w pobliżu Paulhac. Chór klasztorny będzie śpiewał pod jej przewodnictwem i pieśniami pocieszał strwożony lud. Strach przepelniający wiernych nie był strachem przed Bogiem, ale trwogą przed bezgłośnym, czworonożnym zwierzęciem, które po miesiącach spokoju znów okrutnie zaatakowało. Jak w krwawych latach 1764 i 1765.

Obecność nieprzeniknionego Francesco nie zmieniła żarłoczności bestii. Wręcz przeciwnie: najwyraźniej widziała w tym zachętę do pokazania wysłannikowi papieża, że i on jest bezsilny. Dziesięć ofiar w krótkich odstępach czasu, głównie małe dziewczynki, zmasakrowane i wyżarte wnętrzności, pogryzione twarze i obdarta skóra. Każdy rozpoznawał rytuał bestii. Gregoria, jak wszyscy w Gévaudan, podejrzewała, że to tylko przygrywka przed jeszcze straszniejszym latem.

*Modlę się do ciebie, Panie, pozwól, by Jean, jego synowie i Mołdawianin wreszcie znaleźli stwora, aby groza ustala dla nas wszystkich.*

Znów pomyślała o nim, o swoim śnie, o jego ciele...

Drzwi otwały się pod gwałtownym pchnięciem i chłodne powietrze wieczoru, wciąż jednak niosące zapach wiosny i wilgoć deszczu, wpadło do klasztornej kościoła. Przeorysza ocknęła się z rozmyślań, które, na przekór Ave Maria, chciały wkraść się znów do jej świadomości.

- Wielebna przeoryszo, chodźcie szybko! Jest tutaj *monsieur* Chastel!

- *Monsieur Chastel?*

- Jean Chastel, wielebna przeoryszo. Chce się z wami widzieć i nalega z taką gwałtownością, że nie mogę go dłużej powstrzymać - powiedziała siostra Magdalena wzburzoną głosem. - Coś się musiało stać. Czeka w waszym gabinecie.

Gregoria rozplotła dłonie, zawiesiła na szyi różaniec i zatroskana spojrzała na mniszkę.

- Gdzie jest Florence?

- W swoim pokoju, jak przykazaliście.

- Sprawdziłaś?

- Nie, ale widziałam światło w jej oknie.

- Zatem idź i sprawdź! - Przeorysza wstała i pośpiesznie ruszyła do wyjścia. - Powiadom mnie, co robi moja podopieczna.

Gdy wśród ulewnego deszczu biegła przez dziedziniec do swojego gabinetu, serce zaczęło jej bić szybciej. Powodem tego nie był niezwykle żwawy krok.

Zaraz stanie przed mężczyzną, o którym zaledwie przed chwilą myślała.

Myślała nieobyczajnie.

Z podniecenia przełknęła ślinę, pofrunęła po schodach w górę i otworzyła drzwi, przed którymi jak zwykle stało dwóch wartowników.

Gregoria prawie o nich zapomniała. Nie potrwa długo, nim legat dostanie wiadomość o jej gościu. I o tym, że rozmawiała z nim przez dłuższy czas. Wtedy zapewne skieruje swą uwagę na rodzinę Chastelów.

Jean, chodzący po pokoju tam i z powrotem, co zdradzał ciemny, wilgotny pas na podłodze, zatrzymał się i patrzył na nią. Kanciaste rysy twarzy mężczyzny jakby postarzały się o kilka lat. Po jego policzkach dużymi kroplami spływał nie tylko deszcz, a na twarzy wypisaną miał rozpacz. Siostra Magdalena nie myliła się.

- Jean, drogi przyjacielu, co mogę...

Niemal gniewnie rzucił się ku niej, chwycił jej lewe ramię i ścisnął mocno, drugą ręką przytrzymując przed jej oczyma zerwany skórzany rzemyk. Kołysała się na nim mała, drewniana jaskółka, kawałek figurki był odłupany.

- Jak Bóg, który miałby być dobrotliwy, może pozwolić na to? - krzyczał, straciwszy panowanie nad sobą. Przez chwilę Gregoria myślała, że na jej twarzy wylądował pięść. Jego szeroko otwarte, czerwone od płaczu oczy tryskały gniewem. - Gdzie wspomnienie słabych?

Nie była w stanie nic powiedzieć. Szorstki atak mężczyzny zaskoczył ją, a uścisk jego dłoni sprawiał ból.

- Jean, ty...

- Marie! - ryknął to imię. - Marie nie żyje. Mała Marie Denty. Znam ją dwanaście lat, podarowałem jej ten wisiołek i wystrugałem ptaszka, a teraz ona nie żyje! - jego głos był coraz wyższy, aż się gwałtownie załamał. - Pierre, Malesky i ja znaleźliśmy ją. Bestia pozostawiła jedynie przeżute szczątki.

Drzwi otworzyły się. Do gabinetu chcieli wejść ludzie Francesco, ale Gregoria powstrzymała ich władczy gestem. Jej milczący autorytet wystarczył; zbrojni zniknęli za

drzwiami.

Jean cisnął wisiołek na podłogę.

- Bez niego nie moglibyśmy się nawet domyślić, kogo dopadł garou. - Jak szalony mierzwił mokre, siwe włosy. Jego spojrzenie przenikało na wskroś. - Ale to się skończy. Nie mogę go dłużej oszczędzać - szepnął. - On mnie nienawidzi i zabija wszystkich, których kocham. - Wbił oczy w twarz zakonnicy i wyraźnie walczył ze sobą. - Ty... ty jesteś w niebezpieczeństwie, Gregorio. Przyjdzie tu po ciebie, bo wie, że ja... - Jean pobladł jak ściana, zachwiał się i opadł na krzesło, które mu szybko podsunęła. Oparł się łokciami o kolana, ukrył przed nią twarz i szlochał. - To moja wina - słyszała jego niewyraźne łkanie. - Powinienem być go zabić, gdy się pogorszyło. Uciekł i nie możemy go znaleźć... - resztę zagłuszył płacz.

- Nie rozumiem, Jean - powiedziała troskliwie Gregoria i walcząc ze sobą, pogłaskała go po karku. Dobrze pamiętała tamten targowy dzień, gdy zobaczyła go z Marie. Śmierć małej, radosnej dziewczynki rozdarła również jej serce.

Jean podniósł głowę, broda mu drżała.

- Ten loup-garou... to... Antoine - wykrztusił.

- *Antoine?* - Z twarzy Gregorii odpłynęła krew. Zaalarmowana, spojrzała ku drzwiom. - Na miłość boską, Jean - szepnęła zdumiona i zaskoczona. - Ani słowa więcej! Mężczyznom stróżującym przed moimi drzwiami nie można ufać.

- Chcieliśmy mu pomóc i tylko wszystko pogorszyliśmy. Antoine...

Zacisnęła dłoń na jego ustach.

- Ale ja myślałam... Nie rozumiem. Jak to Antoine?

Jean streścił jej historię. Opowiedział Gregorii wszystko, poczynając od pierwszego spotkania z bestią przed trzema laty w Vivarais aż po nadzieję, że zdoła uwolnić syna od klątwy. Dokładne okoliczności jednak przemilczał.

- Jego życie jest stracone. - Otarł dłonią łzy z oczu.

Gregoria wbiła w niego wzrok.

- Garou zrobił z Antoine'a bestię? - Usiadła. Z jej twarzy nie zniknęła bladość. Miał wrażenie, że usłyszana prawda bardzo ją przybiła. Jakby coś w niej zniszczył.

- Gregoria... opowiesz komuś o tym?

Pozbierała się i uśmiechnęła do niego.

- Nie, Jean. To była spowiedź, nie zdradza się tajemnicy spowiedzi - uspokoiła go. - Nikt nie pozna tajemnicy Antoine'a. A już na pewno nie dowie się o niej legat Francesco.

- Ten, który chce chronić pielgrzymów?

- Tak. To jezuita... - przerwała. Nie miała odwagi wyjawić więcej.

Podniósł wzrok.

- Zabiję to, co kiedyś było moim synem, nim ugryzła go bestia. Ja i nikt inny. Jak tylko pożyczę trochę pieniędzy na srebro, każę z niego wytoczyć kule i go zabiję. - Jean zsunął się z krzesła, podniósł z podłogi wisiołek Marie i wsunął go sobie pod koszulę. - Moja wina jest niezmierna - szepnął. - Jak mogłem być tak ślepy?

Jej wina również była niezmierna. Oczy pełne miłości patrzyła na niego, jak klęczy przed nią, i próbowała wyobrazić sobie, jak czuje się mężczyzna, który zamierza zabić własnego syna.

- Bóg ci wybaczy, Jean - powiedziała cicho. - Wybaczy nam wszystkim.

- Bóg na to wszystko pozwolił. Nie ma mi nic do wybaczenia - odparł lekceważąco i odgarnął do tyłu białe loki.

Gregoria zdjęła swój srebrny różaniec.

- Weź go i zrób z niego kule, żebyś mógł schwytać bestię, nim zrobi to legat. - Nabrała głęboko powietrza. - Nie winię cię za to, że chroniłś swego syna przed myśliwymi i chciałeś uczynić go na powrót człowiekiem. Pewnie każdy ojciec... albo każda matka - zawahała się, unikając jego wzroku - postąpiłby tak jak ty.

Jean przesunął palcami po różańcu. Kciuk zatrzymał na Zbawicielu.

- Bóg niejednemu w potrzebie porzucił mnie i moją rodzinę - powiedział z namysłem. - Przysięgam na krzyż, że oddam duszę złemu, jeśli zrobi to jeszcze raz. - Podniósł się. - Teraz Bóg może mi udowodnić, że wspomógł mnie w moim cierpieniu albo wyrzeknę się go na zawsze.

- Nie! - Gregoria zrobiła krok w przód i zamknęła mu usta palcem wskazującym. - Bóg nie pozwala się wyzywać ani wystawiać na próbę.

To był ten krok, sławny o jeden krok za daleko, który sprawił, że ich ciała spotkały się. Oboje przywiódł do poddania się tak długo powstrzymywanej namiętności. Mimo niebezpieczeństwa za drzwiami.

Ich twarze poruszyły się równocześnie, usta spotkały się. Drżeli od siły uczuć sprawiających, że zmiękły im kolana. Przez ciało przebiegały fale gorąca, rozpalające pożądanie, które szybko rozgorzało niedającym się już kontrolować płomieniem.

Całowali się, nie odrywając od siebie ust. Nie zważając na nic, zrzucili ubrania i ukazali się sobie nago jak niegdyś Adam i Ewa. Jean dotykał jej krótkich, jasnych włosów i uśmiechał się. Pieścił piersi Gregorii z delikatnością, o jaką nawet by go nie podejrzewała. Cicho jęknęła i zamknęła oczy, gdy on odwrócił ją i stanął za nią.

Jego twardy członek wsunął się pod jej pośladki i wniknął na głębokość opuszka palców w jej kobiecość. Gregoria sięgnęła dłonią w tył i pieściła pożądliwie jego uda, czuła jego gorący oddech na swojej szyi, jego dłonie na swoim brzuchu, piersiach i sutkach. Słyszała namiętne postękiwanie. W końcu pochyliła się w przód, a penis Jeana jakby sam z siebie wszedł w nią i obudził takie uczucia, że musiała zasłonić sobie usta dłonią, by krzyk namiętności nie poniósł się po całym Saint Grégoire. To było tak upajające, tak piękne jak wtedy... Nie. Piękniejsze.

Gregoria, oddychając ciężko, odsunęła się od Jeana i odwróciła, by widzieć jego twarz.

- To będzie tylko ta jedna noc, Jean - szepnęła, objęła go i pociągnęła na podłogę.

- To będzie długa noc. - Chastel patrzył na nią pijany z pożądania, ssał jej lewy sutek i znów wsunął w nią członka. Zaczął od ostrożnych ruchów, za każdym razem wniknął trochę głębiej i wzmagął jej odczucia. Pokój zaczął wirować wokół kochanków. Nie byli w stanie już jasno myśleć.

W wirze namiętności zapomnieli o wartownikach przed drzwiami.

14 czerwca 1767, Notre Dame de Beaulieu,  
na południowy wschód od Paulhac, Południowa Francja

Przeorysza Gregoria szła drogą na czele zakonnice z Saint Grégoire. Posuwając się do przodu, toczyła spojrzeniem dookoła.

Rzadko zdarzało się, by msza na zakończenie pielgrzymki do kaplicy Notre Dame de Beaulieu miała tak wielu uczestników jak owego wczesnego lata. Ludzie przybyli tak licznie, że trzeba było opuścić mały kościółek i wyjść na rozległą, usianą kamieniami łąkę, leżącą dokładnie w środkowym punkcie między trzema górami.

Radość Gregorii z setek wiernych mąciła świadomość, że jej zdaniem ten szturm miał jedną prostą, a zarazem straszliwą przyczynę: trwogę.

*Panie, co uczynili ci ludzie, że nie pozwalasz, by ta próba dobiegła końca?* pytała się w duchu Gregoria, gdy prowadząc mniszki przez tłum, kierowała się do ołtarza na małym wzniesieniu. Tam zakonnice ustawiły się, by później podczas mszy i Komunii Świętej śpiewać swoje pieśni.

Biskup, abbé Prolhac, przyjechał tutaj głosić Słowo Boże aż z Mende. Rozpoczął mszę z wielkim zapalem, który udzielił się ludziom i załagodził strach wywołany przez okrutne mordy bestii. Wierni z wdzięcznością zawiśli oczami na ustach duchownego, wsłuchiwali w zapewnienia o Łasce Pańskiej chroniącej wszystkich wierzących i niewinnych i chłonęli

rytualne formułki, by nieść je przed sobą niczym tarczę.

Gregoria przyłapała się na tym, że wypatrywała w tłumie znajomej twarzy, choć wiedziała, że Jean Chastel unika mszy w równej mierze, co diabeł święconej wody.

Nie porzuciła jednak nadziei. Pamiętała grzeszną noc i pragnęła takich więcej, jednak sumienie czyniło jej nieustannie wyrzuty i domagało się pokuty oraz niezliczonych modlitw, by oczyścić się z grzechu. Czuła się rozdarta.

Msza została odprawiona, komunia rozdzielona. Rozpoczęły się błogosławieństwa. Młody ksiądz szedł ze zwykłym wiadrzem i wiązką gałęzi palmowych pryskał święconą wodą klęczących i chylących przed nim głowy wiernych. Bez przerwy wykrzykiwał słowa błogosławieństw, aż ochrypl.

- *Bonjour*, wielbna przeoryszo - dał się słyszeć tuż obok niej głos papieskiego legata. Wyglądał na zadowolonego. Zdążyła już znienawidzić jego włoski akcent. Ubrany jak zwykle w skrojone z prostotą szaty z dobrego, drogiego materiału, stał otoczony piątką swoich ludzi.

- Mogę z wami porozmawiać?

- Bardzo niesprzyjający moment, ekscelencjo...

Pochylił się ku niej.

- Kilka nocy temu dla pewnej przeoryszy moment był również niesprzyjający, by zabawić się z mężczyzną. Mógłbym powiadomić o tym biskupa - szepnął i wskazał na abbé Prolhaca, stojącego zaledwie kilka kroków dalej. Odsunął głowę i uśmiechnął się niczym dobrotliwy święty. - Zatem możemy pomówić?

- Dajcie mi chwilę. - Gregoria posłała mniszki, aby przyniosły więcej poświęconej źródlanej wody. Innym siostrom poleciła, aby przyjmowały dary przynoszone namiestnikowi Chrystusa przez ludzi pragnących zaskarbić sobie przychylność biskupa lub nawet samego Boga.

- Czego chcecie, ekscelencjo? - zwróciła się w końcu do Francesco, skrywając strach pod szorstkością i chłodem. - Chcecie mi i ludziom ogłosić, żeście w końcu zabili bestię?

Chwycił ją za łokieć i odciągnął nieco na bok.

- Niestety nie, wielbna przeoryszo. Przybyłem, by wypytać was o Chastelów. Napotykam to nazwisko nieustannie i zaintrygowało mnie, gdy moi ludzie powiedzieli, że Jean Chastel zatrzymał się u was na dłużej.

- Wasze insynuacje są podłe. On chciał się wyświadczyć. - Gregoria sama widziała, jak nieprzekonywająco brzmiały w jej ustach te słowa. Dla człowieka w rodzaju Francesco, którego zadanie polegało na dociekaniu prawdy, przejrzeć ją było błahostką.

- Najwyraźniej poczynił wam *wyznanie*, które z pewnością ma coś wspólnego z grzechem

- odparł, a przez jego twarz przemknął uśmiech. - Nie traktujcie mnie jak durnia, wielebna przeoryszo. Nie zaprzeczajcie, że robiliście TO z nim. Moi ludzie mają uszy do słuchania. Nie zapominajcie, że w drzwiach jest dziurka od klucza. Nie nazbyt to godny sposób na prowadzenie śledztwa... ale w tym kontekście godność wydaje się więcej niż nie na miejscu, nie sądzicie? - uśmiechnął się przelotnie. - Musiałbym oczywiście o waszym grzesznym postępku oprócz biskupa poinformować również papieża. Stracilibyście swój urząd i swoją cześć. Nie wspominając o waszej rodzinie, cieszącej się dobrym imieniem w...

Gregoria lodowato weszła mu w słowo.

- Mówcie, ekscelencjo, czego żądacie.

- Proszę was o przekazanie każdej, choćby najdrobniejszej informacji o rodzinie Chastelów. *Wszystkich* szczegółów. I nie mam tu na myśli kondycji kutasa Jeana Chastela. - Ta insynuacja najwyraźniej sprawiła Francesco wielką przyjemność.

- Czego chcecie od Chastelów? - Gregoria sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Jak już wspomniałem: w minionych miesiącach słyszałem to nazwisko bardzo często, obojętne, gdzie pojawiałem się z moimi ludźmi. Ojciec wydaje się wprost opętany myślą o łowach. I, o dziwo, gdziekolwiek trafiał, tam zdarzała się zbrodnia. Nagle jeden z synów zniknął. Ten Antoine, cieszący się złą sławą... Po prostu go nie ma, jakby zapadł się pod ziemię. Zresztą podobnie jak i jego psy. Słyszałem, że Pierre i Antoine bardzo interesowali się waszą uroczą wychowanicą. - Ogarnął spojrzeniem tłum. - Nie uważacie, wielebna przeoryszo, że powiązania między wami, Chastelami i bestią wydają się zbyt bliskie? - Jego spojrzenie stwardniało. - Jaką rolę odgrywa Jean Chastel w tym wszystkim, co ma tu miejsce?

Gregoria słuchała go w milczeniu, zastanawiając się przy tym gorączkowo, jak wydostać się z sidła zastawionych przez legata. Zdecydowała się na atak.

- Nawykliście do tego, że ludzie przed wami drżą, prawda, ekscelencjo? - stwierdziła ostro i spojrzała na niego wyzywająco.

- Moją najlepszą bronią jest nieczyste sumienie tych, z którymi rozmawiam - odparł nieporuszony. - Jak wasze, wielebna przeoryszo. Zaraz mi...

Niespodziewanie pojawił się Jean Chastel. Z muszkietem na ramieniu stanął przed biskupem i pobieżnie zerknął na przeoryszkę i Francesco. Wyciągnął w kierunku abbé dłoń zaciśniętą w pięść.

- Chciałbym - powiedział głośnym, wyraźnym głosem - żebyście pobłogosławili moje srebrne kule i mój muszkiet, aby zginęła od nich. - Otworzył dłoń, ukazując trzy okrągłe, wypolerowane, połyskujące w słońcu kulki.

Ludzie wokół niego zaczęli szeptać podnieceni. To, że właśnie Chastel, ze swoimi



dziwacznymi synami, spokojnym Pierrem i szalonym Antoinem, udał się na pielgrzymkę i skłonił głowę przed Notre Dame de Beaulieu, zamiast skradać się, kryjąc za ukochanymi drzewami, musi coś znaczyć! Przez tłum przebiegła już szeptańca teza o znaku bożym.

- *To* jest Chastel, prawda? Wiele mówi ta jego prośba - zauważył cicho legat. - Nawróciliście go, wielbna przeoryszo? I to w jedną noc? Dla kobiety, nawet tak pobożnej, jak wy, to czyn nadzwyczajnej miary.

Gregoria nic nie odpowiedziała. Prosiła tylko Boga, by wybaczył jej mordercze myśli.

Biskup tymczasem zakończył dokładne oględziny pocisków.

- To narzędzia śmierci - powiedział zamyślony. - Kto mnie zapewni, że nie użyjecie ich przeciw ludziom i nie zhańbicie tym Boga?

Jean energicznie podszedł jeszcze bliżej. Mógłby teraz chwycić duchownego za kołnierz, gdyby zechciał.

- Wielbny abbé, w ostatnich latach ten stwór zabił ponad sto kobiet i dzieci. Ja również straciłem osoby, które były mi bliskie. - Jego oczy napełniły się łzami. - Poświęćcie te kule, abbé! Poświęćcie je, by Bóg dał mi swoje błogosławieństwo. Żebym zabił bestię, wyzwolił ludzi Gévaudan z okowów trwogi i odzyskał wiarę w Pana. - Zdjął broń z ramienia i podał duchownemu.

- Ależ naturalnie... dziewczynka - powiedział Francesco z fałszywym współczuciem w głosie. - Mówiono mi, że brał udział w pogrzebie małej Marie Denty i wylał równie wiele łez co nieszczęsna matka. - Obserwował leśniczego, który ze swej strony unikał patrzenia na przeorysę. - Cóż, wasze ciało najwyraźniej naprawdę posiada świętą moc - mówił stłumionym głosem legat. - Gdyby wysłano was w świat na misję, nie byłoby już muzułmanów ani żydów. W każdym razie płci męskiej.

- Posuwacie się za daleko, ekscelencjo! - broniła się. - Jeszcze *jedna* taka uwaga...

- I co? - Pochylił się ku niej. - Uspokójcie się, o wielbna. Zniesiecie moje słowa i z wdzięcznością przyjmiecie jako pierwszą pokutę za wasz czyn.

Palce Gregorii zacisnęły się.

- Poświęćcie kule, wielbny abbé! - poprosiła błagalnym głosem starsza wieśniaczka, stojąca obok Jeana. - Może Chastel dokona tego, czego nie zdołali wszyscy dotychczasowi myśliwi. Trzy lata wystarczą.

- Patrzcie, was i waszych ludzi nie obdarza się zaufaniem, ekscelencjo. - Gregoria pozwoliła sobie na uwagę. - Powinniście lepiej się starać i zadbać o dobre imię swoje i Kościoła.

- Jeśli bestię zabije Chastel, tym lepiej. - Francesco wyjął z pasa srebrną igłę. - Wtedy w

Gévaudan jeszcze bardziej odżyłaby wiara w Boga. Półpoganin otrzymuje błogosławieństwo i zabija bestię. Chętnie się na to zgodzę.

Z tłumu rozległo się wiele ponagleń, coraz głośniejszych i coraz bardziej natarczywych. Biskup uczynił w powietrzu znak krzyża nad srebrnymi kulami i muszkietem. Spryskał je święconą wodą i położył na nich dłoń. Jean podziękował pochyleniem głowy i zniknął w szeregach pielgrzymów.

Legat skinął głową Gregorii.

- Porozmawiamy później, wielbna przeoryszo. - Dał znak swoim ludziom, by szli za nim i zaczął torować sobie drogę wśród tłumu. - *Monsieur* Chastel, na słówko - krzyknął za mężczyzną.

Jean udawał, że nie słyszy wołania. Dopiero gdy dłoń legata spoczęła na jego ramieniu, nie mógł go dłużej ignorować.

- Czego chcecie?

Francesco dotknął trójgraniastego kapelusza.

- Pozdrawiam was, *monsieur* Chastel. Nie muszę się przedstawiać, jak mi się zdaje - uśmiechnął się. - Mamy ten sam cel: bestię. Myślałem, że możemy sobie wzajemnie pomóc. Wy jesteście człowiekiem, który najwięcej razy spotkał tego potwora.

- A wy jesteście legatem z Rzymu, który ani razu nie widział bestii - burknął Jean. - Tak przynajmniej powiadają ludzie.

- Może to dlatego, że ukrywa się w postaci człowieka i przybiera jego ciało, nim się z niego wyrwie i rzuci na ofiarę. - Patrzył na pielgrzymów. - Mógłby to być, pomijając mnie i moich ludzi, każdy, prawda? Nawet wy. Albo wasi synowie.

Jego ramię niczym atakujący wąż szybko strzeliło do przodu i chwyciło lewą dłoń Jeana. Zakłuło nieprzyjemnie, a ze skóry wyciekła kropla krwi.

- Wybaczcie, chciałem odgonić osę - przeprosił Francesco. - Wbiła żądło.

- To nie osa. - Jean patrzył na ranę. - Co zrobiliście?

Nic nie mówiąc, legat podniósł w górę srebrną igłę, na której zawisła kropla krwi.

- Co to ma znaczyć?

- Próba, *monsieur* Chastel. Zadanie, które otrzymałem od samego papieża, by znaleźć bestię. - Wytarł krew o rękaw leśniczego. - To nie wy. Czy mogę pomówić z waszymi synami?

- Nie. Nie ma po temu powodu. - Jean z całej siły starał się nie stracić panowania nad sobą. - Idźcie i szukajcie bestii, gdzie tylko chcecie.

- Tak uczynię. A wy, czyście ostatnio próbowali ją znaleźć u wielbnej przeoryszy,

*monsieur* Chastel? - Francesco rozbawiony uniósł jedną brew. - Syn czarownicy z kobietą stanu duchownego. Jakie oskarżenie, jak sądzicie, mogę z tego utkać dla was i kochanej Gregorii?

- Odejdź, jezuito.

- Ja decyduję, kiedy idę, a kiedy nie. - Francesco nie dał się zbić z tropu i patrzył ponad tłumem wierzących. - Czyż nie wspaniale to oglądać? Pozwoliła im się spotkać władza Boga - powiedział zadowolony z siebie. - Nawet szlachta stawiała się tu dzisiaj. Gévaudan zdaje się jeszcze nie być stracone. - Legat znów zwrócił się bezpośrednio do Jeana. - Powiedźcie, jak dobrze znacie młodego comte de Morangiésa? Wcale go tu nie widzę. Co mnie nie dziwi, przy jego... stylu życia.

- Wtykacie nos głęboko w brudy. - Jean chciał minąć Francesco prawą stroną.

- Słucham i zapamiętuję, takie jest moje zadanie. - Giacomo niepostrzeżenie zagroził mu drogę. - Wiecie, że comte wstawił się za wami? Gdy siedzieliście w więzieniu?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie przyjąłbym jego pomocy.

- Najwyraźniej to przewidział. Dlatego zrobił to za waszymi plecami. Jego i waszego młodszego syna łączy kawałek przeszłości, jak sądzę. Kawałek przeszłości, który początek bierze nad Morzem Śródziemnym. Jednak z woli Pana otworzą się zamknięte dla wielu bramy wiedzy.

Jean zachował zimną krew, choć przeraził się, że obcy, niewątpliwie wróg, wie więcej o wydarzeniach z życia Antoine'a niż on sam.

- Nie wiem, o czym mówicie - odpowiedział sztywno.

Francesco zacisnął powieki.

- Marna próba uniku, *monsieur* Chastel. Wiem o was i ludziach z waszego otoczenia więcej, niż wam się zdaje.

- A dlaczego nie bierzecie się do roboty, zamiast zanudzać mnie czczym gadaniem? - Jean minął go. - Uważajcie, kiedy będziecie chodzić przez zarośla. Tu się szybko strzela i dopiero potem patrzy, w co się trafiło.

- Bez obaw, *monsieur* Chastel. Ja atakuję zawsze od tyłu. - Legat dotknął trójgłaniastego kapelusza i odszedł.

Gregoria widziała, że mężczyźni skończyli rozmowę i Jean ruszył w dalszą drogę.

- Zadbajcie, by było dość wody na błogosławieństwa - przykazała siostrze Magdalenie. - Rozejrzę się za chlebem dla potrzebujących. Dostawa już dawno powinna tu być.

Odeszła w pośpiechu, by złapać leśniczego w oddaleniu od licznych oczu i uszu i rozmówić się z nim. Przeciskała się przez tłum pielgrzymów, aż dostrzegła jego sylwetkę na

wąskiej drodze prowadzącej w kierunku Besseyre. Po ludziach legata nie było ani śladu.

Biegła szybko, mimo to potrwało chwilę, nim dogoniła Jeana w zagłębieniu wyboistej drogi. Bez namysłu chwyciła jego dłoń i odciągnęła ze ścieżki pod osłonę krzewów janowca.

Nim zdołała cokolwiek powiedzieć, przycisnął usta do jej ust, a jego dłonie zaczęły pieścić jej szyję i twarz. Gregoria zadrżała.

- Stój - zażądała słabo. - Jean, muszę ci coś wyznać.

Ton jej głosu sprawił, że przerwał pieszczoty i delikatnie odsunął ją od siebie.

- Nie myślałem, że tak szybko za tobą zatęsknię - przyznał, po czym ujął jej dłoń i pocałował. - Czuję się jak wyrostek w pierwszej wiosnie - spoważniał. - Jezuita wie, prawda?

Przytaknęła.

- Jean, to moja wina, że pojawił się tu legat. Możliwe, że są już na tropie Antoine'a. - Szybko opowiedziała mu o liście, który napisała, oraz o tym, jak weszła w posiadanie ubrań nieznanego, który przyjechał do Francji ze specjalnym glejtem papieża i zniknął w dziwnych okolicznościach. - Myślę, że zabiła go bestia.

Jean od razu pomyślał o człowieku, którego Antoine zastrzelił w Vivarais.

- Nie, to nie bestia go zabiła. Myślę, że to my - szepnął zmieszany. - Nigdy więcej nic nie słyszeliśmy o mężczyźnie, którego zwłoki wrzuciłem do strumienia. Nikt go nie szukał, nikt nie znalazł jego szczątków na żadnym jazie ani na grobli przy młynie.

- Jeśli był garou, nie mógł być wysłannikiem Rzymu - sprzeciwiła się. - Ojciec Święty nigdy by nie pozwolił takiemu piekielnemu stworowi walczyć po swojej stronie.

- W takim razie dopiero nasz garou zmienił go w wilkołaka. Gdy wysłannik przybył do Gévaudan, by wysledzić coś na zlecenie Rzymu, mógł podczas wędrówek natknąć się na bestię. To samica. Może potrzebowała samca, by ją zapłodnić - Chastel usiadł w trawie. - Tak, musiało o to chodzić. Zabraliśmy jej męża i teraz mści się.

- Wciąż jednak nie wiemy, czego tu szukał.

- A jeśli wędrował przez nasz region przypadkiem? - Jean odłamał źdźbło trawy i zmiądzzył je palcami. - Na próżno łamiemy sobie głowy. Król Ludwik nadal twierdzi, że bestia nie żyje i zaniechał wszelkich działań. Legat jest tylko kolejnym dowodem na to, że Bóg jest nierychliwy. Młody markiz d'Apcher zaprosił mnie razem z innymi myśliwymi na polowanie na bestię. - Jean spojrzał na nią opanowany. - Czuję, że to będzie koniec Antoine'a, ale przynajmniej z mojej ręki, a nie z ręki jezuity. Utrzymam prawdę w tajemnicy, jak długo to będzie możliwe. Nie ze względu na mnie, ale dla Pierre'a i Florence. Jeśli pewnego dnia wrócą do Gévaudan, będą mogli żyć tu w spokoju.

Gregoria spojrzała na niego zdziwiona.

- Zatem dasz pozwolenie na ich małżeństwo? - Wcale nie sprawiała wrażenia uradowanej.  
*Musisz mi to powiedzieć!* Zbierała się, by coś mu wyznać.

On jednak przytaknął i powiedział.

- Uwzględniłem to, że Pierre ją kocha, a im wcześniej zostaną parą i stąd odejdą, tym lepiej dla obojga. Ich przyszłość jest poza Gévaudan. Ja zostanę tutaj. Przy tobie. Noc, którą spędziliśmy razem, związała mnie z tobą na zawsze. Żadna inna kobieta nie zdoła zdobyć mojego serca. - Spojrzał na przeoryszkę. - Gdybym mógł, Gregorio, natychmiast wziąłbym cię za żonę.

- A co z samica? - Zmieniła temat. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej. - Sądzisz, że markiz i wy złapiecie jednego dnia oba wilkołaki?

- Będzie tam, by chronić Antoine'a, to pewne. A potem razem z nim zginie od srebrnych kul. - Chastel podparł się muszkietem i wstał z trawy. Potem dotknął ramienia Gregorii i pocałował ją długo i czule w czoło. - Nie martw się. Wkrótce przekonam się, czy mogę zaufać Bogu, czy też nie.

Pokonał już połowę dystansu dzielącego krzaki od drogi, gdy usłyszał ponownie głos przeoryszy.

- Jean, ja...

- Tak?

Szybko spuściła głowę, by nie mógł widzieć jej twarzy.

- Ja... życzę ci pewnej ręki i tego, by twój syn nie musiał cierpieć.

- Poślę po ciebie, jak chciałaś, gdy zabiję oba wilkołaki.

- Nie! Nie, już nie chcę. Zostanę w kościele i będę się modlić, aby Bóg wziął dusze tych nieszczęśników do nieba. Antoine i samica tak naprawdę nie są winni strasznym czynom, których dokonali.

Skinął głową i zniknął.

Gregoria została sama. Zdołała się opanować, ale gdy ciemnozielone gałęzie zamknęły się za Jeanem i jego kroki ucichły, z pełnym udreki jękiem upadła drżąca na kolana.

*A więc nie ma już nadziei, Panie.*

*Co teraz zrobię?*

Powoli zaczynała rozumieć wątpliwości Jeana co do bożej sprawiedliwości.

# Rozdział XXX

Niemcy, Hamburg,

21 listopada 2004, godz. 21:22

Ledwie zaczął się w zasadzce, już BMW z piskiem opon zatrzymało się na drodze. Spod kół poleciały kamyczki, uderzając w cayenne. Drzwi otwarły się, zachrzęściły buty.

- Cholera, uciekli do lasu! - zaklął jakiś człowiek. - Przynieście noktowizory. Chcę dostać tę kobietę żywcem, nie zapominajcie o tym. Martwa na nic się nam nie przyda.

*Kobietę?* Eryk zdziwił się, czego mogą chcieć od Leny. Jednak zwykle bywa tak, że odpowiedź dostaje się tylko wtedy, gdy zada się pytanie. Taki miał właśnie zamiar.

Ostrożnie wyjrzał z okna. Ujrzał trzech mężczyzn. Wszyscy mieli G3 z wielkimi celownikami na lufach; dwóch stało przy klapie silnika cayenne, trzeci pospiesznie podszedł do kombi i otworzył bagażnik.

- Co zrobimy z tym typem? - spytał drugi.

- A co mielibyśmy z nim zrobić? - odpowiedział mężczyzna stojący najbliżej porsche, z zarzuconym na ramię G3. Po lewej stronie jego szyi biegły głębokie blizny, świadczące o odbytej walce. Eryk aż nadto dobrze znał te szramy. To znaki przemieńców, zostawiane przez nich na ciele człowieka, gdy go nie zabijały. - Kastell chronił ją w Petersburgu. Myślisz, że odczepi się, gdy go grzecznie poprosimy? Jest zbyt niebezpieczny. - Facet wymownie postukał w lufę broni.

Trzeci mężczyzna wrócił od wozu i przyniósł noktowizory. Eryk poczekał, aż je założą, wtedy skoczył do przodu na siedzenie kierowcy i całkowicie oślepił ich reflektorami.

Zaskoczeni mężczyźni krzyknęli. Elektronika sprzętu optycznego oślepiła ich jaskrawą bielą.

Eryk wyskoczył przez drzwi pasażera i strzelił pierwszemu wprost w pierś. Śrut zwałił mężczyznę z nóg. Szkło celownika G3 potłukło się z brzękiem. Następny ładunek trafił najdalszego przeciwnika, który próbował podnieść broń i odpowiedzieć ogniem. Mężczyzna z krzykiem padł na zamrożoną ziemię. Von Kastell specjalnie celował w nogi, by wyłączyć go z walki i zachować na późniejsze przesłuchanie.

Ostatni mężczyzna odrzucił noktowizor i skoczył w rzadkie zarośla. W zamierzeniu było to dobrym pomysłem, w walce z półautomatyczną wiatrówką okazało się nonsensem. Eryk błyskawicznie ostrzelał gęstwinę, składającą się głównie z kolczastych krzewów, póki nie usłyszał stłumionego krzyku. Wtedy strzelił jeszcze dwa razy, odłożył opróżnioną z ładunku wiatrówkę na ziemię i podniósł G3. Ustawił dźwignię na ogień ciągły i czekał, co się wydarzy.

Zaszeleściło. Przeciwnik bez broni wyczołgał się z ukrycia. Jego spodnie zmieniły się w zakrwawione strzepy, ołowiane kulki wykonały swoją robotę.

- Nie strzelać - wyjęczał. - Poddaję się.

- Jak miło. - Eryk podszedł do niego i przyłożył wylot lufy G3 do czoła. - Kim jesteście i czego chcecie od kobiety?

- Jest jedną z nich - wykrztusił mężczyzna i zaczął się podnosić, aby obejrzeć rany na nogach.

Eryk przycisnął go z powrotem do ziemi.

- Skąd moglibyście to wiedzieć?

- Słyszeliśmy. W Petersburgu założyliśmy w jej rzeczach podsłuch - wyszczerzył zęby. - I znamy teraz twoje tajemnice, dupku. Nie ukryjesz się już przed nami.

- Jeśli chcę rozprawić się z Zakonem Lycáon, to nie gra to już żadnej roli.

Mężczyzna roześmiał się.

- Tak, zrób to. Moje gratulacje.

Przelotne zerknięcie mężczyzny za plecy Eryka wystarczyło za ostrzeżenie. Von Kastell obrócił się wokół własnej osi, skierował G3 na rannego, któremu darował życie i który z wdzięczności właśnie zamierzał go zastrzelić. Za wspaniały prezent Eryk zrewanżował się celnym strzałem; mężczyzna padł martwy.

Myśliwy znów zwrócił się do ostatniego przeciwnika, który wsunął rękę pod płaszcz i szukał rękojeści pistoletu.

- Wyjmij go, a będzie po tobie - ostrzegł go Eryk. - Pytam jeszcze raz, ostatni raz: kim jesteście i czego chcecie od kobiety, skoro nie należycie do Zakonu?

- To cię głównie obchodzi.

- Ach tak?

Odchylił broń i strzelił obok twarzy mężczyzny w ziemię. Czarne okruchy sadzy pobrudziły policzki, włosy osmałiły się od ognia z lufy. Mężczyzna z krzykiem zasłonił sobie ucho.

- Kim jesteście i czego chcecie od kobiety? Jeśli nie odpowiesz, trzeciego pytania już nie

usłyszysz.

Mężczyzna uniósł dłoń w obronnym geście.

- Siły! Chcemy jej siły, jej mocy! Chcemy być tacy, jak ona!

- Mocy? - Eryk ledwie mógł pojąć: te typy chcą dobrowolnie dać się ugryźć? - Ilu was jest?

Mężczyzna jęknął, zamrugał powiekami, drgnęło mu jabłko Adama.

- Hej! - Eryk kopnął go w poszarpaną nogę. - Nie zdychaj! Jeszcze nie skończyłem!

Ale mężczyzna był już martwy.

- Cholera.

Von Kastell pobiegł do cayenne i ruszył ostro z powrotem.

Na kampusie odszukał w gąszczu drogowskazów numer budynku laboratorium, w którym byli Lena i jej znajomy. Muszą natychmiast pozbyć się pluskiew. Najlepiej, jeśli zostawią cały jej bagaż razem z ubraniem, które ma na sobie. Nie sądził, że skończy się na trzech prześladowcach.

Wreszcie Eryk znalazł stary budynek z brudną fasadą i architekturą tak na oko sprzed kilkuset lat. Najwyraźniej te kliniki stoją tu już naprawdę długo.

Myśliwy rozejrzył się, nim wysiadł. Jak okiem sięgnąć nie widać było nikogo, tylko równoległą ulicą przemknęła z łoskotem i migocząc niebieskim światłem karetka, która wyłączyła syrenę na terenie szpitala ze względu na pacjentów. Eryk wysiadł niespokojny, ukrywając załadowaną wiatrówkę pod płaszczem, i pobiegł pędem po schodach.

Drzwi nie były zamknięte. Wszedł.

- Lena? - zawołał na tyle głośno, by usłyszano go w opustoszałym gmachu.

Nic.

Słyszał szum agregatów i przekładników w potężnych szafach rozdzielczych, ale żadnych głosów. Ta cisza i prostujące się powoli włoski na karku wystarczyły mu, by przytrzymać przed sobą gotową do strzału półautomatyczną broń. Cicho przemknął korytarzem i znalazł drogowskaz: *Laboratorium*.

Poszedł za czarną strzałką i dotarł do szyby z mleczonego szkła, za którą dostrzegł charakterystyczny poblask monitorów komputerowych. Przed nimi poruszała się ciemna sylwetka mężczyzny. Nazwisko na tabliczce przy drzwiach brzmiało: *Mühlstein*. Znalazł znajomego Leny. Ale gdzie jest ona? Nie widział drugiego cienia.

Po gruntownym przemyśleniu Eryk zdecydował się na uprzejmy wariant. Zapukał.

- Profesorze Mühlstein? - położył dłoń na klamce i nacisnął. Zamknięte. Powinien był otworzyć drzwi kopniakiem, jak wcześniej zamierzał.



Żeby mimo zepsutego wstępu zadbać przynajmniej o odrobinę zaskoczenia, wziął rozbieg i wysokim skokiem przez szybę katapultował się do laboratorium. Wylądował dokładnie obok młodego naukowca, przycisnął mu brutalnie do prawego policzka lufę wiatrówki, w drugiej dłoni trzymał Sig Sauera i kołysał nim tam i z powrotem. Byli sami.

- Nie... proszę... pan się pomylił - wyjąkał Mühlstein. W białym fartuchu i okrągłych okularach wyglądał jak sztubak. Zezował na lufę. - Projekt Metadon to inny budynek.

- Zna pan Magdalenę Herukę?

Mühlstein, drobny mężczyzna, najwyżej trzydziestopięcioletni z początkami łysiny na czole, spojrzał na niego zdziwiony.

- Tak! Oczywiście, że znam.

- Czy była tu w ciągu ostatnich dwudziestu minut? - Eryk opuścił broń, ale nie zupełnie. Nigdy nie wiadomo. - Proszę mi wybaczyć napaść, profesorze. Myślałem, że pan i Lena jesteście w niebezpieczeństwie.

Mühlstein przesunął dłonią po krótkich, ciemnych włosach. Szybko otrząsnął się ze strachu.

- Nie, nie było jej tutaj. Pan jest tym przyjacielem, o którym opowiadała mi przez telefon?

- Z dezaprobatą spojrzał na potłuczone szkło. - W co się wpakowała? I czemu wolno panu nosić taką broń?

- Jestem policjantem, z Interpolu - skłamał. - Wyznaczono mnie do ochrony pani Heruki. Należę do międzynarodowego ściśle tajnego zespołu. Więcej nie mogę panu powiedzieć. Była strzelanina, zabito jednego z moich ludzi. Miał przywieźć do pana panią Herukę.

Na twarzy profesora odmalował się strach.

- Wielkie nieba! Nie, nie przyszła do mnie. Chodzi o pewną substancję, którą mam dla niej zanalizować. Co to takiego?

- Nowy narkotyk. Pani Heruka przypadkiem wplątała się w naszą operację. Poleciała nam pana jako osobę godną zaufania.

Zmarszczył czoło.

- Nie macie żadnego policyjnego laboratorium, które załatwia dla was takie sprawy?

- To nie pana biznes. - Eryk ofuknął go, utrzymując stopień zastraszenia i fascynacji dokładnie we właściwym stosunku. - Kiedy miał pan ostatni kontakt z panią Heruką?

- Jakies - unióś dłoń i spojrzał na zegarek - piętnaście minut temu. Zadzwoiła do mnie z drogi. Słyszałem, że biegnie. Powiedziała, że zaraz u mnie będzie. Też już się martwiłem, gdzie się podziewa.

Erykowi zrobiło się zimno. Stracił Lenę! Lena i potencjalne antidotum są gdzieś, ale nie

przy nim. Nie w bezpiecznym miejscu.

- Dziękuję, profesorze Mühlstein. - Odsunął broń i poszedł ku drzwiom. Otworzył je i wyszedł. - Natychmiast rozpoczniemy poszukiwania. Proszę nikomu nie mówić o tym ani słowa.

- A co pocznę z potłuczoną szybą?

Eryk wzruszył ramionami. Nie miał czasu na bezsensowne pogaduszki.

- Uniwersytet powinien być ubezpieczony. Proszę coś wymyślić.

Pobiegł z powrotem do cayenne, wszedł i przez chwilę siedział całkowicie spokojnie. Próbował odegnać panikę. Nic nie pomagało. Ostatnimi czasy zbyt wiele spraw kończyło się niepowodzeniem. Spojrzał na schowek, w którym wabiła słodka, płynna pokusa, ale opanował się i nie tknął ani kropli. Będzie musiał znów je zażyć w odpowiednim momencie.

Odpalił silnik cayenne i pojechał z powrotem w miejsce, gdzie wysadził Lenę. Eryk wysiadł, odnalazł jej ślady i poszedł za nimi. Wkrótce przyłączyły się do nich inne. Doszło do walki, jak dowodził stratowany śnieg. Krew. Liczne krople zabarwiły biel i prowadziły do przecznicy. Nieznajomi zaciągnęli ją do samochodu i zabrali.

- Cholera! - wykrzyczał swoją frustrację, która odbiła się od wieżowców campusu i wróciła do niego echem. Gniewnie spojrzał na porsche, którym zaraz pomknie autostradą na frankfurckie lotnisko. Wiedział, na kim wyładowuje gniew.

# Rozdział XXXI

19 czerwca 1767, parafia Nozeyrolles,  
w Lesie Ténazeyre, Południowa Francja

Po śmierci małej Marie Denty bestia zaatakowała jeszcze wiele razy. Wprawdzie w pobliżu jednej ze zbrodni byli ludzie legata, ale i im nie udało się zapobiec najgorszemu. W końcu młody, niezmordowany markiz d'Apcher pociągnął wraz z tuzinem myśliwych, z których połowa pochodziła z regionu, przez parafie Nozeyrolles i Desges, gdzie 18 czerwca stwór rozszarpał małą dziewczynkę.

Trop, za którym szli od wschodu słońca, był świeży i prowadził prosto do lasu Ténazeyre, obszaru, nad którym Pierre i Antoine sprawowali pieczę jako leśnicy. Teraz w milczeniu i absolutnym skupieniu przemierzali niezwykle gęste zarośla, trzymając palce na cynglach naładowanych muszkietów. Jezuita i jego ludzie nie przyłączyli się do nich.

Malesky, Pierre i Jean szli obok siebie szeroko rozciągniętym łańcuchem, zaglądali pod gałęzie krzaków, które mogłyby być dla bestii niemal perfekcyjną kryjówką, dźgali bagnetami kupy liści albo kłuli gąszcz. Wszystko bezskutecznie.

- Nic z tego nie będzie - orzekł poirytowany Malesky, a jego błękitne oczy zabłysły. - Potrzebujemy nagonki. - Gniewnie tupnął w ziemię. - Możemy przejść dwa kroki od bestii i jej nie zauważyć. To przeklęte futro zapewnia jej zbyt dobry kamuflaż.

Jean w duchu przyznawał mu rację. Jego wewnętrzny niepokój rósł coraz bardziej i groził, że go obezwładni. Musi wreszcie odnaleźć Antoine'a i położyć koniec temu makabrycznemu spektaklowi. Nie ma już odroczenia.

Bardzo mu odpowiadało, że legat nie pojawił się. Jak dotąd zdołał uniknąć ponownego spotkania. Wiele razy zajeżdżał z dwoma ludźmi przed chatę Antoine'a; podczas swojej ostatniej wizyty ostentacyjnie węszył i na pewno włamałby się do szopy i domu, gdyby nagle nie pojawił się Surtout i inne psy ze sfory młodego Chastela. Jezuita uciekł przed czworonogami. Jeden z jego ludzi, sądząc po krzykach, został ciężko zraniony. Od tamtego czasu nie widzieli więcej legata ani psów. Jean nie potrafił znaleźć wyjaśnienia, gdzie podziała się sfora. Czyżby jezuita kazał ją odstrzelić?

Nagle usłyszeli głośne sygnały rogu, zwołujące myśliwych do punktu wyjścia: mieli okrążyć las.

- Markiz chyba mnie dosłyszał - powiedział Malesky, uśmiechając się krzywo i odwrócił się. - Idziemy.

Leśniczy stał nieruchomo.

- *Monsieur* Chastel, idziecie?

- Nie - odpowiedział po chwili. - *Monsieur* Malesky, my zostaniemy. Bestia na pewno słyszała sygnał i potrafi zrozumieć, co oznacza jego wymowa. Kiedy wyjdzie z kryjówki i będzie szukała drogi ucieczki, wtedy przy odrobinie szczęścia będziemy pierwszymi, którzy ją zobaczą. - W oczach Jeana pojawiła się prośba. - *Monsieur* Malesky, pomóżcie mi ustrzec tajemnicy Antoine'a.

- A jeśli najpierw spotkamy samicę?

- Wtedy zobaczymy. Jesteście mimo wszystko po mojej stronie, *monsieur* Malesky?

Ten zacisnął pod pachą muszkiet, wypolerował binokle i założył je na nos.

- Oczywiście, *monsieur* Chastel.

Trzej mężczyźni zostali w lasku i nasłuchiwali, jak kroki licznych myśliwych oddalają się od nich, aż wreszcie dobiegał tylko szelest i ledwie dosłyszalne nawoływania.

Opadła ich całkowita, przytłaczająca cisza, jaką Chastelowie znali z owego zgubnego w skutkach dnia sprzed trzech lat; nawet ptaki nie miały odwagi, by nad drzewa wzbić swój śpiew.

- Jedna z bestii na pewno jest tutaj - szepnął Pierre i uniósł broń.

Na lewo od nich w krzakach coś trzasnęło. Malesky poderwał muszkiet do strzału i wycelował w miejsce, w którym cztery postaci wielkości człowieka przemykały w ukryciu od pnia do pnia.

- Święta Matko Boża - szepnął. - One naprawdę się rozmnożyły!

Jean również wymierzył, podczas gdy dłonie zwilgotniały mu od zimnego potu. Pierre ubezpieczał tyły, by bestia nie zaatakowała ich zza pleców.

- Ile, *monsieur* Malesky? - dopytywał się Jean.

- Po tych czterech naliczyłem jeszcze trzy, *monsieur* Chastel - odpowiedział cicho. - Właśnie przyszło mi do głowy, że mamy za mało broni. Wam też?

Jean zaśmiał się złowrogo.

- To mój sposób wystawiania Boga na próbę.

Nagle z krzewu przed nimi wysunęła się lufa muszkietu. Zarośla rozchyliły się i wyszedł z nich mężczyzna w długim płaszczu. Nie należał do myśliwych.

- Broń w dół - rozkazał śpiewnym akcentem. - Natychmiast.

Malesky wyszczerzył zęby.

- *Monsieur*. Macie dwururkę, ale nas jest trzech. Kiepski z was rachmistrz czy może strzelec wyśmienity?

Pierre obejrzał się przez ramię.

- Jeśli gonicie za dziesięćmioma tysiącami liwrow, odejdźcie swoją drogą. Premii już nie ma. Król ogłosił, że bestia jest martwa.

Jean nie znał tego mężczyzny. Nie był to żaden z myśliwych markiza ani człowiek z Gévaudan i to go zaniepokoiło. Legat wysłał swoich ludzi i próbuje potajemnie zabić bestię.

- Przysłał was Włoch? - zapytał i zobaczył, że udało mu się zaskoczyć nieznajomego. Jednak odpowiedź na jego pytanie nie była pocieszająca: mężczyzna wypalił.

Trafił Maleskiego w lewe ramię, ale Mołdawianin zachował spokój i odpowiedział ogniem, podobnie jak Jean. Obaj wypalili celnie w głowę obcego. Zwłoki, podrygując, upadły w tył i wylądowały w krzakach.

- Pierre, uwaga! - ostrzegł Malesky, rzucił się za grubą pień i doładował broń; również Chastelowie poszukali osłony. - Zostało jeszcze czterech - pomacał ranę na ramieniu, z której sączyła się krew, farbując surdut na czerwono.

- Jesteście ranni! - krzyknął przestraszony Pierre.

- Niezbyt mocno. Wyrwał tylko mięso - uspokoił go Malesky przez zaciśnięte zęby. - Strzał na wylot to najlepsze, co się może przytrafić. - Rana wystarczyła jednak, by Mołdawianin znacznie wolniej ładował broń. - *Monsieur* Chastel, czemu on od razu strzelił? Czy to zniewaga, zapytać kogoś, czy jest Włochem?

Jean mimo okoliczności nie powstrzymał uśmiechu, a Mołdawianin nie stracił swego ciętego języka.

- Myślę, że jezuita nie chce świadków. - Dostrzegł cię po lewej ręce, odwrócił muszkiet i strzelił. Stłumiony krzyk oznaczał, że trafił. Natychmiast doładował broń. Do pocisków z ołowiu mógł używać tylko jednej lufy, gdyż w drugiej znajdowały się drogie srebrne kule. Pierwszą kulę już wystrzelił. Oprócz niej w lufie została mu jeszcze ta, którą oszczędzał dla bestii.

Za lasem odezwały się myśliwskie rogi: markiz chciał wiedzieć, co dzieje się w gęstwinie.

- Nie odpowiadaj - poradził Malesky i prowizorycznie zabandażował ranę. - Przyśle nam na pomoc myśliwych.

- Ojcie! - krzyknął głośno Pierre, wskazując na zarośla. - *TAM!* Widziałem bestię!

Ucieka!

Jean i Mołdawianin wymienili szybkie spojrzenia. Rozumieli się bez słów.

Ojciec i syn popęzli do przodu, trzymając nisko głowy. Potem Pierre zatrzymał się, wyjął pistolet i rzucił go Maleskiemu, nim poczołgał się dalej po ziemi, znikając w gąszczu. Maleski słyszał kroki obu myśliwych, widocznie wstali i pobiegli za stworem.

*Mówilem wam, monsieur Chastel, że to wy będziecie tym, który zabije bestię.* Mołdawianin w porę zauważył napastnika, który chciał go okrążyć, i wypalił mu kulę w brzuch. Mężczyzna z jękiem zwałił się na ziemię i więcej się nie poruszył. *Zostało jeszcze dwóch.* Przesunął się dalej wokół pnia, gdy tuż nad jego trójgraniastym kapeluszem w drzewo wbiła się kula, odłupując kawałek kory.

Nagle tuż przed Chastelami pojawił się nowy napastnik, który nie zwlekając, wypalił do nich z obu luf. Na szczęście chybił. Potem rzucił się na nich, z muszkietem uniesionym do ciosu jak maczugą. Stało się to tak szybko, że ani Pierre, ani Jean nie zdążyli wystrzelić, lecz musieli podjąć walkę wręcz.

Nieznajomy musiał otrzymać wojskowe wyszkolenie. Dało się to poznać po tym, jak sprawnie używa muszkietu do zadawania ciosów. Leśniczy oberwał kolbą w głowę, dając się nabrać na mylący ruch nieznajomego. Pierre'owi wbił lufę w brzuch jak igłę. Młody myśliwy tylko metalowej klamrze pasa zawdzięczał brak poważnych obrażeń. Osunął się za to na kolana, dostał kopniaka w brodę i upadł nieprzytomny.

- Zejdźcie z drogi! - krzyknął gniewnie Jean. - Ochraniacie bestię! Trzeba ją zniszczyć. - Przygarbił się, uchylając przed nadlatującą z gwizdem lufą muszkietu i zadał mężczyźnie serię ciosów pięścią w klatkę piersiową.

Napastnik cofnął się, dysząc.

Jean chwycił srebrny sztylet i zamachnął się. Dźgnął nad uniesionym w obronie muszkietem i trafił z boku w szyję, poniżej ucha. Pociągnął ostrzem poziomo do przodu, wycinając głęboką ranę.

Mężczyzna przycisnął obie dłonie do szyi, nie zdołał jednak powstrzymać wpływającego strumienia krwi. Gulgocząc, padł na ziemię.

Jean wetknął sztylet do pochwy i kilkoma mocnymi klapsami w policzek ocucił Pierre'a.

- Dalej, synu - rozkazał nieubłaganie i wcisnął mu muszkiet w dłoń. - Nie możemy pozwolić jej uciec.

Oszołomiony Pierre poszedł za ojcem, bardziej potykając się niż biegnąc. Jean pędził do przodu, nie zważając ani trochę na siebie ani na syna. Gnał przez kolczaste krzewy, szarpiące

mu ubranie i drapiące skórę, przeskakiwał kamienie; gałęzie smagały jego twarz i zostawiały na niej czerwone pręgi. Zdawało się, jakby las sprzysiągł się przeciw myśliwemu, chcąc ochronić bestię przed pogonią.

Drzewa przerzedziły się. Dotarli na drugą stronę lasu. Nie znaleźli jednak śladu bestii.

- Minęliśmy ją - wydyszał Pierre.

Jean otarł z oczu piekący pot i wbił wzrok w las.

- Więc wracajmy. - Z tą samą morderczą szybkością ruszyli z powrotem, kierując oczy ku ziemi i wypatrując tropu stwora.

Malesky wstrzymał oddech, nie zdradzając swej obecności i pozwolił, by ostatni z nieznanym napastników przebiegł obok. Dopiero gdy mężczyzna przemknął w pobliżu jego kryjówki, uniósł odbezpieczony pistolet Pierre'a, skierował go w potylicę przeciwnika i wystrzelił.

Otwór zrobiony przez pocisk nie był duży, ale w swojej drodze przez czaszkę od potylicy po czubek nosa kula dokonała dzieła zniszczenia. Mężczyzna padł martwy na ziemię.

Mołdawianin przetoczył się ostrożnie na plecy, wstał, podciągając się w górę po pniu drzewa i sięgnął po wystrzelany do pusta muszkiet. Właściwie chciał zabić garou, a nie wdawać się w walkę z niebieskimi zastępami papieża. Zaciskając zęby, ostrożnymi ruchami załadował do luf proch i kule; ból w ramieniu wzmagał się.

Akurat skończył uzupełniać amunicję, gdy obok niego rozległo się donośne warczenie.

Malesky natychmiast obrócił muszkiet i skierował go tam, skąd dobiegał dźwięk. Jest! Zobaczył bestię przyczajoną niecałe sześć kroków od niego i gotującą się do skoku.

Nie popełnił błędu i nie spojrzął w rozżarzone czerwono, paraliżujące oczy, ale wycelował w długi, szkaradny pysk i pociągnął za spust. Odrzut wstrząsnął jego ciałem. Krzyknął. Opuścił lewe ramię, a ciężki muszkiet wyśliznął się z jego dłoni.

Gdy dym od prochu rozwiął się, Malesky zobaczył krok przed sobą cuchnące cielsko bestii. Z dwóch ran na piersi wyciekała krew, spływająca na listowie.

- Wreszcie cię zabiłem - powiedział zdziwiony i wyciągnął srebrny sztylet, by dla pewności wbić go w serce garou.

Przykucnął, przetoczył bestię na plecy, wyprostował jej tylne łapy i sprawdził: wyraźnie było widać, że to samiec. Antoine. Mołdawianin uniósł ostrze na wysokość serca...

...i zorientował się, że popełnił błąd.

Powieki skoczyły do góry, czerwień zabłysła okrutnie.

- To nie były srebrne kule - wychrypiął złowrogo Antoine. - Obserwowałem was - rzucił

się w bok, przewracając Maleskiego. Ostre zęby rzuciły się w stronę dłoni trzymającej srebrny sztylet. Kości, mięśnie i ścięgna rozerwały się, wydając straszliwy dźwięk.

Przeraźliwe krzyki Maleskiego rozbrzmiały nad lasem tylko na krótko, potem bestia roszarpała mu krtań i mocnymi szczękami zmiażdżyła kręgi szyjne.



# Rozdział XXXII

Chorwacja, Plitvice,

22 listopada 2004, godz. 22:33

Eryk wrócił do kraju bestii. Jego gniew nie zmalał ani trochę, a troska o Lenę sprawiała, że na wpół oszalał.

Z lotniska pojechał prosto do miasta. Krótki marsz poprowadził go do hotelu, w którym się zatrzymał. Miał nadzieję spotkać tu ową tajemniczą mniszkę.

Pospiesznie, przez wahadłowe drzwi, wszedł do holu i otrząsnął śnieg z ramion na kosztowną wykładzinę. Był jedynym gościem w holu. Z zaciekawieniem obserwowały go dwie damy w recepcji.

- Dzień dobry - zachował fałszywy hiszpański akcent, którego użył już przez telefon, oraz słaby angielski. - Szukam zakonnicy, która się tu zatrzymała. Znalazłem coś, co do niej należy.

- Och, to na pewno siostra Ignacja - powiedziała młodsza z recepcjonistek. - Mam pana zapowiedzieć?

Eryk użył całego swego uroku, by ją od tego powstrzymać. Po kilku chwilach, chichocząc, zakłopotana dziewczyna podała mu numer pokoju mniszki. Wszystko szło zgodnie z planem.

Eryk skierował się do windy. Wjechał nią na czwarte piętro. Poszedł korytarzem do pokoju 419. Nasłuchiwał. Wewnątrz znajdowały się co najmniej dwie osoby; rozmawiały cicho, a jedna z nich chodziła przy tym tam i z powrotem. Eryk głęboko odetchnął i zapukał.

Otworzyła mu młoda kobieta, najwyżej dwudziestoletnia. Nie miała habitu, ale ubrana była staromodnie, a na klapie najbardziej pozbawionej wyrazu bluzki świata przymocowała mały, czarny krzyż.

- Tak?

Eryk udawał zaskoczonego.

- Och, czyżbym się pomylił? Szukam siostry Ignacji - uśmiechnął się uwodzicielsko, powoli wyjął z kieszeni dłoń i przytrzymał kawałek różańca przed jej brązowymi oczami. -

Znalazłem to i słyszałem, że zatrzymała się tu zakonnica. Może mi pani zdradzić, w którym pokoju ją znajdzie?

- Proszę go wpuścić, siostró Emanuelo - powiedział rozkazującym tonem starszy, kobiecy głos. - Dobrze pan trafił, młody człowieku. - Mniszka odsunęła się, robiąc mu przejście.

Całkowicie skoncentrowany, postawił stopę za progiem i od razu poczuł lekką woń kadzidła; zgadzał się również zapach dezodorantu. Odnalazł kobietę, która była w lesie tej samej nocy co on.

- Dziękuję. Zatem recepcjonistka dobrze mnie zrozumiała.

Siostra Ignacja siedziała na krześle ustawionym przy oknie. Miała czarny habit, a na głowie długi welon w tym samym kolorze. Była wyraźnie po czterdziestce.

- Bóg z wami, señor...?

- Loyola - odpowiedział Eryk ze śmiertelną powagą. - Osobliwy zbieg okoliczności, prawda?

Uśmiechnęła się wyrozumiale i gestem dłoni zaprosiła go, by usiadł na łóżku.

- Nie jesteśmy jezuitami, señor Loyola. - Zakonnica wyciągnęła ku niemu dłoń. - Proszę pokazać, czy znalazł pan coś, co należy do mnie.

Siostra Emanuela zatrzymała się przy drzwiach, z dłońmi splecionymi na brzuchu. Widział jej odbicie w szybie za Ignacją.

Eryk usiadł i podał mniszce fragment różańca.

- Proszę, to właśnie to.

Twarz Ignacji rozjaśniła się.

- Panu niech będą dzięki! - uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - Tak, to ten kawałek, który zaginał. Jak mam wam za to dziękować, señor?

Eryk postanowił przejść do ofensywy.

- Wyjaśniając mi, jak trafił w środku nocy do Parku Narodowego.

Siostra Ignacja pozostała swobodna.

- Cóż, dlaczego nie spytamy o to siostry Emanueli? - zaproponowała. - Pożyczyła go sobie.

Eryk usłyszał szelest bluzki i zobaczył w szybie, że młoda kobieta ruszyła do ataku. Przetoczył się na łóżku na bok i sztylet, który miał dźgnąć go w plecy, przebijając kołdrę, utkwiał w materacu. Gdy Emanuela próbowała złapać równowagę, kopnął ją czubkiem buta z noskiem utwardzonym srebrem w czoło i posłał nieprzytomną na podłogę pokoju.

- Zawsze myślałem, że to *jezuici* są zbrojnym oddziałem papieża - powiedział i wyjął pistolet. Wylot lufy skierował ku Ignacji. - Co ma znaczyć ta maskarada?

- To nie maskarada - odparła przyjaźnie. - Służymy Panu.

Pulchna zakonnica nie robiła na Eryku wrażenia, że mogłaby nocą włóczyć się po Parku Narodowym, wdawać w walkę z bestią i do tego jeszcze z nią wygrać. Również siostra Emanuela wykazała się brakiem profesjonalizmu podczas swojego ataku.

- Skąd różaniec wziął się w lesie?

- Nie mam powodu pana okłamywać, señor Loyola, czy jak tam się pan nazywa. - Ignacja spojrzała w stronę okna. - Była tam siostra z mojego zakonu. Mnie jednak o wiele bardziej interesowałoby, czego *pan* tam szukał? Należy pan do Lycáonitów i ma teraz ćwiczyć się w zemście?

- Nie, zakon mnie nie interesuje.

Teraz ona spojrzała zdziwiona na niego.

- Señor, czyżbym pana przeceniła? Nie miałam na myśli wyznawców bożka Lycáona. Chodziło mi o ich braci, a równocześnie najzagorzalszych wrogów. - Jej oczy zwężyły się. - Pan *naprawdę* nic nie wie o Lycáonitach!

Nie, Eryk naprawdę nic nie wiedział. Ta niespodzianka zmartwiła go. Odniósł nagle wrażenie, że w ostatnich latach coś go niepostrzeżenie ominęło. Wiedza ojca i przez to również jego samego okazała się nie być tak pełna, jak od zawsze uważał. Teraz miał w głowie istną płątaninę myśli. Trochę potrwało, nim znów był w stanie wykrztusić jakiegokolwiek słowo.

- Proszę mi o nich powiedzieć - postanowił pójść za ciosem. - Jestem nieświadom, siostró.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo posiadam broń, a pani nie.

- Moją bronią jest wiara. - Jej pewność siebie i zaufanie pokładane w Bogu sięgały nieba.

- Nie boję się ziemskich pocisków. - Przeżegnała się.

Eryk podziwiał wytrwałość zakonnicy. Nagle westchnął teatralnie.

- W takim razie proszę mi z czystej uprzejmości otworzyć oczy. Chciałbym się dowiedzieć, kto jeszcze bierze udział w tej grze. - Odłożył pistolet na łóżko. - Kim są Lycáonici? Czy to oni uprowadzili Lenę? Czy zrobił to pani zakon?

- A kim *pan* jest?

- Pani pierwsza, siostró. - Gdy uparcie milczała, poddał się. Ten przeklęty strach o Lenę zmuszał go do kompromisów, jakich dawniej nie brał pod uwagę. - Nazywam się Eryk von Kastell i odnoszę wrażenie, że mamy takie same zamiary. Poluję na bestię...

- A więc to *pan* jest tym nieznanym wojownikiem Dobra! W archiwach w Rzymie są

informacje, ale... my tylko przeczuwaliśmy, że istnieją ludzie tacy jak pan. Ci, którzy tępią zło, a nie należą do Kościoła.

Eryk przytaknął.

- Wygląda na to, że oboje nie odrobiliśmy lekcji.

Milczała i długo się zastanawiała.

- Nie mogę panu wiele powiedzieć. - Nagle spojrzała na niego przyjaźnie. - Siostra Emanuela była tej nocy w lesie i szukała bestii. Wiemy, że się okociła...

- Co? - Eryka jeszcze bardziej rozżłościł fakt, iż nie zdołał doprowadzić walki do końca.

Ignacja wybaczyła mu, że wszedł jej w słowo.

- Dowiedzieliśmy się, że szczeniaki uprowadzili Lycáonici i chcą helikopterem wywieźć je za granicę.

Eryk zmarszczył czoło.

- Nie żebym miał coś przeciw wam, ale dwie zakonnice miałyby temu zapobiec?

- Nie zapobiec. Musimy je przede wszystkim znaleźć i umieścić w bezpiecznym miejscu.

Teraz już całkiem się pogubił.

- Chcecie umieścić szczeniaki w bezpiecznym miejscu? Cóż, w takim razie czegoś nie rozumiem. Mnie nie chodzi o bezpieczeństwo szczeniaków, ale o bezpieczeństwo ludzi. A ono będzie zapewnione dopiero wtedy, gdy zostanie wybite całe potomstwo bestii.

Ignacja uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Gdy szczeniaki będą bezpieczne, wtedy i ludzkość będzie bezpieczna. Czy zadowala pana taka odpowiedź?

- Będę kontent, kiedy będę wiedział, gdzie jest bestia. I o co chodzi z tymi innymi, z Lycáonitami. - Poszukał jej wzroku. - Proszę, niech mi pani da wskazówkę, kto jeszcze szuka bestii! Jakie motywy kierują tą grupą? Ilu ma członków albo... - przełknął ślinę - albo gdzie jest Lena?

- Przykro mi, ale nie mogę panu powiedzieć. - Zakonnica nie ugięła się.

Eryk zacisnął pięści i gorączkowo zastanawiał się, co może zrobić, by zmusić ją do mówienia. Nie interesowało go, czy jakiś chrześcijański zakon chce zabezpieczyć szczeniaki, czy też nie. Faktem było, że bestia i jej potomstwo nie są martwe.

- Sostro, diabła nie da się oswoić.

- Panie von Kastell - Ignacja rozłożyła ręce - doceniam pana troskę, ale nie ma pan już nic wspólnego z tymi zwierzętami. Proszę jechać do domu, poszukać swojej Leny albo zapolować na coś innego.

Nie spodobał mu się jej protekcyjny ton. Skoczyło mu ciśnienie. Rozmowa była

straszliwie irytująca, a im więcej musiał mówić, tym bardziej oddalał się od niego ostatni pomiot bestii.

- A cóż to za osobliwy chrześcijański zakon, który wie o bestii? Zbieracie potwory do czegoś w rodzaju Arki Grozy?

Ignacja roześmiała się.

- Wymyślił pan właśnie niezły tytuł marnego horroru, panie von Kastell.

Eryk miał dość. Skończył się czas na aksamitne rękawiczki.

- Mogę zobaczyć pani legitymację zakonną? - zażądał szorstko. Widział, że buty młodszej poruszyły się. Najwyraźniej wracała do siebie i powoli wsuwała pod łóżko. - To, że nosi pani habit, nie znaczy jeszcze, że jest pani tym, za kogo się podaje.

- Proszę odejść.

- Nie odejdę bez informacji - odpowiedział. - Zmarnowałem już zbyt dużo czasu. Bestia i całe jej potomstwo muszą umrzeć, nie rozumie pani?

- Proszę odejść, panie von Kastell - poprosiła go ponownie Ignacja i podniosła się. - Dziękuję, że przyniósł mi pan brakujący kawałek różańca. Poinformuję zakon o panu i pańskich zasługach w walce przeciw demonom - zrobiła znak krzyża. - Proszę odejść, z Bogiem...

- ...tylko niech pan już idzie, wiem. Znam to. - Eryk pochylił się błyskawicznie pod łóżko i chwycił. Złapał ramię Emanuela, jednym silnym szarpnięciem wyciągnął stamtąd młodą kobietę i przesunął ją szybko przed siebie. Emanuela oberwała w głowę stojakiem na parasole i zwiotczała. Siostra Ignacja miała całkiem niezły zamach.

Teraz zakonnice naprawdę go rozzłościły. Upuścił młodszą, jednym skokiem znalazł się przy Ignacji i wyrwał jej z ręki stojak. Mocny policzek pchnął ją do tyłu na fotel przy oknie, aż mniszka zgubiła welon, a jej czepiec przekrzywił się. Wysunęły się spod niego krótkie, siwe włosy.

Eryk wyłączył współczucie i przytknął kobiecie do gardła czubek srebrnego sztyletu.

- Wszystko mi jedno, czego się pani boi, a czego nie, siostró - syknął. - Ta broń zniszczyła niezliczone wilkołaki, ale rozetnie też miękkie ciało zakonnicy, jeśli zechcę. Zrobię to, jeśli nie powie mi pani natychmiast, gdzie znajduje bestię i dokąd zawieźliście Lenę! - Jego oczy rozżarzyły się mocno, a z krtani wydobył się wściekły ryk.

Ignacja, na której policzku jego palce odcisnęły się czerwonymi pręgami, odsunęła się i przeżegnała wielokrotnie.

- Lupus hominem!

- Nonsens - ryknął, skoczył w przód i wbił jej sztylet lekko w szyję, by poczuła

krwawienie i stała się bardziej uległa. - Więc, gdzie są szczeniaki?

Zakonnica patrzyła na niego niewidzącym spojrzeniem. Zaczęła szeptać modlitwę, ignorując przeciwnika.

Eryk, przeklinając, uderzył Ignację tak, że straciła przytomność. Potem zaciągnął ogłuszoną siostrę Emanuellę do łazienki i trzymał ją pod zimną wodą tak długo, aż prychając, przyszła do siebie. Eryk powlókł ją z powrotem do pokoju, wskazał na Ignację z cienkim cięciem na szyi.

- Ona jest już u swojego Boga - skłamał. - Jeśli chcesz iść za nią, to milcz jak ona. - Chwycił Emanuellę jedną dłonią za gardło i wcisnął w materac, przykładając zakrwawione ostrze do jej piersi. - Ale wtedy zamilknie na zawsze!

- Nie - prosiła, rżąc. - Nie, proszę! Łaski!

- *Kim jesteście?* - krzyknął i docisnął mocniej. Jej pięści waliły w niego bezskutecznie. Emanuela nie była w stanie go zranic.

- Siostrzeństwo Krwi Chrystusa - wychrypiała i wywróciła oczami. Jej ramiona upadły szeroko na boki. Leżała przed nim jak ukrzyżowana zbawicielka i patrzyła w sufit.

- Cholera! - Eryk posłuchał bicia jej serca. Na szczęście z piersi dobiegało ciche stukanie. Mało brakowało, a udusiłby siostrę Emanuellę; w ferworze walki źle wymierzył siły. Przerażony sam sobą podniósł się.

- Morderca!

Zarzut trafił go w plecy, a po słowie cios krzesłem w ramiona i głowę.

Eryk padł do przodu na domniemaną martwą. Nad nim przeleciała odłamana noga krzesła.

Bóg szybko ocucił swoją służkę Ignację z omdlenia, by pociągnęła do odpowiedzialności grzesznika.

- Będziesz tłumaczył się ze swych czynów przed Panem i doczesnym sądem! I nie spodziewaj się, że będę modliła się za twoją duszę! - krzychała.

- Nie, ona żyje! - Von Kastell odwrócił się oszołomiony, by zobaczyć, co planuje zakonnica. Zbliżała się do niego. Wymachiwała ponad siwą głowę nogą krzesła niczym maczugą. - Proszę przestać...

Ignacja potknęła się na krawędzi dywanu i przewróciła tak niespodziewanie na niego, że nie zdążył się całkowicie odsunąć. Kobieta na poły pogrzebała go pod sobą, krzyknęła boleśnie i natychmiast znów się podniosła.

Eryk zeszywniał. Srebrny sztylet nieszczęśliwie wbił się w jej pierś. Zrobiła najgłupszą rzecz, jaką można zrobić przy ranach kłutych: wyciągnęła broń.

Natychmiast trysnęła ciepła krew, dosięgła Eryka i spryskała mu twarz oraz wargi. Ignacja zachrypiała, chwyciła dłońmi za pierś, a jej oczy zamknęły się na zawsze; nie zdążyła nawet do końca się przeżegnać.

Von Kastell musiał się spieszyć. Hałas, jakiego narobili w pokoju, odpowiadał mniej więcej odgłosom baletu słoni i na pewno na recepcję zgłoszono już pierwsze skargi. Eryk musiał zniknąć. Przesunął rękawiczką po twarzy, jednak jedynie rozsmarował krew Ignacji, zamiast ją zetrzeć.

Doszło do tego, że odrobina trafiła do jego ust.

Parzyła.

Palila jak płynny ogień!

Eryk rzucił się do łazienki, by wypłukać wrzącą lawę, nim zęby zajmą się ogniem. Garściami chlapał wodą na twarz, płukał i wypluwał, nie mogąc jednak ugasić pożaru. Przeciwnie: paliło coraz gorzej.

Krople wody zdawały się wpadać do umywalki, powoli, jak na zwolnionym kadrze filmu.

Przeraźliwie głośno pluskały o ceramikę.

Mały wentylator w łazience dudnił jak propeller.

Spływ szumiał niczym Plitvicki Wodospad.

Dźwięki, ich odczuwanie, wszystko zatrważająco się rozmyło. Eryk podniósł twarz i spojrzał na zmętniałe mleczne szkło lustra. Widział czerwone, połyskliwe plamy na swojej twarzy; rozrzedzona krew kapiała z jego wilgotnych włosów i znaczyła brunatne strużki na policzkach. Jego jasnobrązowe oczy hipnotyzowały go samego. Wszedł przez nie do lustra i wynurzył się w innym świecie.

*Był to wysoki jak nawa, wsparty na kolumnach świat, do którego ze wszystkich stron wnikało światło. Promienie słoneczne padały ukośnie z góry przez nieosiągalnie dalekie okna: to musiał być pałac olbrzymów albo bogów. Przed nim stała jego półsiostra Justine, otoczona setkami zakonnic, wszystkie o twarzy Ignacji. Justine uniosła dłoń.*

*- Chodź - powiedziała przyjaźnie. Jego ciało uniosło się, jakaś siła szarpała mu wnętrzności. Eryk krzyknął przenikliwie. Szczękając zębami, bestia uwolniła się z jego ciała jak motyl z kokonu. Istota odwróciła się do niego zakrwawiona i skrzywiła, potem poszła do Justine iłożyła na jej ustach gwałtowny pocałunek.*

*- Nie! - krzyknął Eryk i szukał srebrnego sztyletu. - Muszę ją zniszczyć.*

*- Tu jest - wołały Ignację i wskazywały na broń sterczącą im z piersi. - Potrzebujesz pomocy Pana, Eryku von Kastell. Tylko on cię zbawi, a nie ty sam ani żaden pogański cud. - Wszystkie równocześnie wyjęły sobie ostrza i popłynął potop krwi, który zwałił go z nóg i*

*utopił.*

*Prawie...*

*Silna dłoń chwyciła go za kołnierz płaszcza i Eryk został wyciągnięty z czerwieni, a potem wyniesiony na powierzchnię. Szybował swobodnie w powietrzu.*

*Gdy otarł oczy z krwi, dostrzegł, że wisi na wyciągniętym ramieniu bestii. Stała na krwi jak Jezus na wodzie, w blasku srebrnej poświaty, w pełni księżyca wpadającej przez okna.*

*- Beze mnie jesteś niczym - ryknęła, a z ciemności wynurzyła się Lena. Naga przytuliła się do bestii. - Mój koniec pozbawi cię sensu istnienia. Zostaw mnie w spokoju.*

*- Zostaw ją w spokoju - zachichotała Lena, opadła na czworaka i zmieniła się w wilczycę.*

*- Bardzo ją lubię, Eryku. Nie chcę już żyć bez niej.*

*- Nie - szepnęła. - Nie, Leno! Ona jest podła, zabija bez powodu! Spójrz jej...*

*Nagle nierealny świat zniknął i von Kastell zobaczył przed sobą parę jasnobrazowych oczu i znajome rysy twarzy. Swojej twarzy.*

*- ...w twarz.*

*Ktoś głośno pukał do drzwi.*

*- Halo? Wszystko w porządku? - wołał zatroskany pracownik hotelu.*

*- Tak, dziękuję - odpowiedział Eryk zmienionym głosem, mając nadzieję, że przez drzwi brzmi mniej więcej jak kobieta. - Telewizor zbzikował i nie można go było ściszyć. Wszystko w porządku.*

*- Dobrze. Przepraszam, że przeszkadzam - zawołano z drugiej strony.*

*Eryk obmył sztylet, oczyścił też ubranie i opuścił pokój mniszek. Musi iść do lasu, znaleźć bestię i jej miot. Pewny był też swego kolejnego kroku, choć miał tylko ten niewyraźny ślad: Siostrzeństwo Krwi Chrystusa. Wieczne miasto.*



# Rozdział XXXIII

19 czerwca 1767. parafia Nozeyrolles.  
w Lesie Ténazeyre, Południowa Francja

- Boże! - jęknął Pierre, gdy dotarli na miejsce, gdzie zwłoki Maleskiego leżały w kałuży krwi. Brakowało urwanej głowy, dłoni, wciąż obejmująca srebrny sztylet, leżała oddalona o krok od Mołdawianina.

- Antoine! - krzyknął Jean, tracąc panowanie nad sobą. Zobaczył czerwony ślad. Bestia nakreśliła nim drogowskaz do siebie, by zwabić w pułapkę pozostałych. Ruszył biegiem, choć szok po śmierci przyjaciela wstrząsnął nim mocno. Był błąd jak kreda i wymiotował, jednak przedzierał się dalej. Pierre szedł za nim.

Chastelowie słyszeli, jak myśliwi markiza wchodzą głębiej w las i nawołują ich, ale nie odpowiadali.

Nagle Jean zatrzymał się gwałtownie. Wskazywał na dolną gałąź drzewa; na widelcu z gałęzi tkwiła głowa Maleskiego i patrzyła na nich z góry martwymi oczami; z przeżutego kikuta szyi nadal ciekła krew, spływała po resztkach kręgosłupa i kapiała na listowie.

Myśliwy gwałtownie poderwał muszkiet i błyskawicznie odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. W ułamku sekundy miał na celowniku garou, stojącego na tylnych łapach w gotowości do skoku.

- Przejrzałem cię, synu.

Na rudawo-brązowym futrze migotała jeszcze wilgotno krew Maleskiego, która kapiała z pyska i łap bestii. Stwór ryczał... warcząc równocześnie. Z trzaskiem przesuwały się kości. Antoine jęczał w mękach i skowyczał boleśnie. Rzuciły nim gwałtowne wstrząsy, gdy częściowo zmieniał się w człowieka, chcąc pokazać ojcu i bratu swą na poły ludzką twarz.

Uniósł w zebrzącym geście mocne, owłosione ramiona.

- Proszę, ojcze, oszczędź mnie. Jestem twoim synem! - odrażający głos wydobywał się z ust o zakrwawionych, spiczastych zębach. - *Pomóż mi!*

- Tak, Antoine... pomogę ci - odpowiedział opanowany Jean. - Tobie i całemu Gévaudan. Jego palec wskazujący zgiął się na cynglu.

Lufy muszkietu wystrzeliły i trysnęły w stronę loup-garou srebrnymi kulami.

Antoine próbował wprawdzie uskoczyć przed poświęconą amunicją, ale licząc na ponowną łagodność ojca, zareagował zbyt późno. Pierwszy pocisk trafił go dokładnie w serce, drugi przebił szyję.

Wilkołak upadł na ziemię jak trafiony piorunem. Z piersi unosił się czarny dym, śmierdziało potwornie, gdy Antoine, rzeżąc, podniósł się, wbił długie pazury w ranę i w rozpaczy rozdrapywał własne piersi w poszukiwaniu piekącego srebra. Jednak niszczące działanie metalu postępowało zbyt szybko.

Jean odwrócił wzrok, wyrwał stojącemu jak słup soli Pierre'owi muszkiet i z odległości jednego kroku wypalił kolejne dwie kule wprost w serce Antoine'a. Monstrualne ciało natychmiast zwiotczało i wśród obrzydliwych trzeszczących odgłosów przeobraziło się w człowieka. Bestia opuściła martwego młodego Chastela.

- Antoine! - Pierre pędem minął Jeana i zrozpaczony rzucił się na brata. Ojciec pochylił się i chciał go odciągnąć, gdy głowa Antoine'a poderwała się z parsaniem.

- Uważaj! - Jean zdążył odepchnąć Pierre'a w bok, za to jego lewe przedramię chwyciły zęby, które wgryzły się w grubą tkaninę płaszcza. Jęknął. Zdawało mu się, że ramię dostało się w prasę, tak potężny był ucisk. Jean wyciągnął srebrny sztylet i wbił klingę aż po rękojeść w prawe oko Antoine'a. Głowa poleciała w tył. Szczęki wciąż były zakleszczone na ramieniu myśliwego.

- Ojcie! - Pierre podniósł się i patrzył zszokowany na martwe ciało brata. - Stało ci się coś?

- Nie. Płaszcz był dość gruby, zęby go nie przebiły. - Jean nadstawił uszu. W ich kierunku szli ludzie markiza. - Szybko, pomóż mi rozewrzeć mu szczęki i zakopać go pod liśćmi. Zabierzemy jego ciało, gdy tylko sytuacja się trochę uspokoi.

Pracowali szybko, nie zapominając również zdjąć z drzewa głowy Maleskiego. Pojawili się przy zwłokach Mołdawianina dokładnie wtedy, gdy przyłączyli się do nich myśliwi.

Razem wyszli z lasu, by opowiedzieć markizowi przed ustawionym naprędce namiotem o straszliwych wydarzeniach. Obok szlachcica stał młody comte de Morangiés, trzymał muszkiet za lufę, a kolbę oparł na bucie. Na jego widok Jeanowi natychmiast przypomniały się insynuacje jezuitów.

- Akurat wytropiliśmy wielkiego, szarego wilka, który zabił *monsieur* Maleskiego, gdy pojawili się nieznajomi i po krótkiej kłótni o premię zaczęli do nas strzelać, *mon seigneur*. - Jean skłamał obu szlachcicom prosto w oczy. - Przysięgam na Świętą Panią Marię.

Markiz d'Apcher uwierzył mu w tę historię.

- To pożałowania godne dla waszego przyjaciela, *monsieur* Chastel, i nie do wiary, jak zuchwale poczynają sobie obcy na ziemi moich przodków. Każę zbadać tę sprawę.

- Czy któryś z tych ludzi uciekł wam, czy wszystkich zabiliście? - spytał nagle comte.

- Myślę, że są martwi, *mon seigneur*.

Comte zrobił lekceważącą minę.

- Wielka szkoda. Można by ich wypytać, skąd przyszło im do głowy, że nagroda jest wciąż aktualna. - Uniósł broń. - Przyjrzę się im z bliska. Może mają przy sobie coś interesującego.

W normalnych okolicznościach Jean nic nie zrobiłby sobie z tej uwagi, ale słowa Francesco spotęgowały jego nieufność do granic możliwości. Nie mógł się pozbyć podejrzania, że comte wie coś więcej. Coś o Antoinie i jego tajemnicy.

Markiz d'Apcher skinął na jednego ze sług i kazał podać sobie broń. Spojrzał ku drzewom.

- Zatem bestia nadal jest w lesie. Dobrze. My...

Na skraju rozległy się podniecone krzyki. Huknęły dwa muszkiety i zobaczyli wielkiego szarego wilka, który skoczył między dwoma myśliwymi i skierował się wprost na namiot.

*Święta Mario, zsyłasz mi zwierzę pasujące do mojego kłamstwa? Przyjmuję twoje wsparcie.*

Jean zdjął muszkiet z ramienia.

- *Ave Maria*, zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą.

Odciągnął kurki broni w tył. Tymczasem wilk podchodził bliżej. Ukazał się Jeanowi w całej swojej okazałości, jakby chciał wyzwać go do walki.

- Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

Podniósł muszkiet. Nikt poza nim nie ważył się poruszyć.

- *Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen!*

Wraz z tymi słowami rozbrzmiały strzały i śmiertelnie ranny wilk padł na oczach szlachty i myśliwych.

19 czerwca 1767,

okolice Auvers, klasztor Saint Grégoire

Gregoria właśnie ocknęła się z drzemki. Leżała na łóżku i nasłuchiwała.

Coś było nie tak.

Zaniepokoił ją fakt, że nic nie słyszała: żadnych głosów ani żadnej innej oznaki obecności ludzi w murach Saint Grégoire.

Spojrzała na zegar na ścianie i zobaczyła, że pora na mszę o północy. Dlaczego jej nie obudzono? Wstała, narzuciła tunikę i czepiec na jasne włosy. Przygotowała się na to, że sama zadzwoni w dzwony, by zwołać mniszki do kościoła.

Gdy się ubierała, zastanawiała się, jakie są dalsze zamiary legata. W każdym razie nie przywołał jej więcej do siebie, by wypytywać o Jeana. Najwyraźniej znalazł inne źródła.

On sam i część jego ludzi zniknęli po wieczery z domu pielgrzyma, w którym jezuita stacjonował wraz ze swoją małą armią. Od tamtej pory nikt ich więcej nie widział.

*Święta Panienko Maryjo i święty Gregoriusie, bądźcie przy nas.* Przeorysza wyszła ze swej celi, spodziewając się zobaczyć wartowników i odruchowo rzuciła słowa pozdrowienia.

Oślupiała, nie widząc nikogo.

To był znak. Oszczędziło jej to ponownego proszenia kilku zakonnic o odwrócenie uwagi żołnierzy, by mogła zanieść jedzenie Florence. Tym razem nie będzie musiała sprowadzać podejrzeń legata na którąkolwiek z sióstr.

Szybko wróciła do izby, chwyciła ukryte tam jabłka, chleb i ser i wbiegła po schodach. Od śniadania Florence nic nie dostała do zjedzenia. Na pewno jest głodna jak wilk.

Gregoria zwołała na ostatnim stopniu i skręciła w korytarz, w którym znajdowały się drzwi do pokoju jej wychowawcy. Nagle stanęła jak wryta i ręce jej opadły.

Chleb i ser wytoczyły się z fartucha, jabłka poturlały się po podłodze, gdy przerażona przeorysza patrzyła na rozbite drzwi, zmiażdżone niewyobrażalnie wielką siłą: zawiasy, częściowo wyłamane, zwisały luźno z muru.

To musiało spowodować piekielny hałas! Jak to możliwe, że nic nie słyszała?

Ostrożnie podeszła bliżej i zajrzała do pokoju, w którym jej wychowanka spędziła większość dni przez ostatnie miesiące. Nawet Francesco nic nie zauważył. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Księżyc oświetlał całkowicie zdemolowany pokój, w którym nawet kołdry były porozcinane.

Gregoria stała w plamie krwi. W pierwszej chwili myślała, że to atrament. *Bestia!*

*Matko Święta, ratuj Florence z mocy zła i ochroń jej duszę przed szkodą!*

Odwróciła się, zbiegła po schodach do dormitorium, by ostrzec mniszki przed stworem, najwyraźniej grasującym w korytarzach i salach Saint Grégoire i spragnionym ludzkiego mięsa.

Pomknęła kruzgankiem, położyła dłoń na klamce otwierającej drzwi do sypialni

zakonnice... i znieruchomiała.

Jej spojrzenie padło w dół na kałużę krwi powstałą przed wejściem.

- Mój Boże, nie opuszczaj mnie - szepnęła, zaczęła drżeć i mimo wszystko nacisnęła klamkę, otwierając drzwi.

Na pierwszy rzut oka w blasku dwóch migocących nocnych świec zakonnice leżały spokojnie na łóżkach, ale wszędzie wokół podłoga zmieniała się w kleistą, czerwoną sadzawkę. Zapach krwi, kapiącej z materaców i ściekającej po drewnianych stelażach, krzepnącej już i tworzącej pierwsze ciągliwe, czarne włókna, wisiał w powietrzu, budząc mdłości. Żołądek Gregorii ścisnął się.

Przeorysza zwymiotowała kilkakrotnie; nie mogła nawet wykrzyknąć odczuwanej grozy, gdyż przez gardło do ust i nosa nieustannie przelewała jej się kwaśna masa.

Spluwając, zatoczyła się w tył... i została brutalnie złapana. Teraz nareszcie zdołała złapać dość powietrza, by wydać przenikliwy krzyk.

- Spokojnie, wielbna przeoryszo! - syknął ktoś, a jego dłoń zakryła jej usta. Poblask świec w dormitorium padał na surową twarz Francesco. - Inaczej za wcześnie ją zwabicie. Jeszcze nie jesteśmy gotowi.

Odepchnęła go od siebie, oparła się zadyszana o ścianę. Usłyszała tupot wielu stóp i stukot, jaki wydają kurki muszkietów.

- A więc wiecie?

- Podejrzywałem od początku, wielbna przeoryszo. Podjąłem jednak waszą gierkę, żebyście nie nabrali podejrzeń. Antoine Chastel, umierając, wymknął się nam. Jednak sprawdziłem waszą wychowankę. Srebrna igła zdradziła prawdę. Wydawało się niemal, że dziewczyna sama była zaskoczona... czy to możliwe, żeście trzymali ją w nieświadomości? Cóż, mogę was zapewnić, że szybko się z tym pogodziła. Gdy chcieliśmy ją ująć, zbiegła. - Jasnowłosy legat wydawał się wręcz obojętny. - Dziwi mnie, że jesteście już na nogach. Środek nasenny miał was skutecznie uspić aż do pożaru.

- *Pożaru?* - Gregoria odwróciła się i przestraszyła na widok zbirów legata, w półmroku przygotowujących zbrodnicze dzieło. Na bagnietach ich muszkietów i na niektórych częściach ubrania była krew, przeorysza natychmiast pojęła, czy ja. - Wy... zamordowaliście siostry? - szepnęła przerażona. - Nic tego nie usprawiedliwia! Ojciec Święty...

Francesco podszedł bliżej.

- Czyżby was to dziwiło? One, jak i wy, *wielbna* przeoryszo, dawały schronienie złu. Tolerowały je w świętym miejscu! Zasłużyły na śmierć. - Francesco zachował absolutny chłód. - Bestia nie oprze się zapachowi krwi, będzie chciała przyjść i delektować się nią.

- Florence to jedynie ofiara zła. Nie wie, że jest bestią! - Gregoria próbowała odwieść wysłannika od jego zamiarów. - Błagam was: oszczędźcie jej młode życie!

- O, nie martwcie się. Nie mamy zamiaru zabijać Florence, wielebna przeoryszo. Na to jest dla nas zbyt cenna. Spodziewamy się dowiedzieć czegoś więcej o niej i jej stwórcy. - Francesco dał znak swym pomocnikom, by nad drzwiami dormitorium zamocowali od środka sieć wzmocnioną żelaznymi drutami. Naprężono grube liny.

Nagle Gregoria pojęła przeznaczenie obitego żelazem powozu. Miał służyć przetransportowaniu Florence!

- Czego chcecie od tego biednego, obarczonego klątwą dziecka? Zabierzecie ją do Rzymu? Co ma z tym wspólnego Ojciec Święty?

Francesco uśmiechnął się współczująco, jego jasnozielone oczy tryskały szyderstwem.

- Wielebna przeoryszo, niczego się ode mnie nie dowiecie, choć czeka was pewna śmierć. - Uniósł ramiona. - Mimo to wasza dusza odnajdzie spokój. Udzielę wam *Absolution postum*, gdy wraz z waszymi mniszkami spłoniecie w świętym ogniu. Miejsce, w którym mieszkało zło, nie może dłużej istnieć. Takie są moje rozkazy. Rytuał bestii dobiegł końca. Ludzie z okolicy będą oplakiwać was i klasztor, na zawsze zachowując o nim dobre wspomnienia. Miejsce, w którym działaliście tak wiele dobrego. W ten sposób każdy będzie coś z tego miał - roześmiał się szyderczo. - Może was nawet kanonizują, wielebna przeoryszo. I to mimo waszego cielesnego grzechu.

- Niech was piekło pochłonie!

- Nie, na pewno nie. Ale wy jeszcze możecie przynieść ulgę swej duszy. Pomóżcie mi rozwiązać zagadkę zatopionego w bagnie powozu. Powiedziano mi, że wcześniej jego pasażerkę widziano przed klasztorem. Rozmawiała z wami bogato odziana dama. Czy chodziło o waszą wychowanicę?

Gregoria milczała.

- A więc odpowiedź brzmi: Tak. A może to nawet była matka? Powiedziała wam, kto jest ojcem bestii?

- Bóg was osądzi, jezuito!

- Myślę, że będzie ze mnie zadowolony. Czego nie można powiedzieć o was. - Wskazał palcem na dormitorium. - Rozetnijcie ją i połóżcie obok innych.

Gregoria bez uprzedzenia chwyciła drewniany krzyż wiszący obok niej na ścianie i uderzyła legata. Trafiła go Zbawicielem w głowę. Figura rozbiła się, a z rany momentalnie pociekła krew. Francesco zatoczył się i broniąc przed upadkiem, przytrzymał pilnujących ją mężczyzn.

- Boże, wybacz mi.

Przeorysza wykorzystała zamieszanie i wybiegła z dormitorium. Po drodze zdarła welon i białą czepiec, by nie być tak łatwo dostrzegalną w ciemności. Na zewnątrz ukryła się w cieniu kolumn krużganka.

*Gregoriusie i Mario, co mam robić?* Modliła się i walczyła z ogarniającą ją rozpaczą. Jak człowiek wiary, przedstawiciel Boga na ziemi, mógł dopuścić się tak okrutnych zbrodni? A może jezuita działali bez zlecenia Ojca Świętego? Przez głowę przemknęło jej słowo *spisek*.

Zamknęła oczy, gdy trzech zbrojnych przebiegało obok jej kryjówki. Nie została odkryta.

To na pewno spisek! Ojciec Święty nie wie nic o tym, co wyprawia jego legat. *To, co się tu dzieje, nie może być po twojej myśli, Panie na niebiosach.*

Poczekala, aż nie będzie słycać już żadnych kroków i pomknęła w kierunku furty.

Wpadła na pewien pomysł. Sama nic nie zdołała przeciw takiej liczbie ciężko uzbrojonych mężczyzn, ale jeśli uda jej się dostać do Auvers, skrzyknąć na pomoc mieszkańców i żołnierzy, wtedy Francesco i jego ludzie będą musieli odejść z kwitkiem.

Dziedziniec, który leżał przed nią, jeszcze nigdy nie wydawał jej się tak duży. Kawalek drogi do wyjścia z klasztoru zdawał się być nieskończenie daleko; na dodatek przy opancerzonym powozie krzątało się czterech mężczyzn. Zaprzęgali konie i przygotowywali się do odjazdu.

Gregoria wyczuła wiszący w powietrzu gryzący zapach i gdy dokładniej zerknęła przez otwarte drzwi do wnętrza wehikułu, zobaczyła w nim dwie małe beczki z napisem *Petroleum*. Piąty mężczyzna wyszedł z przedziału, wziął przedostatnią beczkę i zaniósł ją do domu przeoryszy. Robiono wszystko, by ogień nie oszczędził żadnego budynku.

Nagle rozbrzmiały strzały. W trzask muszkietów wmieszały się podniecone wołania i śmiertelne krzyki mężczyzn. Gregoria dokładnie dosłyszała tę różnicę. Potem bestia zawyla tryumfalnie, zaszczekała i parsknęła, nim rozległ się ponowny huk wystrzału.

Czterech mężczyzn przy powozie uniosło broń, nie ruszyli się jednak z miejsca. Piąty wybiegł z domu i uspokoił konie stojące dęba i rwące się do galopu, by uciec z miejsca, w którym cuchnęło drapieżnikiem.

Krzyki i strzały nie ustawały. Raz po raz któryś z ludzi Francesco wołał o pomoc, zaś wściekle ryki bestii dobiegały głośno i wyraźnie.

Przeorysza zobaczyła pierwsze płomienie liżące ściany dormitorium. Również za oknem jej gabinetu najpierw trochę zamigotało, potem jaskrawa poświata zajaśniała coraz intensywniej.

Teraz albo nigdy. Gregoria głęboko odetchnęła i przeżegnała się, przemówiła do swego

Boga: *ochroń moje życie, a przysięgam ci na moją duszę nieśmiertelną, że pojedę do Rzymu i w Twoim imieniu zbadam tę potworną sprawę. Ten, kto jest za to wszystko odpowiedzialny, musi ponieść karę.* Ruszyła biegiem w cieniu kościoła. Najciszej, jak możliwe, próbowała dostać się do furty. Bóg, Maria i Gregorius stali jak dotąd po jej stronie.

Dopóki do gry nie wmieszał się diabeł.

Pokonała połowę dystansu, gdy zaczepiła stopą o kamień bruku; podparła się drugą nogą, by nie upaść i spowodowała tym hałas, który nie uszedł uwagi czterech mężczyzn.

- Bestia! - krzyknął jeden z nich. Zbiry legata strzeliły do niej, domniemanego loup-garou. Gregoria rzuciła się na ziemię i osłoniła ramionami głowę. Kule przemknęły nad nią i wybiły dziury w murze kościoła. Odprysnięte kawałki granitu posypały się na jej skórę.

Głośny krzyk sprawił, że podniosła głowę i spojrzała na strzelców.

Na wozie stała bestia. Najwyraźniej nikt nie zauważył, gdy biegła w tamtym kierunku. Zebrała się do skoku i runęła na ostatniego z mężczyzn, powaliła go na ziemię i jeszcze w locie odgryzła mu głowę. Warczała zadowolona.

Pozostali czterej cofnęli się i pospiesznie ładowali muszkiety. Wrzeszczeli jeden przez drugiego, wołając o wsparcie przeciw stworowi, który niespodziewanie wdarł się na dziedziniec. Prawa łapa chwyciła za lufę muszkiet zabitego i walnęła nim niczym maczugą głowę następnego ze stojących. Czaszka pękła z trzaskiem, a z uszu i nosa mężczyzny trysnęła fontanna krwi.

Bestia wyprostowała się całkowicie i atakowała dalej. Jednemu z napastników rozpruła brzuch precyzyjnym ciosem, drugiego ugryzła w środek twarzy i odrzuciła muszkiet tylko po to, by natychmiast wszystkimi czterema łapami skoczyć na ostatniego z mężczyzn i pogrzebać go pod sobą. Sterczące z długiego pyska kły, mijając uniesione ramiona człowieka, zanurzyły się w szyi; bestia, mlaskając, rozerwała gardło i chleptała tryskającą krew.

Gregoria przeżegnała się i mimo odczuwanej grozy, nie mogła oderwać wzroku.

Konie zaprzęgnięte do powozu rżały, szarpiąc się w panice i z całej siły zapierały kopytami o ziemię. Połamały zaciągnięte hamulce wozu i podjęły daremną próbę ucieczki przed bestią i szalejącym ogniem. Płomienie buchały z sypialni, przedzalni i domu przeoryszy, sypiąc w niebo iskrami.

Bestia porzuciła zwłoki i znalazła zabawę w drażnieniu koni. Wyjąc i podjudzając, biegła na czworakach za powozem, aż zwierzęta w panice spróbowały przedostać się przez furkę. Nie udało im się to.

Ciała koni uderzyły o bramę, a ciężki powóz potoczył się za nimi, miażdżąc je.

Gregoria patrzyła przerażona. Nagle ocknęła się i chciała uciec. Dalej, tylko dalej od tego



piekła. Nie była już w stanie zebrać myśli.

Nagle bestia skoczyła przed nią i objęła jej szyję prawą, kapiącą od krwi łapą. Pazury wbiły się lekko w skórę.

Gregoria skamieniała i wbiła wzrok w rozżarzone czerwono oczy. Jej usta poruszały się bezgłośnie, mamrocząc jedno Zdrowaś Mario po drugim. Sama nie mogła uwierzyć, gdy złowrogie migotanie przed nią zgasło. Stworzenie przekrzywiło łeb i zastrzygło małymi uszami. Suchy czarny nos węszył.

- Florence? Florence, poznajesz mnie? - jęknęła z nadzieją Gregoria. - Proszę, Florence, walcz z demonem, który chce cię opanować! Pozwól mi odejść! Musimy stąd uciekać, nim...

Za plecami bestii rozległy się trzaski; kule przebiły ją i ciepła krew stwora trysnęła na przeorysę. Bestia krzyknęła z bólu i cisnęła ją w bok jak lalkę.

Gregoria uderzyła głową o ścianę i upadła na ziemię. Przez krwistoczerwoną zasłonę widziała, jak pięciu mężczyzn w grubych strojach ze skóry i w kolczatkach odważnie rzucili się na bestię, przygniotło ją do ziemi, a potem dźgało srebrnymi sztyletami, aż jej początkowo zaciekła obrona ustała.

Stwór jednak nie poddawał się, zawył, niespodziewanie uwolnił się jeszcze raz i zmiażdżył jednego z łowców potężnym ciosem w pierś. Ten, rżąc, osunął się na ziemię.

Nagle przed bestią pojawił się legat, kłapnęła, łapiąc go szczękami...

...ale on z ponadludzka szybkością uskoczył przed zabójczymi kłami, które z trzaskiem chwyciły pustkę. Walnął bestię z niesamowitą siłą pięścią w podbrzusze, aż uniosła się pół kroku nad ziemię i padła na kolana. Prychając, uderzyła go w udo. Szpony przecięły spodnie, zostawiając na skórze pięć długich rys, z których pociekła krew.

Francesco krzyknął i walnął ją z góry w potylicę. Kość pękła, ale nie złamało to oporu bestii. Przetoczyła się aż do niego, zamachnęła łbem i chwyciła go zębami za kostkę, co wysłannik skwitował mocnym kopniakiem, który odrzucił bestię daleko w tył. Natychmiast podbiegli jego ludzie i zaczęli ją kłuć srebrnymi sztyletami.

- Przestańcie, już jest dość osłabiona! Zabijcie ją! - krzyknął z tyłu Giacomo. - Weźcie powóz i zaprzęgnijcie nowe konie! A wy przynieście sieć i zwiążcie ją. Musimy odjeżdżać, płomienie zapewne widać już w wiosce. *Pospieszcie się!*

Gdy jego ludzie ruszyli biegiem, wyjął z pasa fiolkę, zanurzył w niej opuszek palca, zwilżył nim usta, oblizał je i zamknął oczy, jakby się modlił. Potem powoli podszedł do Gregorii.

- Opuszczam was, wielbna przeoryszo. - Wskazał na ogień. - *To* wasze piekło, w którym upiecze się wasze grzeszne ciało. Chcielibyście wypowiadać się i uratować przynajmniej

swoją duszę?

Zaśmiała się ochryple.

- Noscicie w sobie zalążek zła. To za siebie powinniście się modlić. - Gregoria na pół się podniosła, krew z rany na czole zalewała jej oczy, mącąc wzrok. - Życzę wam, legacie, by polowali na was wszyscy myśliwi świata.

Francesco uśmiechnął się, robiąc wrażenie trochę nieobecnego i oszołomionego. Wskazał na ranę:

- Macie na myśli ugryzienie bestii, wielebna przeoryszo? Posiadam skuteczne antidotum, najświętsze i najczystsze, jakie możecie sobie wyobrazić. Za wcześnie ucieszyliście się z mojego rzekomego nieszczęścia. - Uczynił nad nią znak krzyża. - *Ego te absolvo*. - Francesco poszedł ku bramie, gdzie jego ludzie w wielkim pośpiechu szykowali powóz, odsuwali na bok końskie ścierwa i w ich miejsce zaprzęgali nowe konie.

Gregorię przepelniła na wskroś ziemska nienawiść. Stękając, dźwignęła się na nogi i skoczyła od tyłu na legata. Odnalazła dłonią sztylet, chcąc zadźgać go jego własną bronią. Oboje upadli na ziemię, ale mężczyzna był znacznie silniejszy od zakonnicy. Kopnął ją w brzuch, a impet kopniaka odrzucił ją trzy kroki w tył! Twardo wylądowała na bruku.

- Odważna niczym święta - zadrwił i wstał, poprawiając ubranie. - Ach, byłbym zapomniał. Wy też macie spłonąć jak reszta.

Gregoria zobaczyła, że fiołka, z której legat zażył osobliwą substancję, leży przy jego butcie. Francesco zgubił ją podczas gwałtownego ataku. Jeśli to rzeczywiście jest potężne lekarstwo, ona potrzebuje go o wiele bardziej niż on. Może pomoże zdjąć klątwę z Florence! Poczłgała się do niego.

- Co? Żebracie o łaskę? - Francesco błędnie zrozumiał jej ruch. Udając, że sięga prawą ręką do jego buta, lewą skrycie chwyciła fiołkę. - Nie ma łaski, wielebna przeoryszo. Nie dla was. - Zaraz potem silne ręce chwyciły ją pod pachami, uniosły i powlokły ku płonącemu jasnym płomieniem dormitorium.

Jej opór na nic się nie zdał. Mężczyźni rzucili ją w ogień.

# Rozdział XXXIV

Chorwacja, Plitvice,

22 listopada 2004, godz. 23:59

Zmysł orientacji doprowadził Eryka w miejsce, gdzie ostatni raz widział bestię. Potem pozwolił kierować sobą instynktowi i po prostu brnął po śniegu przed siebie. Z trudem przychodziło mu nie myśleć nieustannie o Lenie. Jak się czuje, kto ją porwał, co jej właśnie robią...

Zdjął okulary, wyduł szerzej nozdrza, by poczuć możliwie jak najwięcej zapachów i nasłuchiwał kociego pomiaukiwania albo piskliwego skomlenia. Miał nadzieję, że od ostatniego karmienia minęło wiele godzin i małe bestie są już porządnie głodne.

Od czasu do czasu przełączał lornetkę na tryb podczerwieni, odkrył jednak tylko stado saren, sforę dzików i dwa rysie.

Dotarł w lesie do miejsca całkowicie pozbawionego śladów życia. Nie było tropów dzikiej zwierzyny, żadnych dźwięków, pomijając skrzypienie drzew. Kontrolę przejęły instynkty Eryka. Znikły uczucia i myśli. Wyjął sztylet i przyczaił się.

Potem zobaczył ją. Leżała naga na brzuchu, tuż za drzewem. Mróz idealnie ją zakonserwował. Ktoś niedoświadczony zobaczyłby bestialsko zamordowaną kobietę. Jednak Eryk odkrył wprawdzie wokół zwłok tropy lisów i wron, ale po krótkiej inspekcji padlinożercy porzucili ten łatwy łup.

Podszedł bliżej.

- Mam cię - wymamrotał i powoli odwrócił nieżywą kobietę na plecy. Oceniał ją na około trzydzieści pięć lat. Była kiedyś ładna, miała niezwykle wytrenowane ciało i przypominała wyczynową sportsmenkę.

Jego sztylet zadał jej śmierć. Ciało zabarwiło się czarno na wysokości lewego biodra. Tam, gdzie trafiło ją ostrze i kawałek utkwiał w kości, ziała szeroka na dwa palce, wypalona dziura. Również cięcia na tułowiu i gardle nie zamknęły się do końca. Wilkołaczka była na to zbyt osłabiona.

Eryk długo patrzył na zniekształconą bólem twarz. Wreszcie znenawidzona bestia miała

ludzkie oblicze. Poszukiwania dobiegły końca. Myślał o ojcu i o tym, jak bardzo tęsknił do tej chwili. Dane mu było zniszczyć jeden z ostatnich egzemplarzy wilkołaka. Najbardziej niebezpieczny gatunek przemieńców był bliski wytopienia. Przodkowie rodu Kastellów mogą być dumni ze swego potomka.

Eryk ponownie obejrzał kobietę. Uczucie tryumfu znikło i ustąpiło miejsca innemu. Nienawidził jej za to, że zainfekowała Lenę i miał ochotę posiekać zwłoki na kawałki, znieważać je i po śmierci ukarać za czyny popełnione za życia.

Jego uwagę przykuły ciemne linie na brzuchu. Zdrapał ostrzem zamarznąłą krew i dostrzegł na skórze ciemne kreski świadczące o niedawnej ciąży. Okazałe piersi zdradzały obfitość mleka.

Zdawało mu się, że przejrzał plan bestii. Uczyniła Nadolnego wilkołakiem, by dać się mu pokryć, a potem odesłała go, żeby siał niepokój gdzie indziej. Jej zamiary niemal się powiodły.

Teraz, gdy matka była martwa, trzeba było znaleźć norę, nim uda się to jego przeciwnikom. Szczeniaki są jeszcze bardzo młode. Nie mogą być groźne dla niego ani dla innych.

Eryk wstał. Musi się pospieszyć, nim głód wygna miot z jamy i młode wilkołaki rozbiegną się po okolicy. Nie chciał liczyć na to, że zabije je ciężka zima. Te szczególne zwierzęta są odporne. Mogłyby przyłączyć się do stada wilków i w ten sposób dorosnąć.

Noc kładła się czarnym aksamitem na horyzoncie i między drzewami. Gdy Eryk pośpiesznie szedł przez las, do jego nosa dotarła woń ludzi, która wydała mu się osobliwie znajoma. Nie potrzebował więcej niż dwóch sekund, by przywołać zapamiętane wraz z zapachem wspomnienie: amulet, Sankt Petersburg. To znaczy, że zmierza we właściwym kierunku!

Sięgnął po okulary i lornetkę i zaraz przy jednym z małych zbiorników wodnych odkrył pięć czerwonych ludzkich sylwetek, stłoczonych wokół sterty śniegu i grzebiących w niej.

Znaleźli miot przed nim.

Erykowi nie przeszkadzało, że ma przy sobie tylko srebrny sztylet. Nie da im szansy obrony. Tym razem zaskoczenie będzie jego sprzymierzeńcem.

Ostrożnie zakradł się bliżej, mijając małe kaskady, gdzie w zbiornikach zbierała się woda. Była kryształowo czysta i z pewnością lodowato zimna; odbijały się w niej gwiazdy, a na dnie dostrzegł zniekształcone przez wodę konary starych, na poły skamieniałych drzew, wyglądające jak odrąbane palce olbrzyma. W miejscu, gdzie woda była płytsza, bezgłośnie wśliznęła się do niej wydra i zapolowała na jedzenie. Park Narodowy naprawdę jest małym

rajem. Pomijając zło, które w nim mieszka. Raj z ciemną plamą.

Podchodząc bliżej, Eryk obserwował, co robią ludzie przy kopcu. Mieli na sobie mundury straży parkowej, by stworzyć pozory legalności i by nie pytano ich o zezwolenie na broń, jakie niewątpliwie by im się przydało. Jego znakomity słuch pozwolił mu usłyszeć słowa dwóch mężczyzn i trzech kobiet rozmawiających po angielsku.

Rzeczywiście chodziło o norę przemienca. Najwyraźniej pod białą zaspą znajdowało się wejście do jaskini albo tunelu. Jeden z mężczyzn leżał wsunięty tam w dwóch trzecich głową do przodu i ze środka dobiegało jego przytłumione przeklinanie; równocześnie Eryk słyszał ujadanie i wycie młodych zwierząt.

- Ile ich jest? - spytała podniecona kobieta.

- Pięć - zabrzmiała niewyraźna odpowiedź. - Wcześniej było siedem, ale zaczęły się już wzajemnie pożerać. - Facet ponownie zaklął i wyczołgał się tyłem z dziury, w lewej ręce trzymając wijące się szczenię. - Cholera, ależ są szybkie! Trochę potrwa, nim wyłapię je wszystkie. - Włożył miniaturkę bestii do pudła, na którym zamontowane było ogrzewanie. - Teraz już nie zamarzną. - Poprawiwszy grube skórzane rękawice, znów wpełzł do nory.

- Dobrze, że znaleźliśmy boskich - powiedziała z ulgą kobieta. - Gdzie mogła podziąć się matka? Chciałabym ją też wziąć.

- Myślę, że nie żyje - odparł jeden z mężczyzn. - Słyszałem o zajściach w hotelu „Odpoczynek”. Mówiono coś o jakimś psie albo wilku. Opis wplątanych w to mężczyzny i kobiety pasują do Heruki i tego gnojka, który namieszał nam w Petersburgu.

Tym samym Eryk dostał odpowiedź na pytanie, z kim ma do czynienia: Zakon Lycáon.

Kobieta milczała przerażona.

- *On* jest tutaj? Mówisz to dopiero teraz, Iszmalon?

- W takim razie znalazł zdjęcia boskiej - dodała druga kobieta i skrzyżowała ręce na piersiach. - Zdecydował się z nią walczyć. Dla mnie oznacza to, że on dobrze wie, w co się wpakował.

- Oczywiście, że wie. Zabił boskiego Nadolnego. *Srebrnymi kulami!* - Splunęła druga z kobiet. - Jest jednym z nich, jednym z wiedzących, którzy stanęli po złej stronie.

- Może to też on zniszczył boską Upuaut w Monachium. Pociski znalezione na miejscu zbrodni były takie same. Kazałam to sprawdzić. - Druga kobieta odebrała następne szczenię bestii. - Wiemy coś o mordercy?

Jeden z mężczyzn pokręcił głową.

- Nic o jego tożsamości. Tylko tyle, że zadał już śmierć dziesiątkom boskich. - Wziął trzeciego szczeniaka. - Ale w Monachium w kontekście śmierci Upuaut mówiono też o

porwaniu. Mój informator wspominał niejakiego Johana von Kastell i jego syna. Ich wille wysadzono, do tej pory nikt nie wie, kto stoi za zamachem. Stary nie żyje, syn jest w Monachium.

- Albo tutaj - uśmiechnęła się pierwsza kobieta. - No, nareszcie! To nam bardzo pomogło. Zajmiemy się młodym Kastellem i sprawdzimy go. - Ostrożnie włożyła czwarte zwierzę do ogrzewanego pudła transportowego. Szczeniaki warczały, szczyrzyły zęby i odważnie poszczekiwały. - Och, to są naprawdę wyjątkowi boscy - ucieszyła się. - Więc to wszystko prawda, co się o nich opowiada. - Pochyliła się. - One są...

Poszło błyskawicznie.

Jakby znikąd na kobietę skoczył czworonożny cień wielkości cielaka, rozległ się głośny trzask, a jej czaszka pękła w mocnych szczękach jak dojrzały orzech. Jej tułów padł w drgawkach na ziemię, krew trysnęła i spryskała czerwienią zebranych i pudła.

Nim ktokolwiek z pozostałych zdołał otrząsnąć się z szoku, napastnik ponownie zaatakował, rzucił się na jednego z mężczyzn i potężnym kłapięciem wyrwał mu krtań; przód szyi zniknął, został tylko kręgosłup.

Nikt, nawet Eryk, nie liczył się z czymś takim: druga dorosła bestia! Basior zwabiony żalonym skamleniem potomstwa, bezlitośnie bronił miotu.

- Deacon! - krzyknęła rozdierająco druga z kobiet i chwyciła paralizator, którym chciała bronić się przed bestią. Urządzenie, strzelające małymi igiełkami z drucikami i rażące trafionego impulsami prądowymi, wydawało się nieszkodliwe wobec stojącego naprzeciw potwora.

Basior był duży, cholernie duży i dobrze odżywiony; obfitujący w zwierzynę teren Parku Narodowego nawet w zimie dostarczał dość pożywienia. Czerwone oczy błyszczały groźnie, krew kapiała mu z pyska, szyi i rudawo-brązowego futra na piersi.

Mężczyzna, którego chciała ostrzec kobieta, był następną ofiarą. Jako że z nory wystawała tylko dolna część jego ciała, zęby wbiły się w krok. Bestia szarpała i ciągnęła, aż wyrwała mu ogromny kawał pośladków razem z genitaliami. Mężczyzna krzyknął i próbował kopać samca, ale napastnik nawet nie usuwał się przed butami. Nie obawiając się ciosów, zmiążdżył zębami łydkę.

Kobieta odpaliła paralizator, druga podniosła broń jednego z zabitych i przyłożyła do ciała bestii. Igły przewodzące wysokie napięcie wbiły się w futro i odpaliły ładunek elektryczny; równocześnie huknęła broń palna, trafiając stwora.

Eryk widział sterczące z lewego boku czerwone nici strzały ze środkiem usypiającym. Choć kobiety znajdowały się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nie chciały zabijać

rozwścieczonego wilkołaka.

Teraz musiał wkroczyć on. Przemknął po śniegu do nory. Kobiety nie zauważyły go, gdyż zajęte były bestią. Ta nie poddawała się i próbowała strząsnąć z ciała igły, podczas gdy jedna z dziewczyn wciąż zwiększała dawkę prądu. Druga w pośpiechu ładowała broń i wystrzeliła w bestię kolejną strzałę. Stwór w końcu zaczął się chwiać, kombinacja woltów i środka usypiającego działała.

Eryk całkowicie zaskoczył zajęte bestią kobiety. Jedną uderzył pięścią w kark, na co ta upadła z jękiem, druga dostała rękojęcią sztyletu dokładnie między oczy; ona również wyładowała w śniegu. Von Kastell nie zajmował się nimi więcej. Przyskoczył do bestii.

Basior dostrzegł nowe zagrożenie i próbował zaatakować Eryka. Jednak skok wyszedł mu sztywny i zmęczony, doświadczony wojownik bez trudu się przed nim uchylił. Widząc przelatujące obok futro, musiał tylko unieść dłoń ze srebrnym sztyletem. Bestia impetem własnego skoku rozplatała sobie bok i wyjąc, padła na śnieg.

Eryk natychmiast znalazł się nad nią, ścisnął jej gardło w żelaznym uchwycie i spojrzał w tryskające iskrami rubinowe ślepie.

- Już nikogo nie zabijesz - obiecał ponuro. - A kiedy zakłuję twoje szczeniaki tak jak ciebie, nie zostanie już ani jeden z was. Istniejecie o wiele za długo.

Wystarczył jeden cios sztyletem i serce basiora zatrzymało się. Oczy przekreśliły się, oślepiły i utraciły swój złowrogi ogień; zaraz potem zaczęła się przemiana i straszliwy potwór zmienił się w mężczyznę około dwudziestopięcioletniego z krótkimi, brązowymi włosami. Martwi ludzie zawsze wyglądają na całkowicie nieszkodliwych, niewinnych i godnych współczucia.

Eryk przeszedł do pudeł transportowych, w których szalały małe bestie, gryząc siatkę, jakby chciały wyrwać się z niewoli.

Przy pierwszym ukucnął i patrzył na kłębek futra, mimo dzikiego zachowania niezdarny i pocieszny jak zwykle psie szczeniaki, przymilające się i rozczulające ludzi. Przeszłaby im ochota do śmiechu, gdyby milutkie stworzonko odgryzło im palce.

Eryk nie bał się stojącego przed nim zadania. Nigdy wcześniej nie musiał tego robić, więc czuł niespodziewany niepokój. Jednak nie mógł pozwolić sobie na litość. Przemieńce jej nie znają.

Otworzył pudło i chwycił bestię za kark, obrócił i przytrzymał brzuchem do góry. Szczenie ujadło i wyło, szarpało się, chcąc uciec człowiekowi.

Eryk głęboko odetchnął, rozciął srebrnym sztyletem krtań zwierzaka i jednym ciosem rozplatał malutkie serce; potem szybko odwrócił się i odrzucił drgające zwierzę daleko od

siebie w głęboki śnieg. Bał się widoku martwego niemowlęcia. Dostatecznie trudno było znieść widok zabitych dorosłych.

Erykowi zdawało się, że ciepła krew na jego rękawicy jest cięższa niż zwykle. Mimo to kontynuował, aż brakowało mu już tylko jednego zwierzaka. Ten znajdował się jeszcze w dziurze, zamknięty zwłokami mężczyzny, sterczącymi z wyjścia niby szpunt.

Eryk podszedł do zasy i sięgnął dłonią za nogę nieżywego, gdy posłyszał za sobą na wzniesieniu jakiś szelest. Nie zwlekając, skoczył w bok i niemal w tym samym momencie rozległ się trzask broni.

Pierwszy strzał chybił.

Szczęścia nie starcza na więcej niż jeden raz.

Terkot był nieustanny. Jedna seria wystrzałów następowała po drugiej. Eryk został wiele razy trafiony w tułów, dostał w prawe ramię i niewidzialny młot uderzył go w lewe kolano, zginając je w tył. Z krzykiem upadł na plecy i osunął się po pniu w dół. Za kołnierz poleciały mu kawałki kory i śnieg.

Przez osnuwający go ciemny welon widział, jak zamaskowana postać skacze ze wzgórza i ląduje przy zwłokach mężczyzny. Trzyma karabin automatyczny AK-47, którym go ostrzelała. Unosi do szala krótkofalówkę, mówi coś niezrozumiałego i na plac przy zbiorniku, z różnych kierunków schodzi czterech dalszych przeciwników.

Postać, która strzelała, podeszła do niego i Eryk zobaczył parę szarozielonych oczu, patrzących na niego obojętnie.

- Gnojek - powiedział męski głos i wylot lufy AK-47 zakołysał się przed jego twarzą. Zmieniano magazynek. Czuł spalony proch i ciepło wydobywające się z lufy. Wreszcie usłyszał stuknięcie, z którym iglica trafiła w nabój, inicjując strzał. Zapanowała jaskrawa jasność. Świat zatonął w ogniu.



# Rozdział XXXV

19 czerwca 1767, okolice Auvers,  
klasztor Saint Grégoire

- Ojcze, klasztor płonie! - Pierre zatrzymał się na wzniesieniu i patrzył w kierunku Saint Grégoire, gdzie niebo jaśniało od blasku ognia. Płomienie były ogromne, jakby za strawę miały coś więcej niż tylko suche drewno. - Muszę iść do Florence!

Nie czekając na odpowiedź, ruszył biegiem. Jean popędził za nim. Jak synowi, tak i jemu miłość dodawała skrzydeł: wprost frunęli nad łąkami, zaś przez głowy przemykały im wszelkie możliwe myśli.

Jean uważał, by nie przewrócić się w ciemności. Jeszcze mu tylko brakowało złamanej nogi albo skręconej ręki. Właściwie chcieli pod osłoną nocy potajemnie zabrać zwłoki Antoine'a, jednak teraz, po śmierci Maleskiego, nastąpiła kolejna katastrofa. Czy ma stracić niedawno odzyskaną wiarę w Boga, którego błagał o opiekę nad obiema kobietami?

Gdy zadyszani dotarli do klasztoru, garstka wieśniaków próbowała już gasić płomienie, ale każdy obdarzony odrobiną rozsądku widział, że pomoc nadeszła za późno. Belki podtrzymujące dach dawno już się zawaliły, każdego, kto przeżył, na pewno zasypały dachówki i częściowo zawalone mury. Po ponad czterystu latach istnienia z Saint Grégoire zostały teraz tylko czarne, osmalone kamienie i dzwonnica, na razie opierająca się zagładzie.

- Florence! - krzyknął Pierre jak oszalały i nie zważając na skwar, skoczył przez furtę i zniknął w blasku ognia oświetlającego dziedziniec. Jean nie potrafił inaczej, jak pójść za nim w nadziei, że może mimo wszystko znajdą ślady ocalonych.

Dom przeorczy i wszystkie budynki oprócz wieży padły już ofiarą pożogi. Pierre ze łzami na twarzy i zaciśniętymi pięściami zatrzymał się na placu, jedynym miejscu, na którym się nie paliło, i głośno wykrzyczał swoją rozpacz.

Wtedy zabił kościelny dzwon. Jeden jedyny raz.

Jean zrozumiał sygnał.

- Szybko, komuś udało się schronić w wieży! - przywołał do siebie kilku wieśniaków z wiadrami z wodą i cały się oblał. Nasączone ubranie lepiej oprze się skwarowi. Pierre zrobił

to samo.

Teraz przydało się im obu częste przebywanie Pierre'a na terenie klasztoru. Syn poprowadził ojca najkrótszą drogą do wieży, ale od drzwi dzieliło ich wiele kroków przez płonący, walący się kościół. Chastelowie nie zwlekali. Obaj mieli w sercach nadzieję, że Gregoria i Florence czekają w wieży na ratunek. Czekają na *nich*.

Kaszłąc i dysząc, pobiegli przez zniszczoną świątynię, uskakując przed spadającymi belkami i kamiennymi blokami, aż dotarli do drzwi. Przed nimi wznosiła się góra gruzu, wyjaśnienie, czemu zamknięci w wieży nie mogli wyjść z niej sami. Mężczyźni z mokrych surdutów oddarli pasy tkaniny, owinęli nimi dłonie, by ochronić je od oparzeń, i w błyskawicznym tempie odrzucili hańdę na bok.

W końcu uwolnili wejście na tyle, na ile było to konieczne. Jean staranował barkiem spazzone od skwaru drzwi i wpadł do środka. Pierre przeskoczył go i rozglądał się bacznie.

- Florence, jesteś tu? - dostrzegł przykucniętą na podłodze postać w czarnej tunice i wiedział, że to nie jego ukochana.

Jean poderwał się, podbiegł do kobiety, odwrócił ją i otarł jej sadzę z twarzy.

- Gregoria - krzyknął z ulgą. Oprócz głębokiej rany miała na twarzy i na ramionach ciężkie poparzenia, jej szaty były w większości zwęglone, skóra ciężko ucierpiała od płomieni, była czerwona i sączyła się. - Jest z tobą Florence? Jest piętro wyżej?

Lekko pokręciła głową i chwyciła się jego szyi jak małe dziecko. Głos odmówił jej posłuszeństwa. Jean podniósł przeoryszę, poszedł do wyjścia i zmartwił. Przed nim w ruinach kościoła szalało morze ognia.

- Nie damy rady.

- Owszem, ojczu. - Pierre ze łzami na twarzy wskazał na sznur dzwonu. - Wejdzimy do góry i spuścimy się po tym na zewnątrz. - Chwycił dolny koniec, wbiegł po schodach, ciągnąc linę za sobą, a Jean ruszył za nim, niosąc Gregorię. Wkrótce dotarli na szczyt dzwonnicy. Belki zajęły się już ogniem od strzelających w górę iskier, drewno groźnie trzeszczało.

Pierre rzucił linę z jednego z wąskich okien.

- Ty pierwszy - powiedział do ojca, a jego twarz zmieniła się w pozbawioną wyrazu maskę. Świadomość śmierci Florence pozbawiła go wszelkich uczuć, zarówno strachu, jak i bólu. - Obwiążę cię sznurem i powoli spuszczę w dół. Uważaj, żeby miękko spaść.

Wyraz brązowych oczu syna sprawił, że Jean zaniechał sprzeciwu. Szybko zsunął się na ziemię, szarpnął linę i Pierre wciągnął ją z powrotem.

Przez dłuższy czas nic się nie działo.

Leśniczy patrzył i słuchał, jak wałą się ostatnie resztki Saint Grégoire. Nawet z małych

okienek klatki schodowej wydobywał się gęsty dym. Ogień wgryzał się w wieżę od dołu ku górze, by połączyć się z płomieniami na dachu.

- Uwaga! - krzyknięto z góry. Jean widział, jak Gregoria powoli wysuwa się przez okno, a Pierre delikatnie spuszcza ją w dół.

Gdy przebyła połowę drogi, rozległ się łoskot i zapadła się więźba dachowa. W niebo z głębokim sykiem strzelił potężny snop iskier, z wszystkich otworów wieży wysunęły się języki płomieni. Jean usłyszał krzyk syna, którego ubranie niechybnie zajęło się ogniem, nie puścił jednak liny, na której wisiała Gregoria.

- Pierre, puść ją! - krzyknął Jean. - Ja złapię. Wyjdź z wieży, słyszysz? Uciekaj z góry, nim...

Reszta dachu zawaliła się, miotając czerwonymi i pomarańczowymi iskrami na wiele kroków wokół. Lina gwałtownie spadła dwa kroki w dół, zatrzymała się na moment, potem Pierre widocznie ją puścił. Gregoria poleciała jak kamień w dół, jednak Jean zdołał ją chwycić. Oboje upadli na trawę ogrodu.

- Pierre! - ryknął oszalały myśliwy. Jego głos nie brzmiał już po ludzku. - *PIERRE!*

Jean z trudem stanął na nogi, chwycił linę, chciał wspiąć się po niej do góry i własnoręcznie uratować syna.

Ale nim zaczął wspinaczkę, lina zerwała się.

Tłący się koniec spadł na dół podobny do martwego węża.

- Nie!

Znieruchomiały Jean Chastel patrzył na drugi, bezużyteczny teraz koniec sznura, który trzymał w swojej dłoni. Wieśniacy doskoczyli do nich, chwycili przeoryszę i jego i odciągnęli oboje z miejsca, na które za moment spadły rozżarzone belki, wybijając dziury w ziemi. Leśniczego i przeoryszę zaniecono za mury klasztorne i ułożono na łące. Więcej na razie nie można było dla nich zrobić.

Ostatni pomocnicy opuścili teren klasztoru; uznali, że nie ma sensu walczyć z płomieniami, których morze zalało teraz nawet twardą jak skała wieżę dzwonnicy.

Z dymu oświetlanego przez ogień wyobraźnia Jeana kształtowała twarze Pierre'a i Florence. Z jękiem ukrył twarz w dłoniach. Stracił drugiego syna i ból był tak ogromny, że zabrakło mu łez.

Z kamienną twarzą zwrócił się do Gregorii.

- Jak wybuchł pożar? Czy jezuita...

Poszukała jego dłoni.

- Atak - jęknęła, przełknęła i zebrała siły na kolejne słowo, ale ktoś ją uprzedził.

- To był atak drugiego loup-garou, *monsieur* Chastel - powiedział wieśniak, stojący w pobliżu. - Młody Truibas widział, jak coś wymyka się z kościoła. Wyglądało jak mieszanka człowieka i zwierzęcia. To zemsta, że wreszcie zabiliśmy tamtą bestię. Teraz już jej nie wystarczy zabijać ludzi! Podpała nasze domy i szydzi z Boga Wszechmogącego.

Jean zeszytywniał. Po synach zostało mu już tylko wspomnienie lepszych dni. Wszystkiemu winne były przemienie. Zabrały mu synów. Obu synów.

- Na Boga - powiedział ponuro. - Przysięgam, że od dziś poświęcę moje życie tylko polowaniu na te potwory. Nic mnie nie powstrzyma od ich wytępienia! - Opanował pragnienie pocałowania Gregorii na oczach wszystkich i ograniczył się do długiego, głębokiego spojrzenia pełnego miłości. - Wybacz mi, że zostawię cię samą, ale chcę iść za tropem bestii, póki jest świeży. Ktokolwiek kryje się za tą maską, na pewno umrze. - Chwyił muszkiet i zniknął.

- Nie! Jean! To... - jej zdławiony dymem głos załamał się. Próbowała zatrzymać myśliwego, ale jej palce ześliznęły się z jego koszuli. Musiała pozwolić mu odejść.

- Nie martwcie się, wielebna przeoryszo. To bohater. - Jakaś kobieta klęknęła przy niej i zaczęła w blasku pochodni mokrą szmatką obmywać jej twarz z brudu i skrzepłej krwi. - Na oczach markiza i całej reszty zabił pierwszą bestię.

Gdy pomogła Gregorii się wyprostować, by ta napiła się wody, na ziemię upadła fiołka.

- Zgubiliście coś, wielebna przeoryszo. - Kobieta podała jej buteleczkę.

Bóle, jakie czuła Gregoria, rosły z każdym oddechem. Jeśli zawartość fiołki dała legatowi Francesco jego nadludzką siłę i chroniła go przed zmianą w loup-garou, na pewno może też pomóc na jej cierpienia.

Gregoria kazała otworzyć małe naczynie. Drżąc, zanurzyła w nim palec i poczuła wilgoć. W fiołce nie było już wiele, starczyło na tyle, by zwilżyć opuszek. Rozsmarowała płyn na ustach, jak zrobił to legat, i zlizwała językiem.

Smakowało metalicznie.

Krew! Święta Matko Boża, spróbowałam krwi!

Zebrała ślinę, żeby wypluć, ale stało się. Zanurzyła się w świetlistą jasność.

*Otułił ją roziskrzony promień światła pochodzący wprost z nieba, nieziemska światłość, mogąca być dziełem tylko samego Boga Wszechmogącego. Jej uszu dobiegł radosny śmiech małych dzieci, słyszała harfy i czuła zapach słodkich kwiatów.*

- *Wchodzę do raju - wymamrotała.*

- *Gregoria!* - *zawołały ją anioły. Próbowała dojrzeć coś w rozżarzonej jasności.* - *Gregoria!*

*Promień zniknął gwałtownie i zapadła całkowita ciemność.*

*W następnej chwili stała w katedrze, której piękno przeszło jej ciało dreszczem głębokiej ekstazy. Potem jakby nikt pojawił się przed nią mężczyzna w papieskim ornacie, ale nie był to Klemens XIII.*

*U jego stóp leżał zakłuty nożem jezuita o rysach twarzy Francesco, kierował na nią spojrzenie szklanych oczu. Jego dłoń zmieniła się w łapę, wydrapując pazurem w marmurze łacińskie sentencje. Potem nagle ciało pękło, zalewając ją krwią; na miejscu Francesco stał szczyrzący zęby garou.*

*Nieznajomy papież patrzył na Gregorię dobrotliwie.*

*- Zabij tego stwora - poprosił przyjaźnie i podał jej krzyż przemieniony w miecz. - Zabij go i wszystkie inne. - Wskazał na coś widniejącego za plecami przeoryszy i Gregoria odwróciła się na pięcie.*

*Cała katedra pełna była bestii! Pełzały po kolumnach w górę, po suficie, hańbiły obrazy i zniszczone freski. Wszędzie świeciły pełne szyderstwa, czerwone oczy.*

*Nieznajomy papież popchnął Gregorię.*

*- Idź i przynieś światu pokój, moja córko. Uwolnij go od zła. Daję ci moje błogosławieństwo.*

*Krucyfiks zajaśniał srebrnym blaskiem, rana od włóczni w boku Zbawiciela otwarła się, zalewając budowlę krwią. Bestie zostały splukane, zatopione, spalone, a te, które przeżyły, Gregoria zabijała jak obłąkana.*

*Gdy podniosła ramię, by zniszczyć ostatnią z nich, zobaczyła przed sobą Florence.*

*- Nie! Ona...*

*Znów zrobiło się ciemno.*

*Czerń rozświetlił blask pochodni, ukazując poirytowane oblicze kobiety, która przed chwilą obmywała jej twarz z krwi.*

*- Wielebna przeoryszo, zaczęliście nagle mówić bez sensu i... - Trzymała się za policzek. - Uderzyliście mnie.*

*- Wybaczcie mi, ja jestem jeszcze... - Umysł Gregorii potrzebował chwili, by otrząsnąć się z epifanii, gdyż doznanie to nie mogło być niczym innym. Wsłuchała się w swoje wnętrze i nie czuła już żadnego bólu. Jej głos zabrzmiał wyraźnie, gdy powiedziała: - Pomóżcie mi wstać.*

*Kobieta spojrzała na nią nieufnie.*

*- Jesteście za słabi, żeby...*

*Gregoria spróbowała więc sama i nogi posłuchały jej. Zacisnęła zęby i potarła spaloną*

skórę, która jak zbutwiałe liście zwinęła się i odpadła płatami.

Pod nią ukazała się świeża, nowa.

- Wy... wy jesteście  *błogosławiona!* - krzyknęła zaskoczona kobieta i przeżegnała się. - Pan Bóg przeznaczył was do czegoś specjalnego, skoro pozwolił wam przetrwać ogień i uleczył rany, wielbna przeoryszo!

Gregoria zauważyła, że fiołka wysliznęła się z jej dłoni. Podniosła ją z trawy i w zamyśleniu przyglądała się niepozornej buteleczce.

Jeśli wolą Boga jest, by poszła do Rzymu i dokonała czegoś szczególnego, uczyni to z radością. Schowała fiołkę i skierowała szarobrązowe oczy na płonące Saint Grégoire.

*Ktokolwiek za tym stoi, zapłaci za to.* - Ślubowała w duchu. - *I to nie dopiero w zaświatach, przed obliczem Pana.*

# Rozdział XXXVI

Chorwacja, Plitvice,

23 listopada 2004, godz. 03:59

Eryk powoli otworzył oczy. Niczego nie zobaczył.

Niczego, poza bielą. Marzył na całym ciele, nie mógł poruszać dłońmi.

Trwało bardzo, bardzo długo, nim był w stanie zdobyć się na choćby jedną rozumną myśl. W jego czaszce wszystko krzyczało chaotycznie, obrazy rozbłyskiwały jak w muzycznym wideoklipie o krótkich cięciach. Pyski i ludzkie twarze przesłaniały się nawzajem, bestia chwyciła go i zdawało mu się, że znów czuje uderzenia pocisków.

Chciał wstać i uciec od tych wizji, ale ciało nie było mu posłuszne. Leżał nieruchomo. Sparaliżowany. Zatem czekał i patrzył na biel.

Coś nad nim zaszurało.

Biel rozsypała się i pysk lisa, węsząc, zbliżył się do jego twarzy. Owiał go ciepły oddech, wysunął się język i zmusił Eryka do ruchu. Jego ręce przebiły warstwę śniegu, pod którą leżał. Jak pływak wydostał się na powierzchnię i wrócił do świata. Lis szczechnął przestraszony i odskoczył.

Eryk pomacał czaszkę, wyczuł strup między oczami i obłążącą, spaloną ogniem wystrzału skórę.

- Przedwczesny wybuch pocisku w lufie? - Odetchnął z ulgą. Wsuwając się po pniu w górę, stanął na nogi i rozejrzał się wokół.

Spadło dużo śniegu. Zwłoki leżały pod dziesięciocentymetrową warstwą i wyglądały jak oproszone cukrem pudrem. Martwego mężczyznę wyciągnięto z nory i Eryk nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, iż ostatnie szczenię zostało zabrane przez nieznaną napastników.

Zawiódł.

Przygnębienie trwało krótko. Nie, nie podda się. Śmierć niezliczonych Kastellów, którzy stracili życie podczas prób wytrzebienia bestii, nie może pójść na marne. Znajdzie nieznaną i dopadnie ich, nim uciekną ze szczeniakiem z kraju.

Pojękując, ruszył szukać tropu.

Nie potrzebował wiele czasu, by go odnaleźć. Nieznajomi nie zadali sobie trudu zatarcia śladów. Odchodzili stąd jako zwyczajcy i sądzili, że nie zostawiają nikogo, kto mógłby pozbawić ich łupu.

Eryk podejrzewał, że druga grupa była oddziałem Lycáonitów. Przesuwał się między drzewami, nie odrywając oczu od na wpół zasypanych śniegiem odcisków stóp.

Następna niespodzianka nie kazała na siebie długo czekać. Poczul zapach krwi i w pewnej odległości od sceny, na której rozegrała się walka, znalazł kolejne zwłoki. Mężczyzna w zimowym mundurze został trafiony czterema kulami. Wyglądało na to, że zginął natychmiast. Leżał przy nim AK-47.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - powiedział półgłosem Eryk, przeszukując mężczyznę. Nie znalazł nic poza paszportem na nazwisko Tomas Ignac, który zabrał wraz z bronią i magazynkiem; potem ruszył dalej.

Przez gęsto rosnące pnie dostrzegł blask ognia. Ogień cicho trzaskał i syczał. Śmierdziało ropą naftową i spalonym plastikiem. Wiatr zmienił kierunek, a w chmurze dymu, która go teraz owiała, wyczuł również swąd spalonego ciała.

Eryk zatrzymał się w pobliżu polany przy szczątkach helikoptera, który musiał spaść natychmiast po starcie. Rotor zgolił kilka wierzchołków, potem pnie zrobiły się za grube i pogięły albo wyrwały płyty wirnika. W tylnej części wraku dostrzegł ślady po strzałach. Zamiar wywiezienia ostatniego szczeniaka drogą powietrzną nie powiódł się.

W kokpicie spłonęło dwóch ludzi. Ich zwłoki zdążyły już przyjąć pozycję płodu typową dla ofiar pożaru. Ściągna skurczyły się od gorąca, podobnie jak ręce, nogi, dłonie i palce stóp. Luk do kabiny pasażerskiej był otwarty, obok leżał zabity w mundurze zimowym. W jednej ręce trzymał oderwany uchwyt skrzyni transportowej, w drugiej pistolet.

- To byłoby za proste.

Używając lornetki, Eryk nagrał na chip obrazy katastrofy i szybko poszedł na polanę, gdzie znalazł jeszcze trzy zwłoki w wojskowych strojach, uzbrojone w automaty AK-47. Dwóch mężczyzn było zastrzelonych: jeden z wielką precyzją, kolejnego załatwiła ilość pocisków. Trzeciego rozszarpała podczas ucieczki zapomniana mina z wojny chorwackiej.

- *Bad karma.*

Więcej śladów nie było.

W oddali słyszał terkot wirników, za drzewami dostrzegał światła wielu mocnych latarek zbliżających się do jego pozycji. Wycofał się. Nie chciał być odkryty przez oddziały ratownicze.



Erykowi udało się: wrócił do hotelu niezatrzymywany ani nienagabywany pytaniami o dziury w ubraniu i krew. Powodem była burza śnieżna, która sprawiła, że nie można było dostrzec nawet trzymanej przed oczyma dłoni. Miał szczęście.

Troska Eryka o Lenę znów wzrosła. Stłumił ją bardziej niż przedtem. Teraz potrzebował jasnego umysłu. Zrzucił brudne ubranie i telefonicznie zlecił Anatolowi wyśledzenie, kim był Tomas Ignac, zabity w lesie. Pozwolił sobie na szybki prysznic. Stojąc pod gorącym strumieniem, spojrzął w dół po sobie; po ranach nie było już niemal śladu.

Wróciwszy do sypialni, Eryk sięgnął po papier i ołówek, spisał nazwiska swoich przeciwników, próbując uporządkować myśli. Gdy się zastanawiał, ołówek jakby sam narysował oko, potem nos, aż powstał mniej lub bardziej dokładny portret Leny.

- Cholera! - Zamknął oczy. Miał za mało danych, zbyt mało wiedział o przeciwnikach. Wyglądało na to, że powinien teraz naprawdę skierować swoje kroki do Rzymu. Odszuka to siostrzeństwo. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że musi odświeżyć znajomość włoskiego.

Eryk myślał o siostrze Ignacji, której śmierci nie planował, i o tym, jak osobliwe działanie miała na niego jej krew, która pogrążyła go w chaotycznym śnie na jawie. W całym swoim życiu nigdy nie doznał nawet w przybliżeniu tak mocnych wrażeń.

Nie może długo zostać w Plitvicach. Po śmierci zakonnicy policja na pewno będzie szukała niejakiego José Devina z Badajóz. Pod tym nazwiskiem podróżował. Eryk von Kastell cały czas był w Petersburgu, mogli to potwierdzić właściciele różnych klubów. Wyjedzie jako Simon Smithmaster, gdy tylko zelżeje burza i ruch lotniczy zostanie wznowiony.

Coś zabrzęczało.

Eryk uniósł powieki i rozejrzał się za komórką, leżącą na stole. Wibrując, przesuwała się po drewnianym blacie i świeciła; przestawił ją na tryb milczący.

- Tak, Anat...? - Nagle jego spojrzenie padło na białą kopertę, wystającą spod walizki. Nie należała do niego.

- Cześć, *mon frère* - usłyszał głos Justine. - Co u ciebie?

- Pieprz się - powiedział i rozłączył się. Nie miał cierpliwości do ponownej rozmowy o podziale spadku. Wstał, ostrożnie wyjął kopertę i wazył ją w dłoni. Nie była ciężka. W środku znajdowało się zaledwie kilka cienkich kartek. Zdjęcia? Pośpiesznie rozerwał ją z boku i wysypał zawartość na koldrę.

Były to cztery różne fotografie, zrobione teleobiektywem z dużej odległości. Pokazywały... jego. Jak w lasku w Monachium siedzi na nagiej, martwej Tinie, jak odciąga jej

ciało, ładuje ją do swojego samochodu, a potem odjeżdża. Między zdjęciami leżała kartka z zamaszystym, odręcznym pismem: *Pozdrowienia od Fauve*.

Erykowi zrobiło się naraz gorąco i zimno. Tina i jej przyjaciel nie byli niczym innym jak przynętą, a on dał się złapać w pułapkę zastawioną przez Fauve. Te jednoznaczne zdjęcia mogły wpędzić go w niesamowite kłopoty. Fauve nie chciał go po prostu zabić, on chciał go zniszczyć.

Komórka znów zaświeciła. Odebrał.

- Justine, nie denerwuj mnie! - krzyknął. - Blokujesz...

- One chcą z tobą mówić, Eryku - odpowiedziała. - Choć nadal jesteś *Cul gigante*.

- Kto chce ze mną mówić?

- *Les Soeurs...* Siostrzeństwo. Zakłułeś jedną z nich, pamiętasz? - Ostry stuk, głośny oddech, cichy trzask. Najwyraźniej zapala papierosa. - Za dwa dni na placu Świętego Piotra, o dwudziestej trzeciej. Bądź tam albo nigdy już nie zobaczysz małej Loupette. *Au revoir!*

Rozłączyła się.

# UWAGI KOŃCOWE

Fascynacja powstała z odrzucenia

Właściwie wcale nie chciałem pisać niniejszej powieści. Obszarem moich zainteresowań są wampiry, nie wilkołaki, które dotychczas uważałem za prawdziwie nudne, monotonne i bezbarwne.

Właściwie...

Dobrze się stało, że lektor imieniem Timothy Sonderhüsken nie dał za wygraną. W końcu powiedziałem sobie: „No, przyjrzyjmy się im, tym wilkołakom”. Jako historyk zagłębiłem się w stare dokumenty i zapiski związane z wierzeniami w wilkołaki, przypadki wilkołactwa i procesy. O dziwo, to, co znalazłem, wydało mi się interesujące. *Niezwykłe* interesujące!

Legenda o bestii z Gévaudan, regionie w pięknej Południowej Francji - gdzie zresztą wystawiono bestii pomnik i poświęcono jej muzeum - sprawiła, że zabrałem się za materiały z lat 60. XVIII wieku, do tej pory pozostające zagadką. Nie istnieje nic poza legendami i poglądami badaczy, brakuje dowodów potwierdzających jakąkolwiek z licznych teorii na ten temat. Zatem wprost wymarzony punkt wyjścia do dwuczęściowej powieści.

Wiele z wydarzeń opowiedzianych w pierwszej z nich, opartym o historię wątku opowieści, jest prawdą: nazwiska ofiar, większość miejsc, daty. Oni naprawdę istnieli: łowca wilkołaków Chastel, comte de Morangiés, markiz d'Apcher, Dennevalowie, Duhamel i Francis Antoine de Beauterne, oraz ich polowania. Oczywiście musiałem to i owo wymyślić, tym bardziej, że w starych przekazach sporo jest sprzeczności. Moja wersja bestii z Gévaudan powstała z połączenia fikcji i faktów.

W drugi wątek, rozgrywający się współcześnie, wbudowałem nieznane teorie o wielkiej rodzinie przemieńców i proponuję, mam nadzieję, nowe spojrzenie na duszę wilkołaka, gdyż jeśli ostatnie miesiące czegoś mnie nauczyły, to tego, że loup-garou to nie tylko wielkie szczęki, futro, mięśnie i bezsensowne okrucieństwo.

Moje podziękowania kieruję ponownie do Nicole Schuhmacher, Tanji Karmann i Sonji Rüther.

Wspomniani też być powinni mój redaktor Ralf Reiter oraz Timothy Sonderhüsken z wydawnictwa Knaur Taschenbuch Verlag, który zaproponował, aby tym razem wampiry zostawić w krypcie, a dla odmiany zawyć z wilkami.

Markus Heitz